

**PENNY JORDAN**

**CIENIE PRZESZŁOŚCI**

## 1

- Proszę, proszę! Mój sprytny braciszek dokonał czegoś, co się nie udało naszemu świętej pamięci ojcu, i przekonał Amerykanów, żeby oddali nam nadzór nad produkcją naszych farmaceutyków. A jak to załatwiłeś? Czy tak samo, jak wytłumaczyłeś ojcu, że powinien zmienić testament na twoją korzyść?

W sarkastycznych, pełnych pogardy słowach starszego brata, Wilhelma, Leo wyczuł gorycz.

Nie było sensu przypominać Wilhelmowi, że on sam, Leo, wyraził zdumienie na wiadomość, że to jemu ojciec przekazał kierownictwo firmy, a nie, jak wszyscy przypuszczali, Wilhelmowi.

Leo westchnął ze zniecierpliwieniem. Przyjechał dziś rano do Hamburga z Nowego Jorku i prosto z lotniska udał się do biur firmy farmaceutycznej Hessler Chemie, by wystąpić krótko na zebraniu zarządu, które zlecił zwołać asystentowi.

Wilhelm nie przyszedł na to zebranie, ale musiał słyszeć, co się stało.

Leo uważał, że ma prawo cieszyć się z tego, co załatwił w Nowym Jorku, i że ma prawo być zły na Wilhelma. Zanim wyszedł z biura do domu, dał znać asystentowi, że nie chce, by mu przeszkadzano, telefonu Wilhelma nie przyjął więc z radością.

- Ojciec musiał chyba stracić zmysły, gdy pisał ten testament - usłyszał naładowane wściekłością słowa brata. - Przecież to mnie chciał przekazać firmę. Zawsze tak mówił... Zawsze mnie wyróżniał.

Leo zacisnął zęby. Z ust brata sączył się jad.

Wyróżniał go! Ile razy słyszał te słowa od niego, kiedy dorastali? Leo zastanawiał się nad tym, gdy Wilhelm wreszcie odłożył słuchawkę. Ileż razy musiał znosić wymówki ojca, ileż to razy był odtrącany, aż wreszcie pojął, że ma prawo sam wyrobić sobie pogląd na życie; że istnieją inne światy i wartości niż te, które wyznawał ojciec.

Zmęczonym wzrokiem spojrział na telefon. Nigdy nie umieli się z Wilhelmem dogadać. Ich stosunki zawsze cechowała rywalizacja i niechęć. Leo odnosił wrażenie, że tę antypatię między nimi ojciec świadomie podsycił. Wilhelm zawsze przejawiał obsesyjny instynkt posiadacza. Może wynikało to stąd, że jako pierwsze dziecko w rodzinie długo wierzył, że zawsze będzie jedynakiem. Ostatecznie był nim przez pierwsze czternaście lat, kiedy kształtuje się charakter człowieka. Dorastający Leo nigdy nie miał wątpliwości, kto jest ulubieńcem ojca.

Słabeusz. Tak go nazwał kiedyś ojciec, gdy był jeszcze dzieckiem. Dziś miał metr

osiemdziesiąt wzrostu i trudno go było uważać za wątłego. Z powodu bursztynowozłotych oczu i gęstych, złocistych włosów któraś z kochanek porównała go kiedyś do lwa. Miał w sobie taką samą płynność ruchów i taką samą lśniącą złocistość jak ów drapieźnik, ale, dodała ze śmiechem, brakowało mu lwiego instynktu polowania i uśmiercania.

Fizycznie był podobny do rodziny matki, to przyznawał, ale zarazem głęboko wierzył, że przejął również jej umysłowość i uczuciowość. Po ojcu nie chciałby odziedziczyć żadnych cech genetycznych. Ale czy i majątku też nie?

Podszedł do okna i spojrzął na rzekę. Znajdował się w spokojnej, zamożnej dzielnicy Hamburga. Dom Lea, wysoki, wąski i stosunkowo niewielki, wciśnięty między znacznie większe budynki, był stary, trzeszczały w nim belki, a pokoje miały przedziwne kształty.

Wilhelm próbował obalić testament ojca argumentując, że mógł go sporządzić tylko szaleniec, chyba że Leo zmusił go do tego szantażem. Prawnicy firmy ostrzegli Wilhelma, że taki proces z pewnością przegra, i przypomnieli mu, że do chwili zawału ojciec wszechwładnie kierował firmą i całkowicie odpowiadał za swoje czyny.

Oczywiście sprawy nie ułatwiał fakt, że to właśnie Leo znalazł ojca na podłodze w gabinecie, jeszcze żywego... Nikt nie wiedział, że ojciec był chory na serce; starszy pan utrzymywał to w tajemnicy. Leo natychmiast wezwał pogotowie, ale w chwilę po telefonie przyszedł drugi, tym razem śmiertelny, zawał.

W ciągu tych paru sekund życia, jakie mu jeszcze zostały, ojciec zwrócił się do niego:

- Syn... - powiedział przytłumionym głosem. - Mój syn.

Ale w tych słowach nie było miłości. Nawet odrobiny. Tylko to samo pełne złości i goryczy odtrącenie, tak dobrze znane mu z dzieciństwa.

Na podłodze obok ojca leżała mała, zniszczona, zamknięta szkatułka. Sejf w ścianie był otwarty i lekarz wyraził przypuszczenie, że może to wysiłek związany z wyjmowaniem szkatułki z sejfu wywołał pierwszy atak.

Leo w to wątpił. Szkatułka nie była ciężka.

Teraz odwrócił się szybko. Szkatułka nadal leżała na jego biurku, gdzie ją położył sześć tygodni temu. Miał zamiar ją otworzyć, ale jakoś nie znalazł czasu.

Akurat teraz mam czas, uświadomił sobie.

Spojrzął na szkatułkę. Powinien to zrobić Wilhelm, nie on.

Firma Hessler również powinna przejść na Wilhelma... Bo to on cieszył się miłością ojca. Czy może raczej jego akceptacją. Leo wątpił, czy ojciec w ogóle kogokolwiek kochał. Po prostu takim już był człowiekiem. Dlaczego przekazał jemu kierownictwo Hessler Chemie, skoro przez całe lata szykował na to miejsce Wilhelma? Nowy testament został sporządzony wkrótce po

śmierci matki.

Leo ze znużeniem pomyślał, że nieustanne zadawanie sobie pytań, na które nie ma odpowiedzi, mija się z celem.

Spojrzał na szkatułkę i zmarszczył czoło. Na chwilę opuściło go zrozumiałe napięcie, związane z przejęciem odpowiedzialności za firmę, i nagle uświadomił sobie, że tandetny wygląd szkatułki oraz fakt, że leżała koło ojca w chwili jego śmierci, jest co najmniej dziwny.

Owładnęła nim ciekawość. Ciekawość, ale nie tylko.

Podszedł do biurka i z wahaniem dotknął szkatułki.

Miał do niej klucze. Ojciec trzymał je w ręku w chwili śmierci. Leo otworzył szufladę biurka i wyjął kluczyki, przyglądając się im niechętnie. Były mocno zaśniedziałe i kiepskiej jakości. Trudno było sobie wyobrazić, by należały do człowieka pokroju ojca.

Leo zmarszczył czoło i niechętnie sięgnął po szkatułkę, a potem zawahał się, czy ją otworzyć.

Ponuro uświadomił sobie, że wychodzi z niego to, co ojciec potępiał: uczuciowość, nadmiar wyobraźni, lękliwość. Ale czego miałby się lękać? Przecież nie ojca. Przestał się bać, gdy zrozumiał, że bez względu na to, co robi, i żeby nie wiem jak się starał, niczym nie będzie w stanie zdobyć sobie miłości i uznania ojca.

Wspominanie przeszłości nic nie da, powiedział sobie stanowczo. Miał trzydzieści osiem lat, był dorosłym mężczyzną, nie żadnym dzieciakiem.

Włożył kluczyk w zamek szkatułki i otworzył wieczko.

Szkatułka zawierała tylko jakąś kopertę. Leo wyciągnął ją, czując w palcach stary, żółkły i jakoś dziwnie niemiły papier.

Sięgnął do otwartej koperty, wyjął zawartość i położył przed sobą na biurku.

Był to notes i kilka wycinków z angielskich gazet. Wziął do ręki notes i jednocześnie rzucił okiem na tytuł leżącego na wierzchu wycinka. Był to artykuł poświęcony pracy żołnierzy angielskich w niemieckim szpitalu. Spojrzał na datę: artykuł został napisany wkrótce po zajęciu Niemiec przez aliantów.

Było tam i zdjęcie. Przedstawiało wyniszczzonego chudzielca na łóżku, wyciągającego rękę do kogoś, kto pochylał się nad nim.

Leo poczuł, że robi mu się niedobrze. Ten człowiek musiał być oczywiście jedną z ofiar obozów śmierci; obok niego, na sąsiednim łóżku, leżał ktoś inny. Autor artykułu donosił, że tamten nie miał tyle szczęścia. Nie przeżył.

Zmarły, pisał autor, przed śmiercią powierzył szeregowemu Careyowi nazwiska niektórych oficerów SS i tajnych agentów, którzy zezwolili na wykorzystanie więźniów jako królików

doświadczalnych do celów medycznych. Na podstawie tej informacji alianci zidentyfikowali niektórych z nich i aresztowali.

Leo spojrzął ponuro przed siebie, ale po chwili zmusił się, by dalej oglądać materiały. Drżącymi rękami wziął do ręki plik wycinków. Przebiegł szybko wzrokiem pierwszy, a potem pozostałe.

Wszystkie były w języku angielskim i wszystkie odnosiły się do małej angielskiej firmy farmaceutycznej - Carey Chemicals. Carey... nazwisko żołnierza, wymienionego w pierwszym, pozółkłym artykule, zauważył z roztargnieniem Leo.

Wycinki przedstawiały błyskawiczny rozwój firmy Carey Chemicals tuż po wojnie, kiedy opatentowała ona lek, który zrewolucjonizował metody leczenia chorych na serce. I przedstawiały również upadek firmy.

Carey Chemicals... Te wycinki... Co to ma wspólnego z ojcem? Dlaczego zbierał i przechowywał te artykuły?

Leo zmarszczył brwi i wziął do ręki notes. Ojciec założył Hessler Chemie po wojnie. Alianci starali się zaprowadzić na nowo porządek w chaosie powojennych Niemiec, a ponieważ ojciec nie brał udziału w okrucieństwach wojny, gdyż wyjechał z Niemiec krótko po jej wybuchu i zamieszkał w neutralnej Szwajcarii, więc pozwolono mu wrócić i założyć firmę. Produkowała ona nowe lekarstwo, środek uspokajający, który przynosił ulgę ofiarom przeżyć wojennych.

Leo otworzył notes. Studiował chemię na uniwersytecie. Ojciec sam wybrał mu te studia, komentując tę decyzję drwiąco:

- Mimo wszystko nazywasz się von Hessler, nawet jeśli nie jesteś podobny do Hesslerów z wyglądu ani z charakteru, i chociażby z tego powodu musisz odegrać pewną rolę w firmie.

Patrząc teraz na wyblakłe, odręcznie pisane wzory, Leo natychmiast rozpoznał, co znaczą.

Miał przed sobą oryginalną recepturę środka uspokajającego, który stał się podwaliną rozwoju firmy Hessler Chemie.

Przyjrzał się z bliska symbolom i wzorom chemicznym. Istniało mnóstwo wersji na temat tego, w jaki sposób ojciec wszedł w posiadanie tych wzorów. Wersja oficjalna głosiła, że otrzymał je od kogoś umierającego, kogo odwiedził na polecenie żołnierzy wojsk sojusznicych, którym służył jako tłumacz.

Od czasu do czasu pojawiały się inne, niezbyt pochlebne wersje tej historii, ale wtedy Hessler był już zbyt potężny, by można mu było stawiać zarzuty.

Jako nastolatek Leo słyszał pogłoski, że ojciec był tajnym członkiem SS i jako szpieg mieszkał w Szwajcarii, ale podróżował po Niemczech i po całej Europie i z tego powodu miał dostęp do materiałów z osławionych laboratoriów w obozach śmierci.

Kiedyś ośmielił się nawet, jak głupi, zapytać w tej sprawie ojca. Nie dowiedział się niczego. Ojciec ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził tej wiadomości, ale następnego dnia Leo zobaczył matkę w łóżku tak pobitą, że uparł się wezwać lekarza mimo jej błagania, żeby tego nie robił.

Więcej już nie wracał do tej kwestii.

Przewrócił kilka kartek w notesie i zamarł.

Był w nim drugi komplet wzorów wraz z notatkami na marginesach i z podpisem lekarza, który stanął przed sądem - tego Leo był pewien - za swój udział w okrutnych eksperymentach medycznych na terenie obozów.

Przeczytał je najpierw szybko, potem raz jeszcze powoli i starannie, a w miarę poznawania prawdy zamierało mu serce.

Dalsze strony przedstawiały szczegółowo badania i skład chemiczny środka nasercowego - takiego jak ten, który produkowała brytyjska firma Carey Chemicals.

Jak gracz rozdający karty, Leo powoli i starannie rozłożył przed sobą wycinki, a nad nimi położył notes. Patrzył w zamyśleniu.

Czy ojciec umarł, próbując gdzieś zanieść szkatułkę, czy może sięgnął po nią dopiero po pierwszym ataku, ponieważ wiedział, że jej zawartość trzeba zniszczyć? Leo spojrział na wycinki z gazet i wzmianki o szeregowym Carey u. Czy pojawienie się tego młodego człowieka w przemyśle farmaceutycznym po wojnie miało coś wspólnego z notatkami ojca? A w ogóle po co ojciec je przechowywał? Czy była to forma zabezpieczenia się przed Careym, sanitariuszem - szantażystą, który znał prawdę o tajnych poczynaniach SS i który dlatego został opłacony tamtą drugą recepturą?

Jednakże Carey zmarł na kilka lat przed ojcem. I o tym Leo znalazł tu wzmiankę. Dlaczego więc ojciec od razu nie zniszczył zawartości szkatułki, skoro była ona tak kompromitująca?

A może Carey przekazał komuś przed śmiercią swoje informacje w ścisłej tajemnicy? Ze wzmianki w gazecie wynikało, że interesy prowadzi teraz jego zięć. Czy przekazał mu coś więcej niż kierownictwo firmy?

Może jednak się myli. Może to zwykły przypadek. Leo instynktownie odrzucał tę myśl.

Wiedział dobrze, czuł w głębi duszy, że przed nim leżą dowody na to, kim był naprawdę jego ojciec, że teraz zbliżył się bardziej do tego, co było jego prawdziwą naturą, niż przez całe ich wspólne życie. Nie było sensu dociekać dalej przyczyn wrogości, która ich zawsze dzieliła, ani własnej awersji do różnych niejasności i ciemnych plam, które wyczuwał w życiorysie ojca.

Jako dziecko bał się tych niejasności. Gdy dorósł, był wdzięczny losowi, że w sensie genetycznym niewiele odziedziczył po ojcu, chociaż ten zawsze nim za to pogardzał.

A jednak to jemu ojciec przekazał kierownictwo firmy.

- Syn,... Mój syn...

To były jego ostatnie słowa, pełne goryczy i nienawiści.

Na pewno nie pozostawił mu z własnej woli tych kompromitujących dowodów. A może był to ostatni akt okrucieństwa, przypomnienie o tym, jaka krew płynie w jego żyłach?

Nie... Skąd mógł wiedzieć, że to Leo go znajdzie? Oczywiście, że chciał zniszczyć dowody. Teraz Leo był tego pewien.

Dowody...

Spojrzał na leżące przed nim papiery. Dziwnie było pomyśleć, że miały one moc unicestwienia potęgi Hessler Chemie, że były silniejsze od ojca.

Ale czy miał rację? Czyjego ojciec, który pracował jako tłumacz, i Carey, sanitariusz, przez chciwość uwikłali się w straszliwy splot morderstw, kradzieży, szantażu - i czegoś jeszcze gorszego?

Człowiek, który umarł, człowiek, który przekazał Careyowi nazwiska tajnych współpracowników... czy jednym z nich był ojciec? Czy Carey przyszedł do ojca i zagroził, że go wyda? Czy ojciec zamknął mu usta tym drugim wzorem chemicznym?

Poszlaki były nikłe; niepewne i chyba nie do udowodnienia, ale mimo to wystarczające, by wstrząsnąć firmą Hessler Chemie i z pewnością na tyle w swej wymowie potworne, by napełnić Lea odrazą, udręką, bólem i poczuciem winy. Zrozumiał, że musi przynajmniej starać się jakoś odkryć prawdę.

Gdyby było inaczej... gdyby Wilhelm był inny, mogliby ten ciężar nieść razem.

Uderzyło go coś jeszcze. Czy matka знаła prawdę? Czy dlatego była z ojcem, mimo że ją fizycznie i psychicznie maltretował, że bała się go opuścić? Ponieważ nie mogła wyjawiać prawdy, zdając sobie sprawę, czym by to było dla jej synów... i dla męża?

Wilhelm nigdy nie był z nią tak blisko jak on, Leo. Wilhelm, podobnie jak ojciec, traktował ją z pogardą i okrucieństwem.

Powoli pozbierał wycinki z gazet. Spojrzał w kierunku płonącego na kominku ognia, a potem na papiery trzymane w ręku.

Z wahaniem włożył je do koperty razem z notesem. Może powinien je zniszczyć, ale wiedział, że tego nie zrobi, póki nie dowie się prawdy. Albo przynajmniej wszystkiego, czego jeszcze mógł się dowiedzieć. Jakoś musi do tego dojść nie narażając firmy na szwank, nie dla siebie i na pewno nie ze względu na ojca, ale ze względu na tych wszystkich, którzy w firmie pracują.

Tak, ten problem musi rozwiązać sam. Po cichu... dyskretnie... w tajemnicy. Skrzywił się. To słowo za bardzo przypominało mu ojca.

W tajemnicy.

Pozostał mu po nim gorzki smak w ustach, a w duszy smutek.



- Muszę stwierdzić, że twoje poglądy trochę mnie dziwią, Saul.

Głos i uśmiech były łagodne, niemal dobrotliwe, Saul jednak doskonale wiedział, że to jedynie pozor. Nic nie odpowiedział, po prostu czekał.

- Oczywiście rozumiem, że Dan Harper jest twoim przyjacielem - zauważył uprzejmie sir Alex Davidson, a następnie, gdy Saul nadal się nie odzywał, dodał mniej uprzejmie: - Mimo to, chyba sypiałeś kiedyś z jego żoną?

Była to nieprawda, ale Saul pominął tę uwagę milczeniem. Znał taktykę szefa i wiedział, jak bardzo cieszy go, gdy dotknie otwartej rany.

- Jednak interes to interes i twoją sprawą było dopilnować, żeby przejęcie firmy Harper & Sons odbyło się gładko i dyskretnie. A ty ni mniej ni więcej, tylko ostrzegasz Harpera, że chcemy go wykupić, wszystkich zwolnić i firmę zamknąć.

- To dość dramatyczna interpretacja faktów - odezwał się wreszcie Saul, spokojnie i uprzejmie.

Jego oczy patrzyły zimno. I mimo że był tylko zwykłym pracownikiem firmy, należącej do starszego od niego o dwadzieścia pięć lat sir Alexa Davidsona, wyglądał groźnie. Był pracownikiem, którego sir Alex szykował na swojego następcę, na stanowisko dyrektora naczelnego.

- Ale przecież ostrzegałeś Harpera, co się święci.

- Przed niczym go nie ostrzegałem - odparł Saul. - Po prostu zwróciłem mu uwagę, co może się stać, gdyby sprzedał firmę.

- Dialektyka - warknął sir Alex. Już się nie uśmiechał, a jego głos przestał być uprzejmy. - Od moich pracowników żądam absolutnej lojalności, Saul, szczególnie od ciebie. Jesteś moim najbardziej zaufanym pracownikiem, wysoko opłacanym...

- *Caveat emptor*<sup>1</sup> - mruknął Saul pod nosem. Ale była w tych słowach, poza sarkazmem, i autoironia.

Sir Alex, który ciągnął swój wywód, nie dosłyszał tej uwagi.

- Jak już mówiłem, byłem niemile zaskoczony. Ale jest w tej chwili nowa sprawa, znacznie ważniejsza. Chcę, żebyś pojechał do Cheshire. Chodzi o firmę Carey Chemicals. Muszę ją mieć.

- Carey Chemicals?

- Mhm. - Sir Alex wziął z biurka jakieś papiery. - Malutka firma... a przynajmniej była

---

<sup>1</sup> (łac.) niech kupujący ma się na baczności - (przyp, tłum.)

malutka. Facet, który stał na jej czele, niedawno umarł. Firma ma kłopoty, leci w dół i najprawdopodobniej padnie. Przeprowadzimy operację ratunkową.

- O? A to dlaczego? - spytał ironicznie Saul.

Sir Alex spojrział na niego i powiedział lodowato:

- Zanim ci odpowiem, muszę mieć pewność, że nie masz w tej firmie przyjaciół ani nawet kochanki.

Saul rzucił mu chłodne spojrzenie, pod wpływem którego sir Alex na chwilę spuścił wzrok.

- No dobrze - powiedział gniewnie, chociaż Saul się nie odezwał. - Carey to firma farmaceutyczna, ale przez ostatnie dwadzieścia lat nie robili praktycznie nic, co by im mogło przynieść dochód. Wdowa, która odziedziczyła firmę, na pewno będzie chciała ją sprzedać.

- A ty chcesz ją kupić.

- Za stosowną cenę.

- Dlaczego? - spytał Saul.

- Ponieważ ptaszki ćwierkają o tym, że rząd planuje bardzo duże zachęty finansowe dla wszystkich brytyjskich firm farmaceutycznych, które zainwestują w prace badawcze. Jeśli wyprodukują leki, które będą dobrze szły na rynku, to się odwzajemnią, sprzedając te leki po cenie znacznie niższej niż rynkowa, na czym zyska Państwowa Służba Zdrowia.

- I stracą w ten sposób wszystko, co wynika z korzystnych warunków finansowych - powiedział Saul sucho.

- No, zawsze pozostanie zysk z eksportu - zauważył sir Alex - ale w zasadzie jest tak, jak mówisz.

- To dlaczego się tą firmą zainteresowałeś? - spytał.

- Bo jeżeli prace badawcze nie dadzą spodziewanych efektów, to rząd nie wyrwie tego, co włożył.

- Ano tak, chyba zaczynam rozumieć - powiedział Saul. - Kupisz tę firmę i zorganizujesz coś, co z pozoru będzie wyglądało na prawdziwy dział badawczy, oczywiście dzięki szczodrym subwencjom rządu. Ale, jak wiemy, dzięki złożoności finansów nowoczesnej firmy, zdolny księgowy łatwo zgubi bardzo duże, jeśli nie olbrzymie, sumy, przerzucając je z jednej firmy do drugiej, a gdy badania nie doprowadzą do produkcji nadającej się do sprzedaży, to...

- Sir Alex uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Odczuwam ulgę, gdy widzę, że nadmiernie wrażliwe sumienie i wybujałe poczucie przyjaźni nie przyćmiły twoich władz umysłowych. Jest kilka innych firm, którymi warto by się zająć, ale żadna nie umywa się do Carey. Jest to, że się tak wyrażę, bezbronna owieczka i obawiam

się, że bez naszej opieki bardzo łatwo padnie łupem jakiegoś drapieżnego wilczyśka.

- Rozumiem, że do mnie będzie należało zbadanie, jak bardzo zagrożona jest ta owieczka, a co za tym idzie, jak tanio możemy ją kupić?

- Tak. Możesz być naszym wilkiem w owczej skórze. Rola, do której się cudownie nadajesz.

Wilk. A więc sir Alex widzi go w roli drapieżcy, który rozkoszuje się strachem ofiary, paniką, którą wzbudza, gdziekolwiek się pojawi. Saul myślał o tym z niesmakiem.

Kiedy zjeżdżał windą na parter, przyszedł mu na myśl pewien wers z Byrona: „Asyryjczycy wpadli jak wilk do owczarni”.

Te słowa i obraz przez nie wywołany rozdrażniły go. Ostatnio za często przeżywał jakieś dziwne niepokoje i wyrzuty sumienia.

Wyrzuty sumienia? A może był to bunt? Ta myśl, przelotna, szybko jednak umknęła pod naporem mnogości spraw do załatwienia.

Recepcjonistka popatrzyła za nim, gdy przechodził koło jej biurka. Westchnęła w duchu. Był to jeden z najbardziej atrakcyjnych mężczyzn, jakich widziała w życiu. Tę opinię podzielały wszystkie dziewczyny zatrudnione w Davidson Corporation, ale Saul żadnej nie okazał najmniejszego nawet zainteresowania. Miał w sobie jakąś fascynującą surowość, jakiś wielki dystans.

Byłby dobrym kochankiem, na pewno, widziała to po jego ruchach. Pomyślała, że pewnie na całym ciele ma takie same czarne, gęste włosy jak na głowie.

A do tego te oczy - niezwykle, jasnoniebieskie, i wyraźnie zaznaczone kości policzkowe. I jakiś dziwny głód, energia, prawie gniew, które wywoływały w niej dreszcz pożądania.

Saul wyszedł z gmachu na słońce. Hrabstwo Cheshire. Mieszkała tam jego siostra, Christie.

Może czas ją odwiedzić.

Zadzwoń do niej wieczorem. Będzie musiał też zadzwonić do Karen. To już przeszło pięć tygodni od czasu, kiedy widział dzieci. Musiał odwołać ostatnią wizytę. Zmarszczył brwi, czuł w sobie narastające napięcie. Wątpił, czy jego córka albo syn odczuwają przykrość z tego powodu, ale on przeżywał to bardzo. Pamiętał, jak blisko był ze swoim ojcem.

Zbyt blisko, powiedziała mu kiedyś Christie. Zarzucił jej, że jest zazdrosna, a ona go wyśmiała. Stosunki między nimi były burzliwe. Podobni do siebie w wielu sprawach, różnili się jednak w poglądach na życie. I to bardzo.

Znowu odczuł złowrogi cień, który kładł się na całym jego życiu, drażniąc go swoją

obecnością i przeszkadzając. On, który zawsze tak jasno widział własne cele. I te cele osiągał... Udało mu się, dotrzymał obietnicy danej ojcu. Więc skąd to uczucie pustki, ta obawa, że coś pominął, czegoś zaniedbał, skąd to wahanie, czy sięgnąć po nagrodę, która jawiła mu się w zasięgu ręki?

Za parę lat sir Alex odejdzie na emeryturę, a on, Saul, zajmie jego miejsce. Po to pracował... takie snuł plany... to przyrzekł ojcu.

Ale czy o to mu rzeczywiście chodziło? Zaklął pod nosem. Co się dzieje, u diabła, że nagle teraz opadły go wątpliwości?

Wyszedł na ulicę, zmieszał się z tłumem, ale tłum go nie wchłonał. Był człowiekiem innego pokroju. Jego rówieśnicy, koledzy zazdrościli mu, wiedział o tym, a dlaczegoż by nie? Chwaliła go prasa fachowa, podkreślając jego wnikliwość i bystrość. Przez lata pracy doprowadził firmę założoną przez sir Alexa na szczyty.

Jeśli sir Alex był przedsiębiorcą w starym stylu, prawie rekinem, to Saul był dyplomatą finansowym, który przekuł surowy materiał, jakim była firma, w dzisiejsze nowoczesne narzędzie władzy.

Saul planował rozwój firmy i nim kierował. Gdy przyszła recesja, był na nią przygotowany, patrzył daleko w przyszłość, prowadząc za sobą innych.

Był pionierem, którego podziwiano i któremu zazdroszczono, a teraz odrzucił to wszystko, łamiąc zasady, które wpoił mu ojciec.

Sam nie wiedział, dlaczego ostrzegł Dana Harpera, że sir Alex chce przejąć jego firmę. Byli przyjaciółmi, to prawda, ale niezbyt bliskimi. Na zbytnią bliskość Saul nie pozwalał nikomu. Teraz już nie.

Ani mężczyznom, ani kobietom. Od czasu, gdy załamało się jego małżeństwo, zdarzały się w jego życiu romanse. Były to dyskretne, utrzymywane w określonych granicach związki, które nikomu nie zagrażały. Oczywiście z żoną Dana, wbrew insynuacjom sir Alexa, nic go nie łączyło.

Teraz nie miał nikogo. Cechowała go wyjątkowa zdolność eliminowania spraw seksu, gdy uznał to za właściwe. Nigdy nie kierowały nim tego typu zachcianki.

Czasem przyglądał się, jak ktoś z konkurencji łakomie pochłania danie, za które on płaci, jak żarłocznie łyka zastawioną przynętę, obliczając spodziewane korzyści... Saul pogardał taką zachłannością, brzydził się nieuzasadnionym marnotrawstwem, gdy dokoła tyłu nie miało nic.

To moja szkocka krew, pomyślał z ironią. Pracowały na to całe pokolenia prezbiterian o surowych poglądach.

Sir Alex chciał go wypróbować, to jasne. Można go było przejrzeć śmiesznie łatwo, chociaż uważał się za mistrza przebiegłości.

Normalnie nie powierzyłby Saulowi tak prostego zadania. W tego rodzaju interesach używali zazwyczaj agencji, działając oczywiście na odległość, zachowując tożsamość w tajemnicy, dopóki nie byli gotowi połknąć ofiary.

Saul miał czterdzieści lat. Wyglądał lepiej niż wielu młodszych od niego o piętnaście lat mężczyzn, bez śladu siwizny, a jednak czasem czuł się nieskończenie stary: rozwiedziony, w pewnym sensie wyobcowany i całkowicie samotny.

Czasami czuł urazę, gniew, że został w jakiś sposób oszukany, choć nie potrafił tego określić.

Dlaczego właściwie ostrzegł Dana o zakusach na jego firmę? Dlaczego poczuł taki niesmak na myśl o unicestwieniu małej, tradycyjnej firmy, która od pięciu pokoleń przechodziła z ojca na syna? Przecież wcześniej załatwiał takie sprawy bez żadnych wyrzutów sumienia. Dlaczego teraz... teraz, kiedy sir Alex powiedział mu właśnie, że wkrótce ustąpi, i że on, Saul, zajmie jego miejsce?

Może jeszcze odzyskać to, co stracił. Sir Alex potwierdził to w dzisiejszej rozmowie.

A więc skąd ta przemożna chęć, by odejść, odwrócić się tyłem do sir Alexa i własnej przyszłości?

Narastał w nim głęboki gniew, połączony z obawą, że straci panowanie nad sobą. A Saul cenił sobie swoją zimną krew. Była to jego najsilniejsza broń, bał się ją stracić.

Cheshire. Do diabła, co to za gra ze strony sir Alexa, po co go tam wysłał? Uwielbiał manipulować ludźmi, pociągać za sznurki i patrzeć, jak tańczą. On, Saul, nigdy nie pozwalał się tak traktować. Pracował dla sir Alexa, owszem, ale zawsze podkreślał, że nie będzie jego sługą. Sir Alex szanował tylko tych, których nie mógł zastraszyć.

Do czego właściwie on zmierza? Czy tylko dlatego wysłał go do Cheshire, że chce wykupić tę firmę, czy ma jeszcze jakieś inne powody?

Saul pomyślał z ironią, że może po powrocie, jak któryś z jego poprzedników, zastanie przy swoim biurku już kogoś innego. A jeśli tak, to co? Zależy mu? Czy naprawdę mu na czymś jeszcze zależy? Owszem, zależy mu na dzieciach, odpowiedział sobie. Nie jest mu obojętne, że go odrzucają, że widocznie bardziej chodzi im o posiadanie czegoś w sensie materialnym. Czy on też był taki? Josey ma piętnaście lat, Thomas prawie trzynaście. Bardzo się różnią od siebie usposobieniem, podobnie jak on i Christie.

Rozwiedli się z Karen prawie dziesięć lat temu i był dzieciom obcy. Dziesięć lat intensywnego życia. Czy aż tak intensywnego, żeby nie mieć czasu dla własnych dzieci?

Ta myśl drażniła go i uwierała jak gwóźdź w bucie. Ostatnio wciąż zadawał sobie pytania, zbyt wiele pytań, na które nie potrafił odpowiedzieć. Ale właściwie dlaczego? Ponieważ pewnego

ranka obudził się z uczuciem obrzydzenia do samego siebie, do swego życia. Więc dlaczego mu to dolega? Zawsze przecież samodzielnie podejmował decyzje, sam dokonywał wyboru.

Przypomniawszy sobie głos Christie, pełen gniewu, kiedy krzyczała na niego z pogardą:

- Nic nie potrafisz zrobić sam! Wszystko robisz pod dyktando ojca. Dlatego jesteś jego pupilką.

Wyśmiała ją, nie przejął się jej wybuchem. To zrozumiałe, że jako chłopiec był bliżej z ojcem, że był jego ulubieńcem... A przynajmniej tak mu się wtedy zdawało.

Christie... Gwałtowna, niesforna, samowolna, już wtedy chciała kierować swoim życiem.

I wcale się nie zmieniła.

Prawie się ostatnio nie widywali. Właściwie od kiedy się przeniosła do Cheshire, odwiedził ją dwa razy. Były to dwie koszmarne wizyty, w których towarzyszyły mu niechętne, zbuntowane dzieci.

Christie, lekarka, ciągle była zapracowana i nie miała dla nich wiele czasu, a Josey wyraźnie gardziła dość chaotycznym życiem ciotki - tym, że niezmiennie jadała się w kuchni, że Christie rzadko kiedy się malowała i, w przeciwieństwie do jej matki, nie ubierała się w ekskluzywnych sklepach.

Jedyną rzeczą, która podobała się Josey u Christie, było to, że samotnie wychowywała dziecko. Kobiety nie potrzebują już mężczyzn, oświadczyła Saulowi wyzywająco, a on zastanawiał się, czy znaczy to, że dzieci nie potrzebują już ojców, a zwłaszcza takich ojców jak on.

Z dwojga jego dzieci to Josey zawsze była bardziej nastawiona przeciwko niemu. Zdumiewało go, że było to takie bolesne. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że są rzeczy ważniejsze od stosunków z córką, ale inny głos zapytywał, co... co może być ważniejszego od własnych dzieci? Zaskoczony tymi myślami, stanął na środku ulicy, nie dostrzegając zdumionych spojrzeń przechodniów.

Chyba przydałby mu się jakiś tydzień z dala od Londynu, z dala od sir Alexa. Ruszył naprzód. Musi trochę odetchnąć, musi się zastanowić.

Ale nad czym miałby się zastanawiać? - pomyślał zniecierpliwiony. Niepokoilo go to, że mu ta sprawa doskwiera. Drażnił go rozdźwięk pomiędzy tym, co powinien był czuć, a co czuł naprawdę. Było to takie nietypowe.

- Jeżeli chcesz osiągnąć sukces, musisz postępować prostolinijnie - powtarzał mu zawsze ojciec, choć na twarzy zastygł mu stały wyraz troski, wynik niepowodzeń życiowych, gorzkiej świadomości, że nie potrafi osiągnąć celów, jakie sobie stawiał.

Los nie był łaskawy dla ojca.

Ale okazał się łaskawy dla niego, a zawdzięczał to jedynie sobie, przynajmniej tak mu się do

niedawna wydawało.

### 3

- Wiem, że nie masz czasu, ale może byś mogła poświęcić mi pół godziny, zanim pójdziesz do domu.

Davina zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście, że mogę, Giles. O piątej, zgoda?

Gdy zamknął za sobą drzwi, uśmiech znikł z jej twarzy. W ciągu trzech miesięcy, jakie upłynęły od śmierci Gregory'ego, jej męża, była zmuszona stawiać czoło różnym trudnym sytuacjom, a teraz chyba szykowała się następna...

Podjeżdżała, że Giles Redwood ma zamiar wypowiedzieć pracę. Nie mogła mieć mu tego za złe. Firma była na skraju bankructwa, a Davina wiedziała, że Giles tkwi tu tylko dlatego, że jest zbyt delikatny, zbyt uprzejmy, żeby zostawić ją z tym wszystkim samą.

I dlatego, że się w niej kocha?

Skrzywiła się. Nie dopuszczała do siebie tej myśli, nie chciała przyznać, że tak jest.

Zawsze lubiła Gilesa, ale dopiero po śmierci Gregory'ego zauważyła, że chyba z jego strony jest to coś więcej. Miała wyrzuty sumienia, że może niepotrzebnie igra z jego uczuciem, prosząc, by został i pomógł jej w początkowym, trudnym okresie. Tego nie chciała. Po prostu wpadła w panikę, kiedy odkryła, że firma jej ojca nie jest, jak dotychczas naiwnie przypuszczała, kwitującym przedsiębiorstwem, tylko niewypłacalnym bankrutem. Ta wiadomość wstrząsnęła nią bardziej niż śmierć Gregory'ego.

I to właśnie Giles ją pocieszał, to on jej powiedział, żeby sobie nie robiła wyrzutów z tego powodu. To prawda, że Gregory, a przedtem jej ojciec, zawsze odmawiali jej wszelkich informacji o firmie. Nie chcieli, by w ogóle miała z nią cokolwiek wspólnego.

Teraz jednak nie było wyjścia. Carey Chemicals, jako największe przedsiębiorstwo w okolicy, zatrudniała wielu ludzi. Gdyby ją zamknąć, straciliby pracę, ucierpiałyby ich rodziny. Nie chciała do tego dopuścić.

Giles powiedział jej delikatnie, że może nie będzie miała innego wyboru. Z trudnością wyjąkał, że od jakiegoś czasu przypominał Gregory'emu o konieczności przygotowania czegoś na okres, gdy ich najbardziej dochodowy patent wygaśnie.

Gregory nie chciał go słuchać, obarczony własnymi obsesjami, zupełnie innymi niż to, ile czasu i pracy wymaga zbadanie i uruchomienie produkcji nowego leku.

Grał na giełdzie i w ten sposób przepuścił wiele milionów funtów z pieniędzy firmy.

Na myśl o tym Davinie robiło się niedobrze. Ilekroć przypominała sobie, jak bezmyślnie



przyjmowała wszystkie łągarstwa męża, tylekroć pogardzała sobą za swoją naiwność. Powinna była przyprzeć go do muru, żądać szczegółowych informacji o stanie firmy.

Powinna była zrobić wiele innych rzeczy, powtarzała sobie ze znużeniem, a przede wszystkim powinna była skończyć z tym małżeństwem.

Małżeństwem? Od lat nie byli żadnym małżeństwem. Od czasu, gdy... Skuliła się w sobie.

Wyszła za mąż w wieku lat dwudziestu. Teraz miała trzydzieści siedem. Przez siedemnaście lat trwała w jałowym związku, pozbawionym wszystkiego, co wynika z faktu zawarcia małżeństwa, ale po co?

Z miłości? Skrzywiła się. A zatem z poczucia obowiązku... z konieczności... z tchórzostwa. Tak, z tchórzostwa albo raczej ze strachu, nie przed samotnością jednak - to byłaby wręcz rozkosz - ale przed nieznanym. Bała się, że kiedy zostanie sama, tylko potwierdzi pogardliwą opinię ojca i Gregory'ego o sobie. I tak trwała, bojąc się porzucić bezpieczną przystań małżeństwa, będącego zwykłą kpiną, żalonym pozorem, który ją jednak chronił przed trudami życia.

Ale teraz zabrakło Gregory'ego. Zginął w wypadku samochodowym. Znalaziono go w jego rozbitej doszczętnie, kosztownej limuzynie. Była z nim jakaś kobieta.

Kobieta, której Davina nie знаła, ale którą, jak podejrzewała, jej mąż znał bardzo dobrze.

Systematycznie zdradzana, Davina udawała, że tego nie widzi, podobnie jak wielu innych rzeczy, wmawiając sobie, że i tak ma lepiej niż inne kobiety i że nie jest jedyną, której małżeństwo okazało się pomyłką.

Podświadomie wiedziała też, że ojciec nigdy nie zgodziłby się na jej rozwód.

A i Gregory nie chciałby słyszeć o rozwodzie. W żadnym razie. Ostatecznie firma była jej własnością! To znaczy, na papierze. Ojciec załatwił to w ten sposób, że kierownictwo firmy zostawił w rękach Gregory'ego, ale te ręce mu związał; udziały były własnością Daviny i Gregory nie miał prawa ich sprzedać.

Firma Carey Chemicals znaczyła dla ojca bardzo wiele. Założył ją ze swoim ojcem krótko po wojnie. Davina nie znała dziadka - zmarł, zanim się urodziła, czego bardzo żałowała. Wszystko, co o nim wiedziała, powiedziała jej matka. Jak na przykład to, że zyskał lokalną sławę wynajdując najróżniejsze leki i panacea, początkowo dla bydła, a z czasem również i dla ludzi. Ciężką pracą doszedł do odkrycia leku nasercowego, który postawił Carey Chemicals poza wszelką konkurencją. Zmarł krótko po założeniu firmy.

Kiedy wybuchła wojna, jej ojciec był na studiach medycznych, które przerwał wstępując do wojska i których już nigdy nie skończył.

W dzieciństwie Davina zawsze marzyła, że pójdzie w ślady dziadka, ale marzenia te

ojciec bardzo szybko unicestwił. Dziewczynki nie mogą być chemikami, wyjaśnił jej pogardliwie. Są od tego, żeby wyjść za mąż i rodzić dzieci - synów. Davina do dziś pamiętała, jak spojrział przy tym na matkę. Rodzice nie mieli syna, tylko córkę. Davinę.

A co do jej małżeństwa... Zmarszczyła brwi. Zaraz ma przyjść Giles, a ona zupełnie nie wie, co powinna mu powiedzieć. Jego żona, Lucy, była jedną z jej najbliższych przyjaciółek, przynajmniej kiedyś. Ostatnio Lucy zachowywała się w stosunku do niej jakoś dziwnie, a Gilesowi mimo woli wymknęło się, że zamierza odejść z firmy, częściowo z powodu żony.

Nie miała mu tego za złe. Mimo wszystko, jeżeli dyrektor banku ma rację, to firma długo nie pociągnie. Chyba że Davina znajdzie kogoś, kto ją przejmie i włoży w nią duże pieniądze.

Nie chodzi o nią, a tym bardziej o ojca.

Firma zatrudniała prawie dwieście osób, co w ich stosunkowo mało zaludnionej okolicy stanowiło znaczną część ludności.

Przeszło połowę zatrudnionych stanowiły kobiety. Davinę ostatnio w przykry sposób zaskoczyły ich niskie wynagrodzenia.

Konieczność ekonomiczna, powiedział Giles. Ale spuścił wzrok, gdy wyjaśniał, że Gregory mógł utrzymywać płace na tak niskim poziomie, ponieważ był tu jedynym większym pracodawcą.

Na wspomnienie tamtego odkrycia Davinie ścisnęło się serce. Wróciła złość i poczucie winy. Nic dziwnego, że te kobiety spoglądały na nią z ponurą nienawiścią, kiedy jechała samochodem przez miasteczko. Nie uwierzyłyby, gdyby im powiedziała, że Gregory dawał jej równie mało pieniędzy jak im, ale tak było.

Wstrząsnęło ją, gdy stwierdziła, ile pieniędzy ma Gregory w banku na swoim prywatnym koncie, ale, mimo że suma była ogromna, to nawet w przybliżeniu nie sięgała kwoty, za którą można by uratować firmę.

Jak się dowiedziała po jego śmierci, Gregory sprawował w firmie rządy autokratyczne. Jego słowo było prawem. Żadna z licznych delegacji związkowych nie potrafiła go przekonać, że powinien podnieść pracownikom płace i zapewnić im coś więcej niż tylko elementarne warunki pracy.

Davina osłupiała, gdy pokazano jej toalety i umywalnie, a także prymitywne, niehigieniczne pomieszczenia, które miały uchodzić za stołówkę. Giles, oprowadzając ją po śmierci Gregory'ego po firmie, współczuł jej i starał się okazać zrozumienie, ale nawet on swoją obecnością nie złagodził jej szoku, rozpacz i poczucia winy.

Nic nie była w stanie zrobić, żeby poprawić sytuację. Wpływy z trudem starczały na pokrycie nędznych płac.

Giles nie był finansistą, jak sam mówił. Był tylko kierownikiem działu personalnego, ale

nawet on zdawał sobie sprawę z niebezpiecznej sytuacji finansowej firmy. Gregory jednak nie chciał go słuchać, podobnie jak nie chciał słuchać nikogo, kto mu dobrze radził.

Davina nie miała pojęcia, co zrobić, by uchronić firmę przed likwidacją. Trzeba znaleźć kupca, powiedziano jej w banku, kupca albo inwestora. Ale jak i gdzie? Pod brzemieniem odpowiedzialności, w wyniku ciągłego napięcia i zmartwień, cierpiała na nieustanne bóle głowy. Niecały tydzień temu Giles powiedział, że podziwia jej spokój i siłę, ale wewnątrz nie czuła się ani spokojna, ani silna. Umiała tylko ukrywać swoje uczucia. Musiała się tego nauczyć dawno temu. Od razu, na początku małżeństwa zauważyła, z jaką przyjemnością Gregory się nad nią zęca. Już wtedy wiedziała, że wyjście za niego za mąż było wielką pomyłką.

Gdy miała jedenaście lat, oddano ją do niewielkiej szkoły z internatem dla dziewcząt, skąd ją zabrano, gdy miała lat czternaście, a matka zmarła na raka mózgu.

Początkowo była wzruszona, że ojciec chce mieć ją w domu. Zawsze czuła się bliższa matce niż ojcu. Ich rodzina nigdy nie była sobie bliska w sensie dosłownym, ale w swoim smutku po śmierci matki zwróciła się do ojca, oczekując od niego wsparcia.

Ojciec jednak odsunął się od niej, pełnym potępienia wyrazem twarzy dając jej odczuć dezaprobatę dla wszystkiego, co robiła. Zawiedziona i zraniona, wiedząc, że wzbudza jego gniew, Davina zamknęła się w sobie.

Brutalność i bałagan panujące w miejscowej szkole wytrącały ją z równowagi. Koledzy wyśmiewali jej wymowę, ciągnęli ją za warkocze i nawet dziewczynki jej dokuczały, przezywając i wyśmiewając. Była kimś obcym, innym, i doskonale o tym wiedziała.

Odkryła również, że ojciec ściągnął ją do domu nie dlatego, że mu na niej zależało albo że ją kochał, lecz dlatego, że chciał mieć kogoś, kto przejąłby po matce rolę gospodyni domowej. I kiedy inne dziewczynki spędzały czas na malowaniu się i bieganiu za chłopakami, Davina prasowała ojcu koszule, gotowała i sprzątała, z trudem znajdując czas na odrabianie lekcji. Oczywiście cierpiała na tym nauka. Ale Davina zbyt była dumna, zbyt nieśmiała, żeby tłumaczyć nauczycielom, dlaczego zawsze jest tak bardzo zmęczona i dlaczego nie uważa na lekcjach. Jej wyniki w szkole nie poprawiały ojcu humoru. Marzenia, które kiedyś snuła o pójściu w ślady dziadka, o zdobyciu pozycji w świecie medycyny naturalnej, umarły własną śmiercią, stłumione niechęcią ojca i rozdrażnieniem nauczycieli z powodu braku jej postępów w nauce.

- Oczywiście wiemy, Davino, że nie będziesz musiała pracować - powiedziała cierpko któregoś dnia nauczycielka wobec całej klasy. Wszyscy uczniowie obrócili się w ławkach, żeby na nią popatrzeć, a ona robiła się coraz bardziej czerwona ze wstydu. - To zresztą może i lepiej, bo nie sądzę, żebyś się do tego nadawała.

Jeden z chłopców zrobił ordynarną uwagę, po której inni się roześmiali, i chociaż

nauczycielka musiała ją słyszeć, nawet nie próbowała przywołać go do porządku.

Były w szkole dziewczynki, z którymi mogłaby się zaprzyjaźnić, jak ona nieśmiała, ale ponieważ przyszła później od innych, małe kółka przyjaciółek powstały już wcześniej, a Davinie brakowało pewności siebie, żeby do nich dołączyć.

Wszyscy w szkole wyglądali też inaczej niż ona. Dziewczynki nosiły dzinsy albo bardzo krótkie spódniczki, oficjalnie zakazane. Włosy miały długie, rozpuszczone, a co odważniejsze używały konturówek do oczu i jasnoróżowej szminki.

Davina przyglądała się temu z zazdrością i lękiem. Ojciec nie pozwalał jej się malować. Gdy raz odważyła się kupić jasnoróżową kredkę i umalować usta, kazał jej iść na górę i wyszorować twarz.

Zdawała sobie sprawę, że mając piętnaście lat wygląda jak dziecko, podczas gdy jej koleżanki były już dorastającymi pannami.

W wieku szesnastu lat odeszła ze szkoły. Nie ma sensu, żeby się dalej uczyła, zdecydował ojciec, obejrzawszy jej marną cenzurkę.

Zamiast tego posłał ją do prywatnej szkoły sekretarek w Chester, żeby się nauczyła pisać na maszynie i pomagała mu w pracy.

I właśnie wtedy, przed jej siedemnastymi urodzinami, zdarzył się mały cud. Kiedy jak zwykle raz na dwa miesiące czyściła w jadalni ciężkie srebra, ni z tego ni z owego ktoś przyjechał.

Davina usłyszała dzwonek i poszła otworzyć, po drodze wycierając ręce w fartuch. Miała na sobie spódnicę w kratkę po matce, trochę za szeroką i za długą, i szkolny sweter, za mały i za ciasny.

Nigdy nie przyszło jej do głowy prosić ojca o nowe ubranie. Dawał jej co tydzień pieniądze na prowadzenie domu, z których w każdy piątek wieczorem szczegółowo się rozliczała.

Otworzyła drzwi i z niedowierzaniem spojrzała na stojącą przed nią dziewczynę. Była wysoka, bardzo szczupła i parę lat od niej starsza. Miała na sobie bardzo, ale to bardzo krótką spódniczkę; jej długie rozpuszczone włosy mogły stać się przedmiotem zazdrości szkolnych koleżanek Daviny, a do tego nie tylko miała umalowane oczy, ale i sztuczne rzęsy.

Usta dziewczyny, lepkie od szminki, wygięły się w uśmiechu.

- Cześć, ty chyba jesteś Davina. Twój tata przysłał ci jakieś papiery do przepisania - powiedziała wesoło. - Pracuję u niego w zastępstwie Marty Jęczyduszy, która jest po operacji. Ale mi nakładła do głowy przed pójściem do szpitala!

Grube czarne rzęsy zatrzepotały. Dziewczyna żuła gumę, stwierdziła Davina z przerażeniem. I to ona pracuje na miejscu Marty Hillary, pięćdziesięciokilkuletniej sekretarki ojca! Tego już było Davinie za wiele.

- Umieram z pragnienia. Nie masz czasem coli? - Nie czekając na odpowiedź dziewczyna weszła, gdy tymczasem Davina tłumaczyła się zawstydzona, że może być tylko herbata lub kawa.

Wymalowana twarz skrzywiła się lekko, a długie włosy prawie nie drgnęły, kiedy dziewczyna podrzuciła głowę.

- Dobra, niech będzie. Może być kawa.

Davina wprowadziła ją do kuchni.

- Na miłość boską, co ty tutaj robisz cały dzień? - spytała. - Ja bym zwariowała. Dlatego biorę zastępstwa. Jak tylko uzbieram parę groszy, zaraz jadę do Londynu. Tam się coś dzieje.

Tak zaczęła się ich krótka i zupełnie nieoczekiwana przyjaźń.

Davina nigdy nie mogła pojąć, dlaczego Mandy się z nią zaprzyjaźniła. Znacznie później doszła do wniosku, że Mandy, mimo wyzywających strojów i wymalowanej twarzy, miała w sobie pasję krzyżowca i obrońcy uciśnionych. Inaczej trudno było sobie wytłumaczyć, dlaczego ją wzięła pod swoje skrzydła.

Davina nie chciała jej zawieść, a jednocześnie starała się nie narazić ojcu, więc go poprosiła - Mandy kazała zażądać - żeby wypłacał jej stałą pensję.

Gdy ojciec się zgodził, doszła do wniosku, że albo trafiła na chwilę niezwyklej u niego słabości, albo że tak go zaskoczyło jej żądanie, że zaakceptował je bez chwili zastanowienia.

Mandy skrzywiła się na wiadomość, ile Davina ma dostawać.

- To grosze - powiedziała z drwiną. - Powinnaś była zażądać przynajmniej dwa razy tyle. O Boże, samo pisanie na maszynie kosztowałoby go setki, gdyby zlecał je jakiejś agencji.

Parę razy w tygodniu Mandy wymykała się z firmy i przyjeżdżała swoim czerwonym rozklekotanym mini morrisem, zabawiając i niepokojąc Davinę opowieściami o swoim bogatym życiu erotycznym.

Stale usiłowała namówić Davinę, żeby wybrała się z nią gdzieś wieczorem, ale Davina zawsze odmawiała. I chociaż często zazdrościła Mandy pewności siebie i obycia, gdy ta ze szczegółami opisywała swoje przygody erotyczne, to jednak Davina wzdragała się przed naśladowaniem przyjaciółki. Czytała wiele, oddawała się romantycznym marzeniom o idealnym mężczyźnie, którego w końcu pokocha i który pokochają, ale który zupełnie nie przypominał chłopców Mandy.

W sześć tygodni po tym, jak się poznały, Mandy oświadczyła, że wyjeżdża do Londynu.

Davinie zrobiło się żal i tęskniła za ich spotkaniami. Mandy wniosła w jej życie ciepło i urozmaicenie. Była jej pierwszą bliską przyjaciółką, a bez niej życie wydawało się nudne i bezbarwne.

Ojciec, który nie aprobował tej przyjaźni, nie ukrywał, że cieszy się z wyjazdu Mandy,

mimo że opuściła miasteczko przed powrotem jego stałej sekretarki.

Było lato. Pracując w ogrodzie, pieląc grządki i utrzymując trawnik w wymaganym przez ojca stanie doskonałości, Davina opaliła się i rozwinęła fizycznie. Ciało miała szczupłe, jasne włosy długie do ramion. Nie cierpiała tych włosów. Ani kędzierzawe, ani proste, układały się w niechciane fale i były tak delikatne i jedwabiste, że co chwila wpadały jej do oczu. Wyblakłe od słońca, połyskiwały złociście, podkreślając subtelność jej małej buzi i smutnych szarych oczu.

Davina nigdy nie uważała się za ładną. Ładne dziewczyny wyglądały jak Mandy albo jak modelki w ilustrowanych czasopismach, a ona nie była przecież do nich podobna. Mimo to jednak pewnej soboty rano, gdy pełła ogródek od frontu, w szortach i bawełnianym wdzianku, które sama sobie uszyła na maszynie do szycia po matce, chłopiec rozwożący gazety zsiadł z roweru i, przyglądając jej się z podziwem, powiedział:

- Ale nóżki!

Miał siedemnaście lat i naśladował amerykańskich bohaterów telewizyjnych. Davina zaczerwieniła się i pospiesznie schowała nogi. I chociaż się zawstydzila, to jednak zrobiło jej się przyjemnie.

Czasem w nocy, gdy leżała w łóżku, tęskniła za kimś, z kim mogłaby porozmawiać... kogo mogłaby kochać.

Zaczęła grać w tenisa z córką miejscowego pastora, studentką, która przyjechała spędzić w domu wakacje. Grywały parę razy w tygodniu.

Vicky Lane miała chłopca, kolegę z uniwersytetu, z którym zamierzała spędzić rok po dyplomie, wędrując pieszo z plecakiem. Davina słuchała o ich planach, o życiu, jakie chcieli prowadzić, i zazdrościła im. Jej życie było ubogie i nudne, ale co miała robić? Nie mogła zostawić ojca, bo jak by sobie bez niej poradził, a poza tym, z czego by żyła? Nic nie umiała. Potrafiła tylko pisać na maszynie i liznęła trochę księgowości; to było wszystko.

Zaproponowała ojcu nieśmiało, że może mogłaby pracować w firmie, ale ojciec się wściekł. Kto by się zajął domem i nim? - zapytał. Zarzucił jej samolubstwo i powiedział, że jest zepsuta, więc pełna poczucia winy zrezygnowała z tych planów.

Miasteczko, w którym mieszkali, było małe, rówieśników więc miała niewielu. Część z nich pracowała w innych miejscowościach, dojeżdżając codziennie, pozostali zaś byli zatrudnieni albo w Carey Chemicals, albo w gospodarstwach swoich rodziców.

Tu, na prowincji, obowiązywał pewien model życia, istniała określona hierarchia, w której oboje z ojcem sienie mieścili.

Żyły tu od pokoleń rodziny rolników, których status wynikał nie tylko z zamożności, ale i z silnych związków z tą okolicą.

Davina z ojcem pozostawali poza tym układem. W miasteczku żyli jeszcze starzy ludzie, pamiętający jej dziadka, którzy robili nieprzyjemne uwagi o jej ojcu. Mówili, że się wynosi ponad innych, przypominali, że jego ojciec był zaledwie aptekarzem... w gruncie rzeczy jednym z nich.

Teraz ojciec był najbogatszym człowiekiem w całej okolicy i jego zamożność, a także własna nieśmiałość, stały się przyczyną osamotnienia Daviny.

Ich dom znajdował się poza miasteczkiem, na dość dużej parceli. Był to wielki wczesnowiktoriański budynek, który ojciec kupił po ślubie z matką, po wojnie, gdy tego rodzaju domy nie były drogie. Często zapraszał na kolację wyższych urzędników firmy, którym chciał imponować przepychem swojej siedziby, co mu się zresztą udawało.

Kupować umiał korzystnie: ciężkie, stare meble i srebra nabył na aukcjach, a ponieważ to nie on, lecz Davina musiała czyścić drewniane rzeźbione elementy i polerować srebra, więc nie miał pojęcia, ile trzeba było włożyć pracy w utrzymanie domu i jego wnętrza w wymaganym przez niego stanie.

Davina wiedziała, że ojciec jej nie kocha. Chciał mieć syna, więc zawsze czuła się winna, że nie spełniła jego oczekiwań. Miała też przykre uczucie, że matka przez fakt swojej śmierci potwierdziła pogląd ojca, iż płeć żeńska jest słabsza i gorsza. Podświadomie poczuwała się do tego, żeby dowieść prawa kobiet do istnienia, ale były to jedynie nieśmiałe, nie w pełni uświadomione myśli i uczucia.

Tak, była w tych czasach bardzo samotna i właśnie wtedy poznała Gregory'ego. Wysoki, przystojny, czarujący, jawił jej się tym ideałem, o którym po cichu tak długo marzyła.

Jej rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi biurowego pokoju. Nie używała gabinetu Gregory'ego, urządzonego z przesadnym luksusem. Po prostu nie potrafiła się na to zdobyć. Kontrast z pozostałą częścią budynku nie tylko ją szokował, ale przyprawiał o niemal fizyczne cierpienie. W czasach ojca firma Carey prezentowała się dość skromnie, ale zawsze była utrzymywana w nienaganej czystości, wszystko też zawsze było starannie wymalowane. Gregory, jak mógł, zniechęcał ją do odwiedzania Carey Chemicals, więc warunki pracy ludzi zaskoczyły ją całkowicie. Czuła, że ponosi winę za to na równi z Gregorym - że tak łatwo dała się zepchnąć, że przyjmowała to, co mówił, za dobrą monetę, ponieważ nie chciała się z nim sprzeczać.

Czuła się odpowiedzialna. Była odpowiedzialna, chociaż Giles starał się ją pocieszyć, zapewniając, że nie jest temu winna.

Giles! To on tam stał za drzwiami tego małego pokoju bez okna, tylko z krzesłem, biurkiem i telefonem, bo tylko tyle było jej potrzebne. W firmie będącej na skraju bankructwa nie ma miejsca na luksusowe gabinety, faksy i komputery, które z braku zamówień stoją nie wykorzystane. Gdy po raz pierwszy przyszła do firmy po śmierci Gregory'ego, w dobrej wierze

zapytała Gilesa o faks. Odwrócił się z zakłopotaniem, a kiedy go przycisnęła, okazało się, że Gregory używał faksu do prowadzenia swoich interesów giełdowych.

Wtedy po raz pierwszy dowiedziała się o tym, że jej mąż grał na giełdzie, bez powodzenia zresztą.

Poprosiła Gilesa, by wszedł, i uśmiechnęła się do niego ciepło. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale wyglądał na niższego, ponieważ trochę się garbił. Gęste ciemnoblonde włosy spadały mu na czoło, więc ciągle odrzucał je do tyłu. Był człowiekiem spokojnym, robił wrażenie myślącego i mimo czterdziestu lat miał w sobie coś z chłopca. Była w nim jakaś łagodność, stwarzał poczucie bezpieczeństwa, co Davina tak bardzo sobie ceniła.

Nie pamiętała, jak to się stało, że Giles się nią zainteresował. Tańczyli razem w Boże Narodzenie, podczas dorocznej uroczystości organizowanej w firmie, a potem przyszedł do kuchni jej pomóc, kiedy zbierała brudne szklanki. Pocałował ją, zanim wyszli z Lucy. Objął ją tylko na krótką chwilę, ale wyczuła w tym wielkie pragnienie, chociaż sama przed sobą nie przyznawała się do tego.

Lubiła Gilesa i oczywiście pochlebiało jej, że się nią interesuje, ale przecież była żoną Gregory'ego, a Giles mężem Lucy.

Tylko że Gregory nie żył.

- Proszę cię, usiądź, Giles. - Wskazała wolne krzesło i uśmiechnęła się do niego ciepło.

Robił wrażenie zmęczonego. Poczwała wyrzuty sumienia. Jako szef kadr nie był przygotowany do przejścia kierownictwa firmy, ale nikogo innego nie miała. Gregory nie chciał z nikim dzielić prowadzenia przedsiębiorstwa i teraz Davina już się domyślała dlaczego. Żeby nikt się nie dowiedział, ile przepuszcza pieniędzy.

Szef handlowy, główny księgowy, chemik - wszyscy podlegali bezpośrednio Gregory'emu i praktycznie nie mieli na nic wpływu. Chemik już odszedł, powiedziawszy Davinie ponuro, że nie widzi sensu, by tkwić w tej instytucji dalej. Oświadczył, że firma żyła z tego, czym była w przeszłości, a Gregory tak ogołocił jego wydział z pieniędzy na cele badawcze, że samo jego istnienie było kiepskim żartem. Szef handlowy powiedział prawie to samo, a główny księgowy zajmował się tylko wypłatami dniówki i codziennymi wydatkami.

Pozostawał więc tylko Giles - jedyna osoba, która miała przynajmniej jakie takie pojęcie o funkcjonowaniu firmy.

Davina uczyła się szybko, ale to, czego się dowiadywała, bardzo jej się nie podobało. Warunki pracy w firmie były wręcz haniebne, podobnie jak pobory pracowników.

- Robisz wrażenie zmęczonego, Giles - powiedziała ze współczuciem.

- Davino, tak mi przykro... Nie chcę cię zostawiać samej, ale muszę odejść.



Powtarzał sobie to, co ma powiedzieć, przez cały dzień, bał się tej chwili jak ognia, ale wczoraj wieczorem Lucy postawiła mu ultimatum.

- Albo odchodzisz z Carey Chemicals, albo ja odchodzę od ciebie - powiedziała.

Potrafiła grozić; kiedyś jej gwałtowność zachwycała go i bawiła. Tak się różniła od niego, była żywa i pełna temperamentu. Stopniowo jednak jej nieobliczalność stała się dla niego ciężarem. Tęsknił za domem, w którym czekałby na niego ktoś spokojny i rozluźniony, kto by słuchał o jego sprawach, a nie wyładowywał na nim swoich frustracji. Ktoś taki jak na przykład Davina.

Davina, która zawsze była spokojna i miła. Davina, która nigdy nie krytykowała swego męża, chociaż wszyscy wiedzieli, że nie był jej wierny. Davina, którą, ku swojej rozpaczy, zaczął kochać.

- Giles, nie musisz się usprawiedliwiać. Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Bez twojej pomocy i lojalności... - Davina machnęła ręką. - Wiem, co myślisz... co wszyscy myślą... że nic już nie uratuje firmy, że musimy ogłosić bankructwo.

- Możesz jeszcze działać jakieś sześć miesięcy, czy coś koło tego, ale nie dłużej - powiedział Giles.

- Nie chcę się poddać - odrzekła Davina. - Nie chodzi o mnie. Jeżeli zamkniemy firmę, to dla wielu ludzi będzie to klęska.

Giles milczał. Miała rację. Carey Chemicals była największym, jeśli nie jedynym przedsiębiorstwem w tej części hrabstwa Cheshire.

- Gdybyś mógł jeszcze trochę zostać... - zaczęła go błagać. - Moglibyśmy jeszcze znaleźć kogoś, kto by nas sfinansował, kto by nas kupił...

W jego oczach widziała rozterkę. Nie chciała tego wykorzystywać, ale co jej pozostało? Bez Gilesa przedsiębiorstwo trzeba będzie zamknąć. Robiła, co mogła, ale znała się na niewielu sprawach. Jeżeli Giles odejdzie, stracą resztki wiarygodności i najprawdopodobniej bank zdoła wymóc na nich zamknięcie firmy.

- Wiem, że nie powinnam cię prosić - ciągnęła. - Musisz myśleć o waszej przyszłości, twojej i Lucy, ale firma tak bardzo cię potrzebuje... - Odetchnęła głęboko i spokojnie dodała: - Giles, ja ciebie potrzebuję. - Widziała, jak Giles najpierw blednie, a potem czerwienieje. Zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale usiadł z powrotem.

- Davino...

- Nie, proszę cię, nic mi teraz nie mów... Pomyśl o tym. Pogadaj z Lucy - błagała. - Philip Taylor z banku obiecał, że zrobi wszystko, żeby znaleźć kupca.

Górne oświetlenie podkreślało delikatność jej twarzy. Zauważył, że schudła od czasu śmierci męża, i zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, żeby taki człowiek jak Gregory miał żonę

tak oddaną i lojalną, tak pełną wdzięku i kochającą, podczas gdy on...

Otrząsnął się. Nie może tak myśleć o Lucy. Kocha ją. Był w niej zakochany po uszy, kiedy się zenił, i ona go kochała. Wzdrygnął się widząc, w jakim kierunku idą jego myśli. Uświadomił sobie, jak bardzo oboje, i on, i Davina, są samotni, i jak bardzo jej pożąda. Kiedy ją pocałował w Boże Narodzenie, była taka lekka w jego ramionach, taka drobna. Rozpaczliwie pragnął ją całować, tulić...

- Proszę cię, Giles - powtórzyła głucho, a on już wiedział, że jej nie odmówi.

Lucy często mówiła co innego, niż myślała. Często traciła panowanie nad sobą i stawiała warunki, o których po godzinie zapomniała. W gruncie rzeczy dziwiło go, że w ogóle interesuje ją to, co on robi. Ostatnio, kiedy na niego patrzyła, wydawało mu się czasem, że go nienawidzi, tyle w jej oczach było złości, tyle gorzkości.

- Pomyślę... pomyślę o tym - obiecał.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Robiła wrażenie spokojnej, ale wewnątrz wszystko w niej dygotało. Była zrozpaczona i miała poczucie winy. Jak mogła tak postąpić w stosunku do Gilesa, wykorzystywać jego słabość? Czy miała jednak inne wyjście? Nie chodziło o nią. Posiadanie firmy nie miało dla niej znaczenia. Tytuł własności nie był przedmiotem jej dumy.

Miała jednak silne poczucie odpowiedzialności za swoich pracowników. Zdawała sobie sprawę, że ponosi winę za to, że przez wiele lat nie zauważała, co się dzieje w firmie.

Mogła przecież, nie zwracając uwagi na Gregory'ego, już dawno zainteresować się, co się święci w Carey Chemicals. Mogła się uprzeć, ale, jak zwykle, wybrała łatwiejszą drogę.

Tylko że teraz nie było już łatwiejszej drogi... w każdym razie nie dla tych, których byt zależał od losów przedsiębiorstwa.

Ona miała wszystko. Miała pieniądze, które zostawił jej ojciec, nie ruszone od chwili jego śmierci. Dla niej była to duża suma, ale Philip Taylor wyjaśnił jej, cierpliwie zniżając się do jej poziomu, że jeśli chodzi o Carey Chemicals, to było tego tyle, co kot napłakał.

Przedstawił całe zadłużenie firmy, zabezpieczone w jej nieruchomościach i w ziemi, i Davina mało nie zemdląła słysząc, o jakie chodzi sumy.

Pieniądze te pożyczył Gregory'emu przed laty jego poprzednik, oświadczył ponuro dyrektor banku. Takich rzeczy się nie robi, a już szczególnie dzisiaj, w tak trudnej sytuacji finansowej.

Z tych pieniędzy, a także z zysków Carey Chemicals, Gregory finansował swoją grę na giełdzie.

Dlaczego to robił? Zawsze lubił ryzykowne przedsięwzięcia, niebezpieczeństwo go podniecało. Dlatego zginął. Za szybko jechał, poinformowała ją policja, i to bez żadnego powodu. Z

nikim nie był umówiony. Nie, on pędził, bo go to ekscytowało. I dlatego zginął, on i ta kobieta. Tak jak jego chciwość i lekkomyślne igranie z niebezpieczeństwem spowodowały załamanie firmy i zagrożenie bytu pracujących w niej ludzi.

Davina wstała, a za nią podniósł się Giles.

Otworzył jej drzwi. Podziękowała mu, starając się trzymać od niego z daleka, widziała bowiem, jak drżała mu ręka, gdy sięgał do klamki.

- Pozdrów Lucy ode mnie - powiedziała. - Strasznie dawno jej nie widziałam.

Poczuła obłudę w tych pozdrowieniach dla Lucy - tak jakby nie wiedziała, co Giles dla niej czuje.

Razem wyszli z budynku, po czym każde z nich ruszyło do swojego samochodu. Giles poczekał, aż Davina wsiądzie.

Przedsiębiorstwo Carey Chemicals położone było w pobliżu jednego z miasteczek hrabstwa Cheshire. Jednopiętrowe budynki otaczała bujna roślinność. Teren, na którym jej dziadek i ojciec założyli firmę, pierwotnie należał do kupca zbożowego. Stał tu jeszcze oryginalny, piętrowy, murowany młyn. Podlegał ochronie jako zabytek.

Carey nie robiło wrażenia dochodowej firmy farmaceutycznej, zauważyła Davina odjeżdżając. Budynki były porzucane bezładnie, w przeciwieństwie do tego, co widziała na zdjęciach ogromnych międzynarodowych korporacji, które panowały na rynku leków.

Trzeba przyznać, że Carey była czymś zupełnie wyjątkowym, pomyślała. Gdyby dziadek nie wynalazł tego leku nasercowego, to by jej w ogóle nie było. Davina miała w domu jego notatki z drobiazgowym opisem technologii leków, które produkował dla swoich odbiorców, dla ludzi i zwierząt. Kiedy jeszcze był młody, Państwowa Służba Zdrowia nie istniała i tylko niewielu mogło sobie pozwolić na lekarza. Leczyli tacy ludzie jak dziadek.

Szkoda, że ojciec nie chciał mówić o swoim dzieciństwie i rodzicach. To matka opowiadała jej o dziadku, ale matka знаła go tylko parę lat, ponieważ zmarł krótko po jej ślubie z ojcem Daviny.

W pokoju stołowym wisiał portret ojca Daviny. Zawsze brakowało jej tam portretu dziadka.

Jadąc do domu zastanawiała się, czy Giles zostanie w firmie, jednocześnie sama przed sobą próbując się usprawiedliwić z tego, że nim manipuluje.

A potem, z jeszcze większym poczuciem winy, stwierdziła, że myśli o tym, jak ułożyłoby się jej życie, gdyby wyszła za kogoś takiego jak Giles, zamiast za Gregory'ego.

To ojciec poznał Davinę z Gregorym.

Gregory przyszedł do firmy w charakterze akwizytora, a ojciec zaprosił go na jedną z kolacji, które od czasu do czasu wydawał dla wybranych członków personelu kierowniczego.

Kiedy przyszli goście, Davina była zajęta w kuchni. Te kolacje stanowiły dla niej męczarnię. Ojciec, perfekcjonista, wpadał w złość, jeśli nie we wszystkim zastosowała się do jego życzeń. Na przygotowaniach do tej kolacji spędziła dosłownie cały tydzień: robiła zakupy, sprzątała, czyściła srebra, prała, krochmaliła i wreszcie prasowała bieliznę stołową. A potem zrywała w ogrodzie kwiaty i układała je w bukiety. Ojciec nigdy by jej nie wybaczył, gdyby wyrzucała pieniądze na kwiaty, mieli je przecież w ogrodzie.

Sam też układał menu, z reguły skomplikowane. Był smakoszem i preferował wyrafinowane niewielkie dania, ale tym razem postanowił olśnić swego gościa prawdziwą orgią kulinarną.

Zmęczona i zgrzana od panującego w kuchni gorąca, modląc się rozpaczliwie, żeby wszystko zagrało, a suflet, który ojciec zarządził na pierwsze danie, nie siadł, zanim wszyscy zajmą miejsca przy stole, Davina usłyszała, jak otwierają się drzwi. Przekonana, że to ojciec idzie oznajmić, że może podawać suflet, ze zdumieniem zobaczyła młodego mężczyznę.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej serdecznie, ukazując piękne białe zęby. Był opalony, wysoki i szczupły, jego kasztanowe włosy lśniły. Spojrzał na nią tak, jakoby ciepło, że się zarumieniła.

- Dzień dobry. Nazywam się Gregory James. - Wyciągnął do niej rękę.

Davina automatycznie podała mu swoją i z trudem powstrzymała okrzyk, kiedy poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni.

Jeszcze nigdy nie doznała czegoś takiego. W swojej naiwności oblała się głębokim rumieńcem i drżąc na całym ciele poddała się temu pierwszemu, niewinnemu, erotycznemu przeżyciu.

- Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać - powiedział Gregory, uwalniając jej rękę.

Przez chwilę Davina nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. W tonie jego przeprosin było coś, co ją niemile dotknęło, jakaś fałszywa nuta, jakby z niej zadrwił, jakby chciał swoim słowom nadać podwójne znaczenie, jakby szydził ze sposobu, w jaki na niego zareagowała, ale te uczucia tak były niejasne, tak nie sprecyzowane, że zanim nabrały kształtu, zniknęły. Davina zdołała jedynie wykrztusić parę nieskładnych słów, nim Gregory odezwał się znowu:

- Właśnie pani ojciec wybierał się do kuchni, żeby powiedzieć, że wszyscy już są gotowi i że można podawać, ale ja go postanowiłem wyręczyć. I jednocześnie zapytać, czy mógłbym pani w czymś pomóc.

Pomóc? Davina spojrzała na niego szczerze zdumiona. Ojciec uważał, że sprawą kobiety jest pomagać mężczyźnie, sama więc myślała o tym, że to mężczyzna miałby jej pomagać w sprawach związanych z gospodarstwem, wydała jej się zupełnie niedorzeczna.

- Dziękuję, nie ma takiej potrzeby - zaczęła niepewnie, lecz Gregory przeszywał ją wzrokiem tak uporczywie, że spuściła oczy.

- Owszem, jest taka potrzeba, i to wielka. Chciałbym panią poznać, Davino.

Jak to, on... ten cudowny mężczyzna... chce poznać ją, Davinę? Potrząsnęła głową, przekonana, że śni, ale nie, wszystko to działo się na jawie. Gregory był prawdziwym mężczyzną z krwi i kości. Davina tak się speszyła, że ledwie mogła oddychać, nie mówiąc już o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu. Nie przestając się w nią wpatrywać, Gregory uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. W porządku, pomyślał. Wszystko wskazuje na to, że jest tak naiwna i głupia, jak o niej mówią. Teraz, kiedy już ją poznał, reszta będzie dziecinnie łatwa.

Osierocony przez owdowiałą wcześniej matkę, która zmarła, kiedy był na pierwszym roku studiów, Gregory zawsze zazdrościł innym szczęścia. Jego matka była biedna, on sam zaś, choć zdolny i przystojny, wcześniej się przekonał, że te dwie cechy nie kompensują braku pieniędzy. Bogactwo bowiem to władza, a tego właśnie pragnął. Już dawno nauczył się uśmiechać i milczeć, kiedy inni szydzili z jego znoszonego mundurka szkolnego i biedy. Jeszcze on im pokaże. Jego w tym głowa.

Już na uniwersytecie zorientował się, jak trudno mu będzie zaspokoić ambicje. Najlepsze stanowiska, a co za tym idzie, pieniądze i władza, których tak pragnął, były zarezerwowane nie dla takich jak on. To wszystko dostanie się innym, młodym ludziom, którzy może mieli niższe kwalifikacje i gorsze wyniki w nauce, ale którym przypadło w udziale coś ważniejszego niż inteligencja: ustosunkowana rodzina, pozycja i wpływy.

Tego, jak postępować w życiu, dowiedział się z przypadkowo zasłyszanej rozmowy kolegów ze studiów, którzy, nieświadomi jego obecności, dyskutowali o jednym z przyjaciół.

- Jego siostra wychodzi w czerwcu za mąż. Mówił mi o tym w ubiegłym tygodniu. Rodzina się wścieka. Podobno spotykała się z takim facetem, co tu dużo gadać, prostakiem, który doskonale wiedział, gdzie szukać szmalu, no a teraz dziewczyna jest w ciąży i już nie ma wyboru: musi za niego wyjść, a jej starzy muszą mu pomóc, muszą mu znaleźć jakąś przyzwoitą posadę. Są wściekli, ale oczywiście robią dobrą minę do złej gry.

- Niezła rzecz, ożenić się z bogatą dziewczyną, jak się trafi - skomentował uszczypliwie

drugi z kolegów.

Ożenić się z bogatą dziewczyną... Gregory długo obracał w myślach te słowa, zanim na dobre zapadły mu w pamięć.

Problem polegał na tym, że nie znał żadnej bogatej dziewczyny. Owszem, znał wiele dziewczyn, był przystojny i wychował się w środowisku, w którym nastolatki rozpoczynają życie seksualne bardzo wcześnie. Inicjację erotyczną miał już za sobą jako zupełnie młody chłopak. Od tamtej pory zdobył nowe interesujące doświadczenia, które zapewniły mu sukcesy u pań.

Kiedy chciał, potrafił być czarujący i układny, ale jego ogłada przy bliższym poznaniu okazywała się bardzo powierzchowna, o czym szybko przekonywały się często zmieniane partnerki.

W Gregorym nie było autentycznego ciepła ani naturalnej uprzejmości - uważał je za słabość, na którą nie mógł sobie pozwolić.

Bogata żona. Długo rozważał ten problem. Drzwi domów jego koleżanek ze studiów albo przynajmniej tych, którzy mogliby go tam wprowadzić, pozostawały przed nim zamknięte. Miał jedną posadę, potem drugą, i wreszcie tę trzecią, u Careya.

Wybrał Careya spośród trzech możliwych pracodawców, ponieważ czekając na rozmowę przypadkowo podsłuchał, że właściciel firmy ma tylko jedno dziecko, niezamężną córkę. W ciągu lat Gregory nabrał wprawy w podsłuchiwanie rozmów. Doszedł do wniosku, że jest to bardzo dobry sposób uzyskiwania informacji.

U Careya pracował już od sześciu miesięcy. Tyle właśnie czasu zajęło mu dyskretne wkradanie się w łaski szefa, bez budzenia podejrzeń współpracowników.

Zaproszenie na kolację przyjął w jednym jedynym celu: żeby poznać to młode nieśmiałe stworzenie z włosami w nieładzie. Wywiad, jaki do tej pory przeprowadził, pozwolił mu się zorientować, jak bogata będzie kiedyś Davina Carey.

Fizycznie nie była w jego typie. Wolał kobiety długonogie, obfitszych kształtów, takie, których spojrzenie mówiło, że uroki życia nie są im obce.

Davina Carey była mała i drobna, o figurze raczej chłopięcej, mało zmysłowej. W oczach miała naiwność i nieśmiałość, a kiedy na niego patrzyła, malował się w nich lęk i podziw.

Wychodząc z kuchni - ostatecznie przecież tak naprawdę nie miał zamiaru pomagać Davinie, była to tylko forma nawiązania znajomości - Gregory uśmiechał się pod nosem.

Może w sensie fizycznym mu się nie podobała, ale jako żona, i to bogata żona, będzie idealna.

Davina podawała do stołu w stanie całkowitego oszołomienia; śniła sen na jawie, w którym wszystko stało się nagle możliwe.

Zbierając ze stołu talerze po głównym daniu i wyrzucając resztki do śmieci doszła do wniosku, że już wie, dlaczego do tej pory nie było w jej życiu mężczyzny: po prostu los zwlekał, żeby rzucić ją w ramiona tego jednego jedyne, który został jej przeznaczony - Gregory'ego. Bo przecież on istniał, oddychał i żył... nawet wtedy, gdy ona o tym nie wiedziała.

Stojąc nieruchomo przy oknie, zagubiona w myślach, zdała sobie nagle sprawę, że być może niepotrzebnie nadaje jego słowom znaczenie, którego nie było, że opacznie rozumie jego spojrzenia. Z bólem pomyślała, że przydałaby jej się przyjaciółka, ktoś, komu mogłaby się zwierzyć, zasięgnąć rady, z kim mogłaby porozmawiać o tym cudownym, podniecającym przeżyciu.

Gregory celowo odczekał niemal tydzień, zanim się z nią skontaktował. Tydzień to dość, żeby zaczęła już tracić nadzieję, ale za mało, żeby zapomniała.

Zadzwoił z biura.

Davina podniosła słuchawkę i podała numer. Na dźwięk głosu Gregory'ego zamarło jej serce.

Tyle razy w ciągu tych sześciu dni od nowa przeżywała w myślach tamtą scenę - jak Gregory wszedł do kuchni, co wtedy mówił, jak na nią patrzył - i z każdym dniem jej wiara w siebie, w przesłanie, jakie wyczytała w jego oczach, gasła.

I teraz nagle, kiedy już zaczęła tracić nadzieję, kiedy już prawie pogodziła się z myślą, że zbyt wiele sobie obiecywała po jego słowach i spojrzeniach, teraz nagle, po tygodniu, zadzwonił.

Ta iskierka nadziei jednak zgasła równie szybko, jak rozbłysła.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej - powiedział oficjalnym tonem - ale musiałem wyjechać w sprawach służbowych. Chciałem podziękować za tamten wspólny wieczór.

A więc zadzwonił tylko po to, żeby jej podziękować. Zwykły grzecznościowy telefon, i to wszystko, stwierdziła w otepieniu Davina.

Na drugim końcu linii Gregory uśmiechał się do siebie. Delektował się jej rozczarowaniem. Odczekał jeszcze kilka sekund, po czym rzucił od niechcienia:

- W Manchesterze w „Palace” grają właśnie świetny musical. Nie wiem, czy pani go widziała, ale dostałem bilety i pomyślałem, że może miałaby pani ochotę obejrzeć go w moim towarzystwie. Bilety są na jutro. Przepraszam, że tak późno dzwonię...

Chce się z nią umówić! Z nią! Jej nadzieje znów poszybowały w górę. Drżącym głosem podziękowała za zaproszenie, ignorując cichy ostrzegawczy głos, który jej przypominał, że nazajutrz wieczorem ojciec urządza brydża i że do jej obowiązków należy podjęcie gości kolacją.

Zadowolony z siebie, Gregory umówił się, że przyjedzie po nią nazajutrz wieczorem.

Mieszkał w Manchesterze, gdzie wynajmował niewielkie mieszkanie, wychodząc z

założenia, że nie należy łączyć pracy z życiem prywatnym. Korzystał z samochodu służbowego, a jedną z najważniejszych nauk, jakie wyniósł ze swojej pierwszej pracy, była zasada, że koszty eksploatacji samochodu należy pokrywać z ryczałtu na wyjazdy służbowe, starając się go nie przekraczać.

Nie należało przesadzać - sztukę powściągnięcia własnej zachłanności opanował do perfekcji.

Dziś miał dobry dzień. Wziął swoje papiery i udał się do działu akcji i obligacji. Jeśli miał jakąś namiętność, nad którą nie w pełni panował, to w każdym razie nie był nią, jak u większości jego rówieśników, seks. Owszem, lubił seks ze względu na przyjemność, jaką z niego czerpał, i władzę, jaką zyskiwał nad kobietami, które ceniły sobie jego sprawność i doświadczenie. Prawdziwą jednak słabością Gregory'ego był hazard, z którego czerpał główną podniecie. Nie grał jednak na wyścigach, ani nie odwiedzał kasyn. Nie, hazard, jaki uprawiał, przybrał formę starannie skalkulowanego ryzyka polegającego na kupowaniu i sprzedawaniu akcji i obligacji.

W ciągu lat gry zanotował na swoim koncie zarówno spektakularne sukcesy, jak i dotkliwie porażki.

Zmarszczył czoło na wspomnienie ostatniej z nich. Mało brakowało, a straciłby cały żelazny kapitał przeznaczony na inwestycje i przez miesiąc czy dwa musiał mocno zaciskać pasa. Dziś jednak był pewien wygranej. Wziął gazetę i zaczął ją pilnie studiować.

Wszystko wskazywało na to, że raz wreszcie do Daviny uśmiechnęło się szczęście. Wieczorem, zanim zdążyła wspomnieć o zaproszeniu Gregory'ego, ojciec rzekł krótko:

- Jutro wieczorem wychodzę.
- Ale przecież to jest twój wieczór brydżowy - zaoponowała.

Twarz ojca wykrzywił grymas niezadowolenia.

- Czy byłabyś taka miła i zechciała mi nie przerywać, kiedy coś mówię? Owszem, jest to mój wieczór brydżowy, ale w pewnym stopniu zmieniłem plany. Hudsonowie biorą krótki urlop i w przyszłym tygodniu jadą odwiedzić syna. Poprosili wobec tego, żebym się z nimi zamienił i pozwolił im jutro urządzić brydża, zamiast w przyszłym tygodniu, kiedy wypada ich kolej.

Szykując ojcu kolację Davina nuciła pod nosem. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Przymknęła oczy, ulegając pokusie wywołania w wyobraźni wizerunku Gregory'ego Jamesa. Wysokiego, przystojnego i ze spojrzeniem, które zapiera dech...

Dalej nie mogła uwierzyć, że się z nią rzeczywiście umówił. O zaproszeniu powiedziała ojcu po kolacji, starannie wybierając moment. Wstrzymała oddech, kiedy zmarszczył brwi.

- Gregory James, powiadasz. Hmm. To bardzo zdolny młody człowiek. I dobrze wychowany. Nie tak, jak to niektórzy dzisiaj.



Powoli, cichutko, Davina odetchnęła. Wszystko wskazywało na to, że Gregory podoba się ojcu. Wprost nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

Strawiła dosłownie całe popołudnie następnego dnia na zastanawianiu się, co włożyć na randkę. Przeglądała całą swoją garderobę i odrzucała sukienkę za sukienką, żałując, że nie ma tyle odwagi co Mandy, żeby ubierać się tak awangardowo i krzykliwie jak ona. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że ojciec i tak nigdy by jej nie pozwolił nosić takich krótkich spódniczek ani tak jaskrawych kolorów.

Wreszcie zdecydowała się na jasną lnianą spódnicę i skromną bluzkę w kwiatki. Do tego mogła włożyć kremowy moherowy blezer, który zrobiła na drutach ubiegłej zimy.

W akcie niczym nie usprawiedliwionej ekstrawagancji, podczas ostatniego wyjazdu do stolicy hrabstwa, Chester, kupiła sobie nowe buty. Były przepiękne: beżowa skórka, prawie płaskie obcasy, a z przodu duża klamra ze złotą lamówką. Pasowały wspaniale do całości, a Davina miała na szczęście małe stopy i mogła chodzić w takich jasnych pantoflach.

Naturalnie, była gotowa dużo za wcześnie. Wyszczotkowała włosy, nałożyła na powieki delikatny, niebieski cień, umalowała jasnorożową szminką usta, i czekała. Chętnie podkreśliłaby oczy czarną konturówką, jak wszystkie dziewczyny, ale bała się reakcji ojca. Ojciec w ogóle był przeciwny jakimkolwiek makijażowi, ale Davina postanowiła nie poddawać się tak całkowicie.

Kiedy Gregory po nią przyszedł, ojciec był jeszcze w domu. Ku zdumieniu i radości Daviny zaprosił go do gabinetu i poczęstował sherry. Jej naturalnie to zaproszenie nie obejmowało, ale Davina o to nie dbała. Poszła na górę i po kryjomu sprawdziła swój wygląd, intensywnie wpatrując się w lustro. Gdyby tylko miała gęstsze i prostsze włosy... Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby je nieco rozjaśniła albo inaczej ostrzygła. Żałowała też, że nie jest trochę wyższa. Wszystkie dziewczyny w ilustrowanych magazynach były wysokie i miały nogi bez końca.

Westchnęła zatroskana. Tyle było w niej rzeczy, które chętnie by zmieniła. Co taki mężczyzna jak Gregory w niej widzi?

Na dole, w gabinecie Alana Careya, Gregory roztaczał swe wdzięki prezentując nienaganne maniery, które już zwiodły niejednego. Alan Carey robił wrażenie równie łatwej ofiary jak inni.

Zaloty były powolne i starannie wyreżyserowane. W ciągu paru tygodni Gregory przekonał się, że nie istnieje praktycznie nic, czego by Davina dla niego nie zrobiła, choć przecież tak naprawdę liczyła się nie ona, tylko jej ojciec. Bez pieniędzy ojca Davina nie przedstawiała dla niego najmniejszej wartości. Tak więc, mimo że umawiał się z córką, w gruncie rzeczy zalecał się do ojca.

W ciągu sześciu miesięcy Davina i Gregory nie posunęli się praktycznie poza niewinne

pocałunki. Z rzadka tylko Gregory pozwalał sobie na przyпіwy udanej namiętności, za które zawsze przepraszał twierdząc, że traci głowę z miłości. Davina, nie mająca żadnych doświadczeń erotycznych, brała wszystko za dobrą monetę. Często leżąc samotnie w łóżku i boleśnie pragnąc zbliżenia znacznie bardziej intymnego niż to, które jej oferował Gregory, besztala się w myślach i dziękowała Bogu, że ma kogoś, kto ją traktuje z takim szacunkiem.

Choć były to czasy, kiedy środki masowego przekazu lansowały model nastolatka korzystającego z dobrodziejstw zjawiska zwanego „rewolucją seksualną”, to jednak, szczególnie na prowincji, z dala od wielkich miast takich jak Londyn, z ich swobodą obyczajową, zdarzały się jeszcze przeżytki dawnego modelu wychowania. Jednym z nich było przekonanie, że „porządne panienki” nie powinny „tego robić”, przynajmniej nie przed zaręczynami, a i wtedy bardzo dyskretnie, rozmawiając o tym wyłącznie szeptem, wstydliwie, i tylko z innymi dziewczętami będącymi w tej samej sytuacji.

Gdy więc jej ciało domagało się boleśnie spełnienia, którego natury Davina nie była w pełni świadoma, rozsądek i wychowanie mówiły jej, że powściągliwość Gregory'ego to po prostu świadectwo jego miłości i szacunku dla niej i wobec tego kontentowała się cudownymi snami na jawie, w których przeżywała to wszystko, co miało stać się jej udziałem, gdyby Gregory rzeczywiście poprosił ją o rękę. Wtedy bowiem nie będzie już żadnych powodów do powściągliwości, wtedy... Poruszyła się niespokojnie na łóżku, przewróciła na brzuch, dotknęła ręką trójkąt pomiędzy nogami, po czym szybko, wstydliwie cofnęła dłoń.

Od jakiegoś czasu budziła się nagle nocami z uczuciem cudownego skurczu, którego intensywność przyprawiała ją o przerażenie, a jednocześnie rozkosz. Wyobraziła sobie bowiem naiwnie, że jeśli same sny tyle jej sprawiały przyjemności, to cóż dopiero będzie, kiedy Gregory rzeczywiście zostanie jej kochankiem.

Pewnego dnia ojciec oznajmił, że zaprosił Gregory'ego na Boże Narodzenie, i kiedy w pierwszy dzień świąt, po powrocie z kościoła, Gregory, przy pełnej aprobacie ojca, wręczał jej pierścionek zaręczynowy, Davina tak była przejęta, że fakt, iż ojciec wiedział o wszystkim wcześniej niż ona i że w gruncie rzeczy Gregory nawet jej nie zapytał o zdanie, wydał jej się zupełnie bez znaczenia.

Termin ślubu został wyznaczony na lato. Davina była szczęśliwa, że ojciec zaaprobował Gregory'ego; szczęśliwsza, niż mogła sobie wyobrazić.

Pobrali się w czerwcu. Postanowiono, że młoda para, zamiast kupować dom, zamieszka z ojcem Daviny. Panowie uzgodnili to między sobą, nawet nie pytając jej o zdanie, ale Davina zbyt była zakochana, żeby cokolwiek kwestionować.

W podróż poślubną pojechali do Włoch. Davina dosłownie dostawała zawrotu głowy na samą

myśl o tym, że wreszcie będzie z nim sama i... po ślubie!

W drodze z lotniska do hotelu nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że wieczorem znajdzie się wreszcie w jego ramionach. Że będzie należała do niego bez reszty.

Posyłała mu ukradkowe spojrzenia, rada chociażby go dotknąć, ale Gregory nie lubił publicznego okazywania uczuć. Nagle poczuła się onieśmielona, zdenerwowana, niepewna...

W samochodzie było gorąco, ale Gregory, jakby nieświadom jej niewygody, z ożywieniem rozmawiał z przedstawicielką agencji turystycznej, przystojną blondynką, która wyjechała po nich na lotnisko.

Davina poczuła się bardzo samotna. W gardle utkwiała jej wielka kula, której nie mogła przełknąć. Pragnęła, żeby Gregory się do niej odwrócił, żeby wziął ją za rękę.

Radosne podniecenie ustąpiło miejsca uczuciu panicznego lęku, które z niezrozumiałych powodów nie opuszczało jej aż do końca dnia.

Ich pokój okazał się mniejszy, niż sobie wyobraziła na podstawie prospektu. Stały w nim dwa zestawione łóżka, zamiast jednego małżeńskiego, jakiego się spodziewała, a balkon, zamiast wychodzić na morze, wychodził na tyły hotelu.

Kiedy wspomniała o tym Gregory'emu, powiedział, że to wynik drobnego nieporozumienia wynikłego przy rezerwacji miejsc. W rzeczywistości to Gregory dokonał zmiany rezerwacji po to, żeby móc wziąć do kieszeni różnicę pomiędzy wyższą ceną pierwotnie zamówionego luksusowego pokoju a ceną tego skromniejszego. Koszty miodowego miesiąca pokrył ojciec Daviny, traktując to jako prezent ślubny, a różnica w cenie pomiędzy tymi dwoma pokojami miała zapewnić młodemu kieszonkowe.

Pokój był ciasny i duszny. Davina czuła zawrót głowy, niemal mdłości.

Gregory wspomniął coś o barku i o drinku. Zapadał zmierzch i Davina była zmęczona po trudach podróży; poza tym nic nie działo się zgodnie z jej oczekiwaniami. Przede wszystkim wyobraziła sobie, że więcej czasu będą sami, a już nade wszystko bez pilotki, która w jakiś dziwny sposób się do nich przyczepiła. No i myślała, że sam Gregory będzie inny. Ostatecznie byli już przecież małżeństwem... Dlaczego miałby ją dalej traktować z taką rezerwą?

Oczy Daviny załśniły łzami. Co ona sobie, głupia, wyobrażała? - zadała sobie pytanie, słysząc zamykające się za nim drzwi. Że ją weźmie na ręce i zanieśie do łóżka, a potem rozbierze i będzie się z nią kochał? Teraz to wszystko wygląda inaczej. Jest nowoczesną młodą kobietą, powiedziała sobie stanowczo. To naturalne, że Gregory ma ochotę na drinka. Podróż była przecież męcząca, a ona może tymczasem rozpakować bagaże. Weźmie też prysznic, żeby się odświeżyć przed powrotem męża. Nawet do głowy jej nie przyszło, że Gregory mógłby ją na tego drinka zaprosić! Odsuwając od siebie poczucie, że jest zaniedbywana, Davina zaczęła rozpakowywać

walizki.

Gregory przyszedł na tyle późno, że ledwie zdążył się przebrać do kolacji, Davina zaś, która od chwili wzięcia prysznicu zastanawiała się, czy nie włożyć bardzo kobiecego, ozdobionego angielskim haftem negliżu, kupionego specjalnie na tę okazję, była szczęśliwa, że się jednak zdecydowała na sukienkę. Rozczarowana patrzyła, jak Gregory znika w łazience, energicznie zamykając za sobą drzwi.

Kiedy pojawił się w dziesięć minut później, dosłownie lśnił. Pachniało od niego mydłem, ale nawet jego gładko zaczesane do tyłu włosy kusiły, by ich dotknąć.

Sam widok Gregory'ego, jego zapach i obecność sprawiły, że niedawna panika ustąpiła i Davina znów miała ochotę rzucić mu się w ramiona, pieścić go i całować, dopóki nie zacznie mruzczyć, że niepotrzebna mu jest żadna kolacja, tylko ona, Davina, ale jednocześnie wiedziała, że przecież nie należy do takich dziewczyn, że brak jej odwagi, pewności siebie, siedziała więc podczas kolacji z zaciśniętym gardłem i z rozpaczą patrzyła, jak pilotka, pochylona nad ich stolikiem, gawędzi swobodnie z Gregorym, całkowicie ignorując jej obecność.

Kiedy wrócili do siebie, zbliżała się północ. Gregory pił przez cały wieczór. Otwierając drzwi, zatoczył się nieznacznie.

Panujący w pokoju upał uderzył w nich jak obuchem. Nie było klimatyzacji, a poprzykręcane śrubami okna nie dawały się otworzyć.

Davina wzięła szybki prysznic, próbując zignorować rozsadzający czaszkę ból.

Kiedy wyszła z łazienki w nowym szlafroku i krótkiej koszulce z angielskim haftem i niebieską lamówką, Gregory już leżał w łóżku.

Spojrzał na nią i powiedział z ironią:

- Ach, cóż za dziewica. Ciekawe, po co to włożyłaś. Żeby zanieść tatusiowi i pokazać mu czerwoną plamę na dowód zachowania niewinności do ślubu?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Zaczęła drzeć na całym ciele. Zdawała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, ale nie bardzo wiedziała co.

Po tych wszystkich marzeniach, rzeczywistość sceny miłosnej była dla niej tak szokująca, że pełną przerażenia ciszę przerwał tylko krótki, ostry krzyk bólu, kiedy Gregory ją brał.

Nawet nie płakała, w każdym razie nie wtedy. Łzy przyszły dopiero później, kiedy leżała sama, w swoim łóżku, z chrapiącym obok mężem.

I to miało być to, na co tak długo czekała, czego tak pragnęła, o czym marzyła? To na tym polega seks? Gdzie jest wobec tego to cudowne, niepowtarzalne narastanie napięcia, to pragnienie, te wspaniałe dojmujące doznania, które przechodzą w rytmiczne eksplozje rozkoszy, jakiej zaznawała w swoich marzeniach? Jeśli więc to jest seks, to czym jest tamto?

Kiedy skończył się miesiąc miodowy, Davina wróciła do domu czując się dużo starsza i - mądrzejsza. Łuski nie tyle opadły jej z oczu, ile zostały z nich zerwane.

Po czterech nocach przynoszącego coraz mniej satysfakcji penetrowania przez Gregory'ego jej obolałego ciała, w milczeniu i ze smutkiem odwróciła się od niego.

Gregory nawet nie próbował jej namawiać; wzruszywszy ramionami, przeniósł się do swego łóżka.

Wstrząśnięta, zrozpaczona, ale nade wszystko przytłoczona poczuciem winy, że nie potrafi odpowiedzieć na jego miłość ani znaleźć w niej przyjemności, chwilami marząc niemal, żeby go przy niej nie było, z ulgą wróciła do domu, znajdując ucieczkę w rutynie codziennych zajęć.

Nie miała bliskich przyjaciółek, którym mogłaby się zwierzyć ze swoich wątpliwości, zmartwień i poczucia winy. Domowy lekarz Careyów był stary i do tego zbyt zaprzyjaźniony z jej ojcem, a zresztą gdyby nawet zdobyła się na odwagę, żeby komukolwiek powiedzieć o narastającej w niej niechęci do seksu, graniczącej z obrzydzeniem, to i tak nie potrafiłaby wytłumaczyć napięcia i lęku, jakie odczuwała za każdym razem, kiedy Gregory się do niej zbliżał.

To była naturalnie jej wina, nie miała wątpliwości. Wiedziała, że Gregory musi być tak samo rozczarowany jak ona, mimo że się nigdy nie skarżył.

Z radością i nadzieją wyczekiwała każdej miesiączki, nie musiała bowiem wtedy, leżąc sztywno obok niego, prosić Boga, żeby mąż się do niej nie zbliżał. Mimo wszystko jednak miała przykre poczucie, że coś traci, że została w jakiś sposób oszukana.

Wolała nie wspominać swoich przedmażeńskich marzeń, uczuć, jakich wtedy doznawała. Musiała sobie to wszystko wymyślić, żyła nierealną mrzonką. Gdyby takie uczucia były realne, doznawałaby ich z Gregorym. Tak przynajmniej myślała.

W noc ich pierwszej rocznicy ślubu Gregory oświadczył Davinie, że w czasie ich podróży poślubnej kochał się z pilotką biura podróży.

Nie miała wątpliwości, że to prawda. Przyszedł późno, spóźnił się na uroczystą kolację, którą przygotowała. Ojciec był na brydżu; pokłócili się. Obiecała sobie, że tego dnia przewycięży niechęć do zbliżeń z nim, ale Gregory przyszedł późno i Davina poczuła, że pachnie damskimi perfumami.

Kiedy go spytała, czyj to zapach, powiedział jej o dziewczynie, z którą się spotyka. O dziewczynie, która, w przeciwieństwie do niej, jest dobra w łóżku i wie, jak zadowolić mężczyznę.

Wstrząśnięta i zrozpaczona poprosiła o wyjaśnienie, dlaczego się z nią ożenił.

- Dla pieniędzy twojego ojca - odparł brutalnie. - A niby z jakiego innego powodu? Jaki mężczyzna mógłby się tobą zainteresować? I możesz nie biegać do ojca na skargę. On jest o tobie

dokładnie tego samego zdania co ja. Jak sądzisz, dlaczego nam tak szybko pobłogosławił? Rozwód to ostatnia rzecz, której by sobie życzył.

Rozwód! To koszmarnie słowo odczuła jak brutalny cios. Rozwód to coś, co zdarzało się innym ludziom. W świecie Daviny w dalszym ciągu rozwód uważano za piętno, którym naznaczona była kobieta - i jako żona, i jako kobieta.

Przeraził ją sam dźwięk tego słowa. Rozwód byłby publicznym przyznaniem się do porażki. Jej porażki.

Dopiero później, kiedy leżała zwinięta w kłębek po swojej stronie łóżka, jak kupka nieszczęścia, zdała sobie w pełni sprawę ze znaczenia słów Gregory'ego.

Oznaczały one, że mąż jej nie kocha. Że nigdy jej nie kochał. Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Nie z powodu braku tej miłości jednak, tylko dlatego, że była na tyle głupia, żeby w nią kiedyś uwierzyć. Od tej chwili bowiem musiała się pogodzić z myślą, że to małżeństwo było nieporozumieniem.

Na zewnątrz ich życie wyglądało normalnie. Gregory od czasu do czasu kochał się z nią, a ona zagryzała wtedy wargi i prosiła Boga, żeby zaszła w ciążę. Oboje pragnęli dziecka, ale każde, z innych powodów.

Jej ojciec od czasu do czasu wspominał o wnukach, ale zarówno Davina, jak i Gregory wiedzieli, że chodzi mu o wnuka płci męskiej.

Gregory powiedział, że to jej wina. Przeszła więc wiele skomplikowanych badań, zanim sympatyczna lekarka zasugerowała, że może to być wina Gregory'ego, jako że nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałyby zajść w ciążę.

O przedstawieniu mężowi opinii lekarki myślała z rozpaczą. Mimo że zaledwie dwadzieścia cztery miesiące dzieliły ją od naiwnej dziewczyny, którą była wychodząc za mąż, zmieniła się w kobietę, która w niczym nie przypominała tamtej.

Nie, postanowiła ze znużeniem w drodze do domu, nie powie Gregory'emu o przypuszczeniach lekarki.

Powoli zaczęła na własną rękę układać sobie życie. Życie bez Gregory'ego. Była już teraz mężatką, a nie dziewczyną.

Sprawnie prowadziła dom, a ponieważ zarówno ojciec, jak i mąż nie chcieli słyszeć o jej ewentualnej pracy w firmie, postanowiła w inny sposób zagospodarować swój wolny czas.

Musiała być stale zajęta, bowiem tylko w ten sposób mogła się bronić przed smutnymi myślami o swoim nieudanym małżeństwie. Tylko wtedy nie pamiętała o tym, że Gregory ją zdradzał. Zwłaszcza że teraz nie próbował już nawet tego przed nią ukrywać.

Ojcu swoje częste nieobecności tłumaczył pracą. Jeśli chodzi o nią, nie widział nawet

potrzeby ukrywania tego, co w tym czasie robił naprawdę.

Davina ze wstydem musiała przyznać, że czasami była nawet zadowolona z tego, że to nie ją Gregory obdarzał swoimi seksualnymi łaskami. Każde zbliżenie z nim przyjmowała teraz ze wstrętem. Od czasu do czasu, w momentach zapomnienia, wspominała cudowne chwile sprzed ślubu, ale natychmiast odsuwała od siebie te myśli, wstydząc się swojej słabości.

Była jego żoną, a on miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby swoje romanse nawiązywać poza ich wąskim kręgiem towarzyskim. Widziała jednak nieraz spojrzenia, jakimi obdarzały go żony ich wspólnych znajomych, i z przerażeniem myślała o tym, że w pewnej chwili Gregory może zacząć odwzajemniać te awanse.

Czasami pogardzała sobą za swoją słabość - za to, że nie potrafiła od niego odejść, że bała się przerwać małżeństwo, w którym tkwiła - nie wiadomo zresztą po co. Pozbawiona wszelkiej nadziei, przyjemności i pragnień - ona, kobieta nie chciana, nie kochana i nie pożądana przez mężczyznę, któremu była poślubiona.

Ale skoro już jest poślubiona, to przynajmniej musi robić dobrą minę do złej gry. Musi się zachowywać jak osoba dorosła, a nie dziecko.

Potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się wspomnień. Co jej przyjdzie z grzebania się w przeszłości? Wyszła za Gregory'ego z własnego wyboru, nikt jej do tego nie zmuszał i zastanawianie się teraz, jak by się potoczyło jej życie, gdyby wyszła za męża za kogoś w rodzaju Gilesa, nie ma najmniejszego sensu. Gregory nie żyje, a jego śmierć przysporzyła jej znacznie poważniejszych problemów niż rozpamiętywanie jałowości życia.

Tylko własne tchórzostwo i obawa przed naruszeniem tak bardzo ważnego dla ojca konwenansu nie pozwalały jej zerwać tego małżeństwa - tylko to, no i manipulacje Gregory'ego. Nie wszystko da się jednak na niego zwalić.

A upadek firmy?

Znużona zamknęła oczy. To była inna sprawa. Co go, na miłość boską, skłoniło do tego, żeby się zaangażować w rzecz tak niepewną i niebezpieczną jak rynek walutowy? Jak mógł ryzykować pieniędzmi przeznaczonymi na zabezpieczenie przyszłości firmy i jej pracowników?

Jaka jest szansa na znalezienie inwestora? Praktycznie żadna - jak jej ponuro powiedział dyrektor banku. Dla przemysłu nastały ciężkie czasy - nie ma pieniędzy, a w szczególności pieniędzy na podtrzymywanie tak ryzykownych przedsięwzięć, jak firma Carey Chemicals.

Davina skręciła na podjazd; była w domu. W domu? Uśmiechnęła się niewesoło, zatrzymała samochód i wysiadła.

Mieszkała w tym domu całe życie, ale mimo to nie czuła się z nim związana. Tak naprawdę to nigdy nie był jej dom. Za życia ojca był jego domem, a po śmierci... Co z tego, że jej go zapisał...

Gregory wśród swoich licznych kochanek miał i dekoratorkę wnętrz; to jej dom zawdzięczał swój obecny wystrój. I chociaż Davina wiedziała, że to śmieszne, bo nie miała wątpliwości, że tamci dwoje nigdy się tu nie kochali, to jednak w jakiś sposób czuła, że same tkaniny, które tamta kobieta wybrała, były przesiąknięte zapachem seksu.

Nienawidziła ostrych, jaskrawych barw, kontrastujących ze sobą czerni i czerwieni, brzydkiego i tandetnego, w jej pojęciu, przeładowności kolorem. Pokoje sprawiały wrażenie klaustrofobicznej ciasnoty i przypominały jej koszmarne hotelowy pokój z czasów ich miodowego miesiąca, ciasny i duszny.

Otwierając drzwi i wchodząc do przedpokoju, z pewnym przewrotnym rozbawieniem zastanawiała się, czy już zawsze seks będzie jej się kojarzył z brakiem powietrza. Czy gdyby nie Matt, poczułaby kiedykolwiek ten delikatny niepokój, jaki teraz cechował jej stosunek do Gilesa? Gdyby jedynym jej życiowym doświadczeniem w tej dziedzinie był Gregory, to z pewnością nie.

Minęło już wiele lat od chwili, kiedy się przekonała, że Gregory wcale nie był takim szampańskim kochankiem, za jakiego się zawsze podawał. Dokładnie pięć.

Ale teraz nie czas było myśleć o Matcie.

- Jestem, Lucy.

Giles zeszytniał słysząc łomot garnków w kuchni. Ostatnio z coraz większym lękiem myślał o powrotach do domu, o nieuniknionej awanturze, jaka im zawsze towarzyszyła.

Schylając głowę, żeby nie zawadzić o niską futrynę, ruszył wolno w stronę kuchni. Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, żeby się psychicznie przygotować na spotkanie nie - jakby sobie tego życzył - z Daviną, tylko ze swoją żoną Lucy, czekającą na niego z wściekłą miną.

Davina, która zawsze robiła wrażenie spokojnej i zrównoważonej; Davina, która nigdy przy nim nie podniosła głosu; Davina, taka zawsze swobodna, sympatyczna w kontaktach - całkowite przeciwieństwo jego zmiennej, nerwowej żony.

Musi przestać o tym myśleć, powiedział sobie otwierając drzwi i wchodząc do kuchni.

Lucy stała przy zlewie.

Była wysoka i szczupła, a jej ciemnorude, kręcone włosy tworzyły wokół małej mizernej twarzy czerwona aureolę. Jej zielone oczy błyszczały złością. Giles widział niemal, jak ta złość wibruje w jej napiętym ciele, kiedy Lucy spoglądała na niego spode łba.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - spytała opryskliwie. - Miałeś być wpół do szóstej.

- Musiałem porozmawiać z Daviną.

- No i co, porozmawiałeś? Powiedziałeś jej, że odchodzisz, że nie będzie już się mogła wyplakiwać na twoim męskim ramieniu?

Giles skrzywił się, słysząc sarkazm w jej głosie.



Za daleko się posunęła. Odgadła to, widząc jego minę, i przestraszyła się. A już myślała, że potrafi panować nad tymi wybuchami furii, spowodowanymi lękiem i brakiem poczucia bezpieczeństwa.

- Mam nadzieję, że coś jadłeś, bo tu nic dla ciebie nie ma. Miałeś być wpół do szóstej, a jest już prawie siódma.

- Nie jestem głodny - odparł Giles ze znużeniem. - Później zrobię sobie kanapkę.

- Ale właściwie o co chodzi? - prowokowała go dalej, nieuchronnie dążąc ku samozagładzie, podgrzewana strachem i cierpieniem. - Dlaczego nie miałbyś na przykład zadzwonić do Daviny i umówić się z nią na kolację? Jest wspaniałą kucharką, chociaż... podobno w łóżku nie jest najlepsza. Ale cóż cię to może obchodzić, kochanie. Ostatnio nie przejawiałeś specjalnego zainteresowania tą dziedziną, prawda? Zresztą, może to tylko na mnie nie miałeś ochoty, co?

- Proszę cię, Lucy, nie teraz - powiedział zmęczony. - Ja...

- Co, ty? Niewygodny temat, tak? Dobrze, porozmawiajmy o czym innym, Giles. Na przykład o tym, czy powiedziałeś Davinie, że nie zostajesz w firmie, co? Powiedziałeś jej?

Giles westchnął.

- Próbowałem. Zrozum, Lucy... - zaczął z rozpaczą, widząc minę żony. - To już nie potrwa długo. Jeszcze tylko parę tygodni. Ona mnie naprawdę teraz potrzebuje.

Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że popełnił błąd, ale widząc, jak twarz Lucy się zamyka, a jej oczy robią się niby dwa płaskie twarde kamyki, wiedział, że jest już za późno, żeby odwołać te słowa.

Nawet kiedy rzuciła trzymaną w ręku patelnię i przemknęła koło niego jak furia, próbował jeszcze w rozpaczony sposób mówić.

- Proszę cię, Lucy, zrozum...

Otwierając drzwi odwróciła się do niego, wściekła jak zraniona kotka.

- Owszem, rozumiem - odparła. - Rozumiem, że Davina James jest dla ciebie ważniejsza ode mnie. - Kiedy trzasnęła drzwiami, cały dom zadygotał w posadach.

A był to dom stary, niski, drewniany, niektóre jego fragmenty pamiętały czternasty wiek. Kupili go jakieś osiem lat temu, kiedy się tu sprowadzili wkrótce po ślubie.

Jakżeż byli wtedy szczęśliwi. Jak namiętnie zakochani. Kiedy się to wszystko zmieniło? Dlaczego?

Poznawszy Lucy, uważał się za wyjątkowego szczęściarza. Oczarowany sposobem, w jaki z nim flirtowała, prowokując go i zdobywając, zupełnie stracił głowę, zawojowany jej ogniem, werwą i rozpierającą ją energią. Lucy okazała się namiętną kochanką. Kiedy mu powiedziała, że chce wyjść

za niego za mąż, był zupełnie oszołomiony, nie wierzył w swoje szczęście. Po raz pierwszy w ciągu ich znajomości poczuł się onieśmielony. Tak bardzo ją wtedy kochał. Kochał ją jeszcze i teraz. Przynajmniej jakąś jedną cząstką, bo ta druga...

W zdenerwowaniu słuchał, jak Lucy trzaska drzwiami, a następnie zapala silnik samochodu.

To niesprawiedliwe z jej strony oskarżać go o to, że jej nie chce. To przecież ona go od siebie odsunęła, to ona się odwracała, kiedy chciał się do niej zbliżyć, dając mu odczuć, bez słów, że jego dotyk już jej nie podnieca.

Usiadł i bezradnie ukrył twarz w dłoniach. Może dla dobra swojego małżeństwa powinien był powiedzieć Davinie stanowczo, że nie może zostać. Pewnie powinien był tak zrobić, ale cóż, kiedy nie chciał. Bo tak naprawdę pragnął przytulić Davinę do siebie i ją ochraniać. Dlatego, że Davina była taką kobietą, jaką była. Że nie wystawiała go, jak Lucy, nieustannie na próbę męskości: ona ją uzupełniała. Podczas gdy Lucy była jak ogień i wulkan, w Davinie odnajdował łagodność i pogodę, których pragnął jak niczego na świecie.

Boże, jaki był zmęczony. Zmęczony dzikimi wybuchami Lucy, jej zmiennością i tym wszystkim, co go tak kiedyś w niej pociągało. A jej namiętność? Jej miłość do niego? Czy też miał tego dosyć?

Westchnął ciężko w poczuciu bezradności.

- Przepraszam cię, Saul, ale umawiając cię z dziećmi na ten weekend zupełnie zapomniałam, że mamy jechać do Holmesów. Tom tak lubi tam chodzić. Bardzo się zaprzyjaźnił z Charlesem...

- A Josey? - przerwał ponuro Saul swojej byłej żonie. - Ona też tak lubi tam chodzić?

Zdawał sobie sprawę, że okazywanie zniecierpliwienia w rozmowach z Karen do niczego nie prowadzi, ale czuł, jak wzbiera w nim fala rozdrażnienia, zrywa wszelkie tamy i domaga się ujścia. Co się z nim stało? Taki był zawsze pewien swojego opanowania, swojej umiejętności skrywania prawdziwych uczuć, zwłaszcza tych niepożądanych.

- Proszę cię, Saul, nie rób trudności. Josey ma swoich własnych przyjaciół, swoje życie, to już dorastająca dziewczyna.

I ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę, było spędzanie czasu z nim. Saul wyczuł to w lodowatej ciszy, która zapadła po słowach Karen. Czy to możliwe, że kiedyś byli małżeństwem, że byli z sobą tak blisko? Ale przede wszystkim dlaczego kiedykolwiek byli małżeństwem?

Teraz, wolny od uczucia do Karen, niezdolny przywołać go nawet we wspomnieniach, Saul coraz częściej miał wrażenie, że nie dotrzymuje kroku reszcie ludzkości, że jest od niej odizolowany i żyje w próżni, w pustce, gdzie nie istnieje nic poza jego dziwnymi, przerażającymi wątpliwościami.

- A dlaczego nie mogliby przyjechać do ciebie w następny weekend? - pytała właśnie Karen.

- Obawiam się, że następny weekend nie wchodzi w grę - odparł Saul. - W przyszłym tygodniu muszę jechać do Cheshire.

- Zobaczyć się z Christie?

Słyszał zdziwienie w głosie Karen i w samą porę powstrzymał się przed wyjaśnieniem, że jedzie do Cheshire w sprawach służbowych.

Nagle, na myśl o tym, jak bliski był popełnienia kardynalnego błędu i zdradzenia się przed Karen ze swoimi planami, przeszedł go zimny dreszcz. Najlepszy dowód, jak zawodzi jego koncentracja... samokontrola - cel wyjazdu do Cheshire miał być poufny. Karen i tak by sobie nie zdawała sprawy z jego znaczenia, nawet gdyby jej powiedział, ale nie o to chodzi.

Zakończył rozmowę nie pytając nawet byłej żony, czy mogłaby poprosić do telefonu któreś z dzieci - nie dlatego, żeby nie chciał z nimi rozmawiać; po prostu wiedział, że żadne z nich nie miałyby na to ochoty. Cóż, jego wina, nie ich. Ostatecznie, nie bardzo się sprawdził w roli ojca,

Nigdy go dla nich nie było.

Odwrotnie niż jego ojciec, który zawsze był przy nim. I w dzieciństwie Saula, i w okresie dorastania, ale nawet i po śmierci ojca Saul czuł jego obecność, choćby poprzez świadomość, że jakoś spełnia jego marzenia i cele. Dopiero ostatnio ta więź zaczęła się rozluźniać. Opuściło go wewnętrzne przekonanie, że zaspokajając ambicje ojca, jednocześnie spełnia swoje.

Zawsze byli z ojcem bardzo blisko. I tej bliskości tak nie lubiła i tak się przeciwko niej buntowała Christie.

Na myśl o siostrze uśmiechnął się gorzko. Zawsze była z niej buntowniczką i do pewnego stopnia buntowniczką pozostała. Niepoprawna idealistka, twarda, nieustępliwa i tak niezależna, że nie wyszła za męża. I trudno się dziwić.

A mimo to była wspaniałą matką. Znacznie lepszą niż on ojcem. Podziwiał sposób, w jaki samodzielnie wychowywała Cathy, jak i upór, z którym zdobyła wybrany zawód lekarza internisty.

Cathy urodziła się wkrótce po dyplomie Christie, ale nawet teraz, w dwanaście lat później, Saul nie miał zielonego pojęcia, kto był jej ojcem, poza tym, że był to człowiek żonaty i że nie chciał mieć nic wspólnego ani z dzieckiem, ani z jego matką.

Wybrał numer Christie i uśmiechnął się, słysząc znajomy, niski i energiczny głos siostry.

- Przyjeżdżasz i chcesz się zatrzymać. Naturalnie, bardzo proszę, ale co się stało? - zapytała z siostrzaną bezpośredniością.

- Nic się nie stało - odparł Saul. - Po prostu mam coś do załatwienia i pomyślałem...

- Że zatrzymując się u mnie oszczędzisz na hotelu - dokończyła za niego z ironią. - Od kiedy? Pewnie masz do załatwienia coś szemranego i pokrętnego dla twojego szefunia. Już ja cię znam. Gdyby nie jakieś ukryte cele, nigdy byś nie zamienił luksusów takich hoteli jak Grosvenor na mój bałagan.

- Chyba że po prostu chciałbym się zobaczyć z tobą i z Cathy - odparł uszczypliwie Saul.

Komentarz Christie uderzył w czułe miejsce, w słaby punkt Saula, ale fakt, że zdał sobie z tego sprawę, nie pomógł mu wcale w zapanowaniu nad reakcją.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Christie. - Oczywiście, Saul, że możesz się u nas zatrzymać. Szczerze mówiąc, to nawet spadasz mi z nieba. Pod koniec przyszłego tygodnia mam konferencję i Cathy miała być u koleżanki szkolnej, ale tam jest świnka i nie mogę im jeszcze dokładać Cathy. A gdybyś tak jeszcze został do końca mojej konferencji, to by już w ogóle było cudownie...

- Dlaczego nie? - odparł Saul. Zamierzał spędzić w Cheshire nie więcej niż dwa dni, ale

nie było powodu, żeby nie zostać trochę dłużej. Z przyjemnością myślał o tym, że na jakiś czas oddali się od sir Alexa. Alex próbował nim manipulować, groźbami zmuszał do posłuszeństwa. „Załutw mi to, co chcę, bo jak nie, to...” Saul zawsze odczytywał w jego słowach taką intencję. Ale ni cholery się nie przejmował szkoda, jaką Alex może wyrządzić przedsiębiorstwu, które zamierzał przejąć.

A zresztą, niby dlaczego miałbym się przejmować? - zadał sobie pytanie Saul w dziesięć minut później, kiedy skończył rozmowę z siostrą. W przeszłości też się tym nie przejmował.

W każdym razie aż do momentu, kiedy Alex postanowił przejąć i praktycznie wykończyć rodzinną firmę Dana Harpera. Tak, wtedy zaczął się przejmować.

Zirytowany przeniósł się od biurka do kominka. Kupił to mieszkanie po rozwodzie, w niemodnej części Londynu. Dom w stylu georgiańskim miał trzy piętra, a mieszkanie Saula zajmowało całe pierwsze piętro. Było za duże na jedną osobę, ale kiedy je kupował, miał na myśli dzieci. Trzy sypialnie, każda z własną łazienką, to rzeczywiście dla niego za dużo.

Skrzywił się. Prawdopodobnie na palcach jednej ręki mógłby policzyć, ile razy Josey i Tom przebywali u niego dłużej niż z dnia na dzień, szczególnie ostatnio, kiedy ich wizyty stały się jeszcze bardziej sporadyczne. Zwłaszcza Josey przejawiała w stosunku do niego coraz to większą wrogość.

Koło łóżka, tuż obok zdjęcia ojca, miał ich fotografię.

Ojciec. Dlaczego, kiedy ostatnio myślał o ojcu, o całej swojej miłości do niego i wszystkich ciepłych uczuciach, jakie w nim budził, dlaczego teraz odczuwał niepokój i niemal strach, że wszystkie ambicje i cele, jakie ojciec z nim wiązał, jakoś mu umykają?

Ambicje, jakie ojciec z nim wiązał. Czy nie to właśnie stanowi sedno sprawy? Przyczynę jego niepokojów i lęków, coraz silniejszej świadomości, że całe jego życie to tunel, który stał się pułapką, i że dalsze podążanie tym tunelem oznacza postępowanie wbrew własnym instynktom i skłonnościom? Czy przypadkiem antagonizm pomiędzy nim a Alexem nie bierze się właśnie stąd? Że gdzieś w głębi duszy odzywa się niepożądany głos, zadając mu pytanie, czego właściwie chce od życia, i czy ambicje, które z taką twardą konsekwencją realizuje, to naprawdę to, czego pragnie?

Jak zwykle, wszystkie jego rozmyślania sprowadzały się do tej koszarnej, coraz bardziej stresującej walki wewnętrznej, jaką nieustannie ze sobą toczył: żeby dotrzymać danej ojcu milczącej obietnicy.

Jak daleko bowiem Saul sięgał pamięcią, zawsze wiedział, że jako syn swojego ojca ma obowiązek odnieść sukces.

Najwcześniejsze wspomnienia rozmów z ojcem przywodziły na pamięć uczucie ściskania w

dołku, kiedy ojciec mówił, jak bardzo żałuje, że zaprzepaścił własne szanse, jak ciężko mu było z tak skromnych dochodów utrzymać rodzinę, i jak to ma nadzieję, że Saul nie powtórzy jego błędu i doceni znaczenie życiowego sukcesu.

Saul nie cierpiał tych rozmów. Zawsze pozostawiały w nim uczucie lęku i jakiegoś wewnętrznego bólu. Kochał ojca i był z niego dumny, więc z przykrością słuchał, że ojciec nie jest dumny z siebie i że uważa swoje życie za zmarnowane.

Saul nie widział po temu najmniejszego powodu. Ojciec był kochany przez rodzinę, a zwłaszcza przez niego. Rodzice mieli wielu przyjaciół; zawsze ktoś wpadał, a ich kuchnia nieustannie rozbrzmiewała śmiechem i jeśli nawet matka zbeształa go czasem, wzdychając ciężko, kiedy rozdarł dzinsy, to przecież zaraz potem tuliła go, całowała i mówiła, żeby się nie przejmował, że wcale nie są tacy biedni. Saul nie rozumiał wtedy, dlaczego ojciec tak bardzo martwi się o pieniądze. Wydawało mu się, że nie ma lepszego miejsca na świecie jak ich mały, przytulny, zatłoczony dom z zaniedbanym ogródkiem i że nie ma nic rozkoszniejszego na świecie jak to, że, kiedy się wraca ze szkoły, w kuchni czeka matka z uśmiechem i serdecznym uściskiem. I gdyby nie fakt, że ojciec tak często robił wrażenie zmartwionego i przygnębionego, Saul uznałby swoją rodzinę za jedną z najszcześniejszych. Wiedział jednak, że tak nie jest, że ojciec, który go nieustannie przestrzegał przed powtarzaniem swoich błędów, nie może być szczęśliwy.

Martwiło go, że taki człowiek, którego wielu lubiło, a niejeden kochał, żyjący w rodzinie pełnej ciepła i śmiechu, jest mimo to nieszczęśliwy, i fakt, że tego nie rozumiał, jeszcze bardziej go deprymował.

Wiedział, że ojciec nie mówi z Christie o takich sprawach, że dziewczyny nie muszą się martwić o „życiowy sukces”, że mogą być po prostu szczęśliwe i nie myśleć o takich rzeczach. Saul kochał siostrę, ale jednocześnie, słuchając ojca, rozumiał, że jako mężczyzna ma obowiązek troszczyć się o kobiety w rodzinie i zarabiać tyle pieniędzy, żeby im zapewnić odpowiednią opiekę.

Ojciec miał jakieś szanse, których nie wykorzystał w pełni. Saul o tym wiedział, tak jak wiedział, że nie powinien powtarzać jego błędów. Musi się dobrze uczyć. Ojciec nie miał pieniędzy, które mógłby odziedziczyć, ani wpływowych znajomości, które by mu zabezpieczyły przyszłość. Sukces ma zawdzięczać wyłącznie sobie.

W roku, w którym Saul zdał do następnej klasy z trzecią lokatą, matka pochwaliła go, ale jednocześnie przestrzegła, że istnieją wartości nie mniej ważne niż inteligencja.

Ojciec zaś powiedział, że tylko dzieci najzdolniejsze mają szansę odnieść w życiu sukces, i Saul odniósł wrażenie, że ojciec poczuł się zawiedziony jego trzecią lokatą.

Następnego roku był pierwszy. Ojciec go wprawdzie pochwalił, ale Saulowi w dalszym

ciągu czegoś brakowało. Czuł się w środku pusty. I nie tylko to. Pusty i samotny. Pomyślał o wszystkich meczach futbolowych, w których nie brał udziału... o tych chwilach, które spędził nad książkami, zamiast się bawić w gronie kolegów, i znów pomyślał, że to jego wina, bo przecież zgodnie z tym, co mówił mu ojciec, odnosząc sukcesy powinien czuć się szczęśliwy.

Kiedy szykował się do egzaminów na studia, miał już te rozterki za sobą. Był prawie mężczyzną i nauki ojca tak głęboko zapadły mu w świadomość, że przestał się zastanawiać nad swoimi uczuciami. Uczucia są dobre dla dziewczyn. On miał ważniejsze sprawy na głowie.

Odniesie sukces, wszyscy to mówili, i Saul widział, jaką to dumą napawa ojca. Zostanie przyjęty na uniwersytet oksfordzki, jeśli tak dobrze zda egzaminy, jak przepowiadali jego nauczyciele. Wiedział już nawet, z czego będzie zdawał i że pojedzie potem do Stanów, żeby na Harvardzie robić magisterium.

Po tym wszystkim świat, a w każdym razie świat biznesu, stanie przed nim otworem. Z jego kwalifikacjami każda firma chętnie go zatrudni.

Saul widział przed sobą jasno wytkniętą drogę.

Człowiek bez pieniędzy i bez stosunków musi pracować, i to ciężko pracować na swój sukces, i Saul zamierzał właśnie to robić. Musi; przecież ojciec i cała rodzina na nim polegają.

W wieku lat siedemnastu zakochał się bez pamięci. Był przystojny, wysoki, wyższy od ojca, mocno zbudowany i silnie umięśniony. Do jego obowiązków należało dbanie o ogródek: zimą spulchniał grządki, a latem popychał staromodną ręczną kosiarkę, ćwicząc w ten sposób muskuły i zdobywając sprawność fizyczną.

Jego ciemna, gęsta czupryna i jasnoniebieskie oczy w oprawie długich rzęs zawróciły w głowie niejednej spośród koleżanek jego siostry, ale Saul pozostał niewrażliwy na ich prowokacyjne chichoty i nie ukrywaną adorację.

Angelica była inna. Poza pracą w ogródku rodziców Saul zarabiał na drobne wydatki, pielęgnując cudze ogródki.

Jednym z nich był ogród rodziców Angeliki, ludzi bardzo zamożnych.

Gordon Howard często wyjeżdżał służbowo. Amy Howard zaś, mała, krucha blondynka, zawsze wyglądała tak, jakby się miała za chwilę rozpłakać. Za każdym razem, kiedy Saul u nich pracował, zjawiała się ze szklanką jakiegoś soku, podzwaniając kostkami lodu, i niemal zawsze czuć było od niej alkohol. Saul nie przepadał za panią Howard. Różniła się od jego matki zasadniczo i do tego budziła jakby litość. Kiedy z nim rozmawiała, miał podobne uczucie, jak wtedy, kiedy wiele lat temu ojciec mówił mu o swoich zaprzepaszczonej szansach.

Teraz jednak Saul nie dopuszczał do siebie tych uczuć. Nie przyjmował ich do wiadomości. Uznał je za niemęskie i postanowił, że do niego nie będą miały dostępu. On jest skazany na sukces i

szeroko pojęte powodzenie. Nie będzie miał żadnych wątpliwości... ani wyrzutów sumienia. A kiedy się ożeni, jego żona nigdy nie będzie miała w oczach tego smutku, jaki czasami widywał u matki.

Howardowie mieli jedno dziecko, Angelice. Saul słyszał o Angelice od jej matki, która, jak mu się wydawało, miała do swojej córki bardzo dziwny stosunek. To ją wynosiła pod niebiosa, mówiąc o niej w samych superlatywach, tak że Saul zaczął po cichu nie cierpieć tego cudownego dziecka, to znów z rozdrażnieniem narzekała, że córka jej nie kocha, że nie poświęca jej w ogóle czasu, że wakacje woli spędzać z przyjaciółkami i ich rodzinami.

Angelica była od Saula o rok starsza. Po skończeniu szkoły poszła do ekskluzywnego prywatnego college'u w Oksfordzie, gdzie doskonaliła języki obce i była na zaawansowanym kursie dla sekretarek.

Pewnego dnia, po zakończeniu semestru, przyjechała do domu. Amy bawiła akurat w odwiedzinach u przyjaciół w Miami, Gordon Howard wyjechał służbowo. Saul przyszedł właśnie przycinać drzewka i skopać grządki, które Gordon co roku na wiosnę z nabożną niemal czcią obsiewał jednorocznymi roślinkami. Ich starannie dobrane kolory i zawsze jednakowe kombinacje uświadamiały Saulowi sztywną atmosferę panującą w tej rodzinie i wzajemne oddalenie, w jakim żyli jej członkowie.

Pracował już ze dwie godziny, kiedy się zorientował, że ktoś jest w domu. A i to tylko dlatego, że kiedy się obejrzał, zobaczył czyjąś rękę szybko rozsuwającą zasłony.

Osoba, która stała w oknie, z pewnością nie była Amy Howard. Miała długie, ciemne włosy, które jej spływały na nagie ramiona, i Saul poczuł dziwną suchość w gardle, a zarazem dreszcz, kiedy tak patrzył na dziewczynę, która nie bacząc na to, że może być widziana, przeżyła swoje piękne ciało.

Widok kobiecej nagości nie był Saulowi tak zupełnie obcy; ostatecznie miał siostrę, a poza tym nie brakowało pism ilustrowanych, które znacznie dokładniej prezentowały kobiecą anatomię niż dziewczyna w oknie, która przeciągając się jak kotka unosiła jędrne piersi, pokazywała krągłe biodra, podniecającą ciemną kępkę włosów łonowych i długie, zgrabne nogi.

Stojąc i w osłupieniu gapiąc się na nią, Saul wiedział, że powinien się odwrócić, ale nie mógł. Poczuł ogarniającą go falę ciepła, jak gdyby ostry, pulsujący ból, i zarumienił się z zakłopotania i wstydu.

Owszem, próbował już seksu, z jego różnymi technicznymi smaczkami, i naturalnie dobrze wiedział, co go podnieca, a co nie, ale ta dziewczyna ze swoją wspaniałą cygańską grzywą włosów, mocnym, szczupłym ciałem i całkowitą obojętnością na własną nagość podnieciła go w sposób nie tylko seksualny.



Miał ochotę ją przytulić, głaskać z zamkniętymi oczami, napawając się gładkością jej skóry, wdychać zapach, muskać ustami...

Jęknął głośno, zdając sobie sprawę, że niemal drży od intensywności swoich doznań. Zamknął oczy, usiłując pozbyć się sprzed nich obrazu dziewczyny, zaprzeczyć pragnieniu dotknięcia jej twarzy, sprawdzenia, czyjej wargi są rzeczywiście tak jedwabiste gładkie, na jakie wyglądają. Przypominały mu płatki maku, równie delikatne i kuszące, a jednocześnie łatwe do uszkodzenia.

Wzdrygnął się pod wpływem udręki fizycznego pożądania i emocjonalnej reakcji na jej widok. Odczuł jednocześnie lęk i pokorę wobec zamętu sprzecznych doznań i uczuć. Miał jakąś dziwną potrzebę rzucenia jej się do stóp i zapewnienia, że jest najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział w życiu. Miał ochotę ją tulić i pieścić, mówić jej, jak bardzo go poruszyła i na jak wiele sposobów, ale zarazem pragnął ją przywalić własnym ciałem i posiąść, żeby usłyszeć jej krzyk tak pierwotny i dziki, jak pulsująca w nim namiętność.

Świadomość, że jest zdolny do takich doznań, wywoływała w nim jednocześnie i podniosły nastrój, i wstyd.

Jego ojciec był człowiekiem o wysokim poczuciu moralności i mimo tego wszystkiego, co Saula otaczało, gdzieś głęboko w podświadomości przechował on nauki ojca: że kobiety należy szanować i cenić, opiekować się nimi i okazywać czułość. Nie bardzo jednak wiedział, jak pogodzić ową czułość z czymś zupełnie nowym: bardzo ostrą, dojmującą fizyczną potrzebą, która wydała mu się czymś pogańskim i groźnym.

Kiedy otworzył oczy i spróbował uporządkować myśli, dziewczyny już nie było. Rozsunięte dalej zasłony lekko trzepotały na wietrze.

Musiąca otworzyć okno, pomyślał. Czy... widziała, że na nią patrzył? Z zakłopotania i poczucia winy oblał się rumieńcem. Powrócił do swojej pracy, starannie unikając spoglądania w stronę domu.

Minęło pół godziny czy nawet więcej, a Saul dalej trwał w napięciu.

Słyszał, że ktoś otwiera drzwi, ale nie śmiał się odwrócić. Trawa tłumiała odgłos kroków, ale Saul i tak miał silną świadomość jej obecności na długo, zanim powiedziała:

- Cześć, ty pewnie jesteś Saul. Ja jestem Angelica.

Teraz już musiał się odwrócić. Nie mógł dłużej ignorować jej obecności. Angelica była wysoka, ale naturalnie dużo niższa od niego. Miała na sobie dżinsy i ciemnoszary, luźny sweter z dość dużym wycięciem, które ukazywało część obojczyka, delikatną linię ramienia i szyi.

Stała na tyle blisko, że wyraźnie czuł jej zapach. Ogarnęła go fala gorąca, ból pożądania. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, spokojna i opanowana.

Miała nieco skośne orzechowe oczy... kocie oczy, a z bliska jej usta wydawały się równie pełne i podniecające jak z daleka. Skóra Angeliki była matowa i gładka, a paznokcie, kiedy uniosła rękę, by odsunąć z czoła kosmyk włosów, choć nie pomalowane, robiły wrażenie lśniących i pięknych.

W jednej chwili Saul doznał szokującej wizji: zobaczył, jak te paznokcie wbijają się w jego skórę, a potem, kiedy już przeszła fala zażenowania, ze zdumieniem zadał sobie pytanie, skąd on, dla którego było to zupełnie nowe doświadczenie, tak dobrze wiedział, tak wyraźnie czuł na sobie jej ostre paznokcie, a pod sobą namiętne wijące się ciało.

- Właśnie zrobiłam sobie coś do picia. Może i ty byś się napił?

Te swobodnie wypowiedziane słowa sprowadziły Saula na ziemię, chociaż w dalszym ciągu wolał nie patrzeć jej w oczy. Zamiast tego rozejrzał się dokoła, jakby oczekiwał, że nagle ni z tego ni z owego pojawi się przed nim szklanka z napojem. Rzeczywiście poczuł pragnienie, gardło miał wyschnięte. Skinął głową, ciągle niepewny swego głosu.

- No to chodź. - Odwróciła się i ruszyła w stronę domu, spokojna, że za nią pójdzie. Wbił szpadel w ziemię i ruszył za nią.

Był już w tym domu wiele razy, ale dziś odczuwał to jakoś inaczej... jakby naruszał czyjś teren, narażając się na niebezpieczeństwo. Kiedy zatrzymał się w progu, żeby zdjąć buty, poczuł na plecach gęsią skórę.

Miał stare, robocze skarpety, z dziurą na palcu. Zaczerwienił się ze wstydu. Nie wyobrażał sobie, żeby ona włożyła coś dziurawego... ani coś, co by zakłóciło nieskazitelną doskonałość jej wyglądu. Na jego siostrze dzinsy wyglądały jak zwykłe dzinsy, a na tej dziewczynie... I ten sweter...

Zrobiło mu się gorąco. W myśli ściągał go już z jej ramion, odsłaniając ciało, którego poszukiwały jego usta. Wyobraził sobie, że dziewczyna obejmuje go za szyję i przytula się do niego podniecona, wydając ciche okrzyki rozkoszy prosto do jego ucha.

- Kawa czy coś mocniejszego?

Jej słowa obudziły go z zamyślenia. Odwrócił się i zaczerwienił pod wpływem jej wzroku.

- Kawa wystarczy - powiedział ochryple.

Gapił się niby urzeczony, gdy zapalała papierosa. Nigdy nie rozumiał, jak można się zatruwać nikotyną, ale teraz, patrząc, jak siedzi na brzegu kuchennego stołu, podpierając się smukłą dłonią, i widząc zarys jej piersi pod swetrem, zaczął nagle żałować, że nie jest palaczem; mógłby wtedy podejść do Angeliki całkiem blisko i zapalić sobie od niej papierosa.

- Tam jest kawa - powiedziała, wskazując ręką ekspres, ale nie pofatygowała się, żeby go obsłużyć. - Nalej sobie.

Niezgrabnie przeszedł przez kuchnię, boleśnie świadom swoich zabłoconych dżinsów i dziurawych skarpet. W ciepłe kuchni pot wysychał na nim szybko.

- Nie masz wiele do powiedzenia, co? - zauważyła drwiąco. - Czy będziesz pracował tu przez cały tydzień?

Skinął głową w napięciu, widząc, jak jej piersi wyraźnie rysują się pod miękkim swetrem. Rozgorączkowana wyobraźnia podsunęła mu obraz jej nagiego ciała, które już widział wcześniej. Nie miała nic pod tym swetrem, to nie ulegało wątpliwości. Skręcało go, żeby podejść do niej, wyciągnąć ręce i dotykać, nie z samego pożądania, ale z jakiejś bolesnej, obezwładniającej potrzeby, z czci dla doskonałości jej ciała.

W ciągu trzech dni zostali kochankami. To Angelica dała pierwszy sygnał, to ona zrobiła pierwszy krok, wyśmiewając jego wahania, jego wstydlivość i brak doświadczenia. Nagle przestała się śmiać, a w nim zamarło serce, kiedy najpierw czubkami palców dotykała jego nagiego ciała, a potem miękkimi otwartymi ustami robiła z nim rzeczy niewyobrażalne, trudne do wytrzymania, aż zapomniał o swoim braku doświadczenia i o swoich wahanach i wziął ją tak, że krzyczała z rozkoszy.

Pod koniec tygodnia miał takie uczucie, jakby znał ją przez całe życie, jakby zawsze była częścią jego samego. Za każdym razem starał się dać jej rozkosz w inny sposób, żeby pokazać, jak bardzo ją kocha.

Nie miała żadnych zahamowań, nie znała żadnych granic i początkowo Saula szokował jej brak jakichkolwiek skrupułów i wstydu, ale to szybko minęło pod wpływem czarów, jakie sprawowały nad nim jej doświadczony ręce i usta.

Pewnego popołudnia, gdy nieoczekiwanie zrobiło się ciepło, zażądała, aby kochali się na dworze, w zdziczałej, zarośniętej, niewidocznej z domu części ogrodu.

Potem uśmiechnęła się z rozmarzeniem, ukazując zęby skradającego się kota, i szepnęła:

- Mmm, zupełnie jak u D. H. Lawrence'a, ale chyba wolę robić to w domu, a jest jeszcze parę rzeczy, których nie próbowaliśmy.

Kiedy ją trzymał w objęciach, żeby przedłużyć ich bliskość, przytuliła się do niego i wytłumaczyła mu dokładnie, o co jej chodzi.

Ciągle go to jeszcze szokowało, ta jej wręcz agresywna zmysłowość, ale zbyt był nią zauroczony, by o cokolwiek pytać, by kwestionować jej niewątpliwe wcześniejsze doświadczenia erotyczne. Wiedział, że jest o rok od niego starsza, ale był wysoki i dobrze zbudowany i w wieku lat siedemnastu śmiało mógł uchodzić za dziewiętnasto - czy nawet dwudziestolatka.

Zbiło go z tropu, gdy przekonał się, że najchętniej kochała się w gabinecie ojca. Początkowo czuł się tam nieswojo, ale uczucie to szybko zostało stłumione przez pożądanie i

sposób, w jaki go podniecała.

Wymyśliła zabawę, w którą lubiła się z nim bawić właśnie w gabinecie ojca. Mówiła, że jest sekretarką, a on miał ją tam wzywać i się z nią kochać. W tym celu ubierała się jak sekretarka, ale pod spodem nie miała nic; czasem była tylko w pończochach. Kiedy indziej sama przejmowała inicjatywę. Siadała przed nim na biurku i zdejmowała ubranie, sama się dotykając, a jemu nie pozwalając na żadne poufałości, dopóki nie uznała za stosowne.

Często, gdy go w końcu dopuściła do łask, tak był podniecony, że błyskawicznie było po wszystkim i czuł się oszukany, jakby go okradła z tej cudownej możliwości pokazania jej, jak bardzo ją kocha, jaki potrafi być czuły i dobry, z rozkoszowania się widokiem jej nagości.

Czasem, gdy ją opuszczał, miał podobne uczucie jak wtedy, w dzieciństwie, kiedy ojciec mówił mu o tym, jak ważny w życiu jest sukces. Było to uczucie pustki, nicości, jakby coś było niezupełnie w porządku, jakby mu czegoś brakowało.

Tak upłynęło im dziesięć dni, po czym Angelica oznajmiła mu, że wraca do college'u.

- Napiszę do ciebie - obiecała, a on jak głupi uwierzył. Jeszcze głupsze było to, że tak bardzo o niej marzył, tak bardzo tęsknił, że z czterech egzaminów zdał tylko dwa i musiał je powtórzyć.

A najgorsze, że zawiódł ojca, że pozwolił sobie na to, by zapomnieć, co jest jego najważniejszym celem. Robił więc wszystko, by ustrzec się przed popełnieniem podobnego błędu w przyszłości. Uczucia, mówił sobie, nigdy nie powinny górować nad ambicjami. Miał okazję się przekonać, do czego to prowadzi. Omal nie zrujnował całej swojej przyszłości - i to dla kogo? Dla dziewczyny, która nie napisała do niego nawet jednego listu, dla dziewczyny, która - z perspektywy czasu widział to bardzo wyraźnie - najzwyczajniej go wykorzystwała, która nigdy go nie kochała...

Żeby się ukarać za tę słabość, skoncentrował się wyłącznie na pracy, ucząc się do późna w noc, aż matka zaczęła protestować. Ojciec potrząsał głową i mówił, że czasami w imię sukcesu trzeba ponosić ofiary; że Saul jest młody i ostatecznie, jeśli zarwie parę godzin snu, to nic mu się wielkiego nie stanie... że on niestety nie miał takich szans jak jego syn, ale gdyby mógł jeszcze raz przeżyć życie...

Saul uciekał do swojego pokoju, nie mogąc znieść wyrazu smutku, jaki za każdym razem pojawiał się w oczach matki.

Tym razem zdał egzaminy z wynikiem celującym. Życie dało mu cenną naukę i przez cały czas pobytu w Oksfordzie robił wszystko, żeby się znów nie zaangażować uczuciowo.

Spotykał się z dziewczynami, owszem, z jedną czy dwiema nawet sypiał, ale zawsze jasno stawiał sprawę: podobają mu się w sensie fizycznym i seks jest wszystkim, czego od nich chce i co

sam ma do zaoferowania.

Dorobił się w ten sposób opinii chłodnego i pełnego dystansu. „Inteligentny jak wszyscy diabli”, określiła go jedna z dziewcząt, „zimny jak Syberia i tak seksowny, że aż się człowiekowi robi gorąco, kiedy na niego patrzy”.

Słyszając tę opinię, Saul uśmiechnął się do siebie ponuro. Był teraz znacznie mądrzejszy i nie tak naiwny jak w wieku lat siedemnastu. Doskonale znał się na tych prowokacjach, lecz ani myślał na nie odpowiadać. Miał przed sobą egzaminy końcowe, a po nich - jak dobrze pójdzie - rok Harvardu. I tym razem już nie zapomni tych wszystkich pożytecznych rad, jakich mu ojciec nie szczędził; tym razem nie pozwoli, żeby uczucia przeszkodziły jego ambicjom.

Zadzwoił telefon. Saul zmarszczył czoło i podniósł słuchawkę.

- O, Saul, dobrze, że cię złapałem.

Zmarszczka na czole Saula pogłębiła się, kiedy poznał głos sir Alexa. Facet uważa, że nie ma potrzeby się przedstawiać, jakby wszyscy musieli koniecznie wiedzieć, kto mówi.

- Bałem się, że już możesz być w drodze do Cheshire.

Delikatność, zwłaszcza w stosunkach z ludźmi, nie należała do cnót sir Alexa. Jego metody perswazji znacznie bardziej przypominały szantaż i słowną chłostę niż subtelną aluzję.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o naszej rozmowie - podjął Alex, kiedy Saul milczał. - Czy znów masz wyrzuty sumienia?

- Do Cheshire wyjadę, kiedy tylko pozałatwiam tutaj pewne sprawy - odparł Saul chłodno.

Nie miał do pozałatwiania żadnych spraw. Doskonale o tym wiedział, tak samo jak wystarczająco dużo wiedział o firmie Carey bez żadnych dogłębnych badań na miejscu, ale dosłownie jeżył się w sobie, słysząc prowokacyjny ton sir Alexa. Sposób bycia starszego pana zaczynał działać mu na nerwy. Było wiele rzeczy, które w nim szczerze podziwiał, ale w żadnej mierze nie chciałby być do niego podobny.

A jednak latami wytrwale zmierzał do tego jednego jedyne go celu: żeby zająć miejsce sir Alexa, kiedy pójdzie on na emeryturę. Owszem, zająć jego miejsce, ale w żadnym razie nie być nim.

Na biurku sir Alexa stało zdjęcie jego córki z czasów, kiedy kończyła Cambridge. Nie było go na uroczystości rozdania dyplomów, wyjechał w interesach. Rozwiódł się z żoną ponad dwadzieścia lat temu, a jego kontakty z córką, o ile Saul wiedział, ograniczały się głównie do wymiany kartek z życzeniami na Boże Narodzenie. Czy i on chce do tego doprowadzić? Czy chce takich właśnie stosunków ze swoimi dziećmi?

Nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w zazwyczaj pewnym sobie tonie szefa

zabrzmiała jak gdyby nuta samotności, a jeśli nie samotności, to przynajmniej osamotnienia. Obydwaj, i on, i sir Alex, są w oczach świata szczęśliwi i wszyscy im zazdroszczą, a przecież, jeśli zabrać im pracę, to co im, na dobrą sprawę, w życiu zostanie?

Przez dłuższy czas po skończonej rozmowie z szefem Saul siedział bez ruchu.

Pod ręką, na biurku, miał segregator, zawierający główne dane dotyczące Carey Chemicals. Sięgnął do segregatora i odwracając kartki zaczął czytać. Czytał szybko, zatrzymując się z rzadka, raz kiedy natrafił na fragment dotyczący powstania firmy, po raz drugi, kiedy znalazł dokumenty mówiące o poważnych stratach Gregory'ego Jamesa na rynku walutowym, i wreszcie przy informacji o tym, że obecnie firma znajduje się w rękach wdowy po Jamesie, a zarazem wnuczki założyciela, Daviny James.

Z pewnością będzie chciała, czy raczej będzie musiała sprzedać firmę. Nie ma innego wyjścia. Carey Chemicals znalazła się na granicy bankructwa. Saul domyślał się, i jakiego typu kobietą jest Davina. Zatrudnieni przez sir Alexa agenci dobrali się do wszystkiego. Tyle że w raporcie oszczędzono szczegółów licznych romansów Gregory'ego Jamesa; ograniczono się do wzmianki, że jego ciągłe zdrady małżeńskie były rzeczą ogólnie znaną i że żona j z pewnością o nich wiedziała.

Saul znał ten typ kobiet; nieraz się z nimi w życiu spotykał. Eleganckie, wiotkie, za chude, za nerwowe, zbyt kosztownie ubrane, przypominały mu kruche, porcelanowe bibeloty. Zawsze miał uczucie, że przy pierwszej próbie j jakiegokolwiek konkretnego działania taka kobieta popęka i się rozleci.

Jedne uciekały w seks, widząc w tym panaceum na obojętność mężów, inne w picie, jeszcze inne brały się nawet do jakiejś sensownej pracy, ale chyba żadna, pomyślał Saul, nie zdobyłaby się na podjęcie kroku najprostszego: żeby się przez rozwód uwolnić od upokorzeń nieudanego małżeństwa. Bogactwo, pozycja, pozory - wszystko to zawsze wydawało się ważniejsze od dumy, szacunku dla siebie i poczucia własnej wartości.

Kiedyś popełnił niezręczność mówiąc o tym przy Christie i do dziś pamięta, jak się na niego rzuciła - żeby się spróbował postawić w sytuacji takich kobiet, bo tylko wtedy by się naprawdę przekonał, do czego zostały zmuszone przez życie i okoliczności.

Skrzywił się na wspomnienie złości i oburzenia jego siostry, wywołanych faktem, że tak wiele przedstawicielek jej płci niemal od urodzenia wzrasta w przekonaniu, że nie powinny sięgać po to, co najlepsze, że mają ustępować innym i tylko dawać, a nie brać. Wiele z nich trwa w małżeństwie z powodu dzieci, wykrzyczała mu ze wściekłością.

Ale Davina James nie miała dzieci. W skupieniu Saul pochylił się nad ostatnią kartką, do której w nienagannym porządku przypinane były zdjęcia.

Wiele z nich przedstawiało budynki Carey Chemicals, ich fatalny stan i ubóstwo wyposażenia, wykluczające wytrzymanie jakiegokolwiek konkurencji przez firmę. Gdyby nie tamten pierwszy, najważniejszy patent na lek nasercowy i oparty na nim po latach drugi, firma zniknęłaby z powierzchni ziemi już dawno.

Saul znalazł jeszcze jedną fotografię. Na widok widniejącego na odwrocie podpisu „Davina James” zeszywniał i odwrócił zdjęcie.

Przedstawiało kobietę, która w niczym nie przypominała wizerunku, jaki powstał w jego wyobraźni. W dokumentach znalazł jej datę urodzenia, wiedział więc, że ma trzydzieści siedem lat, ale na zdjęciu wyglądała młodziej i tak jakoś krucho, że ogarnęło go dziwne uczucie.

Nie dopatrywał się w niej nic z „przeintelektualizowania”, jakiego się spodziewał. Była ubrana w dzinsy i męską koszulę i unosiła rękę, żeby odgarnąć z oczu kosmyk jasnych włosów. Miała rękawiczki ogrodowe, na policzku ciemną smugę, a u jej stóp, na ziemi, leżały grabki. Cera Daviny, bez makijażu, robiła wrażenie czystej i delikatnej i Saul, zupełnie bezwiednie, dotknął palcem jej twarzy.

Zamiast jednak ciepła żywej kobiety poczuł gładką, twardą powierzchnię fotografii.

Cofnął gwałtownie rękę.

Świadomość tego, że tak długo nie widziała się z Lucy i że za każdym razem, kiedy o niej wspomniała, Giles miał niewyraźną minę, napełniała Davinę poczuciem winy. Wiedząc więc, że w sobotę po południu Giles gra w golfa i Lucy będzie sama, postanowiła ją odwiedzić.

Przecież nie zrobiłam niczego złego, tłumaczyła sobie jadąc przez miasteczko. Zapewnienie wszystkim pracownikom firmy Carey środków do życia to jej obowiązek, a bez pomocy Gilesa nie byłaby w stanie tego dokonać.

Ale Giles był mężem Lucy, a zgodził się zostać ze względu na nią, Davinę. Nigdy nie rozmawiali o tym, co ich łączy, nigdy się nawet sami przed sobą do tego nie przyznali, ale przecież oboje wiedzieli... Czy wiedziała również i Lucy?

Serce Daviny zamarło. Ostatnia rzecz, na jaką miałyby ochotę, to kogokolwiek zranic, zwłaszcza Lucy, którą naprawdę szczerze lubiła. Zdawała sobie sprawę z tego, że w ich małym gronie towarzyskim nie wszyscy przepadają za Lucy, że Lucy jest inna: ekscentryczna, nie licząca się ze słowami, gwałtowna i impulsywna. Jak również bardzo atrakcyjna, przyznała Davina, spoglądając w zamyśleniu na łagodny krajobraz Cheshire.

A przy tym chyba bardzo nieszczęśliwa...

Odsunęła od siebie tę myśl. Widoczne rozczarowanie Lucy życiem i mężem nie ma z nią nic wspólnego. Lucy nie była typową „babą”. Nie lubiła długich, rozkosznych pogaduszek przy kawie, babskiego roztrząsania męskich wad w ogólności, a wad własnych mężów szczególnie, nie brała też udziału we wspólnym narzekaniu, które często kończyło się niebezpiecznie bliskimi prawdy uogólnieniami w rodzaju: przychodzi taka chwila, kiedy w stosunkach między kobietą a mężczyzną seks przestaje grać główną rolę i, jak to w obecności Daviny ujęła pewna mężatka, „lepiej sobie obejrzeć ciekawy serial, niż kochać się z własnym mężem”.

Lucy z otwartą, być może nawet zbyt otwartą pogardą wyrażała się o tego typu babskich zwierzeniach. Była inna i dlatego właśnie, z powodu tej odmienności, kobiety uważały ją za niebezpieczną.

Davina nie podzielała tej opinii. Lubiła Lucy, a kiedy Giles przyszedł do Carey, nawet jej trochę zazdrościła. Wszystko wyglądało wtedy inaczej. Ona, Davina, nie знаła jeszcze Matta, a tamci dwoje byli tak nieprzytomnie w sobie zakochani, że na sam ich widok jej biedne, samotne serce przeszywał ból.

Przypomniało jej się, jak to pewnego popołudnia, wkrótce potem, gdy się sprowadzili, przyszła do nich w odwiedziny i jak jej otworzył Giles, zaczerwieniony, z włosami w nieładzie,



przepraszając, że tak długo musiała czekać, a za nim na podeście schodów stała Lucy i Davina natychmiast poznała, że musieli się kochać.

Pamięta, jak bardzo im wtedy zazdrościła, jak bardzo czuła się samotna.

A teraz miała wyrzuty sumienia, chociaż wmawiała sobie, że zupełnie bez powodu.

Zaparkowała na podjeździe i ruszyła w stronę drzwi. Pamiętała swoją pierwszą wizytę i zdumienie, jakie wywołał w niej widok wnętrza. Dom Lucy pełen był harmonijnie dobranych barw i ciepła. Wszelkie odcienie koloru brzoskwiowego i terakoty doskonale pasowały do jej ciemno - rudych włosów, zaś chłodne błękity, zielenie i żółć podkreślały oczy i karnację gospodyni. Ten dom jest jak Lucy, pomyślała Davina, jej kobiecość emanuje nawet z miękkich, zmysłowych poduszek. Dom, w którym nawet w pochmurne dni świeci słońce.

Tego dnia na dworze świeciło słońce, ale gdy Lucy otworzyła drzwi, Davinę przeraził jej wygląd - była blada, zgaszona, zupełnie niepodobna do normalnie tryskającej życiem Lucy.

- Strasznie dawno cię nie widziałam - zaczęła nerwowo Davina. - To przez tę firmę. Tyle mi zabiera czasu...

Idąc za Lucy do kuchni, zdała sobie sprawę, że mówi za szybko, jak katarzynka.

- Ciekawe, Giles też się zawsze w ten sposób tłumaczy - odpowiedziała Lucy cierpko. - Firma. Póki żył Gregory, jakoś cię to nie interesowało, prawda?

Davina wyczuła w jej głosie wrogość i serce w niej zamarło. Tego się bała najbardziej: że Lucy będzie miała jej za złe, że zatrzymała Gilesa w firmie.

- Lucy, wiem, co czujesz - zaczęła niepewnie - ale...

- Czyżby? - przerwała jej Lucy z goryczą. - Przecież to nie ty siedzisz cały dzień w domu, czekając na powrót męża. Dlaczego ci tak nagle zaczęło zależeć na firmie, Davino? Dopóki żył Gregory, nic cię to nie obchodziło.

- Bo wtedy nie zdawałam sobie sprawy z problemów Carey - odparła Davina. Przynajmniej w tej sprawie może być z Lucy zupełnie szczerą. Tyle jej się należy: uczciwość. - Muszę starać się utrzymać firmę. Nie mogę pozwolić na jej zamknięcie.

- A to czemu? Jesteś chyba finansowo niezależna?

Davina drgnęła, słysząc w jej głosie oskarżenie.

- Tak - przyznała. - Ale nie chodzi o pieniądze, Lucy. Nie chodzi o mnie...

- Więc o kogo? - spytała Lucy z ironią. - O Gilesa?

- Jeżeli firma zostanie zamknięta, przeszło dwieście osób straci pracę, a trudno im będzie znaleźć inną.

- Giles znajdzie pracę - oświadczyła Lucy z uporem.

- Nie ma żadnego powodu, żeby dla Carey Chemicals marnował swoje szanse. A poza

tym jest moim mężem.

- Wiem, że jest twoim mężem. - Davina nie mogła patrzeć jej w oczy. Widziała, jaka Lucy jest zła, jaka wściekła, ale w jej spojrzeniu było coś więcej niż gniew; były w nim ból i bezbronność. Davina nie widywała jej w takim stanie i poczuła się niepewnie.

Zawsze trochę zazdrościła Lucy - zazdrościła jej beztroski, pewności siebie, żywiołowej zmysłowości i umiejętności wyciągania z życia wszystkiego, co się da, ale głównie zazdrościła jej miłości Gilesa. Nie dlatego, żeby chciała Gilesa dla siebie, w żadnym razie... Nie, zazdrościła Lucy tego, że jest kochana, pożądana i potrzebna\* że znajduje się w centrum czyjś świata.

Kiedys zaznała czegoś podobnego, jednak tylko na bardzo krótko, i był to zaledwie cień tego, co łączyło Lucy i Gilesa.

Co się z nimi stało? Co się stało z tą ich miłością? Mogła zrozumieć złość Lucy z tego powodu, że Giles nie odszedł z firmy, ale przecież musi wiedzieć, jak bardzo lojalnym człowiekiem jest jej mąż...

- Pomyślałam sobie, że może miałabyś ochotę pojechać kiedyś do Chester na zakupy? - powiedziała Davina, chcąc zmienić temat na mniej drażliwy.

- Na zakupy? Kiedy firma stoi w obliczu bankructwa i ludzie tracą pracę? - odparła Lucy złośliwie.

Davina zaczerwieniła się, tym razem ze złości. Lucy świadomie robiła się coraz bardziej agresywna... jak dziecko. Po raz pierwszy Davina uświadomiła sobie, że żona Gilesa ma w sobie coś z dziecka, i że właśnie ta mieszanka dziecinnej niesforności i kobiecego erotyzmu czyni ją tak bardzo pociągającą.

Nie dała za wygraną.

- Lucy, bardzo mi przykro, że jesteś zła na Gilesa za to, że postanowił jeszcze trochę zostać w firmie...

- A więc to on postanowił zostać, tak? - spytała Lucy z ironią.

Davina z ciężkim sercem słuchała pełnych gorzkości słów Lucy. To naturalnie jej wina, że namawiała Gilesa do zostania, ale co miała robić? Gdyby odszedł, firma upadłaby natychmiast. Nie było dosłownie nikogo, kto by miał ochotę ją przejąć. Próbowwała to wyjaśnić Lucy, ale ta jej nie słuchała.

- Giles nie robi tego dla firmy, Davino - przerwała jej gniewnie. - Robi to dla ciebie. Wiesz o tym dobrze, i ja o tym wiem. Nawet Gregory to wiedział.

Davina nie potrafiła ukryć, jak bardzo nią to wstrząsnęło. Widać to było po jej oczach, po nagłym rumieńcu, jakim się oblała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała z tłumionym gniewem.

- Nie udawaj, Davino. Giles musiał ci mówić o swoich nieporozumieniach z Gregorym na temat tego, jak twój mąż prowadził firmę. Był przeciwny temu, co Gregory robił z pieniędzmi Carey Chemicals. Myślał o twojej przyszłości, niepokoił się o nią. Nawet groził Gregory'emu, że ci powie o jego poczynaniach. Gdyby Gregory żył, z pewnością wyrzuciłby go z pracy, i Giles dobrze o tym wiedział. Czy naprawdę myślisz, że robiłby to wszystko dla firmy? Przecież jemu nie o Carey Chemicals chodziło, Davino, tylko o ciebie.

- Nie... to nieprawda - zaprzeczyła Davina, ale poczuła się jak Judasz, nie tylko wypierając się Gilesa, ale odmawiając Lucy prawa do wyrażania goryczy i bólu.

Wyszła z uczuciem, że tylko pogorszyła sprawę. Nie zamierzała romansować z niczym innym, a już szczególnie z mężem przyjaciółki; chyba tyle Lucy wiedziała? Davina lubiła Gilesa, owszem, i czuła się pochlebiona... a nawet sprawiało jej przyjemność, że się nią interesował, ale nic więcej.

Wyjawszy to, że wykorzystała jego zainteresowanie, by go zatrzymać w firmie. I że interesując się nią, Giles oczywiście krzywdził Lucy. A Davina w żadnym razie nie chciała mieć cudzej krzywdy na sumieniu.

Przez okno na piętrze Lucy patrzyła, jak Davina odjeżdża. Powinna była ją znienawidzić, ale nie potrafiła. Za bardzo się bała. Co zrobi, jeżeli Giles ją zostawi? Kochała go, zawsze go kochała i zawsze będzie kochać, ale tyle się między nimi zmieniło... Sama czasem miała poczucie, że jest dla niego oschła, a nawet odpychająca, ale to dlatego, że tak bardzo ją zranił. Ból był nie do zniesienia, zżerał ją doprowadzając do szaleństwa, więc musiała się na kimś odegrać, a tym kimś był, rzecz jasna, Giles.

Nie, nie miałaby mu za złe, gdyby ją zostawił dla Daviny. Davina była wprawdzie starsza od niej, ale, na tyle jeszcze młoda, że mogła mu urodzić dzieci... synów.

Oczy Lucy zaszyły łzami. Synowie. Mężczyźni chcą mieć synów... za wszelką cenę. Synowie zawsze znaczą dla nich więcej niż córki. Przekonała się o tym mając sześć lat, w dniu, w którym matka powiedziała jej, że ojciec od nich odszedł i zamieszkał z kimś innym.

Lucy w pierwszej chwili nie zrozumiała, co matka miała na myśli mówiąc jej, że nie jest jedynym dzieckiem swojego ojca. Że ma braci przyrodnych, dwóch, o pięć lat młodszych od niej. Bliźniacy... dwaj chłopcy... synowie. Czy dla mężczyzny jedna córka mogła znaczyć w takiej sytuacji więcej?

- Kiedy tatuś wróci do domu? - pytała i pytała, aż wreszcie matka wrzasnęła:

- Nigdy! Rozumiesz? Nigdy. Nie chce nas. Nie chce ciebie. Ma teraz inne dzieci, dwóch synów, i woli ich od ciebie i ode mnie.

Lucy była przerażona, bo dowiedziała się, że jako dziewczynka nigdy, ale to nigdy nie

będzie tak kochana, jak byłaby będąc chłopcem.

Matka narzekała, że jest dzieckiem zbuntowanym, trudnym, nauczyciele skarżyli się na jej krnąbrność. Lucy nie zwracała na to uwagi. Gdy była nieznośna, ludzie przynajmniej nie mogli jej nie dostrzegać. Gdy była nieznośna, stawiała się prawie tak ważna jak chłopiec.

Wysoka na swój wiek, szczupła i niezgrabna, miała prawie piętnaście lat, kiedy nagle, prawie w ciągu jednej nocy, zmieniła się z brzydkiego kaczątka w zdumiewająco zmysłową dziewczynę.

Nagle okazało się, że ma figurę, piersi, talię, biodra. Nagle jej nogi, szczupłe jak u żrebaka, stały się długie i smukłe. Nagle oczy zrobiły się intrygująco skośne, a usta nabrały tajemniczego wyrazu. Nieoczekiwanie odkryła siłę swego seksapilu i równie nieoczekiwanie, niemal z dnia na dzień, chłopcy odkryli ją.

Teraz wszystko się zmieniło. Teraz Lucy rozumiała, że jedno spojrzenie jej czarujących oczu, jedno potrząśnięcie grzywą rudych loków, jedno wydęcie warg wystarczyło, żeby każdy chłopak w okolicy znalazł się u jej stóp.

Ni z tego ni z owego posiadała coś, czego chcieli inni, i dzięki czemu była ceniona... kochana... a przynajmniej tak wydawało się spragnionemu uczucia dziecku, które nadal istniało w szybko rozwijającej się w nowej Lucy kobiecie.

Przez jakiś czas była szczęśliwa. Ludzie... chłopcy... interesowali sienią, mówili, że ją kochają, a potem, na trzy miesiące przed jej siedemnastymi urodzinami, matka oświadczyła, że wychodzi po raz drugi za mąż. Mężczyzna, za którego wychodziła, nie chciał mieć siedemnastoletniej pasierbicy, więc zdecydowano, że Lucy pojedzie do ciotki swojej matki do Londynu.

Lucy powtarzała wszystkim w szkole, że Londyn jest „najlepszym miejscem na świecie”, a nawet udawała, że to ona przekonała matkę, żeby pozwoliła jej jechać na stałe do ciotecznej babki.

Doprowadziła wtedy do perfekcji sztukę udawania. Gdy chłopcy, którzy mówili, że ją kochają, niezgrabnie szarpali ją za sukienkę i dotykali jej ciała rozpalonymi i spoconymi rękami, sama przed sobą udawała, że sprawia jej to przyjemność, że to lubi, w rzeczywistości jednak była przerażona i bardzo samotna. Ale nigdy by się do tego nie przyznała. Przed nikim.

Gdy skończyła osiemnaście lat, odeszła ze szkoły. Imiała się różnych przypadkowych zajęć. Pracy w Londynie nie brakowało, a Lucy zbyt była zajęta przyjemnościami, by myśleć o rzeczach tak nieciekawych i nudnych jak przyszłość.

Nie mieszkała już teraz z cioteczną babką. Teraz wynajmowała mieszkanie do spółki z trzema innymi dziewczynami; nie zawsze z tymi samymi. Żyły z dnia na dzień, beztrudnie. Lucy miała powodzenie; wszyscy starali się o jej względy. W wieku dwudziestu jeden lat była już trzy

razy zaręczona i odrzuciła kilka innych propozycji.

Jednakże gdzieś w głębi duszy, mimo że była lubiana, bała się... Bała się, że mimo to nie jest warta miłości, bała się, że mężczyźni kłamią mówiąc jej, że ją kochają. Ojciec mówił, że ją kocha, ale była to nieprawda. Porzucił ją. To samo zrobiła matka.

Lucy postanowiła, że jeżeli jeszcze kiedyś w życiu miałaby się z kimś rozstawać, to ona będzie tą stroną, która odejdzie.

Z ładnej dziewczyny wyrosła na zdumiewająco piękną kobietę. Mężczyźni zachwycali się nią. Teraz była jednak ostrożniejsza, mniej skłonna do dawania z siebie czegokolwiek. Nauczyła się, że mężczyźni najbardziej cenią to, co najtrudniej zdobyć. Robiła więc wszystko, by trudno było ją zdobyć. Bardzo trudno.

A potem spotkała Gilesa.

Pracowała w pewnej londyńskiej firmie, Giles zaś w agencji pośrednictwa pracy, która polowała na nowego dyrektora do spraw reklamy.

Któregoś popołudnia przyszedł zobaczyć się z szefem Lucy. A potem przyszedł następnego dnia i znów następnego i tak przez cały tydzień, aż w końcu zebrał się na odwagę, żeby się z nią umówić.

Nie był w jej typie. Wydawał jej się za cichy, zbyt nieśmiały, ale zaczął ją tak oblegać, że wreszcie, po trosze żeby się odczepić, a po trosze z rozbawienia, zgodziła się na spotkanie.

Dopiero jednak po piątej randce musiała przyznać, że chociaż Giles może i nie jest w jej typie, to przecież sposób, w jaki ją traktuje, jak ją psuje i rozpieszcza, sprawia jej przyjemność. Nie w finansowym sensie - pieniądze jako takie nie robiły na niej specjalnego wrażenia, chociaż owszem, lubiła ładne rzeczy i w tym znaczeniu była materialistką. Chodziło o co innego - o to, że dosłownie płała się w jego miłości, że ta miłość ją spowijała i że - kiedy byli razem - Giles nigdy nawet nie spojrzał na inną.

Lucy była młodą, piękną dziewczyną, ale jej wychowanie, warunki życia i mężczyźni, z jakimi się do tej pory zadawała - wszystko to nauczyło ją, że chociaż może ze względu na swoją atrakcyjność jest pożądana i ceniona, to przecież jej wielbiciel nieustannie, często nawet niezbyt taktownie, upewniają się, że jest najładniejsza w towarzystwie, że inni mężczyźni im zazdroszczą. Z Gilesem było zupełnie inaczej, chociaż nie ulegało wątpliwości, że zupełnie stracił głowę i że jest w niej po uszy zakochany.

Lucy, przez całe życie niesyta takiej miłości, odpowiedziała na nią żarliwie.

Pozę szorstkiej i przemądrzałej kobiety, jaką zwykła przybierać na użytek mężczyzn, zamieniła przy Gilesie na znacznie łagodniejszy sposób bycia. Warstwy cynizmu zaczęły z niej opadać, a kiedy ją całował i czuła, jak drży na całym ciele, zamiast wyszydzać jego słabość,

stwierdziła, że ma ochotę się do niego tulić.

Z jego zachowania wysnuła wniosek, że Giles okaże się nieśmiałym i niezręcznym kochankiem, po wspólnie jednak spędzonym weekendzie zaskoczona stwierdziła, że jest zgoła inaczej.

Nie zaprosił jej, jak by to zrobił któryś z jej dawnych adoratorów, do drogiego, modnego hotelu, gdzie w dzień mógłby się nią chwalić przed innymi mężczyznami, a w nocy kochać się w anonimowym wnętrzu pokoju.

Zamiast tego Giles wynajął, jak się nieśmiało wyraził, „chatę”. Nie była to jednak obskurna, nędznie wyposażona rudera, jakiej się obawiała Lucy. Giles dowiódł dużej wrażliwości i - co ją szczególnie zaintrygowało - głębokiej znajomości jej upodobań. „Chata” bowiem okazała się małym wiejskim domkiem położonym w okolicy Bath, bo - jak się wyraził - pomyślał, że może chciałaby, skoro już tu są, zwiedzić to miasteczko.

- O ile wiem, jest tu trochę dobrych sklepów - powiedział, spoglądając na nią nieśmiało w półmroku wieczoru.

Sklepy! Lucy uśmiechnęła się do siebie. Giles był znacznie bystrzejszy, niż przypuszczała - Za niczym tak nie przepadała jak za zakupami. Z pewnym niesmakiem przypomniała sobie, jak to musiała używać różnych wybiegów, żeby wymusić na jednym ze swoich poprzednich wielbicieli wspólną wyprawę na zakupy i jak bardzo się ociągał, gdy przyszło do płacenia.

Te machinacje nigdy jej w przeszłości nie przeszkadzały, dlaczego więc teraz nagle odczuwa opory przed cynicznym naciąganiem Gilesa? Odsunęła od siebie tę myśl zastanawiając się, czy „chata” wewnątrz wygląda równie reprezentacyjnie, jak z zewnątrz.

Domek otoczony był dużym ogrodem kipiącym od kwiatów, pnących róż i klematisów, które doskonale harmonizowały z blad różowym frontem budynku.

Lucy nie była rozczarowana.

Wewnątrz pachniało pastą i świeżymi kwiatami, które były wszędzie, i to, jak zauważyła przechadzając się po pokojach na dole, w jej ulubionych kolorach. W holu, gdzie świeżo wyfroterowaną podłogę przykrywał dywan, stał okrągły stół, a na nim bukiety ostróżek i bzów w różnych odcieniach błękitu i fioleto.

W salonie, dużym i elegancko umeblowanym, królowały dla odmiany biel i róż: kanapki ze stertami poduszek i stoliki z bukietami kwiatów, w tym olbrzymich róż, prosto z wiejskiego ogrodu.

Lucy dotknęła jednej z nich - płatki były jeszcze wilgotne, jakby kwiaty zostały zerwane przed chwilą.

Na kominku płonęły prawdziwe polana, a delikatny zapach suchego drewna mieszał się z

aromatem róż.

Za plecami Lucy usłyszała głos Gilesa:

- Te róże przypominają mi ciebie - kolor, zapach i dotyk twojej skóry. - I już po chwili była w jego objęciach, czuła na karku i na szyi jego usta i wiedziała, ponad wszelką wątpliwość wiedziała, że Giles sam wybierał te kwiaty.

Coś w jej wnętrzu, jakaś głęboko ukryta część jej osobowości, która się nigdy do tej pory nie odsłoniła, wezbrała uczuciem. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że jakoś dziwnie pieką ją oczy i że to łyzy... a że serce... serce, a nie tylko ciało, przepętnia miłość.

Czuła, jak mocno przytulony do niej od tyłu Giles drży.

Wiedziała, jak bardzo jej pragnie, a jednak puścił ją w pewnej chwili, przepaszając nieśmiało:

- Wybacz, co za dureń ze mnie.

Lucy spojrzała na niego zaskoczona. Jedna z jej współ - mieszkanek powiedziała kiedyś, że Giles jest bardzo przystojny, mocno zbudowany i męski. Ona sama nigdy tego nie dostrzegła, ale teraz nagle zauważyła.

Zła na siebie, a jednocześnie trochę przestraszona, instynktownie przybrała swoją zwykłą, cyniczną postawę. Wzruszyła ramionami i bawiąc się płatkami róży powiedziała:

- Przecież chyba się nam nie spieszy, prawda? Mamy przed sobą długi weekend. Całe cztery dni.

Oślupiała na widok wyrazu, jaki dostrzegła w jego oczach.

- Całe życie byłoby dla mnie za mało - odparł nieswoim głosem.

Kiedy potem pozwolił jej iść samej na górę i zajął się rozpakowywaniem rzeczy, była nieco zdziwiona.

W domu znajdowało się pięć sypialni, w tym dwie z łazienkami. Wybrała mniejszą z nich, urzeczona jej wiejskim wystrojem. Sufit, wyklejony estetyczną tapetą, opadał ku dwóm mansardowym oknom. Łóżko było wysokie, staromodne, a podłoga pokryta morelowym dywanem, który nadawał całej sypialni ciepły, przytulny charakter. Łazienka, prosta, ale funkcjonalna, była wyposażona w białe, staromodne sanitariaty i wielką wannę z mosiężnymi kranami. Jedyne ukłon w stronę nowoczesności stanowił rząd szafek, nad którymi, jak z zadowoleniem zauważyła Lucy, zainstalowano lustra i dyskretne oświetlenie. Podłoga lśniła, a kabinę prysznica zamykały prawdziwe drzwi zamiast plastikowej zasłony, do jakiej była przyzwyczajona.

Słyszac, że Giles idzie na górę, otworzyła szybko drzwi łazienki.

- Nie zamawiałem na dziś kolacji, bo... bo nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę - powiedział nieśmiało.

Na co on miałby ochotę, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, pomyślała Lucy. Miotła się pomiędzy irytacją a nagłym, nieoczekiwanym napięciem, niemal zdenerwowaniem. Ona zdenerwowana? I to z powodu Gilesa? Absurd.

- Ochotę to ja mam w tej chwili przede wszystkim na prysznic - powiedziała chłodno. - A potem... z pewnością nie mam ochoty na... - Celowo zawiesiła głos, przyglądając mu się intensywnie i czekając, żeby się rozzłościł albo zaczął ją do czegoś zmuszać, ale on tylko patrzył na nią, nie spuszczać wzroku. - Jestem głodna - zakończyła rozdrażniona, nagle niepewna siebie i z tego powodu przestraszona. - A nie zamierzam udawać kobieciątka i bawić się w gotowanie.

Wzięła od niego swoją walizkę, cofnęła się i zamknęła mu drzwi sypialni przed nosem. Przez kilka minut stała bez ruchu zastanawiając się, co zrobi, po czym usłyszała, jak schodzi na dół.

Rozebrała się i wzięła prysznic, cały czas niepewna, czy jest rozczarowana, czy rada z tego, że tak łatwo przełknął jej odprawę. Większość mężczyzn, których знаła, już do tej pory z pewnością dobijałaby się swego.

Wychodząc spod prysznica spojrzała w lustro. Ciało miała dobre: może trochę zbyt pełne piersi jak na wymogi obecnej mody, ale za to szczupłą talię, długie nogi i budowę szlachetnego konia wyścigowego. Jej lśniąca, zdrowa skóra, z lekką brzoskwiniową opalenizną, pachniała balsamem nawilżającym, którego nigdy nie zapomniała użyć.

Na policzkach miała wypieki i oczy wielkie jak po narkotykach. Zdenerwowana, wysuszyła włosy i powoli umalowała twarz.

Giles gdzieś zniknął, a w domu panowała taka cisza, że Lucy zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostawił jej samej, ale kiedy wyjrzała przez okno, dostrzegła w ciemności sylwetkę samochodu.

Otworzyła drzwi i wyszła. Wystarczająco wiele razy przeżywała podobne sytuacje, żeby wiedzieć dokładnie, o co chodzi.

Dlaczego więc jest taka zdenerwowana, taka napięta?

Kiedy stawiała nogę na ostatnim stopniu, otworzyły się drzwi kuchni i zobaczyła w nich Gilesa. I on się przebrał, a jego mokre włosy świadczyły o tym, że wziął prysznic. Widocznie, uświadomiła sobie z pewną goryczą, musiał się ulokować w innym pokoju.

- Kolacja gotowa - powiedział.

Lucy patrzyła na niego w osłupieniu. Ciekawe, jak on to załatwił. Przecież nie zamówił kolacji do domu. W każdym razie nie tutaj.

- Pomyślałem, że może zjemy sobie w saloniku - zaproponował.

Lucy skinęła głową, po raz pierwszy nie znajdując słów.



W godzinę później, dojadając mus czekoladowy, musiała sama przed sobą przyznać, że zrobił na niej wrażenie.

Jedzenie, które, jak jej się zwierzył, przywiózł w koszyku z Londynu, było wspaniałe, a zarazem, jak się domyślała, piekielnie drogie. Znalazł się też różowy szampan, który wielu miało w pogardzie, ale który ona wprost ubóstwiała.

Zaczęli posiłek od posiłek, potem był łosoś na zimno z sałatkami, sorbet z kroplą alkoholu, a na koniec mus z prawdziwej gorzkiej czekolady, którego obie porcje, i swoją, i Gilesa, pożarła łakomie.

Było to menu wyraźnie dobrane dla kobiety, a nie mężczyzny, i Lucy znów ze zdumieniem pomyślała, ile Giles wykazał subtelności, próbując zaspokoić wszystkie jej zachcianki.

Teraz, zwinięta w kłębek na kanapie, patrzyła, jak Giles sprząta ze stołu. Czowała się zrelaksowana i syta, i - jak sobie nagle uświadomiła - szczęśliwa.

Zapachowe świece, które Giles zapalił podczas posiłku, napełniły pokój zmysłowym aromatem, który wdychała z lubością.

Miała na sobie prostą - naturalnie jeśli chodzi o fason, bo w gruncie rzeczy bardzo drogą - sukienkę, lekką i cienką. Teraz, kiedy zmieniała pozycję, zdała sobie nagle sprawę, że jej piersi sterczą prowokacyjnie pod zwiewnym materiałem, a całe ciało ogarnia fala bolesnego pożądania.

Kiedy Giles wrócił, uśmiechnęła się do niego z rozmarzeniem, tajemniczo mrużąc oczy. Podszedł i pochylił się nad nią. Delikatnie ujął ją pod brodę, a ona odczuła dotyk jego chłodnej, mocnej dłoni jako coś bardzo miłego. Czubkiem palca przejechał delikatnie, niemal nieśmiało, po jej ustach. Rozchyliła wargi, zamknęła oczy i zmysłowo wysunęła język, nie było w tym jednak nic przemyślanego ani udanego - Lucy rzeczywiście czuła się podniecona i kiedy całym ciałem podała się ku niemu, usłyszała jego szept:

- O Boże, Lucy, o Boże...

Nigdy dotychczas nie całował jej tak zachłannie. Słyszała, jak jej powtarza, że smakuje czekoladą, ale kiedy zaczęła go pieścić językiem, zamilkł.

Nigdy, ale to nigdy, jak sobie później uświadomiła, nie pragnęła się kochać z żadnym mężczyzną tak bardzo jak z Gilesem. Dosłownie nie mogła się doczekać, kiedy się pozbędzie ubrania, kiedy on się wreszcie rozbierze. Czowała, jak bardzo jest podniecony, i ta świadomość podniecała ją jeszcze bardziej.

Mężczyźni już wcześniej oglądali jej nagość, ale żaden z nich nie patrzył na nią w ten sposób: jakby zobaczył cud, niezmiernie dziwne zjawisko, jakby miał w oczach niebo.

A potem zaczął ją dotykać, całować, już nie nieśmiało ani niezdarnie, tylko z prawdziwą

wrażliwością kochanka świadomego sprawianej rozkoszy. Kiedy poczuł, jak drży, gdy ustami dotykał szczególnie wrażliwego miejsca na jej szyi, powtórzył ten pocałunek powoli, smakując go i przedłużając; bez zbędnych słów wiedział, jak sprawić Lucy przyjemność.

Zarówno ta znajomość jej upodobań, jak i własna reakcja na Gilesa wprawiały Lucy w nieustanne zdumienie. Stwierdziła, że jest zła, niemal zazdrosna o tę jego wiedzę, o kobietę czy kobiety, którym zawdzięczał taką sprawność. Jak jej jednak później powiedział, jego doświadczenia seksualne były znacznie skromniejsze niż jej. Miał po prostu bardzo silną motywację: chciał ją zadowolić, chciał ją kochać.

Spełnienie, które poczuła na długo, zanim doszło do samego aktu, zaskoczyło ich oboje, a szczególnie Lucy, nienawykłą do tego, by tak nie panować nad własnym ciałem.

Giles nie był egoistycznym ani wymagającym kochankiem, nie pozwolił nawet, żeby pieszczotą wyrównała rachunek. Kiedy cofnęła się, niemile zdziwiona, że delikatnie, choć zdecydowanie odsunął jej rękę, powiedział łagodnie:

- Kiedy to się stanie, chciałbym być w tobie.

Zrobiła szybki zapraszający gest, ale Giles potrząsnął głową.

- Nie, musisz tego pragnąć tak samo jak ja.

Zaprzagnęła, nieco później, uśmiechając się w ciemności, kiedy w okamgnieniu było po wszystkim i kiedy odzyskała całkowitą kontrolę nad własnym ciałem, którą wtedy, ku swemu zdumieniu, utraciła.

Zasnęła w jego ramionach. Fakt, że się obudziła z nim w łóżku, i świadomość, że musiał ją śpiącą zanieść na górę, były dla niej czymś tak niezwykłym, że wzdrygnęła się przestraszona.

Aby się uspokoić, obudziła go, próbując wszystkie swoje niepokoje utopić w gwałtownym, namiętnym, niemal gniewnym akcie miłosnym, który znalazł swój finał we łzach.

Kiedy obudziła się rano, stwierdziła, że jest sama. Odwróciła głowę spoglądając na miejsce, w którym spał Giles i w którym, na poduszce, pozostał jeszcze jego delikatny zapach. Miotaly nią sprzeczne uczucia: z jednej strony była świadoma jego odmienności od wszystkich mężczyzn, z jakimi dotychczas miała do czynienia, z drugiej bała się tej odmienności i własnej reakcji na nią.

Przyszedł, zanim zdążyła wstać z łóżka. Przyniósł, jak się zorientowała po tacy, którą trzymał przed sobą, śniadanie... dla niej, nie dla siebie. Był to bowiem sok pomarańczowy, który robił wrażenie świeżo wyciśniętego, ciepłe rogaliki, miód i herbata - prawdziwa herbata, nie żadna ekspresowa, jaką zwykle pijała w domu. Wszystko to zostało podane na przykrytej serwetką tacy, na przyzwoitej porcelanie, z towarzyszeniem - zamiast obowiązkowej cieplarnianej różyczki, jak to bywało w hotelach, w których Lucy zatrzymywała się ze swoimi poprzednimi kochankami - bukietka świeżych, zerwanych w ogrodzie róż.

Zanurzyła twarz w wonnych płatkach, starając się ukryć przed nim bezsensowne łzy.

- A twoje śniadanie? - spytała, kiedy doszła do wniosku, że jej głos jest już wystarczająco pewny.

Uśmiechnął się do niej niemal po chłopięcemu.

- Ja sobie zrobiłem jajka na bekonie, bałem się, że nie będzie ci odpowiadał ten zapach. A teraz pójdę po gazety, żebyś mogła zjeść w spokoju.

Była wstrząśnięta, że Giles już zdążył ją tak dobrze poznać. Wiedział, że po wspólnie spędzonej nocy musi mieć jakiś czas dla siebie, żeby nabrać do tego wszystkiego dystansu, żeby odzyskać tak niezbędną w tej sytuacji równowagę psychiczną.

Lucy była osobą zmysłową, ale jednocześnie miała swój, może nawet zbyt wielki, udział w huśtawce emocjonalnej, jaką przeżywała jej matka po odejściu ojca.

O ile kochając się nie miała żadnych oporów dotyczących ciała, o tyle rytuału jak gdyby oczyszczania się i przygotowywania do kontaktów ze światem zewnętrznym wołała z nikim nie dzielić.

O ile znajdowała przyjemność w grze miłosnej polegającej na wspólnym prysznicu czy kąpieli, o tyle większą w jej pojęciu intymność przygotowywania się na spotkanie ze światem zewnętrznym wołała przeżywać w samotności. Żaden z jej dotychczasowych kochanków nie pojął tego tak szybko, tak instynktownie jak Giles. Kiedy wyszedł, wyobraziła sobie, jak szykuje śniadanie - wyciska pomarańcze, ścina róże. Każdy szczegół tego weekendu tak starannie zaplanowany... Spodobało jej się to. Świadomość, że zadał sobie dla niej tyle trudu, sprawiła jej przyjemność. Innej kobiecie pewien brak spontaniczności u mężczyzny mógłby przeszkadzać - ale nie Lucy. Dla niej spontaniczność oznaczała brak odpowiedzialności, niepokój, który sprawił, że ojciec opuścił matkę. Giles był inny: poważny, zapobiegliwy; Giles planował.

Był to cudowny weekend, przedłużony o dwa dni, ponieważ żadne z nich nie chciało dopuścić do tego, by czar prysł.

Giles zabierał ją na zakupy i na zwiedzanie okolicy, zawsze psując ją i rozpieszczając, co wprawiało ją w zachwyt i zadziwiało.

Dopiero w drodze powrotnej do Londynu wyznał jej, że nie wynajął tego domu, tylko że stanowi on własność jego chrzestnej matki.

Lucy już wcześniej wiedziała, że jego rodzice nie żyją. Urodził się jako późne i jedyne dziecko, ubóstwiane zarówno przez ojca, jak i przez matkę.

Kiedy jej powiedział, że ją kocha, nie tylko uznała, że nie rzuca słów na wiatr, ale zaczęła poważnie podejrzewać, że jest to uczucie odwzajemnione.

O dziwo, nie przeraziło jej to i kiedy w trzy miesiące później zaproponował jej

małżeństwo, przyjęła jego oświadczyzny.

Nastąpiła idylla. Po raz pierwszy w życiu, zaznawszy poczucia bezpieczeństwa, Lucy powoli traciła czujność.

Dzieci. Z pewnością będzie chciał mieć dzieci. Spytała go o to przed ślubem, ale potrząsnął tylko głową i powiedział jej, że tak naprawdę zależy mu jedynie na niej.

- Może kiedyś, jak bardzo zapragniesz... - odparł. - Ale dziewczynki, Lucy, żeby to były koniecznie dziewczynki, bo o chłopców mogę być zazdrosny.

Śmiała się wtedy. Jego słowa jak gdyby ostatecznie przypieczętowały ich szczęście.

I rzeczywiście byli szczęśliwi, jak sobie teraz z bólem uświadamiała. Może nawet za szczęśliwi. Już sama barwa i intensywność tego szczęścia powinny stanowić dla niej wystarczające ostrzeżenie.

Nigdy nie planowała ciąży; był to przypadek. Jakieś krótkotrwałe zatrucie pokarmowe, które zniosło działanie pigułki antykoncepcyjnej. Kiedy się zorientowała, że jest w ciąży, było już za późno, żeby cokolwiek na to zaradzić.

Początkowo była wściekła, zarówno na Gilesa, jak i na dziecko, które w sobie nosiła. Miała trzydzieści trzy lata i ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, był dzieciak.

Mimo wysiłków, by je zwalczyć, powróciły dawne obawy, jakie żywiła, zanim zakochała się w Gilesie. Była na zmianę niespokojna i szczęśliwa, wściekła i zrezygnowana, ale uparcie nie chciała wyjaśnić Gilesowi, o co chodzi. Myślał, że przyczyną jej stanów emocjonalnych jest niechciana ciąża i że Lucy obarcza go za to winą, podczas gdy w gruncie rzeczy ogarnęła ją panika, że podzieli los matki: że Giles odrzuci dziecko razem z nią.

Lucy ani nie analizowała swoich lęków, ani tym bardziej ich z nikim nie omawiała. Jej lekarz miał poglądy konserwatywne i nie akceptował przyszłych matek, które nie okazywały stosownego zachwyty swoim stanem.

W miarę jak ciąża się rozwijała, Lucy ogarniał coraz większy lęk, poczucie zagrożenia i złość. Jednocześnie niemal namacalnie wyczuwała, jak Giles się od niej oddala. Jeśli dawniej starał się spać jak najbliżej niej, to teraz wręcz odwracał się od niej.

Jej ciało zmieniło się w sposób wyraźny; wraz z dzieckiem nosiła w sobie mnóstwo wody, która sprawiała, że Lucy czuła się jakaś ogromna. Nic dziwnego, że Giles jej nie chciał. Nie przyznawał się do tego naturalnie, twierdząc, że to wszystko dla jej dobra, że widzi, jak bardzo jest zmęczona, jak wielką odczuwa niewygodę.

Zaczęła źle sypiać - kręciła się i przewracała z boku na bok, a którejś nocy obudziła się i nie znalazła przy sobie Gilesa. Stwierdziła, że śpi sobie w najlepsze w gościnnym pokoju. Obudziła go, wściekła, zarzucając mu, że to wszystko jego вина, że go nienawidzi, że nienawidzi dziecka...

Nigdy dotychczas nie czuła się tak samotna i przerażona jak teraz. Przyzwyczyła się do obecności Gilesa, do tego, że ma się na kim oprzeć, że ma ją kto kochać, i teraz nagle... wszystkiego tego zabrakło.

Była zła, kiedy ludzie pytali ją o dziecko, całe jej ciało jak gdyby tężało w odruchu niechęci, a jednocześnie kierował nią jakiś ślepy instynkt, jakaś potężna siła.

Stwierdziła, że podświadomie zaczyna inaczej się odżywiać, że oszczędza siły, więcej sypia. Jakby jakaś jej część, znajdująca się poza kontrolą, dbała o dziecko mimo jej rozgoryczenia i rozpacz.

Po raz pierwszy poczuła ruchy będąc w ogrodzie i zrywając kwiaty do przybrania stołu na wieczorne przyjęcie. Wstrząśnięta, upuściła bukiet i stała przez chwilę nieruchomo, z oczami pełnymi łez, ale kiedy przyszedł Giles, nie wspomniała mu o tym ani słowem.

Otworzyła się między nimi przepaść. W tamtych czasach nawet na nią nie spojrzął bez skrzywienia, a jego pocałunki były jedynie zdawkowymi cmoknięciami w policzek.

Ich wieczornymi gośćmi mieli być miejscowy adwokat z żoną. Pozycja Gilesa w firmie Carey była już teraz dość mocna, mimo że nie cierpiał Gregory'ego Jamesa. Nie należał do ludzi, którzy się jakoś szczególnie szybko pną w górę, ale jak długo był zadowolony on, była zadowolona i Lucy. W sensie finansowym stanowił niezłą partię i nie skąpił żonie pieniędzy. Jego chrzestna matka umarła wkrótce po ich ślubie, a odziedziczone po niej pieniądze, mądrze zainwestowane, przynosiły niezły dochód, zapewniając im dostatnie życie.

Żona adwokata, o parę lat młodsza od Lucy, wyglądała jednak od niej sporo starzej. Miała trójkę drobnych dzieci i całe jej życie obracało się wokół spraw domowych.

- Czy maleństwo już kopie? - zwróciła się do Lucy przy kolacji. - Pamiętam, że jak tylko John zaczął fikać, to nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Alistairowi... Cały wieczór siedziałam z wypiętym brzuchem, na którym Alistair trzymał rękę, żeby nie przegapić następnego ruchu małego. Było to jakoś w środku zimy.

Ręka Lucy zadrżała, kiedy podnosiła do ust widelec. Giles nie mógł teraz na nią patrzeć, a cóż dopiero dotykać - przynajmniej tak jej się wydawało.

W szóstym miesiącu ciąży zaczęła rodzić. Giles wyjechał właśnie służbowo i nie miał kto jej towarzyszyć w karetce pogotowia, przysłanej szybko przez szpital w odpowiedzi na telefon przerażonej Lucy.

Syn urodził się, zanim Giles zdążył przyjechać. Ale nie dano go matce, musiał leżeć w inkubatorze.

Jest bardzo słaby, powiedziano im, kiedy w dwie godziny później pojawił się Giles, blady i wyczerpany.

Do Lucy, będącej ciągle jeszcze w szoku i pod wpływem środków uspokajających, niewiele dotarło z tego, co mówili lekarze. Wszystko było takie nieoczekiwane, bez żadnych wcześniejszych objawów ani znaków ostrzegawczych.

- Czasem się tak zdarza - uspokajały ją pielęgniarki, ale Lucy nie przyjmowała tego do wiadomości. Miała wyrzuty sumienia - uważała, że to z jej winy dziecko przedwcześnie przyszło na świat. Rozpaczliwie pragnęła zobaczyć małego, ale straciła bardzo dużo krwi i nie pozwalano jej się ruszać.

Obiecano jej, że zobaczy go rano, a tymczasem przerażony Giles widząc, jak bardzo jest słaba i krucha, nieporadnie próbował opisać jej syna.

Jego niezdarny, suchy opis tylko utwierdził Lucy w przekonaniu, że to jej wina i że Giles jest na nią zły za ten przedwczesny poród, podczas gdy w rzeczywistości Giles usiłował wymazać z pamięci widok przerażająco kruchego ciała, spowitego w rurki i przewody, jakie widział przez szybę dzielącą go od oddziału wcześniaków.

Dopóki nie zobaczył noworodka, nie zdawał sobie sprawy, jakie wrażenie wywrze na nim widok własnego dziecka. Wiedział, że Lucy nie chciała dzieci, ale kochał ją tak bardzo, że zaakceptował i to. Widział, jaka była zła, kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, i czuł, że ma do niego o to pretensje.

Przez cały okres jej ciąży Giles odczuwał coraz silniejsze poczucie winy. Zdawał sobie sprawę z niedogodności tego stanu i robił wszystko, żeby nie pogłębiać jej niewygody. Zaczął nawet sypiać w innym pokoju na wypadek, gdyby nie potrafił nad sobą zapanować. Tak boleśnie pragnął jej dotykać, wieść dłonią wzdłuż zaokrąglonych konturów ciała. Ze zdumieniem stwierdził, że widok wyraźnych objawów ciąży wydaje mu się tak bardzo zmysłowy i podniecający, że chciałby się z nią kochać, potwierdzać nieustannie to, co czuł do niej i do dziecka, które wspólnie spłodzili, a potem wstydził się tych potrzeb i uświadamiał sobie, że przecież Lucy nie podziela radości, jaką zaczynał odczuwać na myśl o mającym się urodzić maleństwie.

Teraz, w szpitalu, kiedy próbował jej opisać syna, przepełniała go miłość, a jednocześnie lęk wywołany widokiem kruchości noworodka... Czuł wzbierające łzy, ale wiedział, że przecież nie może płakać w obecności Lucy. Odwrócił się, nieświadom ręki, którą właśnie do niego wyciągnęła, prosząc gestem, by jej powiedział coś więcej.

Brak dziecka doprowadzał ją do rozpacz, a do tego uczucia zupełnie nie była przygotowana. Chciała mieć małego przy sobie, trzymać go w ramionach, tulić do piersi i ta niemożność wprawiała ją w rozterkę.

Wreszcie, w wiele godzin po wyjściu Gilesa, w obawie, że dostanie gorączki, pozwolono jej zobaczyć syna.

Pielęgniarka, która zawiozła ją na oddział wcześniaków, uprzedziła Lucy, czego się może spodziewać.

- Jest bardzo, ale to bardzo maleńki i ogromnie kruchy.

Lucy nawet jej nie słyszała.

- Moje dziecko... mój syn. - Czekwała w bolesnym napięciu, pełna miłości i lęku.

Niewielka salka tak pełna była sprzętu, że znajdujące się w niej pięć inkubatorów dosłownie zniknęło wśród monitorów i rurek.

Dyżurna pielęgniarka podniosła się z niezadowoloną miną na widok Lucy, która jej nawet nie zauważyła. Cała jej uwaga skupiona była na maleństwie w inkubatorze, jedynym pacjencie niewielkiego oddziału, na jej dziecku, jej synu... Sama nie wiedząc, co robi, wstała z wózka i cała drżąca, nie bacząc na własną słabość i protesty pielęgniarki, podeszła do inkubatora.

Maleństwo leżało na pleckach, z główką obróconą ku niej i z otwartymi oczami. Wzdrygnęła się na widok po - podłączanych do niego rurek i spazmatycznych ruchów kruchego ciała, niewiele większego od męskiej dłoni, towarzyszących każdemu oddechowi dziecka. Ogarnęła ją fala miłości.

Ledwie pohamowała chęć sięgnięcia do inkubatora i wyjęcia małego. Czułość i rozpacz opanowały ją z niespotykaną dotychczas siłą. W tej jednej chwili, kiedy patrzyła na swoje dziecko, wszystko inne stało się nieważne. Ogarnęła ją bolesna świadomość, że dla jego dobra nie może go dotknąć, przytulić, że sama próba wzięcia go na ręce mogłaby się okazać dla małego niebezpieczna.

Patrząc na swego syna i modląc się, by przeżył, wiedziała, że poświęciłaby dla niego wszystko, nie wyłączając własnego życia, a wspomnienie tego, że go kiedyś nie chciała, że w ogóle nie chciała dziecka, zmyła fala miłości. Dłuższą chwilę stała jeszcze nieruchomo, powtarzając w duchu: Boże, zachowaj go przy życiu. Boże, to wszystko moja wina, nie karz mojego syna za to, że go kiedyś nie chciałam.

Jej modlitwy nie zostały jednak wysłuchane. Był silnym dzieckiem, jak jej później ze współczuciem powiedziano, ale nie dość silnym, by przeżyć. Urodził się za wcześnie i jego organizm nie zdążył się w pełni rozwinąć.

Zanim jeszcze zdążyli ją zawiadomić, Lucy wiedziała, że dziecko nie żyje. Każdą chwilę spędzała na oddziale wpatrzona w małego, bojąc się choćby na chwilę spuścić go z oka, w milczeniu, żarliwie wspierając go siłą swojej miłości, wreszcie jednak, wbrew jej protestom, odwieziono ją z powrotem do łóżka.

Kiedy przyszedł Giles, błagała go ze łzami, żeby coś w tej sprawie zrobił i żeby jej pozwolili zostać z Nicholasem, a kiedy jej powiedział, że zgadza się z lekarzem, że jest na to

jeszcze za słaba, odwróciła się do niego tyłem i przestała się odzywać.

Przepaść, jaka między nimi powstała podczas jej ciąży, pogłębiła się po porodzie. Mimo że tego nie wiedziała, Giles miał do siebie pretensje o to, że go nie było, kiedy zaczęła rodzić. Gdzieś w jego podświadomości tkwiło przeświadczenie, że gdyby był przy niej, może by do tego nie doszło.

Kiedy przyszedł do szpitala, był tak przerażony jej mizernym wyglądem i tym, że może ją stracić, że zupełnie zapomniał o dziecku.

Ich dziecko. Serce Gilesa przepełniała miłość do Nicholasa, na wyrażenie której nie potrafił znaleźć słów, zwłaszcza wobec Lucy. Urodzenie małego kompletnie ją odmieniło. Z dziewczyny, która tak namiętnie odżegnywała się od ciąży, stała się smutną, nawiedzoną kobietą, ledwie świadomą czegokolwiek poza istnieniem dziecka. Oddaliła się od niego zupełnie. Kiedy jej dotykał, odsuwała się gwałtownie. W jej oczach widział tylko gniew i rozgoryczenie.

- Proszę cię, Giles, ja muszę być z nim. Muszę.

Jej głos, w którym brzmiała nuta paniki, nabrał wysokich, piskliwych tonów. Przemocna chęć bycia z dzieckiem walczyła w niej ze słabością, która nie pozwalała jej wstać i pójść do małego.

Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie chciała płakać. Wolą krzyczeć, wściekać się, aby dać upust złości i rozpacz, aby ich jakoś przekonać, że jej miejsce jest przy dziecku, w tym momencie jednak nadeszła pielęgniarka, która mocnym ruchem ujęła ją za rękę i stanowczo nakazała spokój.

Próbowała zwalczyć działanie środka usypiającego, jaki jej zaaplikowano, na siłę unosząc ciężkie powieki i za wszelką cenę starając się skupić wzrok na coraz bardziej rozmazanych konturach twarzy Gilesa, zanim się wreszcie poddała.

W kilka godzin później obudziła się nagle z gwałtownym biciem serca; miała zupełnie sucho w ustach. Minęła druga i Lucy natychmiast odgadła, dlaczego się obudziła.

Usłyszała, jak drzwi na oddział otwierają się cicho, i zobaczyła wchodzącą pielęgniarkę, która skierowała się ku zasłonie odgradzającej niewielkie pomieszczenie w samym końcu sali. Miała ochotę się rozplakać, ale nie mogła. Ból był zbyt wielki.

Giles. Gdzie jest Giles? Dlaczego nie ma go przy niej? Czy go to nic nie obchodzi?

Pod drzwiami oddziału wcześniaków siedział Giles i gwałtownie mrugał oczami. Nie mógł uwierzyć, że jest po wszystkim. Zaraz potem, gdy podano Lucy środek usypiający, kazano mu iść do domu, ale on nie mógł. Cały czas miał przed oczami żonę błagającą, żeby jej pozwolono być z Nicholaselem.

Czy Lucy już wie? Wzdrygnął się, przytłoczony poczuciem winy, klęski i straty. Ich



dziecko, ich syn... jego syn. Urodzony i zaraz po urodzeniu zmarły.

Tkwiał tam tak długo, aż lekarz delikatnie wyperswadował mu, że powinien iść do domu odpocząć, bo Lucy będzie go potrzebowała, kiedy się dowie.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo pragnie przytulić swoje dziecko, wyjąć je z tej plastikowo - metalowej kołyski i przygarnąć do serca, jak ojciec syna. Że marzy o tym, żeby przelać na małego całą miłość, jaką do niego czuje, tylko że nie mógł znaleźć słów, więc zamiast tego, potykając się o własne nogi, wyszedł ze szpitala w zimny letni przedświt.

Zapewnili go, że nie obudzą Lucy przed dziewiątą. Zdąży się jeszcze przespać i wrócić na czas.

Nie była to wina ani jego, ani szpitala, że Lucy nie wymagała budzenia.

Poczekwała na zmianę dyżurnej pielęgniarki, a kiedy pojawiła się młoda praktykantka i na oddziale zrobił się ruch, bez trudu przekonała dziewczynę, że może sama, bez pomocy, iść do łazienki.

Droga na oddział wcześniaków zajęła jej dużo czasu, bo nadal była bardzo słaba. Nie powiedzieli jej, ile straciła krwi i jak bardzo sama jest zagrożona. Uznała, że zawrót głowy, jaki odczuła, to wina środka nasennego.

Dyżurna pielęgniarka zauważyła ją, gdy już było za późno. Rurki zostały odłączone od inkubatora i Nicholas leżał w maleńkich białych śpioszkiach w jasnoniebieskie i żółte misie.

Był to dar matki jednego z wcześniaków i pielęgniarka, która ubierała maleństwo, płakała rzewnymi łzami.

W tej samej chwili, kiedy zobaczyła Lucy, wiedziała, że wszelkie słowa są zbędne i nie po raz pierwszy zadumała się nad potęgą matczynej miłości. Delikatnie posadziła Lucy z maleństwem w ramionach i poszła do dyżurki zadzwonić na oddział położniczy.

Ciałko było miękkie i ciepłe, zupełnie jakby mały spał. Lucy dotknęła jego buzi. Miał taką delikatną skórę i był taki podobny do Gilesa. Tak, tego była pewna. Dopiero kiedy go pocałowała, wszelkie hamulce puściły i, wstrząsana spazmatycznym szlochem, załamała się zupełnie.

Zanim zdążył przyjść Giles, podano jej środki uspokajające. Giles, zatroskany jej stanem, w ferworze przygotowań do pogrzebu, na który Lucy nalegała, nie powiedział jej nawet ani jak czuł przy małym, ani że był obecny przy jego śmierci.

Żeby oszczędzić Lucy bólu, jeszcze podczas jej pobytu w szpitalu przemeblował i pomalował na inny kolor dziecienny pokój. Kiedy przyszedł ją odwiedzić, słowem nie wspomniał o dziecku, co Lucy wzięła za znak, że obarcza ją winą za śmierć małego. Jego żal do niej jednak, o ile go w ogóle odczuwał, był niczym w porównaniu z jej żalem do siebie samej. Nie chciała dziecka i

wobec tego z wyroków losu ma go nie mieć.

W szpitalu zaproponowano jej pomoc psychoterapeuty, ale odmówiła. Inne matki, które też straciły dzieci, przynajmniej ich pragnęły. Lucy była inna. Ona zasłużyła na swoje cierpienie.

W domu w ogóle nie rozmawiała z Gilesem na temat małego. Kiedy była sama, obsesyjnie wpatrywała się w jego zdjęcie.

Giles coraz więcej czasu spędzał w pracy. Do domu wracał mizerny, wykończony, ale Lucy prawie go nie dostrzegała. Zamknęła się przed nim, przed wszystkimi, broniąc do siebie dostępu, owładnięta bólem i poczuciem winy tak głębokim, że na nic innego nie było miejsca.

Od urodzenia Nicholasa upłynęło pół roku, kiedy Giles po raz pierwszy spróbował się do niej zbliżyć. Natychmiast odwróciła się do niego tyłem, nie dopuszczając nawet myśli o tym, że mogłaby sobie pozwolić na tego rodzaju pociechę. Ona i pociecha? Nic takiego jej się nie należy. A jaką pociechę miał Nicholas? On, któremu własna matka odmówiła prawa do życia?

Giles, nie zdając sobie sprawy z tego, co Lucy czuje, był w dalszym ciągu przekonany, że żona go obarcza winą za to, że nie dopuszczono jej do umierającego dziecka.

Żadne z nich nie mówiło o tym, co ich trapi. Giles był zanadto zrozpaczony i samotny, Lucy nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o Nicholasiu. Gdyby donosiła małego, miałby teraz trzy miesiące. Zaczynałby właśnie siadać, śmiać się i zezować ciemnymi oczkami, kiedy by mu podtykała pierś do ssania.

Odczuwała bolesną tęsknotę za dzieckiem, która - wiedziała to z całą pewnością - nigdy jej nie opuści.

Mijały miesiące i Lucy zaczęła zdawać sobie sprawę, jak bardzo Giles się od niej odsunął. Sypiali jeszcze w jednym łóżku, a nawet od czasu do czasu się kochali, ale nie było już w tym dawnego żaru ani wspólnie przeżywanej radości. Giles nie mówił już teraz, jak bardzo jej pragnie, jak jest mu droga i bliska.

Ogarnęła ją panika i złość, narastał w niej lęk, że go straci, tak jak straciła Nicholasa, a co więcej, że na to zasłużyła, tak jak zasłużyła na utratę dziecka, i wobec tego - w typowy dla siebie sposób - odreagowywała tę sytuację wybuchami agresji skierowanej przeciwko mężowi. Oskarżała go, że poświęca jej za mało czasu, na przemian to domagając się dowodów fizycznej miłości, to znów całymi tygodniami okazując mu chłód.

Tego się zawsze najbardziej obawiała... Taki jest według jej matki los kobiety, która nie dała swojemu mężowi synów. Kiedy Giles złościł się na nią czy był zniecierpliwiony, powtarzała sobie, że to z powodu Nicholasa. Kiedy widziała, w jaki sposób uśmiechał się do Daviny, kiedy słyszała w jego głosie ciepłe tony, gdy o niej mówił, tłumaczyła to zawsze w ten sam sposób: odwrócił się od niej, bo straciła jego dziecko, jego syna... Porzucił ją tak samo, jak jej ojciec

porzucił matkę i ją.

Gwałtowne zmiany nastrojów Lucy, jej wybuchy złości deprimowały Gilesa i doprowadzały do rozpacz. Im bardziej starała się go dotknąć inwektywami, tym bardziej wycofywał się w bezpieczną strefę milczenia.

Kochał ją w dalszym ciągu, naturalnie, że ją kochał, ale, wyczerpany huśtawką jej nastrojów, bał się, że w każdej chwili może znowu wybuchnąć stekiem obelg pod jego adresem.

Pewnego dnia Lucy z rozpaczą stwierdziła, że oglądanie się wstecz przypomina patrzenie w długi, ciemny tunel. Wiedziała, że kiedyś Giles ją kochał, że cały jego świat kręcił się wokół niej, ale wiedziała też, że utraciła jego miłość i że jego również może utracić.

A tego nie chciała. Bo Lucy kochała go w dalszym ciągu i bardzo pragnęła mu to powiedzieć, ale za każdym razem, kiedy się do tego przymierzała, powracał jej na myśl Nicholas i poczucie winy, które ją całkowicie paraliżowało.

Nie zasłużyła na miłość Gilesa. Zabiła ich wspólnego syna i musi ponieść za to karę.

Davina nigdy by nie krzyczała, że nie chce dziecka. Nigdy by nie odrzuciła dziecka noszonego w swym łonie. Davina zniosłaby ciężę spokojnie, jak wszystko inne. Davina dałaby Gilesowi zdrowe dzieci... synów.

Wiedziała, że Davina nie zrobiła świadomie niczego, żeby stanąć pomiędzy nimi, a jednak tak się stało i Giles jej pragnął i ją podziwiał.

Jak ona, Lucy, powinna się w tej sytuacji zachować? Co jej pozostało?

Saul nie planował żadnej przerwy w podróży, ale utknął w korku na autostradzie i wobec tego zadzwonił do Christie z samochodu, że przyjedzie później, niż się umawiali.

Roześmiała się i powiedziała, żeby się nie przejmował, po czym dodała sucho, że chyba się nie spodziewa, że ona nic innego nie robi, tylko czeka na niego z gotową kolacją.

- Przygotowuję właśnie notatki na tę cholerną konferencję, a poza tym - dodała bezceremonialnie - obżeranie się po czwartej nie jest zdrowe dla układu trawiennego.

- Nie musisz się usprawiedliwiać - uspokoił ją Saul i uśmiechnął się do siebie, kiedy usłyszał, jak siostra energicznie wciąga powietrze i natychmiast odpowiada:

- Nie mam zamiaru się usprawiedliwiać.

W przeciwieństwie do jego opanowania i spokoju, Christie reagowała w sposób impulsywny, a nawet nie kontrolowany. Często w okresie dorastania wybuchaly między nimi gwałtowne kłótnie, w czasie których Christie zarzucała bratu, że, faworyzowany przez ojca, wykorzystuje swoją pozycję z krzywdą dla niej.

Wtedy zaprzeczał temu z młodzieńczą gwałtownością i arogancją, nie rozumiejąc prawdziwych przyczyn jej gniewu. Dziś rozumiał ją znacznie lepiej. Christie była od niego znacznie ambitniejsza, miała własne niezależne cele i poglądy.

Saul zmarszczył czoło i odłożył słuchawkę. Co się z nim dzieje? Naturalnie, zwalanie winy na ojca za to, że mu się nie ułożyło życie, byłoby nadmiernym uproszczeniem i nieuczciwością. Ojciec go nigdy do niczego nie zmuszał.

W porę ocknął się z tych rozmyślań” - za chwilę musi skrócić z autostrady w drogę, która go doprowadzi do Christie. Będzie u niej mimo wszystko wcześniej, niż się spodziewał.

Pół godziny później jechał przez Thresham. Miasteczko było dosłownie wyludnione. Zbyt małe na to, żeby przyciągnąć uwagę urbanistów lat sześćdziesiątych, w dalszym ciągu miało wąskie uliczki i stłoczone, małe, drewniane domki w stylu georgiańskim.

Skrzywił się na widok neonowego szyldu anonsującego restaurację z szybkimi daniami, ale, sądząc z zebranego przed nią tłumku młodzieży, nie wszyscy podzielali jego odrazę. Ostatecznie szybkie dania to nie taka znów nowość. Wystarczy sobie przypomnieć sprzedawców wszelkiego rodzaju pieczywa i słodczy, od których rynek musiał się roić w targowe dni.

Saul zorientował się, że jest już blisko Carey Chemicals, i pod wpływem nagłego impulsu zjechał na pobocze, zatrzymał samochód i wyjął mapę.

W drodze do siostry będzie przejeżdżał obok firmy. Było już po dziewiątej i zaczynało

się robić ciemno. Akurat dobra pora, żeby dyskretnie rzucić okiem na fabrykę.

Już dawno poniechali pracy na zmiany i według doniesień wywiadowcy, nie trzymali nocnego stróża. Bo i po co? Niewiele zostało do ukradzenia. Już Gregory James o to zadbał.

Bez trudu znalazł uliczkę. Była wyboista, nie asfaltowana, i w ostrym świetle reflektorów Saul dostrzegł znak: „Przeście dla pieszych”. Zupełnie zapomniał, że niemal przez środek zakładów biegła droga publiczna.

Alex nie byłby tym zachwycony, zwłaszcza gdyby rzeczywiście uczciwie chciał prowadzić fabrykę, a nie tylko wykorzystać wykupienie jej jako sposób dorwania się do dotacji rządowych.

Saul doskonale rozumiał intencje władz. Przyznawanie subwencji umożliwiało firmie prowadzenie prac badawczych nad nowymi lekami, a jednocześnie zmuszało ją do sprzedawania leków opracowanych dzięki tym subwencjom po odpowiednio niskiej cenie, na czym zyskałaby z kolei Państwowa Służba Zdrowia, która refunduje ubezpieczonym pacjentom koszty leczenia. Tylko że ilu jeszcze facetów odważyłoby się, jak Alex, wykorzystać tę możliwość do nabijania swej własnej kabzy?

A zresztą co go to obchodzi? To sprawa bardziej Christie niż jego. To ona jest kapłanką cnót rodzinnych.

Musi bardzo ważyć słowa, kiedy z nią będzie na ten temat rozmawiał, uświadomił sobie znudzony. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Z niesmakiem zmarszczył czoło na myśl o czekającym go zadaniu.

Ale ostatecznie jaka jest alternatywa? Rzucić pracę. Tylko że innej nie dostanie. Już Alexa w tym głowa. A Saul ma przecież byłą żonę i dwójkę dzieci. W żadnym razie nie może sobie pozwolić na skrupuły moralne.

A czy może sobie pozwolić na to, żeby ich nie mieć? Żeby żyć dalej, jak dotąd, toczony rakiem niezadowolenia z siebie?

Wysiadając z samochodu usłyszał pohukiwanie sowy. Kiedy podniósł głowę, zobaczył stadko małych nietoperzy krążących wokół piętra starej fabryczki.

Zatrzymał się na chwilę, obserwując ich gorączkową krzątanie. Jako chłopiec mieszkał we Wschodniej Anglii, gdzie okolica była płaska i równinna, w owych czasach bezpieczna dla dziecka, które lubiło się włóczyć samotnie. W wyobraźni wcielał się w jednego z przemytników, którzy ze swoimi nielegalnie przewożonymi francuskimi towarami kryli się przed ścigającymi ich przedstawicielami prawa, zaś jako już starszy chłopiec godzinami, wraz z ojcem, obserwował życie dzikich zwierząt.

Nagle w głębi serca poczuł dojmujący ból. Tak bardzo kochał ojca, tak bardzo chciał go zadowolić... własnymi sukcesami wynagrodzić to wszystko, czego mu w życiu brakowało. Ale

ojciec nie żył już od dziesięciu lat i Saul nie miał nikogo, komu mógłby zadedykować zaspokojone przez siebie ambicje starszego pana.

Ogarnęła go fala melancholii i poczucie samotności. Był zmęczony swoim życiem, cynizmem, który marzeniom odbierał cały blask. Znużony nieustanną próbą sił z Alexem, ale przede wszystkim sobą samym. Odwrócił się i ruszył w stronę budynków.

Davina westchnęła, zamykając drzwi gabinetu. Żarówki na korytarzu były pogaszone, ale ona знаła drogę na pamięć, a zresztą z zewnątrz wpadało dostatecznie dużo światła, żeby rozproszyć ciemność.

Dzień był długi i męczący. Przyjmowała dziś delegację reprezentującą związki zawodowe, która chciała wiedzieć, jakie będą dalsze losy firmy.

Odpowiedziała im najuczciwiej, jak tylko mogła, ale widziała w ich oczach strach, kiedy musiała przyznać, że nie wyklucza zamknięcia firmy. Dodała, że ma jednak nadzieję znaleźć kupca.

- Ale co za wariat zechce to kupić? - zapytał z goryczą jeden z mężczyzn. - Przecież my pracujemy w warunkach urągających wszelkim zasadom bezpieczeństwa.

Davina zarumieniła się, słysząc nutę oskarżenia w jego głosie. Nie miała nic na swoją obronę. Sama widziała warunki pracy tych ludzi i też była nimi przerażona.

- Przykro mi bardzo, ale nie było pieniędzy na żadne ulepszenia - powiedziała słabym głosem, świadoma sum, jakie przegrywał Gregory.

Davina, jako córka bogatego ojca, od wczesnego dzieciństwa nawykła do luksusów, w ciągu ostatnich kilku lat nie żałowała pieniędzy na drogie, eleganckie stroje. W bolesny sposób zdała sobie sprawę, że kostium, który miała na sobie, był prawdopodobnie, nawet po latach noszenia, wart więcej, niż wynosiły miesięczne zarobki niejednego z tych ludzi.

W oczach dwóch spośród obecnych kobiet dostrzegła świadomość tej niesprawiedliwości i znów ogarnęło ją poczucie winy.

Kupiec... Czy bank będzie w stanie znaleźć kupca? Dyrektor ostrzegł ją, że ma co do tego poważne wątpliwości.

Zatopiona w smutnych rozmyślaniach, doszła do pogrążonej w ciemnościach recepcji. Pachniało tu stęchlizną i brudem. O ile nie oszczędzono kosztów na wytworne urządzenie gabinetu Gregory'ego, o tyle recepcja, wizytówka firmy, wyglądała obskurnie i odpychająco. Davina z niesmakiem zmarszczyła nos i szybko wyszła na dwór, z przyjemnością chłonąc świeże, wieczorne powietrze.

Zamknęła drzwi i odwróciła się. Jej samochód stał zaparkowany w odległości kilku metrów. Pogrążona w rozmyślaniach na temat firmy, ruszyła w tamtą stronę ze wzrokiem wbitym w ziemię i

po chwili skręciła za róg. Kiedy więc zupełnie nieoczekiwanie wpadła na idącego z naprzeciwka mężczyznę, ogarnęła ją panika.

Mężczyzna - wiedziała bowiem, że jest to mężczyzna, jeszcze zanim zdążyła mu się przyjrzeć - złapał ją i mocno przytrzymał, kiedy usiłowała zejść mu z drogi. Steżała czując, jak jego palce wpijają jej się w ramiona, i nagle, w jednej chwili, przypomniała sobie wszystkie opowieści o samotnych kobietach napadniętych w ciemności.

Mężczyzna trzymał ją zbyt silnie, żeby mogła mu się wyrwać, więc zaczęła go rozpaczliwie walić pięściami po piersiach, dopóki nie usłyszała nad swoją głową lekkiego okrzyku zdumienia, jaki się wyrwał z ust nieznanego.

To ją nieco uspokoiło, bo zrozumiała, że ich nagłe zderzenie jego przeraziło nie mniej niż ją.

W tym samym momencie Saul uświadomił sobie, jak bardzo ją przestraszył. Widział, jak się wyłania zza rogu, jak idzie w jego kierunku szybko, ze spuszczoną głową, ale było już za późno, żeby ją ostrzec.

- Nic się nie stało, nie zrobię pani nic złego - powiedział.

Uniosła wtedy głowę i spojrzała na niego pytająco, spłoszona, ukazując mu twarz.

Davina James.

Fotografia mu jednak nie powiedziała o niej wszystkiego: nie wiedział mianowicie, jak bardzo jest krucha, jak wielkie i promienne ma oczy, jak pełne i zmysłowe usta.

Davina drżała lekko. Czuł gwałtowne bicie jej serca i ku swojemu zdumieniu, impulsywnie zareagował na przesłanie jej ciała: wzmocnił uścisk i przygarnął ją bliżej do siebie. Nagle jednak zdał sobie sprawę z tego, co robi - że jego reakcja na ten nieoczekiwany kontakt ze zdawkowego ruchu obronnego, jaki by wywołało niespodziewane zderzenie z kimkolwiek, zamieniła się w fizyczne podniecenie.

Co się z nim stało? Przecież niemal codziennie miewał równie bliskie kontakty z dziesiątkami kobiet, pięknych, młodych, godnych pożądania. Zdarzało się to każdemu, kto pracował w dużym mieście. Dzień w dzień ludzie ocierają się o siebie w windzie, w metrze, w biurze. Przypadkowe zetknięcie się ludzkich ciał w niewielkiej, ciasnej przestrzeni jest faktem życia codziennego i nigdy nie robiło na nim takiego wrażenia.

Chociaż z drugiej strony... Skrzywił się na myśl o tym, jak dawno, nawet przelotnie, nie myślał o seksie. W jego obecnym życiu nie było miejsca na tego typu związki, a ostatnio również i potrzeby.

- Proszę mnie puścić.

Te z furją wypowiedziane słowa sprowadziły go na ziemię. Odsunął się i zaczął gorączkowo

myśleć.

Teraz, kiedy już minął pierwszy szok, była po prostu wściekła, na tyle wściekła, uświadomił sobie, że mogła przekreślić cały jego plan, zanim go zdążył wprowadzić w czyn. Tylko tego brakowało, żeby zawiadomiła policję.

- Bardzo panią przepraszam. - Uśmiechnął się do niej, gestem rąk sygnalizując brak złych zamiarów. Odsunął się nieco dalej, starając się nie pokazywać twarzy.

Serce Daviny nadal waliło jak młotem. Mężczyzna wyrażał się w sposób kulturalny i teraz, kiedy już ją puścił, intuicyjnie wiedziała, że nic jej z jego strony nie grozi.

- Co pan tutaj robi? - spytała spokojnie. - To jest teren prywatny. - Co z tego, że ją przeprosił, co z tego, że ją puścił; szok i lęk, jakie z jego powodu przeżyła, zamieniły się w złość spowodowaną brakiem poczucia bezpieczeństwa, wynikającym z tego, że nie w pełni panowała nad sytuacją.

Wiedziała, że reaguje zbyt emocjonalnie, ale nic na to nie mogła poradzić. Ta złość bowiem podszyta była peszącą świadomością, że przez te kilka sekund ich fizycznego kontaktu odczuła nieomylny dreszcz podniecenia... Czyżby to było pożądanie?

Śmieszne. Przecież nie była zanedbaną seksualnie wdową, spragnioną fizycznego kontaktu z mężczyzną, z jakimkolwiek mężczyzną, dlatego tylko, że straciła męża.

Gdyby jej potrzeby seksualne nie były zaspokojone, to przecież był Giles.

Przyziemność własnych rozważań przytępiła nieco złość, napełniając Davinę niesmakiem.

- Musiałem niechcący zejść z drogi... - usłyszała spokojny głos Saula.

Całe szczęście, że przypomniał sobie o tym znaku „Przejście dla pieszych”; dawał mu on idealne alibi, usprawiedliwiając jego obecność na tym terenie. Zobaczył w jej oczach najpierw wahanie, a potem badawcze spojrzenie, jakim go obrzuciła. Na szczęście był ubrany całkiem zwyczajnie.

Przechodzień, który przegapił drogowskaz. To zupełnie prawdopodobne. Takie rzeczy się zdarzają. Tylko że teraz było już zupełnie ciemno. Za ciemno na to, żeby ryzykować nie znając drogi...

Coś jednak powstrzymało Davinę przed próbami wyjaśnienia sytuacji. Ostrożność, jakiś instynkt samozachowawczy wywodzący się jeszcze z dzieciństwa, świadomość, że zadawanie pytań, które mogłyby zmącić czyste wody bezpieczeństwa, jest niewskazane.

- Droga jest tam - poinformowała go sucho, wskazując w stronę pól.

- Dziękuję. - W jego głosie nie było nic, co mogłoby wywołać nagłe drżenie, jakie ją ogarnęło. Twarz nieznajomego skrywały cienie, ale kiedy jej odpowiadał, pochwyliła błysk w jego



oczach.

Był wysoki i szczupły, a jednocześnie jakiś dziwnie muskularny. Wzdrygnęła się. Od dawna już nie była w takim bliskim kontakcie fizycznym z mężczyzną.

Właściwie od czasów Matta.

Matt... Co do licha sprawiło, że właśnie o nim pomyślała? Między tymi dwoma mężczyznami nie było najmniejszego podobieństwa. Matt, zaledwie średniego wzrostu, solidnej budowy, wiecznie roześmiany i ciepły, robił wrażenie człowieka dobrodusznego, podczas gdy intuicja podpowiadała Davinie, że co jak co, ale dobroduszość z pewnością nie należy do zalet tego mężczyzny.

Mimo to jednak nawet ten ich przelotny kontakt fizyczny wzbudził w niej podniecenie.

Zanim ruszyła w stronę samochodu, patrzyła jeszcze przez chwilę, jak mężczyzna szybko odchodzi.

To nieoczekiwane spotkanie zrobiło na niej większe wrażenie, niż chciała przyznać.

Saul odczekał, aż straci Davinę z oczu, i dopiero wtedy wsiadł do samochodu. Teraz przecież nie będzie się tam kręcił. Mogłaby pod jakimś pozorem wrócić.

Kiedy ruszał, teczka z dokumentami, leżąca na przednim siedzeniu, otworzyła się i Saul, sięgając ręką, żeby powstrzymać lawinę papierów, natrafił na zdjęcie Daviny.

Na papierze wydawała się najmniej znaczącym elementem ze wszystkich, jakie Alex brał pod uwagę decydując się na wykupienie firmy Carey, ale Davina żywa, z krwi i kości... ta Davina mogła spowodować komplikacje, o których Saul na wszelki wypadek starał się nie myśleć.

Złość, irytacja i znana fala paniki wynikającej ze świadomości, że nie panuje nad wszystkimi aspektami swego życia, wywołała w nim dziwne napięcie. Szybko wsunął fotografię z powrotem między papiery, zamknął teczkę i odjechał.

Wchodząc do domu Davina pomyślała, że właściwie powinna zrobić sobie jakąś kolację, ale doszła do wniosku, że nie jest głodna. Zamiast tego odczuwała jakiś dziwny niepokój, wyrażający się w przyspieszonym biciu serca i nerwowych ruchach.

Do czego to doszło - żeby przypadkowe spotkanie z nieznanym wprowadziło ją w taki stan... Ponuro spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nienaturalne rumieńce i wielkie oczy o rozszerzonych źrenicach. Nawet usta wydawały się jak gdyby miększe, pełniejsze, jakby ją ktoś całował.

Odsunęła od siebie tę myśl, zła, że w ogóle w jej głowie coś takiego powstało. Co się z nią dzieje? Ostatnia rzecz, na jaką ma teraz czas, to zajmowanie się takimi bzdurami. Mało ma zmartwień bez wyobrażania sobie...

Wyobrażania sobie czego? Że on... że ten nieznanomy ją pocałował? Całe szczęście, że tego

nie zrobił. I tak cała ta sytuacja jest dla niej wystarczająco trudna.

Zdjęła kostium i bluzkę. Po przyjsciu z firmy zawsze czuła się jakaś nieświeża.

Matt powiedział jej kiedyś, że *per capita* Angielki mają najlepsze ciała na świecie. Problem polega na tym, dodał, że również najlepiej potrafią ten fakt ukryć. Zaraz potem, w sposób niezmiernie barwny i erotyczny, opisał jej, jaka to rozkosz dla męskiego oka patrzeć, jak Włoszka nosi ubranie i jak się porusza, albo z jaką subtelną zmysłowością Francuzka prezentuje swoją nieskazitelną, elegancką sylwetkę.

To właśnie krótko potem zabrał ją do Londynu na zakupy, gdzie ją zmęczył swoją energią oraz entuzjazmem i jednocześnie zadziwił dbałością o każdy najmniejszy szczegół dotyczący nie tylko kroju, ale i faktury materiału oraz tego, jak się układa na ciele kobiety.

Dla niego, jako artysty, takie rzeczy były bardzo ważne. Ale cóż, Matta zabrakło, zginął w wypadku w Kalifornii. Davina dowiedziała się o tym z gazet i opłakiwała go po cichu. Nie jako kochanka, ale jako człowieka utalentowanego, odznaczającego się wielkim humanizmem i wspaniałomyślnością.

W łazience zdjęła bieliznę i przez chwilę patrzyła na swoje ciało w lustrze. To właśnie Matt nauczył ją nie wstydzić się ani nie kępować własnej kobiecości i zamiast wyszukiwać w sobie mankamenty, podkreślać własną niepowtarzalną indywidualność.

Matt był dobry i czuły, był mężczyzną, z którym znajomość zawsze napawała ją dumą, ale dlatego ten nieznajomy jej go przypominał, nie miała zielonego pojęcia.

Stała w napięciu patrząc, jak pod wpływem podniecenia jej ciało zmienia się w widoczny sposób: jak brodawki jej piersi tężeją, nabrzmiwając i nieznacznie unosząc się do góry, jak kurczą się mięśnie brzucha, a na myśl o bliskim kontakcie z nieznajomym policzki oblewa war...

Zirytowana i zniecierpliwiona, weszła pod prysznic. Szybkimi, energicznymi ruchami namydliła się obficie, a następnie spłukała pianę i sięgnęła po ręcznik, powstrzymując się przed pokusą ponownego spojrzenia w lustro.

Co takiego bała się zobaczyć?

Wyzywająco odrzuciła mokry ręcznik i spojrzała w lustro. Ciało miała szczupłe i jędrne, skórę nieskazitelnie gładką.

Gdyby zamknęła oczy, jeszcze dziś czułaby dotyk rąk i ust Matta. Ręce Matta, usta Marta, a nie tego nieznajomego, powtórzyła sobie z mocą.

Matt. Nie on... Matt!

Po raz pierwszy spotkała Matta w pewne upalne popołudnie, kiedy wróciła z zakupów. Podnosił ciężkie kamienne płyty tworzące patio, które zawsze po cichu uważała za bardzo brzydkie. Miesiąc wcześniej wspomniała właścicielowi lokalnej firmy zajmującej się zagospodarowywaniem

terenów zielonych, z której usług zwykle korzystali, że chciałaby inaczej urządzić tę część ogrodu, i obiecał, że kogoś przyśle.

Tym kimś okazał się właśnie Matt. Przerwał pracę, kiedy przyszła, i widząc, że speszona odwraca oczy od jego nagiego torsu, swobodnie sięgnął po koszulę i wciągając ją pokazywał jej jednocześnie plany uroczego, wyłożonego płytkami ogródka w zagłębieniu patio.

Później, kiedy mu przyniosła herbatę, powiedział jej, że okresowo pracował przy projektowaniu terenów zielonych, a jeszcze później dowiedziała się, że z właścicielem firmy, Owenem Grahamem, chodzili razem do szkoły prywatnej i że Matt jest włóczykijem, który nigdy nie zagrzeje miejsca i z nikim się na długo nie zwiąże.

Natychmiast zawrócił jej w głowie. Były w nim otwartość i ciepło, które poruszyły jej wygłodzone zmysły. Nie działał na nią erotycznie, jeszcze nie wtedy. Od dawna przestała myśleć o sobie jako o kobiecie atrakcyjnej. Z Gregorym nie łączyło jej już nic i nie miała ochoty z innym mężczyzną doświadczać tego samego upokarzającego poczucia nieprzydatności, jakie położyło się cieniem na jej miodowym miesiącu.

Gregory miał inne kobiety. Nauczyła się to nawet poznawać po różnych oznakach i chociaż cierpiała z powodu rozczarowania, jakie sprawiło jej małżeństwo, to ostatecznie uznała, że Gregory nie jest gorszym mężem od wielu innych.

To prawda, że może ci inni nie zdradzali swoich żon aż tak uparcie i konsekwentnie jak on, ale Davina, dojmująco świadoma swojej niemożności zaspokojenia jego potrzeb, z pokorą i poczuciem winy przyjmowała fakt, że jej mąż gdzie indziej poszukuje satysfakcji.

Myśl o tym, że mogłaby się z nim rozwieść i znaleźć szczęście w innym związku, była jej równie obca jak podróż na Marsa.

Nie chodziło nawet o to, żeby była jakaś szczególnie nieszczęśliwa, wtedy już nie... Początkowo owszem, ale później pogodziła się z ułomnością ich związku i nauczyła się jakoś z nią żyć. Kiedy poczucie rozczarowania i rozpacz zaczynało w niej przełamywać starannie wzniesione bariery, powtarzała sobie, że nie jest typem kobiety ani niezależnej, ani nastawionej na przygody.

To na wyraźne życzenie Gregory'ego powierzyła opiekę nad ogrodem firmie Owena. Podejrzewała, że bardziej chodziło mu o zachowanie pozorów niż o to, żeby jej rzeczywiście oszczędzić ciężkiej pracy. Ciężkiej pracy, którą i wtedy, i jeszcze teraz bardzo lubiła.

Właśnie oceniała efekty swoich ogrodniczych eksperymentów polegających na tym, że w jednym z rogów ogrodu, na tle krzewu różowej hortensji, posadziła blad różowy klematis, który właśnie zaczynał rozkwitać, kiedy zobaczyła nadchodzącego przez trawnik Matta.

Z niewiadomego powodu poczuła się nagle speszona i zdenerwowana. Zarumieniła się nawet trochę, kiedy do niej podszedł, ale Matt jakby tego nie zauważył.

- Ciekawe połączenie. Czuje pani kolor - zauważył z uznaniem.  
- To nie moja zasługa - powiedziała skromnie Davina, na którą jego miłe słowa podziały uspokajająco. - Ja naśladowuję innych.

- Tak czy owak, efekt jest wspaniały, a w naśladownictwie nie widzę niczego złego. W ten sposób zarobiłem najwięcej pieniędzy.

Z tej krótkiej rozmowy Davina dowiedziała się, że Matt jest artystą, który swój skromny dochód uzupełnia dorywczym pracami u różnych przyjaciół.

Był pełen dziwnych kontrastów. Dość krępy i ciężkiej budowy, poruszał się zadziwiająco lekko i zręcznie. Pracował fizycznie, ale jego sposób wyrażania się zdradzał dobre pochodzenie.

Wiedziała, że Matt nigdy nie był żonaty, i podejrzewała, że bardzo sobie cenił swoją wolność. Objechał cały świat, był inteligentny i wygadany. Najbardziej jednak zdumiewał Davinę jego całkowity brak ambicji finansowych.

Nie miał samochodu, mieszkał w niewielkim domku, który wynajmował od miejscowego farmera, podśmiewając się z braku wygód, a w szczególności ze starej kuchni węglowej i przestarzałego systemu grzewczego.

Davina zaśmiewała się, kiedy jej opowiadał o prymitywnym prysznicu, który zainstalował na podwórku, a potem nagle zastygała w napięciu, patrząc na jego opalone, muskularne, wilgotne ciało, lśniące w słońcu runem gęstych, złocistych włosów.

Zrobiło jej się sucho w ustach. Usiłowała przełknąć, ale nagłość tego dziwnego odczucia była dla niej tak szokująca, że zastygła w bezruchu. Oblał ją rumieniec i dziękowała Bogu, że Matt jest odwrócony do niej tyłem.

Od tej pory w dni, kiedy do nich przychodził, trzymała się z daleka od ogrodu, zdeprymowana swoją reakcją na niego i przerażona, że mógłby to zauważyć.

Ale brakowało jej rozmów z Mattem. Właśnie ostatnio odkryła książki Gertrudy Jekyll i stała się jej wielbicielką, a Matt był dosłownie skarbnicą wiedzy na temat jej kolegów - architektów, w szczególności sir Edwina Lutyensa, z którym stworzyła wspaniałe wizje ogrodów.

A potem, zupełnie nieoczekiwanie, w dniu, w którym normalnie nie przychodził do pracy, pojawił się z paczką opakowaną w brązowy papier.

- Zobaczyłem to w księgarni w Chester - powiedział, kiedy go zaprosiła do domu.

Davina, podniecona, zaproponowała mu filiżankę herbaty. Świadomość, że stoi tuż za nią, wzmogła jeszcze jej podniecenie.

- O co chodzi, Davino? - zapytał spokojnie, delikatnie odwracając ją do siebie. - Czy coś się stało?

Potrząsnęła głową. Przeszedł ją dreszcz od stóp do głów, promieniujący od jego rąk, które

położył na jej nagich ramionach.

- A więc unikasz mnie ostatnio dlatego, że wiesz, jak bardzo cię pragnę, i że to pragnienie jest przez ciebie odwzajemniane?

Davina wpatrywała się w niego w osłupieniu, jakby przemówił do niej w jakimś obcym języku, do czego się to w gruncie rzeczy sprowadzało. Nie była kobietą, której mężczyźni mówili, jak bardzo jej pragną.

- Widzę, że cię zaskoczyłem.

Mówiąc to, Matt uśmiechał się. Pochwyciła w jego głosie nutę smutnego rozbawienia i całkowity brak jakiegokolwiek zmieszania.

- Zarumieniłaś się - powiedział puszczając jej ramię i delikatnie przeciągając wierzchem dłoni po gorącym policzku. - Davino, kochanie, co się stało?

Tulił ją do siebie, ale nie jak kobietę, tylko jak dziecko.

- Proszę cię, nie płacz. Nie chciałem ci zrobić przykrości ani tym bardziej obrazić.

- Ale to wcale nie... bo ty nie... - wyjąkała, a potem nagle, jakby przecięła jakiś zadawniony wrzód, zaczęła mu opowiadać o Gregorym, o ich małżeństwie, a nawet - co najbardziej zdumiewające - o swoich głęboko ukrytych, upokarzających obawach, że nie jest pełnowartościową kobietą.

Matt pozwolił jej mówić, nie przerywając wylewających się z niej strzępów zdań i słów, czekając, aż cały ten ból zostanie ukojony przez jego fizyczną bliskość i pełne delikatności, aprobujące milczenie.

Później, kiedy wracała myślami do tamtych wydarzeń, nie mogła się nadziwić, że tak łatwo przełamała wieloletnie opory i zawierzyła Mattowi sprawy, do których z trudem przyznawała się sama przed sobą, nawet w najskrytszych zakamarkach duszy, ale było to jak zerwanie tamy przez rwący potok bezładnych słów, który niósł ze sobą szumowinę dręczącego ją latami bólu i niepewności.

Matt nie próbował jej przerywać ani tym bardziej powstrzymywać powodzi wyznań, ale kiedy wreszcie umilkła, wyjął białą, świeżą chusteczkę i powiedział łagodnie:

- No, proszę, wytrzymaj nos.

Jego obecność działała na nią tak kojąco, że Davina roześmiała się serdecznie.

- To już lepiej - rzekł Matt z aprobatą, a kiedy dalej spoglądała na niego, śmiejąc się przez łzy, spoważniał tak nagle, że serce Daviny zaczęło żywiej bić, a ciało stężało pod wpływem zupełnie innych doznań.

- Davino, nie mogę ci powiedzieć, dlaczego twój mąż cię nie chce - powiedział łagodnie Matt. - Ale mogę cię zapewnić, że nie jest to twoja wina, a co do twojej atrakcyjności. ... - Ponownie

się do niej uśmiechnął. Był to uśmiech trochę smutny, pod wpływem którego serce Daviny znów zabiło żywiej. - A co byś powiedziała na wspólną kolację? Mam pewne pomysły w związku z ogrodem i chciałbym się z tobą nimi podzielić.

Na widok jej miny uśmiechnął się szerzej.

- Możesz być spokojna, nie będę cię uwodził. Według mnie, pożądanie musi być wspólną potrzebą, żeby prowadziło do wspólnej przyjemności. Pragnę cię, Davino, i niczego na świecie nie pragnąłbym bardziej jak tego, żeby cię wziąć do łóżka i przekonać, że ten twój mąż nie ma racji, ale nie zrobię tego, dopóki mi nie powiesz, że i ty tego chcesz. Nie masz się czego obawiać z mojej strony, zapewniam cię.

Z twojej może nie, ale ze swojej owszem, i to bardzo, pomyślała z goryczą. Zdrowy rozsądek i rozwaga nakazywały odrzucenie tej propozycji, ale zlekceważyła głos rozsądku i żywiołowo, spontanicznie przyjęła zaproszenie.

Ojciec wyjechał na urlop grać w golfa, a Gregory, jak co dzień, z wyjątkiem dni, kiedy przyjmowali goście, wróci dopiero o świcie, nie będzie więc nikogo, kto by jej robił wymówki czy wypytywał, gdzie i z kim była.

Mimo to jednak ledwie mogła spojrzeć Mattowi w oczy, kiedy cichym, nieśmiałym głosem odpowiadała:

- Dziękuję... tak, chętnie skorzystam, w ogrodzie jest rzeczywiście dużo do zrobienia - dodała podkreślając z premedytacją cel tego spotkania, żeby zmniejszyć nieco narastające w niej poczucie winy. - Myślałam o tym, żeby podzielić ogród na sektory... - Jej głos zawisł w próżni; wiedziała, że się rumieni, chociaż to, co mówiła, było przecież prawdą.

- Mam też parę książek, które pewnie by cię zainteresowały - dodał Matt. - I mógłbym zrobić kilka wstępnych szkiców.

- Jesteś... jesteś bardzo miły - powiedziała nerwowo i prosiła Boga, żeby jej głos nie drżał tak bardzo i żeby się tak nie rumieniła.

Matt śmiał się teraz cicho, a w oczach miał wesołe iskierki, kiedy nachylony ku niej, koniuszkami palców delikatnie dotykał jej rozpalonej skóry.

- Jeszcze bardziej będziesz drżała, kiedy zostaniemy kochankami i w ekstazie będziesz wykrzykiwała moje imię.

Nie potrafiła ukryć wrażenia, jakie zrobiły na niej jego słowa, ani opanować dreszczu rozkoszy, jaki nią wstrząsnął w odpowiedzi na jego beczelną obietnicę.

A potem, kiedy po raz chyba setny wspominała tamten incydent, najdziwniejsze wydało jej się nie to, że Matt powiedział, że jej pragnie, ale że mu uwierzyła i że spontanicznie, wręcz fizycznie, na to zareagowała.

Przeżywała to jeszcze teraz; wystarczyło, że opuściła powieki, by stanął jej przed oczami jak żywy, by zabrzmiał jej w uszach jego głos, by powróciło do jej pamięci wszystko, co jej kiedyś powiedział, zrobił, obiecał.

Pamiętała, jak otrząsnęła się, kiedy wyszedł. Co tak do diabła rozpamiętuje? Przecież nie zostaną kochankami, to po prostu nie wchodzi w grę. Ona nie należy do takich kobiet. Przede wszystkim jest mężatką, a jeśli nawet jej małżeństwo daleko odbiega od związku, jaki sobie wymarzyła, to jeszcze nie znaczy, że ma się rzucać w ramiona pierwszemu lepszemu napotkanemu mężczyźnie.

Gdzie jej rozważa, zdrowy rozsądek, gdzie powściągliwość i duma? Czy wszystkie zasady, których się dotychczas trzymała, przestały się nagle liczyć dlatego tylko, że jakiś mężczyzna powiedział, że jej pragnie? Nigdy do tej pory nie miała takiego uczucia, nigdy nie czuła się taka nieszczęśliwa z tego powodu, że jej małżeństwo było nieudane. W gruncie rzeczy odczuwała coś w rodzaju ulgi, kiedy Gregory przestał z nią sypiać. Seks nie miał dla niej takiego znów wielkiego znaczenia, nie odczuwała silnego pożądania, skąd więc ten nagły przypływ dojmującego pragnienia?

Z niesmakiem zamknęła oczy, oblewając się rumieńcem. Powinna się wstydzić. I wstydziła się; z pewnością nie pójdzie wieczorem na tę kolację. Naturalnie Matt zrozumie, kiedy się nie pojawi. Ale co zrozumie? Że jest rozczarowana, bo nie zamierzał jej uwodzić? Na samą myśl o tym zrobiło jej się gorąco.

Ale dopiero wieczorem, kiedy już się przebierała, przyznała sama przed sobą, że jednak pójdzie.

Jechała wolno, zdenerwowana, przypominając sobie nieustannie, że przecież nic się nie stanie, że po prostu muszą omówić przebudowę ogrodu, ale to w żadnej mierze nie uspokajało rozszalałego serca ani też nie łagodziło napięcia.

Było już jednak za późno. Właśnie dojechała do domu, a tam czekał Matt, szeroko otwierając drzwi i wychodząc na powitanie.

Serce dosłownie skoczyło jej do gardła. Wolno wysiadła z samochodu i jeszcze wolniej ruszyła przez brukowane podwórko, czując pod nogami coś rozkosznie miękkiego między kamieniami, co okazało się specjalnie posadzonym mchem.

Całe napięcie natychmiast ją opuściło; zaczęła się przyglądać subtelnej kompozycji jasnej zieleni i żółci na szarym tle kamieni, głęboko przekonana, że tylko artystyczne oko Matta mogło dostrzec piękno takiego połączenia kolorów.

- Podoba ci się?

Tak była pochłonięta tym, co robi, że nawet nie zauważyła, jak Matt znalazł się przy niej, i kiedy podniosła głowę, oniemiała pod wrażeniem jego niespodziewanej bliskości.

Pachniał czystością i świeżością, po prostu dobrym mydłem, nie żadną wodą, i nagle w dojmujący sposób zdała sobie sprawę z jego męskości. Był ubrany zwyczajnie, w dżinsy i lekko spłowieła bawełniana koszulę. Jego ubranie, tak jak i on, miało zapach świeżości.

Patrzyła na niego w oszołomieniu, zastanawiając się, skąd się tu wzięła. Matt ujął ją pod rękę i poprowadził w stronę domu.

Przez drzwi frontowe wchodziło się wprost do niewielkiego saloniku, gdzie na kominku płonął ogień, rzucając na pokój miękkie cienie, dzięki czemu w pierwszej chwili Davina nie dostrzegła skromności urządzenia, jedynie ciepło kolorów.

Stare, spłowiełe chodniki przykrywały nagość kamiennej podłogi, a samodziałowa narzuta maskowała pęknięcia w skórzanej tapicerce kanapy. Parapety były pozastawiane roślinami doniczkowymi, a całe ściany pozawieszane półkami pełnymi książek.

W oszołomieniu chłoneła otoczenie, zafascynowana jego całkowitą odmiennością od tego, do czego przywykła. Nie było tu nic sztywnego ani sztucznego, nic, co by świadczyło o bogactwie czy statusie społecznym gospodarza. Wszystko wydawało się łagodne i miękkie, kojące zmysły, zachęcające do dotykania.

Obserwując Davinę Matt nie mógł się nadziwić, jak bardzo była niewinna i tak zupełnie nieświadoma własnej zmysłowości. Jeszcze nie spotkał kobiety, która by w sposób tak szybki i czuły reagowała na bodźce wizualne. Po raz pierwszy zauważył to, kiedy ją obserwował w ogrodzie. Okiem artysty dostrzegł, jak dotyka roślin, jakie wrażenie robi na niej ich faktura, ich barwa.

Podobnie było teraz. W sposób niemal widoczny reagowała na ciepło i kolor nowego otoczenia, w jakim się znalazła.

Widać było, jak bardzo jest spragniona nie tylko najzwyczajniejszych seksualnych satysfakcji, ale zaspokojenia różnych potrzeb zmysłowych, których latami musiała się wyrzekać. On ją nauczy, jak cieszyć się własną zmysłowością, jak ją cenić i rozwijać. Będzie się z nią kochał, tu, w tym pokoju, przed płonącym na kominku ogniem, który, rzucając miękkie cienie na jej białą atlasową skórę, podkreśli tajemniczym blaskiem wszystkie zagłębienia i wypukłości jej ciała.

Ale będzie się z nią kochał także i w blasku słońca, w tej wysokiej trawie maleńkiego, lekko zaniedbanego ogrodu, gdzie jej rozgrzana w upale skóra będzie intensywnie pachniała, a ona będzie protestowała przeciwko jaskrawemu światłu dnia, on zaś jej pokaże, jak cudowną rzeczą są promienie słońca na ich splecionych ciałach.

A jeśli wytrwa tu jeszcze do zimy, to będzie się z nią kochał i w zimie, kiedy wszystko dokoła pokryje śnieg, nadając światłu nieziemską poświatę. Wtuleni w siebie w małej sypialni na poddaszu, w staromodnym mosiężnym łóżu, zapomną o bożym świecie.



Davina, całkowicie pochłonięta swoją wizualną wędrówką po pokoju, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z myśli Matta. Kiedy na niego spojrzała, stwierdziła, że przygląda jej się z ciepłym, nieśmiałym uśmiechem.

- Tak to wszystko urządziłeś, że... - potrząsnęła głową, nie mogąc znaleźć właściwych słów, i tylko bezradnie w kółko powtarzając: - że... że... że...

Ze zdziwieniem odkryła, że jeszcze nigdy tak nie było - z żadną kobietą ani z żadnym mężczyzną - żeby miała taką potrzebę dzielenia z kimś śmiechu czy żeby sama tyle się śmiała. I nagle z Mattem stało się to wszystko tak bardzo naturalne: i ten śmiech, i to, że zrzuciwszy buty zwinęła się, tak jak jej radził, na kanapie i zaczęła przeglądać książki, które chciał jej pokazać.

A były tego warte, Już po chwili Davina siedziała pochłonięta ich lekturą, entuzjastycznie wykrzykując na widok wspaniałych zdjęć przedstawiających detale ogrodów.

Kiedy z zachwytem pochyliła się nad ilustracją pergoli ciężkiej od staromodnych różowych róż, przyniósł szkicownik i szybko pokazał jej, jak łatwo będzie można wkomponować taki element w jej ogród. Pochłonięta studiowaniem szkicu, zupełnie zapomniała o swoich wahaniach i wątpliwościach. Z zachwytem śledziła teraz jego ołówek, który wyczarowywał przed jej oczami zupełnie nową wizję ogrodu.

- Wygląda cudownie - westchnęła z żalem - ale wątpię, czy ojciec i Gregory się zgodzą.

- A musisz ich w ogóle pytać? - rzucił wyzywająco. - Przecież nie jesteś dzieckiem. - Davina poczuła, jak wali jej serce. - Masz chyba prawo stanowić o sobie, podejmować decyzje, za które będziesz odpowiedzialna jedynie przed sobą.

Znów serce zabiło jej szybciej. Zdawała sobie sprawę, że nie jest to jedynie zwykła dyskusja nad możliwymi zmianami w ogrodzie, zanim bowiem zdążyła cokolwiek powiedzieć, Matt odłożył szkicownik i wstał.

- Kolacja - oznajmił wesoło i kiedy zaczęła wstawać, potrząsnął głową, położył jej ręce na ramionach i delikatnie z powrotem posadził na kanapie. - Nie, ty zostań - polecił.

Zniknął na niezbyt długo, a kiedy wrócił, niósł na tacy półmisek z mięsem i serami.

- Odkryłem w Chester wspaniałe delikatesy - powiedział stawiając tacę. - Poczekaj sekundę, zaraz przyniosę wino.

Wino było klarowne i zimne, tak że proste kieliszki, do których Matt je nalał, natychmiast zaszyły mgłą. Do takich kieliszków jej lubujący się w kryształach mąż z pewnością odniósłby się z pogardą, ale jednocześnie Davina wiedziała, zaraz po spróbowaniu trunku, że żaden z napojów Gregory'ego nie mógłby się z nim równać.

- Smakuje ci? - zapytał Matt, nie spuszczać z niej oczu.

Skinęła głową.

- Cieszę się. To włoskie wino, z małej winnicy należącej do takiej jednej rodziny. Niewiele produkuje na sprzedaż - dodał od niechcienia, nie mówiąc, że winnica jest własnością jego wuja, a zarazem ojca chrzestnego i że tego wina w ogóle nie ma w sprzedaży, ponieważ jego produkcja to hobby włoskiego arystokraty, właściciela winnicy, i że dostanie butelki tego szlachetnego trunku to wyróżnienie, jakie spotkało niewielu.

Kiedy wuj dawał Mattowi to wino, powiedział, że jego bukiet jest tak delikatny, a zarazem erotyczny, jak pierwszy nieśmiały orgazm dziewicy. To, że Matt zamierzał je wypić w towarzystwie Daviny, wydawało się aż nadto stosowne, mimo bowiem, że nie była dziewicą w ścisłym tego słowa znaczeniu, to przecież z pewnością była nie rozbudzona jak mało która prawdziwa dziewica.

Wino, nowe, nie znane jej smaki pikantnych mięs i delikatnych serów - wszystko to razem szczególnie mocno podziało na zmysły Daviny. Wypiła zaledwie jeden kieliszek, wiedząc, że będzie prowadzić samochód, ale nawet ta niewielka ilość alkoholu wywołała w jej ciele ciepło, uderzając do głowy i w dojmujący sposób uświadamiając i fizyczną bliskość Matta, i to, że są sami.

Kiedy odłożyła talerzyk i słabym głosem powiedziała, że już musi iść, nie nalegał, żeby została. Bez słowa podał jej żakiet i odprowadził do samochodu.

Kiedy otworzył przed nią drzwi, bez żadnego ukłonu czy kokieterii, Davina wytłumaczyła sobie, że lekki dreszcz, jaki przeszedł jej ciało, był świadectwem raczej ulgi niż rozczarowania.

Miała już odjeżdżać, kiedy Matt nachylił się do niej i powiedział przez otwarte okno:

- Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała, Davino, albo gdybyś uznała, że na cokolwiek mogę ci się przydać, zawsze mnie tu znajdziesz. Pamiętaj...

Była zadowolona, że nic między nimi nie zaszło. Naturalnie. Mimo jednak, że powtarzała to sobie nieustannie od czterech dni, dokładnie od kolacji z Mattem, w dalszym ciągu musiała siebie o tym przekonywać.

Ale po co? Skąd ta potrzeba nieustannego powtarzania sobie tych słów, jakby były jakimś zaklęciem? Dlaczego - skoro wiedziała, że zachowała się właściwie, budziła się po nocach w napięciu, którego nie mogła ani zlekceważyć, ani stłumić? Dlaczego nieustannie myślała o małym saloniku Matta, o ostrym, czystym bukiecie wina, którego jej nalał, o smaku jedzenia, o tych wszystkich zmysłowych przyjemnościach, które - gdyby tylko zechciała - mogłyby prowadzić do jeszcze większych przyjemności?

Wyobrażała sobie Matta, jak ją tuli, całuje, rozbiera. Wyobrażała sobie, jak piją z jednego kieliszka i jak Matt zlizuje z jej skóry krople wina. Czując narastające podniecenie, rumieniła się ze wstydu i poczucia winy.

Pragnęła go. Nie mogła już dłużej udawać, że jest inaczej. Ale wstydziła się tego pragnienia, owej przemożnej potrzeby, wstydziła się, że Matt o tym wie.

Jednak wewnętrzny ból, jaki ją trawił, nie dawał się ukoić mimo ogromnego wysiłku z jej strony, który doprowadził jedynie do tego, że Davina, wyczerpana, zasnęła wreszcie mocnym, przynoszącym zapomnienie snem.

W dniu, w którym Matt miał przyjść do pracy w ogrodzie, wyszła na zakupy. Powtarzała sobie pośpiesznie, że nie ma najmniejszego sensu narażać się na pokusę, zwłaszcza że tak zupełnie brakowało jej silnej woli.

Ojciec jeszcze nie wrócił z urlopu, ale Gregory przyszedł wyjątkowo wcześniej. Zaskoczył ją, kiedy rozpakowywała zakupy.

Właśnie miała go zapytać, co by zjadł na kolację, kiedy zadzwonił telefon. Była już w pokoju, gdy Gregory ją wyprzedził i ku jej zdumieniu powiedział szybko:

- Ja odbiorę.

Kiedy podniósł słuchawkę, odwrócił się do niej plecami w sposób tak znaczący, że nie miała wątpliwości, o co mu chodzi: życzył sobie, żeby wyszła. Zrobiła to machinalnie. Nie będzie mu przecież przeszkadzała.

Rozmowa telefoniczna była krótka, ale kiedy Gregory wrócił do kuchni, był lekko zarumieniony, a migotliwe ogniki w jego oczach zdradzały podniecenie.

- Niestety, nie mogę zostać na kolacji - powiedział.

Wiedziała dlaczego. Jak zresztą mogłaby nie wiedzieć, mimo że Gregory na ogół nie pozwalał swoim kobietom dzwonić do domu, głównie zresztą w obawie, że to ojciec odbierze telefon.

Nie powiedziała więc ani słowa, bo i po co? Ale kiedy odjechał, pozostał jej niesmak. Może nawet nie dlatego, że jego oczywiste zdrady tak bardzo ją dotykały. Już kilka lat temu przestała na to reagować. Nie, to raczej całkowity brak delikatności w obcowaniu z nią, brak z jego strony choćby odrobiny subtelności napawał ją taką goryczą.

Było mu całkowicie obojętne, czy Davina się czegokolwiek domyśla. Nie traktował ani jej, ani ich małżeństwa nawet na tyle poważnie, żeby cokolwiek przed nią udawać czy choćby próbować ukrywać prawdę.

Nie poszła wtedy do Matta. Nie mogła. Czuła się zbyt dotknięta, zbyt mocno zraniona, zarówno w sensie uczuciowym, jak i psychicznym, ale kiedy leżała w łóżku nie mogąc zasnąć, przypomniawszy sobie, jak Matt jej mówił, że jest dorosła, że powinna sama podejmować decyzje i nagle Davina zaczęła się zastanawiać, co jest lepsze: czy pogardzać sobą za to, że pragnie fizycznie innego mężczyzny, czy za to, że nie ma odwagi przyznać, że jest istotą ludzką ze wszystkimi właściwymi jej ułomnościami i z prawem wyboru, czy ma im ulegać, czy nie.

Gdyby pozwoliła sobie na romans z Mattem, to komu zrobiłaby tym przykrość? Komu wyrządziłaby krzywdę? Czy ulegając swoim potrzebom postąpiłaby gorzej niż żyjąc z człowiekiem, który traktował ją tak, jak to robił Gregory?

Co byłoby bardziej nieuczciwe: przyznać się do tego, że pragnie Matta, czy dawać się w haniebny sposób wykorzystywać?

Nie była już dziewczyną, nastolatką, tylko kobietą. Kobieta, uśmiechnęła się do siebie niewesoło. Ona nie jest kobietą, a przynajmniej nie w pełnym tego słowa znaczeniu. Ale przy Matcie mogłaby się stać kobietą... przy nim mogłaby odkryć, co to naprawdę znaczy. Przy Matcie...

Czy rzeczywiście jej o to chodziło - o krótkotrwały romans z mężczyzną, który jej nie kochał i którego ona nie kochała?

Czym jednak jest miłość? Można kochać na tak wiele sposobów, a w Matcie rozpoznała mężczyznę, który kochał w niej seks w sposób, do jakiego mężczyźni w rodzaju jej ojca czy Gregory'ego nie byli zdolni.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet zaistniał jakiś związek pomiędzy nią a Mattem, to z pewnością nie byłby trwały. Znała już Matta na tyle, że dostrzegłaby w nim włóczęgę, nawet gdyby sam jej o tym nie powiedział. Ale jednocześnie wiedziała, że nigdy by jej rozmyślnie nie skrzywdził, że nie zadałby jej gwałtu zarówno w sensie emocjonalnym, jak i fizycznym.

Co więc ją powstrzymywało? Po prostu niezdolność do uczciwego spojrzenia na siebie samą

i przyznania, że pragnie Matta. „Gdybyś mnie kiedyś potrzebowała, Davino, albo gdybyś uznała, że na cokolwiek mogę ci się przydać”, powiedział, a ona ze wstydem przyznawała, że ma nadzieję, iż mówił poważnie.

Przynajmniej nie będzie musiała uzasadniać celu swojej wizyty, pomyślała wsiadając do samochodu i zapinając pas. O jedenastej wieczór nie składa się wizyt towarzyskich.

W drodze do Matta w połowie modliła się o to, żeby był, a w drugiej połowie, żeby go nie było. Powtarzała sobie w kółko, co mu powie, kiedy się zobaczą, ale ostatecznie słowa okazały się zbędne.

Musił ją widzieć z daleka, ponieważ otworzył drzwi, zanim zdążyła zatrzymać samochód. Przeszedł przez podwórko, żeby ją powitać, i kiedy pomagał jej wysiąść z samochodu, odczuła dotyk jego ręki na swoim zimnym, napiętym ramieniu jako coś ciepłego i uspokajającego.

- Właśnie o tobie myślałem - powiedział po prostu.

Poczekala, aż wejdą do środka, i dopiero potem wyrzuciła z siebie:

- Przyszłam, bo... bo... bo chciałam się z tobą kochać.

Czyżby rzeczywiście dostrzegła w jego oczach podziw? W dotyku Matta z pewnością były czułość i współczucie jak gdyby wiedział, z jakim trudem odniosła nad sobą zwycięstwo, przyznając się najpierw przed sobą, a potem przed nim do trawiącej ją potrzeby.

Znajomy widok małego saloniku, pospołu z naturalnym, opiekuńczym zachowaniem Matta, pomogły rozładować napięcie. Nie odpowiedział nic na jej oświadczenie i u kogo innego Davina wzięłaby to za oznakę zniechęcenia - ale nie u niego. Intuicyjnie wiedziała, że ani ten rodzaj tchórzostwa, ani okrucieństwa nie są mu właściwe.

Teraz, kiedy już przeszły jej przez usta najtrudniejsze słowa i przestała drżeć, Matt odwrócił ją do siebie i powiedział:

- Davino, jesteś bardzo odważną i - co znacznie rzadsze - uczciwą kobietą.

- Uczciwą?

Jej twarz wyrażała zdumienie. Jak można nazwać ją uczciwą, skoro jest o krok od złamania przysięgi małżeńskiej? Chciała mu zadać to pytanie, ale nie potrafiła go wypowiedzieć, nie chciała też zwać na Matta odpowiedzialności za swoją decyzję.

- Tak, uczciwą - powtórzył, unosząc do ust jej rękę dłonią do góry. Lekkie muśnięcie jego warg wywołało w niej drzenie erotycznego oczekiwania.

Zastanawiała się, jak wytrzyma bliższy kontakt z tym mężczyzną, skoro już tak niewinna pieszczota przyprawia ją o szaleństwo?

- Uczciwą - zapewnił ją Matt. - I bardzo, bardzo upragnioną. - Delikatnie muskał ustami wnętrze jej dłoni, a Davina nie była w stanie powstrzymać dreszczu rozkoszy. Instynktownie

nachyliła się ku niemu, jakoś dziwnie bezwolna. Zanim ją pocałował, dotknął dłonią jej włosów, z rozkoszą wyczuwając jedwabistą kaskadę, która przelewała mu się między palcami.

- Zupełnie jak jedwab - powiedział. - A twoje ciało będzie wyglądało jak najcieńszy francuski atlas, miękki i lśniący w świetle.

Nie potrafiła ukryć wrażenia, jakie robiły na niej jego słowa, a w jej oczach, wielkich i ciemnych, jak w lustrze odbijało się wszystko, co czuła.

Dotknął jej twarzy. Opuszki jego palców wydały jej się lekko szorstkie, odczuwała przy tym jednak tak dojmującą przyjemność, że wszelkie skrępowanie i lęki gdzieś się ulotniły.

Kiedy dotknął ustami jej ust, rozchyliła wargi i przylgnęła do niego całym ciałem. Nie był to namiętny, zaborczy pocałunek, ale raczej nieśmiałe powitanie, powolny erotyczny rekonesans, który pozwolił Davinie chłonąć wszystkimi zmysłami smak i przyjemność tego pierwszego kontaktu. Czuła, jak przenikają ciepła fala rozkoszy, przywracając zabraną przez Gregory'ego wiarę w siebie i we własną kobiecość.

Powoli Matt zwolnił uścisk, obsypując ją jeszcze krótkimi, mocnymi pocałunkami, po czym lekko schrypniętym głosem powiedział:

- Ta okazja aż się prosi o następną butelkę wina wujka Paolo, nie uważasz? - Zaprowadził ją do kanapy i leciutko popchnął, po czym dodał: - To trzeba uczcić.

Idąc po wino musiał przyznać, że nie dlatego zwleka trochę, żeby uroczyście obejść fakt jej wizyty, ani nawet żeby dać jej czas na odprężenie się i pozbycie poczucia własnej niepełnej wartości, które zaszczerpił w niej Gregory, ale po to, aby samemu zyskać nad sobą kontrolę.

Wiedział, że w końcu zostaną kochankami, ale mimo wszystko nie spodziewał się, że Davina w taki sposób do niego przyjdzie, że tyle w niej odwagi i otwartości. Odkorkowując butelkę pomyślał, że gdyby był typem mężczyzny nastawionego na stały związek z jedną tylko kobietą, to tą kobietą mogłaby być właśnie Davina James.

Wręczył jej kieliszek, a następnie uniósł swój w krótkim toastie:

- Twoje zdrowie, Davino.

Kiedy piła, ogarnęło ją lekkie drzenie i wtedy trochę wina wylało jej się na rękę. Przypomniała sobie, jak to fantazjowała na temat Marta, zlizującego krople wina z jej skóry, i natychmiast zarumieniła się. Co by powiedział Matt, gdyby mu się do tego przyznała? Czy by ją wyśmiał, czy...

A Matt, po wypiciu swojego wina, sięgał właśnie do kieliszka Daviny, by go odstawić i wziąć ją w ramiona. Kochał się z nią powoli, delikatnie, świadom jej lęków i braku wiary w siebie, co doceniła dopiero znacznie później. Kiedy ją rozebrał, pozwolił jej przez jakiś czas jeszcze kryć się w cieniu, dyskretnie odwracając wzrok. A kiedy ją pieścił, jego dotyk był tak delikatny i kojący, jakby nie pragnął niczego poza dostrzeżeniem w jej oczach rozkoszy.

Otepiała przez lata znoszenia pogardy i złośliwości Gregory'ego, Davina zbyt była skrepowana świadomością swoich braków, żeby okazać choć odrobinę inicjatywy. Było to wręcz śmieszne, żeby kobieta tak długo zamężna nie wiedziała, co zrobić, żeby podniecić mężczyznę.

Głaszcząc ją, Matt przemawiał do niej łagodnie i czule, wyrażając swój zachwyt i podziw, co początkowo wprawiało ją w zmieszanie. Gregory, kochając się z nią, nigdy nie odzywał się ani słowem, a już w żadnym wypadku nie mówił, że smak jej skóry przypomina mu ciepło greckiego słońca ani że kiedy ona drży pod wpływem jego pieszczot, on czuje się jak młody bóg.

- Popatrz, Davino, co ty ze mną wyprawiasz - szepnął jej Matt do ucha.

Mówiąc to, ujął jej dłonie i położył na swoim ciele. W pierwszej chwili wzdygnęła się nieznacznie; nie dlatego jednak, żeby intymność tego kontaktu wydała jej się odpychająca, nic podobnego, po prostu krępowało ją to, że nie wie, jak powinna się w takiej sytuacji znaleźć. To, że Matt ją zaprasza do pieszczot, do tego, żeby go podniecała, było dla niej oczywiste. Ale jak miałyby się do tego zabrać? W tych nielicznych chwilach, kiedy próbowała nieśmiało dotykać Gregory'ego, odpychał ją z reguły, utwierdzając tym samym w poczuciu niższości.

Ogarnęła ją panika, ale Matt, jakby doskonale wiedział, co ona czuje i myśli, nakrył ręką jej dłonie i szepnął kojąco:

- Tak, tak, tak lubię najbardziej. - Delikatnie prowadził jej rękę, ucząc ją, instruując.

Zupełnie jak nauka tańca, pomyślała w oszołomieniu; kiedy już raz poznasz rytm, reszta przychodzi łatwo i naturalnie.

- Mmm... - mrucał jej Matt do ucha. - Widzisz, jak dobrze, Davino, widzisz... chodź, pokażę ci...

Kiedy palce Matta odbywały swą erotyczną wędrówkę po jej ciele, Davina pomyślała w oszołomieniu, że ten rodzaj gry miłosnej jest właściwy nastolatkom, że to intymność pogardzana przez dorosłych - a przynajmniej Gregory nigdy nie zdradzał skłonności w tym kierunku. Ale nagle, w chwili, gdy wargi Matta dotknęły jej piersi, Davina zapomniała o Gregorym, zapomniała o wszystkim, poza tym jednym jedynym cudownym doznaniem. Uniosła ręce do góry i, napięta jak struna, spazmatycznie uczepliła się jego ramion.

Kiedy złączył się z nią, było to uczucie niczym nie przypominające tego, do czego przywykła w małżeństwie. Z mieszaniną zdumienia i rozkoszy chłonęła go, wciągając w siebie coraz głębiej...

Gdy nagle znieruchomiał, zaprotestowała, ale zaraz potem zarumieniła się ze wstydu. Jej ciało dalej pulsowało pragnieniem, podczas gdy Matt, zaspokojony, zsunął się z niej powoli, w dalszym ciągu całując ją i głaszcząc.

- W porządku, Davino, wszystko w porządku - powtarzał tuląc ją do siebie i podczas gdy

odczuwała wstyd, że Matt ją „rozszyfrował”, to jednocześnie jej spragnione ciało z wdzięcznością przyjęło jego pieszczoty.

Orgazm, kiedy wreszcie przyszedł, pozostawił ją drżącą, we łzach i zawstydzoną, a zarazem szczęśliwą, że Matt jednak wiedział, jak się zachować.

Później, kiedy siedziała skulona w jego ramionach i dopijała wino, powiedział prosto z mostu:

- Nigdy nie wstydz się powiedzieć swojemu kochankowi, czego po nim oczekujesz, Davino. Macie te same potrzeby i korzystacie z równych praw.

Uśmiechnął się na widok jej rumieńca.

- Czy to cię krępuje, że mówię o tych sprawach w tak bezpośredni sposób? Nie powinno. Ciekawe, dlaczego ludzie stosunkowo łatwo dopuszczają do fizycznych zbliżeń, a tak im trudno mówić o przyjemności, jaką sobie sprawiają? Bo co innego wiedzieć, że sprawiasz kobiecie rozkosz, wiedzieć to po jej oczach i ciele, a co innego, kiedy ci mówi, co czuje... - Pochylił się i delikatnie pocałował jej pierś. Davina drgnęła i westchnęła cicho.

- O, widzisz - powiedział puszczając ją - po twojej fizycznej reakcji poznaję, że ci sprawiłem przyjemność. Ale gdybyś tak szepnęła mi do ucha, że dotyk moich warg jest wspaniały i że chcesz, żebym tak dalej robił...

Głos Matta nabrał erotycznych tonów i sam jego dźwięk sprawił, że Davinę nagle ogarnęło podniecenie.

- Pokażę ci, Davino. Chodź, pocałuj mnie, a ja ci powiem, jakie to cudowne uczucie, kiedy to robisz.

Niemal świtało, kiedy od niego wyszła. Nie przyjęła propozycji, że ją odwiezie, musiałby bowiem w drodze powrotnej przejść siedem kilometrów piechotą.

- To jeszcze nie koniec - powiedział całując ją na pożegnanie. - To dopiero początek.

- Ale przecież... my się nie kochamy - zaprotestowała, drżąc z lekka w chłodzie przedświt. Powiedziała to bardziej dlatego, żeby przed sobą przyznać szokującą prawdę, niż żeby usłyszeć od niego zaprzeczenie czy jakikolwiek komentarz.

- Może nie jesteśmy w ścisłym tego słowa znaczeniu „zakochani” - poprawił ją Matt - ale tak intensywnym przeżyciom zawsze towarzyszy jakaś miłość. Musiałaś to czuć, kiedy się dotykaliśmy. Ja czułem.

Znów ją pocałował.

- Jest tylko jedna miłość, Davino, która powinna być dla ciebie naprawdę ważna: twoja własna.

Minęło wiele czasu, zanim w pełni zrozumiała, co miał na myśli, a stało się to właściwie



dopiero, kiedy ich romans się skończył i Matt odszedł, bo dopiero wtedy dotarło do niej w pełni, jak wiele mu zawdzięcza.

Byli z sobą przez całe lato. Los im sprzyjał, pozwalając zachować ten związek w tajemnicy. Gregory zbyt był pochłonięty swoim własnym romansem, żeby się interesować tym, co robi jego żona, a jej ojciec zupełnie nieoczekiwanie oznajmił, że przechodzi na emeryturę i wyjeżdża na parę miesięcy do Szkocji grać w golfa.

Później, kiedy wracała pamięcią do tamtego lata, nie mogła się nadziwić, jak szybko i intensywnie rozwijała się jej zmysłowość.

Matt był kochankiem doświadczoneym i pełnym intuicji, zachęcającym zarówno do tego, żeby pogłębiała znajomość siebie i partnera, jak i do tego, żeby swobodnie wyjawiała swoje potrzeby i pragnienia.

W październiku zaczęła dostrzegać pewne zmiany w jego zachowaniu. Czasami bywał jakby nieobecny duchem, to znów dziwnie drażliwy i napięty.

Zawsze wiedziała, że ich związek nie będzie trwał wiecznie, i teraz, kiedy już się nauczyła uczciwości wobec siebie, swoich potrzeb i pragnień, zrozumiała, że życie, które jej najbardziej odpowiada, nigdy nie zadowoli Matta. Nie była podróżniczką, nie miała w sobie nic z włóczęgi. Ważne były dla niej korzenie, stałość i poczucie bezpieczeństwa.

Pod koniec października Matt oznajmił jej, że musi wyjechać.

- Owen już właściwie nie ma dla mnie pracy i gdybym został dłużej... - Spojrzał na nią i dotknął jej twarzy. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo bym chciał zabrać cię z sobą, ale moje życie nie byłoby dla ciebie odpowiednie i prędzej czy później... - Westchnął i potrząsnął głową. - Nie wiem, czy będzie lepiej, czy gorzej, jeśli ci powiem, że cię kocham...?

- Lepiej - odparła Davina i po chwili dodała z zalem: - I gorzej.

Roześmieli się oboje. Była to jedna z tych rzeczy, których nauczył ją Matt: żeby się wspólnie śmiać.

- Nie zostawaj z Gregorym - nalegał. - Oboje wiemy, że w gruncie rzeczy nie potrafię ci dać tego, czego potrzebujesz, ale jestem przekonany, że gdzieś taki człowiek istnieje. Nigdy go nie znajdziesz, jeśli pozostaniesz zamężna, a zasługujesz na to, żeby go znaleźć. Musisz go znaleźć - nie tylko dla siebie, ale i dla niego, i dla dzieci, które będziecie mieli.

Ich ostatnia wspólna noc była czymś w rodzaju uczy: celebrowali to wszystko, co między sobą dzielili. Stosowne zakończenie ich związku, pomyślała Davina. Wiedziała ' już, jak bardzo będzie jej Matta brakowało, ale nie rozpacziała z tego powodu. Jakże wiele się przy nim nauczyła, jak dzięki niemu dojrzała...

Odejdź od Gregory'ego, powiedział jej i Davina wiedziała, że ma rację, ale jednocześnie

zdawała sobie sprawę, że Gregory jej tak łatwo nie puści. Nie mógł sobie na to pozwolić. A i jej ojciec był zagorzałym przeciwnikiem rozwodu. Nie mogła liczyć na jego poparcie.

Ale ostatecznie dlaczego miałyby na nie liczyć? Jest osobą dorosłą, w pełni odpowiedzialną za swoje życie i decyzje. Po powrocie ze Szkocji ojca, wiecznie krytycznego i wymagającego, niewiele miała czasu na opłakiwanie Matta. Tylko nocami, kiedy samotnie leżała w łóżku - mieli już teraz z Gregorym osobne sypialnie - mogła sobie pozwolić na luksus wspomnienia, wyobrażania sobie w ciemności dotyku jego rąk, ciepła ust. Tęskniła za nim, owszem, i to bardzo, ale pogodziła się z jego odejściem, bo zawsze wiedziała, że go nie zatrzyma na stałe.

I potem nagle, w niecały miesiąc po wyjeździe Matta, ojciec dostał pierwszego wylewu. W ciągu jego wielomiesięcznej choroby Davina musiała pogodzić się z faktem, że nie jest to pora na rozwód.

Lekarz powiedział, że o całkowitym powrocie do zdrowia nie może być mowy, a jednocześnie ojciec stał się tak wymagający i kapryśny, że jedyną osobą, którą tolerował przy sobie, była Davina. Wprawdzie ciało odmawiało mu posłuszeństwa, ale umysł pozostał jasny i Davina była świadkiem, jak między jej ojcem a mężem rodzi się ostry antagonizm, którego najgorsze skutki w bolesny sposób godziły w nią, bo pełniła rolę bufora.

Próby utrzymania względnego spokoju wyczerpywały ją znacznie bardziej niż sama pielęgnacja chorego i prowadzenie domu. Davina niejednym razem żałowała, że nie zdradziła się ze swoimi planami rozwodowymi, zanim ojciec dostał wylewu. Teraz nie miała ucieczki...

- Otoczony troskliwą opieką ojciec ma przed sobą jeszcze wiele lat życia - powiedział jej lekarz beztrąsko i te słowa były jak wrota więzienia, które się nagle zatrzasnęły, zamykając ją w środku. Nie mogła opuścić ojca, nie mogła też się rozwieść z Gregorym, w każdym razie dopóki ojciec żył.

Z rozpaczą uświadamiała sobie nikłe prawdopodobieństwo tego, że Gregory da jej rozwód. Dlaczego niby miałyby to zrobić? Finansowe zabezpieczenie wynikające z ich małżeństwa było mu bardzo na rękę. Gdyby kiedykolwiek udało mu się zyskać całkowitą kontrolę nad firmą, sytuacja mogłaby ulec zmianie. Davina słyszała nawet, jak usiłował namówić ojca, żeby mu przekazał większość udziałów, ale ojciec się nie zgodził. Nie z troski o jej przyszłość, jak się zorientowała, tylko z rozżalenia i urazy, z chęci zapewnienia sobie jakiejś władzy nad zięciem, do którego stracił zaufanie.

- Kiedy on wreszcie wykorkuje? - powiedział kiedyś z wściekłością Gregory po jednej ze szczególnie gwałtownych kłótni, ale, jak się miało okazać, sam przeżył jej ojca zaledwie o rok.

A teraz, kiedy już ich obu nie było, miała wreszcie tę wolność, o której tak kiedyś marzyła,

czy też może miałyby, gdyby nie firma.

Wolność. Czy ktokolwiek rzeczywiście jest wolny? - zastanawiała się Davina, snując wspomnienia.

Ciekawe, czy ten człowiek, którego dziś wieczorem spotkała, jest wolny? Otaczała go jakaś aura samotności, odosobnienia, która jednak kojarzyła jej się z pewną surowością i oschłością, nie mającymi nic wspólnego z beztroskim ciepłem Matta.

Dlaczego więc w sposób tak bezpośredni i niepokojący skojarzył jej się z Mattem? Przecież chyba nie dlatego, że jej dotykał?

Ta myśl wyraźnie Davinę zaniepokoiła. Dlaczego akurat jego dotyk, obojętny, przypadkowy dotyk nieznanego miał jej przypomnieć Matta, kochanka, z którym łączyło ją tak wiele? W tym obcym człowieku nie było nic zmysłowego. Niestety jednak, przyspieszone bicie serca zadawało kłam tym zapewnieniom.

Owszem, było w nim coś, co bezbłędnie rozpoznała ciałem, choć umysł wzdragał się przed zaakceptowaniem prawdy.

Poruszyła się niespokojnie, jakby fizycznie chciała uciec przed własnymi myślami, niezadowolona, że jej ciało, choćby na krótko i przelotnie, zareagowało w sposób zmysłowy na tego nieznanego.

Może to była reakcja zastępcza, pomyślała. Przyjaźń z Lucy i własny kodeks etyczny nie pozwalały jej przyjmować - nie deklarowanych zresztą dotychczas - awansów Gilesa, może więc ta nadmierna pobudliwość seksualna wobec tamtego obcego mężczyzny miała być czymś w rodzaju rekompensaty?

A może po prostu to niepożądane wtargnięcie mężczyzny potraktowała jako sposób na odwrócenie uwagi od znacznie poważniejszych problemów, jakim powinna stawić czoło? Jak na przykład przyszłość firmy i jej pracowników. Przedstawiciele związków kategorycznie domagali się wyjaśnienia kondycji Carey Chemicals, czemu zresztą nie mogła się dziwić, ale zarówno Giles, jak i bank ostrzegali ją, że jeśli poda do publicznej wiadomości fatalny stan firmy, to znalezienie na nią nabywcy stanie się sprawą jeszcze trudniejszą. Z tych właśnie względów Giles i bank zalecali jej, żeby przynajmniej stwarzała pozory jasnej, bezpiecznej przyszłości.

Davina brzydziła się nieuczciwością wobec pracowników, którzy jej zdaniem mieli prawo znać prawdę i szukać sobie innej pracy. Co nie znaczy, że mieli szansę. Firma Carey była w tej okolicy jedynym większym przedsiębiorstwem i dlatego mogła sobie pozwolić na utrzymywanie płac na tak niskim poziomie, jak również na robienie oszczędności kosztem warunków pracy i bezpieczeństwa załogi. Zamknęła oczy w poczuciu winy. Kiedy po śmierci Gregory'ego odwiedziła fabrykę, była przerażona warunkami, w jakich pracowali ludzie.

A gdy w dobrej wierze i z oburzeniem o tym powiedziała, jeden z mistrzów odpowiedział jej ze złością, że nieraz występował w tej sprawie do jej męża.

Davina rumieniła się, słuchając tych pretensji. Uznała, że jest to w tym samym stopniu wina jej, co i Gregory'ego. Nie powinna się była dać tak całkowicie odsunąć od prowadzenia firmy.

Ma swoją dywidendę i udziały, i to jej powinno wystarczyć, powiedział jej kiedyś Gregory tonem nie znoszącym sprzeciwu, a Davina, widząc całą bezcelowość użerania się z nim, potulnie ustąpiła.

Powinna być silniejsza, bardziej wymagająca... powinna się tym wszystkim bardziej interesować, idąc bowiem po linii najmniejszego oporu i ustępując we wszystkim, skazywała innych na tyranie i egoizm Gregory'ego.

Postanowiła z tym skończyć. W jej biurku leżał opracowany przez nią dokument, w którym precyzowała dokładnie wszelkie ulepszenia, jakie zamierzała wprowadzić w Carey Chemicals, tak by pracownikom firmy zapewnić nie tylko godziwe, ale dobre warunki pracy, takie, w jakich sama chciałaby pracować, jakie świadczyłyby o jej szacunku dla tych ludzi.

Problem bezpieczeństwa znajdował się naturalnie na pierwszym miejscu, ale były też i inne sprawy, jak przyzwoita stołówka, czyste, estetyczne toalety i łazienki, lepsze urządzenia socjalne, które by wpłynęły na poprawę stosunków pomiędzy załogą a pracodawcą, ale przede wszystkim żłobek i przedszkole dla dzieci.

Słowem nie wspomniała o tym dokumencie Gilesowi ani bankowi, ale postanowiła nie sprzedawać firmy, jeśli nie uzyska od ewentualnego nabywcy gwarancji, że spełni wszystkie te warunki.

Byłaby raczej skłonna sprzedać przedsiębiorstwo za psi grosz i obrócić te pieniądze na potrzeby pracowników, niż sprzedać je z zyskiem - dla siebie. Przynajmniej tyle była tym ludziom winna. Liczyła się jednak z tym, że Giles i bank nie podzielą jej stanowiska. Nie szkodzi. Będą musieli, postanowiła. Ostatecznie to do niej należy firma i jej sprawą jest stać teraz twardo na straży interesów ludzi, którzy dla niej pracowali, żeby przynajmniej częściowo zadośćuczynić za dawne zaniedbania.

Matt, przekomarzając się z nią kiedyś, powiedział, że ma kalwiński kodeks moralny: płacić długi, dotrzymywać obietnic.

Matt. Tyle jej z siebie dał. Tyle ją nauczył. „Wiesz już teraz, co to znaczy być kobietą”, powiedział jej na odchodnym. „Nie zmarnuj tej wiedzy, ale przede wszystkim nie zmarnuj swojej kobiecości. Znajdź sobie człowieka, który będzie cię kochał tak, jak na to zasługujesz”.

Naturalnie, nie zastosowała się do jego rad, bo jak mogła? Wylew ojca przykuł ją do

Gregory'ego i ich małżeństwa. Znajdź sobie człowieka... Roześmiała się smutno. Człowiekiem, którego teraz potrzebowała najbardziej, był nie potencjalny kochanek, lecz ktoś, kto by kupił od niej firmę. Błagała Boga, żeby zesłał jej kupca. Nie dla niej, tylko dla tych wszystkich ludzi, których życie i utrzymanie zależało od Carey Chemicals.

Zadzwoił telefon. Ostry, przesywający sygnał, który dosłownie poraził jej system nerwowy. Przez kilka sekund wpatrywała się w aparat, zanim sięgnęła po słuchawkę. Spojrzała na zegarek; było już po północy. Kto mógł do niej dzwonić tak późno?

- Davina?

Zastygła w napięciu. Był to głos Gilesa. Dyszał jak po wyczerpującym biegu albo pod wpływem jakiegoś stresu.

- Giles... - Wymówiła jego imię speszona, świadoma sprzecznych sygnałów, jakie wysyłał jej umysł.

- Davino, muszę się z tobą zobaczyć.

Poznała niską, charakterystyczną nutę pożądania w jego głosie i serce skoczyło jej do gardła. Nie może mu pozwolić przyjść o tej porze. W każdym razie nie w tej chwili, kiedy jest tak wrażliwa, kiedy wspomnienie Matta całkowicie ją rozkleiło.

- Nie teraz, Giles - odparła stłumionym głosem. - Jest już bardzo późno i właśnie się kładłam.

Niemal czuła jego rozczarowanie. Czy rzeczywiście coś by się stało, gdyby pozwoliła mu przyjść? Jest w tej chwili wyraźnie przegrany. Oboje są przecież dorośli, a Davina dobrze wie, że Giles jest żonaty.

Stanowczo odsunęła od siebie te płytkie preteksty i powiedziała dobranoc, zanim Giles miał czas zacząć z nią pertraktować.

To wszystko jego wina... tego człowieka, którego spotkała wieczorem. Gdyby nie obudził w niej wspomnień o Matcie... Wzdrygnęła się i objęła się ramionami.

Przecież nie pozwoli sobie na romans z Gilesem tylko dlatego, że jest spragniona kontaktu fizycznego, miłości; tylko dlatego, że jakiś obcy, przypadkowo spotkany mężczyzna przypomniał jej nagle, jak to było, kiedy tulił ją człowiek, który jej pragnął i którego ona pragnęła...

Kiedy w dwadzieścia minut później Saul zjechał z drogi w cichą uliczkę, na której mieszkała jego siostra, ku swojej irytacji stwierdził, że w dalszym ciągu myśli o Davinie.

Christie, przenosząc się do hrabstwa Cheshire, kupiła przysadzistą wiktoriańską willę o czterech sypialniach. Na przedmieściu małego, prowincjonalnego miasteczka zarówno ten budynek, jak i podobne mu stojące w sąsiedztwie, początkowo wydawały się w tym wiejskim otoczeniu nie na miejscu. Znacznie łatwiej można je sobie było wyobrazić w jakimś przemysłowym mieście, na przykład na zamożnym przedmieściu Liverpoolu czy Manchesteru. Wille te jednak zostały zbudowane przez wiktoriańskiego przedsiębiorcę. Niestety, przeliczył się on trochę próbując naśladować tych, których wizjonerskie myślenie doprowadziło do wielkiego rozwoju kolei.

Projekt padł, ale Christie zachwyciła się domem od pierwszego wejrzenia, doceniając jego bliskie położenie od centrum miasteczka i gabinetu lekarskiego, w którym pracowała, duży ogród, obszerne pokoje i stosunkowo niską cenę. Poproszony o radę Saul podkreślił, że niska cena wynika z konieczności przeprowadzenia generalnego remontu, ale Christie nie dała się zniechęcić. Ten dom ma charakter, wyjaśniła bratu, całkowicie ignorując jego sugestię, że może słuszniej by postąpiła kupując coś bardziej nowoczesnego, a zarazem mniejszego i tańszego. Ostatecznie Saul zmuszony był przyznać, że dom spełniał swoje zadanie. To prawda, że Christie nigdy nie przeprowadziła zaplanowanej modernizacji, ale przynajmniej, jak mu żartobliwie uświadomiła podczas jego ostatniej wizyty, nie wyrzuciła w błoto pieniędzy. Łazienka na przykład, ze swoimi białymi urządzeniami sanitarnymi, znów była modna, podobnie jak i inne elementy wykończenia w rodzaju wielkich kominków, boazerii i gzymsów.

To wszystko od biedy może być, zgodził się bez entuzjazmu Saul, ale przestarzały system grzewczy uznał za grubą przesadę. Nad kuchnią wisiał monstrualnie wielki bojler o usposobieniu primadonny, groźny i ponury, i Saul, odkręcając kran gorącej wody w łazience, żeby wziąć prysznic, nigdy nie wiedział, co go czeka: czy cieniutki strumyk rdzawej wody okaże się lodowaty, czy, przeciwnie, potwornie gorący, czy też bez najmniejszego uprzedzenia będzie się zmieniał, przechodząc z jednej ostateczności w drugą.

Christie naśmiewała się z brata, że zniewieściał w swoich luksusach, i przypominała, że kiedy byli mali, o żadnym centralnym ogrzewaniu nie mogło być mowy. Saul o tym doskonale wiedział. Pamiętał też bardzo dobrze, jak to w dzieciństwie nie śmiał nawet wspomnieć o różnych udogodnieniach, które mieli w domach jego rówieśnicy. Kiedyś nieopatrznie wyraził się z

entuzjazmem o nowym samochodzie rodziców kolegi, i do dziś pamiętał surową minę ojca, która zdradzała, że zrobił mu przykrość. Od tej pory bardzo uważał, żeby w jego obecności nie wspominać o materialnych osiągnięciach innych.

Christie, której nie łączyły z ojcem podobnie silne więzy, nie miała takich problemów. Mimo że w okresie szkolnym często zazdrościła swoim zamożniejszym przyjaciółkom, to w końcu wyrosła na osobę zupełnie nie przywiązaną wagi do dóbr materialnych.

Bogactwo nie jest ludziom potrzebne, mawiała, potrzebna jest im miłość, dobre zdrowie i to, żeby mogli się realizować. Muszą innych szanować i być szanowani, czuć, że ich życie ma jakiś sens i cel. Nadmiar pieniędzy otepia i odbiera wrażliwość na potrzeby duchowe niemal w tym samym stopniu co ich brak, a Christie, ze swoim usposobieniem, zawsze raczej sympatyzowała z tymi, co nie mają, niż z tymi, co mają za dużo. Ludzie bogaci mogą przynajmniej coś z tym fantem zrobić, używając swoich pieniędzy dla dobra innych; biedacy nie mają takich możliwości.

Saul skrzywił się nieco, podjeżdżając wolno pod dom siostry. Ciekawe, co by Christie powiedziała na Davinę James. Były jak dzień i noc. Christie ciężko pracowała, była niezależna, uparta, z determinacją stała po stronie pokrzywdzonych. Jej jedyny słaby punkt stanowiła córka, Cathy. Poza tym nieustępliwie, z fanatyczną żarliwością, broniła swoich poglądów.

Davina James natomiast pochodziła z zamożnego domu i nigdy nie musiała zarabiać na swoje utrzymanie. Z pozbawionego trosk dzieciństwa przeszła w pozbawione trosk życie małżeńskie, tak mało emocjonalnie rozbudzona, że przymykała oczy na nieustanne zdrady swojego męża.

Saul niespokojnie poruszył się i zmarszczył brwi. Nie było najmniejszego powodu, żeby te myśli go tak irytowały. Nie tylko Davina była w takiej sytuacji. Saul widział wśród swoich znajomych wiele par małżeńskich, które na zewnątrz stwarzały pozory nienaganego stadła, kryjąc w ten sposób wzajemną gorycz i brak jakichkolwiek cieplejszych uczuć. Dlaczego tacy ludzie się nie rozstają? Bruzda na czole Saula pogłębiła się, kiedy wjeżdżał na podjazd przed domem Christie.

Co go właściwie obchodzi, dlaczego Davina James nie rozeszła się ze swoim mężem? Jej małżeństwo nie ma przecież nic wspólnego z zamiarami Alexa. Tym, co go jednak tak bardzo zaniepokoiło, była jakaś nadmierna świadomość bliskości Daviny, jej kruchego ciała, które instynktownie stężało w poczuciu zagrożenia, jakim był dla niej kontakt z nieznanym mężczyzną. Chociaż jakim znowu zagrożeniem mógł być dla niej Saul?

Jak taka wrażliwa kobieta mogła się otoczyć pancierzem cynicznej obojętności, pozwalającym jej znosić małżeństwo z człowiekiem zdradzającym ją konsekwentnie od samego początku? Czy może była tak zimna w sensie fizycznym, że uznała to za rzecz dla siebie wygodną?

Jego zmysły odrzuciły tę myśl tak szybko, że wywołało to w nim nowy przypływ gniewu. Zapomnij o tej kobiecie, przykazał sobie stanowczo i zatrzymał samochód. Ona nie ma żadnego znaczenia. A czyjego niezadowolenie, niemal rozpacz, z powodu kursu, jaki przyjęło jego życie, też nie ma znaczenia?

Wysiadając trzasnął drzwiczkami samochodu znacznie mocniej, niż powinien. Kiedy zbliżał się do domu, zabłyśły światelka alarmowe, otworzyły się drzwi i na dwór wybiegła Cathy, rzucając mu się na szyję. Jakżeż była inna od jego córki! Czasami nie mógł się nadziwić, jak jego surowa siostra mogła urodzić dziecko tak pogodne i ciepłe, tak pełne radości życia, podczas gdy on... gdy Josey...

Kiedy nachylił się, żeby uściskać małą, poczuł ukłucie w sercu. Ciekawe, w jakim stopniu ponosi winę za cynizm i egoizm Josey? No cóż, ostatecznie jest starsza od Cathy i żyje w zupełnie innych warunkach. Co jednak nie zmienia faktu, że Cathy jest szczęśliwa, a jego dzieci nie.

- Mama została pilnie wezwana i musiała wyjść, ale powiedziała, że niedługo wróci - poinformowała go Cathy, kiedy szli razem w stronę domu.

- Z tego wnoszę, że w domu jest Gorgona - powiedział Saul z teatralnym jękiem. Był to ich stary kawał. W ten sposób nazywali w gruncie rzeczy pocziwą, ale z pozoru bardzo groźną wdowę, którą Christie zatrudniała do opieki nad Cathy, kiedy musiała wyjść z domu.

Saul wiedział, że pod pozorami surowości osoba ta kryła ciepło i niebывałe wprost oddanie Christie i Cathy. Reprezentowała ginący już gatunek kobiet konsekwentnie okazujących niechęć mężczyznom, i choć może trudno w to uwierzyć, była kiedyś mężatką. O swoim mężu nie wyrażała się jednak inaczej, jak „świętej pamięci pan Lynch” i Saul zastanawiał się nieraz, czy kiedykolwiek zwracała się do niego po imieniu.

Christie naśmiewała się z jego stosunku do Agnes Lynch, twierdząc, że to wszystko wina mężczyzn, którzy narzucają kobietom takie formy zachowania. Że najprawdopodobniej od dzieciństwa uczono ją, że ma się wstydić swojej kobiecości, że zadaniem kobiety jest wywierać na mężczyzn z najbliższego otoczenia cywilizujący wpływ.

- Wy, mężczyźni, jesteście jak dzieci - besztła Saula. - Nigdy nie chcecie wziąć odpowiedzialności za własne zachowanie. Jesteście w sensie seksualnym „wszystkożerni” i uważacie, że wam wszystko wolno. Według was, powiedzieć „nie” to sprawa kobiety. Bzdura! Mężczyzna jest w takim samym stopniu zdolny kontrolować swoje popędy co kobieta, która ma takie samo prawo do swobody seksualnej jak mężczyzna.

Saul nie odezwał się słowem, ale często zastanawiał się, czy posłannictwo jego siostry ma coś wspólnego z faktem, że ojciec jej córki, żonaty mężczyzna, który najpierw uwiódł Christie, a potem jej cynicznie powiedział, że nie chce ani jej, ani dziecka, potraktował ją tak okrutnie.



- Mam ci zrobić kolację - powiedziała Cathy poważnie. - Jest zresztą gotowa w kuchni, ale pewnie będziesz wolał najpierw iść na górę, prawda?

Saul uśmiechnął się pod nosem. Ciekawe, po kim ta mała jest taka opiekuńcza? Z pewnością nie po jego siostrze, która najprawdopodobniej odesłałaby go do lodówki i kazała samemu wziąć sobie coś do jedzenia.

W godzinę później, kiedy Christie wróciła do domu, zastała ich siedzących w kuchni nad scrabblem. Ucałowała Cathy, a potem uściskała Saula.

- Cóż to za ważne sprawy sprowadzają cię w tę część świata, braciszku? - zapytała obcesowo.

- A kto mówił, że mają być ważne? - odparował Saul. Christie może i była rozwichrzona, ale to nie znaczy, że nie była inteligentna. Wręcz przeciwnie. Niechętnie przyznał przed sobą, że nie chce, by jego siostra wiedziała, dlaczego Alexowi tak zależy na firmie Carey Chemicals.

Właściwie nic go to przecież nie obchodzi, co sobie o jego działaniach pomyśli Christie. Nigdy w przeszłości różnice w ich poglądach i zasadach nie miały dla niego najmniejszego znaczenia. Nie miały, bo przed jej zgryźliwą, krytyczną oceną jego chciwości i „szacunku dla dóbr doczesnych” chroniło go przekonanie, że robi to wszystko dla ojca, żeby spełnić jego marzenia. Teraz już nie miał tej tarczy ochronnej.

- Jesteś prawą ręką sir Alexa. Nie byłoby cię tutaj, gdyby sprawa nie była poważna - powiedziała Christie, obserwując go uważnie.

- Ach, obawiam się, że wypadłem z łask i to ma być coś w rodzaju kary. Jest tutaj taka firma, którą chciałby wykupić. - Wzruszył ramionami i szybko ułożył na planszy kolejne słowo, starając się stworzyć wrażenie, że bardziej interesuje go gra z Cathy niż powody jego przyjazdu do Cheshire. Christie zmarszczyła czoło.

- O jaką firmę chodzi? Przecież tu nie ma nic takiego, co by mogło zainteresować sir Alexa. Właściwie jest tylko Carey Chemicals. A może to o to właśnie chodzi? - Zmarszczka na czole Christie pogłębiła się. - Ale dlaczego na miłość boską miałoby mu na tej firmie zależeć?

Saul wzruszył ramionami.

- Tak na dobrą sprawę wcale nie jestem pewny, czy mu rzeczywiście zależy.

- Trzeba coś z nimi zrobić - powiedziała poważnie Christie. - Mają bardzo złą statystykę, jeśli chodzi o wypadki przy pracy, a ostatnio zastraszająco rośnie liczba zachorowań na choroby skóry. Poza tym płacą fatalnie, a o Gregorym Jamesie mówią bardzo źle.

- Znałaś go? - zapytał Saul.

Potrząsnęła głową.

- Nie... I z tego, co o nim słyszałam, nie mam czego żałować. Parę razy spotkałam jego

zonę. Taka cicha, potulna, chociaż...

- Chociaż co? - podchwycił Saul. Czekaając na odpowiedź siostry, zdał sobie sprawę z narastającego w nim dziwnego napięcia. Małe kwadratowe płytki z literkami boleśnie wrzynały mu się w rękę - tak mocno je ścisnął. Poczł też przyspieszone bicie serca i uświłdomił sobie, że na odpowiedź Christie czeka z niebezpieczną mieszaniną gniewu i wrogości.

- Byłyśmy przed paroma laty w takim komitecie, który zajmował się zbiórką funduszy na pewien cel. I to właśnie ona zdołała przekonać zarząd szpitala, żeby zainteresował się różnymi nowymi terapiami i lekami. Do dziś nie wiem, jak to zrobiła...

- Może nie jest taka potulna, na jaką wygląda.

Christie wzruszyła ramionami.

- Za mało ją znam, żeby móc coś o niej powiedzieć. Wiem tylko, że wszyscy są bardzo zdziwieni tym, że po śmierci męża tak się zajęła interesami. No, Cathy - zwróciła się do córki - czas do łóżka. Jak tam Josephine i Thomas? - rzuciła przez ramię pod adresem Saula.

- W porządku - odparł krótko, sztywniejąc pod wpływem jej badawczego spojrzenia.

- Czuły punkt, tak? - spytała łagodniej Christie.

Saul wzruszył ramionami, nie chcąc nawet przed siostrą przyznać, że się nie sprawdził jako ojciec, i jak bardzo cierpi z tego powodu, że nie potrafi się zbliżyć do swoich dzieci.

- Dorastają - dodał. - Zwłaszcza Josey. Oboje mają swoje życie, swoich przyjaciół.

Christie nie odezwała się słowem, ale później, kiedy już Cathy leżała w łóżku i byli sami, niespodziewanie wróciła do tego tematu. Nalawszy jeszcze po filiżance herbaty i opowiadając o jakimś wybryku Cathy, spytała ni z tego ni z owego:

- Saul, jakie są twoje uczucia w stosunku do Toma i Josey? To przecież twoje dzieci.

Odstawił filiżankę, zły na nią, że porusza ten temat, i jeszcze bardziej zły na siebie za to, co czuł.

- Biologicznie, tak - zgodził się cierpko. - Ale jeżeli uważają, że nie jestem im potrzebny, to przecież nie zmuszę ich siłą, żeby mnie zaakceptowały.

- A czy nie pomyślałeś o tym, że może oni cię wypróbują? - zapytała Christie. - Zwłaszcza Josey jest w wieku, kiedy emocjonalnie lawiruje na cieniutkiej granicy pomiędzy dzieciństwem a kobiecością. Jesteś jej ojcem i ona musi...

- Co ona musi? Potrzebować mnie w życiu? - odparł Saul z goryczą. Obrócił się dokoła swojej osi i nachylił ku Christie. - A co powiesz o Cathy? Czy jej ojciec jest potrzebny?

Był na siebie wściekły za te słowa, jeszcze zanim je wypowiedział. Patrząc, jak twarz siostry robi się kredowo - biała, znienawidził siebie za to okrucieństwo.

- O Boże, Christie, przepraszam. Nie powinienem był tego mówić”.

- Wcale tak nie uważam. Miałaś wszelkie prawo zadać mi takie pytanie - odparła niepewnym głosem. - Możesz mi wierzyć, że sama je sobie nieustannie zadaję. Cathy jest dziecinna jak na swój wiek. Zawsze usiłowałam być wobec niej uczciwa, naturalnie nie raniąc jej uczuć. Wie, że jej ojciec, kiedy się poznaliśmy, był żonaty, że ma żonę, rodzinę i inne obowiązki i że dlatego nie może być z nami.

Nie powiedziałam jej natomiast, że domagał się usunięcia ciąży, że nie chce mieć z nią nic wspólnego i że gdyby kiedykolwiek próbowała się do niego zbliżyć, to z pewnością zostanie odrzucona. Wiem, że pewnego dnia Cathy zapragnie tego zbliżenia - nie byłaby normalną ludzką istotą, gdyby było inaczej - i wiem również, że w żaden sposób nie uchronię jej przed dramatem, jaki w związku z tym przeżyje. To jest moja wina i wielkie obciążenie dla mnie, ale ból będzie musiała znosić ona. Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy nie powinnam jej po trochu przygotowywać, ostrzec... ale z drugiej strony, nawet gdybym jej to powiedziała, to czy ona mi uwierzy? Czy nie będzie w dalszym ciągu chciała poznać prawdy na własną rękę? Ja na przykład na jej miejscu bym chciała.

Mogę tylko starać się, żeby była silna i odporna, żeby rosła w atmosferze miłości, żeby miała dość wiary w siebie, która jej pomoże przez to wszystko przejść...

Na widok łez w oczach siostry Saul zawstydził się. Pogardzał sobą. Przytulił ją i zaczął delikatnie kołysać.

- Przebac mi, Christie... Wiesz przecież, że to wszystko przez zazdrość - dodał szczerze. - Zawsze w twojej obecności jestem tak boleśnie świadom własnych wad.

- Wad! - Roześmiała się, przytulona do jego piersi. - Ty! Nigdy nie sądziłam, że masz jakieś wady!

Roześmiali się oboje. Pamiętali doskonale, jakim problemem w ich wspólnym dzieciństwie była bezkrytyczna miłość ojca do syna, z wyraźnym uszczerbkiem dla córki.

Saul podziwiał nawet siostrę za wielkoduszność, za to, że nigdy nie miała do niego o te sprawy żalu, że znalazła sobie jakoś swoją własną drogę w życiu.

- Wiesz, w gruncie rzeczy jestem zadowolona, że ojciec Cathy mnie nie chce - powiedziała teraz, odsuwając się od Saula. - Z tego by i tak nic nie wyszło. Dopiero później sobie uświadomiłam, że wymagałam od niego podziwu, uwielbienia... tego wszystkiego, czego nie miałam od ojca. Postawiłam go na piedestale i dosłownie czciłam, i dopiero kiedy odrzucił mnie i Cathy... dopiero wtedy zrozumiałam prawdę... Krótko mówiąc, kiedy Cathy przyszła na świat, byłam już zadowolona, że on pracuje po drugiej stronie Atlantyku.

- I jest tak w dalszym ciągu? - zapytał Saul.

Christie wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Przypuszczam, że bez trudu mogłabym to sprawdzić, ale nie widzę potrzeby. - Delikatnie dotknęła jego ramienia. - Nie rezygnuj z Josey, Saul, jesteś jej potrzebny. Tomowi też jesteś potrzebny.

- Karen ma jednak w tej sprawie inne zdanie - odparł ironicznie.

Christie rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Idę spać. Muszę jeszcze przejrzeć moje notatki przed konferencją.

- Jeśli ci nie zrobi różnicy, to ja tu sobie jeszcze trochę posiedzę.

Potrząsnęła głową z uśmiechem i wyszła.

Saul usiadł.

Czy Christie ma rację? Czy jego dzieci rzeczywiście go potrzebują? Karen jest innego zdania...

Karen... Nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek byli małżeństwem. Czy Karen go w ogóle kiedyś kochała? A on ją?

Przymknął oczy i oparł się wygodnie. Powrócił wspomnieniami do czasów, kiedy skończył Oksford i przeniósł się na Harvard. W związku z jego wyjazdem do Harvardu wydarzyły się dwie równie ważne rzeczy: poznał Karen Manners i został złowiony przez jedną z najstarszych i najbardziej prestiżowych nowojorskich firm, zajmujących się analizami finansowymi.

Karen poznał wkrótce po swoim przyjeździe do Harvardu. Podobnie jak on, była Angielką, która robiła dodatkowe studia na Vassarze. Wysoka, rudowłosa, miała w sobie jakąś sportową elegancję, cienki dowcip i męski stosunek do spraw seksu, który go z miejsca urzekł. Poznali się na przyjęciu u wspólnych znajomych i w tłumie Amerykanek Karen natychmiast uderzyła go swoją odmiennością. Było w niej coś, co go do niej ciągnęło, i dopiero później, znacznie później zorientował się, że zobaczył w niej to, co tak bardzo chciał widzieć u siebie: życiową ambicję i wielką siłę przebicia.

Na zewnątrz chłodna i opanowana, okazała się wspaniałą kochanką, kiedy po raz pierwszy poszli do łóżka. Wspaniała, ale nie nazbyt żywiołowa, co mu się w niej ogromnie podobało. Dawała mu poczucie pewności. Miał wrażenie, że mu udzielała poparcia w jego wyborze drogi życiowej. Nie była, jak inne kobiety, istotą kierującą się emocjami i potrzebami, które miałby zaspokajać. Karen nie miała innych potrzeb i nie stawiała mu innych wymagań, jak tylko seksualne.

To ona w końcu zaproponowała, żeby razem zamieszkali, a on nie miał nic przeciwko temu. Znał ją wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że życie z nią nie będzie oznaczało rezygnacji z własnych ambicji; Karen miała swoje.

Wynajęli niewielkie mieszkanie w bloku, gdzie stale mieszkające małżeństwo dbało o wszystkie potrzeby lokatorów. To żaden luksus, zaledwie niezbędne minimum, zauważyła Karen,

kiedy Saul zaproponował, że może by poszukali czegoś tańszego. Saul zawsze myślał o pieniądzach. Nigdy nie zapominał, jak ich brak i konieczność nieustannego oszczędzania przygnębiała jego ojca.

- A zresztą - powiedziała cicho - nie będziemy musieli tracić czasu na te męczące domowe obowiązki.

Była to decyzja słuszna, o czym już wkrótce Saul się przekonał. Bez trudu zgodził się z Karen, że wracanie do domu wieczorami i zajmowanie się tak przyziemnymi rzeczami jak zmywanie i sprzątanie nie jest niczym specjalnie przyjemnym. Oboje studiowali, oboje byli związani z grupami studenckimi, co stanowiło ważny element ich życia. Nie wystarczyło mieć dobre wyniki w nauce - należało się jeszcze sprawdzić w sensie społecznym. Amerykanie przywiązywali wielką wagę do wyrobienia społecznego, a Saul postanowił jednak urządzić się w Stanach. Można tu było nie tylko lepiej zarobić, ale - co ważniejsze - perspektywy były znacznie lepsze. Przedyskutował już tę sprawę z Karen, która się z nim całkowicie zgadzała. Sama zamierzała pracować w reklamie i nawet już nakreśliła coś, co nazwała planem strategicznym swojej kariery, sporządzając listę agencji reklamowych, w których chciałaby się zatrudnić.

Ona dopnie swego - co do tego Saul nie miał wątpliwości. Może nie była piękna, ale miała w sobie coś szczególnego, co przyciągało oko, a jednocześnie fascynowało... jakiś spokój, opanowanie i silną wiarę w siebie.

Wszyscy uważali, że stanowią dobraną parę. Oboje szczupli, eleganccy, mieli wspólne cele oraz zainteresowania i nie widzieli niczego niewłaściwego w tym, że ich związek ma ściśle określone granice. Nie mogło być mowy o żadnej niewierności - w swojej czystej, ściślej wspólnocie znajdowali wszystko, co im było do szczęścia potrzebne.

W Anglii mogli się byli nigdy nie spotkać. Karen pochodziła ze środowiska uprzywilejowanego. W rodzinie nie było pieniędzy, powiedziała mu to otwarcie, ale dzięki utytułowanym, choć zubożałym przedstawicielom starszego pokolenia i ona, i jej bracia dostali się do dobrych szkół.

- Mam tyle ciotek starych panien, że wystarczyłoby na założenie klasztoru - powiedziała kiedyś z nutą goryczy w głosie. - - Ofiary pierwszej wojny światowej. Żyją tylko marzeniami o tym, co by było, gdyby było. To nie dla mnie. Ja się nie zamierzam w życiu wspierać na mężczyźnie.

Saul podziwiał jej dalekowzroczność, wychwalał energię i podkreślał łączące ich podobieństwa.

Karen miała już przed nim kochanków, ale żaden nie był dla niej taki ważny. Co do seksu, to uważała, że należy się rozwijać w tej dziedzinie jak w każdej innej. Dobrze jeździła na nartach,

świetnie prowadziła samochód i potrafiła rozmawiać z każdym dosłownie na każdy temat, doskonaląc te wszystkie umiejętności do chwili osiągnięcia założonego z góry poziomu. Podobnie było w sprawach seksu.

Nie szczędziła pochwał Saulowi i nie miała najmniejszych oporów przed wyraźnym sprecyzowaniem, co lubi, a czego nie. Kiedy się kochali, dbała zawsze o to, by osiągnąć orgazm, a kiedy jej się to nie udało, nie tyle czuła się sfrustrowana z powodu braku satysfakcji fizycznej, ile miała do siebie pretensje, że się w czymś nie sprawdziła.

W ich kochaniu się była, jak zauważył Saul, niemal kliniczna precyzja, ale wołał to niż niebezpieczne, żywiołowe podniecenie Angeliki. Pamiętał doskonale, jak bardzo tamto było groźne, jak często pragnął jej powiedzieć, ile dla niego znaczy i że chciałby dać jej z siebie znacznie więcej niż fizyczne spełnienie.

Z Karen było inaczej. Przede wszystkim żywili dla siebie wzajemny szacunek i świadomość ograniczeń, jakie jedno nakładało na drugie.

Na przykład mieli oddzielne sypialnie i chociaż kiedy się kochali, z reguły spali razem, to jednak były dni, kiedy Karen zamykała się w swoim pokoju, żeby popracować, i wtedy Saul wiedział, że jak długo jej drzwi pozostają zamknięte, chce być sama.

Ale ostatecznie - i co do tego byli zgodni - seks to nie wszystko.

Z grubsza biorąc, Saul uważał się za człowieka szczęśliwego.

I wtedy właśnie przyszła propozycja od firmy McCaine, Abbott & Drury. Naturalnie, gdy już sam przemyślał sprawę, Karen była pierwszą osobą, której o tym powiedział i z którą rozważył wszystkie za i przeciw.

- To bardzo prestiżowa firma - zawyrokowała Karen, kiedy ją wreszcie wtajemniczył.
- Tak, to prawda - zgodził się.
- Ale nie najbardziej prestiżowa, a poza tym nie zrobiłeś jeszcze dyplomu.

Oboje wiedzieli, że jeśli ma tak dobre wyniki, jak stwierdzali wykładowcy, to z pewnością mógł liczyć na inne jeszcze propozycje, ale naturalnie przyjemna była świadomość, że zaraz po opuszczeniu Harvardu ma w zanadrzu tak dobrą pracę. Ostatecznie nie jest jedyny. Są studenci z koneksjami i z dostępem do najlepszych stanowisk. Tego atutu Saul nie miał.

- Jest jeszcze czas - zawyrokowała ostatecznie Karen. Oboje wiedzieli, co miała na myśli. Saul skinął głową.

- Lepiej, żeby nie myśleli, że tak na to lecę.
- No właśnie - zgodziła się Karen.

Na Boże Narodzenie Karen pojechała do domu; Saul nie, nie było go na to stać. Pracował, żeby zarobić trochę pieniędzy. Biorąc przykład z Karen, przyjął pracę w Aspen, gdzie przy okazji

nauczył się jeździć na nartach. Zarobki były kiepskie, ale miał przynajmniej za darmo wyciągi i instruktora.

Narty uważano w tym czasie za „dobrze widziany” sport zimowy. Gdyby nawet Saul o tym nie wiedział, był dostatecznie inteligentny, żeby się zorientować z rozmów, jakie wiedli jego koledzy z uniwersytetu u progu sezonu.

Kilka wczasowiczek nie ukrywało przed nim, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby się z nimi przespać, ale Saul wołał się nie angażować. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Wyсіłek fizyczny i długie godziny spędzane na świeżym powietrzu po miesiącach wytężonej nauki sprawiły, że jego kondycja znacznie się poprawiła. Opalił się i ta opalenizna podkreśliła jeszcze kontrast pomiędzy jego ciemnymi włosami a świetlistością jasnych oczu. Do Harvardu wrócił o parę kilogramów lżejszy i znacznie sprawniejszy.

Tak, miała udane święta, zapewniła go Karen, kiedy ją odbierał na lotnisku, ale bardzo za nim tęskniła. Saul też za nią tęsknił i teraz, nagle, jego potrzeby seksualne, tak rygorystycznie trzymane na wodzy podczas pobytu w Kolorado, doszły do głosu.

Jeśli nawet Karen była zdziwiona, kiedy zaraz po wejściu do domu została wepchnięta bezceremonialnie do sypialni, to w każdym razie nie dała tego po sobie poznać. Odpowiedziała na jego wybuch pożądania z mistrzostwem, które przyprawiło go o dreszcz rozkoszy i bardzo szybki orgazm.

Egzamin magisterski zdał z wyróżnieniem i chociaż od razu zaoferowano mu kilka dobrych posad, to jednak miał świadomość, że te najlepsze poszły do jego kolegów, nie tak może dobrze przygotowanych do tej pracy jak on, ale za to z koneksjami. Wybrał więc najbardziej obiecujące, ale zanim podjął pracę, pojechał jeszcze do Anglii odwiedzić rodzinę.

Ojciec jak gdyby skurczył się od czasu, kiedy widział go po raz ostatni. Posiwał i przybyło mu zmarszczek. Był zadowolony i dumny z Saula, ale słuchając pochwał ojca, Saul czuł jednocześnie, że czegoś w nich brakuje. Pomyślał, że to dlatego, że jednak te najlepsze propozycje pracy go ominęły, i przysiągł sobie, że po powrocie do Nowego Jorku swoją pracą pokaże tym, co go pominęli, jak wielki popełnili błąd. W drodze powrotnej do Stanów, w samolocie, zapewniał sam siebie, że w swojej dziedzinie będzie najlepszy... wybitny.

Karen też zrobiła magisterium i też dostała pracę w jednej z najlepszych agencji reklamowych. Podobnie jak Saul, widziała się na szczycie kariery zawodowej.

Ponieważ oboje mieli pracować w Nowym Jorku, gdzie koszty utrzymania były przerażająco wysokie, wydawało się sensowne wspólne wynajęcie mieszkania. Ich związek wszedł w fazę wygodnego przyzwyczajenia, a życie zarówno seksualne, jak i towarzyskie zostało podporządkowane stałym nawykom.

Tak jak w Harvardzie, Karen nalegała, żeby wzięli dziewczynę do sprzątanía. Saul upierał się, że we dwójkę bez trudu utrzymają niewielkie mieszkanie w czystości, ale Karen potrząsnęła głową. On może robić z siebie kuchnię, jeśli ma na to ochotę, ale ona nie zamierza. Sprawy zawodowe są dla niej znacznie ważniejsze. Po prostu nie będzie miała na takie rzeczy czasu. Saul ustąpił. Zarabiał dobrze, ale koszty utrzymania były wysokie i wkrótce przekonał się, że firma wymaga od swojej młodej kadry kierowniczej, żeby żyła na odpowiednim poziomie. Szybko zorientował się, że jest jedynym spośród nowo przyjętych, za którym nie stoją żadne rodzinne pieniądze.

Bardzo dyskretnie zasugerowano mu, żeby się zapisał do pewnych klubów i zainteresował pewnymi określonymi problemami. Firma Saula, w przeciwieństwie do agencji, w której pracowała Karen, była dosyć staroświecka.

Początkowo nie zrozumiał delikatnych aluzji, jakie wywołało jego pojawienie się z Karen na przyjęciu z okazji sześćdziesiątych urodzin jednego ze wspólników firmy, ale kiedy powtórzono je w sposób już nie pozostawiający wątpliwości, Saul ze zdumieniem stwierdził, że jest to delikatne, ale bardzo stanowcze ostrzeżenie, że jego awans w znacznym stopniu zależeć będzie od oceny jego życia osobistego i jednocześnie że właściwie wybrana żona może bardzo młodemu, ambitnemu człowiekowi w tym awansie pomóc. Karen, dano mu do zrozumienia, z jej rodzinnymi powiązaniem, byłaby bardzo odpowiednią kandydatką na żonę.

Później, przy kolacji, opowiedział jej o tej rozmowie. Zwykle jadali kolacje na mieście, czasem blisko domu, ale częściej w miejscach uczęszczanych przez ludzi o podobnych zawodach, młode pary na dorobku, dbające o utrzymanie pewnego statusu towarzyskiego. Karen popatrzyła na niego z namysłem, ale nic nie powiedziała. Dopiero później, już w łóżku, wróciła do tamtej rozmowy, zaskakując go podsumowaniem:

- Wiesz co, Saul, można by właściwie pomyśleć o ślubie.

- Sądziłem, że cię to nie interesuje.

Potrząsnęła głową.

- Początkowo rzeczywiście nie, ale teraz... Naturalnie, chodzi mi o szczególny rodzaj małżeństwa, w którym mąż zrozumiałby, jaką wagę ma dla mnie kariera zawodowa. Oczywiście, jeśli ci to nie odpowiada...

Saul spojrział na Karen. Nie uległo wątpliwości, że była idealną kandydatką na żonę, i chociaż w pierwszej chwili pomysł ze ślubem zaskoczył go nieco, to przecież teraz, gdy się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że ma on wiele zalet.

- Nic ma żadnego pośpiechu - powiedziała Karen, ale wszystko wskazywało na to, że szefom Saula zależało na tym, żeby się zastosował do ich wskazówek, i wobec tego po upływie



miesiąca od ich pierwszej rozmowy Saul powiedział, że jeśli nie zmieniła w tej sprawie zdania, jest gotów się z nią ożenić.

Kazała mu tydzień czekać na odpowiedź, a tymczasem pojechała do Anglii. Po powrocie oświadczyła, że owszem, jest skłonna za niego wyjść, ale wobec kiepskiej sytuacji finansowej rodziny, proponuje skromny ślub w Nowym Jorku.

- Ojciec po prostu nie jest w stanie urządzić mi wesela, jakiego oczekuje rodzina. Zwyczajnie nie ma forsy, więc znacznie mniej krepujące będzie, jak się pobierzemy skromnie i po cichu, tu, w Nowym Jorku, nie uważasz?

Zgodził się, ale gdzieś w głębi serca poczuł to samo ukłucie, jakie zapamiętał z dzieciństwa, to samo rozczarowanie, niemal ból. Szybko jednak otrząsnął się i podziękował szefom za pełne aprobaty gratulacje.

Z okazji ślubu wydali przyjęcie w jednej z restauracji, w których bywali stałymi gośćmi. Zarówno miejsce spotkania, jak i menu dobrała starannie Karen, tak żeby były odpowiednie dla jej kolegów z agencji, ich nowych wysoko postawionych przyjaciół i przedstawicieli starszego pokolenia, szefów Saula.

Zgodzono się ogólnie, że Karen, z jej wychowaniem i pochodzeniem, będzie wspaniałą żoną dla młodego ambitnego mężczyzny bez zaplecza finansowego.

Posypały się najróżniejsze oferty. Zaproszono Karen do udziału w paru komitetach o charakterze charytatywnym i chociaż narzekała, że nie ma czasu, to jednak przyjmowała te propozycje.

- Działalność charytatywna jest w tutejszych kręgach wysoko notowana - wyjaśniła Saulowi, kiedy on z kolei zaczął narzekać, że od czasu ślubu prawie jej nie widuje. - To dobry sposób na nawiązywanie właściwych znajomości, chodzi mi, oczywiście, o ludzi wpływowych. Ale, właśnie, a propos... Trzeba pomyśleć o jakimś lepszym klubie. Chodzą słuchy, że jeden z twoich szefów ma wkrótce odejść na emeryturę. A to znaczy, że ktoś zostanie awansowany na jego miejsce, co naturalnie pociągnie za sobą awanse na niższych szczeblach, a ponieważ to twoja działka...

- Kiedy w tym roku przyjęli już czterech nowych specjalistów od analizy rynku - bronił się Saul. - A podejrzewam, że ja mam najniższe uposażenie i...

- Tym bardziej powinieneś zadbać o to, żeby awans przypadł tobie - odparła Karen cierpko.

Tego wieczoru nie kochali się. Karen była zbyt zmęczona, więc Saul zajął się pracą.

Nie kochali się również przez cały najbliższy tydzień, ale kiedy jego ciało odnotowało ten fakt, Saul zabrał się do dokumentów, które przyniósł do domu, i intensywną pracą, która go

pochłonęła bez reszty, zepchnął na dno świadomości wcześniejszą dojmującą chęć obudzenia Karen i wzięcia jej w ramiona.

Saul dostał awans i znaczną podwyżkę. Chciał zaprosić Karen na kolację do Le Circe, ale kiedy zadzwonił do niej do pracy, powiedziała mu, że musi wyjechać na tydzień. Służbowo.

- Burza mózgów. Musimy zaplanować nową kampanię dla jednego z naszych najpoważniejszych klientów - wyjaśniła.

W jej głosie brzmiało niezwykle podniecenie. Wybrano ją na szefową zespołu, któremu powierzono zadanie wymyślenia czegoś nowatorskiego. Była to zupełnie oszołamiająca szansa, której nie spodziewała się aż tak wcześnie.

Powiedziano jej wprost, że ten wybór stanowi dowód uznania dla jej talentów. Szef Karen, Brad Simons, wezwał ją do siebie, żeby jej to zakomunikować, i zaprosił na kolację, żeby z nią dokładnie przedyskutować szczególne życzenia klienta.

Saul starał się opanować uczucie rozczarowania. Odkładając słuchawkę pomyślał, że ostatecznie Karen ma wszelkie prawo czuć się pochlebiona i że nie ma żadnych podstaw uważać, że jego awans został przez nią zlekceważony.

Wszyscy uważali ich za szczęściarzy i za idealną parę małżeńską... Otrzymywali więcej zaproszeń, niż mogli przyjąć. Korzystali też z poparcia szefów Saula i nawet w „Wall Street Journal” ukazała się wzmianka o Saulu jako o kimś, kogo należy z uwagą obserwować. Wysoko też oceniano jego pracę, a kilka różnych organizacji wysłało do niego listy z pytaniem, czy by nie wstąpił w ich szeregi.

Mimo to Saul nadal budził się po nocach z tym dziwnym bólem w piersiach i uczuciem, że coś jest nie w porządku. Leżąc więc z otwartymi oczami obok śpiącej Karen, na wszelkie możliwe sposoby starał się zwalczyć poczucie, że mimo wszystko jego życie jest puste. Ale dlaczego? Przecież wszystkie cele, jakie sobie dotychczas postawił - a nawet więcej - osiągnął. Miał w osobie Karen właściwą, udaną partnerkę życiową. Stanowili przedmiot zazdrości wszystkich przyjaciół, a ilekroć zadzwonił do domu, w głosie ojca czuł dumę i zadowolenie.

Tak, miał wszystko, co sobie zaplanował, wszystko, co kiedykolwiek chciał mieć, ale głęboko w sercu nadal tkwiła bolesna zadra, poczucie pustki i niespełnienia.

I wtedy nagle Karen straciła pracę.

Pewnego piątku, kiedy przyszedł do domu, zastał ją krążącą po mieszkaniu tam i z powrotem. Dosłownie szalała z wściekłości.

Powiedziała mu, że została zwolniona z pracy. Wylana! A dlaczego? No właśnie, dlaczego? Dlatego, że te łobuzy celowo podłożyły jej świnie. Wiedzieli bardzo dobrze, że tak czy owak stracą

kontrakt z McCallem, i dlatego ją w to wpuścili... Te wszystkie pochwały, te kłamstwa... przecież wiedzieli od początku.

Tak była wściekła, że ledwie mówiła, i dopiero po jakimś czasie prawda wyszła na jaw: jak to agencja cały czas traciła swoich najlepszych klientów i jak Brad Simons wiedział od początku, że stracą i najlepszego, McCalla...

- Specjalnie mi to podrzucił. Powinnam była wiedzieć. Nigdy mnie nie lubił. Chciał mojej całkowitej kompromitacji, chciał się mnie pozbyć...

Saul jeszcze nigdy nie widział Karen tak wściekłej. Oczy jej płonęły, a ciało było tak napięte, że bał się jej dotknąć.

- Na miłość boską, przecież to nie koniec świata - próbował ją uspokoić. - Dostaniesz inną pracę.

Odwróciła się do niego gwałtownie, obrzucając go pełnym pogardy spojrzeniem.

- Nie koniec twojego świata - wybuchnęła. - A co do innej pracy, to jestem bardzo ciekawa, która z agencji zechciałaby ze mną zaryzykować. Dla nich już zawsze będę tą agentką, która straciła McCalla. Tylko to będą pamiętali. Czy ty wiesz, że kiedy dziś wychodziłam z biura, to nikt na mnie nawet nie spojrział? Naturalnie, że nigdy mnie nie lubili, bo nie jestem jedną z nich... To wszystko z powodu mojego pochodzenia.

Karen znów krążyła nerwowo po pokoju. W jej głosie słychać było rozgoryczenie, oczy ciskały błyskawice.

Saul usiłował ją pocieszyć, powiedzieć, że przecież dostanie jeszcze niejedną pracę, że ma przed sobą różne sukcesy, ale nie chciała go słuchać, szydząc z jego naiwności i pytając, jak on czułby się na jej miejscu. Kiedy próbował ją przytulić, odepchnęła go brutalnie.

- Nie dotykaj mnie, na litość boską - powiedziała. - Czy nie widzisz, że seks to ostatnia rzecz, na jaką miałabym teraz ochotę? Mężczyźni. - Wykrzywiła usta w wyrazie pogardy. - Czy wy już naprawdę nie potraficie o niczym innym myśleć?

Zarzut był tak nieuzasadniony, a gorycz i pogarda w jej głosie tak lodowate, że Saul odskoczył od niej jak oparzony. Ani mu w głowie był seks. Chciał ją po prostu dotknąć, przytulić, pamiętając, jak bardzo w dzieciństwie, w chwilach stresu, pomagały mu ramiona matki.

Ale Karen dała mu jasno do zrozumienia, że nie chce jego pociechy, że nie chce jego samego.

Tej nocy spała w gościnnym pokoju.

Chociaż w weekend powinien pracować, zaproponował, że z nią zostanie, ale wyśmiała go, mówiąc, że nie ma to najmniejszego sensu. Przez miesiąc nie chciała się ruszyć z domu ani z nikim spotkać.

Pewnego dnia bezpośrednia szefowa Saula rzuciła jakąś uwagę na temat jego żony - próbowała się z nią porozumieć telefonicznie w związku z pewnymi sprawami związanymi z komitetem, w którym obie działały, ale jakoś nie mogła się z nią skontaktować. Saul nie wspominał, że Karen straciła pracę, chociaż wszyscy o tym wiedzieli. W prasie finansowej wciąż wiele się pisało o tym, że agencja reklamowa, w której pracowała żona Saula, straciła kontrakt z McCallem...

Tego wieczoru, kiedy Saul wrócił do domu, Karen na niego czekała. Wcześniej wpadła do niej żona Boba Lucasa, jego szefa, żeby się z nią zobaczyć. Saul w napięciu wpatrywał się w twarz żony, żeby z niej wyczytać, jak zareagowała na tę wizytę.

- Myślę, Saul, że pora wynosić się z Nowego Jorku. W Westchesterze są do kupienia różne ładne obiekty i...

- W Westchesterze? - Spojrzał na nią ze zdumieniem. Karen zawsze twierdziła, że nie mogłaby mieszkać nigdzie indziej, jak w samym centrum miasta, i z pogardą wyrażała się o tych, którzy wynosili się na przedmieścia.

- Ostatecznie - podjęła - jak się urodzą dzieci, i tak będziemy potrzebowali więcej przestrzeni.

- Dzieci? A ja myślałem, że zamierzasz szukać nowej pracy...

- Nie - odparła Karen. - Nie zamierzam szukać nowej pracy. Jak mogłabym?! - warknęła z wściekłością. - Po takim upokorzeniu, po tym, jak zrobili ze mnie kompletną idiotkę? Jaka agencja będąca przy zdrowych zmysłach mnie zatrudni?

- Karen, traktujesz to wszystko zbyt osobiście - powiedział łagodnie. - Wiem, że to, co się stało, jest dla ciebie bardzo bolesne, ale przecież nikt nie ma wątpliwości, że zostałeś wykorzystana, że praktycznie stracili McCalla na długo, zanim...

- Zanim co? Zanim ja im wszystko spieprzyłam, tak? O, tak, co do tego rzeczywiście nikt nie ma wątpliwości. Wszyscy się teraz ze mnie śmieją, że byłam taka głupia, żeby wpaść w ich pułapkę. Nie, nie chcę już do tego wracać, Saul. Nie chcę i nie mogę.

Nie trafiały do niej żadne argumenty. Mogą sobie przecież pozwolić na przeniesienie się do Westchesteru, powiedziała. Nawet z punktu widzenia jego kariery będzie to właściwe posunięcie. A co do niej, to ma dwadzieścia pięć lat i jest właśnie w odpowiednim wieku, żeby pomyśleć o dzieciach.

Niby wszystko, co mówiła, było słuszne, ale Saul w dalszym ciągu czuł się jakoś nieswojo. Zawsze przecież podkreślała, że chce pracować i że kariera jest dla niej najważniejsza. Nie dlatego, żeby Saul nie chciał dzieci, bo chciał, i to bardzo, ale jednocześnie czuł, że motywacja Karen jest niewłaściwa, a bał się jej to powiedzieć. Było w niej coś niebezpiecznie agresywnego, co go

ostrzegało, że powinien trzymać się od niej z daleka i starać się jej nie drażnić.

W końcu poddał się. Kupili dom w Westchesterze, co spotkało się z aprobatą szefów Saula, która znalazła wyraz w kolejnej podwyżce i przyznaniu mu większej samodzielności i odpowiedzialności w pracy.

Jego rówieśnicy, którzy z nim razem kończyli Harvard, ci, którzy w przeciwieństwie do Saula mieli właściwe koneksje rodzinne i początkowo patrzyli na niego z góry, zaczęli mu teraz zazdrościć. O Saulu mówiło się, że nie tylko ma inteligencję, ale że potrafi jej używać. Że jest wytrwały, pracowity i ambitny. Coraz częściej zdarzało się też, że proszono go o radę, której udzielał z chęcią i dyskretnie. Przyjaźnienie się z Saulem należało do dobrego tonu. Dom w Westchesterze był mały, ale położony w jednej z najelegantszych dzielnic i otoczony sporym ogrodem. Karen wkrótce zaszła w ciążę, z czego, przynajmniej pozornie, była zadowolona. Z zapalem oddawała się działalności charytatywnej i zapewniała Saula, że jest szczęśliwa.

Nie było go, kiedy urodziła się Josephine. Musiał wyjechać służbowo. Dopóki nie zobaczył swojej małej córeczki, nie zdawał sobie sprawy z tego, co to znaczy być ojcem.

Miała trzy dni i kiedy na nią spojrzął, zakochał się po raz drugi w życiu, ale było to zupełnie inne uczucie niż tamto, które żywił dla Angeliki. Miłość do własnego dziecka, własnej córki, nowego życia, które stanowiło jego część. .. Kiedy dotknął małej, jego oczy wezbrały łzami.

Karen była idealną matką, wszyscy to przyznawali. Pragnęła dla swojego dziecka wszystkiego, co najlepsze. Podobnie zresztą jak i Saul, który doskonale pamiętał, jak to ojciec mu powtarzał, że kiedyś i on będzie miał rodzinę na utrzymaniu. Pamiętał dosłownie wszystko, co mu ojciec mówił - o tym, że trzeba się starać, że trzeba odnieść sukces. Wprawdzie zarabiał dobrze, ale mieli duże wydatki. Coraz częściej pracował po godzinach.

Karen narzekała, że nigdy nie ma go w domu, ale jednocześnie zapisała małą do drogiego, ekskluzywnego przedszkola.

Kiedy Josephine skończyła dwa lata, jeden z absolwentów Harvardu, przyjętych do firmy razem z Saulem, został współnikiem zamiast niego. Karen była oburzona w imieniu męża. Cóż, kiedy nie miał koneksji rodzinnych Johna Felthama III.

Coś w jej komentarzach jednak głęboko Saula dotknęło. Karen miała do niego pretensje o to, że nie jemu zaproponowano to stanowisko... Czyżby się w jakiś sposób nie spełnił, nie sprostał postawionym mu wymaganiom, nie osiągnął wytkniętych przez siebie celów? Nie wystarczy być po prostu dobrym - ojciec powtarzał mu to nie raz. Trzeba być bardzo dobrym, odnieść prawdziwy sukces.

Saul zaczął się rozglądać za inną pracą. Znalazł ją w nowej, prężnej firmie, która wówczas z rozmachem wchodziła na rynek.

Dzięki jego wyższym zarobkom zmienili dom, a kiedy Josephine miała dwa i pół roku, urodził się Thomas.

- Powinno być odwrotnie - narzekała po porodzie skwaszona Karen. - Pierwszy powinien się być urodzić chłopiec. - Słuchając tych narzekań, Saul miał wrażenie, że i o to żona ma do niego pretensje. Że obdarzając ją najpierw córką, a potem synem, znów się nie sprawdził.

I znów Karen okazała się idealną matką. Saul, który po urodzeniu Josephine chciał się nią zajmować, ale został przez żonę z opieki nad małą odsunięty, tym razem nawet nie próbował. Zresztą, za mało bywał w domu. Firma prowadziła tak ożywioną działalność na zachodnim wybrzeżu Stanów, że żartem mówiło się o wysłaniu tam Saula na stałe.

Kiedy wreszcie miał czas się nad tym wszystkim zastanowić, doszedł do wniosku, że drogi jego i Karen rozchodzą się coraz bardziej; że jego obecność w domu coraz bardziej Karen irytuje i że dzieci, a w szczególności Thomas, zupełnie nie czują się z nim związane.

Kiedy już postanowił wziąć urlop czy choćby parę dni wolnego, zawsze jakiś złośliwy chochlik mieszał mu szyki, podsuwając superpilną robotę i zamieniając prawdziwy wypoczynek w pracujący urlop. Ale skoro miał odnieść sukces, to co mu innego pozostało? Zwłaszcza że teraz, kiedy miał na utrzymaniu rodzinę, sukces stał się dla niego szczególnie ważny.

Kiedy Thomas był jeszcze bardzo mały, Saul pojechał do Anglii w krótką podróż służbową, podczas której wygospodarował chwilę czasu, żeby się zobaczyć z rodziną. To właśnie wtedy odkrył, że jego młodsza siostra jest w ciąży, i to w ciąży z żonatym mężczyzną, który, jak się okazało, nie zamierzał rozwieść się dla niej z żoną.

Christie miała już niewiele do końca studiów i Saul nie mógł się powstrzymać przed zadaniem jej pytania:

- Ale dlaczego, dlaczego, Christie? Przecież mogłaś przerwać ciążę, przecież...  
- Mogłam, ale nie chciałam - odpowiedziała mu ze złością. - To jest moje dziecko, Saul.  
- Złapała się za brzuch. - Moje, rozumiesz?

- Ale twoja kariera...

Uśmiechnęła się do niego smutno.

- Tak, wiem.

- A mama i ojciec... wiedzą? Potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie. Nie mam odwagi im powiedzieć. Byli ze mnie tacy dumni, zwłaszcza mama. Bo tata to chyba zawsze uważał, że zawód lekarza nie jest odpowiedni dla kobiety.

Wszystko to wydawało się takie straszne. Jak można było zmarnować tyle pracy, tyle wysiłku... Saul zaczął się zastanawiać nad przyszłością, jaka czekała jego siostrę i jej dziecko, które postanowiła urodzić, i doszedł do wniosku, że była tylko jedna rzecz, którą mógł w tej sytuacji

zrobić.

Kiedy Christie pojechała do domu powiedzieć rodzicom o swojej ciąży, pojechał z nią. Christie nie może rzucić studiów, wytłumaczył im i zanim wyjechał z powrotem do Nowego Jorku, postanowiono, że Christie wróci do rodziców, a gdy urodzi się dziecko, ich matka się nim zajmie, a Christie skończy studia i zrobi dyplom. Saul obiecał jej pomoc finansową.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - powiedziała ze łzami, kiedy się żegnali na Heathrow.

- Podziękujesz mi najlepiej, jak skończysz studia - odpowiedział Saul. Przytulił ją i ucałował, ale do Nowego Jorku wrócił z ciężkim sercem.

Karen nie była zadowolona, kiedy usłyszała o jego decyzji. Mając dwójkę dzieci, które trzeba było utrzymać i wykształcić, nie mogli sobie pozwolić na utrzymywanie jeszcze trzeciego, no i jego matki - dopóki nie skończy studiów.

Zrobiła mu piekielną awanturę. Schudła ostatnio i straciła swoją dawną elegancję, a nieustanne niezadowolenie pozostawiło trwałe ślady na jej twarzy i w głosie.

Niezadowolenie Karen uświadamiało mu bez przerwy, że to on jest winien temu wszystkiemu, że się nie sprawdził jako głowa rodziny, jako mąż, jako mężczyzna. Że za słabo się stara.

Zaczął się rozglądać za lepszą pracą. Ostatecznie przydałyby się jakieś dodatkowe pieniądze. Teraz poszukiwał firmy, w której miałby w perspektywie szansę zostać głównym szefem. Kiedy zwrócił się do niego sir Alex, uznał, że to jest to.

Sir Alex był właścicielem Davidson Corporation. Powiedział mu otwarcie, że nie ma syna, który by odziedziczył po nim firmę, i szuka kogoś, kogo mógłby sobie wychować na następcę. Pomyślał, że w Saulu znalazł właśnie kogoś takiego.

Saul był podobnego zdania. Przywołał na pomoc całą swoją inteligencję i zawodowe doświadczenie, postanawiając z nieźle postawionej firmy zrobić najwybitniejszą w swojej dziedzinie.

Prasa finansowa wynosiła go pod niebiosa, dosłownie lał się na niego deszcz pochwał. Sir Alex wynagrodził go za to hojnym udziałem w zyskach, okazałym gabinetem, nowym samochodem i bardzo wysokimi poborami, ale władzy nie wypuścił z rąk. Zgodził się natomiast, za radą Saula, zreorganizować biuro londyńskie. Sir Alex miał dwa ośrodki władzy: Nowy Jork, z którego zarządzał firmą, i biuro londyńskie, które nie działało tak, jak można się było spodziewać. Propozycja, żeby je objął, zaskoczyła Saula całkowicie.

Dokładnie już teraz obznajmiony z polityką firmy, z przymrużonymi oczami słuchał argumentów sir Alexa i zastanawiał się cynicznie, czy to awans, czy degradacja. Po przyjściu do



firmy bowiem szybko się zorientował, że nie jest pierwszym ambitnym młodym człowiekiem, w którym sir Alex chciał znaleźć, jak to nazywał, „naturalnego spadkobiercę”. Może i nie pierwszym. Ale ostatnim, postanowił Saul.

Karen była wściekła, kiedy jej o tym powiedział. I ona, i dzieci już się zadomowili w Stanach.

- Nie mam najmniejszej ochoty i nie zamierzam się stąd ruszać - powiedziała mu wprost.

Saul osłupiał. Próbował ją przekonywać, podkreślając korzystne strony tego posunięcia, ale nic chciała go słuchać. Był zbity z tropu i rozwścieczony jej stosunkiem do całej sprawy. Robi to dla niej, powiedział ze złością, dla niej i dla dzieci. Karen pozostała jednak nieugięta. Nie jedzie do Londynu. Niech jedzie bez niej. A zresztą nie ma najmniejszej gwarancji, że całe to przedsięwzięcie się powiedzie.

Jej postawę Saul zrozuwał jako brak zaufania do niego, do jego możliwości odniesienia sukcesu, zabezpieczenia przyszłości jej i dzieciom. Ożyły dawne napięcia i niepokoje. Musi się sprawdzić. Musi udowodnić, że już odniósł sukces i że stać go na więcej.

Może Karen ma rację, że nie chce z nim jechać. Może słusznie żąda, żeby jej i światu udowodnił, że potrafi osiągnąć cele, jakie przed sobą postawił.

Do Londynu pojechał bez Karen. W pół roku później wystąpiła o rozwód. Ich małżeństwo już od dawna się nie układa, wyjaśniła mu spokojnie podczas Bożego Narodzenia. Przyleciał do domu w Wigilię. Nowy dom w Westchesterze, do którego przeprowadziła się Karen z dziećmi, kiedy wziął swój udział w zyskach za pierwszy rok w firmie, miał długi podjazd wysadzany żywopłotem i był odsunięty od drogi szacowną budowlą, pochodzącą z lat dwudziestych, w stylu tudorowskiego gotyku. Kiedy nadjeżdżał, rozbłysło dyskretne oświetlenie zewnętrzne, po czym otworzyły się drzwi i Saul zobaczył w dużym kwadratowym holu choinkę. Drzewko, płonące niezliczoną ilością maleńkich białych światełek, ubrane było tradycyjnie, na złoto i czerwono, z atlasowymi wstążeczkami przywiązanymi do gałązek. Nie było na nim śladu niegustownych błyskotek. Puszysty czerwony dywan na podłodze nadawał pomieszczeniu wrażenie przytulności, po obu stronach drzwi wisały wytworne zasłony w delikatny wzór, a w kominku z drewnianym gzymsem płonęły polana.

W powietrzu unosił się subtelny zapach kadzidełek... świąt... a mimo to, kiedy Saul wszedł do domu, poczuł chłód, zimny dreszcz złego przecucia, jak zawsze wtedy, kiedy w dzieciństwie ojciec wygłaszał do niego długie kazania na temat życiowego sukcesu i jego kapitalnego znaczenia.

Przy kolacji Josey była milcząca i za każdym razem, kiedy Saul ją o coś pytał, zwracała się do matki. Nawet mały Tom nie chciał wyciągnąć do taty swoich pulchnych rączek.

Kiedy Saul odsunął talerz z prawie nie tkniętym daniem, Karen uniosła brwi w niemym pytaniu, z ustami ściągniętymi złością. Potrząsnął głową; nagle stracił apetyt, poczuł się we własnym domu jak intruz. Lalka, którą przywiózł z Londynu dla Josephine, okazała się, jak stwierdził, prezentem zbyt bezosobowym dla nieśmiałej dziewczynki, która siedząc naprzeciwko niego obserwowała go chłodnym, czujnym spojrzeniem, co zaś do kolejki przeznaczonej dla małego Toma, to najwyraźniej chłopiec był jeszcze za mały na taki prezent, nie mówiąc o tym, że Saul nie miał szansy uczestniczyć w chwili, kiedy jego syn do tej zabawki dorośnie. Były to niewesołe myśli.

- Wujek Richard obiecał, że mnie we wtorek zabierze do parku - oznajmiła Josephine, zwracając się do matki. - I powiedział, żebym ci powtórzyła, że wpadnie w drugi dzień świąt i zabierze cię do Feldmana na drinka.

Kiedy Karen zabierała ze stołu talerz męża, Saul zauważył na jej bladej twarzy wyraźny rumieniec. Była w dalszym ciągu chuda; już nigdy nie odzyskała sylwetki sprzed urodzenia dzieci, a sport, jaki uprawiała, nadał jej figurze pewną gibkość, która Saulowi jakoś dziwnie nie odpowiadała. Mimo woli porównywał jej obecną, chłopcę niemal kanciastość z okrągłością jej dziewczęcej figury z czasów, kiedy się poznali.

Zaczęła się inaczej czesać i zmieniła makijaż. Saul dokonał lekko szokującego dla siebie odkrycia, a mianowicie, że jego żona jest teraz znacznie bardziej z wyglądu amerykańska niż brytyjska, że utraciła tę swoją indywidualność, która ją wyróżniała spośród innych dziewcząt. Nosiła jedwabną bluzkę i prostą wełnianą spódnicę, a całoroczna, równomierna opalenizna stawiała ją w rzędzie kobiet, które dla swego wyglądu nie szcędzą czasu ani pieniędzy. Robiła wrażenie... robiła wrażenie wypielegnowanej, zdecydował Saul, który poszukiwał właściwego słowa. Zbyt wypielegnowanej. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak taką elegancką, chłodną kobietę można wziąć do łóżka i się z nią kochać. A gdyby nawet do tego doszło, nie miał wątpliwości, że byłoby to coś sterylnego i nieatrakcyjnego, wynikająca z poczucia obowiązku kopulacja, po której nastąpiłyby bardzo staranne ablucje, mające na celu usunięcie wszelkich fizycznych śladów zbliżenia.

Saul poczuł w piersiach jakiś nieprzyjemny ucisk. Ogarnęła go deprymująca świadomość porażki. Karen mówiła coś o tym, że podczas ferii zimowych zamierza zabrać dzieci do Aspen, na co Saul skrzywił się i powiedział, że pewnie nie będzie mógł z nimi pojechać, bo jeszcze przed Nowym Rokiem musi wracać do Londynu.

- Jedzie z nami wujek Richard.

Po tym nagłym agresywnym oświadczeniu Saul spojrzął na twarz Josey i zdał sobie nagle sprawę z wrogości, jaka emanowała z całej trójki.

- Josephine, chcę porozmawiać z waszym tatą sama. Weź Toma i idźcie do swojego pokoju pooglądać telewizję.

W milczeniu, nawet na niego nie patrząc, Josephine zsunęła się z krzesła, wzięła braciszka za rękę i wyszła.

Gdy tylko drzwi się za dziećmi zamknęły, Karen powiedziała:

- Muszę cię poprosić o rozwód.

Patrzył na nią czując gwałtowną galopadę serca, ale Karen nie dopuściła go do głosu.

Ich małżeństwo już od dawna się nie układa, powiedziała. Przede wszystkim nie powinna była w ogóle za niego wychodzić, a w każdym razie porzucić karierę zawodową w Nowym Jorku.

Słuchał w milczeniu, kiedy mówiła, jak to została zmuszona do porzucenia pracy i zajęcia się jego dziećmi, jak to Saul wyznaczył jej rolę pozostającej w jego cieniu kury domowej i jak dla własnej kariery zaniedbywał ją i dzieci. A zresztą, powiedziała, jest ktoś... ktoś, kto doskonale rozumie, że ona, Karen, ma jeszcze inne potrzeby poza byciem matką i żoną... Ktoś, kto zdołał nawiązać z dziećmi więź, o jakiej jemu się nawet nie śniło.

Nie będzie żadnych płaczków ani wzajemnych pretensji, zapewniła go, to by było fatalne dla dzieci. Ale te dzieci, jak tego dowiódł przyjmując wbrew jej protestom pracę w Londynie, nie są dla niego ważne. W sensie finansowym też nie widzi żadnych problemów. Ten człowiek... jej kochanek... jest gotów utrzymywać i ją, i dzieci. Dom w Westchesterze można sprzedać, a pieniędzmi się podzielić.

- Możesz sobie zatrzymać ten cholerny dom - wybuchnął Saul, kiedy go wreszcie dopuściła go głosu.

Później, w nocy, kiedy z szeroko otwartymi oczami leżał samotnie w swoim hotelowym pokoju, bezradnie powtarzał sobie to wszystko, co powinien był jej wtedy powiedzieć, a czego ku swojej wściekłości nie zrobił.

Pierwszy dzień świąt spędził samotnie w hotelu, zadając sobie nieustannie pytanie, w którym momencie popełnił błąd. Przecież postępował tak, jak nakazywał mu ojciec. Pracował, starał się, odnosił sukcesy...

Karen nie dała się odwieść od planów rozwodowych i w końcu, żeby bardziej nie zaostriąć wystarczająco trudnej sytuacji, ze względu na dzieci, które zresztą i tak, jak mu z całym okrucieństwem i bez ogródek powiedziała Karen, nie uważały go za ojca, Saul uległ.

Karen i „wujek Richard” pobrali się niemal natychmiast po uzyskaniu przez nią rozwodu. Pod naciskiem adwokatów żony, Saul zgodził się nie nalegać na kontakty z dziećmi. To by tylko pogłębiło ich stres i rozterkę, argumentowała Karen, podkreślając, że i tak rzadko się z nimi widywał. Pamiętając, jak w czasie Bożego Narodzenia Josey i Tom się od niego odwrócili, praktycznie go odrzucając, Saul uznał, że powinien ze względu na ich dobro przyjąć ten warunek.

Richard miał swoją własną firmę. W rok po ślubie z Karen zbankrutował. Karen nawiązała

wtedy kontakt z Saulem i przypomniawsza mu, że dzieci s jego. Saul zgodził si oczy na ich utrzymanie, ale Karen dalej odmawiała mu dostpu do nich. Byłby to dla nich stres, utrzymywała, a podczas jedyne spotkania, jakie jego prawnicy dla niego wywalczyli, dzieci były w stosunku do niego tak nieprzychylnie nastawione, że musiał si wycofać, zwiszcza że ostatnio istotnie rzadko bywał w Stanach.

Jak na ironię, brytyjska filia Davidsona prosperowała ponad wszelkie przewidywania i prognozy. Powszechnie, czasem nie bez zawici, nazywano Saula „ulubiecem sir Alexa”.

Przez wiele lat Saul miewał dyskretne romanse z wieloma kobietami, z góry uprzedzając, że nie oczekuje zaangażowania uczuciowego. Sam te si nie angażował. Dziewczyny mu nie wierzyły... pocztkowo. Żył prac i ani nie chciał, ani nie potrzebował niczego wicej.

I wtedy nagle, ni z tego, ni z owego, Karen i Richard przenieśli si do Anglii. Richard pracował w firmie komputerowej z zachodniego wybrzea Stanów, która otworzyła swoje biuro na południu Anglii. Przeniesiono go wraz z innymi wyszszymi urzdnikami.

Saul wiedział o tym, poniewa w dalszym cigu oczył na utrzymanie swoich dzieci i Karen musiała mu wskazać nowy adres, na który miały przychodzić czeki.

- Dlaczego nie próbujesz nawizać z nimi jakiego kontaktu? - spytała go Christie, kiedy jej powiedzia, co si stało. - Przecie mimo wszystko, Saul, to s twoje dzieci.

- Nie z ich punktu widzenia - odparł szorstko, ale ilekroć o tym myśla, czego starał si nie robić zbyt czsto, czu w sobie jaki ból i głód, taki sam, jak w dziecinstwie. Wiedzia, że ludzie troch si go boją, a nawet, z wyjątkiem Cathy, od niego stroni.

Cathy go kochała. Pokochała go od najwcześniejszego dziecinstwa. Zawsze, ilekroć do nich przyjeżdża, wybiegała mu na spotkanie, wycigając do niego rce i domagając si czułości. I on kocha małą - uczuciem, którego intensywno chwilami go dziwiła, a nawet w pewnym sensie deprimowała. Jak moe bowiem, myśla, tak bardzo kochać dziecko swojej siostry, skoro - jak mu z gorycz wytykała by żona - nie potrafi kochać swoich wsnych? Ale przecie on je kocha. Kiedy si urodziły... Do dzi bardzo dokadnie pamita, co czu, kiedy po raz pierwszy zobaczy Josephine, kiedy ją po raz pierwszy, jeszcze w szpitalu, wził na rce.

Pamita, jak wpadła wtedy pielgniarka, jak mu wyrwała dziecko i powiedziała, żeby nie dotyka małej.

Podobnie zachowała si Karen po powrocie do domu. Przypomniło mu si, jak to kiedy Karen wyszła po zakupy, a Josephine pakała. Wził ją wtedy na rce i stwierdzi, że ma mokr pieluszk. Próbował ją przewinać, ale donie miał takie wielkie, a ona by taka małeka... Leżała wiec patrząc na niego ufnie, on za czu si taki niezdarny, taki bezradny, a jednoczenie dumny i peen miłości.

- Co ty wyprawiasz?! - Karen odepchnęła go ze złością. Mała rozplakała się. Karen porwała ją na ręce i zaczęła pocieszać: - No już, nie płacz, już dobrze, mama jest przy tobie... - Saul wyszedł z pokoju dzieciennego z poczuciem, że dopuścił się nadużycia, że jest tu intruzem.

Z Cathy było zupełnie inaczej. Od najwcześniejszego dzieciństwa piszczała z radości, kiedy Christie, zmęczona po wielu godzinach pracy w szpitalu, wtykała ją Saulowi ze słowami:

- Potrzyj ją trochę, Saul, bo pomyśli, że na świecie są same kobiety, a tego bym nie chciała.

Odwrotnie niż Karen, Christie, gdy zdarzała się okazja, nie miała najmniejszych oporów przed zostawianiem dziecka pod jego opieką i kiedy Cathy miała mokro, przewijał ją, za co nagradzał go uśmiechem i radosnym gaworzeniem. Zauważył, że coraz więcej czasu spędza ze swoją siostrą i jej córeczką.

I wtedy umarł ojciec. Na pogrzebie Saul stał z dala od innych, usiłując poskromić zamęt uczuć i odnaleźć się w tej nowej sytuacji. Naturalnie odczuwał żal, ale miał jednocześnie i poczucie winy, wynikające z tego, że jednak zawiódł pokładane w nim nadzieje, że zrobił za mało, by udowodnić ojcu, że pilnie słuchał jego rad, że mu nie zadośćuczynił za ubogie w satysfakcje życie. I wtedy - o wstydzie - obok tych uczuć pojawił się gniew.

Gniew skierowany przeciwko ojcu! Ojcu, który go kochał. Ojcu, który chciał dla niego wszystkiego, co najlepsze. Który go wychował w poczuciu, że być mężczyzną to bardzo ważna i odpowiedzialna sprawa, że trzeba być silnym, żeby tej odpowiedzialności sprostać.

Kiedy Karen i Richard przenieśli się do Anglii, Saul sporadycznie próbował kontaktować się z dziećmi. Karen czasami wyrażała na to zgodę, czasami nie, ale nigdy te spotkania nie były udane. Żadne z dzieci jakoś nie potrafiło z nim rozmawiać. Josephine była z nich dwojga bardziej agresywna. Robiła wrażenie, jakby go nienawidziła, podczas gdy Tom po prostu w jego obecności milkł.

Thomas był teraz w szkole z internatem, którą naturalnie opłacał Saul, a Josephine chodziła do miejscowej prywatnej szkoły dla dziewcząt. Oboje uczyli się dobrze. Nie mieli wyboru. Jak to cierpko skomentowała Karen, będą wkrótce musieli sami zarobić na swoje utrzymanie.

Karen, ogromnie teraz zgorzkniała, nie pominęła żadnej okazji, by powiedzieć dzieciom, że niefortunne małżeństwo z Saulem zniszczyło jej karierę zawodową i przekreśliło wszelkie nadzieje.

Saul nie mówił nic. Co zresztą miałby powiedzieć? Nie żałował rozvodu, ale jeśli chodzi o dzieci... Za każdym razem, kiedy się z nimi widywał, jego poczucie tragicznej porażki rosło. Zauważył, że czasami z tego powodu unikał z nimi spotkań.

Ale firma Davidson kwitła. Na skutek pewnych posunięć Saula wchłonęła kilku słabszych

rywali, całkowicie eliminując ich z rynku. Mimo to sir Alex nie oddawał władzy, a Saul w dalszym ciągu miał poczucie, że główna wygrana w postaci prawdziwego sukcesu jakoś mu umyka.

I wtedy, podczas pierwszego Bożego Narodzenia po jego trzydziestych dziewiątych urodzinach, siedząca naprzeciwko niego Cathy, rozpromieniona i uśmiechnięta, powiedziała:

- Taka jestem szczęśliwa, wujku Saul, a ty?

Automatycznie zaczął ją zapewniać, że on też, ale nagle urwał. Przytulny bałagan bezpretensjonalnego saloniku jego siostry jak gdyby zasnuła mgła i przed oczami Saula pojawiła się znana z dzieciństwa scena: stoi naprzeciwko ojca, który mówi, jakie to ważne, żeby odniósł w życiu sukces, a on z lękiem patrzy na wyraz niezadowolenia na twarzy starszego pana. A potem ta wizja ustąpiła następnej: pojawił się hol w domu w Westchesterze, a w nim choinka przybrana czerwonymi i złotymi kokardkami, zaciśnięte usta byłej żony, napięta buzia córki i całkowity brak kontaktu z synem. Wszystko to razem wywołało w nim taki ból, że Saul nie mógł dobyć słowa, a Christie, która go obserwowała, spytała, czy nic mu nie jest.

Talenty kulinarne siostry były tematem ich nieustannych żartów. W ubiegłym roku na Boże Narodzenie Saul na przykład narzekał, że pieczone kartofle przypominają kule armatnie; robił to zresztą głównie na użytek Cathy, która wprost uwielbiała, kiedy droczył się z jej matką.

- Nie, nic mi nie jest - zapewnił ją i siebie, ale po tym wydarzeniu już nic nie było takie samo. Jak gdyby DŚ jego świata nieznacznie się przesunęła i Saul patrzył na sprawy z jakiegoś innego, często niedobrego punktu widzenia. Zaczął kwestionować rzeczy, których nigdy dotychczas nie kwestionował... doznawał uczuć i emocji, których nie chciał doznawać... stracił wątek bardzo ważnego zebrania... Przestał sypiać, zrobił się drażliwy i nieuprzejmy wobec pracowników. Ze strachem uświadamiał sobie, że życie wymyka mu się z rąk, i ta świadomość budziła w nim złość i graniczący z przerażeniem lęk.

Bał się... bał się bardziej niż kiedykolwiek w życiu, bardziej niż w dzieciństwie, kiedy w oczach ojca widział dezaprobatę, bardziej niż kiedy trzymał w ramionach swoją maleńką córeczkę, bardziej niż wtedy, kiedy Karen poprosiła go o rozwód. A jednak Saul nie potrafił dokonać analizy swoich uczuć, nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego się boi.

Przecież miał wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Owszem, poniósł wielkie straty, ale na miłość boską nie jest jedynym mężczyzną, który się rozwiódł, nie on jeden stracił kontakt z własnymi dziećmi... To bardzo smutne, ale w życiu tak bywa. Poza tym mu się wiedzie. Jakieś pół roku temu sir Alex powiedział mu wyraźnie, że jest gotów ustąpić. W zarządzie nie było nikogo, kto by, poza Saulem, był tak poważnym pretendentem do objęcia po nim stanowiska. Więc co się z nim dzieje? Dlaczego, budząc się rano, ma w ustach smak żółci? Dlaczego, patrząc w lustro, czuje odrazę? Dlaczego, kiedy wyobraża sobie buzie swoich dzieci, ogarnia go taki gniew?

Stres, mówili lekarze. Typowy stres, towarzyszący sukcesowi. Który biznesmen go nie zna? Ale jego stres był inny, nie stanowił siły napędowej, nie produkował adrenaliny, nie pobudzał do działania. Jego stres był niszczycielski, jakby własne ciało Saula, własne zmysły obróciły się przeciwko niemu...

Pewnego dnia sir Alex zwrócił się do niego z prośbą, żeby użył swojej przyjaźni z Danem Harperem do przeprowadzenia operacji przejęcia jego przedsiębiorstwa, co odebrałoby firmie Dana praktycznie wszystkie jej - aktywa. Wtedy coś się w Saulu zbuntowało, coś, czego istnienia do tej pory sobie nawet nie uświadamiał, i odmówił szefowi.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu stwierdził, że nie zawsze jego umysł panuje nad emocjami. To odkrycie wywołało w nim szok powodujący tak silne psychiczne spustoszenie, jakie w kimś innym wywołałoby całkowite załamanie.

Minęły tygodnie, a nawet miesiące, zanim Saul zaakceptował to, co się z nim działo. Od tej pory rozpoczął proces bolesnej i dogłębnej autoanalizy.

Po raz pierwszy w życiu zaczął patrzeć na siebie nie porównując się z wizerunkiem swojej osoby ukształtowanym przez ojca, z jego wszechobecnym cieniem w tle, tylko jak na człowieka, jakim był w rzeczywistości, na człowieka z prawem do własnych uczuć i potrzeb. Ta autoanaliza obudziła w nim bolesną świadomość tego, że jego życie zarówno w sensie duchowym, jak i emocjonalnym, jest puste, że czegoś ważnego w nim brakuje.

Próbował ignorować te uczucia, zwalczać, bagatelizować, ale wracały natrętnie i oskarżały go, nasuwając nieustanne porównania między tym, czym było jego życie, a czym być mogło.

Ktoś słabszy próbowałby obarczyć winą za to wszystko ojca, ale Saul za bardzo swego ojca kochał, żeby go o cokolwiek oskarżać. Czy jednak rzeczywiście nadal wierzył w słuszność jego ambicji?

Wstał znużony. Zrobiło się późno. Zamiast siedzieć tutaj i snuć bezowocne rozważania na własny temat, powinien już leżeć w łóżku.

Jutro musi rozpocząć dyskretne zbieranie informacji na temat Carey Chemicals. Co innego wiedzieć, że szukają nabywcy albo inwestora, a co innego skłonić ich, żeby przyjęli propozycję sir Alexa i - co jeszcze trudniejsze - zaakceptowali jej nieuchronne konsekwencje dla firmy.

Sir Alex nie był filantropem. Wiadomo, że dla Carey Chemicals oznaczałoby to w konsekwencji zamknięcie produkcji, że chodziło jedynie o możliwość wykorzystania rządowych subwencji.

Nie musiało to naturalnie oznaczać katastrofy dla udziałowców. Na przykład bank z pewnością będzie za sprzedaniem firmy, choćby dlatego, żeby odzyskać swoje niemałe pieniądze, zamrożone w pożyczkach.

Kontrolny pakiet udziałów należał do Daviny James, a z materiałów, jakimi dysponował Saul, wynikało, że aż nazbyt chętnie pozbędzie się tego kłopotu i sprzeda firmę.

Skąd więc ten dziwny niepokój i obawa, że sprawa może nie pójść tak łatwo, jak powinna?



O czwartej po południu Leo odebrał telefon ze Schlossu. Właśnie wrócił z wyjątkowo trudnego i burzliwego posiedzenia rady nadzorczej, podczas którego z największym trudem się hamował, gdy Wilhelm rozmyślnie torpedował dosłownie wszystkie jego propozycje.

Nękany rozterką między chęcią wyśmiania zwykłej złośliwości brata i niewygodną świadomością, że decyzja ojca to jednakowe przekleństwo dla nich obu, Leo był wściekły na Wilhelma za jego dziki upór. Co mu szkodzi propozycja przyjęcia większej liczby absolwentów z krajów Wspólnoty Europejskiej? Już sam wysiłek powstrzymywania irytacji z powodu nieustannych trudności, jakie mnożył Wilhelm, przyprawił Lea o ostrą migrenę.

Był przekonany, że już od lat ma spokój z migrenami. Fakt, że wróciły w okresie, kiedy objął prowadzenie firmy, wydał mu się szczególnie złowieszczy.

Ojciec powiedziałby, że to objaw słabości. Leo był na ten temat innego zdania. Gdyby przyczyny tych migren miały podłoże emocjonalne, to wywoływałyby je z pewnością poczucie winy. Poczucie winy spowodowane - choćby nawet bez jego udziału - pozbawieniem brata tego, co w jego pojęciu powinno było przyspać jemu.

Dlaczego więc nie ustąpi i nie zrzeknie się kierownictwa na rzecz Wilhelma? Skrzywił się. Wilhelm, tak jak i on, wiedział doskonale, że jest to niemożliwe, a w każdym razie niezgodne z testamentem, który był bardzo precyzyjny i nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. Warunki ostatniej woli ojca tak bowiem były sformułowane, że kiedy Leo przeczytał je dokładnie, uderzył go nie tyle fakt, że ojciec chce jemu powierzyć prowadzenie firmy, ile że wyraźnie nie życzy sobie, żeby robił to Wilhelm.

Początkowo, kiedy usłyszał w telefonie znajomy głos gospodyni swojej babki, nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia, ale kiedy pochwycił w jej pospiesznych słowach nutę niepokoju, poczuł skurcz żołądka i mocniej zacisnął palce na słuchawce.

Jego dziewięćdziesięciodwuletnia babka przeżyła swojego męża, siostry, a nawet córkę, ale teraz wydawało się, że jej długie życie dobiega końca.

Helga, gospodyni, powiedziała przez łzy, że pielęgniarka prosiła, by poinformować wnuków baronowej, kiedy będzie się zbliżała chwila jej śmierci. Leo zapewnił Helgę, że postara się być jak najszybciej.

Natychmiast po odłożeniu słuchawki zadzwonił do biura Wilhelma, gdzie mu powiedziano, że jego brat wyszedł, nie mówiąc nikomu dokąd.

Leo zacisnął usta. Zazwyczaj oznaczało to, że idzie do swojej ostatniej kochanki. Podobnie

jak ojciec, Wilhelm miał w ostentacyjnej pogardzie przysięgi małżeńskie, ale przynajmniej nie znęcał się fizycznie nad swoją żoną Anną - jeśli Leo miał dobre informacje.

W zadumie wyglądał przez okno. Przed nim roztaczał się znajomy widok na przemysłową dzielnicę Hamburga i na rzekę. Wilhelma nigdy nie łączyła z dziadkami taka więź jak Lea, którego dzieciństwo dzięki starszym państwu nie było tak straszne, jak być mogło. Wizyty w Schlossie jego starszy brat traktował zawsze jako coś w rodzaju pobytu w więzieniu, chociaż ilekroć chciał zrobić na kimś wrażenie, chętnie w rozmowie wtrącał tytuł dziadka, mimo że, podobnie jak ojciec, z niechęcią odnosił się do faktu, że tytuł, błękitną krew i wieki tradycji rodzinnej, sięgającej czasów Karola Wielkiego - że wszystko to zawdzięczali matce. Ich rodzice byli ze sobą spowinowaceni: dziadek Lea ze strony ojca był dalekim kuzynem dziadka ze strony matki. Matka i ojciec zaś poznali się, kiedy Heinrich von Hessler przyjechał do Schlossu poszukiwać korzeni.

Było to na początku wojny i Leo zastanawiał się zawsze nad swobodą podróżowania, z jakiej ojciec korzystał w tamtych czasach, ale szybko zrozumiał, że jest to temat, podobnie jak wiele innych, którego nie należało poruszać.

Wyjaśnił sekretarce, w jakiej sprawie wyjeżdża, i zadzwonił do żony Wilhelma. Anna była elegancką, kruchą kobietą, której w głębi duszy współczuł. Pracowała jako modelka, kiedy poznała Wilhelma, ale pod wpływem ciężkich doświadczeń życia małżeńskiego młodzieńczą urodę szybko przyćmił wyraz goryczy na wymizerowanej twarzy.

Starając się zachować jak najspokojniejszy ton, wyjaśnił sytuację i poprosił bratową, żeby natychmiast, gdy tylko Wilhelm wróci do domu, powtórzyła mu, co się stało.

- Chciałeś powiedzieć: jeśli wróci do domu - odparła Anna uszczypliwie.

Leo niewiele miał na ten temat do powiedzenia. Kiedy odkładał słuchawkę, weszła sekretarka, żeby powiedzieć, że służbowy helikopter czeka. Schloss utrzymywany był w rękach rodziny dzięki pieniądзом firmy i Leo zdawał sobie sprawę, jak wielkim obciążeniem dla jego dziadków jest świadomość, że korzystają z „łaski” zięcia. Dziadka nie było już na tym świecie. Umarł, kiedy Leo miał piętnaście lat.

Wpadłszy jedynie do domu po ubranie na zmianę, udał się na prywatny pas startowy, na którym znajdowały się dwa służbowe helikoptery.

Pilot już na niego czekał. Leo przywitał się z nim i pospieszył do maszyny.

Babka była jeszcze ciągle przytomna, ale coraz słabsza, jak poinformowała go w rozmowie telefonicznej Helga. Ciekawe, o czym myślała, kiedy jej długie życie dobiegało końca? - zastanawiał się Leo. O przeszłości czy o przyszłości? Tyle przeżyła, tyle widziała. W głębi duszy cierpiał na myśl o jej śmierci, cierpiał w nim mały chłopiec, który bał się zostać sam, mimo że

dorosły mężczyzna przyjmował nieuchronność tego, co się miało stać.

Z góry dolina Neckaru wyglądała jak bajkowy miniaturowy świat, a sama rzeka w popołudniowym słońcu lśniła pomiędzy porośniętymi gęstym lasem stromymi brzegami, nakrapianymi wszelkimi możliwymi odcieniami zieleni, wśród których wznosiły się, niby ostre zęby, mury średniowiecznych zamków.

Ich rodzinny Schloss, ze swoją późniejszą siedemnastowieczną fasadą, przesłaniającą oryginalną średniowieczną bryłę budynku, wydawał się mały w porównaniu z innymi. Leo widział go teraz przed sobą. Rodzinna flaga, z herbem nadanym przez Karola Wielkiego, w dalszym ciągu powiewała na maszcie, ale jakby na znak żałoby nie poruszał jej nawet najłżejszy wietrzyk i dopiero kiedy podchodzili do lądowania, załopotała w podmuchu maszyny.

Helga czekała na niego. Była u nich, odkąd sięgał pamięcią, a jej mąż od lat pełnił w Schlossie rolę dozorca i zarazem szofera jego babki. Leo wiedział, jak bardzo byli oboje przywiązani do starej baronowej. Niektórzy, nie znając jej dobrze, uważali ją za autokratyczną i wyniosłą, ale Leo wiedział, że pod pozorami sztywnego sposobu bycia kryje się prawdziwe ciepło.

- Babka... - zaczął ze ściśniętym sercem na widok łez Helgi.
- Jeszcze żyje - odparła Helga. - Ale pielęgniarza uważa, że to już nie potrwa długo.

Leo poklepał ją po ręce, próbując przyzwyczaić oczy do mroku panującego w wielkim, cichym holu. Zawsze mu się wydawało, że tutaj, w oryginalnej średniowiecznej sali, pobrzmiwają jeszcze echa przeszłości, mimo że jego osiemnastowieczni przodkowie wyłożyli ściany drewnianą boazerią. Spłowiałe dywany, z pewnością przypominające te, które przywożono z wypraw krzyżowych, zdobiły kamienną podłogę. Na górę wiodły surowe kamienne schody, których łamaną linię łagodziła nieco drewniana balustrada.

Na pierwszym piętrze było ogromne okno z herbami rodzinnymi w kolorowym witrażu. Wychodziło na Neckar. Podczas drugiej wojny światowej komendant miejscowej jednostki SS nalegał, żeby zniszczyć ten witraż, który jakoby uniemożliwiał jego ludziom patrolowanie rzeki i nieba.

Podobno babka odpowiedziała na to, że jeśli chce, żeby jego ludzie po kawałku demontowali witraż zastępując go zwykłym szkłem, to niech sobie nie wyobraża, że ona będzie spokojnie patrzyła, jak niszczą dziedzictwo kraju po to tylko, żeby zyskać lepszy widok na rzekę, podczas gdy bez trudu mogą osiągnąć ten sam cel, instalując się na jednym z licznych poddaszy zamku.

Tę historię opowiedziała Leowi Helga. Tak był pod wrażeniem władczej postawy babki, że nawet nie śmiał o nic pytać.

Teraz wieczorne światło padające na witraż malowało złocistą aureolę nad główką anielskiego chłopczyka, który, jak wieść niesła, przedstawiał małego synka jednego ze średniowiecznych baronów, który przekazał wrogom dziecko jako zakładnika w zamian za gwarancje bezpieczeństwa dla swego suzerena. Po jakimś czasie do zamku przywieziono martwe ciało chłopczyka.

O tak, w historii Schlossu wiele było gwałtów i przelanej krwi. Leo do dziś pamiętał, z jaką odrazą oglądał loch, w którym jego rodzina więziła kiedyś zakładników, a który naturalnie pokazał mu Wilhelm.

A jednak, pomimo tych wszystkich gwałtów, zamek tchnął dziś spokojem, jakby już sam jego sędziwy wiek przyznawał mu prawo do rozgrzeszenia za to, co w przeszłości działo się w tych murach. Jakby, zaznawszy całej niesprawiedliwości i okrucieństwa, do jakich jest zdolna natura ludzka, przeżył ludzkie słabości i wady i wyszedł z tego wzmocniony, dając spokój i akceptację tym wszystkim, którzy do niego przychodzili.

Leo zawsze bardzo silnie odczuwał atmosferę zamku, w przeciwieństwie do ojca i brata, którzy, chełpiąc się jego istnieniem, jednocześnie byli zli, że w jakiś sposób ich własne osiągnięcia pozostają w jego cieniu.

Leo poszedł na górę sam, znając labirynt korytarzy i ślepych zaułków wystarczająco dobrze, żeby nie musieć się zastanawiać nad drogą.

Sypialnia babki, położona w zachodniej wieży, była tym samym pokojem, który baronowa zajęła jako świeżo poślubiona żona. Tu przyszła na świat jej jedyna córka, tu, w wielkim łóżu, stanowiącym miejsce spoczynku wielu pokoleń, zmarł jej mąż.

Leo zapukał do drzwi. Kiedy wszedł, siedząca przy łóżku babki pielęgniarzka wstała. Wysoka, posągowa kobieta, poruszała się z profesjonalną lekkością pielęgniarek. Mimo że nie miała na sobie pielęgniarzkiego stroju, Leo niemal usłyszał szelest nakrochmalonego, antyseptycznego - go fartucha.

Spojrzał w stronę łóżka. Babka leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Musiał mieć przestraszony wyraz twarzy, bo pielęgniarzka szybko go uspokoila:

- Jeszcze żyje, chociaż sędzę, że to już nie potrwa długo - powiedziała cichym, monotonnym głosem. - Pan pewnie zechce zostać z nią sam, prawda?

Zabrzmiało to sztywno, ale Leo wiedział, że ta kobieta jest bardzo oddana jego babce. Była przy niej od pięciu lat i Leo zanotował sobie w pamięci, że jeśli staruszka o to nie zadbała, sam musi dopilnować, żeby starania pielęgniarzki zostały odpowiednio wynagrodzone.

W rodzinie ich matki nigdy nie było pieniędzy i fakt ten dawał ich ojcu powód do nieprzyjemnych przytyków pod adresem teściów. Kiedyś, kiedy Leo miał nieostrożność wystąpić

w obronie dziadków mówiąc, że pieniądze to jeszcze nie wszystko, otrzymał od ojca cios, który posłał go na ziemię, a pozostałe po nim siniaki przez ponad tydzień przypominały mu o przykrym incydencie.

Leo usiadł na krześle zwolnionym przez pielęgniarkę. Kruche ciało babki ledwie było widoczne pod kołdrą, na której leżały starcze, pomarszczone ręce ozdobione pierścionkami, cienkimi od wieloletniego noszenia. Pod wpływem impulsu Leo nakrył jej dłoń swoimi.

- Leo.

Na dźwięk swego imienia aż podskoczył na krześle. Babka otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

- No cóż, przyszedł na mnie czas, co?

Musiła dostrzec wyraz smutku na jego twarzy, bo uśmiechnęła się ponownie.

- Nic nie szkodzi. Jestem gotowa do odejścia. Bardziej niż gotowa. Czy jest z tobą Wilhelm?

Leo słyszał wysiłek w jej głosie, ale nie przypuszczał, że będzie taka przytomna... że będzie tą samą kobietą, którą znał. Sam przed sobą przyznawał, że bał się tutaj przyjść. Bał się tego, co może zastać, ale jego babka była taka sama jak zawsze.

- Nie, on... ma zebranie. Ale zostawiłem mu wiadomość. Niedługo tu będzie.

- To znaczy... że jest u jednej ze swoich kobiet. - Jej oczy nabrały surowego wyrazu. - Kto wie, jakie figle potrafi płać los. Że ty będziesz taki podobny do ojca Wilhelma, a Wilhelm do twojego.

Leo patrzył na nią w osłupieniu. Serce waliło mu jak oszalałe, a uszy najwyraźniej odmawiały posłuszeństwa. Nagle poczuł, że oblewa go zimny pot, że ogarnia go jakiś dziwny lęk.

Baronowa znów zamknęła oczy. Leo nachylił się ku niej.

- Babciu...

Spojrzała na niego.

- Powiedz mi - rzekł z błaganiem w głosie - co miałas na myśli. Przecież Wilhelm i ja mamy tego samego ojca.

- Uważasz mnie za zdzieciniałą staruszkę, która nie potrafi odróżnić prawdy od fikcji, tak? Dałby Bóg, żeby tak było. Może nie powinnam ci tego mówić, ale od czasu śmierci twojej matki leży mi to kamieniem na sercu. Nie powinnam jej była pozwolić na małżeństwo z twoim ojcem. Byłoby chyba lepiej znosić hańbę jej nieślubnego dziecka niż świadomość, jak bardzo jest nieszczęśliwa, ale w tamtych czasach wszystko wyglądało inaczej, a my już i tak byliśmy podejrzani przez SS. Twój dziadek nie ukrywał, co myśli o Hitlerze. Chroniło nas tylko nasze nazwisko, ale kto mógł wiedzieć, na jak długo? Twój ojciec... - Znów zamknęła oczy, jakby się

chciała w ten sposób powstrzymać od mówienia. - Kiedy twój ojciec poprosił dziadka o rękę Elizabeth, był... był już ktoś inny... młody człowiek, którego poznała na uniwersytecie. Byli w sobie bardzo zakochani.

Wyjątkowo miły, łagodny człowiek. Dziś byśmy go nazwali pacyfistą, ale w żadnym razie nie tchórzem... Wspomniała mężczyzna. Bardzo kochał twoją matkę i ona jego.

Heinrich go nienawidził i zawsze się zastanawiałam, czy to przypadkiem nie on go zadenuncjował przed SS, ale może lepiej pewnych rzeczy nie wiedzieć do końca. Aresztowali go... i zabili. Twoja matka błagała Heinricha, żeby mu pomógł, ale na nic się to nie zdało.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że byli kochankami. Twoja matka miała zaledwie osiemnaście lat...

Kiedy w niecałe sześć tygodni po jego śmierci oznajmiła, że chce wyjść za twojego ojca, nie mogłam w to uwierzyć. I to właśnie wtedy powiedziała mi, że nosi w łonie dziecko zmarłego kochanka. Musi wyjść za mąż za Heinricha, oświadczyła, musi zapewnić swemu dziecku ojca. Nie mogła znieść grożącej jej kompromitacji. Tylko ja jedna wiedziałam, że ona jest w ciąży. Powiedziała mi też wtedy w wielkim uniesieniu, że oddała się Heinrichowi, i widziałam, że nie ma ceny, której by nie zapłaciła za to, by chronić dziecko swojego kochanka.

Pobrali się szybko, po cichu, i Wilhelm urodził się tu, w Schlossie. Na szczęście poród był lekki i mogliśmy udawać, że dziecko urodziło się w siódmym miesiącu i że zostało poczęte w noc poślubną rodziców.

Twój ojciec nigdy nie kwestionował swojego ojcostwa w stosunku do Wilhelma. Podejrzewam, chociaż nie mam na to żadnych dowodów, że twoja matka zdołała go jakoś oszukać i że Heinrich uwierzył, że był jej pierwszym i jedynym mężczyzną. Wkrótce po urodzeniu Wilhelma przenieśli się do Szwajcarii.

Głos babki słabł powoli i kiedy Leo na nią spojrział, znów miała zamknięte oczy. Nie chciał jej dalej naciskać widząc, jak bliska jest śmierci, ale było coś, co musiał koniecznie wyjaśnić, pewne podejrzenie zrodzone z lodowatego stosunku ojca do niego, z oczywistego braku miłości.

Pochylił się nad łóżkiem i głosem cichym, ale pełnym napięcia, gładząc jej kruchą, starczą dłoń, zapytał:

- Babciu... a czy... czy mój ojciec dowiedział się w końcu prawdy?

W pierwszej chwili pomyślał, że babka go nie słyszała, że to już przedagonalna śpiączka, ale stara pani otworzyła oczy i odwróciła do niego głowę.

- Tak - odparła. - Twoja matka przed śmiercią... On był dla niej taki okrutny, Leo, taki niedobry... Wiele razy chciałam ją prosić, żeby od niego odeszła, ale wiedziałam, że się na to nie zgodzi. Bała się o ciebie, bała się, że sąd pod jego naciskiem przyzna mu opiekę nad tobą... bała się

też i o nas... że się będzie mścił, więc została, ale w końcu sama wymierzyła mu sprawiedliwość za całe nieszczęście, jakie z jego powodu znosiła.

Wiedziała, że umrze. Zmusiła lekarzy, żeby jej powiedzieli prawdę, i zwierzyła mi się z tego, co zamierzała zrobić. Nie mogła znieść myśli, że odejdzie z tego świata z tak wielkim ciężarem na sumieniu.

Staruszka wzdrygnęła się i zamknęła oczy.

- Była moją córką, moim jedynym dzieckiem, a ja musiałam patrzeć, jak twój ojciec ją krzywdzi, jak ją z premedytacją niszczy. Wiedziałam, że chce mu powiedzieć prawdę nie z poczucia winy, tylko ze złości i nienawiści. Heinrich był u mnie później...

Baronowa zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, były pełne łez.

- Zapytał mnie, czy to wszystko, co ona mu powiedziała, jest prawdą. Myślę, że gdyby duma mu na to pozwoliła, wydziedziczyłby wtedy Wilhelma publicznie...

Wilhelm jest twoim synem - powiedziałam mu wtedy. - Urobiłeś go na swój obraz i podobieństwo.

- Wilhelm nie jest moim synem! - krzyczał Heinrich. Nigdy nie zapomnę, w jaki sposób to powiedział i jak wtedy wyglądał. - Ja nie mam syna. Nie mam prawdziwego syna. Już ta suka tego dopilnowała.

- Leo jest twoim synem...

- Leo... owszem, nasienie, z którego został poczęty, było moje, ale to wszystko, co ma ze mnie. To jej robota. Twoja córka mnie oszukała, podle mnie oszukała i niech się smaży za to w piekle...

Leo widział, jak po tych słowach babką wstrząsnął dreszcz.

- Jeśli kogoś miałby spotkać taki los, jeśli rzeczywiście istnieje coś takiego jak piekło, to zasłużył na nie mój ojciec - rzekł z bólem. Czuł pod powiekami łzy, które nie znajdowały ujścia. Nagle, jak gdyby znów był dzieckiem, zapragnął pozbyć się potwornego ciężaru własnych myśli - strachu i cierpienia - i powiedzieć tej kobiecie, że w swoich domysłach dotyczących przeszłości ojca był bardzo bliski prawdy, ale już po chwili dojrzały mężczyzna wziął w nim górę nad przerażonym dzieckiem i Leo nie odezwał się słowem. Jak mógłby jeszcze przysparzać jej cierpień?

- To dlatego kierownictwo Hessler Chemie powierzył mnie, tak? - zapytał zamiast tego.

- Tak, ponieważ to ty jesteś jego synem.

Jego synem. „Syn... mój syn”. Teraz już rozumiał, co miał na myśli ojciec, wypowiadając te pełne gorczy i nienawiści słowa.

Pozostało jeszcze jedno pytanie, które musiał zadać babce.

- A Wilhelm... czy Wilhelm zna prawdę?

Stara kobieta potrząsnęła głową.

Baronowa umarła o drugiej nad ranem. Kiedy wydała ostatnie tchnienie, Leo był przy niej i trzymał ją za rękę. Wiedział dokładnie, kiedy odeszła, a mimo to jeszcze przez jakiś czas nie wypuszczał jej dłoni.

Wilhelm zjawił się rano, zarośnięty i zły, z wyraźnymi śladami niedawnych przeżyć miłosnych, jak zauważył Leo.

Nawet teraz, kiedy już znał prawdę, trudno mu było uwierzyć, że Wilhelm nie jest synem Heinricha, tak bardzo przypominał go temperamentem i sposobem bycia. Ale cóż, skoro od urodzenia tak był wychowywany... Matka, najprawdopodobniej chcąc za wszelką cenę chronić swoje nowo narodzone dziecko - dziecko swego kochanka - przed gniewem męża, gdyby kiedykolwiek prawda wyszła na jaw, nie zdawała sobie sprawy, do czego to wszystko może prowadzić. Jakże musiała być rada widząc, że Heinrich akceptuje Wilhelma bez żadnych zastrzeżeń. Ciekawe, kiedy zaczęło do niej docierać, co Heinrich robi z tym dzieckiem, z jej synem...

Leo uświadomił sobie teraz, jak blisko matka starała się go zawsze trzymać przy sobie. Czyżby dlatego, że widziała, co Heinrich zrobił z Wilhelmem?

Pełen niesmaku, a jednocześnie współczucia i żalu, odwrócił się od brata. Co by było, gdyby ojciec nie okaleczył jego osobowości rozwijając w nim zachłanność, arogancję i egoizm?

I jak on, Leo, może powiedzieć Wilhelmowi prawdę? Wiedział, że nie może, że w ten sposób zniszczyłyby go ostatecznie.

- To co, umarła, tak? - zapytał agresywnie Wilhelm.

- Tak, umarła - odparł z ciężkim sercem Leo. Później, rozmyślając nad prawdą, której się dowiedział, zastanawiał się, jak ktokolwiek, nawet ktoś taki jak jego ojciec, mógł wydziedziczyć dziecko wychowane jako swoje. Przecież kochać dziecko to znaczy kochać człowieka, a nie nasienie, z którego został spłodzony.

Cóż, kiedy w gruncie rzeczy jego ojciec nie kochał żadnego z nich. Leo powątpiewał, czy w ogóle kochał kogokolwiek, nie wyłączając siebie samego. A przecież wiedział, jak bardzo ważne jest, żeby kochać siebie samego, żeby móc akceptować własne wady i słabości, jak bowiem bez tego można kochać i wybaczać innym?

Jako młody człowiek, głęboko zaniepokojony małżeństwem Wilhelma, które brakiem harmonii i wierności tak bardzo przypominało mu małżeństwo rodziców, Leo zastanawiał się, czy powinien przekazywać dalej swoje geny. Zastanawiał się nad kruchością instytucji małżeństwa w obawie, że mógłby powtórzyć nieudane związki rodziców i brata.

Kilkakrotnie był zakochany, ale za każdym razem na jego uczuciu kładł się cieniem strach, że skrzywdzi kochaną osobę. W Heidelbergu miał dziewczynę, koleżankę ze studiów, którą kochał



szczerze i pragnął jej to powiedzieć, ale coś go zawsze wstrzymywało. Miała do niego żal, że ją wykorzystuje, nie chcąc się angażować.

Tuż przed śmiercią ojciec nalegał, by się ożenił, twierdząc, że to jego obowiązek. Wiedział już wtedy, że Wilhelm, a co za tym idzie i jego synowie, nie są jego potomkami.

Pogrzeb baronowej odbył się ze stosowną pompą w cztery dni po jej śmierci.

Schloss wydawał się bez niej pusty. Taka siedziba dla jednej rodziny to anachronizm, pomyślał Leo. Zamek był pierwotnie przeznaczony dla pana feudalnego i jego poddanych, a nie dla współczesnej, dwupokoleniowej rodziny.

Nie zdziwił się, kiedy odkrył, że i to dziedzictwo przypadło jemu; szczęśliwie nie był tym zaskoczony i Wilhelm.

- Możesz sobie to wziąć - powiedział przed wyjazdem do Hamburga.

Leo został jeszcze przez kilka dni, ale niewiele miał do roboty. Papiery babki były w idealnym porządku, a przygotowania do śmierci cechowała precyzja i dokładność, z jakich była znana za życia. *Noblesse oblige*.

Leo podświadomie zwlekał z powrotem do Hamburga. Za dwa dni miał konferencję w Edynburgu. Postanowił przy okazji wpaść do Cheshire odwiedzić córkę Alana Careya. Wiedział, że dopóki się z nią nie zobaczy, dopóki nie zrobi wszystkiego, żeby znaleźć jakieś dowody, które by mu pozwoliły wyjaśnić ciemne plamy z przeszłości ojca, zawsze będzie miał nieprzyjemne uczucie, że unika poznania prawdy.

Jego poszukiwania na terenie Niemiec nie ujawniły niczego, czego by do tej pory nie wiedział. Jeśli nawet jego ojciec był w jakikolwiek sposób związany z SS, to zrobił wszystko, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Nawet bardzo ostrożne próby uzyskania jakichś informacji okrężną drogą przez Izrael nie przyniosły żadnych rezultatów.

Ale przecież te wycinki z prasy były nie do zlekceważenia; nie mógł udawać, że ich nie widział.

Nie chciał się zbytnio zagłębiać w przeszłość Alana Careya i, żeby niepotrzebnie nie wzbudzać zainteresowania innych, postanowił zobaczyć się osobiście z Daviną James.

Zwłaszcza że podczas ostrożnych prób zebrania informacji dowiedział się więcej o Davinie niż o jej ojcu. Była cenioną i lubianą kobietą, która ze spokojem znosiła zdrady swojego męża i trudy opieki nad ojcem.

Wszystko wskazywało na to, że obecnie spadł na nią nowy ciężar w postaci bankrutującej firmy. Jakby Davina była stworzona do dźwigania ciężarów. Czy więc może dołożyć jej jeszcze jeden? Z drugiej strony, jeśli się z nią nie zobaczy, jeśli przynajmniej nie spróbuje uchylić rąbka tajemnicy...

Ale jakich jeszcze potrzebuje dowodów? Czy w głębi duszy nie znał prawdy? Czy nie dość się z jej powodu nacierpiał?

Leo wiedział, że nie ma odwrotu, że co się stało, to się nie odstanie. A jednocześnie czuł, że nie spocznie, dopóki się nie zobaczy z Daviną James.

Jeśli jednak Alan Carey komukolwiek się zwierzał, to raczej swojemu zięciowi niż córce, uświadomił sobie ze znużeniem.

Ci dwaj byli ulepieni z jednej gliny. Na szczęście obaj już nie żyją, podobnie jak jego ojciec...

W Hamburgu Leo udał się prosto z lotniska do domu. Ponad dziesięć lat temu kupił niewielki dom w starej części miasta, ale nigdy nie czuł się w nim naprawdę dobrze.

Kobieta, która przychodziła tu codziennie, sprzątała i wietrzyła dom, i kiedy Leo otworzył drzwi, powitały go w holu świeże kwiaty, a łagodny blask bijący od jasnych kremowych ścian powinien był nadać wnętrzu domową przytulność.

Leo, który mimo wszystko jej nie czuł, zastanawiał się, czy to wina domu, czy jego. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zbudził się po nocy pełnej miłosnych uniesień, widząc koło siebie twarz śpiącej kochanki. Kiedy aż do bólu pragnął jej ciepłej bliskości?

Ostatni romans Lea zakończył się cicho tuż po śmierci jego matki. Ten romans trwał ponad dwa lata. Elle, wysoka, elegancka blondynka, którą poznał na prozzonej kolacji, była od niego nieznacznie starsza. Jej o dwadzieścia lat starszy mąż, urzędnik państwowy, najwyraźniej przymykał oczy na romanse żony pod warunkiem, że zachowywała się dyskretnie i taktownie.

To ona była aktywną stroną w tym związku. Ona pierwsza zadzwoniła pod jakimś pretekstem, proponując spotkanie i choć nie ukrywała swego prawdziwego celu, to jednak zostawiła mu furtkę na wypadek, gdyby nie chciał skorzystać z zaproszenia. Niewiele brakowało, żeby się wykręcił, ale Elle była tyleż inteligentna, co i atrakcyjna i pożądanie okazało się silniejsze niż ostrożność.

O tym, żeby rzuciła dla niego męża, nie było mowy; powiedziała mu to szczerze. Hans odpowiadał jej jako mąż.

- Wiem, że chociaż jest nam w tej chwili cudownie - wyznała - to przecież przyjdzie w końcu taka chwila, kiedy ten wzajemny zachwyty przestanie istnieć. Małżeństwo to nie sprawa pożądania, a nawet nie miłości. W każdym razie dla mnie. Rozumiemy się z Hansem. Nasze małżeństwo dobrze funkcjonuje i chciałabym, żeby tak dalej było, ale tymczasem... nie ma powodu, żebyśmy nie mieli przeżyć razem miłych chwil, naturalnie pod warunkiem, że będziemy to robili dyskretnie.

Tak też istotnie było, Aż do tego momentu po śmierci jego matki, kiedy to Elle spokojnie i

niemal od niechcenia, jakby mówiła o pogodzie, oznajmiła, że jej zdaniem czas się rozstać.

- Zrobiliśmy się tacy jacyś stateczni, jak starsi państwo - powiedziała marszcząc nos. - I ty, i ja powinniśmy pomyśleć o nowych partnerach.

Było mu jej brak, owszem, ale nie tak bardzo, jak sobie wyobrażał, i kiedy w kilka miesięcy później zobaczył ją w towarzystwie mężczyzny, którego podejrzewał o to, że zajął jego miejsce, nie czuł zazdrości, tylko lekką zawiść na myśl o tym, że on nie potrafi tak lekko traktować życia.

W sensie fizycznym Elle była znakomitą kochanką, ale zawsze podświadomie Leo pragnął czegoś więcej niż tylko zwykłej kopulacji, bez względu na to, jak wiele czerpał z niej satysfakcji.

Dość przewrotnie przyznawał, że sam seks mu nie wystarcza i że miłość wydaje mu się znacznie bardziej podniecająca niż tylko pożądanie.

Czyżby odwrócenie ról? Fakt, że to on, mężczyzna, potrzebował więcej uczucia niż Elle, która w tym związku zadowalała się wyłącznie zaspokajaniem potrzeb seksualnych, otworzył mu na te sprawy oczy i pozwolił spojrzeć na siebie z innej perspektywy.

Poszedł na górę i wziął prysznic.

Był w dalszym ciągu wstrząśnięty świadomością, że Wilhelm nie jest synem Heinricha. Mimo tak wielkiego podobieństwa tamtych dwóch, to on, Leo, był jego dzieckiem.

Może niepotrzebnie się obawiał, że odziedziczył geny ojca, jego złośliwość i okrucieństwo, i że te cechy, uśpione w nim, mogłyby odżyć w jego potomstwie.

Widząc skutki oddziaływania swego ojca na innych uznał, że przekazywanie potomstwu tak ułomnej osobowości jest czymś równie szkodliwym, jak powielanie kalectwa fizycznego.

W dzisiejszych czasach pary zagrożone poczęciem dziecka obciążonego jakąś wadą fizyczną mogły korzystać z doradztwa i pomocy medycznej. A co z tymi innymi, co z ludźmi obciążonymi zaburzeniami osobowości? Czy kiedykolwiek będą mogli liczyć na podobną pomoc, czy byłaby to ingerencja zbyt daleko idąca w sprawy natury?

Kiedyś nie miał takich wątpliwości, ale teraz, kiedy przekonał się, że wady Wilhelma wynikały z przejmowania od Heinricha złych wzorców postępowania, a nie z zapisu genetycznego, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem się nie mylił, czy jego ocena sytuacji nie opiera się na lękach, zamiast na rzeczywistości.

Zakręcił kurek i sięgnął po ręcznik. Miał muskularne ciało i pierś porośniętą gęstymi, miękkimi włosami. Starał się dużo ćwiczyć i często pływał w prywatnym klubie sportowym, którego był członkiem. W zimie jeździł na nartach, a kiedy miał czas, grywał w squasha, choć uważał, że jest już na to za stary.

Kiedyś Elle powiedziała mu półzartem, że ma ciało greckiego boga, a profil jak z rzymskiej monety. Śmiała się widząc, jak jest speszony, i delikatnie wiodąc palcami wzdłuż wewnętrznej strony jego ud doprowadzała go do stanu, w którym pokrywał się gęsią skórą i drżał na całym ciele, usiłując zapanować nad swoimi reakcjami. Wtedy śmiała się jeszcze bardziej i spoglądała na niego filuternie. Było to już po stosunku, ale Elle nie przestawała go prowokować, napawając się widokiem jego zmagania z samym sobą.

Była wyraźnie zadowolona z pozycji osoby dominującej w tym związku. Leo zastanawiał się czasem, czy rozmyślnie posuwała swe prowokacje do granic jego wytrzymałości, ale przysięgł sobie, że nigdy w stosunku do żadnej kobiety nie pozwoli sobie na brutalność. Zawsze stawali mu przed oczami ojciec i brat oraz niebezpieczna droga gwałtu i okrucieństwa, na którą zeszli, a której Leo tak bardzo się bał. I jeśli nawet miał czasem ochotę przerwać zadawane mu przez Elle męki, rzucając ją na plecy i biorąc w szybkim, gniewnym akcie seksualnym, to zaraz sobie tłumaczył, że całą satysfakcję tego łatwego rozładowania zniweczyłaby pogarda dla siebie, jaką by bez wątpienia odczuwał.

Elle była agresywną kochanką, która często na pamiątkę wspólnie przeżywanych uniesień pozostawiała mu siniaki, ślady zębów i długie zadrapania na plecach i ramionach. Brutalność wydawała jej się integralną częścią seksu - którą może nawet i była - ale Leo w swoich stosunkach z kobietami starał się nigdy tej potrzeby nie dopuszczać do głosu.

Skrzywił się do swoich wspomnień. Musiał jej się wydawać bardzo naiwny.

No cóż, ich romans się skończył i od tamtej pory Leo na dobrą sprawę nie odczuwał pociągu do żadnej kobiety. Doszedł do wniosku, że pragnie raczej uczuć niż seksu. Sam akt miłosny nie stanowił dla niego dostatecznej motywacji. Kiedy myślał o kobiecie, wyobrażał sobie, jak jej delikatnie dotyka, jak leciutko muska dłonią jej skórę, jak ją pieści ustami wyczuwając każde najmniejsze drżenie, każde napięcie świadczące o budzącym się pożądaniu partnerki. Zapach jej skóry, włosów, ciepło ciała, uśmiech czy po prostu, spojrzenie - wszystko to działało na niego równie erotycznie i podniecająco jak sam akt płciowy, w którym kobieta oddawała mu siebie wraz z tajemnicą swojej kobiecości.

W dwa dni później z ciężkim sercem wsiadał do samolotu Lufthansy, którym miał lecieć do Anglii. Wiedział, co go czeka. Zamknął oczy i starał się nie myśleć o tym, co będzie, jeśli się okaże, że jego ojciec nie doszedł do swoich oryginalnych wzorów chemicznych w sposób tak niewinny, jak utrzymywał.

Czasy, opinie i moralność się zmieniają. Pokolenie, które opiewało osiągnięcia ojca, dzieląc jego pragnienie sukcesu, ustąpiło generacji o nastawieniu mniej materialistycznym, kwestionującej motywę osiągania zysków w stopniu znacznie większym, niż to robili ich poprzednicy. Na firmy

farmaceutyczne, uważane niegdyś za dobrodziejstwo ludzkości, patrzono obecnie podejrzliwie i zarzucano im, że w pogoni za zyskami tracą z oczu dobro człowieka, traktując go często jak materiał doświadczalny.

Nie było na świecie firmy, nie wyłączając takiej potęgi jak Hessler Chemie, której by nie potrafili zniszczyć ci sami ludzie, dla których została stworzona. Jeśli świat odwróci się od leków... zaczną je bojkotować, co wcale nie jest takie niemożliwe... Ostatecznie jeszcze całkiem niedawno futrzarze śmialiby się w twarz każdemu, kto by im powiedział, że zniszczy ich jakaś garstka szaleńców zwariowanych na punkcie ochrony środowiska. Teraz zaś są tak samo gatunkiem ginącym jak zwierzęta, które niegdyś tępil dla ich futer.

A obecne nastawienie opinii publicznej do papierosów i alkoholu... Naturalnie, nie należy grzeszyć zbytnią pewnością siebie, ale niezależnie od jego oceny większości metod, jakimi jego ojciec budował potęgę firmy, Leo uważał za swój święty obowiązek wobec tych, którym służyła, utrzymanie Hessler Chemie.

Jeśli uda mu się przy tym sprawić, by inaczej spojrzano na problem badań i rozwoju, a także zmienić stosunek do leków na korzyść środków o łagodniejszym, nie tak agresywnym działaniu, to z pewnością dołoży w tej sprawie wszelkich starań, ale jego najważniejszym obowiązkiem w tej chwili jest zadbać nie o to, żeby odciążyć własne sumienie, lecz o to, żeby dobre imię firmy w najmniejszym nawet stopniu nie ucierpiało z powodu tego, co mógł kiedyś zrobić jego ojciec.



- Pamiętaj, Cathy - powiedziała Christie ściskając córkę na dobranoc - żebyś nie pozwoliła wujkowi Saulowi za długo oglądać telewizji.

Cathy zachichotała.

Jakże to dziecko, urodzone w złości i rozgoryczeniu, jest jej drogie, pomyślała Christie odgarniając córce z czoła kosmyk włosów. Ponad głową małej spojrzała na Saula. Siedział zamyślony, wpatrzony w płytę lotniska. Kochała brata bardzo, ale zawsze zdawała sobie sprawę, jak ogromnie się między sobą różnią - nie tylko temperamentem, ale i poglądami na życie.

W okresie dorastania Christie była wściekła na Saula, że jako mężczyzna nie miał tych problemów i wątpliwości, które ją dręczyły nieustannie.

Ich drogi życiowe jako ludzi dorosłych rozeszły się całkowicie, ale Christie nigdy nie zapomniła bratu wsparcia, jakiego jej udzielił, kiedy była w ciąży z Cathy.

Nagle zdała sobie sprawę ze zmiany, jaka w nim zaszła, z jakiejś dziwnej zadumy i dystansu. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go, zapytać, co się stało, ale wiedziała, że ją odsunie. Ich ojciec bał się dopuszczać do głosu uczucia, ponieważ go osłabiały. Uczył Saula, że mężczyzna zawsze powinien panować nad emocjami. Christie zastanawiała się ze smutkiem, czy przypadkiem Saul nie zaczyna dochodzić do wniosku, że ojciec nie zawsze miał rację. Ze smutkiem, bo wiedziała, jak bardzo Saul idealizował ojca i że zdjęcie go z piedestału, na którym sam go postawił, zniszczyłoby najpotężniejszą siłę, jaka go motywowała do działań.

Nigdy nie byli w stanie spokojnie i logicznie rozmawiać o ojcu, uświadomiła sobie Christie, ściskając na pożegnanie brata i córkę przed wyjściem na pokład samolotu, którym miała lecieć do Szkocji.

Jako nastolatka uwielbiała Saula i jednocześnie chwilami niemal go nienawidziła. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest nienormalna. Już wtedy wiedziała, że ojciec się nią nie interesuje. Matka, cicha, spokojna kobieta, najwyraźniej pogodzona z rygorami, jakie nakładało na nią życie i małżeństwo, nie rozumiała jej młodzieńczych, buntowniczych ideałów i potrzeb. Christie kochała matkę, ale patrząc na nią, na sposób, w jaki zawsze ustępowała ojcu, sycąc jego egoizm i usuwając mu z drogi wszelkie przeszkody, wiedziała, że ten model postępowania jest dla niej nie do przyjęcia.

Czasami miała chęć spytać matkę, czy rzeczywiście jest zadowolona z takiego związku, z życia, w którym spełniała jedynie czyjeś, a nie swoje oczekiwania, ale jakoś nigdy nie mogła się na to zdobyć. Czyżby dlatego, że bała się usłyszeć odpowiedź?

Ich matka była osobą dobrą i łagodną, do której inni przychodzili ze swoimi problemami, czerpiąc z jej mądrości i doświadczenia, zawsze jednak dbała o to, by w najmniejszym nawet stopniu nie dać mężowi odczuć, że to ona z nich dwojga jest bardziej ceniona.

Ileż ją to musiało kosztować samozaparcia, ile wyrzeczeń, ile musiało wymagać miłości! Ona, Christie, nie potrafiłaby tak kochać, była na to zbyt samolubna. Nigdy nie wyrzekłaby się swoich ambicji ani ideałów po to tylko, żeby zadowolić mężczyznę, który jest zbyt małostkowy czy po prostu zbyt niedojrzały na to, by zrozumieć potrzeby drugiego człowieka.

Ojciec nie chciał, żeby została lekarzem. Praca pielęgniarki była w jego pojęciu znacznie stosowniejszą dla kobiety. Christie wdała się z nim w gorący spór, w wyniku czego matka szybko wyprowadziła ją z pokoju.

- Dlaczego ojciec nie chce mnie wysłuchać? - pytała matkę ze łzami, kiedy już znalazły się same w kuchni. - Przecież chyba mam takie samo prawo jak Saul robić użytek ze swojego rozumu.

- Ojciec jest trochę w tych sprawach staroświecki, Christie. Trzeba dać mu czas na oswojenie się z tą myślą. Wiesz, jak bardzo nie lubi, żeby cokolwiek forsować.

- Chcesz powiedzieć, jak bardzo nie lubi wszystkiego, co nie jest jego pomysłem - wybuchnęła Christie gniewnie. - Dlatego tylko, że jestem dziewczyną, mam go we wszystkim słuchać i nie mieć prawa do własnych decyzji, tak? O nie, ja nie jestem taka!

- To prawda - zgodziła się matka.

Christie czuła pod powiekami piekące łzy. Łzy złości, rozczarowania i bólu, wywołane świadomością, że ojciec nigdy nie kochał jej tak jak Saula, że nigdy nie zaakceptował jej taką, jaką była. W końcu to Saul przekonał ojca, żeby wyraził zgodę na jej studia medyczne, i to Saul wspierał ją finansowo, uzupełniając nędzne stypendium.

Te lata wczesnej młodości były dla Christie bardzo trudne, pełne uczuciowego zamętu i rozzalenia na ojca. Z perspektywy lat zastanawiała się nieraz, czy jej związek z ojcem Cathy nie wynikał przypadkiem z tego, że Christie podświadomie szukała u niego akceptacji, której nie znalazła u własnego ojca. David nie był jej pierwszym kochankiem. Pierwsze młodzieńcze doświadczenia miłosne Christie miała już za sobą. Na ich podstawie surowo i z pogardą oceniała rówieśników, najwyraźniej przekonanych, że ona jest po to, żeby sprawiać im przyjemność.

Z Davidem było inaczej.

Poznała go jeszcze jako studentka. David właśnie przyszedł do szpitala jako specjalista od chirurgii serca, i mówiono o nim z podziwem.

Ani się spostrzegła, kiedy ten czterdziestodwuletni mężczyzna całkowicie omotał ją, wówczas dwudziestolatkę. Christie zawsze szczyliła się swoją znajomością ludzi i



umiejętnością właściwej oceny, David jednak zdołał ją oszukać. Czy może Christie oszukała samą siebie?

Jego atrakcyjność dojrzałego mężczyzny tak silnie na nią podziałała, że kiedy David zaczął ją wyróżniać spośród innych studentek, okazała się całkowicie bezwolna.

Naturalnie wiedziała, że jest żonaty. Było tajemnicą poliszynela, że swoją spektakularną karierę zawdzięcza w znacznej mierze znajomościom swego teścia, znanego chirurga z Harley Street, ale David bardzo szybko dał jej do zrozumienia, że jego małżeństwo jest jedynie formalnym związkiem dwojga ludzi, których w gruncie rzeczy nie łączy żadne uczucie. Zakomunikował jej beztrząsco, że jego żona, wraz z dwoma synami, mieszka teraz w Stanach, a ona, idiotka, o nic więcej go nie pytała. Uważała, że David ją kocha, i świącie wierzyła, że ona go też. W sprawach seksualnych była to nie znana jej dotychczas skala przeżyć, co świadczyło o jej szczególnej naiwności i braku doświadczenia. Używała naturalnie pigułki, jako że ciąży, a tym bardziej dziecka, nie miała w planie.

Miłość Davida działała na nią jak adrenalina, zwiększając nie tylko jej pragnienie fizycznych kontaktów z kochankiem, ale także stymulując w pracy. Odniesienie sukcesu stało się dla niej teraz podwójnie ważne: chciała pokazać Davidowi, na co ją stać i że jest zupełnie inna niż jego zepsuta żona, która zajmowała się jedynie robieniem zakupów i działalnością charytatywną.

- Uwielbiam inteligentne kobiety - wyznał jej kiedyś w sytuacji intymnej. - To wyzwanie dla mężczyzny. - A ona, zakochana po uszy, dopiero znacznie później, w gruncie rzeczy dopiero po urodzeniu Cathy, zrozumiała, że był to z jego strony jeszcze jeden sposób na podbudowanie przekonania o swojej męskiej wyższości.

Na fali euforii wywołanej związkiem z Davidem i odkrywaniem własnych seksualnych potrzeb i możliwości, Christie łatwo zapominała o przyszłości i żyła dniem dzisiejszym.

Wierzyła, że przyjdzie dzień, kiedy nie zadowolą się krótkimi ukradkowymi spotkaniami, kiedy stanie ramię w ramię z Davidem jako jego równoprawna partnerka w pracy i jak koledzy będą im gratulować wspólnych sukcesów w chirurgii... Zbyt jednak była szczęśliwa na co dzień, żeby się dłużej zastanawiać nad przyszłością, i wtedy właśnie nadeszła chwila, na którą tak bardzo czekała.

David powiedział jej, że wypożyczył od kolegi dom na wsi i że pojedą tam wspólnie na weekend. W piątek po pracy spotkają się w ich zwykłym miejscu, powiedział, położonym w odległości niecałego kilometra od domu studenckiego, w którym Christie mieszkała. Przez następny tydzień go nie będzie, bo ma bardzo ważne sprawy do załatwienia.

- Jakie sprawy? - spytała w dobrej wierze Christie. David dość długo milczał, zanim jej odpowiedział:

- Nic ważnego. W każdym razie nic, co by dotyczyło ciebie. - Po czym zaczął jej opisywać, co będą robili, jak się znajdą sami, tak rozpalając tym wyobraźnię Christie, że zupełnie zapomniała o jego „nieważnych” sprawach.

Cały weekend razem... Zamknęła oczy i oparła się o ścianę. Nie mogła się doczekać.

Mało brakowało, a nie wyjechałaby na ten weekend. W piątek rano obudziła się z bólem żołądka, który skończył się ostrym atakiem torsji. Ubrała się jednak z wysiłkiem i poszła na wykłady. Przez cały ranek czuła się bardzo źle, a w porze lunchu, nie mogąc znieść widoku ani zapachu jedzenia, wyszła na świeże powietrze.

Dopiero podczas popołudniowych wykładów dowiedziała się, że wśród studentów było wiele przypadków zatrucia pokarmowego. Christie przysięgła sobie, że nic jej nie powstrzyma przed spędzeniem weekendu z Davidem, i poszła do apteki po lek na żołądek. Na szczęście jej przypadek zatrucia okazał się niegroźny i do chwili, kiedy wykłady się skończyły, mdłości i skurcze ustały i Christie, choć słaba i wyczerpana, poczuła się jednak lepiej.

Kiedy David po nią przyjechał, nie przyznała mu się nawet do swojej niedyspozycji; podświadomie przyjmowała wzorce postępowania swojej matki.

Tak upragniony weekend nie spełnił jednak oczekiwań Christie. Jej wina, pomyślała, musi patrzeć na to wszystko bardziej realistycznie. A jednak przykra była dla niej świadomość, że David chowa się z nią przed ludzkim wzrokiem, że utrzymanie ich związku w tajemnicy jest dla niego takie ważne. Może zbyt ważne? Ale nad tym nie miała czasu się zastanawiać, bo zbliżał się koniec roku akademickiego i trzeba było przysiąść fałdów.

David nie było przez trzy tygodnie, a niejeden, i minął jeszcze z tydzień, zanim się z nim zobaczyła.

Do tej pory zdążyła się już zorientować, że jest w ciąży. Czyżby zatrucie zniwelowało działanie pigułki? Był to szok. Z całą pewnością nie planowała dziecka. Przerwanie ciąży wydawało się najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji, ale musi to przedyskutować z Davidem, przecież to i jego dziecko.

I znów dopiero znacznie później uświadomiła sobie, jak podświadomie oczekiwała, że kochanek zdejmie z niej ciężar odpowiedzialności, że otworzy ramiona i powie, jak bardzo pragnie jej i dziecka. Ale naturalnie nic takiego nie zrobił.

- Myślałem, że bierzesz pigułkę - brzmiały jego pierwsze słowa. Na widok gniewu w jego oczach serce Christie podskoczyło do gardła. - Jeśli w ten głupi sposób usiłujesz mnie zmusić do małżeństwa, to...

Poczuła się, jakby ją zdzielił między oczy. Nie mogła zebrać myśli. Ból urażonej dumy był nie do wytrzymania.

- Przecież wiesz, że jestem żonaty. Nie mogę sobie pozwolić na taki skandal. Czy jesteś pewna, że to jest moje dziecko?

Musiała wydać jakiś odgłos, który zdradził jej rozpacz, bo David urwał i spojrzał na nią. Nagle wydał jej się stary i obnażony z cudownych szat, w które go jej wyobraźnia przybrała. Nagle dostrzegła w nim nędzną kreaturę, którą w rzeczywistości był.

- Christie, musisz być rozsądna. Ja... ci pomogę, załatwię ci przerwanie...

Poczuła mdłości i zawrót głowy.

- Chciałeś powiedzieć „skrobankę”, tak? - natarła na niego drżącym głosem, celowo używając terminu, który przywodził na myśl całe okrucieństwo rzeczywistości.

- Musisz być rozsądna, musisz pamiętać o swojej karierze...

- Raczej o twojej, chciałeś powiedzieć.

Christie miała już cierpienie za sobą, teraz czuła tylko urażoną dumę.

Nie było już mowy o miłości. Jak mogłaby go kochać po tym, co powiedział, co widziała w jego oczach? Załamana, odsunęła się od niego.

- W porządku, Davidzie. Doskonale rozumiem, co chciałeś powiedzieć. - Zobaczyła w jego oczach ulgę, która tylko pogłębiła jej pogardę dla niego i dla siebie.

- Z tego wynika, że będziesz rozsądna i przerwiesz tę ciążę, tak?

Parsknęła krótkim, pełnym dumy i pogardy śmiechem.

- Czy nie sądzisz, że to, co zrobię z moim ciałem i z moim dzieckiem, jest wyłącznie moją sprawą?

Odchodząc słyszała jeszcze, jak ją woła, ale się nie odwróciła.

Wiedziała, że w tym stanie nie może wracać do akademika, poszła więc do nędznego hoteliku, na który właściwie nie bardzo mogła sobie pozwolić, zamknęła się w pokoju i wyplakała cały swój żal.

Nigdy... już nigdy w życiu nie okaże się taka głupia, taka naiwna. Tak naprawdę David jej nigdy nie kochał, lecz po prostu pożądał, sycił jej niewinnością i naiwnością swój wybujały egoizm. Zastanawiała się, ile dziewcząt w jej rodzaju już było w jego życiu i ile jeszcze ich będzie.

Ale najbardziej bolało ją nie odkrycie, że David jej nie kochał, lecz to, kim był i że tak łatwo dała się oszukać, że wierząc w tę miłość zdradziła siebie.

Położyła rękę na brzuchu. Ta jego panika... Odrzucenie jej tak oczywiste i tak niepotrzebne. Sama zdecydowała się przerwać ciążę.

A jednak łapała się na tym, że odwleka tę sprawę, a im bardziej ją odwlekała, tym trudniej było jej podjąć ostateczną decyzję. To niezdecydowanie było dla niej czymś zupełnie nowym.

Doznawała dziwnych uczuć i napięć, którymi była oszołomiona. Tłumaczyła sobie, że to szok wywołany odkryciem prawdy o Davidzie, że to zdenerwowanie zbliżającymi się egzaminami - wszystko w gruncie rzeczy, tylko nie fakt, że była w ciąży.

Christie nie chciała dziecka. Nie odnajdywała w sobie uczuć macierzyńskich, a poza tym wiedziała, że urodzenie dziecka uniemożliwiłoby jej skończenie studiów.

Już od jakiegoś czasu krążyły plotki, że David dostał propozycję pracy na Uniwersytecie Jolina Hopkinsa w Stanach i najwidoczniej sprawa szykowała się już od dawna, bo była tam jego żona ze swoim ojcem, przygotowując grunt. Ale ta wiadomość mało ją obeszła; miała ważniejsze sprawy na głowie.

Później zastanawiała się, czy przegapiła właściwy termin rzeczywiście przez przypadek. Wtedy jednak, ogarnięta paniką i rozpaczą, kładła wszystko na karb nadchodzących egzaminów.

I właśnie w sam środek tej rozpacz i tego nieszczęścia wkroczył Saul, który akurat do niej przyjechał, i spokojnie, ale energicznie przejął sprawę w swoje ręce.

Kiedy urodziła się Cathy, Christie była oszołomiona intensywnością miłości, jaką odczuwała dla małej. David, z całą swoją słabością, został zepchnięty na margines świadomości jako przeszłość, a cała ta historia wydała jej się jeszcze jedną nauzką, życiowym doświadczeniem, za które trzeba słono zapłacić.

Dzięki pomocy finansowej Saula i jego naciskom na ojca, zdołała skończyć studia i zrobić dyplom.

Christie zmieniła się bardzo; była teraz znacznie bardziej świadoma, dojrzała i wrażliwsza na cierpienie innych. O ile kiedyś myślała o chirurgii, o zawodowych i finansowych sukcesach, o tyle teraz zaczęła patrzeć na pacjenta jako na całość, a nie zbiór poszczególnych symptomów.

Postanowiła zostać internistką i pracować w jednym z najbardziej zaniedbanych okręgów Manchesteru. Jej pacjenci wywodzili się głównie z obskurnych bloków położonych na przedmieściach, wynajęła więc w pobliżu mieszkanie uważając, że po to, by móc skutecznie służyć tym ludziom, powinna mieszkać w tym samym otoczeniu.

Warunki socjalne i finansowe, w jakich żyli jej pacjenci, przerażały Christie. Najbardziej w jej pojęciu cierpiały kobiety, kobiety i dzieci zamknięte w czterech ścianach małych mieszkańek, położonych często na poddaszach bloków, odizolowane od świata i siebie nawzajem, skazane na taszczenie po schodach wózków i zakupów, kiedy windy odmawiały posłuszeństwa. A te schody, jakże często brudne i cuchnące ekskrementami, przypominały śmietniska, stając się domeną młodzieżowych gangów skupiających bezrobotnych wyrostków, żyjących z drobnych kradzieży i rozbojów.

Kolejne, niemałe zagrożenie stanowili narkomani i pijacy obojga płci, i kiedy Christie patrzyła na młode matki z mizernymi, niedożywionymi dziećmi, ogarniało ją współczucie. Jaką ci ludzie mieli szansę na godziwe życie?

Apatyczne dzieci o pustych spojrzeniach, dzieci nadpobudliwe i brutalne, dzieci chorobliwie nieśmiałe i sfrustrowane - wszystkie cierpiały z tych samych powodów.

- Co my, do diabła, w tej sprawie robimy? - pytała Christie ze złością siebie i swoich kolegów. - Dajemy tym dzieciakom leki i odsyłamy je do domu wiedząc, że tak naprawdę im i ich matkom potrzebne są przyzwoite warunki, świeże powietrze, przestrzeń życiowa i jakaś motywacja, żeby walczyć o poczucie własnej godności...

- A niby w jaki sposób mamy to robić? - zapytał ją agresywnie jeden z kolegów. - Żyjemy w świecie, w którym maszyna wypiera człowieka. Kiedy te dzieci dorosną, nie będzie dla nich pracy ani żadnej przyszłości, tak jak nie było dla ich rodziców. Możemy jedynie przekonywać tych ludzi, że nie powinni mieć dzieci. Oni się...

- Co oni się?! - przerwała mu Christie z furią w oczach. - Nie nadają do tego, żeby mieć dzieci? To chciałeś powiedzieć? To może my się do tego nie nadajemy? Bo to właśnie my skazujemy ich i ich nie narodzone dzieci na taką nędzną egzystencję. To my nie podajemy prawdy do publicznej wiadomości i nie zmuszamy innych, żeby coś w tej sprawie robili. Co z tego, że małą Tracy od pół roku ma katar... w najlepszym razie jej damy antybiotyki, a jej mamie coś na uspokojenie, chociaż wiemy, że w gruncie rzeczy obu potrzebny jest w miarę przyzwoity dom, jakiś ogródek, w którym mała mogłaby się bawić, i poczucie bezpieczeństwa, żeby nie bały się wychodzić z domu.

Christie czuła się wyczerpana tą beznadziejną walką, świadomość biedy tych ludzi przytłaczała ją ciężkim brzemieniem. Jakże niewiele mogła im pomóc.

Zorganizowała żłobek, miejsce spotkań matek i dzieci, wydarłszy w tym celu od rady miejskiej pusty lokal. Prośbą i groźbą w miejscowym ośrodku majsterkowania zdobyła pędzle i farby i przekonała kobiety, że powinny się otrząsnąć z apatii, że odnowienie i udekorowanie lokalu to ich sprawa. Zachęcała je, żeby własną pomysłowością i sprytem zrobiły coś dla siebie i swoich dzieci i z niekłamaną przyjemnością patrzyła, jak na ścianach powstają nieoczekiwane piękne malowidła, a ich autorki stopniowo nabierają wiary i pewności siebie, jak się organizują w grupy, zdobywając pieniądze na wyposażenie żłobka.

Trzy spośród kobiet zdołała umieścić na kursach dla przedszkolank, ucząc je jednocześnie, jak organizować wycieczki dla siebie i dzieci. Praktyka lekarska, praca społeczna i Cathy wypełniały jej czas bez reszty i kiedy jedna z kobiet zrobiła Christie delikatny przytyk, że nie ma mężczyzny, ta wzruszyła ramionami i odpowiedziała, że nie widzi takiej potrzeby.

Była to jednak nieprawda; kilka miesięcy temu Christie związała się bowiem z pewnym mężczyzną, rozwodnikiem z dwojgiem dzieci i wspólnikiem w firmie architektonicznej, którego poznała w trakcie działań na rzecz poprawy losu swych podopiecznych. Miał poczucie humoru i okazał się dobrym kochankiem, co, jak stwierdziła, było dla niej ważniejsze, niż myślała. Konsekwentnie jednak trzymała go na dystans. Ten typ znajomości jej wystarczał - wolała się nie angażować głębiej.

David stanowił dla niej wystarczającą nauczkę. Kiedy kobieta kocha mężczyznę, traci na jego rzecz znaczącą część swojej osobowości. Już raz cierpiała z powodu straty, już raz zaprzedała siebie dla kogoś innego i nie zamierzała powtarzać tego błędu.

Kiedy Peter zaczął naciskać na większe zbliżenie, odcięła się od niego całkowicie, odmawiając spotkań, a nawet rozmów. Brakowało jej go w sensie seksualnym, ale nie na tyle, by zmienić zdanie. Poza tym ceniła sobie niezależność, która miała dla niej znaczenie wprost zasadnicze: stanowiła ona warunek poczucia własnej wartości i godności, a nie zamierzała po raz drugi ryzykować ich utraty.

Jej życie było wypełnione pracą i troską o ukochaną Cathy. Bezmiar miłości, jaką odczuwała do córki, jeszcze ciągle ją zdumiewał. Nigdy dotychczas nie dostrzegła w sobie instynktu macierzyńskiego, a teraz nagle okazała się nadzwyczaj opiekuńcza. Zdarzały się oczywiście różne przykre wypadki. Dwa razy na przykład sfingowano wezwanie do pacjenta i w tym czasie włamano jej się do samochodu, najwyraźniej w poszukiwaniu narkotyków, szczęśliwie jednak torbę miała przy sobie. Policja ostrzegła ją, żeby unikała nocnych wizyt bez opieki, do czego Christie, zżymając się nad własną bezradnością, jednak się zastosowała.

Cathy rosła jak na drożdżach. Była teraz w przedszkolu, do którego odprowadzała ją opiekunka.

Coraz częściej mówiło się o napadach, o rozgrywkach pomiędzy rywalizującymi ze sobą młodzieżowymi gangami i Christie zauważyła u swoich pacjentów lęk przed nowym zagrożeniem. Policja rozesłała do wszystkich lekarzy i farmaceutów ostrzeżenie przed kradzieżami leków przez narkomanów. Christie przestrzegła wszelkich środków ostrożności; była w tej chwili odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale przede wszystkim za Cathy.

Fakt ten uświadomiła sobie w szczególnie jasny, a zarazem bolesny sposób pewnego popołudnia, kiedy po powrocie do domu stwierdziła, że włamano jej się do mieszkania. Policja oświadczyła, że cel włamania nie pozostawiał wątpliwości: poszukiwano narkotyków. Jako lekarka Christie była szczególnie narażona na tego rodzaju przykre niespodzianki. Zawiedzeni złodzieje zdemolowali jej mieszkanie, niszcząc meble i inne urządzenia. Rzeczy, które jej ukradli: telewizor, zegar i różne drobiazgi, z pewnością zostały sprzedane w celu uzyskania pieniędzy na zakup

narkotyków.

Christie zawsze uważała się za osobę silną, nie poddającą się emocjom, ale kiedy weszła do pokoju Cathy i zobaczyła, co się tam dzieje, ogarnęło ją przerażenie. Na widok podartej kołdry i rozprutego nożem materaca, oczami wyobraźni ujrzała leżącą na łóżku Cathy...

Była to chyba najtrudniejsza decyzja w jej życiu, znacznie trudniejsza od postanowienia utrzymania ciąży, ale Christie podjęła ją dla dobra małej...

Kiedy zakomunikowała swoim kolegom, że wyjeżdża, przyjęli tę wiadomość filozoficznie.

- Praktyka w mieście nie jest dla kobiet z małymi dziećmi - powiedzieli jej.

Piekące łzy cisnęły jej się do oczu, ale nie pozwoliła sobie na płacz. Targały nią sprzeczne uczucia: z jednej strony, opuszczając ludzi, którzy jej potrzebowali, czuła się jak dezerterski zdrajca, jakby ich zawiodła w potrzebie.

Z drugiej strony była przecież odpowiedzialna za Cathy. A gdyby tak mała była w mieszkaniu, kiedy się do niego włamano? Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki, ale jednocześnie świadomość, że porzuca tamtych ludzi, sprawiała jej dojmujący ból.

Szczęśliwie udało jej się znaleźć pracę na prowincji, w cichej, spokojnej okolicy hrabstwa Cheshire, gdzie jej córka mogła się bezpiecznie rozwijać w warunkach, na jakie zasługuje każde dziecko.

Jak na ironię to właśnie Saul, mimo wszystkich dzielących ich różnic, najlepiej rozumiał, co siostra przeżywa i jak bardzo jest rozdarta.

- Postąpiłaś słusznie - powiedział jej spokojnie i uśmiechnął się lekko. - Głowa do góry, Christie. Z pewnością i na głuchej prowincji znajdziesz jakąś słuszną sprawę, o którą będziesz mogła walczyć. Może byś tak na początek zorganizowała przytułek dla porzuconych, zardzewiałych traktorów?

Roześmiała się w końcu, oczywiście. Przynajmniej jedno ich zawsze łączyło: poczucie humoru.

Christie zorientowała się nagle, że samolot schodzi do lądowania. Takie rozpamiętywanie przeszłości nie było w jej stylu, a jak się wkrótce zorientowała, bieda i zaniedbanie nie ograniczają się jedynie do środowisk miejskich. Wystarczyło popatrzeć, w jak karygodny sposób taka Carey Chemicals naruszała zasady bezpieczeństwa pracy, jak szantażem zmuszała ludzi do przyjmowania niewiarygodnie niskich płac, jak Gregory James, używając znajomości i wpływów, blokował jej wysiłki zmierzające do ujawnienia przyczyn zachorowań na choroby skóry wśród pracowników firmy.

Z chmurną miną sięgnęła po bagaż. W ciągu ostatnich kilku lat była coraz bardziej

sceptycznie nastawiona do wielkich firm farmaceutycznych i metod, jakimi usiłowały wpłynąć na środowisko lekarskie, żeby stosowało ich produkty, które często przynosiły więcej szkody niż pożytku.

Firmy farmaceutyczne korzystały z poparcia potężnego lobby rządowego, a Christie, jako lekarka, nie wierzyła w altruistyczne motywy ich działań. „Zyski ważniejsze niż pacjenci” - tak brzmiał tytuł referatu, jaki zamierzała wygłosić podczas konferencji dla grupy lekarzy popierających jej idee. Przy odrobinie szczęścia sprawa ma szansę trafić do jednej z gazet lokalnych. Wszystkie dzienniki będą naturalnie zdominowane przez rewelacje farmaceutyczne, konferencja bowiem stanowiła dla wielkich firm idealną okazję do rekomendowania swoich nowości.

Samolot wylądował. Wysiedli już prawie wszyscy, zanim Christie podniosła się z miejsca i z uśmiechem skinęła głową stewardesie.

W hali dworca lotniczego panował tłok i, jak się Christie zorientowała, znaczną część pasażerów stanowili delegaci na konferencję. Westchnęła na widok kolejki do taksówek i z pewną rezygnacją zajęła miejsce na końcu. Stając, kątem oka zauważyła mężczyznę, który ustawił się za nią. Był wysoki i poruszał się energicznie.

Pod pretekstem sprawdzenia stanu obcasa swojego pantofla, obejrzała się przez ramię. Mężczyzna był do tego wszystkiego niezwykle przystojny, w wieku jakichś trzydziestu kilku lat. Najwyraźniej nieświadom jej dyskretnych spojrzeń, nieznajomy z marsem na czole spoglądał na zegarek. Widać było, że się spieszy. Sądząc z ubrania, musiał być zamożny. Chyba jednak nie lekarz. Ale dlaczego się w ogóle nad tym zastanawia?

Odwrociwszy się z powrotem ku przodowi kolejki, skracając sobie czas, wyobrażając sobie nieznajomego bez tego kosztownego ubrania. Jego włosy, nie licząc jasnego kosmyka nad czołem, miały kolor przypieczonej grzanki. Ciekawe, czy włosy na jego ciele też są tego koloru. Czy są miękkie, kręcone, czy leżą gładko na torsie, czy może są szorstkie i twarde?

Christie postawiła na pierwszy wariant i pod wpływem tych skojarzeń jej usta rozchyliły się zmysłowym uśmiechem. Dlaczego niby nie? Ostatecznie kobiety mają takie samo prawo jak mężczyźni wyobrażać sobie i rozbierać w myślach atrakcyjnego przedstawiciela płci przeciwnej. Mężczyźni robią to nieustannie. Ale nie dla samej przyjemności... To tak, jakby dochodziła wtedy do głosu mroczniejsza strona natury ludzkiej, nieokielznana, męska siła.

Szybko otrząsnęła się z tych myśli; czas zejść na ziemię. Na szczęście kolejka posuwała się szybko. Kiedy jednak Christie uznała, że przyszła jej kolej, kierowca taksówki zlekceważył ją i zatrzymał się przy stojącym za nią mężczyźnie.

- Pan wsiada - powiedział.

- Ta pani była przede mną. - Głos nieznajomego był przyjemny i akcent miał bezbłędny, a



jednak nie ulegało wątpliwości, że angielski nie jest jego ojczystym językiem.

Taksówkarz spoglądał na nią spode łba - pewnie doszedł do wniosku, że od mężczyzny dostanie wyższy napiwek niż od niej. Uznała, że jeszcze chwila, a zrezygnuje z nich obojga.

- Może moglibyśmy zabrać się razem. Jadę na konferencję medyczną.

- Ja też. - Uśmiechnęli się do siebie i nieznajomy otworzył jej drzwi taksówki. Miał walizkę i niewielki bagaż ręczny. Kiedy pomagał jej wsiąść, poły płaszcza rozsunęły się i Christie zobaczyła metkę: niemiecka. Lekko zdziwiona, ogarnęła go szybkim, taksującym spojrzeniem.

Nie robił wrażenia Niemca, ale z bagażu zwisała przywieszka Lufthansy. Zadała sobie prowokacyjne pytanie, jak właściwie powinien wyglądać Niemiec. Po germańsku sztywny i koniecznie niebieskooki? Besztając się w myślach za hołdowanie przestarzałym stereotypom, wsiadła do taksówki.

Mężczyzna wsiadł za nią, zamknął drzwi i powiedział:

- Pani pozwoli, że się przedstawię. Mam na imię Leo, a pani?

Leo jaki? - zastanawiała się Christie, podając mu swoje imię. Czy to niemiecki zwyczaj przedstawiać się samym imieniem?

- Czy znasz Edynburg i centrum, w którym ma się odbyć konferencja? - zapytał, kiedy ruszali.

Potrząsnęła głową.

- A ty?

- Byłem już kiedyś w Edynburgu, ale kilka lat temu. Od tamtej pory wiele się zmieniło, centrum musi być nowe. A ty jesteś lekarką... chemiczką... naukowcem? - sondował.

Spodobało jej się, że nie sklasyfikował jej z góry, jak by to zrobiła większość mężczyzn, jako sekretarki albo czyjeś I osobistej asystentki. Że automatycznie przyznał jej status osoby z wyższym wykształceniem.

- Jestem lekarką - odparła. - A ty?

Zawahał się na moment, zanim odpowiedział:

- A ja chemikiem. - Spoglądając przez okno na I ruch uliczny Leo zastanawiał się, dlaczego zataił przed nią swoje nazwisko i pozycję. Skoro jest lekarką, musiała słyszeć o Hessler Chemie i w czasie konferencji nie mogła go sobie nie skojarzyć z firmą. Dlaczego więc stara się uniknąć tych skojarzeń? Czy dlatego, że chciał, żeby go zaakceptowała i oceniła jako jego, Lea, a nie szefa Hessler Chemie?

Ale przecież poznał ją zaledwie pięć minut temu. Jakie znaczenie może mieć dla niego, co ona o nim pomyśli? Nie wiedział. Wiedział tylko, że byłoby to bardzo ważne, i czuł I intuicyjnie, że gdyby jej zdradził, kim jest, natychmiast by się od niego odsunęła. Nie miał pojęcia, skąd mu to

przyszło do głowy; po prostu wiedział i już.

Była bardzo atrakcyjna, energiczna i pełna temperamentu. Miała gęste, ciemne, lśniące włosy i mocne ciało, może nie piękne w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale z pewnością kobiece, a ponadto było w niej coś zniewalającego, jakaś autentyczna zmysłowość, która uderzyła go od pierwszego wejrzenia.

Nie uszło też jego uwagi szybkie, szacujące spojrzenie, jakim go obrzuciła. Ciekawe, czy była zadowolona z wyniku swoich spostrzeżeń? W myślach wyśmiewał swoją nadwrażliwość.

Teraz i ona wyglądała przez okno. Popatrzył na nią ukradkiem. Nie było w niej nic sztucznego; przeciwnie - sama naturalna świeżość i prostota. Leo czuł, że Christie jest kobietą, która potrafi docenić uroki własnego ciała, że jako kochanka oddawałaby się bez reszty, żądając od swojego partnera tego samego.

Jako kochanka? Czy jako jego kochanka?

- Nie... nie.

Davina usiadła na łóżku. Drżąc, usiłowała opanować uczucie lęku, tak realne jak sen, z którego się właśnie obudziła.

Objęła się ramionami i patrząc na budzik jęknęła. Było bardzo wcześnie, a szansa na to, że jeszcze uda jej się zasnąć, bardzo nikła.

Wstała i kiedy spojrzała w lustro, nastrój trochę jej się poprawił. Uśmiechnęła się z ironią. Uznała, że nocna koszula, którą miała na sobie, jest dla niej trochę za młodzieżowa. Ciągle jeszcze oszołomiona snem, doznała wrażenia *deja vu*, jakby się cofnęła w czasie i zobaczyła w lustrze siebie znacznie młodszą. Jej zwykle gładkie, lśniące włosy, teraz były potargane i opadały w strąkach na kark, a spod kusej, bawełnianej koszulki sterczały długie, chude jak u żrebaka nogi.

Kiedy rozsunęła zasłony i spojrzała na błękitne, pogodne niebo, przypomniał jej się inny poranek w innej sypialni, gdzie przed oknem stała inna Davina - w męskiej koszuli, w koszuli Matta, naga pod spłowieła tkaniną, z włosami też potarganymi, ale nie z powodu niespokojnych snów, tylko kochania.

Przypomniała sobie, jak Matt podszedł do niej z tyłu, jak ją objął i przyciągnął do siebie, a potem, jak czując jej reakcję, zaczął ją powoli odwracać.

Wzdrygnęła się, czując deprymujący sygnał pożądania, wywołany nie wspomnieniem tamtego porannego kochania, tylko drżącymi w niej mrocznymi siłami podświadomości i snem, z którego się dopiero co obudziła. Snem, w którym szła wąską ścieżką za Mattem, głuchym na jej wołania. Mimo że przyspieszała kroku, odległość między nimi stale rosła. Cały czas, starając się go zmusić do zatrzymania, odczuwała paniczny lęk, samotność, rozpacz i złość, aż wreszcie Matt nagle przystanął. Tyle że miał twarz nie swoją, a jakiegoś nieznajomego... Nie jakiegoś, tylko tamtego nieznajomego mężczyzny, stwierdziła Davina odchodząc od okna.

Kiedy zeszła na dół zrobić kawę, uznała, że ten sen o nieznajomym nie był taki znów nielogiczny, jak jej się na początku wydawało. Ostatecznie wpaść prosto na niego, wychodząc zza rogu, to swego rodzaju szok. Mało która kobieta zniosłaby dzisiaj takie spotkanie ze spokojem. Davina dopiero zaczynała uświadamiać sobie swoje prawo do wolnego wyboru partnera w życiu - całkowita równość nadal była dla niej iluzją, jak zawsze.

W sensie formalnym kobiety mogły naturalnie sięgać po najwyższe stanowiska w każdej dziedzinie, dalej jednak nie mogły swobodnie i bezpiecznie chodzić po ulicach miast, przemierzać kraju za kierownicą samochodu, spokojnie otwierać drzwi, kiedy zastuka do nich

nieznajomy mężczyzna - cóż więc w tym dziwnego, że to nieważne, przelotne spotkanie zrobiło na niej takie wrażenie?

W dzisiejszych czasach kobieta powinna traktować każdego nieznanego mężczyznę, zresztą i wielu znanych też, z najwyższą ostrożnością i nieufnością, a jeśli tego nie robiła... jeśli tego nie robiła, musiała być przygotowana na to, że w razie jakiegokolwiek pogwałcenia prywatności jej domu czy ciała zostanie oskarżona o świadomy współudział.

Ale przecież lekki niepokój, jaki towarzyszył jej spotkaniu z mężczyzną, który nie okazał się Mattem, był łękiem zupełnie innego rodzaju. Był czymś w rodzaju erotycznego podniecenia, wybuchu żądy, którego Davina się przestraszyła i za który sobą pogardzała.

Kawa była gotowa. Davina zaciągnęła się jej zapachem, przestawiając swoje myśli na ważniejsze sprawy; kawa już się kończyła, a trzeba było zrobić również i inne zakupy. Zamierzała także porozumieć się z miejscowym agentem handlu nieruchomościami, żeby wycenił i wystawił na sprzedaż jej dom, który był dla niej stanowczo za duży, i chociaż Davina wiedziała, że żal jej będzie ogrodu, to jednak samego domu nie żałowała, mimo że mieszkała w nim całe życie.

Gdzieś w jej podświadomości tkwiła myśl, że po kupieniu czegoś mniejszego resztę pieniędzy przeznaczy na utrzymanie przy życiu firmy, jak długo się da. Usiłowała nie myśleć o tym, że te pieniądze mogą jej być potrzebne na odprawy dla pracowników, gdyby musiała wstrzymać produkcję; takich płatności mogłaby uniknąć stawiając przedsiębiorstwo w stan likwidacji - jak jej powiedzieli prezes banku i Giles.

Gregory zawsze potrafił dbać o własne finanse - zapewnili ją w banku - i chociaż firma brała stale kredyty, to Gregory zdołał w jakiś sposób przekonać poprzedniego prezesa, że żadne osobiste gwarancje szefa firmy nie są potrzebne, Davina podejrzewała, że Philip Taylor żywił pełen zawiści podziw dla finansowej dalekowzroczności Gregory'ego.

Ona tego podziwu nie podzielała. Gregory może i nie łamał prawa w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale łamał wszelkie możliwe normy moralne i Davina czuła się współodpowiedzialna, jakby z nim współdziałała i go do tego zachęcała.

- Jest to normalna praktyka w biznesie, ogólnie przyjęty środek ostrożności - wyjaśnił jej lekko speszony Giles, kiedy wyraziła zaskoczenie i niesmak. Po tej rozmowie uznała, że mężczyźni mają zupełnie inny kodeks etyczny niż kobiety.

Właśnie niedawno wpadł jej w ręce artykuł, którego autor stawiał tezę, że mężczyźni kierują się w swoich działaniach dążeniem do sukcesu, podczas gdy kobiety mają nastawienie emocjonalne.

Z pewnością ani prezes banku, ani nawet Giles nie podzielali jej opinii, że najbardziej dotkliwym skutkiem bankructwa Carey Chemicals byłyby konsekwencje, jakie by ono miało dla

pracowników firmy.

W dzisiejszych czasach żadna firma nie jest w stanie zagwarantować ludziom bezterminowego zatrudnienia, powiedział jej Giles, kiedy mu się zwierzyła ze swoich niepokojów. Naprawdę liczą się tylko inwestorzy, udziałowcy, konkurencja i władze miejskie.

- Nie znasz świata biznesu - dodał delikatnie i chociaż Davina nic na to nie odpowiedziała, to jednak poczuła się lekko urażona jego stosunkiem do tych problemów.

Do Gilesa należały sprawy personelu, powinien był więc okazać więcej współczucia dla ludzi, chociaż musiała przyznać ze smutkiem, że w tym, co mówił, było wiele racji.

Była wystarczająco inteligentna, aby rozumieć, że jeśli chce być traktowana poważnie, musi swoje poglądy na to, co ważne, a więc na szacunek dla człowieka, podać tak, żeby nie machnięto na nią ręką niemal z szyderstwem, jakie dostrzegła w oczach prezesa banku.

Ponieważ jednak sprawa była dla niej aż tak ważna i ponieważ nie chciała, by ktokolwiek gwałtem czy choćby pokrętną perswazją odwiódł ją od tego, co zgodnie z własnym kodeksem moralnym powinna była zrobić już wiele lat temu, gdyby nie zabrakło jej odwagi i siły, zacisnęła zęby i zaczęła uczyć się wszystkiego, co dotyczyło firmy, a więc sposobu jej prowadzenia, finansów, sprzedaży i dystrybucji oraz prezentacji jej produktów w środowisku medycznym. Najbardziej szokujące wydało się Davinie odkrycie, jak niewiele środków przeznaczano na rozwój badań nad nowymi lekami.

Gregory, a nawet jej ojciec, musieli wiedzieć, że kiedy wygaśnie ich patent na najnowocześniejszy lek nasercowy, zyski przedsiębiorstwa spadną gwałtownie, było dla niej jednak jasne, że nawet za życia ojca nie zrobiono praktycznie nic, żeby zainwestować jakikolwiek kapitał w celu zabezpieczenia przyszłości firmy.

Owszem, mieli laboratorium, ale, jak Giles zmuszony był przyznać, standardem nie dorównywało ono nawet laboratoriom drugorzędnych uniwersytetów i żadne prowadzone w nim prace nie mogły doprowadzić do wynalezienia leku, który miałby szansę wejścia na rynek jako rewelacja w dziedzinie leczenia chorób serca.

Wiedzieli o tym zarówno jej ojciec, jak i Gregory. Ale dlaczego do tego dopuścili? Przecież jej ojciec wiedział, co powinien był zrobić, ponieważ po pierwsze studiował medycynę, a po drugie z pewnością otrzymał instrukcje od swego ojca, który niemal przypadkiem wynalazł ów rewelacyjny środek nasercowy, jak wprowadzić firmę w erę nowoczesnych leków.

Zmuszona była jednak przyznać, że w chwili śmierci jej ojciec stanowił dla niej taką samą zagadkę, jak i za życia. Wiedziała, że podczas wojny, nie mając jeszcze skończonych studiów, z pobudek ideowych zgłosił się do wojska jako sanitariusz.

Czy to możliwe, żeby człowiek, który zaprzepaścił wszelkie szanse i perspektywy, jakie się

przed nim otwierały z racji wykształcenia, a także okazję do tego, by zrobić coś dobrego dla ludzkości, i po prostu „przejadł” kapitał firmy, był tym samym człowiekiem, który kiedyś wyznawał tak szczytne ideały?

Czy obawiał się, że bez względu na to, co zrobi, nigdy nie dorówna swemu ojcu? Ale przecież wynalazek dziadka był bardziej dziełem przypadku niż wynikiem celowych badań. Dziadek poruszał się na oślep w świecie, który dla ojca, dzięki jego wykształceniu, stał otworem, zachęcając do tego, by nie tylko szedł w ślady swego rodzica, ale go nawet wyprzedził.

Nie ma sensu oglądać się wstecz w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzieć się nie da, pomyślała Davina popijając kawę. Musi się skoncentrować na problemach bieżących. A co z przyszłością? O ile firma w ogóle ma jakąkolwiek przyszłość.

Skończyła pić kawę i poszła na górę wziąć prysznic i ubrać się.

Później, wjeżdżając na parking otaczający lokalny supermarket, Davina pomyślała, że mimo ostrzeżeń zwolenników ochrony środowiska dotyczących zgubnego wpływu eksploatacji samochodów na ludzkie zdrowie i życie, a nawet mimo faktu, że jeżdżenie samochodami staje się coraz bardziej stresujące i niebezpieczne, ludzie, nie wyłączając jej samej, ignorują wszelkie tego rodzaju sygnały dla jednej wielkiej korzyści, która przewyższa wszystkie niedogodności.

Która kobieta, zaznawszy niewygodny taszczenia ciężkich zakupów i transportowania ich środkami lokomocji miejskiej, często z małymi dziećmi u boku, dobrowolnie powróci do czegoś, co w najlepszym wypadku może się wydać przykrym i uciążliwym obowiązkiem?

Nic więc dziwnego, że parking był pełny. Pomyślała, że dopóki ktoś nie wymyśli jakiejś rozsądnej alternatywy samochodu, parkingi dalej będą przepełnione.

Lata życia najpierw z ojcem, a później z Gregorem nauczyły Davinę oszczędności w zakupach, ale ostatnio, będąc sama, zdradzała coraz mniejszy zapal do gotowania. Lubiła niewyszukane jedzenie - owoce, chrupki chleb, sery czy makaron - a nie ciężkie dania, jak mięso z kartoflami i jarzynami, na które zawsze nalegał ojciec.

Robiła zakupy szybko, metodycznie, mając głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Przy kasach było tłoczno i Davina westchnęła wiedząc, że obojętnie, którą kolejkę wybierze, będzie źle. Ale raz wreszcie miała chyba szczęście. Dziewczyna przy kasie okazała się szybka, sprawna, a do tego jeszcze przyjemna. Davina zauważyła, z jakim miłym uśmiechem obsługuje klientów.

Miała właśnie wyładowywać swoje zakupy, kiedy spostrzegła, że stojąca za nią kobieta ma niewiele w wózku i że nerwowo zerka na zegarek.

Podjeżdżając, że pada ofiarą świadomej manipulacji, puściła ją przed siebie. Niechętnie ustępując kobiecie miejsca, zauważyła w sąsiedniej kolejce mężczyznę.

Serce skoczyło jej w piersi, kiedy poznała w nim tamtego nieznanego. Co z tego, że wtedy

było ciemno, a teraz jest ostre neonowe oświetlenie? Davina poznała go nie tyle wzrokiem, co wszystkimi zmysłami. Nie patrzył na nią; rozmawiał z towarzyszącą mu dziewczynką. Czyżby to była córka? Musieli być sobie bliscy, bo mała opierała się o niego z ufnością i wyraźnym przywiązaniem.

Przyglądając się im Davinę ogarnęło dziwne uczucie. Kiedyś, dawno temu, kiedy była młoda i naiwna, marzyła o dzieciach. Już wiele lat temu pogodziła się z myślą, że Gregory byłby ostatnim człowiekiem, jakiego wybrałaby swojemu dziecku na ojca i że los, odmawiając jej potomstwa, okazał się w stosunku do niej raczej wspaniałomyślny niż okrutny.

Ale nagle, na widok tego mężczyzny z tą małą... ogarnęło ją uczucie nie tyle może straty, co żalu, niemal niechęci, dając o sobie znać bez mała fizycznym bólem.

Odwróciła się gwałtownie, nie chcąc więcej na to patrzeć, i zajęła się wykładaniem swoich zakupów na ladę przy kasie.

Dopiero kiedy znalazła się w domu, już nieco spokojniejsza, zadała sobie pytanie, dlaczego ten mężczyzna, człowiek zupełnie obcy, wywołał w niej tak wrogą reakcję. Przecież nie dlatego tylko, że przez chwilę poczuła się wobec niego całkowicie bezbronna.

A może dlatego, że z jakichś nieznanych przyczyn przypomniawszy jej Matta, czy też że ten krótki kontakt fizyczny obudził tamte wspomnienia?

Uznała, że takie analizowanie własnych uczuć mija się z celem.

Ma jeszcze masę roboty i dostatecznie dużo bardzo konkretnych problemów, żeby nie zawracać sobie głowy wymagowanymi.

- Dokąd idziemy, wujku?

Czoło Saula wygładziło się, kiedy spojrzał w pełną oczekiwania twarz Cathy. Było w niej zawsze coś promiennego, jakieś ciepło i niewinność, właściwe tym, którzy szczerze kochali innych, dostrzegając w nich dobro, a nigdy zło.

Chowając zakupy do bagażnika samochodu, Saul nie mógł się oprzeć porównaniu otwartej życzliwości swojej siostrzenicy z cyniczną interesownością własnych dzieci, w szczególności Josephine.

To prawda, że jego córka była starsza i wiedziała już co nieco o stylu życia kładącym nacisk na materializm, ale skąd u takiego dziecka cynizm i głęboka pogarda, nie tylko wobec niego - właściwie wobec wszystkich dokoła? Czyżby on tu zawinił? Nie przez zły przykład, naturalnie, bo za mało spędzał czasu ze swymi dziećmi, ale przez zaniedbanie.

Christie stale mu powtarzała, że jest im potrzebny, choć same dzieci nie podzielałyby z pewnością tej opinii. Nigdy nie powinien być mieć dzieci z Karen, pomyślał mściwie. Nie mieli wystarczających kwalifikacji, by zostać rodzicami. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pozostali

bezdzielni - jak Davina James i jej mąż.

Davina James! Był zaskoczony widząc ją dzisiaj w supermarkecie, ubraną niedbale w dzinsy i bawełnianą koszulę i starannie, metodycznie wybierającą produkty, które następnie szybkimi, opanowanymi ruchami wkładała do wózka, od czasu do czasu odrzucając kosmyk włosów opadający jej na oczy i przesłaniający pole widzenia. Ten gest zdradzał jej kobiecą bezbronność, przywodząc na myśl Cathy. Saul zmarszczył czoło. Był zły na siebie za te myśli.

Jeśli chodzi o Davinę, znaczenie miały dla niego tylko jej związki z firmą Carey i fakt, że była jej głównym udziałowcem.

Nagle uświadomił sobie, że nie odpowiedział Cathy na pytanie.

- Nie wiem, możemy iść gdzieś na lunch, jeśli masz ochotę.

Cathy energicznie skinęła głową. Jadąc przez miasto Saul dostrzegł rodzinną restaurację połączoną z pubem, należącą do sieci znanej w całym kraju. Mała entuzjastycznie przyjęła propozycję, żeby się tam zatrzymać.

Wewnątrz było sporo ludzi, głównie rodzin, ale wkrótce uśmiechnięta kelnerka zaprowadziła ich do stolika.

Saul z trudem ukrył rozbawienie na widok dorosłej miny, jaką zrobiła Cathy, kiedy jej wręczono kartę. Jedno spojrzenie na menu upewniło go, że jego siostra ma inny pogląd na to, co zdrowe i pożywne, ale szybko uspokoił sumienie tłumacząc sobie, że to tylko jednorazowy wyskok.

Przy sąsiednim stoliku siedziała para z dwójką chłopców w wieku niewiele ponad dziesięć lat. Na ich talerzach widniały kopce smażonej ryby z frytkami, które Cathy dosłownie pożerała wzrokiem. Saul skrzywił się. W jadłospisie nie było nic, na co miałby rzeczywiście ochotę, zaczął coś jednak zamawiać, kiedy nagle uwagę jego zwrócił szorstki głos kobiety przy sąsiednim stoliku, która mówiła do swojego męża:

- Mówię ci, Bert, dosłownie szlag mnie trafia, jak sobie pomyślę, że wszyscy doskonale wiedzą w Carey Chemicals, co powoduje u tych dziewczyn wysypkę, ale palcem nawet nie kiwną, żeby coś zrobić. Co ich obchodzi ci, którzy na nich pracują...

- Oj, ciągle tylko Carey i Carey. Daj spokój, kochanie, nie jesteś w pracy - odparł mąż, najwyraźniej zirytowany i znudzony powtarzaniem w kółko żalami żony. - Jesteś przedstawicielką załogi i do ciebie należy zrobienie czegoś, co by ich zmusiło do podjęcia jakichś kroków. Nie masz co się przede mną wyzalać, ja tam nawet nie pracuję.

- I całe szczęście. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce zostaniemy bez pracy.

- Tak wam powiedziała?

Kobieta potrząsnęła głową, usiłując przełknąć to, co miała w ustach.



Tymczasem kelner postawił talerz przed Saulem, który jednak tak był pochłonięty przysłuchiwaniem się rozmowie, że ledwie udawał zainteresowanie jedzeniem.

- Nie, najwyraźniej liczy na to, że ktoś ją wykupi... przynajmniej tak mówią, chociaż ona się do tego nie przyznaje. W każdym razie jedno jest pewne - że więcej się nami interesuje niż ten jej mężulek. Nigdy go nie widziałam w pakowalni czy na taśmie, chyba że mu wpadła w oko jakaś dziewczyna. To był lepszy numer. Tylko jedno miał w głowie. Podobno tego wieczoru, kiedy zginął, też był z jakąś. Nic dziwnego, że Davina zadała się z Gilesem.

Mąż kobiety odłożył widelec.

- Co ty powiesz! Ona nie jest w moim typie i nawet się dziwię, że Giles, mając taką żonę...

- Bert - ostrzegła go kobieta, patrząc na niego porozumiewawczo i jednocześnie zerkając na chłopców, którzy nie zwracali najmniejszej uwagi na rozmowę rodziców.

- Nic się nie bój, jestem najzupełniej zadowolony z tego, co mam - powiedział Bert z uśmiechem i z cizy, jaka zapanowała, oraz ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli, Saul wywnioskował, że ręka, którą mężczyzna wsunął pod stół, nie powędrowała tam w celach zupełnie niewinnych.

A więc Davina James ma romans z Gilesem Redwoodem.

Odsunął prawie nie ruszone danie, wywołując zdziwienie na buzi Cathy.

Para przy sąsiednim stoliku skończyła jedzenie i właśnie zachęcała dzieci, żeby się pospieszyły. Kobieta była niewysoka, z wyglądu energiczna, o czarnych, gęstych włosach, mężczyzna wyższy, spokojniejszy. Saul zauważył, jak jeszcze przed wyjściem dłoń mężczyzny spoczęła na biodrze żony. Karen zareagowała na ich zachowanie pogardliwym wzruszeniem ramion albo uszczypliwą uwagą; Saul uświadomił sobie, że im zazdrości.

Ci ludzie byli najzwyczajszą parą małżeńską, przeciętną rodziną, jakich wiele, z pewnością ani zamożną, ani wykształconą, ale mieli coś, czego on w swoim małżeństwie nie miał nigdy: bliskość nie tylko wzajemną, ale i z dziećmi, rodzinną więź, której on i Karen nigdy nie zaznali. I której on nigdy nie zazna?

Otrząsnął się z tych ciężkich myśli czekając, aż Cathy skończy lody z polewą czekoladową. Zaprzyjaźniony lekarz powiedział mu, że zmorą współczesnych mężczyzn i kobiet jest nadmierna introspekcja i rozczulanie się nad sobą. Jego największą wadą było coś przeciwnego: odcinanie się od takich myśli.

Czy dlatego, że nie chciał dostrzec prawdziwego siebie w cieniu, jaki ojciec rzucił na jego życie?

- Już skończyłam, wujku.

Resztę dnia Saul spędził na przeglądaniu papierów, które ze sobą przywiózł, uzupełniając je informacjami, jakie zebrał od chwili swego przyjazdu do Cheshire.

Zadzwoiła Christie, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku. Robiła wrażenie zaafekowanej i jakiejś dalekiej, może nawet nieco rozdrażnionej, ale Saul złożył to na karb zwykłych napięć, nieuniknionych przy okazji takich konferencji.

Jego następnym posunięciem miało być skontaktowanie się z prezesem lokalnej filii banku, który obsługiwał firmę Carey, i przekonanie go do swojego - czy może raczej Alexa - stanowiska.

Nie powinno to być szczególnie trudne, jako że firma była w banku poważnie zadłużona i nie ulegało wątpliwości, że cały ciężar finansowy bank chętnie przerzuci na ewentualnego nabywcę.

Gregory James, ustalając warunki kredytu, bardzo sprytnie uniknął udzielenia bankowi jakichkolwiek gwarancji osobistych, co przy tak niskiej wycenie firmy, nawet gdyby została zmuszona do bankructwa i zlicytowania, mogłoby przynieść bankowi zwrot co najwyżej połowy należności.

Tak, najprawdopodobniej prezes banku przyjmie go z otwartymi ramionami i zrobi wszystko, żeby przekonać Davinę James do sprzedania firmy.

Saul zmarszczył brwi i bębnił palcami po stole. Davina James nie jest kobietą interesu; musiała prosić Gilesa Redwooda, żeby został i poprowadził za nią przedsiębiorstwo.

Sypiała z nim? Czy może była to tylko dla nich obojga premia? A może mieli ten romans, zanim jeszcze Gregory James zginął? I w jakim stopniu fakt, że tych dwoje ze sobą sypia, mógłby wpłynąć na jego ocenę sytuacji?

Gdyby Davina, w świetle tego romansu, rzeczywiście okazała się uparta, to próby przekupienia Gilesa, żeby odszedł, mogłyby się nie powieść. Wszystko zależy od tego, które z nich jest bardziej zaangażowane. To chyba jasne, że Davina, samotna kobieta, bez poczucia bezpieczeństwa, latami otwarcie zdradzana przez męża...

Zmarszczył czoło; irytowało go to, że Davina nie chce tak łatwo wskoczyć w przegródkę, którą dla niej przeznaczył. Zbyt wiele było w tym wszystkim sprzecznych elementów, zbyt wiele rzeczy, które do siebie nie pasowały. A zresztą, co go to obchodzi, dlaczego miałby jej poświęcać tyle uwagi? Trzydziestosiedmioletnia wdowa, zmuszona po śmierci męża zająć jego stanowisko, nie mająca zielonego pojęcia o sprawach firmy, której była głównym udziałowcem, ani młoda, ani ładna, ani nawet szczególnie inteligentna. Dlaczego więc myśl o niej uwiera go jak kamyk w dobrze dopasowanym bucie?

Odsunął od siebie te konstatacje, tak jak od lat nie przyjmował do wiadomości, że

odgrywa w życiu rolę przeznaczoną dla kogoś innego. Że wybory, jakich dokonuje, i cele, po jakie sięga, nie są jego wyborami i celami. Że prawdziwym motywem jego działań była nie chęć osiągnięcia sukcesu finansowego, tylko zyskanie aprobaty i miłości ojca.

Ale dlaczego przyznanie się do tego tak go we własnych oczach poniża? Dlaczego czuje się z tego powodu słaby, przestraszony, zły?

Bo to nie honor, będąc mężczyzną, przyznawać się do potrzeby aprobaty, zwłaszcza rodzica...

Spojrzał na Cathy, która siedziała pochylona nad książką. Nie musi pytać, czy Cathy czuje się bezpieczna i kochana. To widać. A jego dzieci? Czy chciałby, żeby jego syn i córka, tak jak i on, tracili życie na poszukiwanie czegoś, co należy się każdemu dziecku z racji urodzenia? I jaki z niego ojciec, skoro im takiej potrzeby odmawia, a może nawet jej nie dostrzega?

Poruszył się niespokojnie. Karen ma rację. Jego dzieci go nie potrzebują, nie potrzebują i nie chcą jego miłości. Aż nazbyt często dawały mu to odczuć.

A jeśli jest inaczej? Jeśli pod pozorami obojętności, cynizmu i pogardy kryje się potrzeba aprobaty ojca, jego uwagi i akceptacji, tak jak było z nim i jego ojcem?

Saul poczuł, że pieką go oczy. Podniósł rękę, żeby je przetrzeć i pozbyć się w ten sposób znużenia, ale uświadomił sobie nagle, że to nie znużenie, tylko łzy.

Łzy. Czy płacze nad dziećmi, czy nad sobą?

Potrzebny mi jest czas na przemyślenie tego wszystkiego, powiedział sobie ze znużeniem. Nie może pozwolić, żeby kierowały nim emocje. Zanim się zajmie swoimi osobistymi sprawami, musi załatwić sprawę wykupienia przez sir Alexa Carey Chemicals. Przy lekkiej presji banku na Davinę James z pewnością nie zabierze mu to zbyt wiele czasu.

Davina James.

Gdzie ona może teraz być? Z kochankiem? I do tego cudzym mężem, jak się dowiedział. Dziwne - miał ją za inny typ kobiety. A zresztą co znaczy „typ” i czy w ogóle musi być jakikolwiek „typ”? Jak wynikało z jego własnej obserwacji związków heteroseksualnych, istniały dwie główne przyczyny ich rozpadu, obie mające wiele wspólnego z problemem władzy i dominacji. A w większości związków owa dominacja wywodziła się z dwóch źródeł - pieniędzy i seksu. W przeszłości, generalnie rzecz biorąc, przy mężczyźnie były pieniądze, seksem rządziła kobieta. Bardzo szybko, jak we wszystkich transakcjach, w które się ludzie angażowali, jedno zaczęło handlować z drugim, żeby zdobyć to, na czym mu najbardziej zależało. Równie szybko jedna, a może nawet obie strony doszły do wniosku, że żadna z tych wartości, o ile nie jest wspólna, nie jest warta posiadania, że zamiast być dobrem, staje się jedynie narzędziem walki.

Saul z niesmakiem przypomniał sobie pewnego amerykańskiego klienta, który wyraził w

jego obecności pogląd, dość szeroko, jak się później zorientował, reprezentowany przez mężczyzn.

- Moje życie seksualne jest bardzo dobre: za każdy numer płacę jej sto dolarów. W ten sposób oboje mamy to, czego chcemy, a dla mnie wynika z tego jeszcze dodatkowa korzyść: za każdym razem, kiedy ona kupuje sobie nowe ciuchy, myślę, że w jakiś sposób zapłaciliśmy za nie oboje.

Naturalnie trzeba dwojga, żeby tak zdegradować swój związek, ale patrząc na swoje małżeństwo z perspektywy czasu Saul doszedł do wniosku, że byli z Karen tego bliscy.

Czy to dlatego Davina James pozostała przy swoim mężu? Dla pieniędzy? Zmarszczył czoło. Po jakiego licha jeszcze ją miesza w te swoje dywagacje? A poza tym, uświadomił sobie z irytacją, to przecież ona miała pieniądze. Już jej ojciec tego dopilnował. Fakt, że to on prowadził przedsiębiorstwo, ale prawdziwą władzę miała ona. To musiało bardzo denerwować jej męża.

Władza... właśnie, wszystko się w końcu zawiera w tym jednym słowie.

Lucy starannie obejrzała w lusterku swoją nienagannie umalowaną twarz w poszukiwaniu śladów łez. W dalszym ciągu miała lekko podpuchnięte i zaczerwienione oczy, ale Giles nie powinien tego zauważyć.

Musisz stawić temu czoło, pomyślała z goryczą. Giles nawet nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi, gdyby po powrocie do domu zastał mnie rozebraną na podłodze salonu, z innym facetem.

Zacisnęła powieki, powstrzymując w ten sposób łzy, które mogłyby zniszczyć świeży makijaż. Były to jednak łzy nie rozpaczy, lecz wściekłości. Poprzedniego dnia Giles znów wrócił późno. I do tego pijany. No, może nie dosłownie pijany, ale z pewnością coś pił, i to nie sam, chociaż zaprzeczył gwałtownie, kiedy mu zarzuciła, że był z Daviną.

Kiedy wrócił, siedziała właśnie w salonie, udając pogrążoną w lekturze jakiegoś pisma. Zawahał się na moment w drzwiach, jakby był zaskoczony tym, że ją tu zastał. Jakby wołał, żeby jej tu nie było?

Podszedł i pochylił się nad nią niezręcznie, usiłując ją pocałować w czoło, co mu się zresztą nie udało, a potem chciał ją objąć. Był to pierwszy raz, kiedy próbował się do niej zbliżyć, od tygodni... od miesięcy. Odepchnęła go, zła i rozgoryczona, że stać go na to jedynie wtedy, kiedy jest wystarczająco pijany, żeby zapomnieć, z kim ma do czynienia, kiedy alkohol znieczuli go na tyle, by zagłuszyć świadomość, że to nie jej pragnie.

Ku jej irytacji nie chciał jej puścić i dziś jeszcze miała na rękach siniaki w miejscach, gdzie ją trzymał.

Giles nigdy nie był brutalny, nie był nawet szorstki, ale wczoraj wieczorem... Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak ją trzymał, jak ją całował, usiłując wymóc na niej jakąś reakcję.

- Nie dotykaj mnie - syknęła, kiedy wreszcie zdołała go odepchnąć. - Nie jestem Daviną. Ona...

- Nie, masz rację, nie jesteś - przerwał jej ponuro. - Bo ona jest prawdziwą kobietą, nie jakąś imitacją. Ona nie udaje miłości.

To oskarżenie, tym boleśniesz, że Lucy wyczuwała w nim szczere przekonanie, doprowadziło ją do ataku szału, w którym, miotając obelgę za obelgą, zarzucała Gilesowi, że jest nic niewart jako kochanek, jako mąż i organizator ich wspólnego życia i zapewniając, że jeśli o nią chodzi, może sobie iść do Daviny i więcej nie wracać.

- Jesteście sobie warci - wrzeszczała. - Oboje do niczego w łóżku, kompletnie bezpłciowe istoty!

To właśnie wtedy Giles porwał ją, całkowicie zaskakując szybkością swojego ataku. To, co nastąpiło później, żałosna, brutalna scena, nie miało nic wspólnego z czułością, jaka cechowała kiedyś ich wzajemne stosunki. W pewnej chwili jednak jej spragnione ciało poddało się jego gwałtownemu pożądaniu.

Jeszcze rano czuła ból siniaków przypominający jej o znacznie silniejszym bólu, jaki nosiła w sercu.

Po tym wszystkim, drżąc jeszcze po przeżytym szoku, oskarżyła go, że ją zgwałcił, uświadamiając mu, że mężczyzna nie ma prawa seksualnie wykorzystywać żony.

Na jeden moment wyraz cierpienia w jego oczach sprawił, że się zawahała, że chciała otworzyć przed nim ramiona i przeprosić go za wszystkie prowokacje, za to, że go straciła, że straciła ich wspólne dziecko, ale jego wzrok stał się twardy oraz zimny i znów wzięła w niej górę uraza i złość.

- Idź do Daviny, jeśli ci tak na niej zależy - wykrzyknęła mu w twarz. - Wynoś się do niej, bo ja już mam ciebie powyżej uszu. Idź, gwałć ją, zobaczymy, jak jej się to będzie podobało.

Słyszała, jak wypada z domu, jak zapala silnik samochodu i jak odjeżdża. Noc spędziła z szeroko otwartymi oczami, odliczając godziny i siłą powstrzymując się przed wykręceniem numeru Daviny. Nie miała wątpliwości, że do niej pojechał. Bo niby dokąd miałby jechać? Davina go z pewnością pocieszy, okaże współczucie, Davina, która nigdy żadnego mężczyzny nie doprowadziła do szaleństwa, do brutalnego zachowania, Davina, idealna żona... idealna kobieta, przynajmniej dla Gilesa.

Kiedy zadzwonił telefon, Davina stała pod prysznicem. Prawie całe popołudnie spędziła w ogrodzie. Poza wykonaniem niezbędnych prac, był to dla niej sposób na zebranie myśli i psychiczne odprężenie. Od klęczenia przy pieleniu była obolała i teraz czekała, aż ten ktoś, kto dzwoni, zniechęci się i da za wygraną. Ponieważ jednak dzwonienie nie ustawało, odłożyła gąbkę i

sięgnęła po ręcznik.

- Davina? Nareszcie! Davino, muszę się koniecznie z tobą zobaczyć... teraz.

Davina stężała, słysząc w głosie Gilesa rozpacz. Odniosła wrażenie, że pił, chociaż o tej porze i u takiego abstynenta jak on było to mało prawdopodobne. Mówił jednak dość bełkotliwie, a na domiar złego w tle pochwyciła jakieś głosy i muzykę.

- Gdzie jesteś, Giles? - spytała.

- W motelu, tym przy autostradzie. Spędziłem tu ostatnią noc. Koniec, Davino, koniec z moim małżeństwem. Nie mogę...

- Posłuchaj mnie, Giles. Poczekaj tam na mnie, zaraz po ciebie przyjadę. Nie wsiadaj do samochodu - ostrzegła go, kiedy zaczął protestować. Podejrzewała, że Giles się nie nadaje do prowadzenia auta.

W dziesięć minut wytarła się i ubrała. Nie traciła czasu na makijaż, po prostu przeciągnęła grzebieniem po wilgotnych włosach i wsiadła do samochodu.

Droga do motelu zajęła jej jakieś piętnaście minut. Giles czekał na nią w recepcji. Miał przekrwione oczy i wyglądał tak niechlujnie i niepodobnie do siebie, że poczuła dla niego niemal matczyne współczucie.

Nie zauważył, jak wchodziła, i kiedy podeszła do niego i delikatnie dotknęła jego ramienia, odwrócił się gwałtownie i rozpromienił z radości na jej widok.

- Davina. - Zrobił taki ruch, jakby chciał wziąć ją w ramiona, ale Davina cofnęła się instynktownie, czego zaraz, widząc jego pełne smutku oczy, pożałowała. - Przepraszam. .. - mruknął speszony - ja...

- Nic nie szkodzi, Giles. Chodź, idziemy. Zwolniłeś już pokój?

Naturalnie, zapomniał o tym drobiazgu, i kiedy Davina to za niego robiła, cały czas stał za nią jak człowiek dotknięty jakimś wielkim nieszczęściem.

Otworzyła okna w samochodzie i kiedy przyjechali do niej, wydawał się już trochę trzeźwiejszy, chociaż był blady i napięty.

- Co się stało? - spytała, kiedy znaleźli się w domu i zrobiła mu kawę. Siedzieli w saloniku i niechlujny wygląd Gilesa raził jeszcze bardziej na tle eleganckiego, nieskazitelnego wnętrza.

Giles oparł się wygodnie i zamknął oczy. Davina patrzyła, jak z trudem przełyka kawę i jak jego jabłko Adama porusza się powoli. Był nie ogolony i kiedy Davina przysunęła się bliżej, stwierdziła, że czuć od niego potem. Normalnie, jeśli nie wywołałoby to w niej niesmaku, to w każdym razie z pewnością nie podziałałoby podniecająco na zmysły. Z Mattem zaznała wszelkich możliwych zmysłowych przyjemności wynikających z intymnych kontaktów, zwłaszcza tych

bardzo szczególnych, związanych z zapachem kochanka, ale Giles nie był jej kochankiem i teraz, na widok jego zaniedbania, ogarnęło ją współczucie i niemal macierzyńska troska.

Dotknęła jego ręki i zmarszczyła czoło, widząc, jak sztywnieje, cofa się i otwiera oczy, w których jest cierpienie.

- O Boże, Davino, zrobiłem coś strasznego. Ale nie mogłem się powstrzymać. Ona... ona mnie tak upokorzyła, byłem taki zły...

Serce skoczyło jej do gardła, wzdrgnęła się. Chciała zamknąć mu usta, żeby już nic więcej nie mówił, żeby nie czynił jej współniczką tego, co się stało.

Ale dlaczego? Czyż mimo wszystko nie była winna?

Pokonując w sobie instynktowną chęć ucieczki, powiedziała cicho:

- Powiedz mi, Giles, powiedz, co się stało.

Miał oczy szeroko otwarte, ale jak gdyby jej nie widział, jakby patrzył obok niej... przez nią.

- To się stało wczoraj. Chciałem... chciałem przyjść do ciebie, ale... nie mogłem iść do domu, w każdym razie nie tak od razu. Więc poszedłem do tego pubu, po prostu na parę drinków... żeby zebrać myśli, ale potem, jak przyszedłem do domu, Lucy na mnie czekała. I pokłóciliśmy się.

- Wykrzywił usta. - Nic nowego. Ostatnio ciągle się to zdarza.

Ale... ja tylko chciałem, żeby ona przestała mówić te okropne rzeczy. Nie miałem zamiaru... - Giles jęknął, zakrywając dłońmi twarz. - Nie wiem, co mnie naszło. Bo... bo to już trwało tak długo, a ona... Jaja zgwałciłem, Davino - wyjąkał z trudem. - Zgwałciłem swoją własną żonę. Chciałem sobie potem odebrać życie. Nigdy taki nie byłem. Nigdy przedtem, o Boże... Nic dziwnego, że ona chce się ze mną rozwieść. Powiedz coś wreszcie, nawet jeśli uważasz, że powinienem sobie palnąć w łeb...

Davina uśmiechnęła się smutno.

- Nie, wcale tak nie uważam.

- Ale widzę, że jesteś wstrząśnięta, pełna niesmaku.

Westchnęła głęboko. Owszem, była wstrząśnięta i rzeczywiście nie spodziewała się po Gilesie takiego zachowania, nie podzielała też poglądu, że są kobiety, które świadomie prowokują męską brutalność, ale kiedy patrzyła, jak Giles siedzi w jej fotelu, załamany i pełen poczucia winy, odczuwała nie tyle niesmak, ile głębokie współczucie dla nich obojga, może nawet bardziej dla Lucy. Niepewnie wyciągnęła rękę, ale zatrzymała ją w pół drogi, widząc, jak Giles cofa się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie, na miłość boską. Nie powinienem tu nawet siedzieć i zawracać ci głowy swoimi sprawami.

- Przecież możesz iść do domu - odpowiedziała spokojnie - i porozmawiać z Lucy. Spróbować...

- Iść do domu... Podejrzewam, że tam już czeka na mnie cały oddział policji lokalnej, postawiony przez nią na nogi. W dzisiejszych czasach zgwałcić własną żonę to zbrodnia. O Boże, nigdy nie myślałem, że do czegoś podobnego dojdzie. Ja tylko chciałem... Nie przypuszczałem, że stracę panowanie. Jaja tak kochałem, Davino. Była dla mnie wszystkim, ale od śmierci Nicholasa odwróciła się ode mnie. Obarcza mnie winą za to, co się stało... Za ciężę, za wszystko... Próbowałem to przeczekać, być cierpliwy, wyrozumiały... Nigdy nie chciałem, żeby stało się coś takiego jak wczoraj.

Giles zerwał się nagle i odwrócił do niej tyłem, ale Davina zdążyła dostrzec w jego oczach łzy. Wstała, podeszła do niego i, wiedzona zwykłym kobiecym odruchem niesienia pomocy i pocieszenia, przygarnęła go do siebie.

Początkowo opierał się jej, napięty i nieszczęśliwy, ale potem nagle, rozedrgany, zaczął ją tulić. Czowała jego łzy i ciężar głowy na swoim ramieniu.

- O Boże, Davino, jak możesz po tym, co zrobiłem, zbliżać się do mnie.

- Ciii... ciii... wszystko będzie dobrze - pocieszała go, jak mogła.

- Davina.

Poczuła dotyk jego ust, delikatną pieszczotę, która przywiodła jej na myśl inne czasy i innego mężczyznę.

- Davino... - Tym razem jej imię zabrzmiało bardziej zmysłowo, a nacisk ust stał się mocniejszy. Poczuła na piersi jego dłoń i uświadomiła sobie, o ile męska ręka jest większa od kobiecej, jak łatwo może pomieścić całą pierś...

To nie była jego wina, ani nawet jej, pocieszała się potem. Po prostu ciało Daviny, wyposzczone i zbyt długo pozbawione naturalnego ujścia dla zwykłych seksualnych napięć, spontanicznie odpowiedziało na to zbliżenie. Ostatecznie lubiła Gilesa, czuła się przy nim bezpieczna i bez względu na to, co zaszło poprzedniego dnia pomiędzy nim a Lucy, nie obawiała się z jego strony żadnej brutalności. Jego dotyk był raczej nieśmiały i pełen wahania niż władczy i zachłanny. Być może dlatego właśnie poddała mu się, dlatego oboje zapomnieli o bożym świecie...

To jasne, że przywołując do siebie Gilesa nie myślała o kochaniu się z nim ani w ogóle z kimkolwiek innym, ale teraz, kiedy poczuła na piersi jego dłoń i widome oznaki jego fizycznego podniecenia, jego gorące wargi w ich erotycznej wędrówce po jej szyi, delikatne znamienne drżenie własnego ciała, zamiast odsunąć się, Ignęła do niego coraz mocniej.

Całował ją lekko, delikatnie, przedłużając każdy pocałunek, tak że czuła w jego oddechu whisky, od której jej samej zakręciło się w głowie.



Przesunęła ręką wzdłuż jego ramienia i sięgając aż do karku przyciągnęła jego głowę, a następnie, igrając palcami we włosach Gilesa, poczuła jakby spazm, który wstrząsnął jego ciałem.

- Davina...Davina...

Jego pieszczoty stały się teraz bardziej natarczywe - jedną ręką wiodł wzdłuż jej pleców, jednocześnie coraz bliżej ją do siebie przyciągając, drugą zaś, która spoczywała na jej biodrze, próbował ściągnąć z niej spódnicę.

Nie był tak sprawnym kochankiem jak Matt, ale Davinę ogarnęła fala podniecenia. Może dlatego, że była starsza i bardziej doświadczona, pewna niezręczność Gilesa, zamiast ją drażnić, wzbudziła w niej czułość i współczucie.

Ujęła go za rękę i położyła ją sobie z powrotem na piersi, mrużąc cicho czułe słowa.

Nagle jak żywy stanął jej przed oczami Matt. Pod wpływem tego żywego wspomnienia Davina wygięła się do tyłu, gotowa przyjąć w siebie niecierpliwie szarpiącego guzik jej spódnicy Gilesa. Miała mu właśnie pomóc, kiedy nagle usłyszała dzwonek u drzwi.

- Lucy! - Ciężko dysząc, odskoczył od niej jak oparzony. - Na miłość boską, Davino, nie otwieraj.

- Muszę - odparła. - Nie możemy jej zostawić za drzwiami.

Lucy była jej przyjaciółką i w Davinie walczyło poczucie winy z poczuciem kobiecej solidarności, ze świadomością, jak ona by się czuła w podobnej sytuacji. Nie mogła przecież upokorzyć Lucy ignorując jej obecność, odmawiając jej prawa do udziału w tym, co się działo.

Spiesznie zapinając bluzkę, poszła otworzyć drzwi, świadoma tego, że nie tylko jej oczy, ale cała postać świadczy o winie. Nigdy w życiu nie chciałaby zniszczyć komukolwiek małżeństwa, a już szczególnie komuś bliskiemu, z tym większym więc poczuciem winy myślała, że to przecież nie była miłość do Gilesa, tylko zwykłe pożądanie.

Otwierając drzwi, była już w pełni przygotowana na przeprosiny i wyjaśnienia, okazały się one jednak zbędne, ponieważ to nie Lucy stała za progiem.

Po jej osłupiałym spojrzeniu Saul natychmiast odgadł, że przyszedł nie w porę. Jej zaczerwieniona twarz, napięcie i widoczne w oczach poczucie winy zdradziłyby ją z pewnością nawet przed mniej bystrym obserwatorem. Na widok wyraźnych oznak jej podniecenia Saul pomyślał przewrotnie, w jakim momencie im przerwał. Najwyraźniej ledwie zdążyła włożyć bluzkę. Dwa guziki były źle zapięte...

- Davino... Lucy...

Saul przeniósł wzrok na Gilesa, który właśnie ukazał się w drzwiach. Z pogardą spojrzął na jego nie ogoloną twarz. Z pewnością wspólnie spędzili noc, chociaż, sądząc z ich różnego wyglądu, Davina wcześniej musiała się pozbierać po miłosnych igraszkach, skoro zdążyła jeszcze zrobić

zakupy w supermarkecie.

- Zdaje się, że przyszedłem nie w porę - powiedział z ironią Saul. Dopiero pod wpływem jego spojrzenia Davina zorientowała się, że ma krzywo zapiętą i nie do końca wetkniętą w spódnicę bluzkę. Zaczerwieniła się ze wstydu i z irytacją pomyślała, że mimo wszystko w tej sytuacji żałuje, że to jednak nie Lucy.

Kim był ten mężczyzna, który stał przed jej drzwiami i mierzył ją pogardliwym spojrzeniem swoich chłodnych, niebieskich oczu? Tym jednym spojrzeniem powiedział jej, że wie dobrze, w jak niefortunnej chwili przyszedł. Przez jeden straszliwy moment wydało jej się, że gość widzi, jak Giles próbuje rozpiąć jej bluzkę, że widzi jej myśli - wspomnienie męskiej głowy na jej piersi, ust na jej ustach...

Przejął ją dreszcz obrzydzenia. Zrobiła krok do przodu, żeby zapytać mężczyznę, czego sobie życzy, ale on już zdążył się odwrócić i właśnie szedł do samochodu.

- Co to za facet, do diabła? - zapytał Giles, patrząc za odjeżdżającym.

Davina potrząsnęła głową.

- Nie wiem. - Zmarszczyła czoło. Ciekawe, co tego nieznanego przywiodło do jej drzwi. Przypadek? Czy... czy może coś innego?

Pożądanie, które odczuwała wcześniej, gdzieś uleciało. Ustąpiło miejsca niesmakowi. A gdyby to rzeczywiście była Lucy? Lucy, jej przyjaciółka, miała wszelkie prawo oczekiwać lojalności ze strony Daviny.

Giles patrzył na nią, wyraźnie speszony.

- Chyba... chyba zrobię jeszcze kawy, a potem odwiozę cię do motelu, żebyś mógł wziąć swój samochód - zaproponowała.

- Czy mogę tu z tobą wrócić? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Och, Giles... Lucy jest moją przyjaciółką.

- Ale ona mnie nie chce - powtórzył. - Sama mi to powiedziała. Domaga się rozwodu. A zresztą, Davino, przecież ja cię kocham...

Ponownie potrząsnęła głową, usiłując uporządkować myśli.

- To wszystko dzieje się za szybko, Giles. Ja po prostu nie mogę...

- Chcesz, żebym wrócił do domu, do Lucy, tak? Do żony? - zapytał z goryczą. - I żebym spał z nią, kiedy tak naprawdę mam ochotę spać z tobą?

Davina skrzywiła się, słysząc w jego głosie narastające podniecenie.

- Muszę mieć czas do zastanowienia, Giles - powiedziała z poczuciem winy.

- W porządku, jadę do motelu. Nie wracam do Lucy, Davino. Nie mogę - oświadczył bezbarwnym głosem.

Kiedy umilkły oklaski, Christie spokojnie wróciła na miejsce, gdzie siedzieli inni prelegenci.

- Była pani wspaniała - pochwalił ją najbliższy sąsiad. - To im rzeczywiście da do myślenia. A przy odrobinie szczęścia sprawa trafi na pierwsze strony dzienników. Niczego tak nie lubią, jak połączenia kontrowersyjnego problemu i ładnej kobiety.

Christie skwitowała komplement uśmiechem, całą uwagę skupiła jednak na słuchaczach. Nie była to naturalnie główna sala konferencyjna; tego typu problemy, jakimi zajmowała się Christie, a więc drażliwe i sporne zagadnienia medycyny alternatywnej, zostały zepchnięte do starej misyjnej sali położonej na przedmieściu, z dala od głównego centrum konferencyjnego, ale mimo to frekwencja wyjątkowo dopisała.

Nie było to pierwsze publiczne wystąpienie Christie; poruszyła temat wyjątkowo sobie bliski, a mówić potrafiła, zaangażowaniem emocjonalnym nadrabiając braki oratorskiej strategii.

Poczuła, że siedzący obok niej mężczyzna bliżej przysuwa swoje krzesło. Na podium zajął miejsce następny prelegent i kiedy zapowiedział temat swego wystąpienia, Christie zauważyła, że wiele osób wstało i opuściło salę.

- Temat nie jest tak aktualny jak pani - powiedział jej sąsiad. - Ani mówca tak atrakcyjny - dodał.

Uczucie euforii zaczęło ustępować narastającej irytacji. Odwróciła się i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, mówiąc wyraźnie, że traci czas. Dobrze znała ten typ mężczyzn: czterdziestokilkuletni, żonaci, bardzo pewni siebie, przekonani, że każda kobieta natychmiast straci dla nich głowę, poszukujący krótkiej - bardzo krótkiej - przygody.

Widać było wyraźnie, że jest niezadowolony z jej odprawy, ale Christie nie dbała o to - jej uwaga była całkowicie zwrócona ku audytorium, wśród którego najwyraźniej szukała czegoś wzrokiem. Potwierdzenia tego, co i tak już wiedziała? Że jego tu nie ma? Uśmiechnęła się z ironią. Czego się spodziewała? Czego chciała?

Kiedy taksówka wysadziła ich przed hotelem, Christie zachowała się jak smarkula, nie jak dojrzała kobieta; zwlekała celowo, udając jednocześnie, że tego nie robi, i cały czas obserwowała przygodnego znajomego, jak załatwia sprawy w recepcji.

Wyglądało na to, że ma jakieś problemy z rezerwacją, a może po prostu recepcjonistka, wypacykowana brunetka z grubą warstwą podkładu na twarzy i wydatnymi skrzywionymi ustami, celowo go tam trzymała? Wreszcie duma zwyciężyła ciekawość, a poza tym recepcja pełna była

kłębiących się ludzi, którzy ją bez przerwy potrącali. Zresztą tylko tego brakowało - żeby mężczyzna się odwrócił i zobaczył, jak wyczekuje jakiegoś kontaktu czy choćby znaku od niego. Ostatecznie, gdyby się nią zainteresował, miał okazję dać jej to w jakiś sposób odczuć w taksówce, skonstatowała przepychając się przez tłum ku windom.

Hotel był trochę za drogi jak na jej możliwości, ale za długo zwlekała z rezerwacją i nie dostała już nic tańszego.

Wchodząc do pokoju stwierdziła, że jest przegrzany i duszny. Okna były zamknięte na mur i musiała zadzwonić do recepcji, żeby jej kogoś przysłali. Tak naprawdę jednak nie interesowały jej ani te okna, ani nawet sama konferencja, tylko mężczyzna, z którym jechała taksówką.

Przedstawił jej się jako Leo. Ale Leo jaki? Bóg jeden wie, ilu delegatów na konferencję przyjechało do Edynburga i jakie były szanse, że znów go kiedyś spotka, mimo że się zatrzymali w tym samym hotelu.

Christie nie uważała się ani za naiwną, ani za niedoświadczoną. Już dawno postanowiła, że dlatego tylko, że jest kobietą, nie zamierza dać się wtłoczyć w ciasne ramy konwenansu i uprawiać seks jedynie wtedy, kiedy ponad wszelką wątpliwość uzna, że jest „zakochana”. Potrzeba seksu jest potrzebą fizyczną, rodzajem apetytu, który, jak każdy inny, powinien być zaspokajany ku zadowoleniu i przyjemności, choć oczywiście w sposób podlegający kontroli. Nie będzie się przecież rzucała na jedzenie, na które tak naprawdę nie ma ochoty, dlatego tylko, że ono jest; podobnie z seksem. Stara się być ostrożna, a nawet wybredna, ale to nie znaczy, że ma się nie cieszyć seksem dla samej przyjemności, jaką można z niego czerpać.

Nie chciała żadnego stałego związku, nie chciała mężczyzny, który by ograniczał jej swobodę, który by z całą pewnością stawiał swoje potrzeby ponad jej potrzebami, który by żądał od niej zmiany stylu życia, a może nawet sposobu myślenia... Nieraz już widziała, co się działo z kobietami, które mężczyźni zdolali sobie podporządkować. Ona do tego nie dopuści, o nie.

Saul wytknął jej kiedyś, że nie miała takich zastrzeżeń, jeśli chodziło o poświęcenie się dla Cathy, o przełożenie jej potrzeb nad swoje, ale Christie powiedziała mu wtedy, że to co innego; Cathy jest jej dzieckiem, za które odpowiada, i nie chce już odpowiadać za nikogo więcej. Stały partner życiowy nie jest jej potrzebny ani w sensie emocjonalnym, ani fizycznym.

Minęło wiele, o, bardzo wiele czasu od chwili, kiedy jakkolwiek mężczyzna zdołał wyrzucić na niej takie wrażenie jak ten nieznajomy, który sprawił, że niemal zaraz, na długo, zanim taksówka zatrzymała się przed hotelem, poczuła ostre, niemal bolesne ssanie i tę jakąś zdradziecką słabość, pod wpływem której miała ochotę napiąć mięśnie i skrzyżować nogi w niemym proteście przeciwko temu, co się z nią działo.

Jeśli ona działała na niego w podobny sposób, to w każdym razie potrafił to bardzo dobrze ukryć, przyznała przewrotnie.

Okno sypialni było otwarte i Christie wzdrygnęła się, gdy wpadł przez nie świeży powiew wiatru.

Mężczyzna, który przyszedł otworzyć okna, popatrzył na nią z podziwem. Christie odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem. Złościła ją zawsze postawa mężczyzn, którzy uważali, że jedynie z racji swojej płci, bez względu na to, czy kobieta sobie tego życzy, czy nie, mają prawo demonstrować świadomość jej seksualnej atrakcyjności.

Teraz, od nowa poszukując twarzy Lea w tłumie słuchaczy, pomyślała sobie, że jest naiwna. Gdyby chciał jakiegokolwiek kontaktu, mógł go nawiązać w recepcji. Mało prawdopodobne, żeby się pokazał akurat tutaj.

Do końca popołudniowej sesji pozostały jeszcze tylko dwa wystąpienia. Prawdziwie ważny dzień miał być jutro. Do przemówienia szykowali się przedstawiciele wielkich firm farmaceutycznych, w tym ogromnego międzynarodowego koncernu, który niecałe pięć lat temu cudem uniknął skandalu, płacąc wielkie sumy tytułem odszkodowań i unikając w ten sposób procesu sądowego.

Jedna z pacjentek Christie padła ofiarą leku wyprodukowanego właśnie przez tamtą firmę. Jego uboczne skutki spowodowały u niej ostry ból i częściowy paraliż jednej ręki. Kobieta, która jako emerytka nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na pozwanie Hessler Chemie do sądu, była bardzo szczęśliwa z powodu tego odszkodowania. Tak przynajmniej wyznała Christie.

Lek został naturalnie wycofany z rynku, przynajmniej oficjalnie... Christie podejrzewała, że mógł się powtórnie pojawić w sprzedaży... pod inną nazwą, a może nawet sygnowany przez inną firmę. Zbyt dużo wydano pieniędzy na badania, żeby tak łatwo z niego zrezygnować.

W pół godziny później, kiedy wychodziła z sali, podeszło do niej z gratulacjami kilka osób. Był wśród nich miejscowy reporter, który zamierzał zrobić z nią program. Przybyła ekipa telewizyjna i Christie została zasypana pytaniami.

- Coś wspaniałego - powiedział reporter na koniec. - Medycyna naturalna rzeczywiście w tej chwili święci triumfy. - Uśmiechnął się ironicznie. - Ja osobiście, jak mi coś jest, idę do lekarza, ale jeśli ludzie wolą popijać ziołowe herbatki, to przecież nie będę z nimi dyskutował.

Christie zagryzła zęby i posłała mu mordercze spojrzenie.

- Pan sobie chyba zdaje sprawę - zaatakowała go - że niemal każdy nowoczesny lek syntetyczny ma swój odpowiednik w naturze, że wiele z nich to nic innego, jak tylko chemiczna wersja leku naturalnego.

- Jasne, jasne - rzucił impertynencko. - Ale skoro matka natura tak świetnie sobie ze

wszystkim radzi, to dlaczego nie poradziła sobie z dżumą i podobnymi epidemiami?

Christie spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nie poradziła sobie, ponieważ warunki sanitarne były wtedy fatalne. A zresztą, skuteczność niektórych sposobów, jak zawieszanie czerwonych zasłon w oknach w przypadkach ospy, została ostatnio naukowo potwierdzona.

- No, no, no, ja bym jednak wolał jakiś przyzwoity antybiotyk. Ale zaraz... to by było dobre do lokalnych wiadomości. Przepraszam bardzo, jak pani nazwisko?

Christie skrzywiła się, ale odpowiedziała na jego pytanie, po czym mężczyzna odwrócił się i poszedł indagować kogoś innego.

Postanowiła wrócić do hotelu i zadzwonić do Cathy. Wiedziała, że małej jest dobrze z Saulem, ale stęskniła się za nią.

Dopiero kiedy skończyła rozmowę, zobaczyła małą białą kopertę, którą ktoś wsunął pod drzwi. Marszcząc czoło odłożyła słuchawkę i podniosła kopertę; była czysta i zaklejona.

Otworzyła kopertę paznokciem i wyjęła ze środka arkusik papieru.

*Jeżeli masz czas wieczorem, to może zjedlibyśmy razem kolację?*

*Leo.*

*P.S. Jestem w pokoju 11 a.*

Serce zabiło jej szybciej. Poczucie, że została zlekceważona, i wyczerpanie, jakie ją ogarnęły po wygłoszeniu wykładu, nagle przysły, a ich miejsce zajęła euforia.

Skąd wiedział, w którym pokoju mieszka? A zresztą, to nie ma znaczenia, pomyślała chwytając za słuchawkę i wystukując numer.

Odebrał niemal natychmiast; Christie zdążyła jedynie nieśmiało zapytać „Leo?”, gdy poznał jej głos i odpowiedział ciepło:

- O, widzę, że dostałaś moją karteczkę. Cieszę się. To co, masz czas, czy...?

- Tak, tak... to znaczy... - Ugryzła się w język, zdając sobie nagle sprawę, że zbyt skwapliwie przyjmuje jego zaproszenie.

- To może spotkamy się w holu, powiedzmy o ósmej, dobrze?

- Dobrze, niech będzie ósma - powiedziała.

Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że drży na całym ciele, że ma wilgotne dłonie i o wiele za szybki puls.

Co się z nią dzieje? Zachowuje się jak dziecko, ostrzegła się idąc do łazienki i puszczając na ręce strumień zimnej wody. Przecież to tylko mężczyzna, na miłość boską, zwykła istota ludzka, a nie bóg, który zstąpił z Olimpu...

Ciekawe, jaki byłby w łóżku... Wzdrygnęła się, czując, jak jej ciało reaguje podnieceniem

na sytuacje, które podsuwa wyobraźnia. Uspokój się, nakazała sobie i zaraz potem dodała sceptycznie: przecież to, że jest przystojny i działa na ciebie, jeszcze nie znaczy, że musi być dobrym kochankiem...

Ogarnęło ją poczucie radosnego, odrętwiającego oczekiwania. Nie miała wątpliwości, że zaproszenie na kolację to tylko wstęp do wspólnie spędzonej nocy.

Podeszła do okna wdychając świeże, chłodne powietrze. Odrzuciła do tyłu głowę, i w przypływie energii, jakiego dawno nie doświadczała, roześmiała się, podniecona i szczęśliwa.

Jeszcze przez kilka sekund po skończeniu rozmowy, Leo nie odkładał słuchawki.

Niemąło się natrudził, żeby znaleźć Christie, ale jeszcze bardziej, żeby uzyskać pokój w tym samym hotelu. Recepcjonistka odpowiedziała mu arogancko, że nie mają wolnych miejsc, i po raz pierwszy w życiu Leo wykorzystał magię swojego nazwiska.

Na widok miny, jaką zrobiła kobieta, kiedy do niej dotarło, że Leo chce zamienić zarezerwowany dla siebie apartament w najelegantszym hotelu w mieście na zwykły, dwuosobowy pokój u nich, usta Lea drgnęły w uśmiechu rozbawienia. Zarumieniona i speszona, bez śladów niedawnej pewności siebie, poszła po dyrektora.

Znalazł się apartament i Leo miał nadzieję, że nikt nie został z niego wyrzucony. Protestował zapewniając, że w zupełności wystarczy mu zwykły pokój. W gruncie rzeczy bowiem wolałby zwykły pokój, ale sama myśl o tym, że jego znamienity gość nie miałby zająć ich najlepszego apartamentu, wprawiła dyrektora w takie zdenerwowanie, że Leo uległ.

Christie Jardine. Wiedział już teraz o niej całkiem sporo. Osobisty sekretarz Lea, zaskoczony jego niezjawieniem się w zarezerwowanym dla niego apartamencie, ledwie zdołał ukryć ciekawość, kiedy Leo poprosił go od niechcenia, żeby mu sprawdził, który numer pokoju ma Christie.

Jedną z nielicznych zalet jego pozycji był fakt, że nie musiał się przed nikim tłumaczyć z tego, co robi.

Jego sekretarz na przykład nie śmiał go spytać, ani dlaczego się przeniósł do znacznie skromniejszego hotelu, ani dlaczego interesuje się niejaką Christie Jardine. Jurgen był od lat lojalnym pracownikiem Hesslerów i Leo uznał, że zaspokoił swoją ciekawość, kiedy Jurgen przyszedł do niego z wiadomością, że Christie należy do szczęśliwie nielicznej jeszcze grupy lekarzy kwestionujących uczciwość wielkich, międzynarodowych firm farmaceutycznych.

Lea ubawiła oczywista dezaprobata, z jaką Jurgen mówił o Christie, podziękował mu jednak z całą powagą za informacje, lekko zawstydzony, że wykorzystuje swoją pozycję. Zastanawiał się, co by sobie pomyślał jego sekretarz, gdyby się dowiedział, że jego zainteresowanie Christie jest natury czysto osobistej i nie ma nic wspólnego z jej negatywnym stosunkiem do wielkich korporacji farmaceutycznych w rodzaju Hessler Chemie.

Ciekawe, czy i ona potrafi wznieść się ponad te sprawy, czy też go odrzuci ze względu na to, kim jest.

Z marsem na czole Leo spojrział przez okno swego apartamentu na Edynburg, nad którym górował zamek usytuowany na granitowej skale, surowo spoglądający na położone u jego stóp miasto.

Jakże ponure musiało się wydać to miejsce Marii, młodej, rozpieszczonej królowej Szkotów, która porzuciła luksusowe życie we Francji, żeby tu przyjechać. Jakże zimny i surowy był zarówno zamek, jak i ludzie, którzy ją osądzili i odrzucili!

Tak jak z pewnością odrzuci go Christie Jardine, kiedy się dowie, kim jest. Zasepiony, odwrócił się tyłem do okna; prędzej czy później będzie musiał jej przecież powiedzieć. Wprowadzanie kogokolwiek w błąd nie leżało w jego naturze, zwłaszcza gdy chodziło o ukrywanie informacji, które mogły mieć dla danej osoby zasadnicze znaczenie.

Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer, który zapisał sobie w leżącym koło telefonu notatniku. Raz jeszcze z wdzięcznością pomyślał o swoim sekretarzu, który mu dostarczył nazwę i numer telefonu jednej z najlepszych restauracji w mieście. „Najlepszych” nie w sensie snobistycznej klienteli, tylko elegancji i obsługi.

Wiele się można o ludziach dowiedzieć na podstawie restauracji, do których chodzą, i jedzenia, jakie zamawiają. Znów zmarszczył brwi. Stary nawyk samokontroli kazał mu zadać sobie pytanie, po co zaprasza tam Christie. Żeby wypróbować ją... czy siebie?

Ani jedno, ani drugie. Po prostu zaprasza na kolację kobietę. To wszystko.

Ale jeżeli rzeczywiście wszystko, to dlaczego jej nie powiedział, kim jest?

Christie wzięła prysznic, tak mocno nacierając ciało gąbką, że aż jej poczerwieniała skóra. Skórę miała ładną, jędrną i gładką, śniadą i zdrową. Spłukała pianę, a następnie sięgnęła po ręcznik, ale zmieniła plany i naga pobiegła do pokoju, żeby przejrzeć się w lustro, próbując ocenić swoje ciało z punktu widzenia mężczyzny.

Nogi miała długie, zgrabne, figurę raczej kobiecą niż dziewczęcą, piersi kształtne, choć lekko obwisłe od karmienia Cathy, brodawki ciemne, otoczone lekko wypukłymi, dużymi kołami.

Nieraz, opalając się bez stanika, widziała, jak pewien rodzaj mężczyzn na nie zerka, i chociaż współczuła im z powodu ich seksualnej nieporadności i niewyżycia, to irytowała ją ta ukradkiem okazywana niedojrzałość. Miała taki sam wpływ na kształt swoich piersi, co na kolor oczu - jedno i drugie zostało w niej zakodowane w chwili poczęcia - a jednak byli tacy, którzy zachowywali się, jakby Christie świadomie wybrała sobie takie właśnie piersi, żeby manifestować swoją seksualną gotowość.

Powiedziała kiedyś pewnej sfrustrowanej pacjentce, która przyszła prosić o plastyczną



operację powiększenia piersi, „ponieważ mąż jest niezadowolony”, że estetyczna normalna dwójeczka jest znacznie bardziej kobieca niż wielkie cyce.

- Niech pani powie mężowi, żeby sobie przedłużył przyrodzenie - poradziła jej Christie. Kobieta spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- A czy taki zabieg jest możliwy? - spytała.

Christie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Jedno wszakże wiedziała na pewno: że gdyby był, to dziewięćdziesiąt pięć procent męskiej populacji stałoby do niego w kolejce, mimo że dla większości kobiet nie rozmiar się liczy, tylko to, co właściciel organu potrafi z nim zrobić, zarówno zanim się do tego zabierze, jak i potem.

Christie położyła rękę na brzuchu. Miała smukłą talię, gładkie, krągłe biodra i delikatne wzniesienie nad gęstą, ciemną kępką włosów łonowych.

Doceniała fakt, że potrafi akceptować własne ciało i własny temperament. Codziennie w swoim gabinecie miała do czynienia z kobietami, które tego nie potrafiły, i Christie współczuła im z powodu braku miłości własnej i samoakceptacji, próbując je namówić, by się otrząsnęły z narzuconych im przez wychowanie stereotypów myślenia i z dumą zaczęły traktować własną kobiecość.

Wiele czasu upłynęło, by Christie sama przestała patrzeć na siebie oczami ojca i zaczęła doceniać własną niezależną osobowość, którą postanowiła chronić i rozwijać.

Z radością oddawała się życiu seksualnemu, z którego potrafiła na partnerskich warunkach czerpać radość, nigdy jednak - po niefortunnej przygodzie z Davidem - nie godziła się na rolę podnóżka, nigdy nie zaprzedała siebie i swojej niezależności dla potrzeb kochanka i jego egoistycznych celów. Jeśli mężczyzna nie był na tyle dojrzały, żeby dostrzec w niej równą sobie istotę, której ambicje i plany ważnością nie ustępowały jego planom i ambicjom, to dla takiego mężczyzny nie było miejsca w jej życiu.

To dlatego najprawdopodobniej ostatnie kilka lat spędziła w celibacie, pomyślała z uśmiechem, kończąc ocenę swego ciała. Szybko wytarła się do sucha i wyjęła z szuflady świeżą bieliznę - prosty jedwabny stanik i równie proste majteczki, na które zamierzała włożyć skromną jedwabną sukienkę koloru tabaczkowego.

Uznała, że nie musi wkładać rajstop. Nogi miała gładkie i lekko opalone, a jedwabna sukienka niedobrze leży na lycrze czy nylonie.

Umyła włosy, wysuszyła i energicznie wyszczotkowała. Były gęste, kręcone i długie do ramion. Ojciec zawsze narzekał, że jest rozczochrana. Przypomniało jej się to teraz, kiedy je splatała w skromny warkocz. Na myśl o tym, jak bardzo pragnie Lea, przeszedł ją dreszcz. Wyobrażając sobie dotyk jego ust czuła, jak cała tężeje, jak piersi omal nie rozsadzają stanika. Ci,

którzy uważają, że tylko podniecenie mężczyzny objawia się w sposób tak widoczny, to żałośni ignoranci, którzy nie znają reakcji ani swoich, ani swoich partnerów.

Ale kto w tej sytuacji ma otwarte oczy? Kiedyś Christie poczuła się zawiedziona, kiedy mężczyzna, którego erekcję obserwowała zafascynowana, wyobrażając sobie całą gamę czekających ją doznań, odsunął się od niej speszony.

Zraziło go to, jak wyznał jej później. Kobiety powinny w takich sytuacjach zamykać oczy.

Od tej pory zaczęła podświadomie poddawać swoich przyszłych kochanków jeszcze jednemu testowi. Nie tylko powinni znajdować przyjemność w jej patrzeniu na nich, ale i w swoim na nią.

Przecież seks, naturalnie w pełni satysfakcjonujący, powinien angażować wszystkie zmysły. Fizyczne wtargnięcie jednego ciała w drugie było dla niej tylko ukoronowaniem uczy zmysłów. Mężczyzna, który nie widział przyjemności w obserwowaniu, jaką jego dotyk sprawia jej rozkosz, jak bardzo ją podnieca, był w jej ocenie marnym kochankiem.

Christie nie była głupia. Zdawała sobie sprawę, że wiele jej przekonań i zasad stanowi wyzwanie dla najbardziej zazdrośnie strzeżonych męskich tabu, że w wielu przypadkach niebezpiecznie je narusza, nie zamierzała jednak poddawać się presji seksualnych stereotypów dlatego tylko, że niektórzy mężczyźni jej z tego powodu nie akceptowali.

Przy tym wszystkim jednak Christie była bardzo kobieca; dopuszczała do głosu tę stronę swojej kobiecości, która chciała być bierna, zdobywana, posiadana, a tym samym i tajemniczą, atawistyczną siłę, zmuszającą mężczyznę do dominacji nad kobietą.

Bardzo niewielu mężczyzn potrafiło to zrozumieć, ale ci nieliczni, co potrafili...

Na jej ustach pojawił się przewrotny uśmiezek. Nie dawaj się za bardzo ponieść fantazji, ostrzegła siebie samą. Dlatego tylko, że jest przystojny i cię podnieca, to jeszcze nie znaczy, że musi być jednym z nich.

W holu zjawiała się za minutę ósma. Nie uznawała głupich „przepychanek” służących damsko - męskiej próbie sił, z zadowoleniem więc stwierdziła, że Leo jest na tyle dobrze wychowany, żeby przyjść przed nią.

Nie uważała dobrych manier za staroświecki sposób spychania kobiety na drugie miejsce. Właściwie stosowane, stanowiły przejaw szacunku ze strony przedstawicieli obu płci. Gdyby to ona zaprosiła Lea na kolację, z pewnością przyszłaby pierwsza.

Sposób, w jaki się do niej uśmiechał, otwarcie ją podziwiał i równie otwarcie dając jej odczuć, że mu się podoba, sprawił Christie wyraźną przyjemność.

- Restauracja jest niedaleko - powiedział. - Możemy albo iść, albo wziąć taksówkę.

- Przejdźmy się. Tu jest tak duszno, że chętnie odetchnę świeżym powietrzem.

Leo był wprawdzie w garniturze, ale mniej oficjalnym niż ten, w którym widziała go na lotnisku. Materiał robił wrażenie jakiejś mieszanki z jedwabieni, z pewnością nie było to nic taniego, kupionego między jednym a drugim lotem do Hongkongu. Co musiało oznaczać albo że sam jest zamożny, albo że ma duży fundusz reprezentacyjny. Pomyślała, że raczej to pierwsze.

Otworzył przed nią główne drzwi, zostawiając jej dość miejsca, żeby sama mogła wybrać właściwy dystans, co miało taki skutek, że Christie przysunęła się do niego bliżej, niżby to normalnie zrobiła. Czy była to z jego strony subtelna sztuczka, czy autentyczne uznanie jej równości?

- Nic nie wiem o tej restauracji - zastrzegł się, wskazując, że powinni skrócić w lewo w wąską uliczkę, wiodącą w górę do zamku. - Ktoś mi ją polecił.

- Masz w Edynburgu przyjaciół? - spytała.

- Hm... nie.

Zesztywniała nieco, czując, że się zmieszał, że coś przed nią ukrywa.

Do diabła, od razu pochwyciła to krótkie wahanie w jego głosie, które go zdradziło, zauważył Leo, dostrzegając jednocześnie lekkie napięcie jej mięśni i szacujące spojrzenie, jakim go obrzuciła.

Nie znosił kłamstwa i nigdy nie był w tym dobry. Żeby być zręcznym kłamcą, trzeba to lubić, pomyślał z żalem, za każdym jednak razem, kiedy okoliczności wymagały od niego choćby niewinnego kręactwa, bronił się przed tym, jak tylko mógł.

Elle zawsze się z niego wyśmiewała. Zręczne kłamstwo to nie sztuka ani nawet nie konieczność, to jedna z największych życiowych przyjemności, mawiała i dodawała żartobliwie, że zupełnie nie rozumie, jak taki dobry kochanek jak on może nie mieć jednej z podstawowych kwalifikacji dobrego kochanka. Zdecydowała, że prawdopodobnie brak talentu do kłamstwa nadrabia wrażliwością na ludzkie potrzeby.

Czy miała w tym rację, czy nie, Leo wiedział jedno: że Christie Jardine z pewnością nie należy do kobiet, które by podzielały pogląd Elle na sprawę kłamstwa.

- O tej restauracji dowiedziałem się od kogoś z fumi... - powiedział zdając sobie sprawę, że jego słowa, chociaż prawdziwe, mają w sobie jakąś zdradliwą, lecz czytelną nutę niepewności.

Od kogoś z firmy. Czy ten ktoś to kobieta? - zadała sobie pytanie Christie i zmarszczyła czoło. A zresztą co to ma za znaczenie, kto mu polecił tę restaurację. Albo dlaczego tak się spieszył, kiedy go o to zapytała? Przecież to nieznajomy, człowiek, którego dopiero poznała. Uświadomiła to sobie w momencie, kiedy Leo dotknął lekko jej łokcia i powiedział:

- Chyba powinniśmy skrócić w lewo.

Ostatecznie nie może wymagać, żeby przyznawał się przed nią do wszystkich faktów swego życia i wszystkich znajomości dlatego tylko, że idą razem na kolację. Pierwsza by się zbuntowała, gdyby to on zaczął ją o takie rzeczy wypytywać.

Zeszli już z głównej ulicy i znaleźli się w jednej z wąskich przecznic, które wiły się tworząc istny labirynt między starymi kamienicami. Kiedyś stanowiły one miejskie siedziby bogatych szkockich obywateli ziemskich, którzy przyjeżdżali ze swoich wiejskich posiadłości spędzić w Edynburgu sezon towarzyski.

Uliczka zupełnie nieoczekiwanie wyprowadziła ich na małe podwórko i Christie otworzyła ze zdumienia oczy na widok mnóstwa skrzynek i doniczek z kwiatami, które wypełniały niewielką, szarą przestrzeń.

Ktoś bardzo pomysłowo dobrał rośliny o szarosrebrnych listkach i białych, bladobłękitnych i lawendowych kwiatkach, które tak wspaniale wtapiały się w widmowo - szary zmierzch tego północnego kraju. To nigdy nie byłoby możliwe wśród bogactwa ciepłych, śródziemnomorskich barw. Nawet doniczki zostały starannie dobrane, by spotęgować ten efekt, zauważyła Christie podchodząc do jednej z nich, żeby się lepiej przyjrzeć zdobiącemu ją wypukłemu wzorowi.

Leo obserwował, jak wodziła palcem po reliefie. Miała wytworne, długie palce, ale paznokcie obcięte krótko i nie pomalowane. Była całkowicie skupiona na tym, co robi, i Leo widział na jej twarzy przyjemność, jaką sprawiało jej podziwianie donic i ich zawartości.

Rzadko w tych czasach zdarzało się spotkać dziecko, nie mówiąc już o kimś dorosłym, kto by potrafił w tak szczerzy, naturalny i nie skrępowany sposób okazać swoje emocje.

Kosmyk włosów opadł jej na twarz i Leo złapał się na tym, że ma ochotę odgarnąć go jej za ucho, żeby móc ją dalej swobodnie obserwować.

Nagle Christie skrzywiła się i odwróciła do niego gwałtownie.

- One nie są z ołowiu, one są z plastiku - powiedziała.

Czuł niemal jej rozczerowanie.

- Ołów jest strasznie drogi, i narażony na kradzież. Ta plastikowa imitacja jest bardzo udana.

- Dopóki nie podejdziesz za blisko.

- Z wieloma rzeczami w życiu tak bywa - zauważył filozoficznie Leo.

Christie zmarszczyła czoło. Czy on zgaduje... wie, o czym ona właśnie w tej chwili myśli, czy to jego własne spostrzeżenie? Tak czy owak, zaniepokoiła ją ta zgodność odczuć.

- Przynajmniej kwiaty są prawdziwe.

Leo spojrzął na nią, otwierając drzwi restauracji. Autentyczność we wszystkim jest z

pewnością bardzo ważna dla tej kobiety. Autentyczność i prawda.

W restauracji panował ruch, choć nie była przepelniona. Część barowa znajdowała się na górze, w otwartej galerii, można więc było iść na aperitif i patrzeć z góry na sale jadalną, nie będąc posądzonym o wścibstwo i - co nie mniej ważne - nie narażając gości na to, że będą się czuli jak wystawione na pokaz eksponaty.

- Bardzo sprytnie - skomentowała Christie, kiedy usiedli przy stoliku i czekali na drinki. - Pozwolić ludziom pogapić się na innych, jednocześnie pobudzając ich apetyt.

- Mhm... No i w ten sposób ludzie nie irydują się tak bardzo, czekając na stolik.

Spojrzała na niego z uznaniem. Leo wydał jej się nie tylko inteligentny i przystojny, ale jeszcze, z tego, co dotychczas zaobserwowała, nie było w nim tej denerwującej męskiej agresywności, która cechuje wielu mężczyzn na szczycie.

Na szczycie? Zmarszczyła czoło. Ciekawe, dlaczego tak. go zaszeregowała. Bo ubierał się drogo i z dyskretną elegancją? Z powodu jego manier, swobody zachowania? Osobie nieobitej restauracja mogła się nie wydawać luksusowa; istotnie, nie było w niej żadnej ostentacji, przeciwnie, ale Christie zdążyła już zauważyć, że goście, głównie miejscowi, sądząc z ich sposobu wyrażania się, nie należeli do tych, którzy się dopiero wspinają po drabinie kariery, ale do tych, którzy już są na szczycie, i to na tyle dawno, by bogactwo i status społeczny nie robiły na nich szczególnego wrażenia.

Najwyraźniej była to restauracja, do której przychodzili ci, którzy dobrze wiedzą, czego chcą od życia. Właśnie Christie zauważyła, jak jedna z pań potrząsa głową na widok zaprezentowanego jej przez kelnera wyboru jarzyn, jak z uśmiechem i bez odrobiny zażenowania, z miną osoby, która nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że restauracja jest po to, aby zaspokoić każdy jej kaprys, nie akceptuje dania, i to wszystko bez podniesionych głosów, bez agresywnych żądań czy przykrych scen.

Przy innym stoliku jakaś pani próbowała malin. Biorąc po kilka, z lekką zmarszczką na czole naruszającą nieskazitelny skądinąd makijaż, oceniała ich smak i aromat, zanim wreszcie złożyła zamówienie.

- Restauracja specjalizuje się w świeżej, lokalnie produkowanej żywności - wyjaśnił jej Leo. - Nie jest ściśle wegetariańska, ale dań z mięsa, szczególnie czerwonego, mają niewiele. Sam nie jestem wegetarianinem, ale muszę przyznać, że ostatnio jakoś stronię od mięsa.

- Jestem lekarką, więc doskonale zdaję sobie sprawę ze szkodliwości bogatej w tłuszcze diety - odparła Christie. - Przepadam za rybami i obie z Cathy uwielbiamy surowe warzywa i owoce.

- Cathy?

Christie odstawiła szklanę i odczekała chwilę, zanim odpowiedziała. Nie chciała w ten sposób wprowadzać Cathy do rozmowy, w każdym razie nie w tych okolicznościach. Cathy i swoje prywatne życie wolała zatrzymać przy sobie.

- Cathy to moja córka - wyjaśniła w końcu.

Ton Christie był wystarczająco oschły, żeby nie zachęcać do dalszych pytań, lecz nagle Leo poczuł, że wiadomość, czy w związku z tą córką jest też jakiś mężczyzna, stała się dla niego bardzo ważna. Rzucił jej przelotne spojrzenie. Podejrzał, że pytanie zadane wprost nie zostanie przez nią dobrze przyjęte, widział, że ma się na baczności, że jest lekko napięta, że siedząc sztywno, bez uśmiechu, wyraźnie go zniechęca do kontynuowania tego tematu.

- Jesteś szczęśliwa. Ja nie mam ani dzieci, ani żony.

- Nie zawsze jedno z drugim idzie w parze - skomentowała sucho Christie.

Leo poczuł, jak jej napięcie powoli ustępuje. Podejrzał, że nie mogła się powstrzymać od tego rodzaju uwagi.

- To prawda - zgodził się z nią, po czym dodał z przekonaniem: - Ale gdybym miał dziecko albo dzieci, w małżeństwie czy poza nim, to niezależnie od moich stosunków z ich matką, chciałbym być z nimi blisko.

Po raz pierwszy Christie pochwyciła w jego głosie twardą nutę i z jakichś względów uświadomiła sobie kontrast, jaki istniał w poglądach na te sprawy pomiędzy nim a ojcem Cathy.

- Mógłbyś nie mieć wyboru - rzuciła ze złością. - Gdyby na przykład twój związek z matką dziecka się rozpadł, mógłbyś stracić dostęp do dziecka. W dalszym ciągu większość sądów orzeka na korzyść matki.

- Owszem, ale ja sobie wyobrażam, że nawet gdyby mój związek z matką dziecka się załamał, to oboje zachowalibyśmy wystarczający szacunek dla siebie i dostatecznie wiele miłości do tej małej istotki, żeby pozostać w jej życiu niezależnie od tego, czy my jesteśmy razem, czy nie.

Jego idealizm i szczerść, z jaką to wszystko mówił, zirytowały Christie. Najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, czym jest życie. Zerwanie seksualnych i emocjonalnych więzi pomiędzy dwojgiem dorosłych ludzi jest czymś bardzo bolesnym i żadne z nich nie chce, a nawet nie jest w stanie snuć w tym momencie trzeźwych planów, nacechowanych miłością do dziecka, które wspólnie spłodzili. Ponieważ jednak Christie nie mogła wyrazić tego wszystkiego nie zdradzając swoich uczuć, powiedziała po prostu:

- A gdybyś mieszkał daleko? Czasami nawet przy najlepszej woli ojciec nie może być w kontakcie z dziećmi, które mieszkają daleko.

Leo pomyślał, że mając do dyspozycji praktycznie wszystkie możliwe środki transportu, nie widzi takiego miejsca na świecie, w którym nie mógłby się znaleźć w ciągu dwudziestu czterech

godzin. Wiedział jednak, że nie może tego głośno powiedzieć. Najwyraźniej poruszył jakąś czułą strunę... Czyżby dlatego, że jej związek z ojcem dziecka nie jest udany? I dlaczego ta myśl sprawiła mu taką ulgę?

Musieli przerwać rozmowę, żeby złożyć zamówienie, i Leo zmienił temat, pytając ją o pracę.

Praca była dla Christie czymś tak pasjonującym, że nie tylko nie miała trudności z mówieniem o niej, ale przeciwnie, musiała uważać, żeby całkowicie nie zagadać swego rozmówcy. Tym razem jednak odczuwała coś w rodzaju smutku czy może lekkiego rozczarowania, w każdym razie z pewnością nie zadowolenia, które powinna była odczuwać na myśl o tym, że skutecznie zniechęciła Lea do drażenia tematu Cathy i swojego życia osobistego. Ale czego właściwie oczekiwała? Że będzie naciskał, ignorując jej nie wypowiedziane veto, jakby była kobietą, która mówi „nie” myśląc „tak”?

Skrzywiła się z niesmakiem uświadamiając sobie, że nie potrafi być w tej sprawie wobec siebie uczciwa, że zachowała się tak, jakby prowadziła jakąś bezsensowną grę, hołdując przestarzałym poglądom, zgodnie z którymi kobieta musi być przedmiotem jakichś szczególnych zabiegów ze strony mężczyzny, biernym odbiorcą seksu, bez prawa do własnej dumy i potrzeb, bez prawa do tego, żeby powiedzieć „tak”, kiedy myśli „tak”, i żeby powiedzieć „nie”, kiedy myśli „nie”, nie będąc za to osądzaną.

Tonem głosu i zachowaniem dała Leowi do zrozumienia, że sobie nie życzy, by temat jej życia osobistego był poruszany w rozmowie, więc dlaczego teraz, kiedy się zastosował do tego nie wypowiedzianego nakazu, czuje się zawiedziona, jakby przez samo spełnienie jej życzenia demonstrował brak zainteresowania jej osobą?

Ciągle jeszcze była zirytowana swoją przewrotnością, kiedy przyszedł kelner, żeby ich zaprowadzić do stolika.

Idąc za nią Leo zauważył elegancję, z jaką się poruszała; miała naturalny wdzięk, niczym nie przypominający wystudiowanej, zmysłowej pozy Elle i jej podobnych. Jakąś spontaniczność i energię, które skłoniły go do refleksji, że Christie musi być żywiołową kochanką, że jego powolniejszy rytm gry miłosnej mógłby ją nawet denerwować.

Lubił wstępną grę miłosną, co wyraźnie rozbawiło kiedyś Elle; powiedziała mu wtedy, że ma dar, który czyni go przedmiotem pożądania wszystkich kobiet.

- A ja myślałem, że kobiety cenią sobie w seksie przede wszystkim kondycję - powiedział z odrobiną ironii, widząc, że Elle dyskretnie daje mu do zrozumienia, że swój obecny orgazm, choć miły, traktuje jako zakąskę przed daniem głównym.

- Przy odpowiedniej cierpliwości i sprawności kobiety niemal każdy mężczyzna może

osiągnąć erekcję. - Wzruszyła ramionami. - Ale nauczyć mężczyznę, że kobieta potrzebuje czegoś więcej niż tylko krótkiego stosunku poprzedzonego kilkoma podręcznikowymi zabiegami technicznymi, niezbędnymi do tego, żeby osiągnęła satysfakcję, do której ma wszelkie prawo, to już zupełnie co innego.

Na ogół jedyne, czego kobieta może oczekiwać po mężczyźnie, to samokontrola i świadomość, żeby nie spieszyć się z własnym orgazmem, dopóki partnerka nie osiągnie swojego. Znalezienie mężczyzny, dla którego doprowadzenie kobiety do spełnienia jest równie wspaniałym przeżyciem jak własny orgazm... mężczyzny, dla którego ta wspólna podróż znaczy tak wiele, że potrafi opóźnić tę chwilę... - Mówiąc to, Elle czubkiem palca delikatnie wiodła wzdłuż jego brzucha, z uśmiechem patrząc, jak jego uspokojone ciało zaczyna reagować na jej pieszczotę, jak słowa zamierają mu na ustach, kiedy gwałtownym ruchem pociągnęła go na siebie.

Podejrzewał, że Christie może być niemal pragmatyczną, a nawet agresywną kochanką, domagającą się równych praw, potrafiącą przejąć inicjatywę, nadać grze miłosnej tempo, narzucić własny styl. Leo nigdy w stosunkach z kobietami nie dążył do dominacji, ale też nie podobały mu się kobiety stawiające wyłącznie na seks, a przy tym mało zmysłowe, Christie zaś, przynajmniej z pozoru, robiła wrażenie takiej właśnie kobiety, traktującej seks jako coś w rodzaju apetytu do zaspokojenia, coś, czego nie należy łączyć z uczuciami ani tracić przy tym samokontroli.

Z drugiej strony widział, w jaki sposób dotykała tamtych kwiatów, widział wyraz rozkoszy w jej oczach i wiedział, że bez względu na to, jak bardzo będzie się starała to przed nim ukryć, jest tak samo zmysłowa jak on.



Niezależnie od tego, jak bardzo smakowało Christie jedzenie, a smakowało jej bardzo, największą przyjemność znalazła w rozmowie z Leem.

Była w połowie głównego dania, z zapałem przedstawiając swój pogląd na wszechwładzę wielkich nowoczesnych firm farmaceutycznych, kiedy się zorientowała, że właściwie mówi tylko ona.

Przecież kobieta powinna podsycać próżność i miłość własną mężczyzny, pozwalając mu w rozmowie grać pierwsze skrzypce, uświadomiła sobie z ironią, przeprasząc Lea za to, że go całkowicie zagadała.

- Czy dobrze rozumiem, że według ciebie w nowoczesnej medycynie nie ma miejsca dla wielkich koncernów farmaceutycznych, to znaczy z moralnego punktu widzenia? - zapytał.

Troszkę go speszyło to, co mówiła Christie. Owszem, podzielał wiele jej poglądów, ale gwałtowna nienawiść, jaką żywiła w stosunku do wielkich firm i ich właścicieli, przeraziła go nie na żarty.

- Owszem, pod warunkiem, że zostaną poddane znacznie ściślejszej kontroli, i to przez jakieś niezależne gremium - odparła stanowczym tonem. - Nie zamierzam kwestionować wartości wielu spośród znajdujących się na rynku nowych leków, ale wielkim firmom farmaceutycznym, co do tego nie mam cienia wątpliwości, zależy przede wszystkim na zyskach. Altruizm nie przynosi profitów, a dysponując takimi środkami i taką władzą, wiele koncernów wywiera skuteczny nacisk, już nie na kręgi medyczne, a rządowe, by zatwierdzano leki, często niedostatecznie przetestowane.

- Istnieją w tej sprawie bardzo ściśle przepisy - zaczął Leo ostrożnie, ale Christie potrząsnęła głową.

- Owszem, przepisy są, ale zdarza się, że skutki działania tych leków nie ujawniają się w badaniach klinicznych. A nowoczesne leki bywają bardzo silne, potrafią zniszczyć system nerwowy człowieka, jego barierę immunologiczną. W niektórych przypadkach zaleca się lekarzom, żeby zapisywali środki o wiele za silne, mimo że wystarczyłyby znacznie łagodniejsze, bardziej naturalne...

- Natura stworzyła substancje równie silne co człowiek, a często nawet silniejsze - podkreślił Leo.

Christie zmarszczyła czoło.

- Nie twierdzą, że nie masz racji, że twoje argumenty nie są słuszne - dodał już łagodniej. - Ale odmawianie nowoczesnym lekom ich niezaprzecznego kolosalnego znaczenia w zwalczaniu

niektórych chorób i w profilaktyce byłoby oczywistą głupotą. Według mnie, przyjmując za cel dobro pacjenta, na rynku powinno znaleźć się miejsce dla wszystkich możliwych środków farmaceutycznych, które przy harmonijnej współpracy lekarzy mogłyby służyć ogólnemu dobru.

Christie rzuciła mu ironiczne spojrzenie. - Tak samo jak ludzie wszystkich ras i wyznań powinni harmonijnie współżyć, prawda? Tylko że w praktyce jakoś to nie wychodzi. I zawsze silni wykorzystują słabych. Domyślam się, że twoje poparcie dla firm farmaceutycznych nie jest takie zupełnie bezinteresowne? - zapytała chytrze.

- Czyżbyś w którejś pracował?

- W pewnym sensie - z ulgą przyznał Leo. Wreszcie nadarzyła się okazja, żeby jej powiedzieć prawdę. Bo z każdą chwilą, w miarę upływu czasu, stawało się dla niego coraz ważniejsze, żeby Christie tę prawdę poznała. Zdawał sobie sprawę z subtelnych sygnałów seksualnych, jakie do niego wysyłała, tak subtelnych, że mógł je zignorować, gdyby chciał, a jednocześnie wystarczająco wyraźnych, by je odczytać jako zaproszenie do większej poufałości.

- Rozumiem, że człowiek powinien okazywać pewną lojalność wobec swoich pracodawców - zauważyła Christie. - A przynajmniej tak utrzymuje Saul.

- Saul? - Leo uniósł brwi.

Christie odczuła lekki triumf, słysząc w jego głosie nutę zainteresowania. Może myśli, że to mój kochanek...

- To mój brat - wyjaśniła, z nietypową dla siebie kobiecą satysfakcją obserwując jego reakcję. - Wprawdzie nie zawsze nasze poglądy na różne sprawy są zgodne, ale zawsze mogłam liczyć na jego pomoc. - Zasepiła się nieco; uświadomiła sobie swoje spostrzeżenie, że coś się w życiu Saula, w jego poglądach zmieniło, że najwyraźniej coś go nęka i gnębi. Czyżby to była sprawa pogłębiającej się przepaści pomiędzy nim i jego dziećmi?

- Z tego wynika, że mimo różnicy poglądów jesteście sobie bliscy, prawda? - zagadnął Leo. - Żałuję, że nie mogę tego samego powiedzieć o moich stosunkach z bratem - dodał. Teraz on się zasepił. Co go podkusiło, żeby jej mówić o takich sprawach? Jego stosunki z Wilhelmem nie mają tu nic do rzeczy. A zresztą, nigdy dotychczas z nikim na ten temat nie rozmawiał. Bo po prostu nikt nie był mu dostatecznie bliski. Ale dlaczego niby miałby tę kobietę uważać za kogoś bliskiego? Przecież ona nawet nie wiedziała, kim on jest.

- Czy masz tylko jednego brata? - spytała Christie.

- Tak, a ty?

W dalszym ciągu nie zdradził się przed nią, kim jest, i w miarę jak dokonywali kolejnych odkryć, jak to, że każde z nich ma starszego brata i że rodzice obojga nie żyją, docierało do Lea, że właściwie stracił okazję na chwilę szczerości i otwartości. Stracił czy też celowo ją przegapił?

- Widzę, że twoje stosunki z ojcem układały się nie najlepiej. - Wykorzystał nutę wahania w jej głosie, kiedy wspomniała o ojcu.

- Saul jakoś zawsze był z nim bliżej. Jeśli mam być szczerą, to prawdopodobnie inaczej by to wszystko wyglądało, gdybym ja była inna. Ojciec lubił porządek i posłuszeństwo. Gdybym była, tak jak on to sobie wymarzył, grzeczna i uległa... - Wzruszyła ramionami.

- Bał się twojej inteligencji. Tak to bywa z niektórymi mężczyznami, obawiają się obnażenia własnych niedostatków. Nie zrozum mnie źle... - przeprosił ją spiesznie - nie chcę przez to powiedzieć, że twój ojciec...

- Ja się nie gniewam - odparła Christie. - Ojciec miał rzeczywiście wiele kompleksów. Dlatego tak strasznie naciskał Saula... stawiając przed nim cele i zadania, które sam chciałby osiągnąć. - Przerwała i spojrzała na niego prosto i szczerze. - Możesz pomyśleć, że takie krytykowanie własnego ojca jest niekobiece i nielojalne, ale ja cenię sobie uczciwość. Nienawidzę ludzi, którzy w imię konwenansu mówią jedno, a myślą drugie. Kochałam ojca, ale go nie lubiłam i on z pewnością nie lubił mnie.

- To i tak jesteś lepsza ode mnie - odparł Leo. - Ja mojego ojca ani nie lubiłem, ani nie kochałem. - Urwał nagle. Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedział. Niechęć do ojca zawsze utrzymywał w tajemnicy. Bo nigdy nie miał w życiu nikogo, komu mógłby się zwierzyć z takich uczuć; bo się ich trochę bał i miał z ich powodu poczucie winy, chociaż były one w pełni uzasadnione; ponieważ nie miał najmniejszego powodu kochać człowieka, który go nieustannie ranił i odrzucał.

- To nie jest takie łatwe - podjął - pogodzić się z faktem, że niezależnie od tego, jak bardzo się starasz, nigdy nie będziesz tym, kim twój rodzic chciałby cię widzieć. Najpierw jesteś nieszczęśliwy, masz poczucie winy, ubolewasz nad tym, a to wszystko wynika ze świadomości, że zawiodłeś. Potem przychodzi tępa rezygnacja i rozpacz. Wiesz, że zawiodłeś, że cokolwiek zrobisz, nigdy cię nie pochwalą, że pochwały i nagrody są przeznaczone dla tego drugiego, „lepszego” syna. Jeszcze później, jeśli masz szczęście, wzbiera w tobie gniew, że cię nie akceptują takim, jakim jesteś; kolejny etap to poczucie, że i ty masz różne talenty i umiejętności, które, chociaż nie doceniane przez owego rodzica, są twoje i przedstawiają wartość.

Christie tak długo milczała, że pomyślał) że ją coś dotknął, ale kiedy pochyliła głowę, zobaczył w jej oczach łzy.

- To bardzo niebezpieczne, nie uważasz? Spotkać kogoś, kto odbiera na tej samej fali - powiedziała zachrypniętym głosem, kiedy zdołała już opanować uczucia i uniosła głowę.

- Niebezpieczne? - zdziwił się szczerze. - Dlaczego tak uważasz? Przecież to jest właśnie to, o czym każdy marzy: żeby znaleźć kogoś tak doskonale ze sobą zestrojonego.

- Niekoniecznie. Czasami tego typu bliskość może być zbyt silna. Ludzie czują się wobec niej bezbronni, jakby się obcowano z kimś, kto czyta w twoich myślach.

- Zbyt zaborczym i natrętnym, tak? Myślę, że ten lęk przed prawdziwą bliskością, ta potrzeba płytszych związków, w których często ofiarowujemy seks jako namiastkę prawdziwego uczucia, to choroba naszych czasów.

- Takie poglądy zwykle prezentują kobiety, nie mężczyźni - zauważyła Christie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że dlatego tylko, że jestem mężczyzną, nie mogę w moim systemie wartości cenić bardziej związków uczuciowych? - zapytał spokojnie Leo. Zaskoczył ją, i nie potrafiła tego ukryć.

- Ależ w żadnym razie - zapewniła go skwapliwie, po czym dodała: - Tak samo jak nie uważam, żeby kobieta musiała się wstydić demonstrowania swoich potrzeb seksualnych.

Niemal ostatni opuścili restaurację, ale nikt ich nie ponaglał.

Kiedy wracali do hotelu, Leo zauważył, że tym razem Christie szła znacznie bliżej niego, starając się zharmonizować swoje ruchy z jego ruchami. Czy to może on się starał dostosować do niej? - zastanawiał się. W każdym razie podejrzewał, że ona by tak powiedziała. Co to zresztą miało za znaczenie, skoro ta harmonia istniała? I to by pewnie pomyślała Christie.

Odprowadził ją pod drzwi jej pokoju i kiedy się odwróciła, najwyraźniej żeby go zaprosić do środka, pochylił się i pocałował ją lekko.

Poczuł jej usta, miękkie i gorące, i delikatną jędrność piersi, kiedy do niego przylgnęła.

Pocałował ją ponownie, tym razem smakując ten pocałunek, pieszcząc ręką jej ramię, a potem szyję, napawając się sprężystością jej włosów. Tyle doznań, taka wspaniała zapowiedź przyjemności! Poza tym Christie wcale nie była - jak ją podejrzewał - agresywna; nie była też i bierna.

Jego umysł rejestrował te fakty, podczas gdy zmysły chłonęły jej zapach i smak, napawały się giętkością jej ciała, które z całą otwartością i szczerością oferowało mu siebie, zapraszając do wspólnej zabawy, do dzielenia rozkoszy. Leo poczuł ukłucie w sercu - tego zaproszenia nie mógł przyjąć, w każdym razie nie mógł go przyjąć nie mówiąc jej, kim jest, a przecież wiedział, że ona go nie zrozumie, że poczuje się oszukana, urażona w swojej dumie. Zaufała mu, powiedziała o sobie rzeczy, które z pewnością mówiła mało komu, jeśli w ogóle komukolwiek; ma prawo pomyśleć, że przemilczając prawdę o sobie chciał te informacje od niej wyłudzić.

Mimo to najprawdopodobniej by się z nim przespała, ale on nie chciał się z nią przespać, on chciał się z nią kochać.

Bardzo delikatnie uwolnił się z jej objęć.

- Muszę iść - powiedział cicho. - Mam jeszcze sporo roboty. Ale wieczór był cudowny.

Może jutro rano pozwiedzalibyśmy razem miasto, jeśli będziesz wolna?

Jakoś to załatwi, jakoś znajdzie okazję, żeby jej powiedzieć prawdę. I dopiero wtedy, jeśli będzie nadal chciała, zostaną kochankami. Na jedną noc? Ale jeśli tylko o to mu chodzi, to dlaczego nie teraz? Dlaczego nie na tę jedną noc?

Widząc w jej oczach na przemian to bolesne upokorzenie, to zmieszanie, z trudem powstrzymał się, żeby jej nie pocałować po raz drugi. Jej usta były jeszcze nabrzmięte i wilgotne po tamtym pocałunku. Z boku na szyi miała małe znamię i Leo pragnął musnąć je ustami, ale zwalczył pokusę, czekając na jej reakcję.

Co takiego się mogło stać? - zastanawiała się Christie. Dlaczego ją odrzuca? Przez całą kolację czuła ich wzajemną bliskość, wspaniałą harmonię, własne pragnienie i niecierpliwe oczekiwanie, że wreszcie zostaną sami, a teraz, kiedy się doczekała, odsuwają i mówi, że to koniec na dzisiaj? Czyżby się rzeczywiście aż tak bardzo pomyliła? Czy w gruncie rzeczy on jej wcale nie pragnął? Czy to tylko jej własne pożądanie nadało temu wieczorowi całe jego ciepło i barwę? Ale kiedy ją całował... i kiedy ona go całowała, to przecież czuła jego reakcję, czuła, że jej naprawdę pożąda, wiedziała to.

Cóż, przecież go nie zaciągnie do swojego pokoju i nie zgwałci, powiedziała sobie, usiłując odzyskać swój zwykły, trzeźwy sceptycyzm.

Czy rzeczywiście chce się z nią jutro rano zobaczyć, czy to wybieg dla uratowania twarzy? W korytarzu było gorąco, nawet bardzo gorąco, ale ją przejął chłód. Czyżby dlatego, że zabrakło jego ciepła? Czy może to rozczarowanie wynikające ze świadomości, że jednak wieczór nie skończy się tak, jak to sobie wyobraziła...

- Nie wiem, czy rano będę wolna - powiedziała ostrożnie. - Ale jeśli tak, to z przyjemnością zwiedzę miasto. - Skoro Leo pozwala sobie na jakieś gierki wobec niej, to i ona może. W najmniejszym nawet stopniu nie dała po sobie poznać, co czuje - że jej ciało dręczy ból seksualnych pragnień, tym większy, że - jak się zorientowała - miały one pozostać nie zaspokojone.

- Więc jeśli będziesz wolna, to się spotkajmy w holu o jedenastej, dobrze? - zaproponował Leo.

- Dobrze, jeśli będę wolna, to się spotkamy - odparła, odwróciła się i zaczęła otwierać drzwi czując, jak cały nastrój wieczoru ulatuje, pozostawiając gorycz rozczarowania.

Powiedziała mu dobranoc, a następnie zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi i przekręciła zamek. Ostatecznie ma swoją dumę, pomyślała, ze złością rzucając torebkę na łóżko. Nie będzie prosić ani jego, ani żadnego innego mężczyzny. Jeśli zaaranżowanie całego wieczoru tak, żeby sobie wyobrażała, że mu na niej zależy i że ich ciała dążą do wspólnego spełnienia, sprawia mu

przyjemność, to bardzo proszę, niech mu będzie. Ona w każdym razie nie zamierza się tym przejmować, a już w żadnym razie przyjść na jutrzejsze spotkanie.

Mimo to nazajutrz o jedenastej wysiadła z windy i udała się do holu. Na widok czekającego na nią Lea ogarnęło ją nagle podniecenie.

Leo jeszcze jej nie zauważył. Może rzeczywiście był wczoraj tak bardzo zajęty, może go zaskoczyła dając mu aż nadto wyraźnie odczuć, że chciałaby, żeby z nią został.

Zastanawiała się, na jak długo zaplanował ich wyprawę po mieście. Podobnie jak i ona, z pewnością wybiera się na popołudniowy wykład. Ostatecznie miał to być główny punkt programu całego sympozjum. Prelekcja prezesa Hessler Chemie o postępie w dziedzinie nowoczesnych leków.

Niezależnie od jej krytycznego stosunku do wszystkiego, co reprezentowała firma Hessler i jej podobne, od pogardy, z jaką przyjmowała materiały propagandowe, którymi ich zarzucano podczas konferencji, darmowe próbki leków i słodziki, chciała wysłuchać prelekcji, tym bardziej że spodziewała się dyskusji i była ciekawa, jak Hessler będzie się bronił wobec głosów krytycznych, jeśli w ogóle zostaną one dopuszczone. Doszły do niej słuchy, że Hessler Chemie częściowo sponsoruje konferencję.

Serce skoczyło Christie go gardła, kiedy Leo odwrócił się i powitał ją uśmiechem tak pełnym radości i ciepła, że nagle przysły wszystkie jej wątpliwości.

Dzieliło ich jeszcze tylko kilka kroków, kiedy do Lea podszedł spiesźnie jakiś mężczyzna i powiedział po niemiecku:

- Herr von Hessler, dzwoni pański brat. Telefon połączono do pańskiego apartamentu w tamtym hotelu. Obawiam się, że te trudności z połączeniem nie wpłynęły najlepiej na jego humor.

Herr von Hessler!

Christie bardzo kiepsko znała niemiecki, ale na sam dźwięk tego nazwiska zamarła i nie mogła oderwać wzroku od twarzy Lea, który zmarszczył brwi i opędzając się od nadmiernej gorliwości tamtego, powiedział stanowczym tonem:

- Obawiam się, że mój brat będzie musiał jeszcze poczekać. Powiedz mu, Jurgen, że zadzwonię do niego później, dobrze? Christie! - zawołał za nią, ale ona zdążyła się już odwrócić, wstrząśnięta i wściekła. Klębiący się jednak w holu tłum nie pozwolił jej umknąć tak szybko, jak by sobie tego życzyła. Kiedy poczuła jego rękę na ramieniu, powiedziała szorstko:

- Proszę mnie puścić!

Nawet nie próbował udawać, że nie rozumie, o co jej chodzi.

- Christie, poczekaj, wszystko ci wytłumaczę.

- Nie widzę takiej potrzeby - odparła chłodno. - Doskonale rozumiem, że człowiek... z

twoją... z twoją pozycją odczuwa potrzebę ukrywania swojej tożsamości.

Potrącana przez tłum musiała się na wpół do niego odwrócić i wtedy zobaczyła grymas bólu na jego twarzy i wyraz napięcia w zaciśniętych ustach. Nawet się nie wysilała, żeby ukryć złość i pogardę. Niby dlaczego miałyby je ukrywać? Przecież ją świadomie oszukał.

- Wcale tak nie było, miałem zamiar ci powiedzieć - bronił się.
- Ale postanowiłeś nie zawracać sobie tym głowy.
- Czuję, że powstaje między nami taka więź, że... nie chciałem tego psuć.

Christie roześmiała się z goryczą.

- O jakiej więzi ty mówisz? - zapytała lodowato. - Jak mogła być między nami jakakolwiek więź, skoro mnie oszukiwałeś? O co ci chodziło? Bałeś się, że kiedy się dowiem, kim jesteś, to nie będę chciała iść z tobą do łóżka?

Nagle twarz Lea oblała się rumieńcem.

- Nie sądzę, żebyś była taka głupia - powiedział ostro.  
- I słusznie. - Christie zrobiła się biała jak ściana. - To dlatego stchórzyłeś wczoraj wieczorem, tak? Człowiek z twoją pozycją musi być bardzo ostrożny. Nie może sobie pozwolić na chwilę zapomnienia, bo mógłby zrobić dziecko, które miałoby prawo do fortuny von Hesslerów, prawda? O to chodziło? Dla twojej informacji...

- Przestań, Christie - nakazał jej stanowczo. - Nie taki był powód i ty dobrze o tym wiesz. Nie chciałem, żebyśmy zostali kochankami, dopóki nie będę miał okazji powiedzieć ci prawdy. Zamierzałem zrobić to dzisiaj rano, ale Jurgen mi przeszkodził.

- Niestety dla ciebie, ale na szczęście dla mnie - powiedziała Christie, która płonęła teraz ze złości, że dała się oszukać jak dziecko.

- Chciałem ci o tym powiedzieć już wczoraj - powiedział z rozpaczą.  
- A ja już wczoraj chciałam się z tobą kochać. Czy to nie jest sprawiedliwe, że żadne z nas nie dopięło swego? - Christie, proszę cię...

- Nie, Leo. - Odwróciła się do niego. - Nie znoszę oszukiwania. Najbardziej na świecie. A ty mnie właśnie oszukałeś, nawet jeśli to było przemilczenie. Pozwoliłeś mi się wypowiadać na temat moich poglądów i zasad, podczas kiedy cały czas...

- Kiedy cały czas co? - złapał ją za słowo. - Chcesz powiedzieć, że gdybyś знаła prawdę, to byś swoje poglądy i zasady przykroila i dopasowała do mojej pozycji w Hessler Chemie?

- Naturalnie, że nie - zaperzyła się Christie.

- A więc to, że ci pozwoliłem mówić szczerze, nie mogło spowodować żadnej szkody, tak? Ja jestem człowiekiem, Christie, a nie firmą, i jeśli mam być szczerzy...

- Nie interesuje mnie, ani kim, ani czym jesteś - ucięła krótko. - Ty mnie nie interesujesz,

Leo, pod żadnym względem. A teraz bądź uprzejmy puścić moje ramię. Nie znoszę, kiedy mnie ktoś dotyka.

Powiedziała to z takim obrzydzeniem, że Leo natychmiast cofnął rękę i odsunął się, zostawiając jej dużo wolnego miejsca.

- Jedno w każdym razie sobie zapamiętaj - powiedziała ze złością - że gdybyś nie był wczoraj taki ostrożny, to byś się przynajmniej ze mną przespał. A tak - trafił ci się tylko bardzo wysoki rachunek za kolację.

- Ale ja nie chciałem się z tobą przespać - odparł Leo z równą złością.

Obrzuciła go pełnym gorczy spojrzeniem.

- Jasne, że nie chciałeś. - Odwróciła się i odeszła tak szybko, że nawet nie zdążył jej powiedzieć, że, owszem, chciał i że chce dalej, ale nie przespać się z nią, tylko kochać.



Początkowo, zaraz po przebudzeniu, Giles nie wiedział, gdzie jest. Promienie słońca wpadające przez cienkie firanki raziły go boleśnie w oczy. W wysuszonych ustach miał niesmak, a zapach nie dopitej whisky przy łóżku przyprawiał go o mdłości.

Gdzie on, do diabła, jest?

I wtedy nagle przypomniał sobie. Spojrzał na szklanekę i stojącą koło niej butelkę i zaczerwienił się.

Co się z nim dzieje? Czy rzeczywiście jest taki słaby i tak bardzo nad sobą nie panuje, że nie potrafi osiągnąć celu i przed poczuciem klęski ucieka w alkohol? Nic dziwnego, że Davina go przepędziła. Nigdy nie pił dużo, a nawet rzadko popijał towarzysko, ale ostatnio...

Przypomniała mu się kłótnia z Lucy i to wszystko, co mu powiedziała. Jęknął i przysunął się do krawędzi łóżka. Miał potworny ból głowy. Może lepiej, że Davina nie pozwoliła mu zostać. Nawet gdyby nie obciągnął większej części stojącej na stoliku butelki, i tak nie spisałby się jako kochanek.

Kiedys Lucy mu powiedziała, że jest najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała i jakiego w ogóle może sobie wyobrazić. A on jej wtedy zgodnie z prawdą odpowiedział, że sprawiać jej rozkosz i patrzeć na jej twarz, kiedy się kochają, to dla niego największa przyjemność. Kiedy zaczęła go od siebie odsuwać, zrozumiał, że stracił zdolność sprawiania jej tej rozkoszy. Ta świadomość wpłynęła niszcząco na jego poczucie wartości, sprawiając, że bał się do niej zbliżyć, bał się ją zawieść, albo co jeszcze gorsze, wywołać w niej odruch wstrętu.

Lucy... Co się stało z ich miłością? Szukając pociechy u spokojnej, zorganizowanej Daviny, wiedział jednocześnie, że nigdy nie osiągnie z nią tych szczytów seksualnych uniesień co z Lucy. Lucy, pełna temperamentu i rozwichrzona, trudna do zrozumienia i wybuchowa, budziła w nim taki zamęt uczuć, że samo myślenie o tym wydawało mu się wyczerpujące.

Związek z Lucy wymagał bycia stu pięćdziesięcioprocentowym mężczyzną, a on szczególnie teraz, kiedy sytuacja zarówno jego, jak i firmy była taka delikatna, nie czuł się na siłach sprostać jej wymogom.

Już przed śmiercią Gregory'ego Lucy namawiała go, żeby zmienił pracę na coś mniej absorbującego. Zgodził się z nią wtedy, ale po śmierci Gregory'ego, kiedy Davina tak bardzo go potrzebowała...

Czy nie widzi swojego egoizmu? - spytał ją któregoś wieczoru ze złością, kiedy ledwie zdążył wejść za próg, a Lucy zalała go potokiem żalów. To on jest egoistą, odrzuciła, a nawet

więcej niż egoistą. Ona się nie da oszukać, doskonale wie, że to Davina trzyma go w firmie, chociaż Giles nie chce się do tego przyznać.

Skrzywił się i natychmiast ogarnęła go fala mdłości. Odsunął koldrę i wstał powoli. Głowa pękała mu z bólu.

W pół godziny później, umyty i ubrany, stał przed lustrem, z niesmakiem przyglądając się swojemu odbiciu.

„Wynoś się do Daviny i więcej się tu nie pokazuj”, powiedziała mu Lucy, a on pod wpływem nastroju chwili zrobił dokładnie to, o co go prosiła. Ale musi wrócić. Nie jest dzieckiem, żeby unikać odpowiedzialności.

Jeśli mają się rozejść czy nawet żyć w separacji, to też trzeba to jakoś załatwić. Znow się skrzywił. Rozwód. To słowo miało gorzki smak, przykry jak uczucia, które budziło. Rozwód. Z nienawiścią myślał o wszystkim, co się pod tym słowem kryło, ale nie miał wyboru.

W godzinę później wchodził do domu. Przez chwilę stał nieruchomo w holu i nasłuchiwał. Powitała go grobowa cisza. Serce waliło mu jak młotem, ogarnęła go panika. Dom był pusty. Lucy się gdzieś wyniosła... zniknęła. Dlaczego ta myśl napełniła go taką rozpaczą? Wszedł do kuchni, która wydała mu się jakaś dziwnie porządna - wszystko w niej lśniło.

A przecież Lucy lubiła swojski nieład. W każdym pokoju stał jakiś wazon z kwiatami, fotografie, porcelana, którą kolekcjonowała, szperając po straganach ulicznych i bazarach ze starociami.

Tablica w kuchni była zwykle pełna różnych kolorowych kart pocztowych, zaproszeń i świstków z najrozmaitszymi poleceniami, które Lucy pisywała do siebie, a kiedyś, dawno temu - przynajmniej tak mu się teraz wydawało - i do niego. Czasami były nabazgrane wielkimi literami, czasem maleńkie, ukryte, w kształcie serca, to znow pełne bardziej oczywistej erotycznej treści - w osobistym, tylko im znanym języku.

Dzisiaj tablica była pusta.

Jak dom. Jak ich wspólne życie.

Powoli, automatycznie ruszył na górę. Musi się przebrać i wziąć prysznic. Zapach whisky dalej był w jego skórze, w ustach, a Giles za wszelką cenę pragnął się od niego uwolnić. Tak jak rozwód uwolni go od bólu nieudanego małżeństwa.

Sypialnia, podobnie jak i kuchnia, była nieskazitelnie czysta i pusta. W przylegającej do niej łazience unosił się jeszcze zapach perfum Lucy. Giles zamknął oczy, starając się oddalić od siebie obraz jej ciała, wspomnienie zapachu i dotyku, ciepła i kobiecości, sposobu, w jaki się poruszała, kiedy była podniecona, w jaki go dotykała i pieściła...

Ogarnęły go gwałtowne dreszcze, pokrył się zimnym potem, był bliski torsji.

W kwadrans później, wykąpany i przebrany, zamknął za sobą drzwi sypialni. Obojętne, dokąd poszła Lucy, nie opuściła domu na zawsze. W sypialni dalej było jej ubranie.

Może poszła do przyjaciółki.

Stawiając nogę na górnym stopniu, zmarszczył brwi. Drzwi do pokoju, który kiedyś pełnił rolę dziecinnego, były na wpół otwarte. Podeszedł do nich i stał przez chwilę bez ruchu. Po śmierci Nicholasa przyszedł tu ze szpitala i zaczął metodycznie demolować ten pokój, ogałając go ze wszystkiego, dosłownie wszystkiego, łącznie z zerwaniem kremowej tapety i powyrzucaniem pluszowych zwierzątek - symbolu bez troski i bezpieczeństwa dziecięcego świata - wyładowując w ten sposób żal i rozpacz.

Bo świat jego dziecka był inny - pełen bólu i śmierci.

Pchnął drzwi i zamarł w progu. Zwinięta w kłębek na bujanym fotelu, który ocalał z pogromu, spała Lucy.

Nie umalowana, z potarganymi włosami, wyglądała bardziej na nastolatkę niż dojrzałą kobietę. Z trudem opanował chęć odgarnięcia jej z oczu gęstych włosów, rozprostowania skulonych rąk i nóg. Była blada, jej długie, ciemne rzęsy były lekko posklejane, pełne usta czerwone.

W rękę trzymała świstek papieru, inne kawałki leżały rozrzucone po podłodze. Giles schylił się i podniósł jeden z nich. Zmarszczył czoło stwierdziwszy, że jest to kawałek ich aktu ślubu. Powoli pozbierał wszystkie i, starannie prostując i wygładzając te, które zostały pogniecione, poukładał je na komodzie pod oknem jak elementy układanki.

Spojrzał na Lucy i delikatnie wyjął jej z ręki kawałek papieru, który ścisnęła. Był to akt zgonu ich dziecka.

Poczuł pod powiekami piekące łzy. Pragnął wziąć ją w ramiona, przytulić, wyznać winę, wyzalić się. Dlaczego nigdy nie mówili o śmierci małego? Giles nie poruszał tego tematu, żeby jej nie ranić, a poza tym nie wiedział, jak zacząć.

A ona zachowywała się, jakby nic się nie stało; jakby nigdy nie było dziecka, życia, śmierci...

Wczoraj była rocznica śmierci małego. Rocznicę, którą powinni byli spędzić razem. Zamiast tego oboje ją zignorowali. A teraz było już za późno. Czy aby na pewno?

Po cichu wyszedł z pokoju, zszedł na dół i wsiadł do samochodu. Ogrodnicze centrum handlowe było bardzo zatłoczone i Giles z trudem znalazł miejsce do zaparkowania.

Z nich dwojga to Lucy była ogrodniczką, ale Giles dokładnie wiedział, czego chce.

Czy zdaje sobie przynajmniej sprawę, jak duże wyrośnie? - zapytał go z powątpiewaniem chłopak w sklepie. Giles czuł, jak wzbierają w nim żal i gniew.

- To będzie duże, silne drzewo - przekonywał sprzedawca. - Prawdziwe drzewo, a nie

ozdobny krzew nadający się do podmiejskiego ogrodu.

- Dokładnie o to mi chodzi - poinformował go cierpko Giles. Drzewo zapanuje korzenie, wyrosnie i dojrzeje. Będzie żyło tak długo jak on, a nawet dłużej... Rozwinie się tak, jak nie było dane rozwinąć się ich dziecku. Będzie stałe i wierne, jak on nie potrafił być wierny Lucy.

Naturalnie nie mógł wziąć drzewka do samochodu, muszą mu je przysłać i zasadzić. Zapłacił i powiedział dokładnie, o co chodzi. A potem poszedł do głównej części centrum ogrodniczego.

Dziewczyna w kwaciarni zrobiła zdziwioną minę, kiedy usłyszała zamówienie. Musiała mu pomóc wynieść kwiaty do samochodu.

- Jak myślisz, co on z tym zamierza zrobić? - zapytała koleżankę po wyjściu Gilesa. - Mógłby nimi zasypać cały pokój.

- Albo całe ciało - odparła druga dziewczyna z westchnieniem. - Zaraz sobie wyobraziłam, że kocham się z kimś na łóżku obsypanym kwiatami i że cała skóra mi tymi kwiatami pachnie...

- Niektóre mogą zostawiać straszne plamy, na przykład te lilie - dodała z powątpiewaniem pierwsza dziewczyna.

- Zupełnie sobie zniszczyłam taki fajny czarny podkoszulek od ich pyłku. A gdyby tak niektóre z nich były różami i miały kolce?

Druga dziewczyna westchnęła znudzona, ledwie słuchając, co koleżanka mówi.

- Czy myślisz, że dlatego je kupił? - ciągnęła tamta.

- Robił wrażenie lekko nawiedzonego.

Giles musiał przeszukać wszystkie szafki, zanim znalazł odpowiednią liczbę wazonów. Działał powodowany jakimś dziwnym nakazem, gniewem, napięciem.

Szybko, byle jak, wrzucał kwiaty do wazonów, nie zwracając sobie głowy dobieraniem kolorów, kształtów, rodzajów. Wkrótce wszystkie pokoje na dole były zastawione wazonami, wszędzie, w najbardziej przypadkowy sposób. Cały czas miał przed oczami obraz swego zmarłego synka.

- To dla ciebie, Nicholas - mamrotał pod nosem. - Dla ciebie, bo przecież istniałeś... żyłeś... byłeś tu z nami... i zawsze będziesz... - I jak cichy refren, płynący prosto z serca: - Wybacz mi, wybacz...

Kiedyś próbował zaprzeczyć istnieniu swego syna, odmówić mu prawa bycia częścią jego życia, ale to się już skończyło.

- Co ty robisz, Giles?

Odwrócił się. W drzwiach stała Lucy. Musiała usłyszeć jego krzątanie i zeszła na dół zobaczyć, co się dzieje. Najwyraźniej wzięła prysznic i przebrała się, w każdym razie nie było już

w niej śladu tej bezbronności zwiniętego w kłębek śpiącego dziecka, która go tak wzruszyła.

- Te kwiaty...

Czy przypomniało się jej, jak jej przynosił kwiaty - róże, symbol jego miłości i radości?

Przytłaczał go ciężar tych wszystkich myśli.

- To dla Nicholasa - powiedział spokojnie.

Lucy patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- To było wczoraj - powiedziała machinalnie. Zrobiła się biała jak kreda.

- Wiem - odparł, ale Lucy jak gdyby go nie słyszała.

- Wiedziała. Wiedziała, że odszedł. - Mówiła wolno, bardziej do siebie niż do niego;

Giles poznał to po widocznych na jej twarzy emocjach. - Chciałam być z nim, ale mi nie pozwolili. Chciałam, żeby wiedział, że go kocham... chciałam go przytulić i żeby miał dużo miłości.

Nie powinien był umierać... tak samotnie. - Łzy płynęły teraz po jej twarzy strumieniami i Giles, patrząc na jej cierpienie, czuł dojmujący ból. - To wszystko przeze mnie, to moja wina, bo mówiłam, że go nie chcę, a przecież go chciałam, i pozwoliłam mu umrzeć tak samotnie, zamiast go cały czas do siebie tulić. Zamiast cały czas być przy nim. Powinien mieć kogoś...

- Ale on miał - powiedział Giles przez ściśnięte gardło.

- Miał mnie. Ja przy nim byłem.

Po raz pierwszy Lucy spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Nie! - krzyknęła. - Nie kłam, Giles! Ty wyszedłeś...

- Tak, ale wróciłem. Nie mogłem zasnąć, nie mogłem przestać myśleć o tym, co mi powiedziałaś, więc wróciłem. Patrzył na mnie, kiedy to się stało. Myślę... myślę, że... że w jakiś sposób wiedział. Kiedy tak na mnie patrzył, wydało mi się, że w tych jego maleńkich oczkach jest cała mądrość świata. Byłem taki wściekły, taki bezradny. Nie mogłem pomóc mojemu własnemu dziecku. Zawiodłem jego i zawiodłem ciebie. Gdybym ci pozwolił z nim być tak, jak chciałaś...

- Nie - odparła Lucy. - I tak byśmy go nie utrzymali przy życiu, nikt by tego nie zrobił. - Drżącą ręką dotknęła płatka jednego z kwiatów. - A ja myślałam, że zapomniałeś - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Że chciałeś o nim zapomnieć, udawać, że go nigdy nie było. Wyrzucić go ze swojego życia, tak jak wyrzuciłeś mnie.

- Lucy...

Drżała, kiedy ją objął; była to instynktowna fizyczna reakcja na ból, chęć zaprzeczenia temu, co mówiła. Tuląc Lucy do siebie zastanawiał się, jak mógł zapomnieć o tym uczuciu, o tej wzajemnej bliskości.

- Dlaczego nigdy do tej pory nie rozmawialiśmy tak szczerze? - zapytał bezradnie.

- Myślałam, że nie chcesz... że jesteś na mnie zły, że mnie za to wszystko winisz...

- Że cię winię? Ależ skąd! Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć!

- Bo powiedziałam, że go nie chcę. Ale przecież ja go kochałam, Giles... Nie chciałam, żeby umarł. Za żadne skarby.

- Nie, naturalnie, że nie chciałaś. - Tulił ją do siebie i kołysał słuchając słów, które wylewały się z niej teraz potokiem.

Nie umiałby powiedzieć, kiedy żal i współczucie zamieniły się w pożądanie. W jednej chwili tulił ją do siebie i głaskał, po raz pierwszy razem z nią płacząc nad wspólną stratą, a już w następnej czuł przy swoich ustach jej drżące usta, czuł rozpalone ciało, tak dobrze znane i kochane.

Zapach Lucy, jej reakcja na jego bliskość - wszystko to sprawiło, że pragnienie ogarnęło go jak potężna fala, której nie był w stanie się oprzeć.

Jakoś musiał ją rozebrać, musieli się rozebrać oboje, ale Giles zupełnie nie miał świadomości tego faktu, czuł jedynie w swoich dłoniach jej miękkie piersi z ciemnymi krążkami wokół brodawek, dygot jej ciała pod sobą i słyszał ostre krzyki rozkoszy w odpowiedzi na jego pieszczoty.

Mogło to być jedynie bezduszne, erotyczne wyładowanie, ujście dla nagromadzonego bólu i gniewu, ale chyba było inaczej, bowiem głęboko pod pokładami rozpaczony i udręki nie spełnionych pragnień pozostała pamięć wzajemnych potrzeb i upodobań, echo dawnej harmonii, która kiedyś była ich udziałem.

Giles nigdy nie czuł się tak jak teraz, widząc Lucy zaspokojoną, jeszcze drżącą w jego ramionach po przeżytych orgazmie, nigdy nie czuł takiej męskiej dumy i świadomości sprawiania rozkoszy.

Spojrzał na nią; leżała z zamkniętymi oczami i twarzą mokrą od łez, oddychała płytko, spazmatycznie. Zawsze miała skłonności do siniaków i teraz widział już pojawiające się na jej skórze delikatne plamki - ślady jego pieszczot. Widok jej nagiego ciała, tak bardzo kruchego i bezbronnego, poruszył go do głębi.

- Lucy...

Otworzyła oczy, słysząc wypowiedziane szeptem swoje imię, i wtedy Giles pochylił głowę, kryjąc twarz między jej piersiami i mocniej tuląc ją do siebie.

Nie była przygotowana na to, co się stało. Spadło to na nią jak pełna błyskawic letnia burza. Bolało ją wszystko w środku i na zewnątrz, tak jak to bywa tylko po gwałtownym miłosnym akcie. Czowała zapach kwiatów, przyniesionych przez Gilesa, zakręciło jej się w głowie; może to dlatego, że nic nie jadła od wczoraj rana, od...

Poczuła, jak Giles odwraca głowę i zaczyna wargami muskać jej pierś. Zawsze był delikatnym kochankiem, wrażliwym na jej potrzeby, nie brutalnym ani egoistycznym. Dlatego teraz,

pod wpływem jego gwałtownej, bolesnej pieczyoty, zaprotestowała krzykiem.

- Nie tak?... A jak byś chciała? - zapytał cicho. - O co ci chodzi, powiedz. O to?

Zabłądził ręką między jej nogi i Lucy zobaczyła, że znów jest gotów, że jej pragnie tak bardzo jak nigdy. Ale jego pożądanie nie potrafiło przełamać trawiącego ją głębokiego poczucia krzywdy, a fizyczna bliskość nie rozproszyła otaczającej jej samotności.

To nie był Giles, jakiego znała, jej kochanek... jej mąż... to był Giles, który potrafił podniecać ją aż do bólu samym dotykiem palców, tak wprawnych, tak doświadczonych...

Uczepiła się tej myśli, powtarzając sobie, że są dwojgiem ludzi, których małżeństwo już się praktycznie skończyło, ale jej wygłodzone ciało nie chciało tego słuchać.

To nie była miłość, to był czysty seks, ale i tej różnicy nie chciała dostrzec.

Giles rozsunął jej teraz nogi i wtargnął językiem w samo jądro jej kobiecości. Krzyknęła, żeby przestał, ale jednocześnie sięgnęła rękami do jego głowy, wczepiła palce we włosy i przyciągnęła go do siebie.

Później, kiedy już było po wszystkim i leżeli oboje wyczerpani, Giles spojrzał w jej błądą, napiętą twarz i zapytał ochryple:

- O co chodzi? Co się znów stało?

- Wykorzystałeś mnie - odparła z goryczą. - Wykorzystałeś mnie zamiast Daviny.

Davina. Zupełnie o niej zapomniał. Myślał, że Lucy zarzuca mu brak czułości, delikatności, ale nie to; zaczerwienił się na myśl o tym, jak Lucy to wszystko odebrała.

- Nie, Lucy, to nieprawda - zaprotestował.

- Chcesz powiedzieć, że teraz, kiedy już spróbowałeś z nami obydwoma, wolisz mnie? - zapytała lodowato. Ta Lucy, która jeszcze przed chwilą opłakiwała w jego ramionach ich utraconego syna, zniknęła.

- Ja nie spałem z Daviną - odparł gniewnie.

- A więc jednak posłużyłeś się mną w jej zastępstwie.

- Cedziła słowa powoli, jakby odczuwała ból, ale kiedy sięgnął ręką, żeby jej dotknąć, żeby powiedzieć, że nigdy w ten sposób nie myślał o Davinie, że pożądał jej i tylko jej, odepchnęła go szorstko i ruchem obronnym zasłoniła się przed nim ubraniem.

- Dobrze, więc teraz, kiedy już masz, czego chciałeś, to myślę, że najlepiej będzie, jak sobie pójdziesz.

- Lucy... - zaklął wstając i próbując wciągnąć na siebie ubranie. Uświadomił sobie z irytacją, że żaden mężczyzna nie byłby zdolny do sensownej dyskusji z kobietą stojąc nago, i to zaraz po wyczerpującym akcie seksualnym.

- Lucy, posłuchaj, to nie było...

- Nie było ważne, tak? - Uśmiechnęła się do niego niewesoło. - Ciekawe, czy Davina też jest tego zdania. A może w ogóle nie zamierzasz jej o tym powiedzieć?

Bezradny, zły, świadom tego, że jego zachowanie jest niezrozumiałe, i nadal wstrząśnięty odkryciem, że tak łatwo mu przyszło zapomnieć kobietę, którą, jak sądził, jeszcze do niedawna kochał, Giles uznał, że w tej chwili wszelkie próby wytłumaczenia Lucy czegokolwiek miałyby się z celem i że istotnie lepiej wyjść. Poza tym potrzebny był mu czas na przemyślenie tych wszystkich spraw. Czas na zrozumienie tego, co się stało.

Ubierając się zaryzykował jeszcze:

- To jest mimo wszystko mój dom, Lucy, i dalej zamierzam w nim mieszkać.
- A co, nie chce dzielić z tobą ani łóżka, ani domu, tak? - odparowała.

Usłyszał, jak Lucy z trzaskiem zamyka za sobą drzwi, i rozejrzał się bezradnie dokoła. Nigdy nie przypuszczał, że Lucy może z powodu śmierci Nicholasa odczuwać taki żal, mieć takie poczucie winy. Nie wiedział też, że świadomość jego obecności przy śmierci małego ma dla niej tak wielkie znaczenie... Lekarze poradzili mu, żeby pierwszy nie poruszał tego tematu, a jednak, płacząc w jego ramionach mówiła mu sama, jak bardzo chce, żeby mówił o ich dziecku, jak jej zależy, żeby pamięć Nicholasa pozostała żywa. Zrobiło mu się przykro, że o tym nie wiedział, i miał poczucie winy na myśl o tym, jak się z nią kochał i jak jej pożałował.

Davina. Nie mógł jej sobie wyobrazić w takiej sytuacji. Akt seksualny z Daviną to z pewnością coś bardzo spokojnego, kontrolowanego, ograniczonego do godzin nocnych i własnej sypialni, pełne czułości i dyskrecji zbliżenie dwojga ludzi. Te wybuchy gwałtownej namiętności, jakie wywoływała w nim Lucy, z Daviną byłyby niemożliwe.

Znużony, włożył marynarkę. Jak on teraz spojrzy w oczy Davinie, jak spojrzy w oczy sobie?

Wyszedł na korytarz i stał przez chwilę, wyobrażając sobie Lucy tak, jak ją zastał, w embrionalnej pozycji, zwiniętą w fotelu w pokoju ich dziecka.

Te myśli i targające nim emocje i pragnienia, wszystko to razem wprawiało go w oszołomienie. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu powiedział Davinie, że jego małżeństwo się rozpadło, że o ratowaniu go nie może być mowy. A przecież kochał się z Lucy, w dalszym ciągu jej pożałował... pragnął... czuł się z nią związany wspólną żałobą po stracie dziecka...

Czyżby to były konwulsje umierającego uczucia, czy... Czy co? A może tak wyglądają początki schizofrenii? Może jest w nim dwóch różnych mężczyzn, kochających dwie różne kobiety?

Bolała go głowa od natłoku myśli. Wczoraj wieczorem jechał do motelu, przekonany, że kocha Davinę.

A teraz...



Dlaczego nie zrozumiał nic z tego, co czuła Lucy po śmierci Nicholasa? Dlaczego nie widział, nie domyślił się? Dlaczego Lucy nie zwróciła się z tym do niego?

Czy rzeczywiście tak bardzo ją zawiódł? A jeżeli tak, to czy ma prawo wymagać od innej kobiety podjęcia podobnego ryzyka?

Potrzebny mu jest czas, zdecydował znużony. Czas na uporządkowanie myśli i uczuć. Ale jak znaleźć czas dla siebie wobec tak silnej presji spraw związanych z pracą i firmą?

Saul i Cathy wyjechali po Christie na lotnisko. Saul od razu się zorientował, że coś jest nie w porządku, ale postanowił o nic nie pytać, dopóki Cathy nie pójdzie spać.

- Chcesz pogadać? - zapytał później wieczorem, wchodząc do kuchni, gdzie Christie robiła herbatę.

Zesztywniała, nie przerywając swojego zajęcia i udając, że nie wie, o co chodzi.

- Pogadać o czym?

- O tym, co cię tak zdenerwowało - odparł Saul. - Daj spokój, Christie, to tylko ja - uświadomił jej, biorąc ją za ramię i odwracając do siebie. - Nigdy nie potrafiłaś ukrywać uczuć. Mów, co się stało w Edynburgu.

- Nic się nie stało - odparła krótko.

Do diabła, co się z nią dzieje? Jak nastolatka oszalała na punkcie faceta, który tak naprawdę nawet jej nie dotknął. Człowieka, który reprezentował wszystko, czego najbardziej nie znosiła u mężczyzn. Którego ją oszukał.

- Niech ci będzie. - Saul trzymał właśnie w ręku teczkę z dokumentami Carey Chemicals i Christie zmarszczyła brwi widząc, co czyta.

- O, Carey? - zdziwiła się, znajdując potwierdzenie swoich wcześniejszych podejrzeń. - Jednak miałam rację! Ale dlaczego, na miłość boską, sir Alexowi miałyby zależeć na przejęciu tej firmy? - Usiadła wręczając mu kubek herbaty. - A ja myślałam, że oni są na granicy bankructwa.

- Chce się w ten sposób zaczepić na rynku leków - odparł Saul.

- Jasne, leki to wielki biznes, przynosi kolosalne zyski - powiedziała Christie z ironią.

Saul rzucił jej szybkie spojrzenie. Wiedział, co siostra myśli o wielkich firmach farmaceutycznych, ale w jej pełnych goryczy słowach pojawiła się jakaś nowa, bardziej osobista nuta.

- Tu się Alex nie obłowi. Gregory oskubał już firmę do czysta. A zresztą, tak czy inaczej, powinna zostać zlikwidowana. Jak ci już mówiłam, bezpieczeństwo i higiena pracy są u nich na skandalicznym poziomie. Słyszałam o przypadkach łamania tam podstawowych norm. Każą pracować ludziom przy środkach chemicznych bez żadnej ochrony. Bóg jeden wie, jakie to może mieć skutki, naturalnie nie licząc najróżniejszych uczuleń.

Saul słuchał jej ze zmarszczonym czołem. Christie jest impulsywna i żywiołowa, ale cenił sobie bardzo jej profesjonalizm i wiedział, że nie wyrażałaby takich opinii, niemal oskarżeń, gdyby nie miała po temu poważnych podstaw.

- Czy jesteś tego pewna? - spytał. - Że Carey Chemicals rzeczywiście ma takie rzeczy na sumieniu?

- O tyle, o ile mogę być pewna, nie mając możliwości sprawdzenia na miejscu, czym się aktualnie zajmują, a już o to Gregory James zadbał osobiście. Zdołał jakoś wykołować inspektora, przygotowując specjalnie halę produkcyjną na jego przyjęcie. A w jaki sposób się dowiedział o terminie inspekcji, nie mam zielonego pojęcia. Ktoś go musiał uprzedzić, najprawdopodobniej ktoś przekupiony. To zbrodnia narażać zdrowie, a może nawet i życie ludzi i ich dzieci. I to w imię czego? Dla głupiego zysku! To nie tylko zbrodnia, to... to po prostu groteskowe.

W miarę jak mówiła, wracała jej cała złość na Lea, podsycana świadomością gorzkiego zawodu. Znajomość prawdy i możliwość jej zaakceptowania były zawsze dla Christie bardzo ważne, z bólem więc myślała o tym, że niemal wołała, by tym razem ta prawda została jej oszczędzona. Albo żeby sienie powstrzymał przed pójściem z nią do łóżka!

- Czy Davina James już wie, że sir Alex chce ją wykupić?

- Jeszcze nie. Jutro zamierzam się spotkać z jej bankierami, żeby przygotowali wstępne rozmowy.

- Myślę, że nie będzie miała nic przeciwko temu. Podobno firma jest na granicy bankructwa.

- Alex lubi się targować.

Christie rzuciła bratu szybkie spojrzenie. W jego głosie pojawiła się jakaś nieznajoma nuta niesmaku i dezaprobaty.

- Ma duszę hazardzisty i jak każdy hazardzista, lubi świadomość, że zyskał coś za nic.

- Widzę, że za nim nie przepadasz - zauważyła Christie. - To dziwne. Zawsze uważałam, że go podziwiasz.

- Może go kiedyś podziwiałem. Dopóki się nie zorientowałem, że z łatwością sam mógłbym się stać kimś takim. A wtedy już ten podziw mi przeszedł. Powiedz mi, Christie - dodał wstając i patrząc jej w oczy - co byś zrobiła, gdybyś nagle doszła do wniosku, że twoje dotychczasowe życie, ta medycyna konwencjonalna, to jedno wielkie oszustwo? Że zamiast leczyć ludzi i im pomagać, robi im tylko krzywdę? Co byś czuła? Jak byś postąpiła?

Christie patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Byłaby to dla mnie katastrofa - powiedziała niepewnie. - Czułabym się wściekła, oszukana. Jakby wszystko, co dotychczas robiłam, w co wierzyłam, stało się nagle bezużyteczne, pozbawione znaczenia...

- Tak - zgodził się z nią szybko. - I jak byś sobie z tym poradziła?

Spojrzała na niego bezradnie.

- Nie wiem... Nie wiem, jak ludzie radzą sobie z takimi problemami.

- Ja też nie wiem.

- Czy coś takiego spotkało właśnie ciebie, Saul? Czy takie masz odczucia na temat swojego życia, swojej pracy?

- W pewnym sensie. Nie wiem, co się ze mną stało, Christie. Wiem tylko, że ambicje, które kiedyś uważałem za swoje, nie są moje, jeśli w ogóle kiedykolwiek były.

- Nie, nigdy nie były. To były ambicje ojca.

Spojrzeni na siebie. W oczach Christie było współczucie, w oczach Saula ból.

- Ale to nie jego wina - próbował bronić ojca.

Christie nie odezwała się słowem.

- Zawsze mogłem sam o sobie decydować.

Christie milczała dalej.

- Co w tej sytuacji zamierzasz? - spytała po chwili łagodnie.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest to ostatnie zadanie, jakie wykonuję dla Alexa. W pewnym sensie jestem mu winien Carey Chemicals. Muszę spłacić pewien dług - powiedział niepewnie. - Ale jak już go spłacę...

- To co? Poszukasz sobie innej pracy?

- Nie wiem, jeszcze o tym nie myślałem. Chciałbym mieć trochę czasu dla Toma i Josey... Jeśli nie jest jeszcze za późno. Ale najpierw muszę załatwić tę sprawę.

Pochyliwszy się nad teczką z aktami, powiedział beznamiętnie:

- Myślałem, że mam wszystko, a potem pewnego dnia obudziłem się i stwierdziłem, że... nie mam nic. Co jest rzeczywistością, a co iluzją, Christie? I skąd mamy to wiedzieć?

- Intuicja - odparła niepewnie. - To sprawa intuicji. Problem w tym, że nie zawsze jej słuchamy.

- Większość z nas boi się usłyszeć to, co ona nam podpowiada. - Saul pocałował siostrę w czubek głowy i powiedział: - Dziękuję ci, Christie.

- Za co?

- Za to, że oparłaś się pokusie powiedzenia mi: „A nie mówiłam?” - W jego głosie zabrzmiała nuta ironii, widząc jednak minę Christie, roześmiał się. - Z trudem ci to przyszło, co? - zakpił sobie. - Ale było warto. Tak czy owak, dziękuję ci bardzo.

- To z miłości, jesteś moim bratem.

- A miłość wybacza słabości i wady. I to był mój największy błąd, Christie. To, że nie rozumiałem, na czym polega prawdziwa miłość.

Te słowa brzmiały jej w uszach jeszcze długo potem, gdy poszła się położyć,

doprowadzając ją do łez i napełniając poczuciem samotności, którego przyczyn nie była w stanie pojąć.

Saul też nie mógł zasnąć.

Kiedyś wierzył, że ojciec go kochał i że wszystkie plany i ambicje, jakie z nim wiązał, wynikały właśnie z miłości. O ile zaakceptowanie faktu, że sprawy miały się inaczej, było trudne, o tyle zdjęcie ojca z piedestału, na którym przebywał całe życie, i kochanie go w dalszym ciągu jako zwykłej, ułomnej ludzkiej istoty, było jeszcze trudniejsze.

Saul próbował nie myśleć o tym, że ojciec musiał wiedzieć, co on czuje, że w pewnym momencie musiało się to odbić na ich wzajemnych stosunkach... A jego własny syn i córka? A miłość, której mieli wszelkie prawo od niego oczekiwać?

Poruszył się na łóżku niespokojnie. Chciał mieć już sprawę Carey Chemicals za sobą. Chciał móc w ten sposób spłacić dług polegający na tym, że nie dopuścił do przejęcia Harper & Sons, i ze spokojnym sumieniem pożegnać się z sir Alexem.

Żeby zająć się wreszcie dziećmi, przekonać je o swojej miłości i poprosić o wybaczenie za wszelkie przewinienia. Żeby zacząć nowe życie, swoje własne i niczyje inne.

- Czy jest już Giles?

Giles skrzywił się słysząc, że Davina o niego pyta. Jego umysł pozostawał w stanie odrętwienia na skutek nadmiernej ilości danych, które miał przetworzyć, dlatego kiedy Davina weszła do jego pokoju, poczuł się niezręcznie, jakby był czemuś winien.

Winien, ale czemu? Temu, że się kochał z własną żoną?

Tego ranka Lucy wstała przed nim. Giles był wstrząśnięty widząc ją krzątającą się w kuchni, a jeszcze bardziej wstrząśnięty, kiedy się okazało, że mu przygotowała śniadanie. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział ją w kuchni przed wyjściem do pracy; wiedział jedno: że był z tego zadowolony, bo przynajmniej nie musiał zaczynać dnia od awantury, jaką się zawsze kończyły ostatnio ich spotkania.

Tego ranka Lucy była milcząca. Wyglądała na zapłakaną. Czyżby z powodu Nicholasa?

Kiedy próbował jej podziękować za śniadanie, wzruszyła ramionami i burknęła:

- Nie mogłam spać. Niestety, pewnie to śniadanie nie dorównuje standardom Daviny. - Wykrzywiła usta i Giles próbował jej przerwać, ale mu nie pozwoliła. - Wiem, co czujesz. W porządku, powiedz mi tylko, o co ci chodzi. O cichy, kulturalny rozwód, tak? I żeby to wszystko elegancko załatwić? O to właśnie chodziło wczoraj, jak przypuszczam - prowokowała go dalej. - Nie martw się, nie będę ci utrudniała. Niby po co?

Pół godziny później wyszedł z domu, zastanawiając się, dlaczego zamiast ulgi odczuwa rozpacz, zamęt i urazę po wczorajszych przeżyciach. Czuł się zły i oszukany, jakby Lucy

odmawiała mu prawa do wspólnego żalu nad utratą małego, a jednocześnie miał poczucie winy, że nie wiedział, jak wielka jest jej rozpacz.

A oto Davina, która swoim uśmiechem tylko pogłębia jego rozterkę.

Unikał patrzenia jej w oczy, udając, że przewraca papiery na biurku. Z marsmem na czole odpowiedział sucho na jej powitanie. Natychmiast wyczuła jego napięcie; był blady i widziała wyraźnie, jak mu drży ręka, kiedy sięgał po dokumenty. Z jakiegoś powodu jej obecność go drażniła. W niczym nie przypominał niedawnego „napalonego” kochanka, odnotowała z ironią. Po kilku jej zdawkowych uwagach na temat pogody napięcie Gilesa zelżało.

Już dawno - najpierw z ojcem, a potem z Gregorym - opanowała sztukę świadomego niedostrzegania złych nastrojów innych i teraz automatycznie uciekała się do tej bezcennej umiejętności, udając, że nie widzi ani poczucia winy Gilesa, ani skrępowania jej obecnością. Davina nie jest tak wrażliwa na jego humory jak Lucy, pomyślał Giles. Lucy natychmiast by się zorientowała, że coś jest nie w porządku, i tak długo by go męczyła, aż by wyznał, o co chodzi.

Davina nie zrobiła nawet najmniejszej aluzji do tamtego wydarzenia podczas weekendu. Cały czas mówiła o jakichś problemach z damskimi toaletami i Giles z trudem opanował chęć, by wziąć ją w ramiona i opowiedzieć, jak spędził wczorajsze popołudnie. Gotów był zrobić wszystko, byle tylko zachwiać tym jej idiotycznym spokojem.

Idiotycznym? A czyż to właśnie nie ten spokój tak mu się początkowo w niej podobał?

Poirytowany powiedział, że zajmie się tą sprawą, a jego irytacja jeszcze przybrała na sile, kiedy odparła pogodnie:

- Nie ma problemu, już wezwałam hydraulika.

Giles spojrzał na nią chmurnie. Skoro już wszystko załatwiła, to po co zawraca mu głowę? Po co się w ogóle zajmuje takimi głupstwami, skoro mają znacznie ważniejsze problemy?

Na szczęście nie dostrzegł w jej oczach błysku zaprawionego goryczą rozbawienia, kiedy wychodziła.

Ach, Matt, coś ty mi narobił, westchnęła z zalem, idąc do siebie. Czy jestem taką niepoprawną idealistką, czy jestem trochę niesprawiedliwa? - zastanawiała się ze smutkiem. Przecież to nie wina Gilesa, że przy wszystkich jego zaletach brakuje mu trochę poczucia humoru...

A właściwie, czego ona szuka w mężczyźnie? Jakie wartości ceni najbardziej? Nie ambicję, nie agresywność, nie dziecinną potrzebę eksponowania siebie. Z pewnością też nie byłby jej ideałem mężczyzna, który by żądał, żeby żyła w jego cieniu. Znacznie łatwiej byłoby jej powiedzieć, czego nie chce, niż co jest dla niej najważniejsze.

Z całą pewnością nie uroda - ten etap już miała za sobą. Dobroć, wrażliwość - owszem, ale i siła. Kąciki ust drgnęły jej w uśmiechu na myśl o tej typowo kobiecej, głęboko zakorzenionej

perwersji. Atrakcyjność seksualna i zgodność. Tak, to są wartości, które najbardziej ceni w mężczyźnie. A poza tym radość, przyjaźń, wzajemne poszanowanie i miłość. Ale przede wszystkim zależałoby jej na człowieku dostatecznie silnym i pewnym siebie i jej, żeby ją zaakceptować taką, jaką jest, żeby respektować jej potrzebę niezależności, a jednocześnie być przy niej wtedy, kiedy będzie potrzebowała wsparcia. Żeby w niej uszanować gospodynię i panią domu, nie zwalając na nią wszystkich związanych z tym obowiązków. Żeby doceniać jej indywidualne potrzeby i pragnienia, nawet jeśli sam ich nie podziela; żeby stać przy niej w chwilach słabości i cieszyć się jej sukcesami, żeby być jej partnerem w każdej życiowej sytuacji.

Czy taki mężczyzna w ogóle istnieje? Roześmiała się na myśl o swoich fantazjach. Mało prawdopodobne. Zresztą nawet gdyby istniał, to i tak by go pewnie odrzuciła, uznając, że jest zbyt doskonały, za mało ludzki. Ale dosyć już tych marzeń o idealnych mężczyznach, ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

Saul bardzo starannie wybrał porę swojego telefonu do banku Daviny. Była to sztuka, którą w ciągu lat praktyki zawodowej opanował do perfekcji. Nie na darmo cieszył się opinią wspaniałego stratega o niemal makiawelskiej zdolności planowania, a zarazem człowieka o wprost magicznej umiejętności przewidywania. City, handlowe i finansowe centrum Londynu, jak każda inna wiekowa instytucja, miało swoje legendy i folklor, ale też i przesady, tak więc, obok podziwu dla starannie kultywowanych ludzkich przymiotów Saula, wytworzyło wokół niego aurę niemal proroka i jasnowidza.

Małe miasteczko w Cheshire mogło się wydawać położone na innej planecie niż londyńskie City, szczególnie komuś, kto, jak Davina, nie należał do świata biznesu i jego zawitych powiązań, kiedy więc o wpół do szóstej zadzwonił prezes jej banku i poprosił o połączenie z Gilesem, zamiast z nim połączono go z Daviną. Prezes zakomunikował jej, że zwrócił się do nich przedstawiciel pewnej firmy zainteresowanej wykupieniem Carey Chemicals i że wyznaczono spotkanie nazajutrz na dziewiątą rano w banku. Davina, zamiast zasiąść natychmiast i zająć się, tak jak to sobie wyobraził Saul, opracowaniem najdogodniejszych dla siebie jako głównego udziałowca warunków transakcji, zaczęła przygotowywać listę warunków sprzedaży, nie mającą nic wspólnego z jakimikolwiek własnymi korzyściami finansowymi.

Saul, który zaplanował swój telefon starannie, tak żeby zostawić Davinie i jej doradcom jak najmniej czasu na przygotowania, domyślał się przebiegu spotkania. Zapewne dadzą mu do zrozumienia, że Carey Chemicals to bardzo cenny nabytek, na co on odpowie, że firma znajduje się w stadium bankructwa, i dopiero od tej chwili rozpoczną się negocjacje ceny, którą jego zadaniem będzie sprowadzić do poziomu zadowalającego sir Alexa. Wątpił, czy po spłaceniu długu bankowego i innych wierzytelności Davinie pozostanie więcej niż tylko garstka drobnych. Jej

pozycja przetargowa była bardzo słaba.

Tego dnia Giles wyszedł wcześniej z pracy i udał się do dentysty, Davina musiała więc zadzwonić do niego do domu. Wahala się przez chwilę, zanim wybrała numer. Telefon odebrała Lucy i Davina była zadowolona, że przyjaciółka nie widzi jej wypieków. Nie dlatego, żeby miała cokolwiek na sumieniu. Nie spała z Gilesem i nigdy nie namawiała go na rozwód.

Ale też i nie zniechęcała zbyt usilnie, prawda? Lucy wysłuchiwała wyjaśnień Daviny w milczeniu, co było bardzo denerwujące, a gdy Giles długo nie podchodził do telefonu, Davina zaczęła się zastanawiać, czy Lucy w ogóle poszła go poprosić.

- Davina? - Jego głos był napięty i zirytowany. Mąż mający to i owo na sumieniu, wytrącony z równowagi przez telefon kochanki?

Ale przecież ona nie była jego kochanką! Davina przywołała się do porządku i powiedziała Gilesowi, co się stało.

- Potencjalny nabywca? Ale kto? - spytał Giles ostro i zaklął pod nosem. Dlaczego, do diabła, musiało się to zdarzyć akurat wtedy, kiedy go nie było?

- Nie wiem - odparła Davina. - Obojętne, kto to jest, najwyraźniej nie ma na razie ochoty się ujawnić. Jutro rano mamy spotkanie, Giles, dlatego dzwonię. O dziewiątej w banku.

- O dziewiątej. - Tym razem Giles zaklął głośno. - Nawet nie mamy czasu, żeby się przygotować. Możesz być spokojna, że ten, co się interesuje firmą, doskonale, zna jej kondycję. Będą chcieli ją kupić za grosze.

- Cena mnie zupełnie nie interesuje - odparła ostro Davina - pod warunkiem, że utrzymają stan zatrudnienia i poprawią warunki pracy. Giles westchnął.

- Posłuchaj mnie, Davino. Takich spraw się tak nie załatwia. Musisz przekonać tych ludzi, że firma jest w znacznie lepszej kondycji finansowej niż w rzeczywistości, w przeciwnym razie... będą się zachowywali jak rekiny, które poczuły krew.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli jakąkolwiek szansę, skoro ci ludzie rozmawiali już z Philipem Taylorem - zauważyła spokojnie Davina.

- Taylor nie ma prawa zdradzać nikomu naszej sytuacji finansowej. Jego obowiązkiem jest...

- Jego obowiązkiem jest dbać o interesy banku, Giles - przerwała mu delikatnie. - Już sam fakt, że zamiast zwrócić się bezpośrednio do nas, skontaktowali się najpierw z bankiem, świadczy o tym, że doskonale znają stan finansowy firmy. Już ci mówiłam, że nie zamierzam robić na Carey Chemicals żadnego interesu. Zależy mi na zabezpieczeniu interesów naszych pracowników.

- Żaden nabywca nie weźmie na siebie takiego zobowiązania - ostrzegł ją Giles ponuro.



- To zależy od tego, jak ważna jest dla nich ta sprawa - skontrowała spokojnie Davina.

- Jaka sprawa? - zaczął Giles, ale Davina zdążyła już odłożyć słuchawkę.

W chwili, kiedy właśnie przeklinał pod nosem, do pokoju weszła Lucy.

- Kłótnia kochanków? - spytała ze złośliwą słodyczą w głosie.

- Ktoś chce kupić Carey Chemicals - odpowiedział ignorując zaczepkę. Zauważył, że kwiaty, które wczoraj przyniósł, zostały starannie poukładane, ale prócz tego zauważył coś jeszcze.

Na małym stoliku, w widocznym miejscu, pojawiło się zdjęcie Nicholasa.

Lucy zauważyła, że Giles na nie patrzy.

- Poszłam dziś rano i kupiłam ramkę - powiedziała sztywno i odwróciła się do niego plecami, jakby się bała jakiegoś sprzeciwu z jego strony.

Giles wziął fotografię do ręki i zaczął się jej przyglądać.

Nicholas. Ich syn. Maleństwo... takie kruche, że samo patrzenie na tę kruszynę wydawało się bolesne. A jednak chciał na niego patrzeć, chciał pamiętać, chciał czuć...

- Nie zauważyłem... - zaczął przez ściśnięte gardło - że... że był taki do ciebie podobny. - Ale kiedy się odwrócił, stwierdził, że mówi do pustego pokoju, że Lucy już nie ma.

Delikatnie odstawił zdjęcie w srebrnej ramce na stolik.

Opracowanie warunków, na jakich Davina była skłonna sprzedać firmę, nie przedstawiało większych trudności. Trudne mogło się okazać przekonanie do nich Gilesa i Philipa Taylora.

Jak silne mogą się okazać naciski banku na sprzedaż firmy? - zastanawiała się zagryzając wargi. Była wprawdzie głównym udziałowcem, ale jeżeli bank zażąda natychmiastowej spłaty długu...

Sięgnęła po kartkę i zaczęła bazgrać na niej jakieś cyfry. Miała dom i pieniądze na kontach Gregory'ego. Trochę za mało, ale prawie dosyć, żeby zaspokoić roszczenia banku, gdyby bardzo naciskał.

Nie miała żadnych złudzeń co do stanowiska, jakie zajmie Philip Taylor. Będzie nalegał na sprzedaż. I trudno mieć do niego pretensje. Był przecież pod stałą presją swojej centrali.

A Giles? Giles też będzie za sprzedaniem firmy. I gdyby rzeczywiście do tego doszło, byłaby to świetna okazja dla Lucy i Gilesa, żeby się stąd wynieść i zacząć wszystko od nowa. Jak ona, Davina, by się czuła, gdyby Giles wyjechał? Ceniła go sobie jako przyjaciela i Giles rzeczywiście był dobrym przyjacielem, ale podejrzewała, że w pewnym momencie zaczęły nim kierować inne emocje. Teraz nie było już ani możliwości powrotu do ich dawnych stosunków, ani szansy na zostanie kochankami. Nie wiedziała - tak jak zapewne i Giles - czy ta świadomość sprawiła jej ulgę, czy rozczarowanie.

Było po pierwszej, kiedy poszła spać, szykując się na konflikt, którym, jak czuła, nieuchronnie musi się skończyć ranne spotkanie.

Oficjalny strój: kostiumy i bluzki, pomyślane tak, żeby w jak największym stopniu przypominały męskie ubranie - oto, co powinna nosić nowoczesna kobieta interesu, uświadomiła sobie Davina z krzywym uśmiechem. Cóż, nic takiego w swojej garderobie nie miała. Jej ubranie było raczej proste i wygodne, a nie obliczone na podkreślenie jej roli i pozycji.

Zmarszczyła czoło sięgając po skromną spódnicę i żakiet, które pierwotnie zamierzała włożyć, zamiast tego jednak włożyła rękę głębiej do szafy i wyciągnęła zapinany na suwak worek z garsonką, której szukała.

Na kilka miesięcy przed śmiercią Gregory'ego wybrała się z Lucy na zakupy do Chester. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, bo przecież nie należała do kobiet, które miewają ekstrawaganckie wyskoki czy podejmują nieprzemysłane, absurdalne decyzje.

Może sprawiła to piękna słoneczna pogoda, a może lekko ironiczna mina ekspedientki, która musiała widzieć, jak jasnobeżowa, droga garsonka z dziwacznym napisem „Szkoda czasu i atłasu”, wyhaftowanym w talii żakietu złotymi nićmi, nie pasuje do klientki, jaką była Davina.

Nigdy nie włożyła na siebie tej garsonki; wiedziała, że tak będzie już w chwili, gdy go kupowała, a co było jeszcze bardziej upokarzające, wiedziała o tym również ekspedientka. Ostatecznie jakie miała zastosowanie garsonka, wyraźnie zaprojektowana z myślą o pewnej sobie, bywałej w świecie osobie, całkowicie obojętnej na to, co o niej pomyślą inni, dla kogoś z jej stylem bycia i życia?

Gdyby to bowiem Lucy kupiła tę garsonkę... Lecz Lucy kupiła wtedy jaskrawoczerwoną sukienkę, w której, ze swoimi rudymi włosami, powinna była wyglądać fatalnie, a wyglądała wspaniale.

Rozsunąwszy zamek błyskawiczny plastikowej torby Davina stwierdziła, że garsonka nie tylko jest nieodpowiednia na oficjalne spotkanie, ale że biorąc pod uwagę jego charakter, może być pochyta za akt prowokacji.

A zresztą, dlaczego nie? Już z samego tonu głosu Philipa Taylora, w którym wyczuła nutę pobłażania, zorientowała się, że nie zamierza on traktować poważnie jej warunków sprzedaży Carey Chemicals, więc dlaczego nie wejść w tę rolę i nie zagrać jej do końca? Niech wiedzą, że należy ją traktować poważnie, mimo że nie zamierza dostosowywać się do ich męskich koncepcji wyglądu i zachowania kobiety interesu.

Carey Chemicals to jej firma, ona czuje się odpowiedzialna za pracujących w niej ludzi i tej odpowiedzialności się nie sprzeniewierzy, jak to zrobili jej ojciec i mąż.

Wyjęła z torby garsonkę i przyłożyła do siebie.

Niestosowna, wręcz śmieszna... tak. Ale taką sobie wybrała i co komu do tego? Kiedy włożyła garsonkę na siebie, wydało jej się, że słyszy pełen aprobaty śmiech Matta.

Do banku przyjechała za pięć dziesiątą. Giles był już na miejscu i kiedy zaparkowała samochód, wysiadł ze swojego i podszedł do niej. Otworzył szeroko oczy na widok jej stroju, ale zignorowała to i uśmiechnęła się pogodnie, udając całkowicie nieświadomą jego wrażeń.

Sekretarka Philipa Taylora, która obrzuciła Davinę pełnym podziwu i niedowierzania spojrzeniem, oznajmiła, że pan Taylor już czeka.

Kiedy weszli do gabinetu, był sam. Obrzucił Davinę krótkim spojrzeniem i dopiero po chwili, gdy zdał sobie sprawę z jej niecodziennego wyglądu, popatrzył na nią raz jeszcze, zaskoczony i lekko wytrącony z równowagi.

- Pomyślałem, że zanim przyjdzie pan Jardine, moglibyśmy omówić kilka spraw we własnym gronie.

- Tak. A kim jest ów zapowiadany klient? - zapytał Giles, zanim Davina zdążyła otworzyć usta.

- I dlaczego zależy mu na Carey Chemicals? - przerwała mu Davina spokojnie, ale stanowczo.

- Myślę, że na oba te pytania najlepiej odpowie sam pan Jardine. Muszę powiedzieć, że to naprawdę szczęśliwy traf. Obawiałem się, że będziemy mieli prawdziwy kłopot ze znalezieniem nabywcy...

- Mam nadzieję, że mu tego nie powiedziałaś? - zapytała Davina słodkim tonem.

Philip Taylor zaczerwienił się lekko i zaczął przekładać papiery na biurku.

- Kłopoty, jakie przeżywa firma, nie są tajemnicą - odparł szybko. - No i Jardine nie próżnował. Sądzę jednak, że w tych okolicznościach warunki, jakie proponuje, są rozsądne.

- Miejmy nadzieję, że panu Jardine moje warunki wydadzą się równie korzystne jak tobie wydały się jego - dodała Davina słodkim tonem.

- Twoje warunki? - Philip Taylor spojrzał na nią z niedowierzaniem. - Moja droga, ty chyba nie rozumiesz sytuacji...

- Naturalnie, że rozumiem - zapewniła go Davina. - Tobie chodzi o spłacenie zaciągniętych pożyczek. Niejakiemu panu Jardine chodzi o Carey Chemicals. A mnie chodzi o bezpieczeństwo moich pracowników.

- Jardine nigdy się na to nie zgodzi - zaprotestował Giles.

Davina spojrzała na niego z namysłem.

- To zależy, nie uważasz?

- Od czego?

- Od tego, jak ważne jest dla niego przejęcie Carey Chemicals.

Zapadła niezręczna cisza, po czym Philip Taylor powiedział zmieszany:

- Myślę, Davino, że będzie lepiej, jeśli negocjacje pozostawisz mnie i Gilesowi. Wiem, że w sensie formalnym ty, jako główny udziałowiec... Wiem, że chcesz dobrze, moja droga, ale tam, gdzie w grę wchodzi interesy...

Ignorując protekcyjnalne „moja droga”, Davina uśmiechnęła się miło.

- Nie, to wykluczone, Philip, już i tak za długo zwałałam swoje obowiązki na innych. Tak jak powiedziałeś, jestem głównym udziałowcem i wobec tego...

Urwała, bo weszła sekretarka, żeby zaanonsować pana Jardine.

- Wprowadź go, Sylwio - powiedział Taylor - i podaj nam kawę.

Davina nie siedziała naprzeciwko drzwi i dlatego wiedziała, że bez odwrócenia się, czego nie zamierzała robić, nie będzie miała okazji przyjrzeć się Saulowi Jardine, dopóki nie znajdzie się na tyle blisko niej, że sam będzie mógł ją sobie obejrzeć.

Kiedy Philip Taylor odsunął krzesło i wyciągnął rękę do przybysza z ciepłym: „Witaj, Saul”, podniosła się i Davina, z twarzą spokojną i opanowaną, co było kolejną sztuką, jaką opanowała przy ojcu.

Saul stał teraz naprzeciwko niej i mogła patrzeć wprost na niego.

Szok, jaki przeżyła, na ułamek sekundy odmalował się na jej twarzy. Pochwyciła w jego oczach błysk kpiny i ogarnęła ją fala gniewu.

Jak mogła się nie domyślać... nie zorientować... nie dodać dwóch do dwóch...

Philip przedstawił Davinę, która zamiast podać gościowi rękę, skłoniła mu głową i postąpiła krok do tyłu. Zdażyła już odzyskać panowanie nad sobą, już znów mierzyła go wzrokiem, oceniała.

Nie ulegało wątpliwości, że ma do czynienia z człowiekiem, który lubi intrygi i sztuczki. Wyobrażała sobie, jaką przyjemność musiało mu sprawić tamto błyskawiczne kłamstwo, kiedy wpadli na siebie wtedy wieczorem.

Ciekawe, co on tam robił? Myszkował w poszukiwaniu jakichś informacji na własną rękę? Jeśli tak, to ryzykował. Zakład mógł być przecież strzeżony przez psy albo mieć podłączone alarmy. Czy był wobec tego człowiekiem lubiącym ryzyko, wyzwanie?

- Od śmierci męża firmę prowadzi Davina - wyjaśniał właśnie Philip Taylor.

- Myśmy się już poznali z panią James. Złożyłem jej nawet wizytę w nadziei, że porozmawiamy nieoficjalnie, ale... była zajęta.

Giles, który również poznał Saula, zrobił się purpurowy na twarzy.

- Szkoda, że nie podał pan celu swojej wizyty. Z przyjemnością zapoznałabym się z pana propozycjami. Ach, przepraszam, to przecież nie są pana propozycje, prawda? - dodała słodko. -

Philip mówił mi, że działa pan na czyjeś polecenie.

- Tak, zgadza się - odparł. Tym razem w jego tonie pobrzmiwała stalowa nuta, a spojrzenie, jakim ją obrzucił, było zimne. Ale nie spieszyło to Daviny.

- Wspólnika w interesach czy też pracodawcy, tak? - pytała dalej. Zauważyła, jak zacisnął usta.

- Pracodawcy, jeśli o to chodzi - wyjaśnił cierpko.

- A czy mógłby pan nam zdradzić, kim jest ten pracodawca? - nalegała dalej. Widziała, jak Giles i Philip Taylor się krzywią. Myślała przez chwilę, że Jardine unika odpowiedzi na jej pytanie.

- Nie ma żadnego powodu, żeby państwo mieli tego nie wiedzieć, chociaż rozumiem państwo zapewne sir Alexa Davidsona, gdy powiem, że wolałby, aby sprawę jego zainteresowania Carey Chemicals traktować poufnie.

- Na wypadek, gdyby to zainteresowanie wzbudziło podobne zainteresowanie u innych? - zauważyła cierpko Davina.

Saul spojrział na nią z uwagą. Była sprytniejsza, niż sobie wyobrażał, i w ogóle inna. Zastanawiał się, dlaczego włożyła na siebie coś tak ekstrawaganckiego. Było to coś, w co wysoce wyrafinowana i inteligentna kobieta mogłaby się ubrać na lunch z kochankiem; kobieta o takiej pewności siebie i świadomości własnej atrakcyjności, że mogłaby na przykład nie mieć już nic pod spodem i w delikatny sposób dać to swojemu partnerowi do zrozumienia.

A przecież Davina James taką kobietą nie była. A może...? Zmarszczył czoło, ogarniając ją kolejnym szybkim spojrzeniem i besztając siebie za choćby chwilowe wątpliwości co do jej oceny, które rozwiął widok stanika delikatnie prześwitującego przez cienką tkaninę garsonki.

- Owszem, bywa tak, że inni lubią naśladować posunięcia sir Alexa - zgodził się uprzejmie Saul. - Aczkolwiek nie zawsze z równą jak on zręcznością potrafią unikać ukrytych raf. - Obdarzył ją krótkim uśmiechem, który, jak się Davina zorientowała, miał oznaczać zbagatelizowanie jej uwag jako zwykłych przekomarzanek.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, dobrze? Pani firma jest na granicy bankructwa, a mój pracodawca... - uśmiechnął się znów przy tym słowie, jakby chciał podkreślić, że nie obrażała go jej zgryźliwa uwaga, ale Davina wiedziała swoje - ...mimo że mu zależy na przejęciu firmy, to przecież musi wziąć pod uwagę warunki rynkowe.

- Jeśli chce pan mnie ostrzec, że pański pracodawca spodziewa się kupić firmę za półdarmo, to jest to coś, czego się domyślam bez pańskiej pomocy, panie Jardine - powiedziała sarkastycznie Davina.

Wstała ignorując wyraz napięcia widoczny na twarzach zarówno Gilesa, jak i Philipa

Taylor.

- Będę szczerą. Przy sprzedaży firmy nie mam na uwadze żadnych korzyści osobistych. Naturalnie, że są nie spłacone pożyczki bankowe, ale tym się nie musimy tutaj zajmować. Philip zapoznał już pana ze wszystkimi interesującymi pana szczegółami.

Rzuciła bankierowi szybkie spojrzenie, potwierdzając, że widzi jego irytację i zmieszanie.

- Znacznie bardziej interesuje mnie, co pański pracodawca zamierza zrobić z Carey Chemicals.

- Co zamierza zrobić? - Saul uniósł brwi, jakby go to pytanie zaskoczyło.

- Tak. Do jakich celów jest mu firma potrzebna.

- Obawiam się, że sir Alex nie zawsze ze wszystkiego mi się zwierza - odparł gładko Saul.

- Jak już pani wcześniej słusznie zauważyła, jestem tylko pracownikiem.

- Rozumiem.

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, było nieprzyjemnie lustrujące. Wkroczył, jak się zorientował, na niebezpieczny grunt. A może został po prostu zręcznie wmanewrowany? Na samą myśl o tym jego oczy zwęziły się, wpatrzone w Davinę, która jednak pozostała niewzruszona.

- Myślę, że w tej sytuacji najrozsądniej będzie, jeśli po prostu przedyskutuję z panem warunki, na jakich zamierzam sprzedać firmę, tak żeby mógł je pan przekazać sir Alexowi. Przygotowałam taki projekt i wydaje mi się, że kiedy się pan z nim zapozna i skonsultuje z pańskim pracodawcą, spotkamy się ponownie.

Z tymi słowami Davina sięgnęła do leżącej na biurku niewielkiej teczki, wyjęła z niej kilka kartek maszynopisu i wręczyła Saulowi.

- Davina, co?... - spytał speszony Giles.

- Wszystko w porządku, Giles. - Uśmiechnęła się do niego z wyrazem stanowczości na twarzy. - Nie będziemy chyba więcej zajmowali panu Jardine czasu. Nie ma takiej potrzeby, prawda? - Wręczyła najpierw jemu, a potem również i Philipowi Taylorowi kopię dokumentu przeznaczonego dla Saula.

- Kiedy to właściwie zostało opracowane? - zapytał osłupiały Giles.

- Wczoraj wieczorem - odparła łagodnie. - Mój ojciec uważał, że każda obowiązkowa córka powinna nauczyć się maszynopisania, panie Jardine - zwróciła się do Saula. - I pewnie miał rację.

Czy chciała dać mu w ten sposób do zrozumienia, że doskonale rozumie, dlaczego o tym porannym spotkaniu została zawiadomiona dopiero późnym popołudniem poprzedniego dnia, czy to tylko jego imaginacja?

- Davino... Nigdy nawet słowem nie wspomniałaś, że zamierzasz opracować jakieś warunki sprzedaży firmy - zaczął wyraźnie zmieszany Philip Taylor.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

- Czyżby, Philip? To niemożliwe...

Lucy szalała na górze; połowa zawartości szaf leżała porozrzucana na podłodze, stanowiąc świadectwo jej złego humoru. W sam środek tej burzy wkroczyli ludzie z drzewkiem.

Właśnie w tym momencie jej siły się wyczerpały. Jak cierpliwość Gilesa, jak jego miłość do niej? Łzy przesłoniły jej oczy. Co ją obchodzi Giles i to, co do niej czuje, czy może raczej nie czuje? Wkrótce znajdzie sobie innego mężczyznę. Ogarnęło ją rozgoryczenie. Niejednemu powiedziała „nie” w czasie trwania ich małżeństwa.

Giles był zawsze dosyć naiwny w tych sprawach. Nie widział, że koledzy, którym ją z taką dumą przedstawiał, pod pozorami zwykłych uśmiechów i komplementów oceniali swoje szanse na przespanie się z nią. Ale ona szczyła się swoją wiernością oraz lojalnością wobec Gilesa i odmawiała sobie przyjemności flirtu. To podkreślanie głębi swego uczucia do męża uważała za dowód własnej dojrzałości.

Nigdy jednak nie sądziła, że gdyby któreś z nich miało zgrzeszyć przeciwko ich małżeńskiej wierności, to będzie to właśnie Giles. I jeszcze do tego z Daviną James! Z Daviną, której mąż nigdy nie robił tajemnicy z tego, że pogardza swą żoną, który próbował flirtować i z Lucy, nie kryjąc, że chętnie by się z nią przespał. Odmówienie mu zresztą wcale nie było trudne.

Lucy miotła się po pokoju, nie zwracając uwagi na rozrzuconą po podłodze garderobę. Przybiegła tu w ataku furii po wyjściu Gilesa do pracy. Rozwaga, opanowanie, ruchy powolne i starannie zaplanowane - wszystko to było nie dla niej. Przyszła chwila, kiedy miesiące niezdecydowania i czekania na jakąś kulminację zrobiły swoje i doszło do wybuchu.

Dlaczego niby ma czekać, aż Giles się zdecyduje, którą z nich woli? Jej usta wykrzywił wyraz pogardy. Czy rzeczywiście wyobraża sobie, że z kontaktów z Daviną potrafi czerpać taką samą podniecie i satysfakcję, jak ze stosunków z nią? Czyż kochając się z nią, z Lucy, nie dał im obu odczuć, że w głębi serca wcale tak nie uważa?

Mimo to jednak, kiedy spojrzała w lustro, stwierdziła, że ironicznemu, pełnemu triumfu uśmiechowi zaprzecza wyzierający z oczu wyraz rozpacz. A jeśli to inne rzeczy, te właśnie, które mogła mu dać Davina, były dla niego ważniejsze?

Przejął ją strach, który zawsze po cichu żywiła, i gnana niepokojem podeszła do okna. Widok dwóch mężczyzn, którzy w samym środku nieskazitelnego trawnika Gilesa kopali głęboki dół, wstrząsnął nią i kazał na chwilę zapomnieć o tamtych sprawach.

Jak burza zbiegła na dół i otworzyła drzwi od kuchni. Ledwie dostrzegła łakome spojrzenia, jakimi obrzucili ją mężczyźni. Ten trawnik to była duma i radość Gilesa i gdzieś w głębi duszy



przejął ją strach, ostry i zdradziecki jak podwodne rafy ukryte pod spokojną tonią, że Giles tak bardzo się już od niej odsunął, że nawet takie świętokradztwo przestało robić na nim wrażenie.

Tak, z całą pewnością adres jest właściwy, zapewnili ją robotnicy, kiedy ich spytała, co tu robią.

- Wszystko w porządku, Lucy, to ja zamówiłem drzewko.

Niespodziewany głos Gilesa, który nagle za sobą usłyszała, sprawił, że odwróciła się błyskawicznie.

- Giles... Co ty robisz w domu? - Poczowała ukłucie strachu, spotęgowane wyrazem napięcia malującym się na bladej twarzy męża. Na pewno przyszedł jej powiedzieć, że się zdecydował i że od niej odchodzi. Bariery obronne, jakie w sobie wzniosła, nagle runęły. Nie mogła się ruszyć, nie mogła wydobyć z siebie słowa, mogła jedynie wpatrywać się w niego pełnymi przerażenia oczami.

- Chodźmy do domu - usłyszała jego słowa.

Wziął ją za ramię, ale wyrwała mu się, nie mogąc znieść myśli, że całą miłość, pragnienie i pożądanie, jakie ich kiedyś łączyły, zastąpiło zimne, dalekie współczucie i niesmak.

Mimo wlewającego się przez okna słońca, w kuchni panował chłód. Objęła się ramionami i patrzyła, jak Giles się rozgląda.

Co on robi? - zastanawiała się, usiłując spojrzeć na kuchnię jego oczami. Czy porównuje panujący tu bałagan - nie posprzątane po śniadaniu naczynia, nie otwartą poranną pocztę, porozrzucane po wszystkich kątach rzeczy - z nieskazitelnie porządną, niemal antyseptyczną kuchnią Daviny?

Niezmienny ład domu Daviny zawsze wydawał się Lucy trochę odpychający. Pamiętała, jak kiedyś przyniosła jej kwiaty i jak Davina, dziękując za nie, niemal z bólem w oczach dotykała ich płatków. Kiedy Lucy przyszła następnego dnia, po kwiatkach nie było śladu. Davina, zaczerwieniona ze wstydu, wyjaśniła jej, że Gregory nie lubi kwiatów w domu, chyba że są to specjalne kompozycje służące do przybrania stołu, kiedy spodziewają się gości.

Czy rzeczywiście o takie życie, taki dom chodzi Gilesowi? Gdzie wszystko jest ułożone, pod kontrolą, bez odrobiny fantazji?

Z pewnym dystansem patrzyła, jak Giles spaceruje po kuchni; przerażenie wywarło już na nią swój znieczulający wpływ i przytępiło nieco ostrze bólu, który, wiedziała, nieuchronnie musi nadejść.

- Nie mogę uwierzyć w to, co się dziś stało - usłyszała słowa Gilesa. - I to kto jak kto, ale Davina! Oczywiście, nie rozumiem w pełni wszystkich uwarunkowań tej sytuacji, ale żeby w ten sposób interweniować... żeby praktycznie sabotować jedyną szansę sprzedania firmy? Jak ona mogła stawiać takie warunki... jak mogła nie poradzić się mnie... właściwie nikogo?

Lucy patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miał wypieki ze zdenerwowania... ze złości. Ze złości skierowanej nie przeciwko niej, tylko przeciwko Davinie. Podczas gdy w dalszym ciągu usiłowała zrozumieć, co się stało, Giles zatrzymał się i zwrócił do niej.

- Nie jestem w stanie pojąć, jak Davina mogła tak postąpić. Zachowywała się... jak ktoś zupełnie inny - powiedział głosem, który zdradzał nie tylko przeżyty szok, ale złość i dezaprobatę. - I jeszcze do tego przyszła na spotkanie ubrana jak... przecież chyba się orientuje...

- Jak przyszła ubrana? - zapytała Lucy. Jej strach zaczął ustępować miejsca innemu uczuciu, pewnej determinacji, świadomości, której jeszcze nie potrafiła nazwać, ale z której zdawała sobie sprawę. Mimo to słowa Gilesa obudziły w niej ciekawość, którą postanowiła zaspokoić.

- W coś takiego jasnego... jakąś garsonkę - odpowiedział niepewnie Giles. - W każdym razie było to coś zupełnie niestosownego jak na takie oficjalne spotkanie. W pasie miało jakiś napis... i do tego złoty... - Jego dezaprobatą dla Daviny, wstrząs, jaki przeżył, dały się teraz odczuć jeszcze wyraźniej... Lucy doskonale wiedziała, w co musiała się ubrać przyjaciółka, i w ułamku sekundy uświadomiła sobie, że pod pozorami osoby chłodnej, opanowanej i dosyć nudnej, za jaką ją zawsze miała, kryje się inna Davina... Kobieta o figlarnym poczuciu humoru, której dobroć wynika z własnych bolesnych doświadczeń, która wołała raczej zakpić z siebie, niż obrócić ostrze swojej złośliwości przeciwko innym... która była jedną z nielicznych prawdziwych przyjaciółek, jakie Lucy miała w życiu.

I która ukradła jej męża. Tylko że to nie takiej Daviny pragnął Giles. On pragnął tej innej Daviny, statecznej, szacownej i nudnej, kobiety bez własnego zdania, idealnej żony, w pokorze znoszącej zdrady męża... znoszącej wszystko, co w życiu niemiłe i niewygodne, która potrafiła raczej wyrzucić ofiarowane jej przez przyjaciółkę kwiaty, niż się narazić na gniew męża. To była właśnie Davina, jakiej pragnął Giles.

Po raz pierwszy w życiu Lucy zapanowała nad swoimi emocjami, nad chęcią wylania na Gilesa całej goryczy i złości za to, że śmiał odwrócić się od niej i obdarzyć względami inną. Po raz pierwszy poszła za głosem rozsądku i dostrzegła szansę obrócenia całej tej sytuacji na swoją korzyść.

Strategia i planowanie nigdy nie były jej mocną stroną; te metody uważała za zbyt wykalkulowane, pozbawione uczuć. Zwykle poddawała się impulsom, a tym silniejszy był impuls, im autentyczniejsze uczucie, z którego się zrodził, teraz jednak, ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu, usłyszała własne, niemal kojące słowa:

- To jest zupełnie niepodobne do Daviny... Może to stres wynikający z konieczności wzięcia odpowiedzialności za firmę. Usiądź, Giles, zrobię kawę...

Dostrzegła zdumienie w jego oczach; zamrugał niepewnie, zanim usiadł posłusznie przy

stole.

- Jestem przekonana, że kiedy Davina będzie miała czas się zastanowić nad tym, co zrobiła, z pewnością dojdzie do wniosku, że powinna była się ciebie poradzić - powiedziała Lucy szykując kawę.

- W dalszym ciągu nie mogę pojąć, jak ona mogła... - narzekał dalej Giles. - Ta... ta propozycja, którą przedstawiła... Przecież nikt takich warunków nie przyjmie. Naturalnie, podziwiam jej lojalność w stosunku do załogi, sam też bym chciał dla tych ludzi jak najlepiej, ale przecież Davina nie może oczekiwać, że ktokolwiek utrzyma ten stan zatrudnienia przez minimum trzy lata. Nikt się na to nie zgodzi. Ludzie muszą stracić pracę. Tak to już jest... Ale żeby w warunkach umowy zawrzeć wymóg wobec nowego właściciela, że ma zapewnić dla dzieci pracowników złobek z wykwalifikowanym personelem... i minimalną płacę stosownie do kwalifikacji... Nie mogę uwierzyć, że ona coś takiego zrobiła... Przecież w ten sposób zaprzepaszcza ostatnią szansę, wystawia na pośmiewisko firmę, nas wszystkich... Jardine pewnie już się nie może doczekać, kiedy będzie mógł to roztrąbić po całym City. No i oczywiście winien będę ja. Kto mnie teraz zatrudni, jak się rozejdzie, że dopuściłem do podobnego idiotyzmu?

- Proszę, masz kawę - powiedziała uspokajająco Lucy.

Zamilkł i spojrzał na nią, marszcząc czoło. Wpatrywał się w nią przez chwilę tak intensywnie, że nagle uświadomiła sobie swoje wcześniejsze łzy i pomyślała, że musi okropnie wyglądać. Wygląd, tak zawsze dla niej ważny, jej obrona przed światem! Zapomniała o tym w nagłym przypiływie strachu, niemal paniki, na widok zniszczenia, jakiemu został poddany trawnik Gilesa, czy może raczej lęku, że Giles już o ten trawnik nie dba, że nie dba o nią..

- Giles, a trawnik, to drzewo... - zaczęła. - Co to takiego...?

- Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić - usprawiedliwiał się. Był, jak zauważyła, wyraźnie zmieszany. Siedział zaczerwieniony, z pochyloną głową, tak żeby na nią nie patrzeć, kiedy mówił: - To... to drzewo kupiłem dla Nicholasa. To będzie prawdziwe drzewo i pomyślałem sobie, że...

Lucy stała nieruchoma jak posąg. Widziała, jak Giles odwraca głowę, żeby na nią spojrzeć, i nie zdążyła ukryć swoich uczuć.

Zerwał się błyskawicznie i nieśmiało położył rękę na jej ramieniu, jakby nie wiedział, czy może jej dotknąć.

- Przepraszam cię - powtórzył. - Powinienem był coś powiedzieć... zapytać... Ale to był impuls. Pomyślałem sobie, że drzewo... to coś wiecznego, że będzie tu zawsze, nawet jak nas zabraknie. Nie chciałem ci zrobić przykrości, Lucy, sprawić ci bólu...

Czuł pod ręką jej twarde ramie, tak twarde, jakby w ogóle nie było na nim ciała. Lucy,

zawsze szczupła, teraz wydała mu się niemal chuda. Nagle ogarnęła go fala opiekuńczej czułości.

- Lucy, powiem im, żeby zabrali to drzewko - zaczął przez ściśnięte gardło. - Nie powinienem był nigdy...

- Nie, nie, zostaw je, bardzo dobrze, że to zrobiłeś - powiedziała.

Widział, że za wszelką cenę stara się powstrzymać od płaczu. Lucy, dla której zawsze łzy były czymś tak naturalnym i łatwym jak dla dziecka. Z jakiegoś niewiadomego powodu ten widok sprawił mu niespodziewany ból. Pragnął wziąć ją w ramiona i tulić, zapewnić, że wszystko jest w porządku, że już on się o to postara, ale jak może, skoro ciągle przyczynia jej tyle przykrości?

- Chciałem... coś dla niego zrobić, chciałem mu pokazać, że nie zostanie zapomniany - powiedział niepewnie, szukając słów, żeby zrozumiała, co nim powodowało, i jednocześnie myśląc posępnie, że kiedyś nie musiałby wkładać w to tyle wysiłku, bo Lucy by wiedziała i tak.

- Och, Giles...

Wezbrany emocjami głos Lucy kazał mu spojrzeć w jej stronę. Ale nie było w nim złości ani znanego pomruku nadciągającej burzy, na którą się już przygotował, i chociaż oczy miała lśniące od łez, to przecież nie dojrzał w nich złości ani agresji.

- Czasem wydaje mi się, że jestem jedyną osobą na świecie, która pamięta, że on w ogóle istniał. Jakby nikt inny nie chciał pamiętać. - Nuta cierpienia w jej głosie schwytała go za serce. - Nikt nigdy nie wymówi jego imienia... nikt o nim nie porozmawia...

W tych słowach było teraz wszystko, co Lucy przeżywała, łącznie z szokującą dla niej samej świadomością, że mu to mówi, a w nim znów obudziło się poczucie, że ją zawiódł, że nie rozumiał i nie zaspokoił jej podstawowych potrzeb.

Jak to było możliwe, że okazał się na to wszystko ślepy? Jak mógł słuchać innych, którzy mu mówili, co ma robić i jak się zachowywać? Dlaczego nie potrafili dzielić smutku i poczucia winy po śmierci dziecka? Skoro wspólnie je poczęli, to dlaczego strata małego nie była dla nich wspólnym przeżyciem?

- To nieprawda, że go nie chciałam - powiedziała Lucy przez ściśnięte gardło. - Po prostu się bałam, i to wszystko. Bałam się...

- Wiem - odparł Giles. Nie miał wątpliwości, że to prawda. Wyjrzał przez okno na trawnik.

Robotnicy już poszli. Drzewko stało przytulone do podtrzymującej je tyczki, jakby się bało, niepewne swojego nowego otoczenia, swojej roli... Było młode i kruche i potrzebowało pomocy oraz wsparcia, by się w pełni rozwinąć, jak wszystko, co młode i kruche.

- Co robisz? - spytała, kiedy Giles wziął ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

Zmarszczyła czoło, kiedy zaprowadził ją do drzewka, a następnie dotknął go niemal z

czułością, gładząc delikatną korę, która nie zdążyła jeszcze stwardnieć. Lucy też jej dotknęła, nieśmiało, niepewna, dlaczego to robi; miała wrażenie, że drzewko jest ciepłe, jakby było żywym ciałem. Spojrzała na Gilesa, speszona.

- Potrzebuje naszej miłości - powiedział rzeczowo - naszej pomocy, żeby mogło rosnąć.

- Tak - zgodziła się z nim. W jej oczach dalej błyszczały łzy udręki, ale pojawiło się w nich nieoczekiwanie coś jeszcze.

Świadomość... nadzieja... miłość? Nie wiedziała, wiedziała wszakże jedno: że już nie będzie ułatwiała Davinie zadania, że tak łatwo nie zrezygnuje z Gilesa. I wraz z tym postanowieniem przyszła determinacja, nagły przypływ energii.

Davina ze znużeniem zdjęła garsonkę. Po uniesieniu wynikającym z poczucia, że postawiła na swoim, że pokierowała spotkaniem zgodnie z własnym planem i że wykorzystwała właściwie element zaskoczenia, przyszło zmęczenie. Naciągnawszy bluzę i dzinsy zastanawiała się, jak długo potrwa, nim Giles otrząśnie się z szoku. Po spotkaniu odprowadził ją do samochodu, z trudem ukrywając, co czuje.

- No i co ty właściwie teraz zamierzasz? - spytał zirytowany.

Kiedy odwróciła do niego uśmiechniętą, spokojną twarz, stwierdziła, że ze złości poczerwieniał na twarzy. Bardziej przypominał rozwścieczonego smarkacza niż dojrzałego mężczyznę. Z pewnym rozdrażnieniem porównywała jego reakcję z zachowaniem Saula Jardine. Choć przecież to przede wszystkim on miał powody do zdenerwowania wynikiem rozmów, to jednak potrafił ukryć swoje uczucia. Davina nie miała najmniejszych wątpliwości, że Saul mobilizuje teraz całą swoją inteligencję i spryt, żeby ją jakoś przechytryć. Czy kiedy dojdzie do kolejnej konfrontacji, starczy jej sił, żeby mu stawić czoło?

Giles w dalszym ciągu oczekiwał odpowiedzi na swoje gniewne pytanie.

- Zamierzam jechać do domu - odparła pogodnie.

Lekceważąco machnął ręką.

- Nie o to mi chodzi - odparł zniecierpliwiony. - Chodzi mi o bank, o warunki, jakie postawiła! - Urwał szukając słów. - Takich rzeczy się po prostu nie robi. W naszej sytuacji nie stawia się takich warunków. Powinnaś raczej na klęczkach dziękować Bogu, że się w ogóle znalazł ktoś chętny.

- Kto tak mówi? Saul Jardine? - zapytała. Ze spojrzenia, jakim ją Giles obrzucił, zorientowała się, że podejrzewa ją o utratę zmysłów. - Co o nim myślisz? - Zmieniła temat zdając sobie sprawę, że to nie fair wyżywać się na biednym Gilesie.

- To z pewnością zręczny negocjator - - odparł krótko Giles. - Przyjechał tutaj, żeby po cichu kupić Carey Chemicals za jak najniższą cenę. Drażnienie go nie przyniesie nic dobrego. Tacy faceci jak on nigdy nie bawią się w takie gierki...

- Mmm. A czy sądzisz, że on zajmuje wysoką pozycję w swojej firmie? - Davina widziała, w jaki sposób Giles zareagował, gdy bezceremonialnie przerwała mu kazanie, do którego się najwyraźniej przymierzał, ale nie była w nastroju, by go wysłuchać ze stosownym taktem i cierpliwością.

- Według Philipa, to prawa ręka sir Alexa - odparł sztywno.
- Czyli ma wysoką pozycję? - drążyła dalej Davina.
- Bardzo wysoką - poprawił ją Giles.
- To dziwne, że go wysłali na negocjacje w tak błahej sprawie.
- Dziwne? Co chcesz przez to powiedzieć?

Usiłowała mu to wyjaśnić.

- Chciałabym po prostu wiedzieć, dlaczego temu sir Alexowi zależy na Carey Chemicals i dlaczego, skoro sprawa nie jest dla niego aż tak ważna, przysyła kogoś takiego jak Saul Jardine.

- Bo to leży w jego kompetencjach - odburknął Giles.

Davina roześmiała się.

- Naprawdę? - zapytała go wtedy, ale teraz, rozglądając się po ogrodzie, już się nie uśmiechała.

Jak już dawno zauważyła, pielenie było dla niej zawsze czynnością terapeutyczną, rozładującą skutecznie niepotrzebne napięcia.

Zrobiło się pochmurno i zanościło się na deszcz, ale to jej nie zraziło. Uklękła przy końcu jednej z rabatek i zabrała się do pracy.

W sprawie firmy nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko czekać i mieć nadzieję, że nabycie Carey Chemicals jest dla sir Alexa na tyle ważne, że przyjmie jej warunki.

A jeśli nie?

Zmarszczyła czoło, szukając pod powierzchnią ziemi rozprzestrzeniających się szeroko korzeni jaskra.

Jeśli nie, to naturalnie z tym większą satysfakcją Giles i Philip Taylor dadzą jej odczuć, jak głupio się zachowała.

Saul rzucił okiem na dokument, który Davina wręczyła mu podczas spotkania, ale teraz, kiedy miał czas dokładnie go przestudiować, ogarnęły go zdumienie i niedowierzenie, że w sytuacji, w jakiej znajdowała się firma, Davina mogła postawić takie warunki i wyobrazić sobie, że ktokolwiek je przyjmie.

Z roztargnieniem stwierdził, że maszynopis jest bardzo porządny, styl zwięzły i przejrzysty, interpunkcja świadcząca o dużym wyczuciu napięcia dramatycznego. Czy Davina nie zdaje sobie sprawy, że już się takiej interpunkcji nie używa, czy zrobiła to świadomie? Saul zmarszczył brwi.

Ta kobieta go irytowała i w jakiś dziwny sposób prowokowała. Za każdym razem, kiedy mu się wydawało, że już ją rozgryzł, robiła coś takiego, co świadczyło o tym, że się myli.

Na przykład ta idiotyczna garsonka. Przecież Davina nie mogła nie wiedzieć, jak niestosownie się ubrała. Dlaczego więc to zrobiła? Prowokacja, fantazja, szczególne poczucie humoru? Bo przecież nie głupota ani niedbalstwo - o tym najdobitniej świadczył wręczony mu dokument.

Z pewnością musiała wiedzieć, że ani sir Alex, ani nikt inny nie przyjmie takich warunków: gwarancja pełnego zatrudnienia na trzy lata plus całkowita zmiana warunków pracy, które, jak mu prywatnie powiedziała Christie, świadczyły o karygodnych zaniedbaniach ze strony firmy, zawinionych zresztą przez męża Daviny, a do tego jeszcze te żłobki... Alex roześmiałby jej się w twarz.

Z jednego wszakże nie śmiałby się z pewnością, a mianowicie gdyby mu Saul powiedział, że sprawa nabycia Carey Chemicals się odwleka.

Alex nigdy nie był człowiekiem cierpliwym. Jeżeli czegoś chciał, to chciał tego zaraz, a tym, którzy mu stawali na drodze, nie okazywał żadnych względów.

Davina musi sobie naturalnie zdawać sprawę, że nie ma szans na przeforsowanie żadnego z postawionych przez siebie warunków i że dla sir Alexa jest to tylko kwestia czasu.

I to niedługiego; bank bowiem już zdradza objawy niepokoju i prędzej czy później zmusi Davinę James albo do ogłoszenia bankructwa, albo do sprzedaży firmy, a wtedy sir Alex kupi ją za taką cenę, jaką sam wyznaczy. Znając zaś dobrze swojego szefa, Saul wiedział, że nie okaże się on specjalnie hojny. Wręcz przeciwnie. Sir Alex bowiem bardzo nie lubił, żeby mu przeszkadzano, a już w szczególności nie lubił, kiedy robiła to kobieta. Z całą więc satysfakcją upokorzyłby Davinę James, okazując jej swoją wyższość.

Saul' zastanawiał się, dlaczego ta świadomość tak go irytowała, dlaczego był taki zły przede wszystkim na siebie za to, że nie przechytrzył tej kobiety, a zaraz potem na nią, że była tak głupia, by uwierzyć, że kogoś takiego jak sir Alex zmusi choćby do wysłuchania swoich niedorzecznych warunków.

To nie jego sprawa, uznał, tłumaczyć Davinie, na czym polega jej głupota, skoro sama nie widzi, do czego to wszystko prowadzi...

Zmarszczył czoło uświadamiając sobie, że jednak musi szybko sfinalizować tę transakcję, że Alex nie zaakceptuje tych absurdalnych warunków i że wobec tego musi wywrzeć nacisk na Davinę, żeby to ona ustąpiła.

Kiedy zadzwonił do firmy, powiedziano mu, że Davina jest nieobecna. Bębnił palcami po stole kuchennym Christie, zastanawiając się, co robić.

Element zaskoczenia daje bardzo dobrą pozycję przetargową, jak tego dowiodła dziś rano sama Davina. Jeśli zadzwoni do niej do domu, może mu odmówić spotkania. Może mu odmówić i tak, zwłaszcza jeśli akurat będzie z kochankiem, chociaż dziś rano nic nie wskazywało na jakąkolwiek między nimi zażyłość.

Davina była o wiele za daleko od frontu domu, żeby usłyszeć samochód Saula.

Kiedy pukanie do drzwi okazało się nieskuteczne, Saul automatycznie poszedł na tyły posesji.

Davina klęczała w końcu ogrodu, odwrócona do niego plecami. Nie słyszała ani nie widziała, jak nadchodził, drgnęła więc przerażona, kiedy powiedział tuż nad nią:

- Zostawiła tu pani jakiś chwast.

Zerwała się na nogi, z oczami pociemniałymi z gniewu, cała czerwona, nieświadoma jednak swojego wyglądu, jak się Saul zorientował, patrząc na przyklejone do twarzy mokre po niedawnym prysznicu kosmyki włosów i wojowniczą postawę, która we wzruszający sposób kontrastowała z jej dziewczęcą postacią.

Przez chwilę robiła wrażenie niemal dziecka, tak bardzo kruche wydało mu się jej wysunięte ramię. Ale nie była dzieckiem. Była kobietą, i to bardzo intrygującą.

- Wiedziałem, że Carey Chemicals nie pracuje na pełnych obrotach... - zaczął przeciągając sylaby i jednocześnie nie spuszczać z niej oczu - ale..

- Co pan tutaj robi, panie Jardine? - przerwała mu chłodno, - Wydawało mi się, że pan mówił, że to jakiś czas potrwa, zanim pański szef ustosunkuje się do moich warunków transakcji.

- Kłamałem - odpowiedział spokojnie.

Przez chwilę rozkoszował się jej reakcją.

- Doskonale wiem, jakie będzie stanowisko sir Alexa w tej sprawie. Będzie się zastanawiał, gdzie byli pani doradcy, kiedy formułowała pani swoje warunki - powiedział uprzejmie. - Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, o co pani właściwie chodzi? Musi pani doskonale wiedzieć, podobnie zresztą jak i ja, że nikt takich warunków nie przyjmie. Rozumiem, że wkroczyła pani na nowy dla siebie teren i że to panią bawi...

- To nie ma nic wspólnego z zabawą, panie Jardine - powiedziała z wściekłością. - Wszelkie gierki zostawiam panu i takim jak pan.

W jej oczach zapłonęła pogarda, która, ku zdumieniu Saula, wywołała w nim gwałtowną reakcję. Na szczęście zdążył się w porę pohamować.

- Wszystko, o co mi chodzi, zostało zawarte w piśmie, które panu wręczyłam.

- Zabezpieczenie interesów pracowników i nic dla siebie, tak? - Teraz przyszła jego kolej, żeby jej okazać pogardę i niedowierzanie. - Dajmy sobie z tym spokój. Takich altruistów po prostu



nie ma.

- To nie sprawa altruizmu, panie Jardine. Ja to nazywam zwyczajnie sumieniem.

Saul patrzył na nią w osłupieniu.

- Cóż to? Nigdy pan o czymś takim nie słyszał? - zapytała z ironią. - Najpierw mój ojciec, a potem mąż wykorzystywali tych ludzi. Prawdopodobnie za ich życia i tak nic bym nie mogła na to poradzić. Ale przynajmniej mogłam próbować, a tego nie zrobiłam. Przyjęłam zasadę ojca, a potem męża, że to, co się dzieje w firmie, to nie moja sprawa. Teraz wszystko, co się tam dzieje, jest moją sprawą i jeśli nie mogę naprawić dawnych krzywd, to w każdym razie mogę próbować w zasadniczy sposób zmienić sytuację. Zrozumiałam, że ludzie są ważniejsi od wszelkich dóbr materialnych, od pieniędzy i ambicji. Wszyscy ludzie są jednakowo ważni, a jeśli się im tego odmawia, to znaczy, że się im odmawia jednego z najważniejszych ludzkich praw, że się ich degradowa, umniejsza, degradowując i umniejszając w ten sposób siebie.

Saul w dalszym ciągu patrzył na nią w osłupieniu. Nigdy nie sądził, że Davina tak się przed nim otworzy. Spodziewał się wybiegów, kręactw, ukrywania prawdziwych celów pod pozorami absurdalnych żądań. Nie spodziewał się tego jednego: że są to żądania autentyczne i że Davina rzeczywiście poważnie traktuje postawione przez siebie warunki. Że tylko to albo nic.

Czy rzeczywiście uczciwie wierzy, że jest choćby cień szansy na to, że sir Alex czy ktokolwiek inny zaspokoi jej roszczenia?

- Alex nigdy nie przyjmie pani warunków - rzekł bez ogródek.

Davina drgnęła mimo woli, słysząc nutę stanowczości w jego głosie.

- Wobec tego będę musiała poszukać kogoś, kto je przyjmie, nie uważa pan? - powiedziała wyzywająco.

- Problem polega na tym, że nikogo innego nie ma. Czy pani sądzi, że przystępując do pertraktacji nie upewniliśmy się co do tego? - odparował.

- Skoro Carey Chemicals przedstawia jakąś wartość dla sir Alexa, to równie dobrze może przedstawiać wartość i dla kogo innego. Czy pan z kolei sądzi, że ja jestem na tyle naiwna, że uważam Davidson Corporation za potęgę nie mającą żadnej konkurencji?

- Widzę, że w dalszym ciągu nic pani nie rozumie - powiedział ze złością. - Alex w końcu i tak dostanie Carey; nic go przed tym nie powstrzyma. Nie pozostaje pani nic innego, jak tylko z nim pertraktować i...

- A ja myślałam, że właśnie to robię - przerwała mu Davina spokojnie.

Saul poczuł się bezradny. Ta kobieta nie jest w stanie zrozumieć swojej beznadziejnej sytuacji. Bezradny i zły... niemal wściekły na jej prostolinijną szczerłość i uczciwość. Davina tak go drażniła, że miał ochotę jej powiedzieć otwarcie, co sir Alex zamierza zrobić z jej zakichaną firmą, a

jednocześnie jakoś dziwnie pragnął jej tego oszczędzić. Był zirytowany, a zarazem zazdrościł jej bezinteresowności, zastanawiając się, kiedy po raz ostatni - jeśli w ogóle kiedykolwiek - on sam działał z podobnych pobudek.

Nic nie pomagało powtarzanie sobie, że napędem wszelkiego rodzaju interesów jest oszustwo i intryga, że ktoś taki jak Davina James może zostać w dzisiejszym świecie zniszczony w przeciągu kilku dni, jeśli nie godzin. Już samo patrzenie na nią zwiększało ciężar poczucia winy, jaki i tak go przytłaczał.

- Nic z tego nie będzie - powiedział szorstko.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego prowokacyjnie.

- Bo pan do tego nie dopuści, tak?

- Jak już pani na początku słusznie zauważyła, nie mam takich możliwości. A jeśli mi pani nie wierzy, to niech pani zapyta swojego kochanka...

- Giles nie jest moim kochankiem.

Szybkość, z jaką zaprzeczyła, była dla obojga zaskoczeniem. Zarumieniona, odwróciła głowę.

- Nic z tego, co pan ma mi do powiedzenia, nie zmieni mojego stanowiska - odparła bez namysłu.

- Skoro tak, to jest pani po prostu szalona - odrzekł Saul.

To może lepiej, że nie zna planów sir Alexa wobec jej firmy. Skoro nie zamierza jej sprzedawać... Lecz przecież wkrótce nie będzie miała wyboru, inni wymuszą na niej decyzję, uświadomił sobie Saul ponuro.

- Naturalnie przedstawię sir Alexowi pani warunki, ale z góry uprzedzam, że ich nie przyjmie.

Już się odwracał, żeby odejść, ale zatrzymał się w pół gestu.

- Nawiasem mówiąc, zrezygnowała pani ostatnio z kilku polis ubezpieczeniowych firmy. To ją stawia w bardzo trudnej sytuacji. Gdyby na przykład któryś z pracowników podał was do sądu o, powiedzmy, niezapewnienie odpowiednich warunków bezpieczeństwa pracy...

Davina spojrzała na niego podejrzliwie. Ciekawe, skąd się o tym dowiedział. Składki na to ubezpieczenie były tak wysokie, że Giles nalegał, żeby przestali je płacić. Była temu przeciwna, ale zarówno Giles, jak i Philip wytłumaczyli jej, że nie ma wyboru.

Niepokoilo ją bardzo, że wiele zatrudnionych u nich kobiet cierpi na choroby skóry, chociaż Giles zapewniał ją, że nie znaleziono żadnego związku pomiędzy tymi dolegliwościami a pracą w Carey Chemicals.

Idąc w stronę samochodu, Saul odwrócił się ponownie.

- I jeszcze jedno - rzucił, Uśmiechał się teraz nieznacznie, a ją przeszedł dreszcz nerwowego napięcia. - Ta garsonka... Chciałem pani coś doradzić: kiedy ją pani włoży następnym razem...

Davina patrzyła na niego, usiłując zignorować delikatne drżenie, jakie ją przeszło od stóp do głów.

- ...to proszę ją nosić tak jak należy: bez stanika.

Z rozmysłem opuścił wzrok na jej piersi i patrzył przez chwilę, zanim odwrócił się na dobre i odszedł. Davina trzęsła się ze złości i rozgoryczenia, wiedziała jednak, że jest zbyt zdenerwowana, żeby zaryzykować jakąś ostrzejszą reakcję, w której całe jej napięcie mogłoby zostać rozładowane.

Zdawała sobie sprawę, że ostatnia uwaga Saula była świadomą prowokacją, obliczoną na poniżenie jej, i że on doskonale o tym wie.

„Alex nigdy nie przyjmie pani warunków”, powiedział i Davina wiedziała, że święcie w to wierzy. Nagle poczuła zmęczenie, ogarnęły ją smutek i lęk. Czy przypadkiem nie wyrządza więcej złego niż dobrego? Może nie powinna być taka agresywna, może należało okazać więcej uległości? Czyżby się myliła sądząc, że coś przed nią ukrywają, że w gruncie rzeczy kupno Carey Chemicals jest dla sir Alexa ważniejsze, niż chce się do tego przyznać?

Brak jej było kogoś, z kim by mogła porozmawiać; komu mogłaby się zwierzyć, kto by zdjął ten straszny ciężar z jej barków... Czy rzeczywiście jest taka słaba, taka tchórzliwa, że już przy pierwszej konfrontacji chce dać za wygraną? Co się stało z jej uniesieniem, z jej determinacją, którą odczuwała jeszcze dziś rano?

Saul Jardine, obdarzony władzą, przebiegły i sprytny. No i co z tego? To przecież tylko człowiek. A skoro człowiek, to musi mieć swoje słabości.

Pierwotnie, po zakończeniu konferencji, Leo postanowił jechać prosto z Edynburga do Cheshire. Tam zamierzał skontaktować się dyskretnie z Daviną Carey, czy też James, jak się ostatnio nazywała, ale spotkanie z Christie tak dalece wytrąciło go z równowagi, że zamiast jechać prosto autostradą na południe, zdecydował się na dalszą, powolniejszą podróż przez okolice.

Uznał, że potrzebuje czasu nie tylko żeby się przygotować na to, co mogło wynikać ze spotkania z Daviną, ale także - co nie mniej ważne, choć bardziej osobiste - wyciszyć w sobie skutki nieoczekiwanego, a nawet pod wieloma względami niepożądanego szoku, jaki wywołało w nim poznanie Christie.

Jeżeli kiedykolwiek, z idealistyczną młodzieńczą żarliwością, marzył naiwnie o zakochaniu się od pierwszego wejrzenia uczuciem, które zwała z nóg, według schematu: odwracam głowę, dostrzegam ją i w okamgnieniu wiem, że to ponad wszelką wątpliwość ta jedna jedyna, to w każdym razie nie brał pod uwagę paru rzeczy, a mianowicie: że ta osoba może nie podzielać jego ideałów i uczuć, że może się okazać kobietą niezależną i stanowczą, która tego rodzaju emocjonalną niedojrzałość ma już za sobą, która mężczyzn w swoim życiu posortowała według ściśle określonych kryteriów: ten przyjaciel, ten kolega, ten kochanek, a ten... wróg.

Christie poruszyła w nim strunę, która od dawna wydawała mu się szczęśliwie uśpiona, a może nawet martwa. Spotkanie z nią dowiodło, że jest inaczej. Jej atrakcyjność wywarła na nim tak piorunujące wrażenie, że poczuł się wyraźnie nieswojo, zbyt często jednak obserwował u swoich kolegów efekty „gorączki konferencyjnej”, żeby przyjąć to inaczej, jak tylko z uczuciem lekkiego, zaprawionego rozbawieniem zdziwienia, że w końcu wzięło i jego.

Ale potem okazało się, że stale o niej myśli, że chce ją widzieć, być z nią. A później zaprosił ją na kolację.

Na długo, zanim się ta kolacja skończyła, znał prawdę: oto znalazł kobietę, o której marzył wręcz rozpaczliwie w ciągu swoich pustych i trudnych lat wczesnej dojrzałości, kochankę, partnerkę i towarzyszkę, drugą połowę, bez której nigdy nie będzie pełnym człowiekiem.

Nie bez ironii snuł te myśli; słuchając Christie wiedział od razu, jak trudno będzie mu przekonać ją do siebie, zająć w jej życiu miejsce, jakie sobie wyznaczył, i to nie zawdzięczając tego swojej pozycji.

Niezależnie zresztą od jego pozycji, będzie się starała zepchnąć go do tej jednej, przez siebie wyznaczonej roli. Może mu pozwolić zostać przyjacielem, ale już nie kochankiem; a gdyby został jej kochankiem, to już w żadnym razie przyjacielem...

Zauważył, że się boi jak te wszystkie dziewczyny, które zostały skrzywdzone w zbyt młodym wieku, kiedy człowiek daje i kocha bez żadnych zastrzeżeń. Natychmiast rozpoznał w niej ten lęk i to poczucie krzywdy, które tak bardzo przypominały mu własne doświadczenia.

Udało mu się zdobyć taśmę z nagraniem jej wystąpienia i teraz, w drodze z Edynburga, cały czas odtwarzał ją na samochodowym magnetofonie, tak że znał na pamięć każdy niuans, każdą najmniejszą zmianę w intonacji jej głosu. I kiedy Christie mówiła, jego wyobraźnia tu, w samochodzie, wyczarowywała jej postać.

A więc to jest miłość - ta męka, ten ból, ta bezradność; ta świadomość, że człowiek przestał nad sobą panować, że jego życie zmieniło bieg, podczas gdy mu się wydaje, że jest wręcz odwrotnie; ta złość na siebie i jakże dziecinna i głupia złość na nią o to, że przecież mogło być inaczej...

Mogło być inaczej, czy ona mogła być inna? Ale czy wtedy tak bardzo by mu się spodobała - gdyby była mniej wrażliwa, gdyby nie tak zaciekle broniła tego, co stanowiło dla niej największą wartość? Jednym słowem gdyby była inna? Czy rzeczywiście chciałby, żeby była rozsądna, poddana tym wszystkim ograniczeniom, które go wiązały z Hessler Chemie, nakładając na niego obowiązki, wywołując frustracje i odmawiając mu prawa do życia po swojemu?

Nawet teraz, w samochodzie, nie mógł od tego wszystkiego uciec. Nawet tu odbierał telefony z Hamburga i pilne wiadomości, że ma wracać jak najprędzej, bo jego brat sprawia kłopoty, prowokując kłótnie i wywołując nieporozumienia.

Pojawiły się nawet w prasie plotki na temat wewnętrznej rywalizacji w firmie, aluzje do rzekomej walki o władzę między braćmi, insynuacje, że Leo mógł wyrzucić na ojcu presję, pod wpływem której zmarły jemu, a nie jego bratu, powierzył kierownictwo korporacji. Leo podejrzewał, że źródłem tych przecieków do prasy był nie kto inny, jak Wilhelm.

Usiłując stłumić trawiącą go złość na brata, uświadomił sobie, jak ważna zawsze była dla niego firma, jak Wilhelm całe swoje życie prywatne, na co tak bardzo narzekala jego żona Anna, podporządkował tym sprawom.

Leo wiedział, że Anna miała powody do niezadowolenia i że władza oraz prestiż, wynikające z pozycji przyszłego spadkobiercy ojca, zawsze się dla Wilhelma tak bardzo liczyły.

Teraz wszystko to sprzątnięto mu sprzed nosa. I to kto to zrobił - znenawidzony i pogardzany młodszy brat. O tak, Leo doskonale rozumiał motywy, jakimi kierował się Wilhelm, prowadząc z nim nieustanną walkę podjazdową.

Okrężna droga na południe, jaką obrał, prowadziła przez Yorkshire Dales. Zatrzymał się tu na lunch i żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Tutejszy krajobraz miał w sobie coś z ponadczasowości i niezmienności, która musiała robić na ludziach wrażenie, pomyślał Leo patrząc

na bezmiar nieba nad sobą i falistą linię nagich wzgórz.

Tutaj czas, może nawet bardziej niż natura, dawał człowiekowi poznać jego małość. Ileż wieków musiało się złożyć na powstanie tych gładkich pagórków, tego tchnącego potęgą krajobrazu? Powinien tu nabrać dystansu do swoich spraw osobistych, a tymczasem jego napięcia tylko wzrosły.

Fakt, że Davina James mieszka tak blisko Christie, wydawał się dodatkową bolesną ironią losu, Leo bowiem wiedział, że już więcej nie będzie próbował spotkań.

Sprawy, która go sprowadzała do Cheshire, nie może przysłonić żadna inna, a już w każdym razie nie tak egocentrycznie osobista i emocjonalna, jak jego znajomość z Christie. Poza tym wyobrażał sobie, jak by Christie zareagowała, gdyby jej powiedział, że podejrzewa swojego ojca o to, że założył Hessler Chemie wykorzystując badania chemiczne, których ceną były niejednokrotnie okrutne, sadystyczne eksperymenty medyczne nazistów. A przecież brał pod uwagę jedynie wersję, że jego ojciec uzyskał te informacje pod koniec wojny.

Sama bowiem myśl, że mogło być inaczej i że ojciec był zaangażowany w te sprawy w sposób znacznie bardziej osobisty, przyprawiała Lea o mdłości, takie same, jakie odczuwał w dzieciństwie, kiedy ojciec zamierzał go uderzyć: była to mieszanina strachu, niemal paniki, bólu i zarazem obrzydzenia do siebie. I teraz wcale nie znosił tego łatwiej niż wtedy.

Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Sam sobie zarezerwował hotel w Cheshire, mówiąc swojemu sekretarzowi, że spędzi parę dni u przyjaciół.

Jego powolne i ostrożne studia nad przeszłością - ostrożne, bo nie chciał budzić niczyich podejrzeń, powolne, bo nikomu nie mógł w tej sprawie zaufać - w niczym nie zmniejszyły jego obaw. Alan Carey nie żył i nie mógł odpowiedzieć na jego pytania. Ale zostawił córkę. Ciekawe, czy powierzył jej tajemnice przeszłości, czy powiedział, skąd zdobył informacje, które stały się fundamentem jego firmy? Z pewnością nie - jeśli był człowiekiem podobnym do jego ojca.

Davina James niedawno owdowiała. Leo zmarszczył brwi na wspomnienie rewelacji na temat jej męża i jego zrad, jakie ujawniły jego drobiazgowość badania.

Przed śmiercią Alana Careya wybuchł na terenie zakładów pożar, który praktycznie strawił jego gabinet; nikt nie wiedział, jak do tego doszło, a Carey Chemicals nawet nie wystąpiło o pełne odszkodowanie do firm ubezpieczeniowych. Wkrótce po tym wydarzeniu Alan Carey właściwie przekazał zięciowi kierownictwo finansowe firmy. Czy stwierdził, że się starzeje, czy może uległ naciskom zięcia?

A ten pożar... Czy był to przypadek, chwilowa nieuwaga starszego pana, czy może coś więcej? Szantażowany szantażysta?

Jak to się dzieje, że zło ma tendencję do odtwarzania się i powielania?

Leo zmarszczył brwi; uświadomił sobie, że zwolnił, jakby instynktownie odwlekał chwilę dotarcia do celu.

Na moment stanęła mu przed oczami Christie. Nie musi zadawać sobie pytania, jak by zareagowała na podejrzenia Lea dotyczące jego ojca.

Christie Jardine. Dlaczego, do diabła, musiał ją poznać?

Oddalona o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów Christie snuła podobne myśli na jego temat. Z pożądaniem mogła sobie jakoś poradzić, potrafiła je w sobie stłumić; gorzej z emocjonalną stroną całej tej sprawy. Było to coś zupełnie innego, coś, czego zawsze bała się najbardziej, a co tylko potęgowało jej złość i żal do Lea. Po swoim trudnym dzieciństwie i urodzeniu Cathy przysięgła sobie, że już nigdy nie uzależni się od nikogo uczuciowo, że będzie unikała związków, które mogłyby ją narazić na krzywdę czy ból. I zawsze od tej pory pozostawała wierna tej decyzji, aż do chwili, kiedy...

Rozpaczliwie próbując opanować swoje uczucia, powtarzała sobie, że to, co przeżywa, czy też to, co jej się wydaje, że przeżywa, jest niemożliwe. Że to niemożliwe, żeby zjeść z kimś kolację, a nawet spędzić wspólnie kilka godzin i już dać mu się tak zawojować, żeby stał się ośrodkiem naszych myśli. Mimo to jednak tak się właśnie stało i ta świadomość podsycala jej gniew.

Za każdym razem, kiedy jej myśli zdradliwie ku niemu pomykały, przypominała sobie, jak ją zwiódł i jak to o nim świadczy.

Powtarzała sobie także, jak różne są ich losy, jak sprzeczne cele i dążenia. Przecież nie mógł stać na czele takiej korporacji, jak Hessler Chemie, nie aprobując moralnie dwuznacznych decyzji, jakie legły u jej podstaw; ich światopoglądy nie mają ze sobą nic wspólnego. Leo reprezentował to wszystko, czego Christie najbardziej nienawidziła. Znajdowali się po przeciwnych stronach granicy, która przez całe jej dorosłe życie rysowała się ostro i wyraźnie. Po prostu nie mogła sobie pozwolić na jej przekroczenie - ani z powodu chęci, potrzeby czy pożądania, ani nawet z powodu miłości! Wiedziała doskonale, że gdyby to zrobiła, miałyby życie zatrute poczuciem winy, wywołanym świadomością, że się sprzeniewierzyła wszystkiemu, w co wierzyła.

Nie żeby Leo zachęcał ją do przekroczenia tej granicy - nawet nie zdradzał takich intencji, ale jeżeli zależało mu tylko na bezosobowym akcie seksualnym, to dlaczego ją wtedy odrzucił, dlaczego odszedł?

Ona jedna wiedziała, jak bardzo ją to zaskoczyło i dotknęło, jak szalała samotnie, wściekła i zawiedziona, z nie zaspokojonego pragnienia.

Jutro są jej trzydzieste piąte urodziny i Saul zabiera ją i Cathy do Chester na kolację do hotelu Grosvenor.

Cathy nie mogła się już doczekać i na samą myśl, że zostanie potraktowana jak dorosła osoba, pękała z dumy. Co do Christie, to najchętniej schowałaby się w mysia dziurę, żeby się odciąć od wszystkiego i od wszystkich, a w szczególności od Lea von Hesslera. W tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była kolacja w mieście - bolesne przypomnienie innej kolacji, z mężczyzną, który ją zostawił pod drzwiami sypialni, rozpaloną i z bólem w sercu. A ten ból, początkowo tylko lekkie ukłucie, zatrzał jej teraz całe życie. Christie broniła się przed tym uczuciem, a jednocześnie w głębi duszy wiedziała, że lęk, jaki ją ogarniał, wynikał nie tylko z tego, że jej reakcja na Lea stanowiła przekroczenie reguł, jakie sobie ustanowiła, żeby móc żyć tak, jak chciała.

Jej lęk sięgał znacznie głębiej; wyrastał z ziarna rozpaczy i pogardy dla siebie, zasianego jeszcze przez ojca, gdy ją odrzucił, wybierając Saula.

Dawno temu, głęboko w jej psychice, narodził się stereotyp nie odwzajemnionej miłości do mężczyzny, odrzucenia przez niego tej miłości, i to była właśnie przyczyna lęku, który podsycił jej gniew; to, oraz przeświadczenie, że ją Leo oszukał, świadomie i z zimną krwią.

Skoro zdała sobie z tego sprawę, powinno jej być łatwiej uwolnić się od tej uczuciowej zależności, zamiast tego jednak popadała w nią coraz głębiej.

Skoro nie chciał się z nią przespać, to po co sobie w ogóle zawracał głowę oszukiwaniem jej? To nielogiczne. Niezgodne z tym, co wiedziała na temat funkcjonowania męskiego umysłu, niespójne z charakterem, w jaki go wyposażyla jej sycąca się gniewem i bólem wyobraźnia, by zagłuszyć wspomnienia tamtego wspólnie spędzonego wieczoru. Spójrz prawdzie w oczy, upominała siebie, słuchając szczebiotu Cathy, ale było to równie skuteczne jak plaster na atak serca.

Davina była w kuchni, kiedy zadzwonił telefon. Mimo że minęła szósta, przeszedł ją nagły dreszcz - przed oczami stanął jej jak żywy Saul Jardine.

Musiała wysłuchać reprimendy na temat swojego idiotycznego postępowania zarówno od Gilesa, jak i od Philipa Taylora. Z Gilesem poszło jej znacznie gorzej niż z Philipem, mimo że to ten ostatni był większym złoŹnikiem i nerwusem.

Z oczu Gilesa wyczytała bowiem budzącą się świadomość, że nie zasłużyła na piedestał, na którym ją ustawił. Słuchając go doszła do wniosku, że go zawiodła. Skrzywdziła go. Choćby tylko przez zaniedbanie. Poprzedniego dnia, po odejściu Saula, zadzwonił i bardzo sztywnym oraz oficjalnym tonem poinformował ją, że przez kilka dni nie będzie go w pracy.

Powiedział, że w tym tygodniu przypada rocznica śmierci ich małego i wobec tego uważa, że należy się to zarówno Lucy, jak i ich wspólnemu dziecku, żeby te chwile spędzili razem.

- Jest bardzo rozdrażniona - wyjaśnił i Davina pochwyciła w jego głosie coś jakby



poczucie winy, próbę usprawiedliwienia się. Giles musi wiedzieć, że się na nim polega. Wtedy czuje się silny i odpowiedzialny. To właśnie na nim polegała po śmierci Gregory'ego.

Uśmiechnęła się pod nosem z lekką ironią, zastanawiając się, czy Saul Jardine miał kiedykolwiek taką potrzebę - żeby czuć, że ktoś jest od niego zależny. Z góry znała odpowiedź: Saul nie był takim typem mężczyzny.

Nie zadała sobie jednak pytania, jak to się stało, że tak krótko znając Saula tak wiele o nim wiedziała, a tym bardziej dlaczego tyle o nim myślała. I teraz, kiedy ostry dzwonek telefonu przeciął ciszę i serce skoczyło Davinie do gardła, również nie zadawała sobie pytań, na które wolałaby nie słyszeć odpowiedzi.

Podniosła słuchawkę zmuszając się do uśmiechu, w nadziei, że może w ten sposób przynajmniej częściowo rozładuje napięcie.

- Czy mogę mówić z Daviną James?

Męski głos po drugiej stronie był nieznamy, a jej rozmówca posługiwał się tak nienaganną i pozbawioną akcentu angielszczyzną, że Davina zorientowała się natychmiast, że nie jest to jego ojczysty język.

- Jestem przy telefonie - odpowiedziała i urwała, próbując zignorować nagłe ustanie dopływu adrenaliny, tak gwałtownego, kiedy podchodziła do aparatu.

Leo wiele razy powtarzał sobie to, co zamierzał powiedzieć Davinie, dlatego krótkie wyjaśnienie, że jego zdaniem ich ojcowie przyjaźnili się podczas wojny, poszło mu gładko, choć tylko z pozoru.

Nawet nie widząc Daviny, wyczuwał jej zdziwienie i niepewność. Nie ulegało też wątpliwości, że jej zaproszenie, na które tak bardzo liczył, wynikało raczej z dobrego wychowania niż z rzeczywistej chęci zobaczenia się z nim.

Jeśli zaskoczyła ją skwapliwość, z jaką jej pełne rezerwy zaproszenie zostało przyjęte, nie dała tego po sobie poznać.

W każdym razie Leo z ulgą przyjął jej zapewnienie, że jest wieczorem wolna. Im mniej czasu spędzi w Cheshire, tym lepiej, nawet nie z obawy, że się przypadkiem natknie na Christie - na to szansa była niemal zerowa. Nie, Leo obawiał się czegoś innego, a mianowicie że zignoruje wszelkie argumenty, w jakie się uzbroił, że zignoruje zdrowy rozsądek, który go ostrzegał, że bezpieczniej nie ciągnąć dalej tej znajomości, że zignoruje nawet świadomość, że jeśli zawiodą go własne mechanizmy obronne i wykorzysta słabość Christie, żeby się do niej zbliżyć, to narazi nie tylko siebie, ale i ją, na udawkę, wywołując burzę uczuć, która może pochłoniąć ich oboje.

Ostatnia rzecz, jakiej by chciał, to skrzywdzić Christie, a przecież wiedział, że gdyby go pokochała, wyszłaby na tym źle, ponieważ nigdy by się nie przystosowała do życia, na jakie on był

skazany.

Sam cierpiał z tego powodu, że musi ukrywać swoje najgłębsze przekonania, jeśli chce pozostać szefem Hessler Chemie, z drugiej zaś strony wiedział, że gdyby ustąpił na rzecz brata, zarząd szybko zostałby skorumpowany, a ludzie, ich życie i zdrowie, wszystko musiałoby w hierarchii ważności ustąpić miejsca żądzy zysku i władzy, ponieważ w skali wartości Wilhelma to właśnie zajmowało zdecydowanie pierwsze miejsce. Nie była to zresztą jego wina. Przez całe życie przyzwyczajał go do tego ich ojciec. Mój ojciec, poprawił się w myśli Leo.

Nie, gdyby Christie miała zostać częścią jego świata, to by ją to z pewnością zniszczyło. Ale czy życie bez niej nie zniszczy jego?

Uśmiechnął się smutno do siebie, podziękował Davinie, że zgodziła się na spotkanie, i odłożył słuchawkę.

Davina, zamyślona, powoli wróciła do kuchni. Leo von Hessler. Obiło jej się naturalnie to nazwisko o uszy, ale nigdy nie słyszała, że ich ojcowie się znali, a tym bardziej przyjaźnili.

Davina dobrze знаła swojego ojca, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie należał do ludzi, którzy by taką prestiżową przyjaźń utrzymywali w tajemnicy. Nigdy się nie zdarzyło, by ktoś o znanym nazwisku napisał do niego albo w jakikolwiek inny sposób nawiązał z nim kontakt i ojciec na to nie odpowiedział. A poza tym nigdy po wojnie nie był w Niemczech.

Zmarszczyła czoło. Powinna była poprosić Lea von Hesslera o jakieś bliższe informacje na temat znajomości ich ojców. Było jednak coś w spokojnej pewności, z jaką mówił o ich przyjaźni, co uspiło jej czujność.

Tak, teraz, patrząc na to wstecz, dostrzegała w tym telefonie coś dziwnego.

Ale dlaczego? Leo von Hessler wydał jej się człowiekiem spokojnym, sympatycznym i budzącym zaufanie, dlaczego więc przejmował ją dreszcz niepokoju, dlaczego wzbierało w niej takie niewytłumaczalne napięcie?

Spojrzała na zegarek. Za godzinę tu będzie. Zastanowiła się, czy ma go czym poczęstować. Z lekkim, ironicznym uśmiechem uświadomiła sobie, że w ten sposób usiłuje rozładować zdenerwowanie.

Irytowało ją, że nie wyzbyła się jeszcze zwyczaju chowania głowy w piasek, chociaż ten odruch obronny nie był jej już potrzebny.

- Możesz oszukiwać wszystkich dokoła, ile wlezie - radził jej kiedyś Matt - ale pamiętaj: nigdy nie oszukuj siebie, w żadnej sprawie.

A teraz właśnie Davina oszukiwała siebie, i to wcale nie tylko w sprawie niepokoju, z jakim oczekiwała wizyty Lea von Hesslera.

Przyszedł punktualnie, tak jak się spodziewała. Na większym luzie, ale... ale jakiś mniej

germański, niż to sobie wyobraziła na podstawie jego głosu, za to nieprzyzwoicie przystojny, znacznie przystojniejszy od Saula Jardine, który dzięki swojej potężnej budowie miał wprawdzie bardzo męski wygląd, ale brakowało mu urody gwiazdora filmowego, jaką odznaczał się jej gość.

Davina szeroko otworzyła oczy, patrząc, jak Leo podchodzi do drzwi. Poruszał się ze swobodną elegancją, ale było w nim jakieś napięcie, ledwie dostrzegalne wahanie, kiedy sięgał do dzwonka.

Szybko zbiegła na dół, sama zdenerwowana.

Nie tylko bardzo przystojny, ale i subtelny, stwierdziła w kilka minut później, kiedy go powitała. Zauważyła, jak zachowuje stosowny dystans, dotykając jej tylko bardzo delikatnie i przypadkowo przy wręczaniu kwiatów. Świeżo ścięte, miejscowe kwiaty, polne - pomyślała z aprobatą - a nie sztuczne, cieplarniane, podobne do sztucznych, których tak nie cierpiała. Może dlatego, że jej przypominały Gregory'ego i pierwsze lata ich małżeństwa.

- Bardzo proszę. - Wstawiła kwiaty do wody i poprowadziła gościa do salonu. - Nie wiem, czy pan coś jadł...?

- Tak, dziękuję, jadłem podwieczorek... Nie przypuszczałem, że będzie taki obfity.

- Grosvenor szczyści się swoją kuchnią - powiedziała, zdając sobie sprawę, że mówi o wszystkim i o niczym, oboje czujni i napięci.

- Wspominał pan coś o przyjaźni pomiędzy naszymi ojcami. - Próbowała go zachęcić do dalszej rozmowy, czując jednocześnie przyspieszone bicie serca. Wstrzymała oddech.

Leo spojrzał na nią poważnie.

- Rozumiem, że pani nic na ten temat nie wie?

- Nie - przyznała. - Wiem naturalnie, że pod koniec wojny ojciec był w Niemczech...

- Tak, był tam z pierwszymi jednostkami brytyjskimi.

- Wymienił nazwę pułku oraz miejsce jego stacjonowania i Davina spojrzała na niego niepewnie.

- Pan wie więcej o służbie wojskowej mojego ojca niż ja - przyznała. - Ojciec był... to znaczy my z ojcem... ojciec był człowiekiem zamkniętym w sobie. - Szukała właściwych słów, żeby mu powiedzieć, jak niewiele wiedziała o przeszłości ojca, nie zdradzając jednocześnie uczuć, jakie do niego żywiła, i istoty ich wzajemnego stosunku.

- I jeszcze coś nasi ojcowie mieli wspólnego... Mój też był zamknięty w sobie - powiedział spokojnie Leo.

Jeszcze coś mieli wspólnego? Davina nie spuszczała Lea z oka. Niemal namacalnie czuła narastające napięcie, ale nie była pewna, które z nich było jego źródłem, a jeśli oboje, to zastanawiała się dlaczego.

- I jeszcze coś? - zapytała.

- Obaj byli założycielami firm farmaceutycznych - odparł poważnie Leo.

Davina zmarszczyła czoło.

- To nie mój ojciec był założycielem firmy, tylko jego ojciec, mój dziadek. To dziadek przypadkowo wynalazł ten lek nasercowy.

- A kiedy go „przypadkowo” wynalazł?

Nagłość pytania zaskoczyła Davinę.

- Nie wiem dokładnie - przyznała. - Chyba na jakiś czas przed wojną, bo ojciec wtedy studiował. Wziął urlop i... zgłosił się do wojska, a kiedy wrócił...

- To co wtedy zrobił? - nalegał Leo. - Podjął przerwane studia?

- Nie - odpowiedziała z namysłem. - Tak jak wielu w jego sytuacji. Panowało wśród nich przekonanie, że za dużo przeżyli, żeby wracać na uniwersytet.

- Ale pani nie wie, dlaczego akurat ojciec nie zrobił dyplomu? - nie ustępował Leo. Davina potrząsnęła głową.

- Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat. - Poruszyła się niespokojnie na krześle. - Ojciec... ojciec był bardzo skryty. Niewiele mówił o sobie... o swojej przeszłości.

- Ale mówił pani, że ten lek został wynaleziony przez jego ojca?

- Nie, nie przypominam sobie - przyznała Davina. - Matka mi o tym mówiła. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na Lea. Na widok jego twarzy doznała skurczu żołądka. - O co chodzi? Czy coś się stało? - zapytała z niepokojem.

Patrzył na nią bezradnie. Najwyraźniej tak samo niewiele wiedziała jak i on, a może nawet mniej. Poczuli nagle, że musi ją chronić przed prawdą, ale widząc wyraz jej twarzy zrozumiał, że to niemożliwe, bo już powiedział za dużo.

Przeklinał w duchu siebie za to, że tak obsesyjnie dąży do wykrycia prawdy. Ale było za późno, żeby się cofnąć. Davina niespokojnie czekała na odpowiedź, a gdyby jej nie odpowiedział... Nie, tego nie mógł zrobić.

- A może przypadkiem ma pani gdzieś jakieś oryginalne zapiski pani dziadka? - zapytał obojętnym tonem.

- Nie, nic takiego nie mam. Kilka lat temu w gabinecie mojego ojca wybuchł pożar. Wszystko się spaliło. - Wkrótce potem, jak sobie przypominała, Gregory oznajmił, że przejmuje sprawy finansowe firmy.

Nigdy się nie dowiedziała, w jaki sposób jej mąż zdołał w końcu wyszarpać od ojca zgodę na taką zmianę. Bez wątplenia wywołało to między nimi pewną wrogość, która Gregory'emu najwyraźniej służyła, a którą ojciec znosił z pełną rozgoryczenia rezygnacją.

Zawsze uważała, że jest to skutek tego, że firma nie produkuje żadnych nowych leków, ale przecież pod rządami Gregory'ego, jak się przekonała, przeznaczano na badania naukowe jeszcze mniejsze fundusze niż za czasów jej ojca.

Podniosła się nagle i podeszła do okna.

- Coś tu się nie zgadza - zaatakowała Lea ostro. - Nasi ojcowie nigdy nie byli przyjaciółmi.  
- Odwróciła się do niego twarzą.

- Tak, przyjaciółmi rzeczywiście może nie... ale obawiam się, że mogli być współnikami - rzekł z ociąganiem.

Patrząc na nią żałował, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Prawda może stać się wielkim osobistym obciążeniem dla tej małej, drobnej kobiety, która obserwowała go teraz z niepokojem i uwagą. Jeżeli jego domysły i podejrzenia okażą się uzasadnione, to będzie czuła to co on, a czego ich ojcowie najwyraźniej czuć nie byli zdolni.

- To długa i skomplikowana historia, pełna luk i niejasności - powiedział spokojnie.

Davina zawsze była wdzięcznym słuchaczem i teraz też słuchała, początkowo speszona, a potem coraz bardziej oszołomiona. Leo ostrożnie, powoli, mówił jej, co odkrył, a przynajmniej, co w swoim mniemaniu odkrył.

- Czy chce pan powiedzieć - przerwała mu w pewnym momencie - że mój ojciec... że nasi ojcowie... wykorzystali eksperymenty medyczne przeprowadzane na ludziach w takich miejscach, jak Oświęcim?

- Pani ojciec najprawdopodobniej zawinił tylko w ten sposób, że je wykorzystywał. Byłbym szczęśliwy, gdyby mój ojciec...

Na widok twarzy Lea wstrząs, który sama przeżyła, i zgroza, jaka ją ogarnęła, odeszły w cień, ustępując miejsca instynktownemu współczuciu.

- Przecież to nie pana wina - powiedziała z żarem. - Nie pan jest za to odpowiedzialny.

- Za ojca nie, ale za Hessler Chemie tak. Zawsze na temat mojego ojca krążyły plotki, które w ciągu lat przybierały na sile, po czym szybko były tłumione. Ojciec zawsze twierdził, że większą część wojny spędził poza Niemcami. I to jest prawda. Niektórzy jednak utrzymują, że nie dlatego wyjechał z Niemiec, że, jak mówił, nie mógł walczyć ani po stronie Hitlera, ani przeciwko swoim rodakom, tylko dlatego, że był sowicie opłacanym szpiegiem, kimś na tyle wysoko postawionym, że wiedział, co się dzieje w obozach śmierci, że wiedział nawet o eksperymentach przeprowadzanych na ludziach. Być może pani ojciec nakrył go na przenoszeniu tych szczególnych badań z jakiegoś tajnego miejsca w inne...

Cała krew odpłynęła Davinie z twarzy.

- Czy pan chce powiedzieć... czy mam rozumieć...?

- Nie mam żadnych podstaw do tego, żeby twierdzić, że pani ojciec szantażem wyłudził od mojego ojca ten wzór chemiczny. Za mało wiem o pani ojcu, żeby sobie pozwalać na takie oskarżenia. Mogę tylko powiedzieć jedno: że receptura, na jakiej opiera się najważniejszy - bądźmy szczerzy: jedyny - lek produkowany przez Carey Chemicals, zdradza zbyt wielkie podobieństwo do tej, którą znalazłem w papierach mojego ojca. Ta zbieżność nie może być przypadkowa.

Widział, w jaki sposób Davina drgnęła na dźwięk słowa „szantaż”, dlatego jego przeprosiny zabrzmiały szczerze.

- Przepraszam... bardzo panią przepraszam, naprawdę nie przyszedłem tu po to, żeby robić pani przykrości. Rozumiem doskonale, co pani czuje, a zresztą... zresztą, mogę się mylić...

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie sędzę, żeby się pan mylił. - Nie potrafiłaby powiedzieć, skąd wie, że jego podejrzenia są uzasadnione, ale miała wrażenie, że nagle w jej podświadomości otworzyły się jakieś zamknięte dotychczas drzwi, a ona doznała iluminacji. Tak, nie ulegało już teraz wątpliwości, że jej ojciec byłby zdolny do takiego czynu. - Myślę, że ma pan rację. - Wzdrygnęła się, próbując nie myśleć o tym, z jakiego źródła pochodziły pieniądze, które leżały teraz w banku na kontach Gregory'ego, na jej kontach, pieniądze, którymi płaciła za to wszystko, w co się ubierała i co jadła.

- Niech pani spróbuje o tym nie myśleć - powiedział Leo, jakby czytał w jej myślach.

- Muszę. Nic na to nie poradzę. Ci wszyscy ludzie... ci ludzie z obozów i ich rodziny... to oni powinni teraz czerpać korzyści z dobrodziejstw tych leków, a tak pewnie nie jest... - Oczami wyobraźni widziała straszne sceny. - To... to naprawdę potworne - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Ale jak...?

- Nie wiem - odparł Leo. - Sam nie mogę się z tym pogodzić. Wygląda na to, że wina pani ojca polegała tylko na szantażu, na tym, że wykorzystał sytuację w zamian za to, że nie zadenuncjuje mojego ojca. Nie wiadomo, czy przypadkowo wpadł na te raporty medyczne, czy ich szukał, czy był świadom ich istnienia...? Czy...?

- Ten lek nasercowy to był praktycznie jedyny, jaki się udał Carey Chemicals - mruknęła Davina. - Ale Hessler...

- Kto wie, w jaki sposób mój ojciec zdobył receptury wszystkich pozostałych leków, które, jak twierdził, pochodziły z naszych laboratoriów, poza tym oryginalnym środkiem uspokajającym... - przerwał jej Leo z goryczą. - Może rzeczywiście tak było, jak mówił... Daj Boże.

- Trudno mi w te potworności uwierzyć - wyszeptała Davina.

- Rozumiem panią doskonale - odparł Leo. - Kiedy się o tym dowiedziałem, miałem ochotę

roznieść Hessler Chemie w pył, trąbić na cały świat o winie mojego ojca, ale czy mogłem to zrobić? Jak mógłbym pozbawić chleba tysiące niewinnych ludzi, nieświadomych pochodzenia firmy, w jakiej pracują? Gdybym miał dla spokoju własnego sumienia ogłosić światu prawdę, to przecież zapłaciłby za to nie mój ojciec, a przynajmniej tak to sobie tłumaczę. - Spojrzał na Davinę w zadumie. - Czy będąc synem sadysty i mordercy, jestem jeszcze do tego tchórzem?

Skrzywiła się, ale potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała stłumionym głosem. - Ale rozumiem, co pan czuje. Carey... Na samą myśl o tym, że będę musiała tam iść, robi mi się niedobrze. Tak jak na myśl o tym domu, o wszystkim, co zostało kupione za pieniądze ojca... Gdybym jednak miała teraz opuścić firmę... - Urwała i spojrzała na Lea. - Pan wie, że jesteśmy na granicy bankructwa? Pan wie tak dużo...

Leo skinął głową i nagle Davina zapragnęła zasięgnąć jego rady. Był jej obcy, ale w jednej chwili połączyło ich dziwne braterstwo dusz.

- Zwrócił się do mnie ktoś, kto byłby gotów kupić Carey Chemicals. Bank nalega, żebym sprzedała firmę, ale nie mogę tego zrobić bez pewnych gwarancji, że ludzie nie tylko nie stracą pracy, ale że ich warunki pracy ulegną poprawie. Saul Jardine...

- Jardine? - spytał Leo gwałtownie.

- Tak. - Davina zawahała się. - Czy... czy pan go zna?

- Nie - odparł Leo.

- On pracuje u sir Alexa Davidsona - podjęła.

Leo zmarszczył brwi. Słyszał o Aleksie Davidsonie, przedsiębiorcy, który działał na zasadach pirackich, wyszukując bezbłędnie firmy słabe, bez żadnych zabezpieczeń, ale czego mógł chcieć od Carey Chemicals?

Nie był zdziwiony, kiedy Davina powiedziała mu o grożącym jej bankructwie, zdziwiło go natomiast, że w ogóle znalazł się ktoś, kto chciał ją wykupić.

- Nigdy nie dowiemy się prawdy o naszych ojcach - powiedziała znużona. - Jak pan sądzi?

- Nie - zgodził się z nią ponuro.

- Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko - podjęła - nigdy się nie zgadzaliśmy. Zawsze wiedziałam, że ojciec mnie nie kocha, i ja go właściwie też nie kochałam - przyznała. - Ale przynajmniej do tej pory nie czułam do niego nienawiści. .. Jak on mógł?

Leo nie próbował jej pocieszać. Wiedział, że cokolwiek powierniczego nie zmieni.

- Dzięki Bogu, że nie żyje - powiedziała wreszcie. - Bo gdyby żył...

- Tak, rozumiem.

- Co pan zamierza zrobić? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Tu już się nic nie da zrobić. Dla dobra firmy nie mogę zdradzić przeszłości ojca. Przykro mi bardzo, że panią w to wmieszałem. Nie powinienem był obciążać pani tym wszystkim.

- Ależ nie - zaprotestowała gorąco i szczerze. - W pewnym sensie jestem nawet zadowolona, że o tym wiem. Przynajmniej nie czuję się taka winna, że go nie kochałam.

- Rozumiem - odparł i Davina czuła, że mówi prawdę. - Zawsze pozostaniemy w sferze domysłów - dodał łagodnie. - W każdym razie starałem się być dyskretny. Mam nadzieję, że moje poszukiwania nie narażą pani na żadne nieprzyjemności, chociaż już teraz nie jestem taki pewien czystości motywów swojego działania. Wmawiałem sobie, że chodzi mi tylko o potwierdzenie podejrzeń, a teraz widzę, że jednocześnie szukałem kogoś, kto podzieli ze mną koszmar tej świadomości.

Davina delikatnie dotknęła jego ramienia. Istniała teraz między nimi więź, która nigdy nie zostanie zerwana, głębsza i silniejsza niż więzy miłości czy krwi... silna jak więź wspólnej winy ich ojców?

- Mogę się mylić - powtórzył Leo. - Nie mam niezbitych dowodów.

Potrząsnęła głową.

- Mój ojciec był dowodem. Pan się nie myli. Co pan zamierza zrobić?

- Wrócić do Hamburga i modlić się, żeby prawda o naszych ojcach pozostała pogrzebana wraz z nimi - odparł poważnie. - A pani?

- Nie wiem. Najpierw muszę znaleźć kogoś odpowiedniego, kto by wykupił Carey Chemicals. - Dopiero wtedy będzie się mogła odciąć psychicznie od przytłaczającego ciężaru winy ojca... od jego splamionych krwią pieniędzy.

Wzdrygnęła się wiedząc, że tak naprawdę nigdy się od tego nie odetnie, że przecież nie zmieni przeszłości.

Przyszłość to co innego.

Po śmierci Matta jego adwokat bardzo dyskretnie zwrócił się do niej z wiadomością, że jego klient zostawił jej niewielki spadek. W liście, który jej wówczas wręczył, było napisane:

*Davino, potraktuj to jako paszport do wolności, o ile jeszcze jej sobie nie wywalczyłaś. Jest to dar miłości, którą powinienem być z tobą dzielić, ale do której nie miałem odwagi się przyznać.*

Nigdy tych pieniędzy nie wydała; zainwestowała je. Suma nie była duża, ale wystarczy jej aż nadto na życie, podczas gdy będzie zdobywała jakiś zawód, który zapewni jej finansową niezależność. Wynajmie mały domek albo mieszkanie...

Ten dar Matta, który ofiarował jej tak wiele, okazał się niemal proroczy.

- Tak mi przykro - zaczął Leo, ale Davina potrząsnęła głową.



- Nie, to dobrze, że mi pan powiedział. Przejrzę papiery mojego ojca, może coś znajdę... Pan się zatrzymał w Grosvenor, tak? Na jak długo?

- Jutro wyjeżdżam, ale dam pani swój numer telefonu w Hamburgu, i to wcale nie tylko na wypadek, gdyby pani coś znalazła. Chciałbym, żebyśmy byli w kontakcie, Davino.

- Tak, ja też - powiedziała nieśmiało.

Leo podniósł się i wyciągnął do niej rękę, ale potem nagle rozmyślił się, wziął ją w ramiona i przytulił. Nie było w tym uścisku nic erotycznego, jedynie ciepło i współczucie.

- Nie bierz na siebie ich winy - powiedział.

- A ty? - spytała cicho.

Wpuścił ją z objęć, a ona obdarzyła go uśmiechem.

- Jeśli coś znajdę, natychmiast dam ci znać - obiecała na pożegnanie.

Podświadomie miała nadzieję, że nie znajdzie nic. Chyba ojciec nie popełniłby takiego błędu, żeby zostawić jakiś ślad? Chociaż ojciec Lea, trzymając te receptury, popełnił błąd... Chciwość to jednak potężna i destrukcyjna siła...

Wieczór nie należał do udanych. Z całej trójki tylko Cathy była zadowolona. Christie z ulgą powitała koniec posiłku, Saul był przez cały czas dziwnie zamyślony.

Kiedy wychodzili z restauracji przez recepcję, Christie szła przodem, a Saul tuż za nią, dlatego też omal na nią nie wpadł, kiedy zatrzymała się nagle na widok stojącego do niej tyłem i rozmawiającego z recepcjonistką mężczyzny i wyszeptała „Leo”.

- Coś się stało? - zapytał nagłoco, ale Christie go nie słuchała. Słyszała, jak Leo prosi recepcjonistkę, by go koniecznie wezwano, gdyby przypadkiem zadzwoniła pani Davina James.

Tym razem Saul zeszywniał, pilnie obserwując mężczyznę, który właśnie skończył rozmowę.

Leo zauważył Christie natychmiast, gdy się odwrócił.

- Chodźmy stąd, i to szybko - syknęła do Saula widząc, że Leo odruchowo zmierza w ich stronę. Odwróciła się i niemal wybiegła z budynku.

- Co się stało, mamó? - zapytała zaniepokojona Cathy, kiedy się z nią zrównali na ulicy.

- Nic się nie stało - skłamała Christie i zaraz potem, żeby rozładować atmosferę, dodała: - Zrobiło mi się trochę słabo, ale teraz, kiedy się znalazłam na świeżym powietrzu, wszystko jest już w porządku.

Leo w Chester, ale wcale nie z jej powodu! I czego on może chcieć od Daviny James? Zmarszczyła brwi, przypominając sobie zainteresowanie Saula Carey Chemicals.

Saulowi wystarczył jeden rzut oka na Christie, żeby w drodze do domu nie próbować z nią rozmowy. Cathy zaś, wyczuwając napięcie matki, potulnie poszła spać, ale wyraz jej oczu obudził w Christie wyrzuty sumienia.

Obojętne, co przeżywała i jakie wrażenie zrobił na niej nieoczekiwany widok Lea, nie ma prawa narażać dziecka na stresy.

Kiedy pochylała się nad małą odgarniając jej z czoła kosmyk włosów, poczuła pod powiekami piekące łzy.

- Kocham cię, mamó - wyszeptała Cathy tuląc się do Christie, która bez słowa odwzajemniła uścisk dziewczynki. Chociaż była jeszcze za mała, by w pełni rozumieć, co się dzieje z matką, już dawno wyrosła z wieku, kiedy można ją było zbyć byle kłamstwem, i Christie z jej tonu wyczuła, iż Cathy doskonale zdaje sobie sprawę, że matka pospiesznie opuściła hotel wcale nie z powodu rzekomego zawrotu głowy.

Kiedy Christie zeszła na dół i zobaczyła w kuchni czekającego na nią Saula, nie była

pewna, czy jest z tego zadowolona.

- Chcesz może porozmawiać? - zagadnął.

- Nie ma sensu - odpowiedziała znużona. - Właściwie to nie ma o czym.

Pod wpływem jego spojrzenia zmiękła jednak.

- No więc dobrze, już dobrze... Poznałam go w Edynburgu i jechaliśmy do hotelu jedną taksówką. Wieczorem poszliśmy do knajpy na kolację...

- I? - nalegał Saul. Jeszcze nigdy nie widział siostry w takim nastroju. Zwykle całą swoją energię i zainteresowania dzieliła pomiędzy Cathy i pracę. Zauważył, jak po urodzeniu małej odsunęła się od mężczyzn, ściśle rozgraniczając uczucia i pożądanie, a w miarę, jak dojrzywała psychicznie, nauczyła się te sprawy kontrolować i w końcu zrezygnowała nawet z przelotnych związków, na jakie dawniej sobie pozwalała.

Kiedyś, gdy ją o to zapytał, odpowiedziała mu krótko, że musi myśleć o Cathy i nie zamierza być jedną z tych matek, co to paradują przed swoimi małymi wrażliwymi dziećmi w towarzystwie różnych „wujków”.

- A poza tym - powiedziała sucho - jestem lekarką. Jak mogłabym ostrzegać swoich pacjentów przed niebezpieczeństwami wolnej miłości, gdybym sama nie stosowała się do tych zaleceń?

Teraz, patrząc na nią, Saul zastanawiał się, czy przypadkiem Leo von Hessler nie stał się wyjątkiem od tej reguły. Był rzeczywiście bardzo przystojny, nawet on mógł to ocenić, i może w tej chwili Christie robi sobie wyrzuty, że okazała się zbyt miękka.

- I nic - powiedziała ze złością. Saul widział, jak usiłuje nad sobą panować. - I nic kompletnie się nie stało. Nic. Cały wieczór myślałam, że...

Chodziła po kuchni tam i z powrotem, jakby nieświadoma jego obecności, wyrzucając z siebie słowa bez żadnych już teraz zahamowań.

- Chciałam go, Saul, i wydawało mi się, że i on mnie chce. - Odwróciła się nagle i wyraz jej twarzy przypomniał Saulowi ich dziecinne czasy. Rozpacz i niepewność, jakie dostrzegł w jej oczach, stanowiły dojrzałą wersję tych wszystkich emocji, jakie tak często widywał w nich dawniej. Współczucie i żal ścisnęły go za serce. Miał ochotę ją pocieszyć, ale nie potrafił jej tego okazać ani nawet znaleźć właściwych słów, żeby powiedzieć, jak bardzo mu jest droga.

- Nie ukrywałam przed nim, że... - Urwała, spojrzała na brata i spytała: - Czy to samo czuje mężczyzna odrzucony przez kobietę, czy...?

- Czasami - odparł Saul. - To zależy od kobiety i od tego, jak bardzo jej pragnie i w jakim stopniu się przed nią odsłonił.

- Tak pokierował rozmową, że... powiedziałam mu bardzo dużo o sobie - podjęła Christie

z goryczą. - Zaczęłam już myśleć, że... - Urwała i zaczerwieniła się. Saul ze współczuciem spojrzał na siostrę.

Zaoferowała Leo von Hesslerowi swoje ciało i została odrzucona, ale oboje wiedzieli, że kryje się za tym coś więcej.

- Jestem już za stara na takie przeżycia - powiedziała bezradnie. - Mam już naprawdę tego dość.

- Czego masz dość? - zapytał delikatnie. - Miłości?

- Miłości? Do niego? - Uśmiechnęła się posepnie. - Jak mogłabym go kochać, skoro on reprezentuje wszystko to, czego najbardziej nienawidzę, Saul? Skoro mnie oszukał, bo nawet mi nie powiedział, kim jest? Ja go nie mogę kochać. Takie uczucie po prostu nie istnieje, w każdym razie nie między dorosłymi, nie tam, gdzie w grę wchodzi pożądanie. Owszem, nazywamy to często miłością, ale w gruncie rzeczy...

Saul obserwował ją z powagą. Już nieraz wygłaszała przy nim takie poglądy, ale tym razem w jej gniewnych słowach zabrakło zwykłej żarliwości i wiary.

- Zejdz na ziemię, Chris - powiedział łagodnie. Podszedł do niej i ku zdziwieniu obojga uściskał. Nigdy dotykem nie okazywali łączącej ich więzi, choć na swój sposób byli sobie bliscy. Tak jakby, pomyślała Christie, coś ich w sensie fizycznym dzieliło. Coś czy ktoś? - zastanawiała się pamiętając, jak to ich ojciec unikał zawsze wszelkich fizycznych kontaktów, wysyłając w tym duchu sygnały na tyle silne, że odbierali je oboje, każde na swój sposób.

Teraz, kiedy Saul ją tulił, początkowo niezdarnie, a potem coraz naturalniej, doznała uczucia bliskości wynikającego z więzów krwi, które ich łączyły i które w tej chwili zniosły wszelkie bariery obronne, jakie w sobie wzniosła.

- Boję się, Saul - wyznała. - Nie chcę tak się czuć. To wszystko jest takie... śmieszne i nieprawdopodobne... Przecież ja go w ogóle nie znam i, jak ci mówiłam, ten człowiek reprezentuje wszystko, czego nie znoszę.

- Co nie zmienia faktu, że jest mężczyzną, Christie - odparł Saul. - I on musi coś do ciebie czuć, skoro tu przyjechał szukać okazji...

Zesztywniała i odsunęła się od niego błyskawicznie.

- On tu nie przyjechał z powodu mnie, Saul. Przyjechał zobaczyć się z Daviną James. Słyszałam, jak mówił recepcjonistce, że spodziewa się telefonu od niej. - Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu. - Może chce ją wykupić, jak sir Alex?

Tym razem Saul poczuł dreszcz. Jego umysł, nagle trzeźwy, zaczął działać jak zaprogramowany komputer, bezbłędnie sortując i porządkując fakty.

Ktoś tak ważny jak Leo von Hessler nie spada nagle z nieba, żeby ni z tego ni z owego

pertraktować w sprawie kupna firmy w rodzaju Carey Chemicals. Chcąc w harmonogramie zajęć znaleźć szczelinę, w której da się pomieścić podróż do Cheshire, taki człowiek jak on musi planować wiele tygodni naprzód. Poza tym nie przyjedzie nie upewniwszy się uprzednio, że osoba, z którą zamierza rozmawiać, jest otwarta na jego propozycję... A to by oznaczało...

A to by oznaczało, że Davina James cały czas wiedziała o jego zainteresowaniu, że nie tylko wiedziała, ale się z tym nie zdradzała, świadomie go okłamując, i że z niego zakpiła, przedstawiając mu te niedorzeczne warunki transakcji - na co mogła sobie pozwolić mając w zanadru drugiego, znacznie bogatszego i bardziej wpływowego potencjalnego nabywcę.

Saul nie musiał zadawać sobie pytania, co miała na myśli; wiedział doskonale: sprytnie manipulując nimi obydwojma, zamierzała ich na siebie napuszczać aż do osiągnięcia celu, który zresztą nie miałby nic wspólnego z zabezpieczeniem interesów załogi Carey Chemicals.

Jak mógł być na tyle głupi, żeby dać się na to nabrać? To przecież ona była nowicjuską, a on starym wyjadaczem, a mimo to uwierzył, że Davina ma rzeczywiście na uwadze dobro ludzi, i to do tego stopnia... Westchnął głęboko, czując, jak wzbiera w nim gwałtowna fala złości.

Nie tylko jej uwierzył, ale także zazdrościł jej uczciwości, zrozumienia potrzeb innych i wysokich moralnych standardów, jakimi się w sposób tak naturalny kierowała. Z goryczą myślał o swoich niedostatkach, o nieumiejętności dorównania jej w tych sprawach, o zaparciu się własnych przekonań, a nawet siebie, i to nie dla swojego dobra, tylko w imię interesów innych.

Uwierzył jej, i to zaufanie go oślepiło, dlatego teraz, w obliczu prawdy, poczuł narastający gniew.

- Co się stało, Saul? - zapytała Christie, widząc zmianę na jego twarzy.
- Muszę się zaraz zobaczyć z Daviną James - powiedział stanowczo.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Jak to, Saul, nie możesz, przecież jest prawie dziesiąta. Saul, na miłość boską... Nie wiem, o co ci chodzi, ale z pewnością ta sprawa może poczekać do jutra. Przecież...

- Nie, nie może - odparł krótko.

Przez całą drogę do Daviny czuł, jak pulsująca w nim złość próbuje zerwać wątłe tamy samokontroli. Niejasno zdawał sobie sprawę, że reaguje przesadnie, ale furia pchała go naprzód, każąc zapomnieć o wszelkiej ostrożności i rozwadze.

Kiedy na ostrym zakręcie zarzuciło go gwałtownie, zorientował się, że jedzie o wiele za szybko. Zaciśnięte na kierownicy dłonie zbieleły, kiedy usiłował stłumić potrzebę, by nacisnąć jeszcze mocniej na pedał gazu i rozładować w ten sposób napięcie.

Kiedy dojechał na miejsce, zobaczył, że na dole pali się światło. Poczował chwilowe rozczarowanie. Uświadomił sobie, że wolałby wyrwać Davinę ze snu i wykorzystać moment

zaskoczenia.

Co ona robi? - zastanawiał się. Zadowolona z siebie czeka na niego, aż przyjdzie i jej powie, że sir Alex nie zamierza przyjąć ani jednego z postawionych przez nią warunków?

Ciekawe, czy będzie się z niego śmiała, kiedy jej zacznie mówić o ofercie von Hesslera, pewna siebie i swoich możliwości, czy dalej zamierza grać rolę, w której się tak świetnie czuje?

Czy w tych niezwykłych oczach dostrzeże to samo fałszywe ciepło i współczucie, kiedy mu będzie mówiła, że jest ktoś jeszcze, kto się interesuje zakupem firmy, jak wtedy, kiedy mu tłumaczyła, dlaczego stawia tak niedorzeczne warunki?

Jakżeż sprytnie, z jaką dziecinną łatwością zdołała go podejść!

Wysiadł z samochodu i szybko ruszył w stronę domu.

Kiedy rozległo się niecierpliwie bębnienie do drzwi, Davina przebywała akurat w pokoju, w którym trzymała wszystkie papiery ojca.

Po wyjściu Lea zamknęła się w tym niewielkim pomieszczeniu i przejrzała wszystkie dokumenty, ale tak jak się spodziewała, niczego nie znalazła - poza kilkoma pustymi kartami w albumie ze zdjęciami, który tak starannie prowadziła matka. Album zawierał fotografie sprzed i z czasów wojny, ale nigdzie nie doszukała się nawet najmniejszej wzmianki o służbie ojca w Niemczech, chociaż wiedziała, że tam był.

„tylko ojciec mógł zniszczyć te fotografie, i ta świadomość ją przygnębiła. Uplłynęło sporo czasu, zanim zareagowała na uporczywe stukanie Saula.

Przytłoczona brzemieniem straszliwej prawdy, nie czuła też lęku, który normalnie obudziłby jej czujność. Jakie bowiem zagrożenie czy niebezpieczeństwo, znajdujące się poza jej drzwiami, mogło się równać z tym, które istniało wewnątrz, w jej sercu, w duszy? Wzdrygnęła się i powoli wstała.

Jak jej ojciec mógł wykorzystywać tamte badania wiedząc, w jakich okolicznościach były prowadzone?

Nie będzie się przecież pocieszała myślą, że robił to nieświadomie. Można różne rzeczy mówić o jej ojcu, ale nie to, że był głupi. Zastanawiała się z goryczą, ile wiedział na temat przeszłości von Hesslera, który musiał się znaleźć w rzeczywiście rozpaczliwej sytuacji, żeby się rozstać z czymś tak cennym, jak wyniki tych badań. Wątpiła, czy jej ojciec po prostu nakrył Heinricha von Hesslera na jakimś drobnym wykroczeniu.

Według tego, co mówił Leo, jego ojciec dokładnie zacierał ślady. Nie istniały żadne dowody, poza zwykłymi plotkami, że mógł być kimś innym niż ktoś, za kogo sam się podawał, a już z pewnością musiał być człowiekiem, który potrafił się wyłgać z trudnej sytuacji.

Davina podejrzewała, że jej ojciec, aby móc go skutecznie szantażować, musiał wiedzieć,

kim Heinrich von Hessler był naprawdę... Mógł usłyszeć jego nazwisko od umierającego więźnia obozu hitlerowskiego, przedstawionego w artykule, o którym wspominał Leo...

Ciekawe, co było pierwsze: czy von Hessler zaproponował jej ojcu udostępnienie wyników eksperymentów na ludziach w zamian za milczenie, czy to ojciec pierwszy zaczął go szantażować?

Gdy schodziła na dół, jej zdenerwowanie rosło. Jedno było jasne: że kiedy już ojciec się zdecydował na skorzystanie z tych informacji, był w tym samym stopniu związany tajemnicą co i sam von Hessler.

Czy chociaż raz, czerpiąc profity ze sprzedaży tego leku, pomyślał, w jakich okolicznościach został on wynaleziony i jaką straszną cenę musieli za niego zapłacić ci wszyscy nieszczęśnicy, którzy posłużyli jako króliki doświadczalne?

Ścisnęło ją w żołądku na samą myśl o tym, że i ona, choć nieświadomie, to przecież jednak z tego korzystała. Ta myśl sprawiała, że miała ochotę zedrzeć z siebie ubranie, więcej - szarpać na sobie skórę w porywie niszczenia wszystkiego, co w jakikolwiek sposób pochodziło od jej ojca.

Nic dziwnego, że laboratoria Carey Chemicals były tak źle wyposażone, a ich pracownicy dobierani w sposób przypadkowy. To nie był przypadek. Ojciec musiał świadomie nie zatrudniać ludzi, którzy mogliby odkryć prawdę albo zbyt wnikliwie dociekać pochodzenia oryginalnej receptury tego leku.

Ojciec Lea wybrał naturalnie inną drogę i wykorzystał wyniki eksperymentów do zbudowania wielkiego imperium farmaceutycznego. Ale oczywiście Leo - jak to sam przyznał - nie mógł wiedzieć, czy te dane, które posłużyły do wyprodukowania słynnego leku firmy Carey Chemicals, były jedynymi, do jakich jego ojciec miał dostęp.

Leo miał rację mówiąc, że połączyły ich teraz jedne z najsilniejszych więzów. Oświadczył, że nie powinien był jej tego wszystkiego mówić, nie powinien był jej tym obciążać, ale ona potrząsnęła głową. W jakiś dziwny sposób była zadowolona, że wie. Uwolniło ją to ostatecznie od poczucia winy z tego powodu, że nie kochała ojca, pozwoliło poddać się dyktatowi własnego serca, iść naprzód bez oglądania się za siebie. Rozwiązało też dręczący ją od dawna problem, który powstał w chwili, kiedy odkryła, ile pieniędzy odziedziczyła osobiście, pieniędzy, które pierwotnie pochodziły z firmy, ale w nieuczciwy sposób zostały przez ojca pomnożone.

Davina nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Nie chciała, żeby dalej zatruwały jej życie. Musiała jednak włożyć wiele wysiłku w to, żeby siebie przekonać, że same pieniądze, przedmiot martwy, są wolne od obciążeń, jakie spadły na związanych z nimi ludzi, i że przeznaczając je na różne cele dobroczynne nie zbruka nimi tych, którzy z nich skorzystają.

A co do samej firmy... Z jednej strony Davina pragnęła zniszczyć ją całkowicie, zrównać z ziemią budynki, a samą ziemię odkazić; z drugiej zaś wiedziała, że przecież dla uspokojenia własnego sumienia nie może pozbawić niewinnych ludzi pracy. W tej sytuacji mogła mieć tylko nadzieję, że Alexowi Davidsonowi zależy na kupieniu Carey Chemicals na tyle, że przyjmie jej warunki, na co, wiedziała z góry, szansa była nikła.

W holu paliło się światło. Davina automatycznie otworzyła drzwi, nie zastanawiając się nawet, kto może za nimi stać, w osłupieniu więc patrzyła na Saula, który wtargnął do wnętrza, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

To, że był zły, poznała natychmiast, nie zorientowała się jednak, że przyczyną tej złości jest ona sama, dopóki nie warknęła:

- Kłamała pani. Wiem, że pani kłamała! To całe gadanie o tym, że chodzi pani o ludzi, te szlachetne pobudki, te zapewnienia, że nie chce pani niczego dla siebie... to wszystko były bzdury, zręczna gra obliczona na podbicie ceny. Bo w gruncie rzeczy ci ludzie nic pani nie obchodzą. Po prostu wykorzystwała ich pani, tak jak i mnie, do osiągnięcia swoich celów. Od początku wiedziała pani, że sir Alex nigdy się nie zgodzi, prawda?

Davina w przerażeniu cofnęła się przed nim. Serce biło jej nieprzytomnie. Nie mogła uwierzyć, że ten rozgorączkowany szaleniec to ten sam spokojny, opanowany człowiek ze spotkania w banku u Philipa Taylora, człowiek, któremu zupełnie idiotycznie zwierzyła się, że uważa za swój święty obowiązek stanie na straży interesów pracowników Carey Chemicals i stawianie ich dobra ponad swoim. Jednocześnie nie czuła przed nim lęku. Za dużo już w życiu przeszła i zarówno jej ciało, jak i dusza, były szczęśliwie znieczulone na ból.

- Niech pani sobie nie wyobraża, że pani z von Hesslera wyciągnie więcej niż z sir Alexa; obaj potrzebują pani firmy z tych samych powodów i pani doskonale te powody zna. Jestem tego pewien.

Mówił bardziej do siebie niż do niej, uznała Davina, której serce zdążyło się już uspokoić.

Saul nie miał pojęcia, w jaki sposób von Hessler dowiedział się o proponowanych subwencjach rządowych. Prawdopodobnie w ten sam co Alex, a ona też się musiała czegoś domyślać, skoro tak zręcznie próbowała wygrywać jednego przeciwko drugiemu.

Kiedyś może by nawet podziwiał taką przebiegłość, ale to było kiedyś, zanim poznał prawdę o sobie i zrozumiał, czego naprawdę oczekuje od życia.

Gdzieś u źródeł jego gniewu leżała bezbronność i ból, jaki z niej wynikał; świadomość nie tylko tego, że został oszukany, ale że cnoty, które dostrzegł w Davinie, które podziwiał i których jej zazdrościł, mogły po prostu nie istnieć. Saul jednak nie chciał się przyznać nawet przed sobą



do tej słabości, wolał się sycić gniewem, traktując go niemal jako ucieczkę.

- Von Hessler albo Alex, wszystko pani jedno, który z nich rozszarpie firmę i rzuci psom na pożarcie, prawda? Pod warunkiem, że miody z tej transakcji spije pani. Od początku wiedziała pani o tym spotkaniu z von Hesslerem. Musi mu rzeczywiście, bardzo zależeć na Carey, skoro negocjuje osobiście albo po prostu próbuje całą sprawę utrzymać w tajemnicy do wyjścia nowych uregulowań prawnych. Ciekawe, co pani zamierzała zrobić. Czekać, aż ja przyjdę z odmową sir Alexa, i dopiero wtedy zwiększyć nacisk?

Z wojowniczą miną postąpił w jej stronę.

- Ja też mogę zastosować pewien nacisk. Dla pani informacji: w świetle nowych uregulowań prawnych, gdyby Carey Chemicals miała funkcjonować dalej, musiałaby zmienić właściciela.

Nie był pewien, czy to prawda, ale też chciał ją w jakiś sposób zaszachować. Z wyrazu jej oczu wywnioskował, że nią wstrząsnął. Napełniło go to mściwą satysfakcją.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że pani firma jest nie tylko na skraju bankructwa, ale po prostu grozi jej zamknięcie. Wystarczy wziąć pod uwagę waszą rekordową liczbę wypadków przy pracy i chorób skóry.

Widział, jak drgnęła, ale uznał, że sobie na to zasłużyła, ona, ta specjalistka w sztuce manipulacji.

- Alex zamierza nabyć Carey Chemicals i moja w tym głowa, żeby mu się to udało. A co do tych bzdur... - Machnął jej przed nosem zwitkiem papierów, w którym oszołomiona Davina poznała tak starannie opracowane przez siebie warunki transakcji. Zrobiło jej się słabo, usiłowała zebrać myśli.

W milczeniu patrzyła, jak Saul przedziera papiery na pół, a potem jeszcze raz na pół i rzuca na podłogę.

- Dobrze, że w porę odkryłem prawdę, bo bym przed sir Alexem wyszedł na idiotę. Wyobrażam sobie, jak się musiała pani ze mnie śmiać. A teraz przejdźmy do rzeczy.

- Uśmiechnął się do niej zjadliwie. - Alex zamierza kupić pani firmę, ja zaś zrobię wszystko, żeby mu w tym pomóc, bez względu na to, jakich zabiegów będę musiał w tym celu użyć, a jeśli mi pani nie wierzy...

Davina wreszcie odzyskała głos.

- Owszem, wierzę panu - odparła drżąc z oburzenia. Teraz już i ona była zła - nie na niego, tylko na siebie, na swoje życie, bezbronność i poczucie winy, ale przede wszystkim na ojca, który jej pozostawił taką spuściznę.

- Pan się myli, Leo von Hessler nie przyjechał tu kupować Carey. - Zaczerpnęła tchu i modliła się w duchu, żeby nie straciła panowania nad sobą.

- Niech pani nie kłamie, do diabła! - warknął Saul. Zdawał sobie sprawę, że jego reakcja jest histeryczna, ale nie mógł powstrzymać wściekłości, która się w nim gotowała.

- Ja nie kłamię - odparła stanowczo Davina. - I jeśli pan chce wiedzieć, chociaż to nie pański interes, Leo i ja...

Urwała i odwróciła głowę. Przez jedną sekundę Saul myślał, że Davina ma zamiar mu powiedzieć, że ten Niemiec jest jej kochankiem, ale znów na niego spojrzała, z wyzwaniem w oczach, wstrząśnięta, pełna bólu, który, jak wiedział, nie mógł być autentyczny, ale który wydawał się tak szczery i uczciwy, że Saul wręcz zakipiał ze złości.

- Nasi ojcowie się znali. My... oni... poznali się podczas wojny.

Wykrzywił usta w wyrazie pogardy, widząc, jak się wzdrygnęła. Nawet ona nie potrafiła tak bezczelnie łąć.

- Znali się, jasne, że się znali - syknął.

Jego pogarda podziałała na nią jak cios. Pod wpływem impulsu rzuciła się do drzwi, żeby go wyrzucić, ale ku ich wspólnemu zaskoczeniu chwycił ją za rękę i przyparł do ściany.

Wszystko to działo się tak szybko, że instynktownie zamknęła oczy, niemal oczekując, że Saul unieruchomi jej głowę. Dygotała z bezsilnej złości, zbyt wściekła, żeby odczuwać strach, zbyt zaskoczona nieoczekiwanym obrotem sprawy, żeby jakoś sensownie zareagować, waliła więc tylko na oślep swoją małą pięścią w jego potężne, muskularne ramię.

Na Saulu jej dotyk wywarł natychmiastowy efekt: poprzez wściekłą furie przeniknęła świadomość jej bliskości, dotyku jej jedwabistej skóry, kruchości niemal dziecinnie drobnej postaci, szeroko otwartych oczu, piersi, które unosiły się i opadały w przyspieszonym oddechu, zapachu rozgrzanego ciała.

Skutek był nieunikniony: ogarnęło go dawno nie zaspokajane pożądanie, co go tak bardzo zaskoczyło, że Davina pierwsza zdała sobie z wszystkiego sprawę.

Intuicyjnie wyczuła w nim zmianę. Pomiędzy jednym a drugim uderzeniem serca zmysły powiedziały jej, co się dzieje, reagując błyskawicznie na jego dziwne zachowanie. Zesztywniała, kiedy nachylił się ku niej, bezwolna już prawie i drżąca. Drżała ze złości i podniecenia, a nie ze strachu czy gniewu podsycanego oporem. Kiedy jednak Saul nachylił ku niej głowę, nacisk jego palców zmienił się tak niedostrzegalnie, że tylko wyostrzone zmysły mogły wyczuć tę zmianę.

- Kłamałaś - powiedział, czując dojmujący ból, jakby mu ktoś posypał ranę solą.

- Nie - warknęła z równą zaciekłością, ale czując wzrastający nacisk jego warg, wpiła się w nie z równą gwałtownością. Później dziwiła się nieraz, że potrafiła sprostać jego seksualnej agresji. Nie był to wyraz fizycznego pragnienia, jakie dzieliła z Mattem, a jednak w jakiś sposób wzbierające w niej potrzeby znalazły ujście. Zaczęła go drapać, bić i gryźć, napawając się

widokiem jego krwawiącej wargi, wczepiła palce w jego włosy, ciągnąc je i szarpiąc w zaprawionej furią parodii miłosnego uścisku.

Dopiero świadomość, że boleśnie przygniata jej piersi, jak i świadomość podniecenia oraz obawa, że jeszcze chwila, a wszelkie granice zostaną przekroczone i zgwałci Davinę dlatego tylko, żeby ją upokorzyć i dać jej nauczkę... żeby ją ukarać za to, że go oszukała - wszystko to razem sprowadziło wreszcie Saula na ziemię i sprawiło, że odskoczył od niej gwałtownie, z wyrazem niesmaku i pogardy dla siebie.

Wargi miała czerwone i spuchnięte. Czuł smak krwi na ustach; początkowo myślał, że to jej krew.

Oddychała płytko i spazmatycznie, tak samo zresztą jak on. Złany był potem, ręce i nogi drżały mu z wyczerpania. Na chwilę oczy zaszyły mu mgłą i musiał odwrócić głowę, żeby nie spoglądać w jej wyzywającą twarz.

Czuł ból w gardle, ale jeszcze większy w sercu. Obojętne, jak bardzo go oszukała - wzdragał się przed użyciem słowa „skrzywdziła” - nie ma żadnego usprawiedliwienia dla jego zachowania.

Czuł się jak po wysokiej gorączce, był słaby, rozdygotany i przestraszony.

Ruszył w stronę drzwi, otworzył je cicho i poszedł do samochodu. Davina pomyślała, że porusza się jak ktoś, kto dopiero zaczyna chodzić po ostrym ataku paraliżu czy jakiejś innej okaleczającej choroby. I ona się trzęsła, ale umysł miała dziwnie jasny, jakby oczyszczony.

Ten gniew, to oczyszczenie było jej potrzebne, jak kłapa bezpieczeństwa. Kiedy już Saul wsiadł do samochodu, a ona zamknęła za nim drzwi, niechętnie przyznała, że nie tylko to było jej potrzebne. Że potrzebny jej był kontakt fizyczny z Saulem...

Gwałtowny, brutalny seks nigdy nie był w jej stylu, ale przez jedną sekundę niemal pragnęła, żeby ją wziął siłą. Było to pragnienie tak pierwotne i silne, że zamknęła oczy.

Ale i on jej pragnął. Niemal widziała, jak przed oczami jego wyobraźni przesuwają się różne obrazy, mogła dokładnie wskazać chwilę, w której ją przygarnął, prawie boleśnie przyciskając do siebie.

Davina znów się wzdrygnęła.

Kiedyś tak się kochała z Mattem. Nie było w tym gniewu ani brutalności, była tylko radosna prowokacja mężczyzny świadomego, że jest pożądanym. Matt uczył ją, że nie powinna się wstydzić swojego pragnienia, że prawo do seksu nie jest wyłącznym przywilejem mężczyzny. Potem Matt znów się z nią kochał, ale już powoli, delikatnie.

Ciekawe, jakim kochankiem byłby Saul Jardine, kiedy by mu już przeszła złość? W wyobraźni widziała szalone sceny: jego głowa na jej piersi, jego głowa na jej brzuchu, jego gorący

oddech, język szukający jej pępka, ręka - jej kobiecości...

Odsunęła od siebie gwałtownie te nedorzeczne sceny, czerwona ze złości i zdezorientowana. Przecież ten człowiek jest jej wrogiem, a nie kochankiem, i to wszystko, co teraz czuje, spowodowała niebezpieczna implozja jej własnych uczuć, a nie jego dotyk.

W odległości kilku kilometrów Saul nagle zatrzymał samochód i wysiadł. Na rozpalonej skórze poczuł chłodny powiew wiatru; wstrząsały nim dreszcze. Uznał, że w tym stanie nie nadaje się do prowadzenia samochodu, bo stanowi zagrożenie nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Ogarnęły go mdłości - skutek przeżytego szoku i pogardy, z jaką myślał o swoim zachowaniu. Obojętne, co zrobiła Davina, nie wolno mu było tak się zachować. Nigdy nie był brutalny ani nawet agresywny w sprawach seksu, potrzeba fizycznej dominacji nad kobietą była mu obca, a jednak teraz, na ułamek sekundy...

Zachwiał się lekko i oparł o samochód. Kiedy dotknął czoła, stwierdził, że jest mokre od potu; serce biło mu jak po szybkim biegu, puls miał nierówny, skaczący, czuł ogólne zmęczenie, ale jednocześnie gdzieś w głębi dawało o sobie znać nieokiełznane pożądanie.

Nie chodziło o to, że go oszukała i zwiodła, nawet nie o to, że jej dwulicowość zgasiła w nim wąty płomyk nadziei, że mimo wszystko są jeszcze ludzie, dla których istnieją rzeczy ważniejsze od osobistych korzyści. Do tego miał jeszcze świadomość, że teraz będzie mu znacznie trudniej wywiązać się z powierzonego mu przez Alexa zadania.

Praca czy groźby szefa - to wszystko drobiazg; jest wolnym człowiekiem i w razie czego może żyć bardzo skromnie. Mieszkanie i to, co zainwestował, wystarczy na opłacenie nauki Toma i Josey. Nawet gdyby Alex poprzez swoje wpływy uniemożliwił mu dostanie jakiegokolwiek innej pracy, to i tak przetrwa. W tym sensie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby iść do sir Alexa i powiedzieć mu, że ma dość. Dlaczego więc tego nie robi? Czyżby znów zaciążył nad nim cień ojca? Znów to straszne poczucie, że musi się dopasować do jakiegoś obcego sobie wzorca, utrzymać niechciane i nie satysfakcjonujące standardy?

Z nim czy bez niego, Alex będzie walczył o Carey Chemicals. Nie znosił żadnych przeszkód i fakt, że ma za rywala Hessler Chemie, tylko wzmoże jego determinację. Jednak gdy już dopnie swego, to się z pewnością zemści za to, że go zmuszono do walki. Alex nawet w zwycięstwie nie potrafił być wielkoduszny. Dlaczego więc Saul nie miałby machnąć na to wszystko ręką i zostawić Davinę jej losowi, na który po stokroć zasłużyła, ba, który sama sprowokowała? Czy dlatego, że jej oszustwo było tak przekonujące, że wbrew swojej woli i mimo że nie była to jego sprawa, uwierzył w zawartą w jej słowach prawdę, że Carey Chemicals to nie tylko firma, ale przede wszystkim ludzie, którzy potrzebują pracy, zarobków i jakiejś życiowej motywacji, którą im ta firma zapewniała?

Co go to wszystko obchodzi? W całym kraju istnieją setki i tysiące przedsiębiorstw, takich jak firma Carey, które co roku upadają, i tysiące ludzi spotyka ten sam los, któremu Davina z taką zaciekłością usiłuje zapobiec. Dlaczego nagle teraz miałby z tego powodu cierpieć, dlaczego teraz miałoby mu zacząć zależeć, skoro dotychczas było zawsze inaczej?

Całe jego ciało i dusza cierpiały, jakby zostały wystawione na męki, jakich nigdy przedtem nie doświadczały.

Czuł narastające w nim emocje: złość, lęk, panikę i zagubienie w nieznanym świecie bez żadnych drogowskazów, którymi mógłby się kierować. Promień przewodni ambicji jego ojca zgasł i na jego miejscu nie było nic.

Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Nie miał siły prowadzić walki, która go czekała i którą miał za zadanie wygrać w imieniu sir Alexa.

Jadąc do Christie dostrzegł pewną ironię w fakcie, że wystarczyła jedna mała, drobna kobietka, by w jego życiu pojawił się drugi biegun i że między tymi dwoma biegunami rozciągało się teraz jego życie.

Najpierw była złość i rozzalenie wynikające ze świadomości, że, stawiając tak wyraźnie potrzeby innych ponad swoimi, Davina pogłębiała tylko jego niezadowolenie z siebie, ze swego życia, z użytku, jaki z niego robił... A potem, kiedy już się próbował z tym pogodzić, zaakceptować fakt, że zazdrości jej tych zalet, Davina pokazała mu, że to wszystko, w co zaczął wierzyć, było nie tylko zwykłym pozorem, ale świadomym, cynicznym oszustwem, a co do tego kłamstwa, że jej ojciec i ojciec von Hesslera byli przyjaciółmi... robiła wrażenie tak bardzo wstrząśniętej, że przez chwilę myślał, że odwoła swoje warunki, ale nie miała nawet tyle przyzwoitości.

Nie powinna była mówić Saulowi o tym, że jej ojciec i ojciec Lea się znali, pomyślała Davina. Było to głupie i lekkomyślne, ale jego zarzut, że próbuje wygrać Lea przeciwko niemu, tak ją oburzył, że instynktownie zaczęła się bronić.

A może to i dobrze, że jej nie uwierzył? Zagryzła wargi. Czy powinna ostrzec Lea? Było za późno, żeby teraz do niego telefonować. Zadzwoń jutro rano.

Leo z chmurą na czole słuchał wzburzonego głosu Daviny, kiedy mu opowiadała o wydarzeniach poprzedniego dnia.

Zaniepokoił się na wiadomość o tym, że w chwili niekontrolowanej złości, broniąc się przed oskarżeniami Saula, powiedziała mu, że ich ojcowie się znali i że wizyta Lea miała charakter osobisty.

- Ale on mi i tak nie uwierzył - dodała. - Przepraszam cię bardzo, Leo, nie powinnam była nic mówić.

- To nie ma znaczenia - uspokoił ją.

- Poza tym nic nie znalazłam w papierach ojca, ale jestem mimo to pewna, że nasi ojcowie się znali i że mojego ojca byłoby stać na szantaż w celu wyłudzenia tamtych informacji. - Wzdrygnęła się. - Jestem zadowolona, że nie żyje. Sądzę, że już teraz nie mogłabym przebywać z nim pod jednym dachem, że nie mogłabym z nim rozmawiać. Jestem zadowolona, że mnie nigdy nie kochał i że ja go nie kochałam.

- Tak, rozumiem, co czujesz - powiedział Leo poważnie i Davina wiedziała, że mówi szczerze.

Na dźwięk telefonu Christie ze znużeniem uniosła głowę znad papierów. Źle spała i było to po niej widać: miała podkrążone oczy, ziemistą cerę i kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła zmęczoną, napiętą twarz.

Cathy już wyszła do szkoły - wstąpiła po nią jedna z matek - a Christie miała być w swoim gabinecie dopiero po lunchu.

Nie łudziła się, że to dzwoni Leo. Niby po co miałby szukać z nią kontaktu? Żeby jej wyjaśnić, dlaczego ją okłamał? Mógł to przecież zrobić w Edynburgu. A zresztą, co za różnica, nawet gdyby poznała przyczyny. I tak nie zmieniałoby to faktu.

Albowiem prawdą było, że Leo von Hessler należał do zupełnie innego świata niż ona, świata, w którym bardzo szybko by się udusiła, oddychając powietrzem w jej pojęciu zatrutym w sensie wartości moralnych - nawet gdyby ją poprosił, żeby ten świat z nim podzieliła.

Jednocześnie Christie wiedziała, że w żadnym razie ani on, ani ona nie zrezygnują ze swojego sposobu życia ani z tego wszystkiego, w co wierzą. Obojętne, jak bardzo podczas tych kilku spędzonych wspólnie godzin wydawało jej się, że są sobie bliscy, musi pamiętać, że dla niego ta bliskość była tylko fikcją.

On wyznawał inne wartości i miał inne potrzeby, więc jeśli to niespodziewane spotkanie w

Grosvenor obudziło w niej takie pragnienia i tęsknoty, zarówno emocjonalne, jak i fizyczne, to musi jak najprędzej zejść na ziemię.

Nawet gdyby Leo ją kochał, to i tak nie mogą być razem. I to wcale nie z powodu jego bogactwa; dzielił ich przede wszystkim sposób, w jaki zostało ono zgromadzone, i to, że Leo był najwyraźniej dumny ze swoich pieniędzy oraz tego, że stoi na czele wielkiego imperium farmaceutycznego.

Odebrała telefon, podała swój numer i usłyszawszy głos po drugiej stronie, oddała słuchawkę Saulowi.

- Do ciebie - powiedziała.

Wczoraj wieczorem, kiedy Saul wrócił od Daviny James, Christie czytała książkę, a przynajmniej udawała, że czyta. W gruncie rzeczy bowiem zbyt była zaniepokojona wybuchem złości brata i jego nagłym wyjazdem, żeby móc się skupić na czymkolwiek poza denerwowaniem się, co on może robić. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby Saul się w ten sposób zachowywał, nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Po powrocie wydawał się wprawdzie spokojniejszy, ale nie był to spokój pełen pogody, tylko raczej efekt skrajnego wyczerpania. Na wszelki wypadek nie pytała go o nic, wiedząc, że musi mieć trochę czasu na nabranie dystansu do tego, co się wydarzyło.

Domyślała się, że skoro Alex wysłał Saula na negocjacje, to musi mu bardzo zależeć na Carey Chemicals. Nie widziała najmniejszego powodu, dla którego Alexowi czy von Hesslerowi miałyby zależeć na przedsiębiorstwie znajdującym się w tak opłakanym stanie, zmarszczyła więc brwi zastanawiając się nad tym i zostawiając Saula samego w kuchni, żeby mógł swobodnie rozmawiać.

Zasiedziała się w tej dziurze na dobre i pierwotnie sądziła, że propozycja sir Alexa to dla pracowników Carey Chemicals nareszcie szansa na poprawę warunków i bezpieczeństwa pracy; teraz, kiedy pomyślała o sile i rozmiarach Hessler Chemie, zaczęła się zastanawiać, jak ewentualne przejście Carey Chemicals przez tak wielką organizację mogłoby wpłynąć na życie tych ludzi.

Więcej miejsc pracy, i to lepszych, poprawa warunków pracy - to jedna strona medalu, ta korzystna, a druga...

Właśnie, i to Leo przed nią zataił. Wiedział, że ona tu mieszka, ale nawet słowem się nie zająknął o wizycie u Daviny James, a przecież musiał tę wizytę zaplanować...

Od Saula, po jego powrocie od Daviny, dowiedziała się tylko:

- Wmawia mi, że wizyta von Hesslera ma charakter wyłącznie towarzyski, ponieważ ich ojcowie byli przyjaciółmi.

- Może to prawda - usiłowała go uspokoić. - Ostatecznie działali w tej samej branży.

- Na dwóch przeciwstawnych biegunach - odparował Saul.
- Cieszę się, że cię wreszcie złapałem. Mam nadzieję, że już wszystko pozałatwiałeś?

Saul nie dał się zwieść miłemu tonowi sir Alexa.

- Jeszcze nie - odparł chłodno.

- Rozumiem. Chyba nie masz żadnych trudności, prawda? W każdym razie szybkość i dyskrecja mają tu zasadnicze znaczenie. To chyba jasne?

Tym razem w głosie Alexa nie było już tej łagodnej nuty, pojawił się w nim natomiast ton pogróżki, który Saul zignorował. Już dawno przestał się bać sir Alexa; Alex, awanturnik i tyran, lubił się znęcać nad tymi, którzy byli od niego zależni, jeśli tylko mu pozwolono.

- Zdaje się, że jeszcze ktoś poza nami interesuje się Carey - powiedział Saul.

- Co? To niemożliwe. Chyba że okazałeś niewybaczalny brak ostrożności. Mam nadzieję, Saul, że nie zrobiłeś żadnego głupstwa. Być zbyt przebiegłym też nie jest dobrze, jak może wiesz. Nie muszę ci chyba przypominać, że tak samo łatwo, jak zrobiłem z ciebie człowieka, mogę cię zniszczyć. Bez Davidson Corporation...

- Bez Davidson Corporation też jakoś przeżyję - odparł Saul cierpko. - Ale to nie ja okazałem brak ostrożności, Alex. Na twoim miejscu rozejrzałbym się wokół siebie, zainteresowałbym się przyjacielem, którego różne niedyskrecje natchnęły cię tym pomysłem. Firmą Carey Chemicals interesuje się Hessler Chemie - zakończył.

- Hessler Chemie? - Saul usłyszał szok w głosie Alexa. - Ten koncern farmaceutyczny? Ależ to niemożliwe.

- Przyjechał tu sam Leo von Hessler na spotkanie z Daviną James - odparł Saul. Zaległa cisza i Saul z satysfakcją zauważył, że jego informacja wywarła pożądaną efekt.

- To bez sensu - warknął na koniec Alex. - Co by Hessler Chemie przyszło z Carey?
- Pewnie to samo co i tobie - odparł sucho Saul.

Po drugiej stronie znów zaległa cisza.

- Ale przecież z tej ustawy skorzystają tylko firmy brytyjskie - powiedział Alex rozdrażnionym tonem.

- Może Hessler zamierza założyć w Wielkiej Brytanii filię?
- Dlaczego mnie wcześniej o tym nie powiadomiłeś?
- Bo dopiero wczoraj wieczorem się o tym dowiedziałem.

- Dobra, w każdym razie chcę, żeby jedno było jasne: zależy mi na Carey Chemicals, Saul, i nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zwracać na tę sprawę uwagę innych ani tym bardziej na to, żeby szukać nowej stosownej firmy, szczególnie teraz. Ma to być Carey i liczę, że mi tę sprawę załatwisz.



- Myślę, że nie będzie z tym problemów, pod warunkiem, że zaakceptujesz cenę Daviny James.

- To znaczy?

- Jeszcze nie wiem. Nie ulega wątpliwości, że będzie nas wygrywała przeciwko Hesslerowi i odwrotnie.

- Wykluczone - uciął Alex, tak jak się zresztą Saul spodziewał. - Carey Chemicals nie ma wartości rynkowej. Na tym polega cała korzyść tej transakcji i jeśli się jakiejś babie wydaje, że mnie przechytrzy, musi się znaleźć inna metoda. Wymyśl coś, Saul, i to wymyśl szybko. Dostyc już straciliśmy czasu.

- A jeżeli nic nie wymyślę? - zapytał Saul spokojnie.

Znów zaległa cisza, tym razem na dłużej.

- Sam powinieneś wiedzieć, co wtedy - odparł lodowato Alex. - I chciałbym, żeby to było dla ciebie jasne, że nie tylko stracisz pracę. City nie lubi nieudaczników, nie ma do nich cierpliwości...

- Jakies problemy? - zapytała Christie wchodząc do kuchni i widząc, że Saul stoi i wpatruje się w okno.

- Można by to tak nazwać.

- Czy możesz mi powiedzieć, na co konkretnie Carey potrzebne jest Alexowi? W pierwszej chwili myślałam, że przejęcie firmy przez kogoś nowego wyjdzie na korzyść jej pracownikom, ale...

- Ja bym to ujął w ten sposób - powiedział Saul wykrzywiając usta. - Stosunek Alexa do pracowników Carey niewiele się różni od stosunku Daviny James. Dla nich obojga ludzie są zbędnymi przedmiotami, zwłaszcza gdy w grę wchodzi korzyści materialne.

- A ja myślałam, że Davinie autentycznie zależy na tych ludziach...

- Istnieje tylko jedna sprawa, na której Davinie zależy, ale nie jest to ani firma, ani pracujący w niej ludzie.

Christie wyczuła w jego głosie rozgoryczenie, ale i coś jeszcze. Ciekawe, czy Saul zdaje sobie sprawę, z czym się przed nią zdradza? - zastanawiała się, słysząc podszyte złością rozczarowanie.

- Alex nie był zachwycony, kiedy mu powiedziałem, że Hessler interesuje się Carey. Ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę, to aukcja, i to z kobietą w roli głównej.

- Co w tej sytuacji zamierzasz? - zapytała Christie, ignorując jego aluzję do męskiego szowinizmu Alexa.

- Nie mam wielkiego wyboru. Alex domaga się, żebym wywarł jakąś presję na Davinę,

żeby mu sprzedała firmę szybko i tanio. - Na widok miny Christie jego twarz nabrała surowego wyrazu. - Nie rozczulaj się nad nią, Chris.

- Kiedy ona robiła wrażenie, jakby jej autentycznie chodziło o tych ludzi...

- Rzeczywiście! - Urwał, a potem podjął wolno: - Powiedz mi jeszcze raz, Chris, o tych uchybieniach, jeśli chodzi o bezpieczeństwo pracy w Carey, i o przypadkach zapalenia skóry...

Christie spojrzała na niego ze zgrozą.

- Nie masz prawa tego wykorzystywać. To są informacje poufne, którymi nigdy bym się z tobą nie podzieliła, gdybym przypuszczała... - Urwała, słysząc dzwonek telefonu.

Odkładając słuchawkę po rozmowie z Daviną, Leo zmarszczył brwi. Nie uległo wątpliwości, że wizyta Saula Jardine ją wzburzyła. Już wczoraj zauważył, jak bardzo starała się nie okazywać swoich uczuć, i chociaż była wyraźnie przygnębiona i wstrząśnięta jego rewelacjami, to nie zareagowała na nie w sposób tak gwałtowny i żywiołowy, jak najwyraźniej na wizytę Saula.

Nie bardzo mógł zrozumieć ani dlaczego Alexowi Davidsonowi miałyby zależeć na przejęciu Carey Chemicals, ani dlaczego brat Christie miałby widzieć w Hessler Chemie konkurencję.

Spodobała mu się Davina. Niemal natychmiast dostrzegł jej zalety i siłę. W innych okolicznościach, gdyby nie poznał Christie Jardine... Uśmiechnął się do siebie z lekką goryczą. Byłoby łatwo nawiązać z Daviną bliższe stosunki. Stanowiła typ kobiety, w którym było coś odświeżającego duchowo, coś, z czego mężczyzna mógłby czerpać siłę i nadzieję, a do tego jeszcze ta świadomość wspólnej winy ich ojców stworzyłaby dodatkową więź... Zresztą i tak stworzy...

Kiedy rozmawiali, słyszał w jej głosie troskę o przyszłość firmy, poczucie odpowiedzialności za jej pracowników - to wszystko, co sam przeżywał, tylko w znacznie większej skali. Na obojgu spoczywał też obowiązek naprawienia win ojców.

Ich grzechów? Splótł palce i zmarszczył brwi. Doświadczenie i ostrożność ostrzegały go przed angażowaniem się. Już w samym fakcie, że ktoś sobie ich skojarzył, kryło się niebezpieczeństwo. Lepiej może tego wszystkiego nie tykać... Niech Saul Jardine wierzy, że Hessler Chemie interesuje się kupnem Carey, lepsze to niż ryzykować, że ktoś inny dokona dalszych skojarzeń.

- Powiedziałaś mi, że nasi ojcowie byli przyjaciółmi. Ale mi nie uwierzył. - W głosie Daviny było coś więcej niż tylko złość i rozżalenie.

No cóż, Davina to nie jego problem; ma dość problemów ze swoim bratem. Nie powinien nawet rozpamiętywać tego, że został z nią w jakiś sposób głęboko związany.

Jego wzrok padł na leżącą na stole książkę telefoniczną. Sięgnął po nią i długimi, szczupłymi palcami zaczął przerzucać kartki.

Jardine Christie, doktor medycyny. Zapisał numer telefonu i podniósł słuchawkę.

- Christie. - Poznała go po głosie na długo, zanim powiedział spokojnie: - Mówi Leo von Hessler. Proszę cię, nie odkładaj słuchawki.

Serce waliło jej jak oszalałe, czuła się jak po wielkim fizycznym wysiłku. Wszystko docierało do niej jak przez mgłę, jakby działo się we śnie, w którym ona występowała w roli widza.

- Christie, chciałbym rozmawiać z twoim bratem, jeśli jest, ale przedtem... muszę ci coś powiedzieć, zanim odleczę do Hamburga. I muszę ci to powiedzieć osobiście.

Te słowa jakoś mu się wyrwały mimo woli; uznał przecież, że będzie bezpieczniej, prościej i mądrzej najzwyczajniej wyjechać, ale wczoraj wieczorem, kiedy ją zobaczył, dostrzegł jej gniew i udrękę. Jeśli już w niczym innym, to przynajmniej w tym jej może pomóc. Z jej oczu wyczytał, że źle zrozumiała jego intencje, kiedy ją zostawił wtedy pod drzwiami hotelowego pokoju.

- Nie widzę najmniejszej potrzeby - zaczęła chłodno.

- Może nie widzisz, ale byłbym wdzięczny, gdybyś mimo wszystko zechciała się ze mną zobaczyć.

Jego spokojna determinacja zabiła ją z tropu. Tego się nie spodziewała. Nie chciała?

Odsunęła słuchawkę od ucha i krótko powiedziała do Saula:

- Dzwoni Leo von Hessler. Chce z tobą rozmawiać.

Upłynęło dobre piętnaście minut, zanim Saul odłożył słuchawkę. Miał zmarszczone czoło, a jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Czego on chciał? - zapytała Christie.

- Chciał mi powiedzieć, że Hessler Chemie nie interesuje się zakupem Carey i że Davina James mówiła prawdę, kiedy powiedziała, że ich ojcowie się znali.

- I uwierzyłeś mu?

- Tak - odparł sucho Saul.

- A Davinie nie uwierzyłeś.

- Nie - potwierdził. Twarz mu się zmieniła; nie potrafił już teraz ukryć, co czuje do Daviny.

Christie odwróciła głowę, przełykając cisnące się jej na usta słowa współczucia.

- Aha, powiedziałem mu, że się z nim spotkasz w Grosvenor. - Spojrzał na zegarek. - Masz niecałą godzinę. Chcesz, żebym cię podwiózł? - Teraz to on czytał w jej myślach. - Bo przecież chcesz tego, prawda? Chcesz się z nim zobaczyć? - Przez chwilę myślał, że Christie skłamię i zaprzeczy; dostrzegł w jej oczach ten sam dziki wyraz co w dzieciństwie i coś go ukłuło w sercu.

- Wszystko jedno, co ma mi do powiedzenia, to i tak nic nie zmieni - powiedziała z rezygnacją.

Saul nie odezwał się słowem.

Będzie musiał naturalnie iść do Daviny. Przeprzić, wyjaśnić... Wyjaśnić? Co? I jak?

No cóż, nawet jeśli nie będzie w stanie nic wyjaśnić, to przynajmniej musi ją przeprosić.

Wstał i wziął z krzesła marynarkę.

Kiedy był w połowie drogi do drzwi, ponownie zadzwonił telefon.

Słuchawkę podniosła Christie. Saul słyszał w jej głosie narastające napięcie.

- Na razie uspokój się i... - powiedziała dosyć ostro, zakryła dłonią mikrofon i zawołała do Saula, który właśnie otwierał drzwi: - Saul, to Karen. Jest jakiś problem z Josephine. Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać.

Dłuższą chwilę trwało, zanim zrozumiał, co Karen mówi. W histerycznym wybuchu oskarżała go o wszystko, o co tylko mogła: że nie wiedziała, gdzie go szukać, że się nie interesuje dziećmi, że całkowicie zważył na nią wszystkie obowiązki...

- To jest twoja córka, Saul - powiedziała w końcu oskarżycielsko.

- Tak - zgodził się potulnie. - Jest moją córką.

- Co się stało? - zapytała go z niepokojem Christie, kiedy wreszcie odłożył słuchawkę.

- Josey została zawieszona w szkole za posiadanie narkotyków... Karen twierdzi, że już od kilku miesięcy mieli z nią problemy. To naturalnie moja wina, bo Josey jest moim dzieckiem. Dla Karen jest ważniejsze, co powiedzą sąsiedzi i jej szef, niż ratowanie Josey.

- Co chcesz zrobić? - zapytała go łagodnie Christie.

Wzruszył ramionami.

- A co ja do diabła mogę zrobić? Josey nigdy nie ukrywała, co o mnie myśli. Karen mówi, że zamknęła się w swoim pokoju i z nikim nie chce rozmawiać.

- Jedź i spróbuj się z nią zobaczyć - powiedziała Christie, a widząc niezdecydowanie w jego oczach, dodała: - Jedź, Saul, ona cię potrzebuje.

- Nie mogę - odparł. - Muszę się zobaczyć z Daviną James, a poza tym muszę dogadać tę transakcję. Jeśli tego nie zrobię... a zresztą to by i tak nie miało sensu. Chris, powiedz mi, jak ja jej mogę pomóc, skoro nie chce rozmawiać z matką... Jeżeli masz zdążyć do Chester na spotkanie z Hesslerem, to powinnaś już wyjść - zmienił nagle temat.

Dostrzegł w jej oczach niepewność i potrząsnął głową.

- Nic Josey nie pomożesz przez to, że będziesz tu stała.

- Tak, to prawda - powiedziała z ciężkim sercem.

W dziesięć minut później, patrząc na odjeżdżający samochód Christie, Saul zamknął drzwi. Dobrze jej mówić „Jedź”, ale przecież jego stosunki z Josey w niczym nie przypominają jej stosunków z Cathy. Dobrze o tym wie. Saul jest z pewnością ostatnią osobą, z którą by się jego

córka chciała teraz widzieć. Nawet sobie nie zadawała trudu, żeby ukryć pogardę dla niego. Jej obowiązkowe wizyty przypominały ponure posiedzenia, które należało po prostu odbębnić.

Ale nawet gdyby go potrzebowała, to jak miał jechać?

Zamknął oczy i nagle usłyszał głos Daviny: „Ludzie są ważniejsi od jakichkolwiek dóbr materialnych, od pieniędzy i ambicji. Wszyscy ludzie są jednakowo ważni, a jeśli się im tego odmawia, to znaczy, że się im odmawia jednego z najważniejszych praw, że się ich degraduje, umniejsza, degradując i umniejszając w ten sposób siebie”.

Przed jego zamkniętymi oczami przesuwwały się najróżniejsze obrazy: Josephine jako niemowlę, jako dziecko, dziewczynka. Kiedy ją widział po raz ostatni, była już prawie kobietą. W jej oczach wyczytał rozgoryczenie, a w całej postawie wrogość, jakby mu chciała powiedzieć, żeby się do niej nie zbliżał.

Kiedy po raz ostatni trzymał ją w ramionach, tulił do siebie, zapewniał o swojej miłości?

Ale ona tej miłości nigdy nie chciała. Nawet jako małe dziecko odsuwała się od niego gwałtownie, odmawiając mu prawa do ojcostwa.

- Ty nie jesteś moim ojcem - rzuciła mu kiedyś w twarz. - Ja nie mam i nie potrzebuję żadnego ojca.

Ale mimo to była jego dzieckiem.

Podświadomie i mimo woli zaczął się zastanawiać, jak by się Davina zachowała w takiej sytuacji. Ciekawe, po co w ogóle zadaje sobie takie pytanie.

Na stole leżał notatnik. Saul usiadł i szybko zapisał stronicę, a potem jeszcze jedną.

Na biurku Christie znalazł kopertę, włożył do niej zapisaną kartkę i zakleił. Kopertę wraz z drugą kartką położył na środku kuchennego stołu, tak żeby rzucała się w oczy.

To wszystko nie ma najmniejszego sensu, powtarzał sobie wsiadając do samochodu. Najmniejszego sensu. Najprawdopodobniej straci pracę, zrujnuje sobie karierę, a to będzie znaczyło, że złamie wszelkie reguły, jakie kiedykolwiek dla siebie ustanowił, jeśli chodziło o dążenie do wytkniętego celu.

I z pewnością nie pomoże Josephine, która nie będzie chciała z nim rozmawiać, a to z kolei znaczy, że musi zaraz wsiadać w samochód i wracać do Cheshire.

Mimo to konsekwentnie zbliżał się do autostrady, ignorując ponure przesłanie dudniących po asfalcie kół: „Twoja wina... twoja wina... twoja wina”.

Christie nie była osobą nerwową ani specjalnie nieśmiałą, ale pewność siebie zdobyła z trudem i kiedy wchodziła do hotelu Grosvenor, przypominał jej się pewien epizod z dzieciństwa, kiedy matka zabrała ją ze sobą na zakupy, a potem po ojca do pracy.

Pamiętała, jaka była podniecona, jaka dumna i szczęśliwa. Czekaty na ojca przed

budynkiem. Christie koniecznie chciała wejść do środka, ale matka jej wytłumaczyła, że tata nie lubi, żeby mu przeszkadzać w pracy.

Wiedziała, że to nieprawda. Saul często spędzał z ojcem w jego biurze sobotnie przedpołudnia, ale ona nigdy nie dostała takiego wyróżnienia. Ta niesprawiedliwość została jednak natychmiast zapomniana, gdy tylko ojciec wyłonił się z budynku. Wyrwała się matce i pobiegła mu na spotkanie.

- Na miłość boską, Christie, jak ty wyglądasz! - zawołał ojciec. - Jean, czy nie możesz zrobić czegoś z tymi jej koszmarnymi włosami? I dlaczego ma takie brudne skarpetki? - W miarę słuchania reprimendy ojca, entuzjazm Christie przygasał. Jego miejsce zajęło poczucie winy, a zarazem krzywdy - świadomość, że pod tyłoma względami ojca zawiodła, że nie jest dzieckiem chcianym. Nie wiadomo dlaczego teraz nagle to wszystko stanęło jej przed oczami i powróciło tamto przykre poczucie, że nie jest chciana, że nie jest kochana...

Na dworze świeciło słońce i hol hotelowy wydał jej się ciemny. Wzdrygnęła się z przestrawieniem i odruchowo zawróciła ku drzwiom.

- Christie. - Jego głos, lekki nieśmiały dotyk, znajomy zarys sylwetki i subtelny zapach - wszystko to razem sparaliżowało Christie na chwilę.

Odwróciła się gwałtownie nie zdając sobie sprawy, jak dalece jej oczy zdradzają to, co się w niej dzieje.

Na widok tego, co w nich dostrzegł, Leo wstrzymał oddech. Christie naprawdę wydała mu się kobietą niezwykłą. W jej oczach płonął gniew i duma, poczucie własnej dojrzałości i wartości, a jednocześnie niewinność zranionego dziecka.

- Cieszę się, że przyszłaś.

Była w jego głosie jakaś nuta, która podziałała na nią uspokajająco; zły czar przeszłości przysł.

- Nie chciałam, ale Saul powiedział, że powinnam - wyjaśniła.

Leo spojrzął na nią poważnie.

- A ty się zawsze stosujesz do rad brata?

Roześmiała się spontanicznie. Jej śmiech, szczerzy i radosny, nappełnił go nadzieją.

- Nie możemy tutaj rozmawiać - powiedział. - Kierownictwo hotelu udostępniło nam małą salkę konferencyjną. Pomyślałem, że może będziesz wolała porozmawiać tam.

Wolała salę konferencyjną niż jego pokój? Był niesłychanie delikatny i taktowny, musiała mu to przyznać.

- Jak ci się udało to załatwić? A może nie powinnam pytać? - spytała prowokacyjnie.

- Powiedziałem tylko, że muszę z kimś w spokoju porozmawiać - wyjaśnił udając, że nie rozumie jej uszczypliwości. Zrozumiał ją jednak aż nadto dobrze i dał temu wyraz dodając: -

Odwrotnie, niż myślisz, Christie, nie nadużywam swojego nazwiska i nie przeceniam jego znaczenia. Nigdy tego nie robiłem. Uważam, że dobre wychowanie, uprzejmość i uczciwość są znacznie skuteczniejsze.

- Uczciwość? - zaatakowała go Christie, której twarz nagle spochmurniała.

Jakby w obawie, że zmieni zdanie i odejdzie, chwycił ją za rękę. Miał bardzo silne palce, jak zauważyła, kiedy prowadził ją długim korytarzem aż do drewnianych politurowanych drzwi.

- Możesz mnie już puścić - powiedziała, kiedy wolną ręką otwierał drzwi. - To nie są Niemcy z lat czterdziestych, a ty nie jesteś esesmanem.

Była to dziecinna zaczepka, ale Leo zbladł nagle jak ściana i puścił jej rękę. Jego spojrzenie stało się puste, wygaszone, jakby nie mógł na nią patrzeć.

Pożałowała swojej szorstkości, ale jak zwykle upór i duma nie pozwoliły jej się do tego przyznać.

- Chciałeś ze mną porozmawiać - powiedziała, starając się przybrać łagodniejszy ton. - Coś mi wyjaśnić. Chociaż naprawdę nie rozumiem, po co. - Znów przyjęła postawę obronną; nie chciała przyznać tego, co już oboje wiedzieli, chciała to, co się między nimi wydarzyło, sprowadzić do nic nie znaczącego epizodu.

Zamiast odpowiedzieć na jej wyzwanie, jak z pewnością zrobiłby ojciec Christie, Leo nagle roześmiał się dobrodusznie.

- Wiesz, co ci powiem, Christie? Jesteś naprawdę bardzo angielska.

Zaskoczona, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała.

- Czy to przypadkiem nie brytyjski admirał przyłożył teleskop do swojego ślepego oka i powiedział: „Nie widzę sygnału”?

Ku swojej konsternacji Christie nie tylko się zarumieniła, ale była tego w pełni świadoma. Nie zdarzyło jej się to od czasu, kiedy była nastolatką. Przez chwilę miała ochotę z całej tej sprawy się jakoś wycofać, ale uzmysłowiła sobie, że jest na tyle dojrzała, że powinna umieć stawiać czoło trudnym sytuacjom.

- Po prostu chciałam powiedzieć, że nie ma najmniejszego sensu wskrzeszać czegoś, co by, jak oboje wiemy, nie... - Ugryzła się w język. Powiedziała znacznie więcej, niż zamierzała. W myślach przeklinała swoją głupotę.

- Nie oszukałem cię z rozmysłem, Christie - odparł spokojnie Leo.

Nawet jeśli zauważył, że się zdradziła, to był zbyt taktowny, żeby to okazać, albo nie chciał nadawać rozmowie charakteru emocjonalnego.

- Naprawdę chciałem ci wtedy powiedzieć, kim jestem.

- Ale nie na tyle, żeby mi podać swoje nazwisko - odparowała. - Pozwoliłeś, żebym ci zaufała, żebym ci mówiła różne rzeczy, wyrażała poglądy, którymi bym się z tobą nie podzieliła, gdybym wiedziała, kim jesteś. Zdajesz sobie chyba z tego sprawę.

Nie mogła się zmusić do tego, żeby mu wyznać, jak bardzo poczuła się dotknięta tym, że udawał, że podziela jej uczucia i opinie, przynajmniej niektóre z nich, a przecież wiedziała, że to niemożliwe, w każdym razie nie w przypadku człowieka z taką pozycją w firmie Hessler jak on.

- Tak - zgodził się z nią spokojnie. - Ale ja jestem człowiekiem, Christie... Mogę dzielić nazwisko z firmą, ale nie jestem tą firmą.

- Ale pracujesz dla niej, stoisz na jej czele, a przecież wcale nie musisz. W pewnym momencie życia musiałeś sobie tę rolę wybrać. Tak jak rozmawiając ze mną musiałeś wiedzieć, że nigdy bym... - Urwała nagle.

- A zresztą to wszystko nie ma sensu - dodała. - Nawet nie wiem, co tutaj robię. Ostatecznie, co się takiego stało? Zjedliśmy razem kolację, i miałam ochotę się z tobą przespać. - Wzruszyła nieznacznie ramionami, zmuszając się, żeby spojrzeć mu w oczy. - Popełniłam błąd wyciągając niewłaściwe wnioski i chociaż wtedy postawiło mnie to w niezręcznej sytuacji, to przecież świat się nie zawalił.

- Pragnąłem cię wtedy - odparł Leo - i pragnę cię teraz. Czy chciałabyś, żebym tego dowiódł?

Przez chwilę oczami wyobraźni widziała, jak ją bierze w ramiona, jak ją całuje i tuli. Niemal czuła smak jego pocałunku, oznaki fizycznego podniecenia. W porę jednak zdołała przywołać się do porządku.

- Nie, nie chciałabym - powiedziała gorączkowo. - Nie po to tu przyszłam, żeby się z tobą kochać.

- To dobrze - odparł. - Bo ja wcale nie chcę od ciebie seksu. I nigdy nie chciałem. Musiałaś o tym wiedzieć; w przeciwnym razie po co by to wszystko było? Możesz się mylić co do moich motywów prowadzenia firmy, ale nie mylisz się co do tego, że nie mogę jej opuścić, a ty z pewnością nie należysz do kobiet, które by za miłość oddały wszystko.

Przez chwilę była zbyt wstrząśnięta, żeby cokolwiek powiedzieć. Wiedziała, co do niego czuje, ale deklaracja miłości była ostatnią rzeczą, jakiej by od niego oczekiwała. Walczyła ze swoimi uczuciami, starając się zdusić je w zarodku, a teraz nagle sprawił, że się poczuła jak morderczyni, jakby zaprzepaściła coś rzadkiego i bardzo cennego. Usiłowała się nie poddawać.

- A ty? - zaatakowała go. - Czy ty byś oddał wszystko, żeby być ze mną, żeby żyć w sposób, który, wiesz dobrze, byłby ci obcy, sprzeczny z twoimi poglądami, który by cię w końcu zdławił, zniszczył? Czy chciałabyś, żebym ja coś takiego zrobiła dla ciebie?



- Nie - odparł spokojnie. - I to właśnie dlatego, Christie, zostawiłem cię wtedy pod drzwiami twojego pokoju. Bo wiedziałem, że jak cię raz dotknę... przytulę, pokocham się z tobą, to już wszystko przepadło, poruszę niebo i ziemię, zrobię wszystko, żeby cię przy sobie zatrzymać.

- Poza zrezygnowaniem z Hessler Chemie - przerwała mu szybko. Bała się pozwolić mu powiedzieć choćby jedno słowo więcej; już w tej chwili serce biło jej o wiele za szybko, a całą duszą pragnęła rzucić mu się w ramiona, brać to, co jej oferował, błagać go, żeby ją uwolnił od ciężaru podejmowania decyzji, żeby ją fizycznie zmusił do pozostania przy nim.

Przypominało to stanie na moście nad spienioną, rwącą rzeką: wystarczyło zrobić jeden krok do przodu i runąć w niszczycielski żywioł, tak nęcący, że niemal nieodparty. Niemal. Ale jeden krok do tyłu uratował ją przed niebezpieczeństwem. Pomógł jej w tym, mówiąc:

- Tyle tylko, że ta decyzja nie zależy ode mnie, Christie.

Próbowała się uśmiechnąć, wiedząc, że jej oczy lśnią od powstrzymywanych łez.

- Chcesz powiedzieć, że nie pozwoliś sobie na swobodę decydowania w tej sprawie. - Otworzyła drzwi, ale zanim wyszła, odwróciła się jeszcze i dodała: - Widzę, Leo, że nie mamy sobie do powiedzenia nic więcej ponad to, że żałuję, żeśmy się jednak wtedy nie kochali. - Spojrzał na jej twarz i uśmiechnął się z goryczą. - Mówisz, że mnie kochasz, ale nawet tego nie mogłeś dla mnie zrobić.

Wiedziała, że było to niesprawiedliwe i nie fair, ale jej ból, tak wielki, że nie mogła z nim sobie poradzić, domagał się jakiegoś ujścia. Jadąc do domu płakała tak bardzo, że na chwilę musiała się zatrzymać.

Kiedy stała w zatoczce przy drodze, usłyszała nad głową warkot samolotu. Nie mógł to naturalnie być samolot Lea, mimo to jednak nie spuszczała go z oczu, dopóki nie zniknął w chmurach.

- Czy mogę wejść?

Na widok gościa Davina zmarszczyła czoło. Christie Jardine. Wyglądała, jakby płakała, i to dopiero przed chwilą. Serce skoczyło Davinie do gardła. Saul. Czy coś się z nim stało? Otrząsnęła się, uświadamiając sobie, że się zdradza ze swymi uczuciami.

Niezdolna wydobyć z siebie słowa, skinęła głową i otworzyła szerzej drzwi.

- Saul mnie prosił, żebym przyszła - wyjaśniła Christie. - Musiał pilnie wyjechać w sprawach... rodzinnych. Zostawił list.

Besztając się w myślach za swoją głupotę, Davina wzięła kopertę. Zwyczaj i wyniesione z dzieciństwa dobre wychowanie kazały jej zaprosić gościa do środka i zaproponować herbatę. Ku jej zdumieniu, Christie nie odmówiła. Davina poprowadziła ją odruchowo do małego saloniku i zaprosiła, żeby usiadła.

Poszła do kuchni i szybko przygotowała herbatę, w dalszym ciągu nie czytając listu od Saula. Co tam w nim jest? Dalsze groźby? Ręka jej zadrżała. Wargi jeszcze ciągle miała nabrzmiałe i wrażliwe. Gdyby ją teraz całował, czułaby się tak, jakby się kochali po nocy pełnej najintymniejszych czułości, byłaby to przyjemność aż do przesytu. Wstrząsnął nią dreszcz; próbowała opędzić się od tych myśli.

Kiedy weszła z herbatą, Christie zauważyła, że była zarumieniona, ale nie skomentowała tego ani słowem.

- Mam nadzieję, że te sprawy, które wezwały pani brata, to nic poważnego? - spytała uprzejmie, nalewając herbatę. Należało to do form towarzyskich, jakie przyswoiła sobie w czasach, kiedy musiała pełnić honory w domu ojca, a potem Gregory'ego. Była to zwykła grzecznościowa formułka, jak pytanie o czyjeś zdrowie, na które oczekuje się równie zdawkowej odpowiedzi.

Christie była jednak inna niż jej goście z przeszłości; Christie odpowiedziała jej pełnym zdaniem i zupełnie nie zdawkowo:

- Niestety, to poważne. Córka Saula, Josey, została zawieszona w szkole, ponieważ jest podejrzana o posiadanie narkotyków.

Christie urwała, speszona tym, co powiedziała. Po co, do diabła, mówi Davinie James takie rzeczy? Początkowo, kiedy przeczytała pospiesznie nagryzmołoną kartkę Saula z prośbą, żeby podrzuciła Davinie list, nie miała nic takiego w planie, ale dostrzegła w tej kobiecie coś tak autentycznego i budzącego zaufanie, że cały niepokój o brata i bratanicę postanowiła rozładować w jednym z tych spontanicznych odruchów szczerości, jakich sama często

wysłuchiwała, ale którym rzadko ulegała.

Wbrew jej oczekiwaniom, Davina nie robiła wrażenia wstrząśniętej, nie cofnęła się ani nie spojrzała na nią niepewnie, jak wiele osób, postawionych wobec nieprzyjemnej albo choćby niewygodnej prawdy, które się boją, że zostaną narażone na niebezpieczeństwo czy w jakiś sposób skażone.

Christie dostatecznie dobrze znała ludzi, żeby wiedzieć, że jest to tylko podświadoma chwilowa reakcja, ale i tak była nieco zdziwiona, że ktoś taki jak Davina nie zachował się stereotypowo.

A Davina czekała spokojnie, aż Christie sama zdecyduje, czy mówić dalej, czy na tym poprzestać. I być może właśnie dlatego, że nie miała tego w planie i że Davina nie nalegała, Christie usłyszała swoje własne słowa:

- Josey powiedziała matce, że te narkotyki nie należały do niej; że jedna z koleżanek poprosiła ją, żeby Josey ich popilnowała, bo sama bała się, że zostanie nakryta. Naturalnie Josey nie chce powiedzieć, o którą koleżankę chodzi. Była żona Saula przywiązuje wielką wagę do tego, co pomyślą inni. Obawiam się, że mała nie może liczyć na szczególne zrozumienie czy współczucie z jej strony.

Było coś w głosie Christie, w zmarszczce, która na chwilę przekreśliła jej czoło, co sprawiło, że Davina zapytała:

- Ale z ojcem ma dobre stosunki?

Christie zawahała się.

- Niezupełnie - przyznała niechętnie. - Josey i Saul... Saul bardzo kocha swoje dzieci, ale niestety nie jest z nimi specjalnie blisko, szczególnie z Josey... - Urwała i potrząsnęła głową. - A zresztą, nie będę pani nużyć tymi szczegółami.

- Ależ pani mnie nie nuż - zapewniła ją szczerze Davina, po czym dodała ze współczuciem: - Biedna Josey.

Christie uniosła brwi.

- Sama miałam nie najlepsze stosunki z ojcem - wyznała szczerze Davina, widząc pytanie w jej oczach.

- To podobnie jak ja - powiedziała Christie otwarcie. - Kiedyś nawet zazdrościłam Saulowi, którego ojciec wyraźnie faworyzował, ale kiedy zobaczyłam, jaką Saul płaci za to cenę, to mu przestałam zazdrościć. Wiem, że Saul robi wszystko, żeby te stosunki z dziećmi nawiązać. Cierpi z tego powodu bardziej, niż się do tego przyznaje. Jego udział w ich życiu jest rzeczywiście niewielki, zwłaszcza boli go niechętny stosunek Josey, chociaż zawsze jej broni mówiąc, że nie jest idealnym ojcem. Naturalnie sytuacji nie ułatwia fakt, że Josey jest w tak

zwanym trudnym wieku - już nie dziecko, a jeszcze nie kobieta. Mówiłam Saulowi, że bez względu na to, co jego dzieci na ten temat opowiadają, oboje go potrzebują. Może ten kryzys w jakiś sposób przyczyni się do poprawy tych stosunków, chociaż muszę przyznać, że kiedy po przyjściu do domu nie zastałam Saula, byłam bardzo zdziwiona. Jeszcze pięć lat - jeszcze rok temu - z pewnością by tego nie zrobił, nie przełożyłby potrzeby bycia z dziećmi ponad ambicje, jakie żywił wobec niego nasz ojciec. - Zobaczyła, że Davina zmarszczyła czoło. - Nie powinnam pani tym wszystkim zwracać głowy, Saul prosił tylko, żebym dostarczyła ten list, a nie...

Zasepiła się, a Davina, która była dostatecznie bystra, by się zorientować, co tamta ma na myśli, powiedziała szybko:

- Obawia się pani, że on byłby niezadowolony z tego, że pani jego prywatne sprawy omawia ze mną - z powodu Carey Chemicals, żebym tego w jakiś sposób przeciwko niemu nie wykorzystała... Proszę się nie martwić.

- Ale czy pani rzeczywiście zamierza sprzedać firmę Alexowi Davidsonowi? - spytała Christie.

Davina obrzuciła ją szybkim, sondującym spojrzeniem.

- Szczerze mówiąc, nie mam na to ochoty.

- A czy... nie ma kogoś innego, kto by mógł pani pomóc? - zapytała Christie.

Davina znów na nią spojrzała; na śniadych policzkach Christie pojawił się rumieniec. Przecież Christie Jardine nie może wiedzieć o propozycji Lea - że jej pożyczy znaczącą sumę, która by pozwoliła postawić firmę na nogi; domyślała się, że Christie próbuje ją wysondować, żeby pomóc bratu.

- Na jak długo Sa... pani brat wyjechał? - odpowiedziała pytaniem.

Christie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Wstała. - Przepraszam, że zajęłam pani tyle czasu. Muszę już iść.

Davina odprowadziła ją do drzwi, a potem patrzyła jeszcze, jak Christie wsiada do samochodu i odjeżdża, po czym wróciła do saloniku sprzątnąć naczynia po herbacie.

Myślała i wycierała z niemal obsesyjną starannością, cały czas myśląc o leżącym na stole liście.

Wytarła ręce, wtarła w nie krem i dopiero potem, kiedy wszelkie preteksty do dalszego odwlekania zostały wyczerpane, wzięła do ręki zaklejoną kopertę. Ciekawe, co tam w środku może być? Dalsze impertynencje?

Powoli otworzyła kopertę i wyjęła złożone kartki.

Nie ulegało wątpliwości, że list był pisany w pośpiechu. Widok zdecydowanego, męskiego pisma przyprawił ją o dreszcz. Tak jakby przez samo otwarcie koperty do pokoju

wtargnęła szorstka energia Saula. Kiedy zamknęła oczy, niemal widziała, jak przy niej stoi, słyszała, jak mówi...

Szybko przebiegła wzrokiem pierwsze linijki listu, po czym machinalnie usiadła na krześle, żeby móc dokładniej chłonąć szczegóły samokrytycznych przeprosin zawartych w dwóch pierwszych akapitach. Podczas gdy jednak Saul brał na siebie cały ciężar winy za tę przykrą pomyłkę, to nigdzie nie wyjaśniał, jak mogło do niej dojść. Ale czy koniecznie musi wiedzieć? - zadała sobie pytanie Davina. Czy to ważne? Może nie dla Daviny James, właścicielki firmy, ale dla Daviny James kobiety...

Szybko wróciła do lektury listu. Saul nie tylko przeproszał ją za to, co się stało, ale ostrzegał ją przed planami sir Alexa w stosunku do firmy, gdyby mu się udało ją przejąć, na drugiej zaś stronie dosłownie instruował ją, w jaki sposób mogłaby tego uniknąć, łącznie z wyjaśnieniem przewidywanej ustawy, która spowodowała zainteresowanie sir Alexa jej firmą.

Szybko jeszcze raz przebiegła wzrokiem cały list, żeby ogarnąć wszystkie zawarte w nim informacje i przeanalizować możliwe opcje, zastanawiając się jednocześnie, co skłoniło Saula do udzielania jej rad, które praktycznie przekreślały plany sir Alexa Davidsona.

Na końcu było postscriptum, dodane najwyraźniej po namyśle, napisane już nie tak pewnie i ostro.

*Z pewnością będzie Pani miała wątpliwości, czy można mi w tej sytuacji zaufać i czy nie jest to z mojej strony jakiś wybieg taktyczny. Z powodu mojego dotychczasowego zachowania może się Pani zastanawiać, co mnie właściwie obchodzą losy Carey Chemicals.*

*Otóż nie jestem w stanie udzielić żadnej logicznej odpowiedzi na to pytanie; może najszlachetniej będzie, jeśli powiem, że jest to próba zadośćuczynienia za moje dotychczasowe nadużycia.*

I nic więcej, poza krótkim podpisem.

Drżącą ręką Davina odłożyła list. Na pozór to, co Saul mówił o intencjach sir Alexa, wydawało się nieprawdopodobne, ale przecież, znów na pozór, nie powinna wierzyć w ani jedno słowo Saula, a jednak, wbrew logice, wierzyła.

Zasepiła się. W świetle informacji Saula pierwszą rzeczą, jaką powinna zrobić, było porozumienie się z Gilesem.

Davina świadomie starała się swoje osobiste emocje zepchnąć na dalszy plan, stłumić w sobie bolesne poczucie samotności, jakie ją ogarnęło, kiedy Christie mówiła o miłości swego brata do dzieci. Ostatecznie nie jest taka głupia, żeby być zazdrosna o miłość ojcowską.

Kobieta, zwłaszcza w jej wieku i z takim bagażem przeżyć, nie zakochuje się od pierwszego wejrzenia. Może mężczyzny pożądać fizycznie, może być nim zainteresowana w sensie

intelektualnym, a nawet z lekka zaintrygowana, ale przecież nie zakochana.

Giles. Uświadomiła sobie, że musi zadzwonić do Gilesa. Jeżeli informacje Saula są prawdziwe, a czuła, że chyba tak jest, to nie mogą wdawać się w żadne negocjacje z jego szefem.

Jak ma się odnieść do rad, propozycji i zaleceń Saula, które nawet ona, ze swoim skromnym doświadczeniem, oceniała jako fachowe? Niech pani się nie trzyma jednej możliwości, pisał, trzeba poszukać sponsora, który pomoże przeczekać sztorm w cichej, bezpiecznej przystani.

Bez trudu rozumiała, co miał na myśli.

Czyżby Leo mu powiedział o pożyczce, jaką jej proponował? Bo przecież dzwonił do niego z informacją, że Hessler Chemie nie jest zainteresowane kupnem Carey i że Davina mówiła prawdę.

Giles. Musi do niego zadzwonić. Nie do pracy. Powiedział, że bierze kilka dni urlopu, ponieważ i tak nie może zrobić w firmie nic konstruktywnego, dopóki ona, Davina, nie podejmie decyzji, czy przyjmuje ofertę sir Alexa.

Kiedy ostatnio ze sobą rozmawiali, Giles był dość chłodny. Ciekawe, czy to dlatego, że nie posłuchała jego rady i nie zaakceptowała od razu oferty Saula, czy z innych, bardziej osobistych powodów? Po chwili wahania podniosła słuchawkę.

Kiedy Lucy zeszła na dół, zobaczyła stojącego w drzwiach salonu, na pół odwróconego Gilesa. Z pochmurną twarzą czytał jakiś list. Uznała, że chyba nie słyszał jej kroków.

List przyszedł rano, razem z różnymi rachunkami. Giles czytał go właśnie, ale słowem nie wspomniał o jego treści, chociaż Lucy instynktownie czuła, że musi to być coś ważnego.

Od powrotu Gilesa do domu sypiali razem. Kiedy się kochali, to jej imię Giles teraz wymawiał, jej ciała pragnął, jej dotyk go podniecał. Nie miała co do tego wątpliwości. O Davinie nawet nie wspominali, chociaż w dalszym ciągu była pomiędzy nimi i Lucy nie pozbyła się lęku, że może stracić Gilesa z jej powodu.

A już teraz wiedziała, że stracić go nie chce. W sposób nagły i bolesny została wyrwana ze stanu depresji, z jej znieczulającą osłoną obojętności.

Dlaczego po stracie Nicholasa każde z nich zamknęło się w sobie? Dlaczego nie potrafili dzielić tego bólu? Dlaczego nie miała odwagi zapytać Gilesa, jakie są jego uczucia wobec Daviny? Wobec niej? Dlaczego nie mogła go zapytać nawet o ten list, który czytał z wyrazem takiej troski? Czego się tak bała?

Znała odpowiedź na to pytanie. Bała się, że nie będzie kochana, że nie będzie chciana; bała się, bo czuła, że nie zasługuje na miłość. Może to wszystko dlatego, że cały czas jej część była jak gdyby z daleka, trzymała się na dystans, ponieważ w głębi duszy Lucy drżała, że straci Gilesa.

Ale go jeszcze nie straciła.

Schody zaskrzypiały, kiedy się poruszyła, i Giles spojrzął w jej stronę. W dalszym ciągu trzymał w ręku list i dalej był chmurny. Głęboko zaczerpnęła tchu. Czas najwyższy stawić czoło lękom; czas wreszcie odwrócić się od przeszłości i zacząć być dorosłą. Ostatecznie teraz...

Na myśl o tym wszystkim, a szczególnie o tym, że miałyby się tymi obawami z kimś podzielić, choćby i z Gilesem, dostała skurczu żołądka. Przecież może się mylić. Jeszcze ciągle może być za wcześnie...

- Giles, coś się stało? - zapytała.

Spokój w jej głosie złagodził nieco wyraz jego twarzy. Te ostatnie dni były takie różne od wszystkiego, co dotychczas wspólnie przeżyli. Powstała między nimi jakaś nowa bliskość, ich związek zyskał nową głębię, opartą na świadomości, że coś wspólnie przeżyli. To, że się przyznali do bólu z powodu utraty dziecka, w nadszpiewany sposób zbliżyło ich do siebie. Kiedy Giles wspominał Davinę, czuł się naturalnie głupio i odżywało w nim poczucie winy, ale teraz ten epizod wydał mu się tylko sekwencją snu, a sama Davina inna, niż ją sobie wyobraził. Mimo to coś jej zawdzięczał, a ten list...

Spojrzął na Lucy, świadom, że gdyby ten list przyszedł miesiąc, a może nawet jeszcze tydzień temu, nie ujawniłby przed nią jego treści.

- To list od Henry'ego Nortona. Pamiętasz go, Lucy? To mój dawny szef u Smethwicka. Odchodzi na wcześniejszą emeryturę z powodu zdrowia i zwrócili się do niego, żeby polecił kogoś na swoje miejsce. Wszystko wskazuje na to, że polecił mnie. Finansowo byłoby to niewiele lepsze...

- Ale mówiłeś, że tam ci było niedobrze - przypomniała mu Lucy.

- Wtedy rzeczywiście nie - zgodził się z nią Giles - ale teraz...

Słyszając telefon, urwał w pół zdania i szybko podniósł słuchawkę.

- Davina? - W jego tonie było zmieszanie i niechęć. Lucy zauważyła też z ulgą, że nie odwrócił się do niej tyłem ani nie ściszył głosu.

Czekała przez chwilę, kiedy słuchał, co Davina ma mu do powiedzenia.

- No cóż, zdaje się, że postąpiłaś słusznie, nie przyjmując od razu tej propozycji - powiedział w końcu. - Tyle tylko, że muszę się zastanowić nad sobą... Chciałbym zostać, ale my... ale widziałem, że dla Lucy moje obciążenie pracą w firmie było ostatnio wielkim problemem, a czas najwyższy, żebym dla odmiany zaczął stawiać ją... nasze małżeństwo na pierwszym miejscu. Gdybyś mogła trochę poczekać, aż sobie to wszystko przemyślę...

Na chwilę zaległa cisza, po czym Davina opanowanym głosem odpowiedziała:

- Naturalnie, że mogę poczekać, Giles, i naturalnie doskonale rozumiem... Jak mówisz, Lucy okazała wiele zrozumienia i cierpliwości. Ostatecznie należy jej się to od ciebie, żebyś

pomyślał o zabezpieczeniu waszych finansów, a obawiam się, że ode mnie nie możesz oczekiwać żadnych gwarancji. Nie muszę ci chyba mówić, jak bardzo sobie cenię wszystko, co zrobiłeś dla firmy.

Lucy odczekała, aż Giles odłoży słuchawkę, po czym z blaskiem w oczach rzuciła mu się w ramiona.

- Zostań w Carey - powiedziała cicho, okrywając go pocałunkami. - Teraz, kiedy już wiem, że mnie kochasz, to mi nie przeszkadza.

- Jak mogłaś kiedykolwiek myśleć, że cię nie Kocham - zbeształ ją Giles.

Lucy otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Na wszystko jest czas i miejsce, a to nie była stosowna chwila, żeby mu przypominać o tym, co, daj Boże, należało już do przeszłości. Tak jak nie był to czas, żeby mu mówić o swojej podszytej obawami nadziei, że jest w ciąży... Tym będą się cieszyć razem, później, i kto wie, może też kiedyś wyznają sobie nawzajem uczciwie bolesną prawdę o tym, jak bliscy sobie byli w ciągu tych ostatnich miesięcy rujnowania swego małżeństwa. Kiedyś, ale nie teraz. Teraz nie pora, uznała Lucy, żeby oceniać głębokość ran, jakie sobie zadali, i ryzykować, że je zakażą brakiem zaufania. Teraz jest pora na to, by dać im się zagoić.

Kiedyś w takiej sytuacji zaciągnęłaby go do łóżka, próbując wykorzystać swoją siłę i jego słabość; teraz uśmiechnęła się pogodnie i powiedziała:

- Nie musisz się w tej chwili decydować... to znaczy w sprawie pracy. Tak sobie pomyślałam, Giles... Wiesz, to drzewko Nicholasa będzie w zimie takie nagie... Może byśmy posadzili pod nim jakieś rośliny, a potem, jak już urosnie większe, moglibyśmy zbudować wokół niego jakąś ławeczkę.

Jakby chciała wznieść mur ochronny wokół ich miłości.

Patrząc na to z perspektywy czasu Leo pomyślał, że już samo milczenie Wilhelma i brak jakichkolwiek pretensji czy choćby prób porozumienia się z bratem po jego powrocie do Hamburga powinny mu być coś powiedzieć, a w każdym razie podziałać jak ostrzeżenie.

Nie stało się tak jednak może dlatego, że myślami dalej krążył wokół Christie, a może dlatego, że znudziła mu się już niewdzięczna rola stróża własnego brata.

Zamiast jednak spytać Wilhelma o przyczyny tego nietypowego, ale jakże miłego spokoju, Leo postanowił skorzystać z okazji i próbować nabrać dystansu do tego wszystkiego, co wydarzyło się w Anglii, a więc do Daviny, którą bardzo polubił, no i naturalnie do Christie.

Od pierwszej chwili, kiedy ją poznał, a w każdym razie od chwili, kiedy się czegoś o niej dowiedział, nie miał wątpliwości, że Christie nigdy nie wyrzeknie się dla niego swojego życia. Jak mogłaby zresztą to zrobić, nie sprzeniewierzając się swoim przekonaniom? Pozostała jednak w jego



sercu krwawiąca rana, urażona męska duma, która mimo pozorów stoickiego spokoju od czasu do czasu dochodziła do głosu, szepcząc mu do ucha, że gdyby Christie kochała go tak, jak on ją, to by rzuciła wszystko, żeby tylko być z nim.

Tak więc pierwsze dwanaście godzin po powrocie z Cheshire spędził na próbach zdystansowania się od postaci, którą chciałby być, i życia, które chciałby prowadzić, i skoncentrował się na tym, kim być musiał oraz na życiu' na jakie był skazany.

Z tych to właśnie powodów nie miał czasu ani ochoty zastanawiać się nad przyczynami milczenia Wilhelma, dlatego też widok nagłówka w gazecie, którą dojrzał u jednego z przechodniów, kiedy zatrzymał się pod światłami, uderzył go jak cios sprawiając, że przegapił zmianę świateł,' co wywołało gniewną i hałaśliwą reakcję innych kierowców.

Zatrzymał się najprędzej, jak tylko to było możliwe, parkując samochód w zupełnie przypadkowym miejscu' i poszedł kupić gazetę. Wracając do samochodu ze wzrastającą zgrozą i wściekłością po kilkakroć odczytywał ten sam nagłówek: „Kochanka zdradza tajny plan obalenia szefa Hessler Chemie”.

Pod spodem, niewiele drobniejszym drukiem, zamieszczono dramatyczną wiadomość o tym, jak to Wilhelm najwyraźniej zwierzył się swojej ostatniej kochance z planu dokonania swego zamachu na forum rady nadzorczej, mającego na celu zdyskredytowanie Lea i odebranie mu szefostwa firmy.

Tym, co najbardziej w całym artykule zabolęło Lea, nie była jednak wcale niełojalność Wilhelma - ostatecznie znał brata aż nadto dobrze - i nawet nie grafomański sposób, w jaki notatka została napisana, z seksualnymi podtekstami i detalami dotyczącymi oceny wyczynów łóżkowych Wilhelma; nie, tak naprawdę zaniepokoiło Lea coś zupełnie innego, a mianowicie wniosek, jaki mógł się każdemu bez trudu nasunąć: że oto Hessler Chemie stoi wobec groźby podziału, który mógłby się fatalnie odbić na kondycji firmy.

Leo nie był naiwny; zdawał sobie sprawę, że w radzie nadzorczej znajdą się ludzie, którzy we własnym interesie poprą Wilhelma.

Istniało jeszcze inne poważne zagrożenie dla firmy, a mianowicie, że dobierze się do tej historii światowa prasa finansowa i dokona oceny sytuacji.

Biura Hessler Chemie mieściły się w prestiżowym punkcie miasta, z widokiem na rzekę. Początkowo biura, laboratoria, a nawet wytwórnia zajmowały jeden kompleks budynków, w miarę jednak rozwoju firmy powstała potrzeba zwiększenia powierzchni biur, zbudowania nowego ośrodka badawczego i znacznego rozszerzenia produkcji, tak więc pierwotna siedziba Hessler mieściła obecnie jedynie biura zarządu.

Leo zaparkował samochód na swoim prywatnym miejscu. Przynajmniej po to jeszcze nie

sięgnął Wilhelm, zauważył z pewną ironią, widząc samochód brata zaparkowany o kilka metrów dalej.

Podczas gdy Leo zadowoliliby się skromniejszym autem, gdyby tylko wiedział, że jest ono ekologicznie bezpieczne, Wilhelm zażądał najdroższego modelu mercedesa, jaki znajdował się na rynku.

- Przynajmniej poparłem niemiecki przemysł samochodowy - zażartował, kiedy Leo zwrócił mu uwagę na niewłaściwość takiej ostentacji.

Leo sam okazał się odporny na kpiny ze swojego czteroletniego wysłużonego volvo, podkreślając za każdym razem, że firma i tak ma luksusową limuzynę - mercedesa z szoferem - i że wobec tego do celów prywatnych z powodzeniem wystarczy coś skromniejszego. Dodał też, że nie chciałby ustanawiać precedensu, na który później powoływaliby się inni dyrektorzy, co naturalnie Wilhelm zinterpretował tendencyjnie - jako celowe podkreślanie faktu, że został zdegradowany do pozycji jednego z wielu dyrektorów.

Leo skrzywił się nieznacznie, przechodząc obok samochodu brata. Uświadomił sobie, że - według zdumiewająco szczerych zwierzeń jego ostatniej dziewczyny - samochód był świadkiem wielu miłosnych przeżyć tej pary.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi jego prywatnej windy, zaczął się zastanawiać, co na to wszystko Anna. Nie miał wątpliwości, że jego bratowa ma świadomość zdrad męża, ale co innego wiedzieć, kiedy wszystko mieści się w granicach przyzwoitości i odbywa z zachowaniem dyskrecji, bez naruszania jej godności osobistej, a co innego, kiedy podboje miłosne męża, rozdmuchane i nagłośnione przez brukową prasę, wystawiają ją na pośmiewisko mniej lub bardziej szczerych przyjaciółek.

A co na to synowie Wilhelma, bratankowie Lea? Nigdy nie był z nimi tak blisko, jak by chciał, i to z własnej winy. Powinien poświęcać im więcej czasu. Przecież odkrycie faktu, że Wilhelm jest jego przyrodnim bratem, nie może mieć żadnego wpływu na stosunek Lea do jego bratanków.

Tyle że są wolni od obciążeń, które grożą jego dzieciom, jeśli będzie je miał. Przynajmniej nie mogli odziedziczyć genów jego ojca.

Dzieci. W smutnej zadumie wysiadł z windy i ruszył w stronę swoich biur. Biorąc pod uwagę obecną sytuację na świecie, nie był nawet pewny, czy w ogóle chciałby mieć dzieci. Z drugiej strony, dzieląc z ukochaną kobietą świadomość, że mocą swojej miłości powołali do życia maleńką ludzką istotę... to było coś zupełnie innego, tak głęboko osobistego, tak pierwotnego, że na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz.

Akt poczęcia, wiedza, że dwoje ludzi jest zdolnych skrzesać magiczną iskierkę życia, już

sam w sobie wydaje się czymś cennym i wspaniałym, co wznosi człowieka ponad przyziemność życia, stanowiąc niemal formę wiary, sublimację wszystkiego, co w człowieku święte.

Sekretarka Lea przyjrzała mu się dokładnie, kiedy wszedł. Była to przystojna blondynka, mężatka z trojgiem dzieci. Uśmiechnął się do niej uprzejmie i pomyślał, że naturalnie musi wiedzieć o artykule; wątpił, czy ktokolwiek do tej pory nie wiedział.

W niecałą godzinę od wejścia do gabinetu odebrał telefony od pięciu członków rady nadzorczej. Dwaj wyrazili współczucie i zapewnili o lojalności, dwaj domagali się wyjaśnień, a jeden oświadczył, że powinno się zastrzelić Wilhelma za to, że naraził na szwank dobre imię firmy.

Nie bez ironii pomyślał, że ci dwaj, którzy zapewnili go o swojej lojalności, to byli ci sami, których obawiał się najbardziej. Na razie nie zwracał się do nikogo o poparcie; czuł się stosunkowo bezpieczny - ojciec tak sformułował warunki testamentu, że tylko w szczególnych okolicznościach Leo mógłby zostać pozbawiony stanowiska, z pewnością jednak nie w drodze głosowania, tak jak Wilhelm nie mógłby być na nie w drodze głosowania powołany.

W związku z tym nasuwało się pytanie: dlaczego ci dwaj uznali za stosowne zaoferować mu swoje poparcie?

Do lunchu czterokrotnie, przy różnych okazjach, próbował porozumieć się z Wilhelmem i za każdym razem jego sekretarka, z wyraźnym zmieszaniem, go zbywała. Naturalnie mógł przejść korytarzem kilkanaście metrów i osobiście poprosić brata o rozmowę, ale podejrzewał, że Wilhelm byłby rad z takiego wyniku swojej prowokacji, dlatego uprzejmie podziękował sekretarce i odłożył słuchawkę.

W końcu Wilhelm będzie musiał z nim porozmawiać, a wtedy to on, Leo, narzuci warunki rozmowy.

Tymczasem miał inne sprawy na głowie. Reki z prasy finansowej poczuły bowiem krew i zaczynały już krążyć. Telefonów od dziennikarzy i od kolegów z zarządu Leo się spodziewał, a nawet oczekiwał, nie spodziewał się jednak telefonu od szwagierki, która zadzwoniła po południu.

Mówiła tonem zdumiewająco spokojnym. Może aż za spokojnym? - zastanawiał się słuchając jej głosu. Oznajmiła, że chciałaby się z nim koniecznie zobaczyć, i to możliwie najprędzej.

- Naturalnie - zgodził się Leo, chociaż wiedział, że jeśli Anna oczekuje od niego sprowadzenia Wilhelma na drogę cnoty, to niestety nie będzie mógł jej tego obiecać. Ona zresztą musiała sama o tym wiedzieć. Leo jednak na tyle lubił swoją bratową, żeby zatrzymać te myśli dla siebie, obiecał jej więc tylko, że zadzwoni i umówi się z nią, gdy będzie wolny.

Z Wilhelmem w dalszym ciągu nie miał okazji rozmawiać. Znał jednak swego brata dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że z radosną niecierpliwością, na z góry upatrzonych pozycjach,

oczekuje rozgrywki, której strategię tak starannie przygotował. Jak jednak wkrótce miał się przekonać, bez oponenta nie może być mowy o żadnej rozgrywce.

Wilhelm był człowiekiem niecierpliwym i Leo zdawał sobie sprawę, że przez samo ignorowanie jego prowokacji mógłby go zmusić do podjęcia kroków, które by go pozbawiły zaplanowanej przewagi. Ale mogłoby to zarazem oznaczać ryzyko w znacznie ważniejszych sprawach. Nie chodziło bowiem tylko o rozładowanie sytuacji czy wymuszenie na Wilhelmie podporządkowania się jego władzy. Sprawy osobiste należało odłożyć na bok; znacznie ważniejsze było dobre imię i przyszłość firmy, a sam fakt, że Wilhelm gotów był narazić i jedno, i drugie na szwank, świadczył tylko o tym, jak bardzo się nie nadawał na stanowisko szefa. Teraz, kiedy zabrakło ojca, Leo musiał dla dobra firmy ująć brata w karby. Była prawie szósta, a więc wyjątkowo wcześnie jak na niego, kiedy Leo mógł wreszcie wyjść z biura. Znalazłszy się na parkingu, zauważył, że samochód Wilhelma znikł. Tak jak się spodziewał, nie zastał również mercedesa brata na prywatnym parkingu należącym do ekskluzywnych apartamentów, gdzie mieszkali Wilhelm i Anna.

Anna otworzyła mu niemal natychmiast, gdy tylko zastukał. Wyglądała jakoś inaczej, chociaż w pierwszej chwili Leo nie potrafiłby powiedzieć, na czym polegała ta zmiana. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się bratowej stwierdził, że miała inną fryzurę, a na sobie, zamiast sztywnego, sztytego na zamówienie kostiumu, jaki zwykle nosiła, równie kosztowną, ale mniej oficjalną, lnianą garsonkę w pastelowym kolorze.

- Oczywiście widziałeś gazety? - zagadnęła, nerwowo zaciągając się papierosem.

- Tak - odparł Leo, dyskretnie usuwając się poza zasięg dymu papierosowego. - Przykro mi bardzo - dodał szczerze.

Anna wzruszyła ramionami, a jej twarz nabrała surowego wyrazu.

- Oboje wiemy, że to nie pierwszy raz. I z pewnością nie ostatni.

- Zapewne... - zgodził się Leo. - Ale przynajmniej do tej pory zachowywał się dyskretniej.

- Tak uważasz?

Patrzył, jak Anna strzepuje popiół do popielniczki. Była zawsze elegancką i pełną wdzięku kobietą, ale lata życia z Wilhelmem zrobiły swoje: w jej ruchach wyczuwało się teraz szorstkie napięcie, a przykre przeżycia poznały jej delikatną cerę bruzdami, nadając twarzy wyraz rozgoryczenia.

- Może i był dyskretny na użytek publiczny - powiedziała - ale nie w domu. - Zdusiła nie dopalonego papierosa i dodała niemal wyzywająco: - Czasami odnosiłam wrażenie, że opowiadanie mi... opisywanie, co im robi, sprawia mu przyjemność. Co robi im, a nie z nimi. Ale

to nie było w jego zwyczaju, i dalej nie jest, o ile wiem. - Pochwyciła lekki ruch Lea i uśmiechnęła się smutno. - Jasne, że już od lat ze mną nie sypia. Była to tylko dla niego okazja, żeby się nade mną znęcać, mówiąc mi, jakie brzydkie mam ciało po urodzeniu chłopców. Powtarzał mi też z upodobaniem, że chyba nikt się nie dziwi, że ma mnie dosyć, i że nie rozwodzi się ze mną tylko ze względu na ojca. W rodzinie von Hesslerów nie może być rozwodów, nie może być nawet najmniejszej skazy na nazwisku.

- Trudno uznać rozwód za skazę na nazwisku... - zauważył Leo. - Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

- To ja oczywiście powinnam się była z nim rozwieść - powiedziała Anna, jakby nie słyszała jego słów. - I chciałam to zrobić, ale bałam się... A to wszystko przez mój kompleks niższości. Wilhelm powiedział mi wyraźnie, że jeśli od niego odejdę, to mnie puści z torbami, że skończę w rynsztoku... Nie wątpię, że by dotrzymał słowa.

Leo nie potrafił ukryć ani szoku, jaki w nim wywołały zwierzenia Anny, ani niesmaku, z jakim ich słuchał.

- Przecież wiesz, że nigdy bym do tego nie dopuścił - powiedział. - Dlaczego do mnie nie przysłałaś, dlaczego nigdy nic nie mówiłaś?

Uśmiechnęła się smutno.

- Bo miałam swoją dumę, Leo, jeśli to można tak nazwać, a poza tym pamiętaj, że początkowo byłeś właściwie jeszcze chłopcem. To ironia losu, że sprawa wynikła właśnie teraz. Wszyscy pomyślą, że chodzi mi o ten ostatni romans Wilhelma i że dlatego od niego odchodzę. Aleja się zdecydowałam ostatecznie już kilka tygodni temu.

- Odchodzisz od niego? - Leo nie próbował ukryć zdziwienia. Spodziewał się, że Anna będzie go prosiła, żeby porozmawiał z bratem, przekonał go, że powinien do niej wrócić.

- Dziwisz mi się może? - spytała.

Leo potrząsnął głową.

- Wcale.

- Zawsze myślałam, że nigdy się na to nie zdobędę - powiedziała bezbarwnym tonem. - Wydawało mi się, że to jest niemożliwe, że nigdy się nie uwolnię, ale w pewnym momencie zrozumiałam, że zawsze jest jakieś wyjście. I że znalezienie go to tylko kwestia szacunku dla siebie. A wiesz, Leo, co mi pozwoliło ten szacunek odzyskać? - spytała, przyglądając mu się bacznie.

Leo potrząsnął głową. W dalszym ciągu nie był pewien, dlaczego Anna akurat jemu postanowiła wyznać, że odchodzi od Wilhelma. Ostatecznie nigdy nie byli z sobą szczególnie blisko.

- Miłość - powiedziała. - Zakochałam się. Wiem, że to brzmi jak banał, ale to prawda. Poznałam Franza w ubiegłym roku. On pochodzi ze wschodnich Niemiec. - Na widok miny Lea dodała: - Tak, jest biedny, żyje zupełnie inaczej niż my, ma może nawet inne zasady moralne niż ja, ale to w niczym naszej miłości nie przeszkadza, bo my się naprawdę kochamy. Franz chce, żebym odeszła od Wilhelma jak stoję. I tak to być musi, bo ja i tak nie mam dosłownie nic.

Spojrzała na twarz szwagra i roześmiała się gorzko.

- Czy wiesz, że nawet rachunki za moje ubrania są wysyłane bezpośrednio do Wilhelma, że nie mam prawa do posiadania żadnej gotówki? Ale pieniądze nie mają dla mnie znaczenia, Leo, już nie. Tak naprawdę liczą się tylko chłopcy. - Zaczerpnęła tchu. - Poprosiłam cię tutaj, bo chcę, żebyś mi obiecał, że nie dopuścisz do tego, żeby ich Wilhelm wypaczył. Wiem, że mi uniemożliwi kontakty z nimi, że będzie się przez nich na mnie odgrywał. Ale pomyśl, jak wygląda mój kontakt z nimi teraz. Praktycznie są mi obcy i ta przepaść będzie się pogłębiała. Już Wilhelm tego dopilnuje. Obiecuj mi, Leo, że to dla mnie zrobisz.

Leo poczuł się nieoczekiwanie wzruszony jej prośbą i jej szczerością.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał solennie. - Ale musisz mi podać jakiś adres, pod który mógłbym przysyłać ci korespondencję, jakiś sposób kontaktowania się.

Dopilnuje też, postanowił, żeby Wilhelm w swojej mściwości nie zostawił jej tak zupełnie bez grosza; ostatecznie po rozwodzie będą jej się należały jakieś pieniądze.

- Proszę, tu jest mój adres. Franz ma na wschodzie niewielkie gospodarstwo. Naturalnie nie wiemy, czy będzie mógł je zatrzymać. Ktoś z zachodu może się zgłosić z tytułem własności... Jest tam stary dom, bardzo stary, tak że nawet dach przecieka... Ale wiesz przecież, Leo, że moi dziadkowie byli rolnikami...

Leo nachylił się i delikatnie ją pocałował.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Potrząsnęła głową.

- Nie musisz mi niczego życzyć. Mam wszystko, czego potrzebuję, to znaczy miłość Franza.

Idąc do samochodu Leo stwierdził, że właściwie zazdrości Annie. Potrafiła jednak zdobyć to, czego on jest pozbawiony, potrafiła zacząć sama decydować o swoim życiu.

„Zawsze jest jakieś wyjście”, powiedziała. „A znalezienie go to tylko sprawa szacunku dla siebie”.

Czy Anna ma rację? Wykluczone. Nic nigdy nie jest takie proste...

Zaraz... A jeśli to on nie chce przyznać, że może być proste? Jeśli gdzieś w głębi duszy boi

się, nie wierzy, że mógłby urządzić sobie życie bez firmy i że Christie by to życie z nim podzieliła?

Czy przypadkiem tak naprawdę nie chowa się za Hessler Chemie udając, że przedkłada obowiązek i odpowiedzialność za firmę, jaką obarczył go ojciec, nad własne potrzeby?

Pojechał prosto do domu i stał długo, głęboko zamyślony, patrząc przez okno na rzekę.

- Co ty tu robisz? A zresztą niepotrzebnie pytam. Mama cię wezwała, tak?

W niebieskich oczach córki, tak bardzo podobnych do jego oczu, Saul widział symptomy nadciągającej burzy, ale jednocześnie cierpienie i strach. Serce mu się ścisnęło i z trudem opanował chęć wzięcia jej w ramiona.

We własnej ocenie była osobą dorosłą, podejmującą ważne decyzje samodzielnie, bez pomocy ojca, a nawet matki; według niego była jeszcze ciągle dzieckiem, małym, bezbronnym i bardzo, bardzo kochanym.

Budząc tu autostradą, przez całą drogę myślał o tej chwili: jak Josey się zachowa, co powie. Ale właściwie czego oczekiwał? Że rzuci mu się w ramiona z okrzykiem „Tata!”?

Przecież on nawet nie wiedział, jak wygląda jej pokój, który już dawno przestał być pokojem dziecka, a stał się pokojem młodej kobiety - obcej młodej kobiety, tej samej, która odsunęła się od niego, dając mu odczuć, że w jej życiu nie ma dla niego miejsca, że już wiele lat temu z niego zrezygnował.

- Nie rozumiem, po co zabierała ci czas. - W jej słowach była uszczypliwość, którą tak dobrze znał. - Nawet ty, wybitna osobistość Davidson Corporation, nie zmusisz ich, żeby mnie z powrotem przyjęli. Nie wiem, czy wiesz, że za posiadanie narkotyków grozi natychmiastowe wyrzucenie ze szkoły?

- Nie, nie wiedziałem - odparł Saul spokojnie. - Ale skoro ty wiedziałaś, to nasuwa się pytanie, dlaczego dałaś się złapać?

Nagle zainteresowała się tym, co Saul powiedział. Oczy miała teraz szeroko otwarte ze zdumienia, ale było w nich jeszcze coś, co po histerycznym wybuchu Karen podziałało na niego jak balsam i napełniło nadzieją.

To jego wina, powiedziała mu Karen. Nigdy nie interesował się dziećmi, nigdy nie czuł się za nie odpowiedzialny, wszystko zawsze zwał na nią...

Wszystko poza płaceniem rachunków, miał na końcu języka, ale w porę się powstrzymał. Ostatnią rzeczą, której by sobie teraz życzył, byłoby wdanie się z byłą żoną w jakąś szermierkę słowną. I o dziwo, przez cały czas, kiedy próbując się hamować tłumaczył sobie, że histeryczne zachowanie Karen i odsądzanie przez nią od czci i wiary zarówno jego, jak i ich córki, wynika bardziej z macierzyńskiej troski o Josey niż z przekonania, że jest ona rzeczywiście winna tego wszystkiego, co jej w tej chwili zarzucała, otóż przez cały ten czas czuł przy sobie obecność Daviny, niemal słyszał jej głos, cichy i kojący, jakby mu, zamiast podsycania wrogości, doradzała



pojednanie i wybaczenie.

Ku jego zdumieniu, okazało się to skuteczne i Karen puściła go na górę, żeby mógł porozmawiać z Josey na osobności.

- Chociaż nie sądzę, żeby cię chciała słuchać - dodała na koniec niezbyt sympatycznie. - Chyba że sam twój widok wywoła w niej taki szok, że zrozumie, co zrobiła.

- Wiedziałaś, że cię z tym złapią, prawda, Josey? - nalegał teraz, kierując się bardziej wyczuciem niż znajomością sytuacji.

Odwróciła głowę i wzruszyła ramionami, co mogło równie dobrze oznaczać potwierdzenie, jak i zaprzeczenie.

- Wiem, że tamta dziewczyna to była twoja przyjaciółka - próbował z innej beczki.

- Ciekawe skąd! - W głosie Josey znów była pogarda.

- Przecież nic o mnie nie wiesz.

- Owszem, wiem na przykład, że jesteś inteligentna - odparł spokojnie. - O wiele za inteligentna na to, żeby dać się złapać z narkotykami...

Nagle Josey zarumieniła się i z tym rumieńcem wydała się Saulowi taka bezbronna, że coś go ścisnęło za serce. Znów zapragnął przytulić ją, miał ochotę powiedzieć, żeby się nie bała, że on pomoże jej wybrnąć z opresji, ale wiedział, że byłaby to ostatnia rzecz, której by sobie Josey życzyła, ostatnia rzecz, którą chciałyby od niego usłyszeć...

- A ta twoja przyjaciółka...

- To nie jest moja przyjaciółka - ucięła krótko. - Ja nie mam żadnych przyjaciółek.

Saul zmarszczył czoło. Według tego, co mówiła Karen, Josey była w szkole bardzo popularna. Karen zawsze podkreślała, w jakich kręgach towarzyskich się obracała, lubiła się chwalić przyjaźniami córki i najróżniejszymi okazjami towarzyskimi, jakie z tego wynikały, co naturalnie służyło do wyciągania od niego coraz to większych sum. Josey grała w tenisa; Josey w zimie jeździła na nartach; Josey wyjeżdżała w lecie za granicę do przyjaciół, gdzie spędzała wakacje w ich luksusowych willach.

Całą też rodziną byli członkami miejscowego ekskluzywnego klubu. Obydwie, Karen i Josey, chodziły na kursy tańca i na gimnastykę. Saul wiedział o tym dobrze, ponieważ za to wszystko płacił.

Cos' go jednak w tej chwili ostrzegło, że powinien być ostrożny. Pod wpływem uwagi córki poczuł się bezradny, zagubiony, nie wiedział, jak się zachować. Czy była to zwykła egzaltacja nastolatki, tak częste w tym wieku: „Ja się nie mam w co ubrać”, „Każdemu wolno”, „Wszystkim rodzice pozwalają”, „Nikt poza mną nie musi tak wkuwać” i tak dalej, czy za jej gniewnym zaprzeczeniem kryło się coś znacznie głębszego i poważniejszego?

Zanim jednak zdążył pozbierać myśli i coś powiedzieć, Josey wybuchnęła:

- Bo mnie w szkole wszyscy nienawidzą. Śmieją się ze mnie i mówią, że się lepię do lepszego towarzystwa. Że mama i Richard nie mają pieniędzy i że pozują na bogatszych, niż są. Wiedzą nawet, że w zeszłym roku mama kupiła mi używany sweter na szkolnej wyprzedaży...

Saul poczuł gniew. Niecały rok temu zapłacił za pełne szkolne wyposażenie obojga dzieci, i to nowe, nie używane... Najwidoczniej pęd Karen do „lepszego towarzystwa” nie był na miarę dochodów Richarda, łącznie z alimentami płaconymi przez byłego męża.

- Mama tego nie widzi. Uważa, że wszyscy nas akceptują... że nikt nie zauważa, że ona i Richard nigdy za nic nie płacą... że o wszystko proszą. W zimie mama dosłownie wcisnęła mnie Conradom, kiedy jechali na narty. Fiona Conrad mnie nie cierpi. Przez cały czas, kiedy byliśmy na tych nartach, słowem się do mnie nie odezwała. To na pewno ona wypaplała wszystkim o tym swetrze. Nienawidzę tej szkoły, nienawidzę tam chodzić. Tam są sami snobi.

- To dlatego chciałaś, żeby cię wyrzucili?

Ciche pytanie Saula otrzeźwiło ją nagle. Josey zupełnie zapomniała o obecności ojca. Zaczerwieniła się.

- A zresztą, co cię to wszystko obchodzi? - powiedziała z goryczą. - Jesteś tu przecież tylko dlatego, że mama cię wezwała.

- To nieprawda, Jo.

Pochwycił jej spojrzenie, szybkie i czujne. Zrobiło mu się przykro.

- Twoja matka mnie nie wezwała, Josey. Przyjechałem, bo czułem taką potrzebę, bo jesteś moją córką.

- I nie chciałaś, żebym cię kompromitowała, tak?

- Nie - odparł równie spokojnie Saul.

Czuł, że bardzo powoli i ostrożnie zaczyna nawiązywać z nią kontakt, ale Josey w dalszym ciągu była bardzo nieufna i wątpił, czy by go dopuściła choćby do takiej konfidencji, gdyby nie przeżyty szok.

- Przyjechałem dlatego, że jesteś moją córką i że cię kocham - powiedział łagodnie.

Przez chwilę myślał, że Josey wyjdzie. Wstrzymał oddech ze strachu; wiedział, że jeśli tak się stanie, to jego rola praktycznie się skończy, ale ku swojej uldze stwierdził, że została.

- Tak, jasne, że mnie kochasz. - W jej tonie tyle było pogardy i złości, że Saula znów ogarnęły wyrzuty sumienia: przez te wszystkie lata powinien jej być udowodnić, że to, co teraz mówi, jest prawdą.

W godzinę później zarezerwował pokój w miejscowym hotelu i zadzwonił do Alexa z wiadomością, że nie wie, kiedy będzie mógł wrócić do pracy.

- Dlaczego niby nie wiesz? - zapytał Alex napastliwie.
- Bo moja córka... bo moje dzieci mnie potrzebują - odparł Saul.
- Co takiego? Saul, chciałbym, żeby jedno było między nami jasne: pracujesz dla mnie, a nie dla swoich dzieci, w przeciwnym razie...

Słuchając Alexa Saul poczuł nagle, że jego cierpliwość się wyczerpała.

- Dość tego, Alex.

Powiedział to tak cicho i spokojnie, że minęło kilka sekund, zanim sens tych słów dotarł do tamtego.

Potem Alex wybuchnął stekiem obelg, zarzucając Saulowi, że próbuje nim manipulować i mu grozić, że przecenia siebie i swoje znaczenie, ale Saul go właściwie nie słuchał. Kiedy wreszcie zdobył się na odwagę, poczuł się, jakby mu spadł z serca wielki ciężar. Zrobiło mu się lekko na duszy, miał ochotę tańczyć i śpiewać.

Kiedy odkładał słuchawkę, Alex nadal mu wymyślał, grożąc zemstą i konsekwencjami.

W ciągu kilku najbliższych dni Saul zrobił dobry użytek ze swoich negocjatorskich umiejętności. Próbował z jednej strony przekonać Karen, żeby się opanowała i dała Josey trochę spokoju, z drugiej pertraktował z córką, żeby nie robiła matce przykrości, powtarzając wszystkie zasłyszane w szkole plotki.

- Żeby jej nie robiła przykrości? Przecież to jest przykrość przede wszystkim dla mnie - powiedziała z rozgoryczeniem Josey.

- Ale ty masz w życiu ważniejsze rzeczy, Jo. Inne cele - tłumaczył jej łagodnie. - A twoja matka nie ma. Jej status towarzyski, a w każdym razie coś, co uważa za swój status towarzyski, jest dla niej bardzo ważny...

- Bardzo ważny! Ma na tym punkcie fioła - parsknęła Josey.

Saul złożył wizytę w szkole i widział się z dyrektorem, który niechętnie potwierdził większość tego, co mówiła Josey.

- Naturalnie staramy się zwalczać takie postawy, ale kiedy jakieś dziecko ma w domu warunki tak dalece odbiegające od warunków, w jakich żyje większość jego rówieśników... Naturalnie są i uczniowie ze skromniejszych domów, ale oni, czy raczej ich rodzice, nie... - Urwał speszony i zirytowany.

- Ich rodzice nie pchają się, gdzie ich nie proszą, tak? - dokończył ponuro Saul.
- Spróbujemy zapomnieć o tym, co zrobiła Josephine, i przyjmiemy ją z powrotem.
- Nie - odparł Saul.

Dyrektor dobrze musiał wiedzieć, że narkotyki należały do kogoś innego, a poza tym sam przyznawał, że Josey jest świetną uczennicą i murowaną kandydatką do Oxbridge.

Saul nie miał pojęcia, czy jego córka wybiera się na studia i w ogóle co zamierza zrobić ze swoim życiem, ale jedno wiedział z pewnością: że musi być wśród ludzi, którzy ją zaakceptują jako równą sobie, i że w tej szkole będzie to niemożliwe.

- Bardzo mi przykro... - zaczął dyrektor zmieszany.

- Mnie też - zgodził się Saul. - Bo obojętne ile wiadomości zdoła pan wtłoczyć w ich głowy, to i tak sercem i duchem pozostaną karłowaci. Dyrektor zaczerwienił się.

- Żyjemy w bardzo zmaterializowanym społeczeństwie. Niewiele mogę zrobić. Te dzieci stanowią odbicie poglądów i postaw moralnych swoich rodziców.

- Którzy oddają boską cześć dużej forsie, tak? Muszę powiedzieć, że ja mam wobec moich dzieci większe ambicje, znacznie większe. Żałuję tylko, że Josey musiała przez to wszystko przejść, żeby otworzyły mi się oczy.

- To jest bardzo dobra szkoła - zaprotestował dyrektor, który zaczynał już tracić cierpliwość.

- W żadnym razie - uciął Saul. - To jest bardzo droga szkoła. - Wstał i pożegnał dyrektora ironicznym uśmiechem.

Karen naturalnie protestowała - czego się zresztą spodziewał - kiedy jej oznajmił, że zamierza porozmawiać z Thomasem o jego dalszej nauce i pozostawić Josephine decyzję co do wyboru szkoły.

- Wykluczone - jęczała. - Zobaczysz, że wyląduje w jednej z tych koszmarnych szkół publicznych. - Ale Saul nie chciał nawet jej słuchać.

Nie bez ironii zauważył też, że oboje - i Karen, i Richard - dziwnie łatwo się zgodzili, kiedy zaproponował, że zabierze dzieci na miesięczne wakacje.

- A twoja praca? - zapytała jedynie Karen.

Saul nie powiedział jej, że już nie ma nic takiego jak „praca”. Miał dość historycznych scen.

Josephine w dalszym ciągu zachowywała dystans, w dalszym ciągu była nieufna, ale mimo to Saul czuł, że coś się w ich wzajemnych stosunkach zmieniło, nawet jeśli tylko zdołał obudzić w niej ciekawość dla siebie, nawet jeśli zgodziła się z nim wyjechać jedynie dlatego, że był to dla niej jakiś sposób ucieczki od sytuacji, która stała się nieznośna.

Saul wybierał się z dziećmi do Prowansji, do małej, leżącej na odludziu osady, gdzie wynajął niewielki domek.

Zadzwoił do Christie, żeby ją poinformować o wyjeździe i uprzedzić, że nie ma tam telefonu.

- Czy doręczyłaś może Davinie James mój list? - spytał zastanawiając się, czy

pochwyciła w jego głosie wyraźne napięcie.

- Tak - - odparła.

Tylko duma i lęk, że się ośmieszy, powstrzymały go przed dokładnym wypytaniem siostry o wszystkie, nawet najbardziej przyziemne szczegóły: co powiedziała Davina, jak zareagowała na jego list, jak wyglądała... Ponieważ jednak Christie sama robiła wrażenie czymś bardzo zaabsorbowanej, dał spokój i odłożył słuchawkę.

Davina oparła się wygodnie w fotelu, wyprostowała głowę i próbowała się chociaż trochę odprężyć. Całe biurko miała zarzucone papierami, których większość pokryta była kolumnami cyfr.

Zamknęła oczy i po chwili z powrotem je otworzyła. Skrzywiła się pod wpływem odrętwiającego bólu w karku. Zbyt długo siedziała pochylona nad rachunkami.

Gdyby uruchomiła wszystkie fundusze znajdujące się na kontach Gregory'ego, gdyby udało jej się dobrze sprzedać dom, gdyby Leo rzeczywiście poważnie mówił o tej pożyczce, gdyby bank okazał jeszcze trochę cierpliwości, a oni, jako firma, dotrwali jakoś do tych uregulowań prawnych, o których mówił Saul, to może byłaby szansa na utrzymanie przy życiu Carey Chemicals?

Ale na jak długo i w jakim charakterze? Potrząsnęła głową. Nie miała odwagi patrzeć tak daleko w przyszłość. Myśl o tym, że firma mogłaby dalej działać w takim stanie jak teraz, świadomość, skąd pochodziły pieniądze, które umożliwiły jej założenie, wszystko to razem wydawało się odrażające. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ze względu na ludzi, których byt zależał od istnienia firmy, nie może poddawać się tym uczuciom.

Leo wyraził żal, że jej o tym powiedział, ale ona potrząsnęła głową i powiedziała mu szczerze, że jest z tego zadowolona. I rzeczywiście tak było.

Wstała od biurka. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Automatycznie sięgnęła po słuchawkę.

- Dzwoni sir Alex Davidson - poinformowała ją sekretarka.

- Pani James... Davina?

Davina zeszywniała. W jego głosie było coś, co jej się nie podobało i napełniło nieufnością.

- Pomyślałem sobie, że może nie byłoby źle, gdybyśmy sobie we dwójkę pogadali, pani i ja. Ale przedtem pozwoliłem sobie zadzwonić do pani banku. To całkiem sensowni faceci, nie uważa pani?

W miarę słuchania napięcie Daviny rosło. Pod pozorami beztroskiej życzliwości wyczuwała w głosie Alexa pogardę i zimną determinację.

- Mam nadzieję, że wzięła pani pod uwagę ich stanowisko w sprawie mojej oferty?

- Owszem, zapoznałam się z nim - powiedziała, ale zaraz ugryzła się w język, zła na

siebie, że wpadła w pułapkę i przyznała się, że bank jej doradzał przyjęcie oferty sir Alexa. A zresztą, uspokoiła się, Alex i tak wie o tym z pewnością od Saula, jeśli nie od kogoś innego. - Jak jednak mówiłam panu Jardine, nie może być mowy o żadnej sprzedaży firmy bez spełnienia przez państwa pewnych warunków.

Sir Alex roześmiał się głośno.

- Moje drogie dziecko! To nie jest bajka, to twarda rzeczywistość. Naturalnie, że żadne z nas nie chce pozbawiać ludzi pracy, ale obawiam się, że...

Patrząc na leżące przed nią kolumny cyfr i słuchając słów, które ociekały lepkiem samozadowoleniem, Davina podjęła decyzję.

- Myślę, że oszczędzę panu i sobie wiele czasu - przerwała mu - jeśli powiem od razu, że nie zamierzam sprzedawać panu firmy.

Głos miała spokojny, ale ręka jej drżała.

- Jak już mówiłam panu Jardine...

- Pan Jardine już nie pracuje w Davidson Corporation - oznajmił ponuro Alex. - I niech się cieszy, gdy znajdzie pracę zamiatacza ulic. Teraz ma pani do czynienia ze mną, pani James, a ja wiem dokładnie, jaka jest sytuacja pani firmy. Bez pomocy nie dożyje przyszłego tygodnia; jest pani kompletną bankrutką i oboje bardzo dobrze o tym wiemy. - Davina słyszała w głosie Alexa ton pogroźki, a dłoń, w której trzymała słuchawkę, była mokra od potu. Saul ostrzegł ją w swoim liście: „Proszę popełnić błąd. Alex jest zdecydowany przejąć Carey i nie będzie przebierał w środkach. Szkoda, że Hessler Chemie nie jest zainteresowane firmą”.

Davina kurczowo trzymała się teraz tej informacji, usiłując odzyskać równowagę po wstrząsie, jaki wywołała w niej wiadomość, że Saul został wyrzucony z pracy. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia na myśl o tym, jaką sama odegrała w tej sprawie rolę.

- Pan nie jest jedyną osobą, która interesuje się Carey Chemicals - usłyszała swoje słowa. Alex głośno wciągnął powietrze. Wiedziała, że strzał był celny.

- Hessler Chemie? Moje drogie dziecko, a niby z jakiego powodu miałyby im zależeć na takiej firmie jak Carey?

Davina zacisnęła zęby, słysząc protekcyjny ton Alexa, i odpowiedziała ostro:

- Z takiego samego co panu.

Zaległa cisza.

Davina zamknęła oczy. O Boże, co ona najlepszego zrobiła? Teraz się domyśli, że Saul jej powiedział o tej nowej rządowej regulacji prawnej. Szybko... Musi coś takiego wykombinować, żeby się nie domyślił. Przynajmniej tyle jest winna Saulowi.

- Tak, to samo. Tak jak i pan, starają się połknąć jak najwięcej małych przedsiębiorstw.

Jesteście jak sępy, i pan, i oni... Wykorzystujecie nieszczęścia innych, wyszukujecie firmy, które ucierpiały z powodu recesji, wiedząc, że ich właściciele są w przymusowej sytuacji.

- Na tym polega biznes - usłyszała w odpowiedzi. - A ile pani oferuje von Hessler?

- Nie mam zamiaru udzielać panu takich informacji - odparła chłodno. - Jestem zdecydowana, panie Davidson. Oferta Hessler Chemie jest korzystniejsza. Nie ma powodu dalej o tym dyskutować.

Usłyszała, jak Alex zaczyna coś mówić, niemal wyczuwała na odległość jego wściekłość. Odkładając drżącą ręką słuchawkę zastanawiała się, jak Saul może być zależny od takiego człowieka. Czy raczej, jak mógł być od niego zależny?

Wzdrygnęła się na wspomnienie satysfakcji, z jaką sir Alex komunikował jej o tym, że wyrzucił Saula z pracy. Wszystko wskazywało na to, że w głębi serca nienawidził człowieka, którego publicznie uznał za swoją prawą rękę i następcę.

Saul. Zamknęła oczy i przelknęła nerwowo ślinę. Dobre wychowanie nakazuje, żeby się z nim skontaktować i uprzedzić go o tym, co się stało. Ba! Ale jak to zrobić? Jego siostra! Christie Jardine musi mieć jego adres i telefon.

Dwa razy w drodze do Christie Davina chciała zawrócić. Miała wystarczająco ważny powód po temu, żeby się skontaktować z Saulem, co przypominała sobie nieustannie, a jeżeli nawet w jej rzeczywistych motywach było coś mglistego, no to było, i już.

Przecież chyba nie jest taka głupia, żeby sobie wyobrażać, że się w nim zakochała. W takim agresywnym, apodyktycznym człowieku? Miał wszystkie cechy, których tak bardzo nie lubiła.

Ale jednocześnie był to jeden z najbardziej charyzmatycznych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała, i z pewnością jeden z najbardziej skomplikowanych. Bo pod pozorami tej agresji... No cóż, jeżeli zaprezentował jej się od tej gorszej, ciemnej strony, to przecież pokazał też i swoje inne, łagodniejsze, cieplejsze oblicze...

Żaden człowiek niezdolny do takich uczuć jak miłość i zrozumienie dla innych, nie rzuciłby wszystkiego, nie zaryzykowałby wszystkiego, żeby być z córką wtedy, kiedy go tak bardzo potrzebowała.

Przeżyła chwilę niepewności na widok zdziwienia, z jakim Christie przyjęła jej wizytę, ale zdołała ze spokojem i opanowaniem wyjaśnić jej powody.

Spostrzegła, że córka Christie, Cathy, nie spuszcza z niej oczu. Davina lubiła dzieci, a co ważniejsze, potrafiła im okazać, że je poważnie traktuje, i Christie, która jej w skupieniu słuchała, zauważyła, jak szybko Davina nawiązała z małą kontakt.

Niektórzy ludzie, myślała Christie, niektórzy dorośli mają w sobie coś takiego, że potrafią znaleźć z dziećmi wspólny język i nie zależy to wcale od tego, czy sami mają dzieci, czy nie.

- Przykro mi, ale nie mogę dać pani numeru Saula - przeprosiła ją Christie. - Brat jest z dziećmi w Prowansji i w domku, który wynajął, nie ma telefonu. Mogę natomiast dać pani jego londyński numer i adres, ale... on wróci dopiero za kilka tygodni.

- To nie ma większego znaczenia - uspokoiła ją spiesźnie Davina. - Chciałam mu tylko podziękować za list i za dobrą radę, jakiej mi udzielił.

Uśmiechnęła się do Christie trochę nerwowo, a Cathy spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- A może by pani napiła się ze mną kawy? - zaproponowała Christie. Instynktownie czuła, że nie powinna się wdawać w bliższe kontakty z Daviną. I tak już miała za dużo kłopotu, próbując wyrzucić Lea ze swoich myśli, żeby jeszcze utrzymywać z nim jakąś potajemną więź poprzez Davinę.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę zostać. Bardzo się spieszę - odparła ze szczerym żalem. Musi zadzwonić do Lea i sprawdzić, czy oferując jej wtedy pożyczkę mówił poważnie, czy nie, a poza tym musi go uprzedzić, że do spławienia sir Alexa posłużyła się bez jego wiedzy nazwiskiem von Hessler.

Już się odwracała, żeby wyjść, kiedy usłyszała za sobą głos Christie.

- Czy ma pani może jakiś kontakt z Leo von Hesslerem? Poznałam go na konferencji, w której oboje uczestniczyliśmy.

Davina zatrzymała się.

- Ostatnio nie miałam od niego wiadomości - powiedziała otwarcie. - Ale tak się złożyło, że akurat dziś muszę do niego zadzwonić. Wspomnę, że pani o niego pytała.

- Nie, nie, proszę tego nie robić. - Christie przeklinała siebie w myśli za to, że się tak głupio zdradziła. Davina i Cathy patrzyły na nią, zdziwione jej wzburzeniem. - Chcę powiedzieć, że on mnie pewnie nie pamięta - skłamała. - Wiem, jak kosztowne są teraz te połączenia międzynarodowe, nie ma sensu, żeby pani traciła czas na opisywanie mu osoby, którą spotkał zupełnie przypadkowo kilka tygodni temu... o czym z pewnością zapomniał. - Davina, jak stwierdziła ku swemu zmieszaniu Christie, obserwowała ją bardzo uważnie.

- Nie wyobrażam sobie... - odparła cicho Davina. - Skoro pani go nie zapomniała...

Zapomnieć go... żebym tylko mogła, pomyślała po wyjściu Daviny.

Nie dalej jak ubiegłej nocy sięgnęła ręką przez sen myśląc, że Leo jest tuż koło niej, i dopiero gdy się na dobre rozbudziła, zrozumiała, co robi.

Jak to możliwe, że miała taką silną, niemal fizyczną świadomość tego, jak by to było, gdyby byli kochankami, takie poczucie straty, a zarazem pragnienie intymności, której nigdy nie dzielili? Zupełnie jakby byli kiedyś kochankami i jakby Christie we śnie, kiedy jej podświadomość była wyłączona, wszystkimi zmysłami tęskniła za tym, czego już kiedyś zaznała, a co jej teraz zostało



odmówione.

Tak, to była jej wina, że nie zaspokoila tej tęsknoty. Bo przecież tak bardzo chciała, żeby zostali kochankami. Ale to on...

- Co się dzieje, mamó? - zapytała z niepokojem Cathy.

Zła na siebie, że nie potrafi zapanować nad emocjami, zmusiła się do uśmiechu.

- Nic - skłamała. - Nic się złego nie dzieje. Myślałam po prostu o wujku Saulu i o tym, jak oni sobie tam radzą.

- Tom napisał, że Prowansja jest w porządku - poinformowała ją Cathy. - Że dom jest fajny i że mają w ogródku na drzewach prawdziwe brzoskwinie.

Christie nie wytrzymała i roześmiała się.

- Prawdziwe brzoskwinie, no, no. Może wobec tego pójdziemy zobaczyć, czy ptaki zostawiły nam jeszcze jakieś maliny.

Zastanawianie się, co by było, gdyby było, nie ma najmniejszego sensu, uznała Christie. Ona i Leo nie będą razem. Wykluczone. A jeżeli teraz uważa, że jest to bolesne wyrzeczenie, to o ile byłoby jej ciężiej, gdyby rzeczywiście doszło do jakiejś intymności między nimi? Przecież nie wyrzeknie się dla niego swoich zasad i poglądów, tak jak on nie wyrzeknie się dla niej Hessler Chemie.

Na szczęście rany, z powodu których cierpi, są czyste i wkrótce się zagoją; te, które by sobie nawzajem zadali, wiążąc się po to przecież tylko, żeby się rozstać, byłyby skażone tymi wszystkimi krzywdami, które by sobie wyrządzali. .. w imię miłości.

Tak więc Saul przebywa ze swoimi dziećmi w Prowansji. Ale dlaczego z tego powodu czuje się taka nieszczęśliwa, taka opuszczona? - zadawała sobie pytanie Davina. Skąd ten przyływ uczuć, ta mieszanina złości i rozżalenia, jakby nie miał prawa wyjechać, nie informując jej o tym? Ale ostatecznie, kim była dla niego albo on dla niej? Nikim. Absolutnie nikim.

Na dźwięk telefonu Leo zeszywniał. Miał za sobą trzy najbardziej wyczerpujące i chyba najtrudniejsze dni w swoim życiu; teraz potrzebował przede wszystkim wypoczynku, odprężenia.

Były naturalnie protesty, zaskoczenie i złość, a co najdziwniejsze w tych okolicznościach, najbardziej protestował Wilhelm, kiedy Leo oznajmił o swojej decyzji. Wilhelm, który - wszystko przynajmniej na to wskazywało - miał się dorwać do tego, na czym mu zależało najbardziej, to znaczy zając miejsce Lea.

Najtrudniejsze i najbardziej męczące były rozmowy z przedstawicielami rządu. Tyle spraw należało wyjaśnić, tylu zabezpieczeń prawnych dokonać, ale nade wszystko był to bezmiar papierkowej roboty. Na szczęście wszystko to Leo miał już za sobą. Po południu złożył podpis pod dokumentem, na mocy którego zarząd Hessler Chemie przechodził w ręce rady dyrektorów,

kontrolowanej przez specjalnie powołane w tym celu ciało doradcze składające się z przedstawicieli wszystkich większych partii politycznych, władzy sądowniczej, Kościoła i świata nauki, które miało czuwać zarówno nad moralnym, jak i finansowym rozwojem firmy.

Wilhelm miał być papierowym prezesem korporacji, przewodniczącym rady dyrektorów, ale w gruncie rzeczy figurantem - bez faktycznej władzy ani decydującego głosu. Leo tego dopilnował.

Miał świadomość, że gdyby kiedykolwiek jego brat próbował przekroczyć nałożone na niego restrykcje, to zawsze jeszcze pozostawał mu środek ostateczny, najdrastyczniejszy, w postaci ujawnienia prawdy o jego pochodzeniu.

Naturalnie, Leo traktował to jako środek ostateczny, bo chociaż uważał Wilhelma za człowieka egoistycznego, to mimo wszystko bał się wrażenia, jakie mogła wyrzucić na nim wiadomość, że Heinrich Hessler nie był jego ojcem. Z tych to właśnie względów wstrzymał się przed ujawnieniem prawdy, chociaż zdawał sobie sprawę, że gdyby sytuacja była odwrotna, jego brat nie tylko nie miałby najmniejszych skrupułów przed wykorzystaniem przeciwko niemu tej okoliczności, ale zrobiłby to z całą satysfakcją.

Ale on nie był Wilhelmem. Na szczęście.

Jak sławetne Gnomy z Zurychu, nowo utworzone ciało doradcze będzie działało za kulisami, kontrolując korporację, kontrolując Wilhelma; będzie też pilnowało, żeby nikt z zarządu nie naruszał praw moralnych i żeby firma działała dla dobra ludzkości, a nie przeciwko niemu.

Kanclerz w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć. Myślał, że to jakiś żart, ale w końcu Leo zdołał go przekonać. Bycie głównym udziałowcem takiej potężnej korporacji stwarza jednak pewne możliwości, stwierdził Leo i po raz pierwszy i ostatni w życiu wykorzystał je do przeforsowania swych planów.

Naturalnie były najrozmaitsze obiekcje: że proponuje rozwiązania, jakich dotychczas nie stosowano, no i że od tej chwili nie chce żadnych zysków z korporacji, a jego udziały będą stanowiły rodzaj powiernictwa dla dobra innych...

Nie będzie żadnego oficjalnego komunikatu w prasie aż do końca miesiąca, dopóki wszyscy mali inwestorzy nie przekonają się, że ich pieniądze nie są w żaden sposób zagrożone, ale do tej pory on już...

Sięgnął po słuchawkę. To pewnie znów Wilhelm.

Zaskoczył go głos Daviny. Robiła wrażenie pełnej wahania i speszzonej, ale Leo, gdy tylko sam ochłonął z szoku, zapewnił ją natychmiast, że dzwoni w porę i że rad ją słyszy.

- Szczerze mówiąc, to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, bo właśnie miałem do ciebie dzwonić.

A tak naprawdę zamierzał lecieć do Cheshire. Leżał nawet przed nim notes z przypomnieniem, że ma zadzwonić na lotnisko i zarezerwować bilet na pierwszy możliwy samolot.

Było wiele spraw, które musiał omówić z Daviną. Spraw, które dotyczyły ich obojga, a poza tym...

Co poza tym? Poza tym w Cheshire była Christie... Robił wszystko, żeby pohamować nagłą tęsknotę, jaka go ogarnęła na myśl o niej, i skoncentrować się na tym, co mówiła Davina.

Dotarło do niego słowo „pożyczka”, napięcie w głosie Daviny i Leo przerwał jej szybko:

- Davino, naturalnie, że w dalszym ciągu jestem gotów udzielić ci pożyczki, ale zanim omówimy jej warunki, chciałbym ci przedstawić pewną propozycję... Naszkicuję ja teraz z grubsza, a jeśli uznasz, że cię ona interesuje, to przylecę do Anglii i omówimy szczegóły.

W dwie godziny później, kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę, w dalszym ciągu nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Wpatrywała się w ścianę szeroko otwartymi oczami, próbując uspokoić dziką galopadę serca.

To, co proponował Leo, było tak nieoczekiwane, a nawet wręcz rewolucyjne, że w pierwszej chwili pomyślała, iż się przestyszała.

Leo proponował mianowicie, żeby wykorzystując Carey Chemicals, założyli we dwoje nową firmę, której produkty, w przeciwieństwie do leków Hessler i Carey, byłyby oparte nie na składnikach chemicznych, tylko na preparatach naturalnych.

- Tam, gdzie okaże się to możliwe, będziemy się starali produkować syntetyczne kopie leków naturalnych, zwłaszcza tych, których podstawę stanowią zagrożone gatunki roślin, zawsze jednak będziemy szli tam, gdzie prowadzi natura, nie próbując jej ulepszać przez produkowanie środków znacznie silniejszych, a zarazem i bardziej niebezpiecznych dla ludzkiego zdrowia.

Nie będziemy się nastawiali na jakieś nieprzyzwoicie wielkie zyski; naszym celem będzie przede wszystkim niesienie ludziom pomocy w ich chorobach i cierpieniach.

Nielatwe to zadanie - ostrzegł ją, kiedy wyraziła entuzjazm dla jego propozycji. - Z pewnością na początku spotkamy się z rezerwą ze strony opinii publicznej, jak i przemysłu farmaceutycznego. W naturze ludzkiej leży podejrzliwość i niechęć do zmian, ale wierzę, że przy dużej wytrwałości pokonamy wszystkie przeszkody.

Dopiero kiedy trochę ochłonęła, zaczęła się zastanawiać, dlaczego Leo wybrał na siedzibę tej nowej firmy właśnie Cheshire. Zmarszczyła czoło. Zapyta go o to, kiedy się zobaczą.

Ziewnęła, zmęczona i śpiąca. Była ciekawa, co powie bank na tę transformację Carey Chemicals. Zaskakujące, jak plany Lea były bliskie tego, co jej w swoim liście naszkicował Saul. Saul...

Co on teraz robi? Cieszy się balsamicznym ciepłem prowansalskiego wieczoru? Wdycha

wonne, przesycone zapachem ziół powietrze? Czy jest sam, czy...?

Davina wzdrygnęła się. Nigdy dotychczas w sposób tak dojmujący nie pragnęła wiedzieć, co myśli, czuje, co robi ktoś inny, ta druga osoba, nawet Matt.

- Szkoda, że nie widziałaś tej ryby, którą złapałem po południu - przechwalał się Tom.
- Ciekawe, gdzie ona teraz jest - powiedziała prowokacyjnie siostra.
- Tata kazał mi ją wypuścić...

Saul zauważył sondujące spojrzenie, jakim go obrzuciła Josey. Spędzili z Tomem popołudnie wędkując, a potem, wspólnie z inną angielską rodziną, zrobili sobie zaimprovizowaną kolację z barbecue. Josey nie chciała z nimi jechać. Powiedziała, że musi się uczyć. Dowody tego leżały teraz porozrzucane na podłodze w kuchni, razem z pozostałościami po posiłku, który sobie sama przyrządziła. Saul nie próbował jej namawiać ani przekonywać, żeby zmieniła zdanie.

W dalszym ciągu była w stosunku do niego nieufna, w dalszym ciągu go jeszcze wypróbowała, i trudno jej się było dziwić. Musiał się sprawdzić jako ojciec, zyskać sobie jej szacunek i zaufanie. A może i miłość?

Zaczynało do niego docierać, że podczas gdy Tom był dzieckiem spokojnym oraz łatwym w kontaktach, Josey miała jego usposobienie, była do niego bardzo podobna. Poza tym przeżywała tak zwany trudny okres. Stawała się kobietą i popadała nieustannie w zmienne nastroje: to była płaczliwa i przewrażliwiona, to znów agresywna i arogancka. Jak on, miała głęboko zakorzenioną potrzebę zamknięcia się w sobie od czasu do czasu i Saul zauważył krótkie, zdziwione spojrzenie, jakim go obrzuciła, kiedy zaakceptował jej decyzję bez żadnych prób namawiania jej, żeby z nimi pojechała.

- Dużo zrobiłaś? - zapytał teraz patrząc, jak Josey odgarnia do tyłu włosy, zdumiony, a zarazem lekko przerażony tempem, w jakim jego córka dojrzewała. Jakże szybko ten czas leci i jak wiele już go stracił. Zrobiło mu się zimno na myśl o tym, jak łatwo przegapić właściwy moment i potem jest już za późno. A teraz...

- No, owszem, sporo. Pomyślałam, że mogę sobie zrobić jutro przerwę i pojechać do Aix. Tam jeździ pociąg...

- Baileyowie zaprosili Toma na jutro, żeby spędził z nimi dzień - powiedział Saul. - Jadą nad morze. Mógłbym cię podwieźć do Aix, a potem spotkalibyśmy się na lunchu, gdybyś chciała. - Obserwował ją kątem oka, przygotowując się na odmowę. Josey wzruszyła ramionami.

- Jeśli chcesz...

Saul odetchnął z ulgą. Nie była w stanie ukryć pod pozorami obojętności rumieńca zadowolenia; dziecko wzięło w niej jednak górę nad kobietą.

Upłynie jeszcze sporo czasu, zanim Josey w pełni go zaakceptuje, zanim weźmie go pod rękę z tą samą ufnością, co kilkunastoletnia Susan Bailey swego ojca, zanim, jak ona, będzie

się ocierać policzkiem o jego ramię, śmiejąc się radośnie po wycyganieniu od niego jakiejś drobnej przyjemności.

Ale przynajmniej widział już nieśmiałe początki, widział zawiązek przyszłego uczucia, które wierzył, że ich kiedyś połączy.

Zdawał sobie sprawę, że Josey słono mu każe zapłacić za przeszłość i że ciężko mu przyjdzie zapracować na przyszłość, że będzie go tak długo poddawała próbom, dopóki nie poczuje się przy nim pewna, ale to przecież nie jej wina, tylko jego.

W duchu dziękował Bogu i losowi, że dana mu była jeszcze jedna szansa z Josey, z nimi obojgiem. Dzięki Bogu, losowi i Davinie.

Davina... Wyjeżdżając z Anglii obiecał sobie, że nie będzie o niej myślał, że przestanie się nad sobą rozczulać, ale stwierdził, że tęsknota, pragnienie, miłość do niej nigdy go nie opuszczą.

- Tata, jestem głodny...

- A ten zawsze tylko myśli o swoim brzuchu. - Saul usłyszał słowa Josey, pełne siostrzanej uszczypliwości.

Głód. Jedno z podstawowych ludzkich doznań, pomyślał Saul, idąc posłusznie do lodówki. We wszystkich swoich przejawach...

Leo przeciągnął się znużony. Davina tak entuzjastycznie przyjęła jego propozycję, że raz jeszcze pomyślał o tym, jak podobne mają poglądy i skalę wartości, w jak naturalny sposób, niby dwoje sierot, zwracają się do siebie nawzajem o pomoc, o wsparcie duchowe.

- Aha, nawiasem mówiąc - wspomniała Davina na pozór obojętnym tonem - widziałam się z Christie Jardine. Mówiła, że poznaliście się na jakiejś konferencji i pytała, czy miałam ostatnio od ciebie jakieś wiadomości.

Nie powiedziała nic więcej, ale to wystarczyło. Wystarczyło aż nadto, żeby rozproszyć dręczące go wątpliwości, czy to wszystko, co robi, będzie miało dla niej jakieś znaczenie - czy Christie odrzuciła w gruncie rzeczy jego, czy tylko, tak jak mu powiedziała, jego rolę w Hessler Chemie.

A jeśli mimo wszystko odrzuciła jego, to czy będzie żałował swojej decyzji?

Uśmiechnął się do siebie. Nie. Już w chwili, kiedy uznał, że Anna ma rację mówiąc, że zawsze jest jakieś wyjście, wiedział, że nie może dalej odgrywać tak uciążliwej dla siebie roli.

Obowiązek to jedno, poświęcenie drugie, zwłaszcza gdy nie ma potrzeby takiego poświęcenia.

Nazajutrz w porze lunchu poleciał do Manchesteru, a stamtąd pojechał prosto do Christie.

Obudziła się z początkami migreny i zaraz położyła się z powrotem.

Dzwonek do drzwi wyrwał ją ze snu zupełnie nieprzytomną. Na szczęście głowę miała już jasną, chociaż ciało w dalszym ciągu ociężałe.

Ranek był gorący oraz wilgotny i czuła się tak źle, że zdołała jedynie zrzucić ubranie i wśliznąć się do łóżka. Teraz szybko naciągnęła luźną bawełnianą koszulkę i poszła otworzyć drzwi. Każdy lekarz dobrze wie, że nieoczekiwany, niecierpliwый dzwonek może oznaczać coś więcej niż tylko nieproszonego gościa.

Otworzyła drzwi i odgarnęła z twarzy ciężkie pasmo włosów. Oślepią jaskrawym blaskiem słonecznym, mrugała powiekami, widząc jedynie zarys sylwetki i jasną aureolę włosów Lea.

Ale już po chwili poczuła na skórze jego ciepły dotyk i usłyszała znajomy łagodny głos, a to wszystko zatoneło w szaleństwie zmysłów, kiedy Leo popchnął ją leciutko do środka i porwał w ramiona, plecami zamykając drzwi.

Niejeden raz w wyobraźni widziała siebie i Lea jako kochanków, delektowała się poczuciem intymności ich związku, smakowała wszystkie niuanse pieśczoć, a jednak nigdy, ale to nigdy nie przypuszczała, że ich prawdziwy pocałunek okaże się tak niewinny.

Teraz, kiedy stał się rzeczywistością, Christie pomyślała, jaka była głupia, że nie dopuściła do niego wtedy, w hotelu Grosvenor, może byłaby odporniejsza, może tamten wcześniejszy pocałunek zabezpieczyłby ją jakoś przed tym obecnym, tak nagłym i niespodziewanym. Powolnym, delikatnym i nieśmiałym, a jednocześnie zaborczym, w którym zatoneła zupełnie bezbronna, poddając się całkowicie czystej przyjemności, tuląc się do Lea jak nastolatka do swojego pierwszego chłopca, tak że spleceni ze sobą tworzyli jedno ciało.

I wtedy zrobiła coś, o co nigdy by siebie nie posądzała. Na jego podniecenie zareagowała panicznie - jak dziewica podczas swego pierwszego doświadczenia seksualnego: cofnęła głowę, odepchnęła się od jego piersi, czerwona i rozgorączkowana, i szepnęła:

- Nie... Leo, proszę cię, nie.

Nie miałyby do niego pretensji, gdyby okazał niedowierzanie albo irytację. Sama na jego miejscu zachowałaby się podobnie, ale Leo puścił ją natychmiast, patrząc na nią zatroskanym wzrokiem. Delikatnie odsunął jej z twarzy kosmyk włosów, a następnie chłodnymi palcami dotknął policzka.

- Wszystko jest w porządku, Christie, wszystko jest w porządku.

Odwróciła się do niego plecami, żeby nie widział jej słabości.

- Nie, nie jest w porządku - odpowiedziała wzburzona. - Jak może kiedykolwiek być z nami w porządku, Leo? Wiesz przecież, że nie. Wiesz...

- Wiem, że cię kocham - przerwał jej. - I przypuszczam, że ty też mnie kochasz.

Odwróciła się gwałtownie.

- Naturalnie, że cię kocham, ty... głupcze! - napadła na niego ze złością. Całe jej ciało płonęło teraz pragnieniem tego wszystkiego, czego mu odmówiła, a co dotyk Lea obiecywał. Musiała walczyć z sobą tak samo jak i z nim, żeby sobie oszczędzić dodatkowej męki i upokorzenia, błagania go, żeby jednak poszedł z nią do łóżka, zapewnień, że gotowa jest zapomnieć wszystko... byle tylko... byle tylko raz zaspokoił dojmującą potrzebę jej ciała, byle chociaż raz zgodził się dzielić z nią miłość... - No i co z tego! Owszem, kocham cię, Leo, ale nie mogę z tobą żyć. Wiesz o tym bardzo dobrze.

- A ja myślałem, że nie możesz żyć z Hessler Chemie.

Powiedział to cicho, niemal od niechcenia, ale całe jego ciało było napięte, jakby oczekiwał śmiertelnego ciosu.

- Ty... Hessler... a co to za różnica? Ty i Hessler Chemie to jedno - odparła z goryczą, zła na niego i na siebie za to, że świadomość jego napięcia ją osłabiła, sprawiając, że miała ochotę go dotknąć, wziąć w ramiona, płakać, że go naraziła na takie obnażenie własnych uczuć.

- Nie, to już nie jest jedno - poprawił ją.

Minęło kilka sekund, zanim dotarł do niej sens jego słów. Christie zbladła i zachwiała się.

- Nie chcesz chyba powiedzieć... - wyszeptała prawie niedosłyszalnie - nie możesz... to wykluczone. Ty i Hessler Chemie to jedno i to samo.

- To było jedno i to samo - powtórzył. - Ale już nie jest. - Przez chwilę patrzył na nią poważnie, po czym powiedział: - Nie ma już czasu na żadne udawanie, Christie. Kocham cię i pragnę, żebyśmy byli razem. Usunąłem Hessler Chemie ze swojego życia. Jeśli mnie chcesz...

- Oczywiście, że cię chcę.

Christie śmiała się i płakała na przemian, nie mogąc opanować swoich uczuć, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

- No dobrze, ale co ty teraz zrobisz? - zaczęła protestować, Leo jednak ze śmiechem przytulił ją do siebie.

- To, co powinienem był zrobić już w Edynburgu. To znaczy wziąć cię do łóżka i się z tobą kochać. Chyba że masz jakiś lepszy pomysł.

- Nie to miałam na myśli. Ja...

Wiedział dobrze, co miała na myśli, ale uznał, że będzie jeszcze dość czasu na to, żeby ją wtajemniczyć w swoje plany. A teraz...

Pocałował ją i wziął na ręce, a Christie, która nigdy nie uważała się za małe, słodkie kobieciątko, które by gustowało w tego rodzaju bzdurach, odczuła nagle wielką, dojmującą

radość.

Leo okazał się zmysłowym kochankiem, może nawet bardziej niż ona sama, uznała Christie, leżąc odprężona po ich pierwszym zbliżeniu.

Była też pełna podziwu dla jego opanowania; spostrzeżenie to skwitowała pełnym kobiecej satysfakcji uśmiechem. Bardzo szybko jednak pokazała mu, jak kruche stawały się te bariery, gdy tego chciała. Początkowo protestował, czując jej usta na swojej skórze, kiedy jej pieszczoty stawały się coraz śmielsze, ale potem przestał się bronić, pomrukując tylko z rozkoszy, gdy mu mówiła, że właśnie tak chciała, że o tym cały czas marzyła. Wziął zresztą na niej odwet, jeśli to można tak nazwać. Uśmiechała się w myślach wspominając, jak to wreszcie i ona się poddała.

- Już nigdy nie pozwolę ci odejść, wiesz o tym? - szepnął jej nagle do ucha.

Przekonana, że zasnął, uderzyła go żartobliwie.

- Pamiętaj, że nie jestem i nie będę niczyją własnością. Że jestem niezależnym człowiekiem.

- W głębi duszy jednak wiedziała, że chce czy nie chce, musi do niego należeć.

Czuła się trochę speszona tym, co zrobił, i zastanawiała się, czy na jego miejscu byłaby zdolna do takiej decyzji, żeby miłość do niego przełożyć nad wszystko...

- A gdzie jest Cathy?

- Cathy ma dzisiaj tenisa i będzie w domu dopiero o szóstej... Ale naturalnie, jeśli masz już dość...

Leo roześmiał się.

- Nigdy. Nigdy, przenigdy...

Należało naturalnie mnóstwo spraw omówić i pozatwierać w związku z planami Daviny i Lea dotyczącymi Carey Chemicals.

Kiedy Davina zwróciła się do Gilesa, żeby mu o tym wszystkim powiedzieć, jej oficjalny, rzeczowy ton nie pozostawiał wątpliwości, że to, co kiedyś między nimi było, należało do bezpowrotnej przeszłości.

- Myślę, że zostanę - powiedział Giles Lucy, wyjaśniając jej, co się stało. - Będzie to oczywiście coś zupełnie innego niż dawna Carey Chemicals. Poza tym nie ma żadnej gwarancji, że się uda, ale von Hessler robi wrażenie człowieka, który wie, co mówi.

- Jeśli chcesz, to zostajemy - zdecydowała Lucy, po czym dodała cicho: - A zresztą, chyba byśmy nie zostawili drzewka Nicholasa, prawda?

- Ja mogę odpowiadać za badania i rozwój - powiedział Leo do Daviny pewnego wieczoru, kiedy omawiali bardziej szczegółowo zasady funkcjonowania nowego przedsiębiorstwa. - Ty byś wzięła sprawy personalne, a Giles byłby odpowiedzialny ogólnie za prowadzenie firmy. Ale potrzebny nam jest ktoś jeszcze, kto miałby pieczę nad całością, ktoś mocno



osadzony w świecie biznesu, kto by wziął na siebie wprowadzenie nas w ten świat i sprawił, że będą nas traktowali poważnie.

Powinien to być ktoś, kto zapewni łączność między władzami a przemysłem, kto się liczy w obu tych kręgach. Ja temu nie podołam, ja jestem biochemikiem, a nie negocjatorem, a poza tym fakt odejścia z Hessler Chemie może w niektórych środowiskach wywołać niechętną reakcję, przynajmniej na początku. Nie, nam jest potrzebny...

- Wiem, kto jest nam potrzebny - przerwała mu Davina. - I wiem, gdzie go znaleźć.

Jeszcze tego wieczoru napisała list do Saula.

„Czeka tu na ciebie praca, gdybyś chciał”. Postawiwszy kropkę zaczęła się zastanawiać, czy Saul, czytając te słowa, przeczyta również i to, czego nie napisała, czy się domyśli, że nie tylko praca na niego czeka...

Minął tydzień; za każdym razem, kiedy przychodziła poczta czy dzwonił telefon, biegła z bijącym sercem, w nadziei, że to wiadomość od Saula. Odpowiedź jednak nie nadchodziła.

Wiedziała od Christie, że wrócił z Prowansji i że załatwił przeniesienie Josey do innej szkoły. Christie powiedziała jej od niechcenia, że tylko krótko rozmawiała z bratem przez telefon. Była tak zajęta Leem, że zupełnie nie dostrzegała innych ludzi dokoła siebie. Davina zauważyła to z ulgą. Pomiedzy nimi zaczynała się od jakiegoś czasu nawiązywać przyjaźń.

- Nie zamierzam wychodzić za Lea - zwierzyła się Davinie Christie. - Kiedy kochankowie się pobierają, często zmieniają się zarówno ich oczekiwania, jak i uczucia.

A ona jest kobietą, indywidualnością, z własnymi potrzebami i celami, których zapewne jako żona Lea musiałaby się wyrzec, a nie zamierza tego robić. Podziwia ofiary, jakie poniósł, żeby być z nią, interesuje się tym wszystkim, co on robi, i bardzo jej się to podoba, ale ma swoje życie i swoją pracę, z której nie chce rezygnować.

- Ale czy go kochasz? - zapytała Davina.

- O tak, kocham go - odparła Christie. - Czasami myślę, że aż za bardzo. A Cathy go po prostu ubóstwia.

- Ach, to nawet widać! - roześmiała się Davina, ale kiedy znalazła się sama, nie było jej do śmiechu.

Odpowiedź od Saula nie nadchodziła, a jej brakło odwagi i siły przebicia, jakie podejrzewała u Christie. Uznała, że dzwonienie i pisanie do niego po raz drugi nic nie da.

Złożyła ofertę. Przecież chyba Saul wie, że czeka na niego nie tylko praca, że ona też... Zagryzła wargę i pomyślała, że może tak będzie lepiej, ale zbuntowane serce nie chciało się z tym pogodzić.

Przez całą drogę z Londynu Saul powtarzał sobie, co ma powiedzieć - że nie potrzebuje od

niej żadnej pracy ani litości - ale kiedy stanęła w drzwiach i zobaczył wyraz jej twarzy, zareagował emocjonalnie, a nie logicznie, i po prostu wyciągnął do niej rękę.

Te parę sekund jej wahania trwało dla niego bez końca. Czyżby się mimo wszystko pomylił i źle sobie wytłumaczył sygnały, jakie wyczytał z jej oczu? I wtedy Davina uśmiechnęła się do niego. Nie był to jej zwykły, powściągliwy uśmiech, lecz nieśmiały, delikatny uśmiech obnażający całą jej bezbronność. Saul bał się odetchnąć, kiedy zrobiła w jego kierunku najpierw jeden, a potem drugi krok, aż wreszcie znalazła się tak blisko, że zamknął wokół niej ramiona, kołysząc ją delikatnie w objęciach i obsypując pocałunkami.

- Jeszcze ciągle nie mogę uwierzyć, że to prawda - powiedziała niepewnie w jakiś czas potem.

Siedzieli w jej salonie na kanapie, mocno przytuleni do siebie. Saul gładził ją po szyi, wdychając ciepły zapach jej skóry i włosów.

- A wołałabyś, żeby nie była? - zapytał przyglądając jej się bacznie.

- Nie - odpowiedziała bez wahania. - A ty?

- Ja też nie. - I po chwili dodał cicho: - Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobiłem. - Zobaczył w jej oczach wyraz przerażenia i uśmiechnął się. - Nie, nie o to mi chodzi - wyjaśnił całując ją. - Chodzi mi o to, że nigdy przedtem się tak nie zachowywałem... nigdy nawet sobie nie pozwoliłem na to, żeby o czymś takim pomyśleć, żeby tak spontanicznie, tak naturalnie posłuchać głosu własnego serca... postąpić zgodnie z własnym życzeniem...

Rozmawiali godzinami, wymieniając informacje, opowiadając jedno drugiemu o sobie. Davina dowiedziała się o jego dzieciństwie, o jego ojcu, Saul wysłuchał opowieści o jej ojcu. Potem dotknęła delikatnie jego ramienia i spojrzała mu ciepło w oczy.

- Bardzo cię pragnę - powiedział cicho. - Ale gdybyś wołała nie tak szybko, gdybyś wołała jeszcze trochę na to poczekać...

- Nie - przerwała mu. - Nie, chciałabym, żebyśmy uczcili to, co mamy, Saul. Żebyśmy okazali sobie zaufanie, wiarę w to, że...

- Że kierując się emocjami, instynktem i uczuciami nie popełniamy błędów. Oboje zbyt długo musieliśmy te uczucia w sobie tłumić, prawda? Czas najwyższy odrzucić cienie przeszłości i zacząć patrzeć w przyszłość. - Dotknął delikatnie jej ręki. - Tak się boję, żeby cię nie zawieść. Jestem tylko człowiekiem, Davino. Jeśli stwierdzisz, że nie dorastam do twoich wymagań, że to jednak nie to... to co wtedy?

Wzruszyła ją jego pokora.

- To przynajmniej zostanie nam to - powiedziała z żarem, uniosła jego głowę i złożyła mu na ustach mocny pocałunek.

Saul nie bardzo wiedział, czego się spodziewać. Wiedział tylko, że jej pragnie, i to bardzo. Jej list dał mu do myślenia, że może Davina podziela jego pragnienie, ale na jej pocałunek okazał się zupełnie nie przygotowany. Tyle w nim było serdeczności i ufności, tyle ciepła i wiary, że minęło kilka sekund, zanim otrząsnął się z wrażenia.

Nie wyobrażał sobie, że może istnieć taka kobieta jak ona, na tyle silna, żeby odrzucić własne mechanizmy obronne i podejść do niego z całą ufnością, i na tyle delikatna, żeby drżeć, gdy jej dotykał; i tak pewna siebie i szczerą w swej potrzebie dzielenia z nim miłości...

Miłość.

- My się jeszcze nie znamy... - Powiedział to tuż przy jej ustach.
- Jeszcze nie, ale się poznamy. - Nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.
- Tak - szepnął. - Poznamy się.

Kochanie się z nią napełniło go zdumieniem i prawdziwą radością. Zmysłowość Daviny przypominała źródło, w którym mógł utonąć i jednocześnie czuć się bezpieczny.

Patrzyła poważnie, kiedy przyglądał się najpierw jej, a potem swojemu nagiemu ciału.

- Ładne, prawda? - powiedziała z niemal filuternym uśmiechem, a potem nachyliła się do niego i pocałowała go najpierw u nasady szyi, a potem przesunęła ustami po piersi, aż zatrzymała je na jego płaskim brzuchu.

- Davino - zaprotestował, próbując ją odciągnąć.
- Pragnę cię - powiedziała cicho.
- I ja cię pragnę.
- Pokaż mi. Pokaż mi, jak mnie pragniesz, żebyś cię mogła przekonać, jak wielką możesz sprawić mi rozkosz.

Nie, Saul wiedział to już z całą pewnością: w jego życiu nigdy nie było takiej kobiety jak Davina i nigdy nie będzie. Jedynej w swoim rodzaju, cudownej, niepowtarzalnej. Mówił jej to pomiędzy pocałunkami i pieszczotami, a ona śmiała się cicho, dopóki nagle nie spoważniała, kiedy jej ciało zaczęło reagować na jego bliskość.

Nie było w niej nic sztucznego, żadnej fałszywej skromności, żadnych oporów przed okazaniem mu, jak wielką jego dotyk sprawia jej radość i co lubi najbardziej.

- Tu... tu mnie całuj, Saul - szeptała, przyciągając jego głowę do swojej piersi.
- Tak jak teraz? - zapytał, muskając delikatnie ustami koniuszek jej piersi. - Czy może tak?
- Tym razem przyprawił ją o ekstatyczne drżenie.

Ze zdumieniem stwierdził, że właściwie dotychczas nie potrafił się kochać. Mieć stosunek... tak, ale nie kochać się. A teraz właśnie się kochał, i to Davina mu pokazała, jak się to robi. Davina go dotykała i tuliła. Davina, która była dostatecznie kobieca i kochająca, żeby go spytać, co mu

sprawi największą radość, i żeby mu powiedzieć, co sama lubi najbardziej.

Była uwodzicielska i nieposkromiona, czuła i zmysłowa, szczerą w okazywaniu własnych pragnień i potrzeb.

A kiedy nadszedł czas, oddała mu się bez żadnych oporów i bez reszty.

- Kocham cię - powtarzał jej roznamiętniony, całując jej usta, a potem wilgotne miejsce między piersiami. - Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

Davina uśmiechała się, tuląc go czule. Miała go teraz dla siebie. I cały czas, trzymając Saula w ramionach, dziękowała w myślach Mattowi za to wszystko, co mu zawdzięczała: za to, że znalazła w sobie siłę, by odrzucić cienie przeszłości i pokochać Saula, i żeby mu to okazać.

- Dziękuję ci - szepnęła. Spojrzał na nią zdziwiony i mocniej ją do siebie przytulił. Nie powiedziała mu, że te słowa nie są skierowane do niego ani nawet do losu - za to, że ich zetknął - tylko do pewnego mężczyzny, który sprawił, że poznała się na tym, co los jej zaofiarował, i że sięgnęła po swoje szczęście.

## EPILOG

- Widzę, że władze zmieniły front i, mimo kampanii nienawiści prowadzonej przeciwko nam od dwóch lat i prób wyeliminowania nas z rynku, przyjęły nasze zaproszenia.

Davina roześmiała się i spojrzała na męża.

- Zawsze mówiłeś, że w końcu będą zmuszeni nas zaakceptować - przypomniała mu. - Chociaż muszę przyznać, Saul, że raz czy dwa zważyłam w realność twojego proroctwa.

- Tylko raz czy dwa? - zapytał prowokacyjnie.

Pod ogromną markizą rozpiętą koło parkingu firmy kłębił się tłum ludzi - kolegów po fachu, przedstawicieli konkurencji i pracowników Carey Chemicals z rodzinami.

Wspólnie postanowili zaprosić wszystkich pracowników na uroczyste obchody drugiej rocznicy działania nowego zarządu firmy i sukcesu, jaki w tym czasie osiągnęła, a także podziękować tym, którzy się do tego sukcesu przyczynili. Droga do niego była ciemista: w pierwszym okresie działania prasa finansowa wyśmiewała ich za naiwność, zapowiadając, że nowo powstała firma nie wytrzyma próby życia, że robienie interesów w oparciu o zasady etyczne lansowane przez nowe kierownictwo i właściciele to mrzonka.

Saul był otwarcie wyszydzany przez konkurencję i tylko jedna Davina wiedziała, ile trudu musiał włożyć w to, żeby zapracować na dobrą opinię nowej Carey Chemicals, żeby zmusić ludzi, by sięgnęli po ich wyroby. Powoli jednak firma zdobyła sobie dobrą renomę, a miesiące spędzone przez Lea w Ameryce Południowej na studiowaniu medycyny ludowej tamtejszych plemion indiańskich, i próbki roślin, jakie przywiózł, stworzyły solidne podstawy dla ich produkcji.

Wszystko wskazywało na to, że opinia publiczna ma krótką pamięć. Ta sama prasa, która ich kiedyś wyszydziała, teraz wynosiła ich pod niebiosa: pisano, że są awangardą w dziedzinie lecznictwa, że wprowadzili nowy kodeks moralny polegający na stawianiu dobra człowieka ponad zyskami.

Zyski i powiększanie wpływów nie stanowią głównego celu Carey Chemicals - co do tego wszyscy byli zgodni.

Mieli dużo szczęścia, że popłynęli na fali i w porę złapali wiatr w żagle. Ale szczęście to mało, potrzeba czegoś jeszcze, co by to szczęście wspomogło. A to coś to tylko ciężka, uczciwa praca i badania, stanowiące gwarancję solidności produktów Carey Chemicals.

Nie miały to być ani cudowne leki, ani żadne panacea - każdy produkowany przez nich środek był efektem żmudnego i długiego procesu badawczego.

Lucy wpadła na pomysł, żeby, zanim rozwiną zasadniczy nurt swojej działalności i

opatentują, a następnie wprowadzą na rynek leki, zajęli się tymczasem produkcją kosmetyków opartych na surowcach naturalnych.

Leo i Saul początkowo odnieśli się nieufnie do tego pomysłu, ale Davina nie miała wątpliwości, że ta niemal od niechcienia rzucona przez Lucy propozycja jest warta uwagi.

Uśmiechnęła się, przytulona do Saula. Byli małżeństwem już od ponad roku; ich związek okrzepł i nabrał głębi. Nie mieli przed sobą tajemnic, a żadne przykre epizody z przeszłości nie kładły się cieniem na ich szczęściu.

- Josey robi wrażenie zadowolonej - powiedziała.

Początkowo, kiedy córka wspomniała, że chciałyby z nimi mieszkać, nie wiedział, jak zareagować. Josey miała przed sobą ostatni rok szkoły i zamierzała studiować, ale jeszcze nie była zdecydowana co.

- Nie ma pośpiechu - powiedziała jej Davina i poradziła, żeby Josey wzięła roczny urlop, pojeździła trochę po świecie i zasmakowała życia, zanim podejmie ostateczną decyzję.

- Nie spodziewam się, że będziesz ją tu chciała pod swoim dachem - powiedział Saul pół roku temu, kiedy Josey po raz pierwszy wspomniała, że chciałyby u nich mieszkać. - Wiem, że masz z nią dobry kontakt, ale...

Nie musiał nic więcej mówić. Davina delikatnie zakryła mu ręką usta.

- Ona cię kocha, Saul. Wiem, że bywa w stosunku do ciebie zaborcza, ale to jest zupełnie naturalne, a ja ci obiecuję, że postaram się być wyrozumiała. Nie twierdzę, że nigdy nie będę poirytowana czy nawet zazdrosna... ale Josey jest taka dorosła, a jednocześnie taka dziecinna. Wątpię zresztą, czy zagrzeje tu miejsce. Myślę, że przede wszystkim potrzebna jest jej świadomość, że ją chcesz. Zobaczysz, wprowadzi się, posiedzi kilka miesięcy, nabędzie trochę pewności siebie i szybko się wyniesie. Zamarzy jej się niezależność, jak wszystkim nastolatkom, którym się nagle zaczyna wydawać, że są bardzo dorosłe. Ważne, żeby zyskała tę pewność siebie, a wraz z nią świadomość, że jest chciana, że jest dla niej miejsce nie tylko w naszym domu, ale i w naszym życiu, w twoim sercu. Josey tego bardzo potrzebuje.

Saul w końcu ustąpił.

Nie było łatwo, musiała przyznać; zdarzały się chwile próby, gdy należało zacisnąć zęby, kiedy Josey zjawiała się w ich sypialni w najmniej odpowiednich momentach, kiedy Davina myślała, że chciałyby wreszcie mieć własny dom i własnego męża tylko dla siebie, kiedy się złościła, że wśród pieśzcot i miłosnych igraszek musi zawsze pamiętać, żeby zbyt głośno i spontanicznie nie wyrażać swojej radości. Były to jednak drobiazgi w porównaniu z tym, że Josey była z ojcem, że jej odbudowane poczucie bezpieczeństwa wynikające ze świadomości, że jest kochana, zagoiło rany, gorycz zamieniło w łagodne ciepło i szczęście.

Oczywiście były i kłótnie, trzaskanie drzwiami i groźby, że sobie pójdzie, ale kiedy trzy tygodnie temu, na urodziny, Davina podarowała jej złotego antycznego ptaszka z perełką w dziobku i obiecała, że na Gwiazdkę postara się dokupić do niego odpowiedni łańcuszek, spontaniczna radość, z jaką Josey ją wyściskała, z nawiązką wynagrodziła Davinie wszystkie przykrości.

Od ojca Josey dostała osobny prezent i kiedy mu dziękowała, Davina dostrzegła w jej oczach wdzięczność; zobaczyła w nich także zapowiedź tego, jaką kobietą będzie kiedyś Josey, załóżek dojrzałości, w której kształtowaniu miała swój udział.

Davina nigdy nie próbowała zastąpić jej matki ani odegrać w jej życiu żadnej szczególnej roli. Ta powściągliwość została stokrotnie nagrodzona szczerym przywiązaniem i sympatią, jakimi ją Josey darzyła.

Z Tomem była zupełnie inna historia. Jako dziecko mniej wrażliwe i mniej poddające się emocjom, natychmiast nawiązał z Daviną dobry kontakt. Spędzał z nimi większość wakacji, jeździli też wszyscy razem do Prowansji, gdzie Saul i Davina kupili niewielką posiadłość.

Davina uśmiechnęła się błogo na wspomnienie pewnego wypadu do Prowansji sprzed czterech miesięcy. Było jeszcze na tyle ciepło i pusto dokoła, że mogli się kochać w starym, zarośniętym ogrodzie, a potem nago wygrzewać na słońcu.

Rozmawiali nawet o ewentualnym wspólnym dziecku, ale na razie Davina była zadowolona, więcej nawet niż zadowolona, z tego, co ma. Obrzuciła teraz męża pełnym ciepła spojrzeniem.

- Nie patrz tak na mnie - ostrzegł ją Saul - bo będę cię musiał zabrać do domu i... - Urwał i jęknął. - Och, przyjechał Alex.

Roześmiała się.

- Pewnie z kolejną propozycją nie do odrzucenia.

Oboje byli najpierw zdumieni, a potem rozbawieni widząc, jak dawny szef Saula usiłuje go z powrotem do siebie ściągnąć.

- To historia stara jak świat: cały w tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz. - Ale Davina wiedziała swoje. A zresztą i tak już było na to za późno, nawet gdyby sir Alex zrozumiał, co stracił, wyrzucając Saula z pracy.

Siedząca po drugiej stronie markizy Lucy delikatnie uwolniła się od małych, lepkich łapek, które do niej przylgnęły, tak żeby nie przewrócić ich właścicielki. Kiedy Davina zwróciła się do niej z prośbą o pomoc w urządzaniu żłobka dla dzieci pracowników, odniosła się do tej propozycji nieufnie i podejrzliwie.

Była w tym czasie w ciąży, pełna niepokojów i lęków o przyszłe dziecko, i z rezerwą przyjęła spokojną pewność Daviny, że znajdzie czas i miejsce w swojej świadomości na cokolwiek

innego. Ale pomysłu chwycił. Widziała entuzjazm, z jakim Giles podchodził do swojej pracy w nowym Carey Chemicals, i zapragnęła mieć w tym swój udział.

Teraz doszła do wniosku, że dając się przekonać Davinie do działań na rzecz socjalnego programu firmy zrobiła - po wyjściu za mąż za Gilesa i urodzeniu małej Jemmy - najwspanialszą rzecz w życiu.

Jej osiemnastomiesięczna córeczka siedziała właśnie w zamkniętym ogrodzeniu dla dzieci i bawiła się z innym dzieckiem. Fizycznie w niczym nie przypominała Nicholasasa; urodziła się o czasie, zdrowa i silna. Giles uwielbiał córkę. Tak bardzo, że od czasu do czasu Lucy ostrzegała go przed nadmiernym rozpieszczaniem małej.

Prostując się, położyła na chwilę rękę na niewielkiej wypukłości brzucha.

Kiedy miała się urodzić Jemma, pragnęła dziewczynki. Nie chciała chłopca, drugiego Nicholasasa... Tak jakby mógł być drugi Nicholas - przecież żadne dziecko nie jest powtórzeniem drugiego. Tym razem nie miała żadnych życzeń co do płci.

- Dobrze się czujesz? - Uśmiechnęła się do Gilesa, który właśnie się nad nią pochylił.
- Dobrze. Myślę, że wszystko jest w porządku - zapewniła, tuląc się do męża.
- Ciągle jeszcze jest duże zainteresowanie tym, co robimy. Saul dobrze się spisał.

Jego podziw dla Saula był szczery. W ciągu ostatnich dwóch lat Giles dojrzał, Lucy zresztą też. Ich związek był teraz znacznie stabilniejszy, pewniejszy. Oparty nie tylko na seksie, ale na ich wspólnej miłości do Jemmy i radości z drugiej ciąży Lucy.

Znów się uśmiechnęła. Zupełnie nieświadomie stała się kobietą, którą, przysięgała, nigdy nie będzie, a co więcej, bardzo ją to cieszyło.

Osobom postronnym ich życie mogło się wydawać nieszczególnie atrakcyjne, ale Lucy niepotrzebne były żadne dodatkowe atrakcje.

- Nie chciałbym, żebyś się przemęczała - powiedział łagodnie Giles.

Roześmiała się.

- Nie przesadzaj - odparła, ale w jej oczach widać było, że jego troska sprawia jej przyjemność.

Wydawało jej się w tej chwili nieprawdopodobne, że mogła być kiedykolwiek zazdrosna o Davinę... Davinę, która zupełnie nieoczekiwanie wyszła za Saula Jardine.

- Jak uważasz, czy Christie i Leo się kiedykolwiek pobiorą? - zapytała zmieniając temat i kierując swoje zainteresowanie ku parze, która stanowiła trzon rady nadzorczej Carey Chemicals.

- Może... jeśli zdecydują się na dzieci - odparł Giles od niechcenia. Widać było, że myślami jest nadal przy Lucy.

- Dobrze, już wiem, że nie znosisz całego tego zawracania głowy. - Leo lubił droczyć się z



Christie.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

Rozbawiło go, że Christie w dalszym ciągu tak żywiołowo reagowała na jego oczywiste prowokacje. Cokolwiek robiła czy myślała, zawsze był w tym wielki ładunek energii i pasji. Czasami wydawało mu się, że seksualna strona ich współżycia ma dla niej większe znaczenie niż dla niego. Czy dlatego, że w ten sposób potrafiła najlepiej okazać, co czuje?

Większość z jej zahamowań zniknęła w czasie, kiedy ze sobą byli, dalej jednak istniały bardzo osobiste obszary jej życia, do których nie chciała go dopuścić, a których on nie zamierzał naruszać.

Czasami w przystępie samokrytyki mówiła mu, że jest za dobry na to, żeby być prawdziwy; zbyt doskonały; że ma przez niego poczucie winy z powodu własnych wad, które on toleruje.

- Kocham cię taką, jaką jesteś - odpowiadał jej wtedy. - I mam nadzieję, że ty też mnie kochasz takiego, jakim jestem.

- Wiesz, że cię takiego kocham. - I Leo rzeczywiście, nie miał wątpliwości. Tak, kochała go, ale w dalszym ciągu nie chciała zrezygnować ze swojej niezależności.

Rozumiał tę potrzebę. Kiedyś, kiedy go zapytała, czy czuje się tym urażony, odpowiedział, że kawałek papieru nie zagwarantuje mu jej stałości uczuć, a właśnie na tym i tylko na tym mu zależy. Leo wiedział, że jej obstawanie przy niezależności nie oznacza zostawienia sobie furki do emocjonalnej i seksualnej swobody.

- Dlaczego wy się nie pobierzecie? - spytała ich niedawno Cathy.

- Bo nie jest nam to do niczego potrzebne - odparł Leo.

- A jak będziecie mieli dzieci? - nalegała Cathy. W oczach Christie wyczytał poczucie winy, o którym mu kiedyś mówiła. Wyrzuty sumienia, że pozbawiła małą „prawdziwego” ojca.

Leo nie widział między nimi takiego problemu. Powiedział już kiedyś Christie spokojnie i bez żadnych dramatycznych scen, że nie chce mieć własnego dziecka, i wytłumaczył jej dlaczego. Była wstrząśnięta, kiedy się dowiedziała o przeszłości jego ojca, ale jej miłość wytrzymała tę próbę.

- Przecież ono nie musi być do niego podobne - powiedziała.

- Masz rację - zgodził się z nią. - Wiem, że ten lęk jest irracjonalny, ale nic na to nie poradzę, Christie, tak jak ty nic nie poradzisz na swoją potrzebę niezależności i strach, że możesz zostać odrzucona.

- No, chodźmy już - ponagliła go i wzięła pod rękę. - Czas na twoje wystąpienie. - Śmiała się do niego, a w jej oczach widać było dumę i miłość.

Kiedy się zbliżał do niewielkiego podium, zobaczył w odległości kilku metrów grupkę

młodzieży. Byli wśród nich: dziecko Christie - Cathy, córka Saula - Josey, oraz jego dwaj bratankowie - Fritz i Martin.

Leo dotrzymał danej Annie obietnicy i zajął się chłopcami, myśląc o ich przyszłości. Kiedyś niewątpliwie będą pracowali z ojcem w Hessler Chemie, ale na razie, pomyślał, niech zdobywają pierwszy szlif w Carey Chemicals.

Zmiany nie zawsze dokonują się z dnia na dzień, czasem jest to proces łagodny i powolny, który trwa nieraz i przez dwa pokolenia. Albo połączy je w tym procesie więź zrozumienia i miłości, albo skują okowy wzajemnych pretensji, żalów i nienawiści.

Leo zerwał zaśnieżony łańcuch rodzinnych powiązań, jaki go łączył z ojcem, i teraz właśnie wykuwał nowy. Ale dopiero przyszłe losy rodziny miały odpowiedzieć na pytanie, czy będzie on na tyle mocny, by wytrzymać próbę czasu. Leo wszedł na podium i zwrócił się do obecnych:

- Moi kochani - zaczął - zebraliśmy się tu dzisiaj, aby uroczystie powitać przyszłość naszej firmy...

Przyszłość... Alexowi Davidsonowi nie w smak były te słowa. Kiedy Saul wyciągnął do niego gałązkę oliwną, wahał się, czy ma przyjąć zaproszenie.

Robił, co mógł, nie zawsze używając czystych chwytów, żeby Saula ukarać za jego nieposłuszeństwo i nielojalność, ale w końcu musiał się przyznać do porażki.

A Saul zwycięski okazał się znacznie bardziej wspaniałomyślny, niż byłby on w podobnej sytuacji. Ale na tym właśnie polegała różnica pomiędzy nimi i dlatego ostatecznie Saul wygrał, jak musiał niechętnie przyznać Alex. To Saul powiedział mu grzecznie, że czasy się zmieniły, że ludzie są teraz bardziej świątli, bardziej świadomi, że mają więcej skrupułów niż dawniej i że częściej kierują się ideałami.

- Chcesz powiedzieć, że są teraz słabi - zachnął się Alex, ale w gruncie rzeczy wiedział, że Saul ma rację, że stary porządek się zmienia...

Robił, co mógł, żeby do tego nie dopuścić, ale przegrał. Saul i tamci założyli nową firmę, wygrali...

Gdzieś w głębi duszy jednak, wbrew<sup>^</sup> złości i zacierzeniu, wbrew sobie samemu, Alex odczuwał niechętny podziw dla osiągnięć Saula.

- Zawrzemy pokój? - zapytał go Saul.

Miał ochotę odmówić, ale nagle spojrzął na jego urodziwą żonę, która się do niego uśmiechnęła ciepło, i zupełnie nieoczekiwanie powiedział:

- Tak.

Naturalnie w dalszym ciągu uważał, że Saul nie ma racji. Zawsze tak będzie uważał.

Wszystkie te bzdury na temat medycyny naturalnej... to jedno wielkie oszustwo, nic innego.

Dziwiła go tylko tak liczna obecność różnych ważnych osobistości i twardych ludzi biznesu. No cóż. chyba Saul nie zapomniał wszystkiego, czego się od niego nauczył. Ludzie muszą pamiętać, że to w końcu on go odkrył i wy - lansował. Powoli w umyśle sir Alexa zaczął powstawać nowy plan...

Przyszłość. Lucy dotknęła brzucha i, łagodnie uspokajając Jemmę, przysunęła się bliżej do Gilesa.

Przyszłość. Przyszłość to Josey i Tom, pomyślała Davina. Ale ona i Saul też. Mają przecież jeszcze jakąś rolę do odegrania, mają swoją miłość, którą muszą się nacieszyć. Uśmiechnęła się do niego ciepło, kiedy ująwszy jej rękę splótł z nią palce.

- Ciekaw jestem, co kombinuje Alex - szepnął jej do ucha. - Ma tę swoją charakterystyczną, chytrą minę. Ale wiesz co, mam dla ciebie dobrą wiadomość - dodał. - Josey mnie właśnie poinformowała, że dziś wychodzi, na cały wieczór.

- Szsz... - uciszyła go Davina, ale w jej oczach zabłysło radosne podniecenie.

Przyszłość. Czasami na myśl o tym, co ma jeszcze do zrobienia, co w swoim odczuciu powinna zrobić, ogarniało Christie przerażenie; chwilami, kiedy był przy niej Leo, miała niemal wyrzuty sumienia, że aż tak bardzo jest dla niej ważny. Ważniejszy, niż chciała się do tego przyznać. I on o tym wiedział. I chociaż za bardzo ją kochał, żeby o tym mówić, żeby się tym chwalić, to przecież wiedział.

Kochała go z tak namiętną intensywnością, że aż ją to przerażało, a jednak, gdyby mogła zmienić bieg wydarzeń i tak pokierować swoją drogą życiową, by go nigdy nie spotkać, z pewnością by tego nie zrobiła.

Poprzez dzielącą ich odległość uśmiechnęła się do niego i widziała, jak Leo odwzajemnia jej uśmiech.

On bowiem był jej przyszłością i kto wie, czy właśnie dziś w nocy mu tego nie powie. Uśmiech Christie poza miłością wyrażał bowiem głębokie poczucie spokoju i bezpieczeństwa.